

BIBLIOTEKA WARSZAWSKA.

BIBLIOTEKA
WARSZAWSKA.

PISMO POŚWIĘCONE

NAUKOM, SZTUKOM I PRZEMYSŁOWI.

1872.

Tom trzeci.



WARSZAWA.

Skład Główny w Księgarni GEBETHNERA i WOLFFA.

1872.



De. II. 1.

Дозволено Цензурою.

Варшава. 19 Июля 1872 года.

K 35/46

Podanie o Kraku i Wandzie.

Przez

Kazimierza Rómera. (1)

I.

Podanie o Kraku i Wandzie tworzy w tak zwanym okresie bajecznym dziejów naszych odrębną całość, słabo tylko, a w istocie nawet nie wiążącą się wcale z resztą podań polskich. Krak i Wanda, w stosunku do Popiela i Piasta, są w okresie bajecznym wier-ném odbiciem owego dualizmu wielko i małopolskiego, co w okre-sie średniowiecznym naszych dziejów, tak żywo w życiu narodo-wém się rysuje, a który nam w tak niezrównanie znakomity spo-sób uwydatnił i przedstawił największy nasz dziejopis, Karol Szajnocha, w dziele swoim *Jadwiga i Jagiello*. Wielkopolska więc, jak to wiadomo dziś wszystkim, właściwa Polan ojczyzna, to jądro i serce polskiego państwa, kraj aż po wiek XIV *per ex-cellentiam* Polski miano noszący. Żyjący za Krzywoustego Gallus, najstarszy nasz kronikarz, mieszkał w Wielkopolsce, to też po-czątek dziejów otwiera u niego Popiel, pan na Gnieźnie: o Kraku i Wandzie, Gallus nic jeszcze nie słyszał. Ziemia Krakowska i Ta-trzańskie podgórze, dopiero za Chrobrego w skład Polski weszły. Za czasów chrztu Mieczysława, kraj ten, stara Biało-chrobotów ojczy-zna należał jeszcze do Czech, hołdujących niemieckim Ottonom. Zie-mia ta też i po połączeniu się z gnieźnieńską Lechitów ojczyzną, nie prędko stała się Polską, a nawet i stawszy się nią, była jeszcze dłu-go

(1) Rzecz czytana na posiedzeniu Towarzystwa Słowiańsko-Lite-rackiego we Wrocławiu, dnia 27 stycznia 1872 roku.

tylko drugą, późniejszą Polską, była *Małą* Polską. Następujący w sto lat po Gallu, Wincenty Kadłubek, rodził się i żył w Małopolsce, kronice swój zaś poświęcił ostatnie lata życia swojego spędzone w klasztorze Cystersów w Jędrzejewie, o mil kilkanaście na północ od Krakowa. On też pierwszy do dziejów bajecznych, wprowadził element małopolski, pierwszy zwiastuje on nam o Kraku i Wandzie. Stolica państwa i serce Polski za czasów Wincen-tego były już w Krakowie. Dla tego też odtąd nie w wielkopolskim gnieździe Lecha, ale w siedzibie Kraka i Wandy na Wawelu, znaczyć się będzie państwa i narodu początek.

Mamy więc w podaniu o Kraku i Wandzie, nie zapominajmy o tém, nic innego, jak resztki miejscowych legend miasta Krakowa i ziemi krakowskiej, które jedynie w skutek stanowiska jakie ziemia ta i miasto, w dziejach naszych zajęły, weszły dopiero z czasem, i że tak rzekę dodatkowym sposobem, w skład dziejów całego historycznie rozwiniętego polskiego narodu. Tyle o dziejowym stanowisku podań naszych.

Przejdźmy teraz do kronik, zaczynając od Kadłubka. Oto jego powieść:

„Wieść niesie, powiada Kadłubek, że lud bitny i niesłychanie mnogi, co przed wiekami ziemie te zamieszkiwał, pokonawszy niegdyś w boju Gallów, którzy wówczas nad całym prawie światem panowali, zmusił ich do równego podziału wspólnych podbojów, a takim sposobem Gallowie posiedli Grecyą, ów zaś lud całą przestrzeń kraju, sięgając z jednéj strony Parthyi (w języku Kadłubka znaczy to kraj Połowców, zamieszkujących wtedy pomorze Euxyńskie) z drugieją Bulgaryi, z trzecieją Karyntyi. Rozgościwszy się w Karyntyi, po licznych o nią z Rzymianami bojach, mężowie ludu tego, wybrali sobie tam „Gracusa” za księcia; ale niedługie ich były w téj krainie rządy, uległszy bowiem wpływowi kobiet tamecznych, zniewieścili i przez krajowców częścią wytruci, częścią ujarzmieni zostali. Wróciwszy z Karyntyi „Gracus” w skutek przemowy swéj do zgromadzonego ludu, w której mu potrzebę wyboru księcia przekładał, obwołany został królem. Akt ten położył koniec dotychczasowym bezprawiom i samowoli możliwym, a Polska kwitnąca za błogich rządów „Gracusa,” byłaby władzę królewską za dziedziczną w potomstwie jego uznała, gdyby się nie był jeden z dwóch jego synów splamił bratobójstwem. W pewnej albowiem jaskini był za czasów „Gracusa” potwór straszliwy, zwany od niektórych Olophagus (wszystkożerca). Temu musieli mieszkańcy co tydzień bydło na pożarcie dostarczać, bo inaczej porywał ludzi. „Gracus” chcąc kraj od téj plagi uwolnić, wezwał obu swoich synów, by walcząc z potworem, zabili go. Ci jednak przeciw Olophagowi napróżno sił swych próbując, umyślili pokonać go podstępem. Nadziane przeto siarką skóry bydłące podrzucili potworowi, który gdy je pochłonał, udusił się od płomieni buchających z owych skór. Młodszy brat jednak, zazdrosz-

cząc starszemu następstwa po ojcu, korzysta ze sposobności, zabija brata i ogłosiwszy kłamliwie, że poległ w boju z potworem, po śmierci ojca następuje po nim w rządach. Wkrótce jednak wykryła się jego zbrodnia, a syn „Gracusa” ukarany został wiecznym wygnaniem. U stóp skały gdzie mieszkał potwór, założono potem miasto Graków (Gracovia) ku wiecznej „Gracusa” pamięci. Niektórzy jednak nazwę tę wyprowadzają od krakania kruków, co się zlatywały nad ścierwem potworu. Przez przywiązanie do „Gracusa”, wyniesiono na tron jedyną pozostałą po nim córkę Wandę, słynącą z wdzięków i rozumu. Książę pewien niemiecki, chcąc sobie rządy kraju w bezwładnych, jak mniemał, niewiasty rękę będącej, przywłaszczyć, wybrał się przeciw Wandzie z wojenną wyprawą, plądrując kraj cały. Aliści skoro tylko wojsko jego spostrzegło królowę przed sobą, wnet jakby słońca promieniem rażone, straciło wojenny animusz, odrzucając walkę, któraby była świętokradztwem, bo nie z ludzką istotą, mniemali wojownicy, ale z nadludzkim jestestwem mieli do czynienia. Wówczas król ich, z miłości czy też z gniewu, a może obu razem uczuciami miotany, zawołał: „Wanda niech morzu, Wanda niech ziemi, powiatru Wanda niechaj rozkazuje, niech bogom nieśmiertelnym za swoich czyni obiatę (victimet), i ja za was, o wodzowie moi, uroczystą piektu zanoszę ofiarę, aby tak wasi, jak waszych potomków potomkowie posiwieli pod jarzmem niewiasty.” To rzekłszy, rzucił się na ostrze miecza. Od Wandy miała też rzeka nazwę Wandala otrzymać, iż środkiem jęj państwa płynęła. Ztąd też i poddani jęj Wandalami nazwani zostali. Ona zaś wzgardziwszy stanem małżeńskim i przenosząc nadeń stan dziewiczy, umarła bezpotomnie i długo po nięj państwo chromało bez króla.”

Oto najstarsza wersja naszego podania. Następująca po nięj, która na uwzględnienie zasługuje, znajduje się w kronice, znanęj pod nazwą Boguchwałowęj, spisanej w drugięj połowie XIII, albo nawet już w XIV wieku. Według Boguchwałę, Krak, (nazwę jęgo Boguchwał pisze Crak i dodaje: „*Crak, qui legitime corvus dicitur*”) mąż osiedlony nad Wisłą, wybranym został przez Lechitów na Wojewodę przeciw Gallom, których gdy zwyciężył, królem obwołany został. Gród (castrum) Krakowem zwany, wybudował według Boguchwałę sam Krak na górze zwanęj Wawelem; Wawel zaś czyli Wanwel (mybyśmy powiedzieli dziś Wąwel), oznacza tumor, który górale od picia wód na szyi niekiedy dostają, ztąd też i góra, na którejj dziś gród krakowski (castrum Cracoviense) się wznosi, Wanwelem się nazywała. W niewielkięj od Wanwelu odległości, z drugięj strony rzeki, jest jak powiada Boguchwał, inne wzgórze, na którymj dziś wznosi się kościół Ś-go Michała na skałce („*ecclesia sancti Michaelis in Rupella*” miejsce, jak wiadomo, słynne męczeństwem Ś-go Stanisława). Wzgórze to zowie się zdrobniale „Wanwelnica”; u stóp jęgo stanęło wielkie i potężne miasto Kraków. Opowiadając dalej o śmierci syna Kra-

kowego, który podstępem poległ z ręki młodszego brata, kronikarz nasz opuszcza całą powieść o smoku, i każe temuż młodszemu Krakowi umrzeć bezdzietnie na tronie ojcowskim. Po jego śmierci wyniesiono do władzy Wandę, ostatnią z Kraka potomstwa. Imię jej po łacinie tłumaczy się *hamus* (Wanda niby tyle co dziś węda), bo wszystkich wdziękami swemi do siebie przyciągała jakby wędką. Usłyszawszy o jej piękności pewien książę niemiecki, nie mogąc prośbami skłonić jej do związku małżeńskiego, ile że Wanda, mądrze i według woli ludu rządząc krajem, wszelką myśl takich związków statecznie odrzucała, z potężnym wojskiem naszedł ziemię Lechitów. Wanda mężnie stawiała mu czoło, a niemiecki książę postrzegłszy ją na czele dzielnych hufców, miłością lub gniewem zdjęty, zawołał: „Wanda niech morzu i t. d., tu Boguchwał dosłownie powtarzał Kadłubka i dodaje, że po samobójstwie obcego księcia, Wanda przyjmąwszy hołd wierności od jego wojska, za tę tak pomyślnie i chwalebnie ukończoną sprawę z samej siebie bogom ofiarę czyniąc, dobrowolnie skoczyła w Wisłę „spełniając tak ludzkiej natury przeznaczenie.” Ztąd też rzeka Wisła od Wandy królowej, Wandala nazwę przybrała; od rzeki zaś Polacy i inni Słowianie ich władzy podlegli, już nie Lechitami, ale Wandalitami zwać się poczęli.

Trzecióm świadectwem, które tu przywieść musimy, są słowa żyjącego w pierwszej połowie XV wieku uczonego akademika krakowskiego Magistra Jana Dąbrówki, który za panowania Władysława Warneńczyka, około 1440 r. napisał komentarz do kroniki Kadłubkowej. Z tego komentarza następujący wyjmujemy tu ustęp: „Gracus na większej i powyżej (ze względu na bieg Wisły) leżącej górze, Wawel naonczas zwanój, zamek zbudował i od swego imienia *Grakiem* („Grac”) nazwał. Polacy zaś na jego pamiątkę po za mniejszą górą (poniżej od Wawelu leżącą) *Wawelnicą* zwaną, wielkie i sławne założyli miasto, nazwawszy je od jegoż imienia *Grakowem* (Gracovian). Tego Gracusa ciało na miejscu wyniosłem, na górze, którą dziś zajmuje kościół Ś-go Benedykta, pogrzebaném zostało; Wandę zaś, która, jak wyżej powiedziano, poświęciła się bogom i za sprawą bogów z wód wynurzona została, na innej górze około Mogiły kopcem przykryto.”

Znalazłszy ten ustęp w komentarzu Dąbrówki, a w nim słowa dotyczące się kopców grobowych Kraka i Wandy, dziwiliśmy się nie mało, spotykając u wszystkich prawie badaczy podań naszych wszędzie mylne twierdzenie, że Długosz pierwszy wzmiankuje o tych kopcach. Tymczasem w rozbiorze tych podań już się nawet wcale na Długosza powoływać nie można, bo Długosz w rozwlekłej swój opowieści, prócz kilku imion, nic już właściwie nowego do treści ich nie wniósł, powtarzając tylko i miesząc razem Kadłubka, Boguchwałę i Dąbrówkę. Jedynemi szczegółami zasługującymi tu jako tako na uwzględnienie, są u niego: najprzód to, że smok wedle naszego historyka zgładzonym został wprawdzie

z rozkazu Kraka, jednak bez pośrednictwa jego synów; że Krak na górze zwanéj górą Lasoty, górą Lasociną („*in monte Lassotino*”) pod kopcem pogrzebanym został: że wreszcie książę niemiecki, napastnik Wandy, zwał się „Rithogarus.”

Tyle więc najstarsze kroniki nasze o Krak i Wandzie. Na téj podanej przez nie osnowie musi krytyka historyczna dzisiejsza, sił swoich próbować, na niéj téż lud nasz podanie o Krak i Wandzie, czyli jak się już pospolicie mówi, o Krakusie i Wandzie, daléj przedzie i przerabia. Mówię przerabia, bo zauważaliśmy różnicę jaka np. pomiędzy dziś potocznie powtarzaną legendą, a Kadłubkową lub Boguchwałową jéj wersją zachodzi. Upodobana nasza, piękna i bohaterska Wanda, kiedy się rzuca w Wisłę, nie ginie już tak marnie jak owa Boguchwałowa, która w niepojęty sposób, po tak pomyślném odparciu nieprzyjacielskiego najazdu, topi się na chwałę bogom; nasza Wanda przeciwnie, wzór Polki-obywatelki, ginie z całą świadomością najwyższego osobistego poświęcenia się za naród, przez tę dobrowolną śmierć bowiem, odejmuje napastnikowi możność pożądania jéj ręki i panowania nad jéj ludem. Kształt więc legendy od czasów Boguchwały, a nawet Długosza niezawodny zrobił postęp, treścią jéj stał się czyn bohaterskiej miłości ojczyzny, to jednak także jest rzeczą pewną, że podanie nasze przybierając tę nową, tak powabną formę, jeszcze bardziej oddaliło się od tak trudnéj do docieczenia pierwotnéj swéj istoty.

Ale bądź co bądź, dociekania tego my tu spróbować musimy, postawiwszy je raz sobie za zadanie. Zaczniemy więc od pierwszéj części naszéj legendy, od Kraka. W powieści téj, jak to każdy już mógł zauważać, pomiędzy trzema naszymi wersjami niema różnic zasadniczych, bo czy Krak sam zabija smoka, czy synom swoim uczynić to każe; czy sam w smoczém gnieździe gród swój zakłada, czy téż czynią to ku jego pamiętce wdzięczni jego poddani: rzeczy to wiele nie zmienia, a osnowa powieści pozostaje zawsze ta, że po zabiciu smoka stanął gród na Wawelu, który nazwę swoją otrzymał od Kraka. Czy Krak ten istniał rzeczywiście i jest historyczną osobą? Oto pytanie, do rozwiązania którego zmierzać powinny i zmierzają wszelkie badania historyczno-krytyczne w tym przedmiocie. Ale chociaż nieraz jeden, odpowiedziano tu już twierdząco lub przecząco, przekonywających i stanowczych dowodów nikt jeszcze nie dostarczył. Wyznajemy z góry otwarcie, że i my téż takich dowodów dostarczyć nie będziemy mogli, i trzeba nam będzie, przynajmniej co do Kraka, poprzestać na domysłach. Podnieść tu jednak zaraz wypada okoliczność, że na pytanie powyższe, ażali Krak istniał rzeczywiście? aż do pewnego stopnia twierdząco da się odpowiedzieć. Istnienie bowiem jakiegoś Kraka zaświadcza już sama dzierżawcza przymiotnikowa forma nazwy Krakowa; ale czy podanie o Krak samo z nazwy téj wywnioskowane nie jest? orzec prawie niepodobieństwem.

Ci, którzy obstają za głębszém, chociażby tylko podaniowém znaczeniem naszego Kraka, podnoszą zwykle okoliczność, że i podania czeskie znają to imię: Krok (Krok co do językowej formy, oczywiście tyle co Krak ze zwątloną samogłoską) w Czechach jest także założycielem państwa, tak jak Krak polski dobroczyńcą i ulubieńcem narodu. Podgórze tatrzańskie wraz z naszym Krakowem przez długi czas należało do Czech, od których, jak wiadomo, Chrobry je dopiero odebrał; tworzyło ono też w dawniejszych jeszcze czasach niezawodnie polityczną całość z państwem Świętopetka, z tak zwaną wielką Morawą. Imię Białochorobatów, ludu zamieszkującego przed wiekami tę krainę, spotyka się i w Czechach, co więcéj, dziejopisarze czescy jak Palacki, Szafarzyk i inni jednozgodnie, północno-zachodnie podnóże Karpat uważają za pierwiastkową plemienia czeskiego ojczyznę. Znad górnej Wisły, z okolic naszego Krakowa mieli niegdyś Czesi do dzisiejszych swych siedzib wywędrować. Krak nasz polski byłby więc niby wspólnym mytycznym bohaterem białochorobkiego plemienia, a prawe jego gniazdo Wawel, to nasz polski Kraków. Kombinacya zaiste pięknie pomyślana i ujmująca do złudzenia; przyznajemy się otwarcie, żeśmy ją sami długo za pewny, niepochybnie odkryty klucz zagadki uważali. Ale niedość na tém, Kadłubek, w niepojęty sposób pierwsze pojawienie się Kraka przesadza do Karyntyi, każe mu ztamtąd po ujarzmieniu jego towarzyszy, wrócić do Krakowa i być tu powtórnie na księcia czy króla wybranym. Otóż w Karyntyi dały się także odkryć śladów Chrobatów (Kroatów), a żyjący w połowie X-go wieku, cesarz bizantyjski Konstanty Porfirorody, prawi o przesiedleniu się Białochorobatów z pierwotnej podtatrzańskiej ich ojczyzny do poblizkiej z Karyntyą Dalmacyi. Zdawałoby się więc, że wykazano już po raz trzeci w trzech różnych miejscach, Chrobatów i nierozdzielnego z nimi Kraka. A jednak wytłumaczenie Kadłubkowej powieści o uprzednim pobycie Kraka w Karyntyi, rzeczą tak prostą i łatwą nie jest, bo chociaż owe Kadłubkowe z Rzymianami wojny, dałyby się jeszcze z biedy wyłożyć na dokonany istotnie w VIII wieku podbój korutańskich Słowian przez sprzymierzonych z Frankami—przedstawicielami wówczas cesarstwa Rzymskiego na Zachodzie—Bawarów, to zidentyfikowanie przez Lelewela (1) naszego Kraka z jakimś tam Paratusem, pojawiającym się istotnie, chociaż w odmiennych nieco okolicznościach w dziejach Karyntyi VIII wieku, i przypuszczenie dalej na mocy słów Kadłubka dotyczących się Kraka, że się ten Caratius na stare swoje lata przeniósł nad Wisłę, by tam nasz Kraków założyć, nie zaspakaja już weale i byłoby może naturalniej, zamiast téj tożsamości Caratiusa z Krakiem, przypuścić, że w Karyntyi istniało rzeczywiście inne jakieś miejscowe o innym Kraku podanie, które o uszy przebywających kraj ten po drodze do Rzy-

(1) W Uwagach nad Mateuszem, herbu Cholewa.

mu uczonych podróżników polskich się obito, a którego echo w kronice swojej po swojemu przechował nam Kadłubek. Na ten domysł naprowadza nas istnienie po dziś dzień w Styryi, a więc w granicach Słowian korutańskich miejscowości, a raczej obszernej górskiej doliny, trzy oddzielne gminy wiejskie mieszczące, zwanéj Krakowem. Być więc bardzo może, że zanesione do Polski podanie lokalne o tym Krakowie karyntyjskim, wywołało u naszego kronikarza powiastkę o pobycie polskiego Kraka w tamtych stronach. W każdym jednak razie, egzystencya takiej nazwy miejscowój w Karyntyi, nie popiera wcale przypuszczenia o tożsamości tamecznego Kraka z polskim, a cóż powiemy w ogóle o owéj chrobackiej jednego Kraka wspólności, gdy nam i podanie czeskie z dokładnością ukaże w Czechach leżącą miejscowość Kraków, z której poszedł Krok czeski? Albowiem podobnie jak Krak polski z Krakowem, tak téż Krok czeski już w najstarszej wersji legend czeskich u Kozmasa z Pragi nierozłącznie zczepionym jest z inném miejscem tejże nazwy w Czechach, którą przypominać ma podziśdzień w Rakonickim obwodzie w Czechach, na miejscu grodu Krakowego wznosząca się osada wiejska *Krakovec*. Gdzież więc znowu pewnoś, że legendowy Krok czeski z nazwy miejsca wynioskowanym nie jest, albo że jest z Krakiem polskim jedną i tą samą osobą? gdzie wreszcie rękojmia pierwszeństwa Kraka polskiego nad czeskim? Rozprawiać wprawdzie możnaby tu długo za i przeciw, ale przypuszczenie, że myθος o Kraku jest właściwością wyłącznie chrobacką, utrzymać się nie da w obec faktu, że nazwa osobowa Kraka i miejscowa Krakowa, znane są niemal na całym obszarze zachodniej Słowiańszczyzny, a więc i tam, gdzie się o Chrobatach ani śniło. Oprócz bowiem wymienionéj tu wsi *Krakovec* w Czechach i styryjskiego *Krakowa*, istnieje dotąd jezioro *Kraków* pod Brandenburskim Poczdamem, wieś *Kraków* pod Magdeburgiem, na Żużycach wsie *Kraków* i *Krukhezy*, w Polsce *Krakowiec*, *Krakopól* i *Krakoszowice*, w Meklemburgii zaś i na Pomorzu wyliczono nie mniej jak *dziesięć* miejscowości z nazwą Kraków, pomijając liczne dalsze od pierwiastku Krak—derywacye, brzmiące dziś w zniemczeniu *Krakewitz*, *Kraken*, *Krakenort* i t. p. Osada *Kraków* istnieje wreszcie i na wyspie Rugii, a tożsamość nazwy z naszym Krakowem i podobieństwo z Długoszowym Rithogarem w mianie poblizkiej temu Krakowowi wsi Rugard, dało powód, jak świadczy Deotyma w opisie odbytej tam w r. 1857 podróży, do przeniesienia i na Rugią romantycznój powieści o królownie Wandzie i jéj ku Rithogarowi niechęci.

Ta powszechność na ziemi słowiańskiej nazw miejscowych z formą dzierzawczą pochodną od tematu rzeczownego krak, wskazuje koniecznie na taką powszechność imienia osobowego tegoż brzmienia. Pomimo niewątpliwéj słuszności takiego przypuszczenia, nie udało się nam jednak odszukać więcej nad dwa podobnego imienia, w średnich wiekach, przykłady. Jeden z nich od-

nosi się do ziemi chełmińskiej, gdzie na lat kilka przed przybyciem Krzyżaków spotyka się *Grok* syn *Groka* (1), w posiadaniu dzisiejszego Radzyna, w pow. Grudziądzkim; drugi jest z okolic Gniezna, gdzie pod rokiem 1136 mamy właściciela wiejskiego *Krokoszę* (2), którego imię odnajdujemy zresztą i we wspomnianej powyżej wsi Krakoszowicach w Galicyi.

Po takim skonstatowaniu powszechności imienia Kroka czyli Kraka, nastęrcza się tu pytanie etymologicznej natury co do właściwego w językach słowiańskich znaczenia téj nazwy, i co do pierwiastku w niéj zawartego. Otóż tu najprzód uderza fakt osobliwszy. Nazwy miejscowe od Kraka zdają się być zadokumentowane jedynie u tych plemion zachodnio-słowiańskich, u których nazwa ptasia: kruk, ma brzmienie analogiczne. Tak więc kruk zowie się u Czechów i Słowaków *krkavec*, w narzeczu korutańskim *krakar*, u reszty zaś ludów słowiańskich znajdujemy natomiast wyraz *wron*, *wran*, lub *woron*, będący jakby męzką formą od naszego: *wrona*. Wyrazy *krkavec* i *krakar* wyprowadzają się w prawdzie nie od rzeczownego pierwiastku jak polskie kruk, ale raczej od tematu słowa *krakati*, *krakać*, niemniej jednak domyślać się można istnienia niegdyś w tych językach rzeczownika z formą więcéj pierwotną, na podobieństwo polskiego: kruk. Taki zaś właśnie rzeczownik z wszelkiém'prawdopodobieństwem upatrywaéby można w wyrazie kruk, o którym przecie, ile że tak często w nazwach miejscowych się spotyka, przypuścić nie można, by żadnego językowego nie miał znaczenia. Imiona osobowe pożyczone od zwierząt, a głównie od zwierząt śmiałych i krwiożerczych, są wszystkim ludom w stanie pierwotnym właściwe. Nazwy jak Wilk, Lew, Orzeł, spotykają się często u Słowian, dlaczegożby więc zadokumentowane u nich także imię Krak, nie mogłoby oznaczać tego, co nasze dzisiejsze kruk? W językach skandynawskich *kraka*, jakby femininum od *krak*, odpowiada staroniemieckiemu *krda*, dzisiejszemu *Krahe*, z czémby porównać należało okoliczność, że polskie *wrona*, podobnie jest tylko formą żeńską od spotykającego się gdzieindziej *wron*, odpowiadającego pono etymologicznie i co do znaczenia niemieckiemu rzeczownikowi: *Rabe*. Zresztą, jako już wspominałem, Boguchwał nasz mówiąc o krakowskim kraku potwierdza wyraźnie zgodne z naszym przypuszczeniem znaczenie wyrazu. „*Crak, qui legitime corvus dicitur*“ są słowa Boguchwała; za jego więc czasów znaczenie nazwy krak widocznie jeszcze zatraconém nie było. Jeżeli zaś wyraz ten, niezgodnie ze zwyczajem polskiego języka, zatrzymał samogłoskę *a* po *muta cum liquida* nie zwątlwszy jéj w *o*, jak to się naprzykład dzieje u nas

(1) „*Groko Grokonis filius*” w przywileju z r. 1223 drukowanym w *Acta Borussia I*, 276.

(2) „*Crocossa possessor rusticus*” w przywileju z r. 1136 u Raczyńskiego, *Cod. dipl. Maj. Pol.*, 3.

w wyrazach wrona, krowa, Włoch, brzmiących w innych słowiańskich językach vrona, krava, Vloch, to możnaby się o nim nie bez słuszności domyślać, że niemając cech polszczyzny, jest on pozostałością języka Białochrobatów zamieszkujących przed wiekami karpacie podgórze. Formę bardziej polską *Krok*, jakieśmy to już nadmienili, mamy zresztą zadokumentowaną na ziemi Chełmińskiej w XIII wieku, a na Pomorzu Gdańskim kwitnęła w średnich wiekach familia rycerska Krokowskich von Crocow. Na poparcie naszego twierdzenia przypominamy tu jeszcze, że krak u kronikarzy naszych zwany jest po większej części Grakiem czyli téż Gracusem; Miklosich zaś w swym słowniku starostwoiańskim wykazuje najwyraźniej formy *grakati* *grakanije* obok *krakati*, *krakanije*. Pierwiastek zresztą krak, kruk, jest pierwiastkiem indoeuropejskim, znaczy: wydawać dźwięk, krzyczeć, krakać, śmiać się (por. greckie *κράχω*); nic więc dziwnego, że wyrazy jak Krok, Krak i to nawet w znaczeniu imion własnych i u innych ludów Europy się spotykają, np. u Skandynawskich. Już Lelewel powiedział, że „Kraka nigdzie nie braknie“ i na dowód tego przywiódł Kroka króla Allemanów z roku 306, sprzymierzeńcy Konstantyna W., z którego żyjący w VII wieku kronikarz francuzki Fredegar uczynił króla Wandalów, a piszący około połowy XIII wieku mnich francuzki Albericus z opactwa *des Trois Fontaines* w Szampanii, autor jeden z najświetniejszych kronik średnio-wiecznych, polegając na rozgłoszonej w owych czasach i za pewnik uważanej tożsamości dawnych Wandalów z Polakami, przerobił na polskiego Kraka, mądrze skombinowawszy Fredegara z Kadłubkiem. U Alberyka urosło ztąd potworne orzeczenie: „*anno 413 quaedam pars Vandalorum cum Alanis Gallias infestavit, duce Craco, qui fuit dux Cracoviae.*“

Wdawszy się raz w etymologią nie możemy tu téż pominąć ciekawego wywodu Boguchwała o tak ściśle w podaniu naszym z Kakiem łączącej się nazwie Wawelu, tém bardziej, że o ile wiemy, zajmujących tych słów Boguchwała nikt jeszcze dotąd uwzględnić nie myślał. Boguchwał tedy powiada, że Wawel, to właściwie Wanwel (powiedzielibyśmy dziś Wąwel), a Wanwel oznacza gruczoł, który dostają na szyi mieszkańcy gór od picia wód górskich. Boguchwał ma tu, jak widzimy, na myśli powszechnie w górach znaną chorobę, po niemiecku *der Kropf*, po francuzku *legoître*, a którą, według uniemania lekarzy, dostaje się rzeczywiście od długiego użytku wody śniegowej nieposiadającej w składzie swoim jodowych pierwiastków. Ze Boguchwał podając *Wąwel* za pierwotną i właściwą nazwę Wawelu, bynajmniej w błędzie nie jest, dowodzi to, że forma ta po wielekroć razy u najlepszych pisarzy naszych jest zadokumentowaną. Jako przykład przytaczam tu wyjątek z Kochowskiego fraszek:

„Witaj królu mój, gościu pożądanym,
 Między te Kraka, starożytne ściany,
 Wjeżdżaj na *Wąwel*, utwierdzon na skale,
 Wielki Michale.“

Już Linde uznał poprawność formy *Wąwel*, dla tego też innej jak ta, w swoim słowniku nie uwzględnił. Tak więc a nie inaczej, gród królów naszych właściwie i poprawnie nazywałby należało. Od *Wąwelu*, zresztą w Polsce dużo miejsc się nazywa. Oprócz bowiem mniejszego Krakowskiego wzgórza, tak zwanego dziś *Skałki*, o której *Boguchwał* najwyraźniej świadczy, że się jeszcze za jego czasów *Wąwelnicą* t. j. małym *Wąwelem* zwała, oprócz strumienia *Wąwolnicy* w Krakowskim wpadającego do *Czarnej Przemszy*, istnieje w równinie nadnoteckiej w powiecie *Wyrzyskim* wieś parafialna *Wąwelno*, pisana dziś często fałszywie przez *m*, *Womwelno*, występująca jako „*Wanwelno*“ w dyplomatach wieku XIII (1), o mil zaś kilka na wschód od *Lublina* leży od czasów *Kazimierza W.* znane miasteczko *Wąwolnica*. W tej *Wąwolnicy* znajdują nawet podanie czyniące *Kraka* założycielem miasteczka. Od sławnej góry *Wąwelu* miał on je przezwąć *Wąwolnicą*. Płód widoczny bardzo późnej spekulacji, podanie to ma jednak dla nas tę wartość, że stwierdza raz jeszcze poprawność nazwy *Wąwel* zamiast *Wawel*. Ale poczucie tej stariej nazwy jakże z gruntu już dziś w mowie naszej zaginać musiało, kiedy obecnie w *Wąwolnicy* ludzie sobie opowiadać mogą, że nazwa ich miasteczka prawdziwa i pierwotna, to na podobieństwo *Krakowskiego Wawelu*; *Wawolnica*, nie zaś *Wąwolnica* (2). Takie zupełne zaginięcie poczucia i świadomości wyrazu świadczy wymownie o głębokiej tegoż starożytności. Znaczenie jego jednak i brzmienie odnaleźć się z pewnością daje w dzisiejszym naszym wyrazie *bąbel*, podanym u *Lindego* w potrójnej formie: *bąbel*, *bębel*, *pepel*. Zresztą nawet i to co *Boguchwał* o wyrazie *Wąwel* rozpowiada, dałoby się doskonale i przez wyraz *bąbel* zrozumieć! Zaszła tu przemiana obu powiewnych głosek *w* w odpowiednią momentalną *b*, nie potrafiłbym inaczej wytłumaczyć, jak przez dążność do ułatwienia utrudnionego nieco w wyrazie *Wąwel* wymawiania, czego zresztą w języku liczne mamy przykłady, jak w nazwie *Wilebska*, zamiast *Wilewska*, wsi *Sandomierskiej Słaboszowa* zamiast dyplomatycznie w wiekach średnich zadokumentowanego *Sławoszowa* (3), w nazwie ludowej *Chrobat* i *Horwat*, wreszcie w niemieckiej korupcyi nazwy *Wrocław* miasta. Co do możebnego zarzutu, że wyraz *bąbel* traci w skłanianiu samogłoskę końcową sylaby (*bąbla bąblem* i t. d.) wówczas, gdy ją *Wawel* niezmiennie zachowuje, zwracam uwagę na przytoczoną u *Lindego*

(1) Pod r. 1290 u *Muczkowskiego* i *Rzyszczewskiego* Cod. dipl. Pol. I, 134.

(2) Por. *Encykl. Orgelbranda*, p. wyr. *Wąwolnica*.

(3) Zob. dokument z r. 1210 u *Muczk.* i *Rzyszcz.* Cod. dipl. I, 20.

liczbę mnogą *bąbele* zamiast *bąble* i wyrazy *bąbelisty*, *bąbelistość* wyjęte z Knapkiego. Nazwa nakoniec Wąwel tyle co *bąbel* doskonale charakteryzuje nam owe krakowskie wzgórze, które w kształcie wielkiej spłaszczonej półkuli samotnie po nad doliną Wisły się wznosi, jakby jaki wielki przyszc ziemi. Trzebaby przytém może i na to zwrócić uwagę, że *bąbel* oznacza przeważnie wszelkie wydęcie wewnątrz próżne, np. bańkę mydlaną, a wówczas kto wie, czy nazwę góry Wąwelu nie należałoby przypisać tak zwanéj smoczéj jamie, t. j. jaskini, wypróżniającej jéj wnętrze. Pytanie to mogłoby być rozstrzygnięte na drodze porównania cech lokalnych wszystkich tych miejscowości, których nazwa ma związek z wyrazem *wąwel*. Tyle więc o znaczeniu językowym *Kraka i Wąwelu*.

Następująca tu z kolei rzeczy powieść o zabiciu smoka nie daje się wcale roztrząsać i rozbierać krytycznie. Niemając jednak najmniejszego powodu do twierdzenia, że jest prostym wymysłem Kadłubka, musimy ją za istotne podanie ludu przyjąć, a to tém łatwiej nam przychodzi, że jak wiadomo, nie ma w legendach ludowych popolitszego motywu, jak powieści o zwalczonych smokach, a najzwyczajniejszym jest opowiadanie o zabitych na miejscu założonych grodów przez założycieli ich potworach. Zauważano już wprawdzie słusznie, że zabawnie niedorzeczny sposób, w jaki ginie smok Kadłubkowy uduszony siarką, nie odpowiada bynajmniej ludowym o walkach ze smokami pojęciom, a zakrawa raczej na kronikarską reminiscencyą proroka Daniela, co jak wiadomo, Babilońskiego smoka chlebami ze smoły i łożu zadławił. Szczegół ten jednak, w jakikolwiek sposób tłómaczyć się go zechce, pozostawia zawsze osnowę podania nietkniętą. Osnowa zaś ta jest prostą i jasną. *Krak* pokonawszy zamieszkałego w pieczarach Wąwelu smoka, a więc może oczyściwszy je z opryszków i zbójców, co siadłszy tam istném gniazdem smoczém, byli postrachem całej okolicy, założył na szczycie wzgórza nowy gród, gród Kraków, pod którego bezpieczną obronę ludność okoliczna garnać się zaczęła. Oto, zdaniem mojem treść historyczna podania o *Kraku*. Więcéj wniosków dziejowych z niego wyciągnąć, — powiedzmy krótko — nie można.

Roztrzygnąwszy tak na korzyść historycznego *Kraka* pytanie o smoku, nie możemy, a raczej nie mamy powodu rozwiązywać w przeciwnym sensie kwestyi o autentyczności lub nie autentyczności *Krakovéj* mogiły. W sprawie téj zresztą bliżej rozpatrzeć się nam trzeba. Najstarszym dziejopisarzem, zwiastującym nam istnienie *Krakovéj* mogiły, jest, jakéśmy już wspominali, piszący około roku 1440 *Jan Dąbrówka*, komentator *Kadłubka*. To opóźnienie w zapisaniu tak ciekawego szczegółu legendy, stało się powodem do ogólnego w jego prawdziwość niedowierzania. Zarzut opóźnienia zresztą sam w sobie niezawodnie słuszny, byłby istotnie w niejednym razie przekonywającym, w rozbieranym je-

dnak przez nas wypadku przez inne okoliczności tak mocno jest zachwianym, że gdybyśmy go za dostateczny do obalenia słów Dąbrówki przyjęli, z samą mogiłą nie mielibyśmy co począć. Kopiec bowiem Kraka nie dla tego tylko, że mu podanie czy też Dąbrówka nazwę tę dają, ciekawą jest dla badacza zagadką. Łączy się z nim podziśdzień dorocznie obchodzona uroczystość ludowa krakowska, początkiem swoim sięgająca w daleką pogańską przeszłość. Uroczystość zaś ta takiej jest natury, że przypuszczenie o leżącym pod mogiłą Kraku nietylko nie utrudnia, ale przeciwnie ułatwia wytlómaczenie jój znaczenia. W pierwszy dzień po świętach wielkanocnych wychodzą Krakowianie tłumnie na pagórki Krzemionek, gdzie się wznosi „kopiec Krakusa“ i zrzucają zakom czepiającym się na pochyłości gotowane jaja, jabłka, pierniki i bułki. Nazwę *Rękawki* pod którą znana jest dzisiaj ta zabawa, ludzie w Krakowie tłómaczą rozmaicie. Jużto, że kopiec niby rękami wdzięcznego ludu miał stanąć, jużto, że syjąc go, ziemię dla pośpiechu znoszono w rękawach i cholewach. Wykład tym czasem najprostszy i jedynie prawdopodobny daje sam dzisiejszy obyczaj obrzędowy, to jest rzucanie i łapanie *rękami* rozmaitego jadła. Ale mniejsza o nazwę, ważniejszém jest to, że podanie miejscowe głosi jednogłośnie że obchód dzieje się na pamiątkę Kraka czyli Krakusa założyciela miasta, i że zwyczaj święcenia Rękawki jest bez wątpienia pogańskim zabytkiem. Rzucanie owo jaj, chleba i innego jadła o Wielkanocy na mogile Kraka, wiąże się ściśle co do czasu i innych okoliczności ze znanym w całej Słowiańszczyźnie obchodem święta Wiosny czyli Morzany. To samo co krakowska Rękawka, znaczą litewskie „Dziady“ to samo wszystkie owe tryzny nagrobne, Rodownice, Rodzińcze, Zadusznice, obchodzone podziśdzień na Białej Rusi, w Rosyi, Serbii a nawet i w Czechach. Kiedy ożywcze promienie wiosennego słońca spędzą z ziemi śniegi, usuną biały śmiertelny zimowy pokrowiec, lud słowiański obchodzi wtedy wesołe święto wiosny. Podziśdzień na Litwie dziewczęta sielskie idą wówczas śpiewając za sioło „by wiosnę spotykać.“ Zmarli rodzice i krewni w tych chwilach obudzenia się przyrody ze snu zimowego w ogrzanych mogiłach, po raz pierwszy, wedle wyobrażeń ludu oddychają wiosenném powietrzem, domagając się od pozostałych na ziemi krewnych wspomnienia i zasiłku. I dlatego to w dzień ten stawia się jądło na mogiłach. Zwyczaj ten tak dalece jest powszechnym, że jak się o tém ze zbioru pieśni Żegoty Pauli dowiadujemy, istnieją nawet osobne śpiewane przytém obrzędowe pieśni od mogił „mogiłkami“ zwane. W Pradze czeskiej, zupełnie jak w Krakowie, gromadzi się dotąd lud w drugie święto Wielkanocy na *Morani* (*Morana* czyli *Marana*, w mitologii słowiańskiej tyle co śmierć, zima ustępująca wiosnie), gdzie u pogańskich grobów tłucze jaja i ciska niemi. Gdziekolwiek zaś obchód ten nie został z wielkanocnymi świętkami połączony, przypada tam zawsze na pierwsze dni wiosny, a więc mniej więcej na

22 marca. W obec téj daty nie od rzeczy tu będzie zwrócić uwagę na to, że kościółek, który według świadectwa naszego Dąbrówki, już w wieku XV stał i dziś jeszcze stoi na górze Lasoty, (na Krzemionkach) u stóp kopca Krakowego, poświęconym został Świętemu Benedyktowi, którego pamiątkę kościół obchodzi 21 marca. Szczegół ten wskazuje dowodnie, że i krakowską Rękawkę święcono niegdyś z pierwszym dniem wiosny. Taka kalendarzowa wskazówka rzadko kiedy omyli, a jako świadectwo starożytności obchodu więćej ma wagi niżby mieć mogły wszelkie bajania kronikarzy. Znanym jest bowiem powszechnie w średnich wiekach przez duchowieństwo wszędzie praktykowany sposób wykorzenia resztek czi pogańskiej, przez złączenie z dniem i miejscem pogańskiego obchodu pamięci jakiegokolwiek patrona kościoła.

Konkludując zatem nasze nad Krakiem uwagi, ze względu na wszystkie opowiedziane wyżej okoliczności, nie możemy nie uznać w krakowskiej Rękawce starożytnego wszechsłowiańskiego na cześć zmarłych przodków wiosennego obchodu; skoro zaś w samej nazwie Krakowa niezbite istnienia Kraka mamy świadectwo i innych legendowych o jego życiu szczegółów odrzucić nie jesteśmy w stanie: dlaczegożbyśmy, pytam, z podaniem upatrującem w obchodzie Rękawki cześć Kraka, cześć zmarłego rodzica i dobroczyńcy krakowskiego ludu, zgodzić się nie mieli? Historia wszelką tradycję zawsze za dobrą monetę brać musi dopóty, dopóki się nie wynajdą dowody przeczące.

A teraz zwróćmy się do córy Kraka, do Wandy. Co do jej dziejów, różnią się trzy nasze kronikarskie wersje między sobą tak zasadniczo, że się z nich nie da nawet jednej wspólnej osnowy dla powieści naszej wyciągnąć, jaką nam co do Kraka tak łatwo wykazać przyszło. U najstarszego Kadłubka bowiem, Wanda umiera spokojnie na tronie, u Boguchwała i Dąbrówki topi się w nurtach Wisły. Mieliśmy już sposobność zauważać, jak ta śmierć Wandy u Boguchwała tak całkiem niespodzianie i bez przyczyn, powiemy nawet bez żadnego związku z powieścią jest wprowadzona. Już to samo źle bardzo przemawia za podaniową autentycznością tego szczegółu, a cóż dopiero powiemy, kiedy zajrzawszy w nasze teksty ujrzemy jak na dłoni w téj gwałtownej śmierci królowny nie co innego, jak prózną robotę kombinującego i dopełniającego wypisywacza Kadłubkowego, i to żadnego innego jak tego, którego kronikę znamy pod imieniem Boguchwała. Śmierć Wandy w nurtach Wisły wymyślił Boguchwał, jest to pewnik tak niezawodny, że przyjmować ten szczegół w rozbiórce dziejów naszych dziś jeszcze za podanie ludowe, byłoby tylko śmiesznością. Oto jak rzecz się ma. W dzisiejszym tekście Kadłubka, mówię wyraźnie w dzisiejszym, bo o pierwotnym jeszcze tu pomówimy, włożone są w usta zrozpaczonego oporem wojska swego niemieckiego księcia następujące słowa: „Wanda niech morzu, ziemi i powietrzu rozkazuje, Bogom nieśmiertelnym Wanda

niechaj za swoich składa ofiary (*diis immortalibus Wanda pro suis victimet*) i ja za was, o wodzowie moi, uroczystą piektu hostyę słubuję (*solemnem inferis hostiam devoveo*) abyście wy i wasi potomkowie zestarzelisię pod rządami niewiasty.“ Po tych słowach następuje w tekście Kadłubka krótki opis samobójstwa nie- szczęsnego ksiąźęcia. Przyzna każdy, że przytoczona tu przemo- wa dziwnie jest niejasną i niedorzeczną, sens w niej chyba tylko taki skleić się daje „*Solemnem inferis hostiam devoveo*“ i t. d. stoi za zamiast: błagam bogów piekielnych, czynię bogom piekiel- nym uroczyste śluby, aby i t. d. te zaś bogi piekielne „*infera*“ od których czegoś złego dla swoich żąda ksiąźę, przeciwstawione są tu owym „*diis immortalibus*“ od których Wanda ofiarami swemi („*pro suis victimando*“) wieczną pomyślność dla swoich chce wybła- gać. Słowa te fałszywie zrozumiał wypisujący Kadłubka Bug- uchwał, a zastosowawszy raz „*solemnem inferis hostiam devoveo*“ nie do przekleństwa ksiąźęcia ale do jego samobójstwa, należało téż koniecznie równie fałszywie pojętym wyrazom „*Wanda pro suis victimet*“ odpowiednie dać zadosyć uczynienie. I oto zkąd w kronice Boguchwała wzięta się owa z upodobaniem potem na wszystkie tony powtarzana niewczesna bajka o śmierci Wandy, której Długosz już nawet nie tylko „*sponte*“ (dobrowolnie) jak Bo- guchwał, ale dokładniej i dobitniej „*ex ponte*“ (z mostu) w Wisłę skoczyć kazał.

Ale rozprawivszy się z Boguchwałem, musimy sięgnąć i da- léj. Oto wpatrzmy się tylko dobrze w *dzisiejszy* tekst Kadłubka, w którym jak to już wiemy są także rzeczy niejasne i źle umoty- wowane. Twierdzimy i to z przeświadczeniem najgłębszem, że dla nieuprzedzonych wystarczy już jednorazowe uważne odczyta- nie tego tekstu, aby się przekonać, że cała cudacka powieść o księ- ciu Allemanów jest w kronice Kadłubkowej tylko wtętem później- szym, a tak widocznym i źle przyszytym, że zaiste nie wiemy, co nam tu więcej podziwiać, czy bezmyślną niezręczność nie prozno- nego dopełniacza, czy téż raczej niepojętą nieuwagę wszystkich późniejszych badaczy krajowych i zagranicznych.

Oto przebieg powieści o Wandzie wedle dzisiejszego tekstu Kadłubka.

„Tak wielkiem było do zmarłego Kraka — powiada nasz kronikarz — przywiązanie senatu, panów i całego ludu, że jedy- ną jego dziewczkę („*unicam ejus virgunculam*“ oczywisty w tekście Kadłubka polonizm) której Wanda było na imię, do władzy ojco- wskiej wynieśli. Tu następuje opis przymiotów i wdzięków Wan- dy, zakończony słowami: „Albowiem najdoświadczeni zdumie- wali się nad jęj rozsądkiem i *najzaciętsi wrogowie miękli* na jęj wi- dok.“ „*Nam et prudentum consultissimi ejus stupebant consiliis et hostium atrocissimi ejus mansuescebant aspectu.*“ Po tych dopie- ro słowach następuje ów wtęret, do którego asumpt widocznie z te-



go ostatniego orzeczenia: „et hostium atrocissimi ejus mansuescebant aspectu“ powziął interpolator. Zaczyna się ten wtęty od wyrazów: „Unde quidam Alemannorum tyrannus, dum“ etc. (gdy Polskę napada w chęci zdobycia ręki Wandy i jój państwa) „inauditā quadam (Wandae) virtute prius vincitur, quam armis.“ Poczém następuje znany opis oporu wojska, przemowa księcia i to wszystko zakończone słowami: „Dixit et exerto nicumbens mucroni expiravit.“

Vitaque cum gemitu fugit indignata sub auras.“

Tym Wirgiliuszowym hexametrem kończy się interpolacya, bo czytamy dalej wcale niespodziane: „Ab hoc Vandalum flumen dicitur nomen sortitum“ i t. d. „bo rzeka ta środkiem jój państwa płynęła. Ztąd téż i poddani jój Wandalami nazwani zostali. Ta iż wszelkim związkim małżeńskim wzgardziła, przenosząc nadeń stan dziewiczy, umarła bezpotomnie“ i t. d. Jak doskonale rozsunięte przez interpolowaną anegdotę oba końce pierwotnego tekstu po nad nią się schodzą i szczelnie zamykają, przekonać może proste odczytanie tekstu Kadłubka z pominięciem słów: „Unde quidam Lemannorum tyrannus i t. d.; wówczas nietylko w nim żadnej luki dopatrzeć nie można, ale przeciwnie wszystko się z lepszym sensem skleja. O takim tekście Kadłubka nie mógłby już zaiste powiedzieć Naruszewicz, że jest co do dziejów Wandy „zbiorem dzikich z sobą nie zgadzających się, a nadto niezrozumianą łaciną bardziej jeszcze zaćmionych powieści,“ tak, że nawet Boguchwał „co do sensu, choć nie co do rzeczy, jest od niego jaśniejszym.“ Powtarzamy więc raz jeszcze, rzecz niepojęta, że ze wszystkich badaczy polskich i zagranicznych, co to miejsce czytali, jednego tylko Lelewela uderzyła rażąca jego nieskładność, a mianowicie ów nagły zwrot zaimkowy do Wandy, po nieudatnym opisie niefortunnej przygody księcia Alemanów. Ale i Lelewel poprzestał tu tylko na prostej uwadze: „Ab hac rozumiem *Vandalorum natione*, wszakże prostsze i lepsze powszechne rozumienie, *ab hac regina Vanda*.“ Nie naszą tu jest rzeczą ani po naszych siłach wdawać się w dokładny rozbiór krytyczny tekstu interpolacyi, aby i z wewnętrznych względów dowieść jego fałszywości, nauka niezawodnie tém kiedyś się zajmie i wykazać potrafi, kiedy i jak w Kadłubkowym tekście mogła się wziąć taka łątka; nam wystarczy zaznaczyć fakt, że tekst Kadłubka jaki się do nas dostał, jednogłośnie wszystkich uczonych zdaniem bardzo jest zmieniony i zepsuty, że najstarszy znany dziś kodeks jego kroniki pochodzi dopiero z XIV wieku, że wreszcie pomiędzy śmiercią Kadłubka (1223) a jego wypisywaczami Dierzwą i tak zwanym Boguchwałem żyjącym w końcu XIII wieku lub nawet już w XIV wieku, u których owo interpolowane miejsce już jest przepisane, upłynęło dość czasu, aby interpolacya dokonać się mogła.

Rozprawiliśmy się zatem, jak się nam widzi, stanowczo z bezimiennym jeszcze u Kadłubka i Boguchwała Wandy kochan-

kiem. Tymczasem u Długosza przybyło mu imię i dowiadujemy się, że się zwał: „Rithogarus.“ Nazwa ta jednak z nieba mu nie spadła, a na ziemi jój źródło wykazać nie trudno. Żyjący oto w VI-ym wieku po Chr. historyk grecki Prokopis z Cezarei, w dziele swoim *de bello Gothico* podaje ze współczesnych mu dziejów powiastkę, podobną do zmyślonych przygód naszej Wandy, tylko na odlew. Królowa Brytańska bezimienna zmusza tam siłą oręża królewicza Warnów *Radigera* do zawarcia z nią ślubów małżeńskich. Królewicz Radiger zatém, to niechybny patron naszego Rithogara czy téż Rytygiera.

Po odrzuceniu więc wszystkich doczepek i spekulacyjnych bredni, z całego podania o Wandzie zostaje tylko to, że Wanda panowała w Krakowie po Kraku, którego była córką, że umarła niezamężną, że Wisłę od niej Wandalem nazwano i że od jój czasów Polacy téż Wandalami się zowią.

To ostatnie, że Polacy od Wandy mają nazwą Wandalów jest zresztą jeszcze także własną tylko kronikarza uwagą, którą do jój właściwej wartości zredukować nie trudno. Trzeba wiedzieć, że według ogłoszonego z końcem XII wieku, a jeszcze w XVI wieku od wielu uczonych za pewnik uważanego mniemania, Polacy a Wandalowie starożytni, to jedno i to samo. Na utwierdzenie tego mniemania złożyło się wiele okoliczności. Słowianie Zachodni, a więc i Polacy, znani byli Niemcom od wieków pod nazwą Wandów, kraje zaś zamieszkiwane niegdyś przez historycznych Wandalów, zdawały się téż uczonym owoczesnym w stronie Polski leżeć; prócz tego obiegało w pismach tamtoczesnych mnóstwo drobnych i bezzasadnych wprawdzie, niemniej jednak chciwie wszędzie powtarzanych szczegółów, które w oczach zaciekawionych a niezających krytyki pisarzy owego czasu tożsamość Wandalów i Polaków niezbitcie wykazywać się zdawały. Wspomnieliśmy już o owym Fredegarowym Kroku królu Wandalów, któremu k'woli nasz polski Krak u mnicha Alberyka wybrać się musiał na początku V wieku z Alanami do Galii; otóż w imieniu Kadłubkowej Wandy przybywało średniowiecznemu uczonemu światu nowe potwierdzenie niewątpliwego Polaków od Wandalów pochodzenia, a sam Kadłubek czuł się szczęśliwym, znajdując w tém imieniu tak łatwe i proste dawanój Polakom nazwy wytłumaczenie.

Inaczej rzecz ma się jednak z resztą oczyszczonego tekstu Kadłubka, żadnego już tam szczegółu sprostować, żadnego wyrazu wyrzucić nie jesteśmy w stanie, nie pozostaje nam więc, jak przyjąwszy słowa jego z dobrą wiarą, zająć się badaniem ich znaczenia i treści.

„Ab hac Vandalum flumen dicitur nomen sortitum, quod ejus regni centrum extiterit.“ Że tu nie może być mowa o innój rzece jak o Wiśle, jest rzecz oczywista, poświadczają to zresztą późniejsi kronikarze, jak Dzierżwa, Boguchwał, Długosz, a nawet i tacy epitomatorowie Kadłubka, jak obaj szląscy dziejopisarze, którzy wszyscy bez wyjątku i wyraźnie podają, że to Wisła miała na-

zwę od Wandy. Ze szczegółem tym u Kadłubka nie począć się nie da, a jest on tém bardziej uderzającym, że jak wiadomo, pisarz ten nie zna jeszcze wcale baśni o utopieniu się królowny w Wiśle, że przeto Wisłę z Wandą żadna jeszcze u niego zewnętrzna nie łączy okoliczność. Wiadomości téj Kadłubek wymyślić nie mógł, bo cóżby był za cel takiego wymysłu? Na wytlómaczenie, dlaczego Polaków zwano Wandalami, wystarczyło mu już samo imię królowny, zkądby mu więc przyszła jeszcze potrzeba i myśl przezywania Wisły? Ale już to samo, że podając nazwę rzeki Wandala nie potrzebował dodawać wyraźnie, że Wisłę przez nią rozumie, powinno być dostatecznym dowodem, że Kadłubek nazwy téj sam nie wynalazł, i że była znaną za jego czasów. O ile mi wiadomo, nikt jeszcze z dotychczasowych badaczy na ten ciekawy punkt tekstu Kadłubka należytej uwagi nie zwrócił, nikt jeszcze nie próbował wyjaśnić tajemnicy, jaka w téj podwójnej nazwie rzeki Wisły leży. A jednak warto się nad tém zastanowić, niezależnie bowiem od naszych kronikarzy, którzy wszyscy za Kadłubkiem szczegół ten powtarzają, posiadamy o nim inne, wiarogodne i niezbite społeczne świadectwo, wykazujące, że było w XIII wieku przynajmniej w świecie uczoném powszechném mniemaniem, że Wisła niegdyś zwała się Wandalem. Wandalem, czy coś koło tego, u piszącego bowiem w ostatnich latach w wieku XIII Dzierzwy czytamy nawet (1): „*Wanda a Wando* (nie Wandalol!) *scilicet flumen Wisla*,” wprawdzie może tylko w skutek błędu przepisywacza. Jedno bardzo ciekawe i bardzo ważne, bo o cały lat dziesiątek od kroniki Kadłubka starsze świadectwo o tém, nie przytaczane dotąd, udało się wykryć w słynném dziele średniowiecznej erudycyi, napisaném przez Gervasiusza z Tilbury i zatytułowaném przezeń „*Otia imperialia*.” Świadectwo to brzmi: „*Porro inter Alpes Huniae* (Hunnowie tyle co Węgry, mowa więc o Karpatach) *et oceanum est Polonia, sic dicta in eorum idiomate quasi Campania, que a Vandalo flumine suo terra dicitur ut ab ipsis indigenis accepi Vandalarum*” (2). Świadectwo to jest niemałej wagi, autorem bowiem jego jest człowiek jak na owe czasy niesłychanie uczony, niesłychanie obyty i czynny, któremu wysokie społeczne stanowisko i rzadka życia ruchliwość ułatwiały niezmiernie znajomość ludzi i krajów. Gervasiusz z Tilbury rodem był z hrabstwa Essex w Anglii, życie swe spędził na dworach panujących i na przejazdach z jednéj stolicy europejskiej do drugiej. Znano go w Anglii w blizkich z Henrykiem II i Ryszardem Lwie serce stosunkach, we Francyi był powiernikiem Ludwika VII i Filipa Augusta; we Włoszech wykładał w Bononii prawo kanoniczne i służył u Wilhelma

(1) Cytat powtórzony z Lelewela czy z Bielowskiego (Wstęp krytyczny) - nie pominę.

(2) Gervasiusz Tilberiensis ap. Leibnitz, *Scriptores Brunswicensis illustrantes*. T. II, p. 764 s. t. *De Europa a parte Septentrionis*.

króla Sycylii: nareszcie za sprawą Ryszarda Lwie serce zbliżywszy się do młodego Welfa Ottona, syna Henryka Lwa, przystał do jego orszaku i był jego zausznikiem i doradcą, gdy tenże w roku 1198 na cesarstwo niemieckie wyniesiony został. Ku nauce więc i zbudowaniu pana swego, którego niedługie panowanie ciągnął z Inocentym III i Hohenstaufami było walką, napisał nasz Gervasius około roku 1211 owe zacytowane przez nas „*Otia imperialia*.“ Dzieła tego nie można nazwać ani kroniką, ani porządną historią. Gervasius opowiadając w niém po krótkce koleje wszystkich państw świata poczynawszy od Noego, chciał panu swemu dać niejako obraz swojego zapatrywania się na wielki problemat wieku, stosunek wzajemny obu władz, świeckiej i duchownej. Przytoczoną przez nas geograficzną o Polsce wiadomość powziął Gerwazyusz niezawodnie z ust uczonych podróżników polskich z którymi w Rzymie i na dworze cesarskim spotykać się musiał. Zresztą sam on to nam poświadcza w słowach: „*ut ab ipsis indigenis accepti*“ Drugie niezależne od Kadłubka i kronik świadectwo, jest z lat późniejszych. Znajdujemy je w przywileju nadawczym Bolesława Wstydliwego dla klasztoru Benedyktynek w Staniątkach pod Krakowem, pisany w Sandomierzu, w roku 1254. W przywileju tym czytamy słowa: . . . „*et ville ipsi Stanetek pertinentes in eisdem terminis constitute, cum vinea et cum portu urbente (virbentae) nuncupatum (sic) super fluminum Wandatum, a uulgo Wisła nominatum, et cum ripa flunii nominati*“ (1). Te świadectwa zestawivszy z Kadłubkowem o Wandzie podaniem otrzymujemy dla wyjaśnienia go fakt pewności niezbitej i niepośledniej wartości, a to, że Kadłubkowa Wanda jest pojęciem jak najściślej z rzeką Wisłą się łączącym, co téż niepospolicie ułatwić musiało powstanie kronikarskiej baśni o utopieniu się w niej królowny.

Zyskawszy ten pewnik nie na drodze przypuszczeń i domysłów, ale na podstawie niezbitych świadectw historycznych, badamy dalej ten Wandy z Wisłą stosunek, a najprzód co do pojęcia ukrytego w nazwie: Wanda. Wanda być musi brzmieniem niestychanie starożytném, kiedy go już Boguchwał nie rozumiał i dla wytlómaczenia nazwy pięknej królowny do owego tak niewczesnego konceptu z wędą czyli wędką uciekać się musiał. Wyjaśnienia tego brzmienia szukać należy w innych indoeuropejskich językach, a mianowicie w skandynawskim *Wanda* tyle co woda (po duńsku podziśdzień *vand*), litewskim *wandù*, łacińskim *unda*. Wiadomo, że nazwy rzek u wszystkich ludów bez wyjątku prawie dają znaczenie pierwotne wody, płynącej wody, albo téż co najwięcej bystro płynącej wody. I tak naprzykład w szląskiej Odrze odnajduje się sanskryckie *udra*, tyle co woda, litewskie *audra*, fluctus, może téż i greckie *υδωγ*; Wisła to według Szafarzyka tyle co starożytna Dunaju nazwa *Ister*, z przydechem *Hister* czyli *Wister*

(1) Zob. Muczk. i Rzyszcz. Cod. dipl. Pol. III, 59.

tyle co bystry. W nazwie rzeki Narew i starój Litewskiej nazwie Willi *Narys* albo *Nerys* tkwi sanskrycki pierwiastek *nara*, woda, polskie nur, nurt, nurzać się. Czeska *Vetava* rozpada się na pierwiastki *Vlet-ava*, a te w sanskrycie dają znaczenie ruszającej się wody (*vlet*-równa się łacińskiemu *fluctus*, *ava*-aqua). To samo znaczą dzisiejsza niemiecka *Fulda* czyli *Fuldaha*, to samo obie rzeki znane pod celtycką nazwą *Is-ara* i t. d. i t. d. Tegoż samego więc rodzaju nazwa *Wandy* mogła kiedyś przystać i *Wiśle*. Ten sam pierwiastek zachował się nam też najwyraźniej i w drugiej polskiej nazwie miejscowej i to nazwie jeziora. W powiecie Wałeckim w Poznańskim jest jezioro zwane po dziś dzień *Wandal*, a zadokumentowane w tej nazwie już pod rokiem 1295 (1); *Wandal* zaś jako forma językowa, tak ma się do *Wandy*, jak *góral* do *góry*, jak *Moskal* (*Moskwal*) do *Moskwy*. Możemy więc, myślę, śmiało teraz powtórzyć, *Wanda*, to nie co innego jak *Wiśła*. A jednak, tego nam jeszcze nie dosyć. Bo jakże, przyjąwszy to raz za pewnik, wyłómaczyć potrafimy to drugie, że *Wiśła* wcale nie pod tą niby tak starożytną nazwą *Wandy* lub *Wandala*, ale właśnie pod dzisiejszém swém mianem znaną jest tym, co nam o nię najstarsze podają wieści. *Visula*, *Vistillus*, *Vistula* *Ουιστουλα*, *Bisula*, *Visella*, *Visla*, czytamy u greckich i rzymskich pisarzy pierwszych V-ciu wieków po Chrystusie, a polski przywilej z roku 1065 (2) zowie naszą rzekę już *Wiśłą*, tak jak my dziś mówimy. Fakt ten wprawdzie nie jest w stanie zniszczyć tak stanowczych świadectw naszych o nazwie *Wandy* lub *Wandala*, niemniej jednak domaga się wyjaśnienia. Ale wyjaśnienie to daje nam sama nasza legenda. „We wszelkiem podaniu ludowém—powiedział *Jakób Grimm*—tkwi *mythos*, czyli wiara w bóstwo, która w stopniowaniach bez końca przechodzi dziedzictwem od narodu do narodu.” Słowa te *Grimma* stały się dla dzisiejszej nauki historycznej zasadą, dziś już nikt nie wątpi, że tam gdzie mamy istotne, szczerze podanie ludowe, a nie spekulacyjną igraszkę słów, nie etymologiczną zabawkę; tam tkwi niechybnie pierwiastek mitologiczny, to jest—część bóstwa. W powieści o królowej *Wandzie* posiadamy właśnie takie prawdziwe, z czystego źródła płynące podanie; *Wanda* więc, to tyle co *Wiśła*, ale *Wiśła* w języku obrządku, *Wiśła* pod ogólniejszą nazwą wody, przedmiot czci *Słowian* nadbrzeżnych, a *Słowianie* przeciw słyną jako wód cziściele (3). Oto zdaniem naszym klucz rozwiązujący zagadkę i godzący z sobą miana *Wandala* i *Wiśły*. A niech kto nie sądzi, że to prosty nasz domysł, uzasadniony tylko potrzebą, jak każdy wy-

(1) Zob. *Mosbach*, *Wiadomości do dziejów polskich z archiwum prow. Szląskiej*. Wrocław, 1860, str. 34.

(2) Zob. *Bielowski*, *Monum. Polon. histor.* I, 359—363.

(3) Zresztą nazwa *Wandy*, jak się zdaje, dawana była *Wiśle* tylko w górnym jej biegu, w podaniowej krainie królowny *Wandy* i *Wandisnej* mogiły. (P. A.)

bieg. Daleko do tego, bo śmiem twierdzić, że mitologiczny element (cześć wody), tkwiący w podaniu o Wandzie, jest faktem nie podlegającym wątpliwości. Wytłómaczmy się bliżej. Znanym jest zapewne wszystkim, odwieczny na całej Słowiańszczyźnie, ba nawet u wszystkich ludów indoeuropejskich rozpowszechniony zwyczaj pogański, święcenia uroczystego owęj czerwcowej nocy, która kończy najdłuższy dzień w roku, dzień, w którym słońce najwyżej po nad widnokrąg się wzbija i najdłużej też przyświeca. Wiadomo, że znaczeniem tego święta jest święcenie radosne najwyższego dnia nad nocą tryumfu, cześć dobroczynnego żywiołu, co świeci i ogrzewa. Wiadomo dalej, że z tą czią słońca najściślej się łączy pewna cześć wody, to jest według pojęć mitologii słowiańskiej, cześć elementu płodzącego i życiodajnego, z połączenia się którego z ogniem, czyli ze światłem i ciepłem, poszło całe przyrodzenie. Słońce, według pojęć słowiańskich, zachodząc, zanurza się w morze, o wschodzie zaś, oczyszczone, powstaje z kąpeli. Ztąd też święto letniego przesilenia jest przedewszystkiem także świętem wody, świętem oczyszczenia. Ludzie tej nocy wychodzą w pole, skaczą przez ogień, wypatrują nad rankiem wschodu słońca, a skoro to zajaśnieje, idą się kąpać, dopełniając przez to jakby oczyszczenia przez wodę. Ztąd też obchód na cześć słońca, nosi na Rusi nazwę kąpeli co się zowie, to jest *kupała* czyli *kpadła*. Nigdzie może jednak za czasów pogańskich ognie Ś-to-jańskięj nocy nie jaśniały tak gęsto i jasno, jak na górném Powiślu, Krakowskiém i Szląskiem. Do dziś dnia znają tam jeszcze obchód Sobótek, a z nim łączy się niezapomniana też dotąd, owszem miejscami nawet coraz świetniej obchodzona zabawa puszczania wianków po Wiśle, w której zgodnie z wykazanym tu między świętem słońca a wodą związkiem, tkwić musi niezawodnie prastara cześć Wisły, czyli prastara cześć, użyjmy tu wyrazu Klonowicza, „Wandzinęj wody”. W okolicach Krakowa musiała ta cześć Wisły czyli Wandy, w nocy Ś-tojańskięj od czasów niepamiętnych, mieć punkt środkowy i główne siedlisko tam, gdzie podziśdzień u ujścia Dłubni do Wisły wznosi się wysoki kurhan zwany Wandy mogiłą. Z kronikarzy naszych wprawdzie Jan Dąbrówka, najpierwszy około połowy XV go wieku, wyraźnie o mogile Wandy donosi. Posiadamy jednak już o niej wskazówki o wiele starsze. I tak, gdy u piszącego ku końcowi XIII-go wieku Dzierzwy czytamy słowa: „*nam et mons de quo oritur dictus fluvius Wanda ab ejusdem nomine vocitatur*”, to słowa te w żadnej mierze do Baranięj góry w Beskidach, zkąd Wisła bierze swój początek, odnieść się nie dadzą. Dzierzwa zaś słyszał prędjéj o wzgórzu, czyli też mogile Wandy u ujścia Dłubni do Wisły, a nieobeznany bliżej z miejscowością, mylnie do Karpat je przeniósł. Ale ciekawsze jeszcze i o wiele więcjéj dla naszego przedmiotu pouczające są okoliczności, które towarzy-szyły założeniu na początku XIII wieku, dotąd u kopca Wandy

istniejącego opactwa Cystersów. Z wydanéj przed pięciu laty staraniem Towarzystwa Naukowego Krakowskiego monografii klasztoru mogińskiego, dowiadujemy się, że opactwo to, założone w roku 1218 przez Wisława, hrabi na Prandocinie, z woli fundatora pierwotnie stanęło gdzieindziej, w Kacicach pod Prandocinem, i że dopiero w osiem lat później, *za poradą kapituły krakowskiej* przez biskupa Iwona Odrowąza do Mogiły pod Krakowem przeniesioném zostało. Zwało się ono odtąd „klaszturem Sławnej Mogiły,” po łacinie: „monasterium Clarae Tumbae.” Przeniesienie to musiało mieć tém ważniejsze przyczyny, ile że wybór Mogiły w pobliżu gwarnéj stolicy zadawał niejako gwałt regułom zakonu, który zwykł był najustronniejsze i najbardziej odludne wyszukiwać miejsca. Przyczyny te jednak odgadnąć nie trudno; kapituła krakowska i biskup, osadzając Cystersów u kopca Wandy, nie innemi powodowali się względami, jak temi, które kierowały myślą założycieli kościołka S-go Benedykta u mogiły Kraka. Chciano przywiązany do téj drugiey mogiły obyczaj pogański w chrześcijański przemienić, wyzyskać wierzenia pogańskie dla wiary Chrystusowéj (1). Nie z innych téż powodów zapewne, *wybrano*, jak to w dziejach opactwa czytamy, *na uroczystość poświęcenia nowego kościoła dzień obrzędowy pogański, dzień S-go Jana Chrzciciela*, to jest dzień następujący po owéj nocy, w której podziśdzień w okolicach Krakowa płoną ognie Sobótek, pływają wianki po Wiśle. Obrządek pogańskiej kąpieli, obchód kupała, miał odtąd zlać się i połączyć z pamięcią chrztu chrześcijańskiego, ku większéj chwale patrona, który niegdyś chrzczył wodą Jordanu. Z tém wszystkiém czy nie w zadziwiający sposób kwadruje okoliczność, że *w kalendarzu imion słowiańskich, imię Wandy figuruje pod dniem 23 czerwca, w wilią S-go Jana!* (2) że *przeto pogański obchód wody czyli Wandy, poprzedza bezpośrednio święto chrześcijańskiego Chrzciciela. Takich dowodów zaiste, nikt już dziś lekceważyć nie będzie.*

Mniemam, że kończąc tę naszą o Kraku i Wandzie rozprawę z tą odejść możemy pociechą, że chociażśmy co do Kraka nic sta-

(1) Nazwa zresztą łacińska „Clara Tumba” jest ooczywistą kopią nazwy „Clara Vallis” (Clairvoux), którą Ś-ty Bernard nadał był na sto lat przedtém założonemu przez się, a wkrótce tak słynnemu po całym świecie chrześcijańskim, klasztorowi Cystersów w Szampanii, w dzikiej górskiej dolinie, która, zanim na miano „światnéj i sławnej” zasłużyła, była, jak nie sie podanie, złowrogim legowiskiem zbójców, podobnie jak krakowska Mogiła przed sprowadzeniem do niej zakonników, gnieździła tylko „brzydki, nieczysty” obrządek pogański. (P. A.)

(2) Ciekawą byłoby rzeczą docieć, w jakim czasie ułożone zostały w porządek dni roku „Imiona Słowiańskie”, które się dziś zazwyczaj drukują w naszych kalendarzach. Dałoby to interesującą chronologiczną wskazówkę o tém, jak długo świadomość i pamięć pogańskiego obchodu Wandy trwała w narodzie. Jakby do téj wskazówki trafić i gdzieby jéj szukać, niewiemy. (P. A.)

nowczego wybadać nie mogli, tośmy przynajmniej co do Wandy zyskali tę pewność, że nikt dziś znający wszystkie z tém podaniem w związku będące okoliczności i szczegóły, zaprzeczyć nie potrafi tej prawdzie, że Wanda to nic innego, jak stare miano Wisły w obrządku pogańskim okolic Krakowa. Ze powieść gminna późniejsza, z czasów kiedy wyobrażenia pogańskie zacierać się zaczęły, z nazwy rzeki upleść mogła baśń o pięknej, dziewiczej królownie, której ojcem był ten, co Kraków zbudował, możeż to być dziwném? Zaiste, komu choć raz w życiu wolno było rzucić okiem w tę czarującą dolinę, gdzie Wisła jasną wstęgą Wawel opasuje, ten poczuł i zrozumiał prostą przenośnię ludowej powieści.

AMALIA.

USTĘP Z WOJNY DOMOWEJ

W RZECZYPOSPOLITEJ ARGIENTYŃSKIEJ

p. D. José Marmol.

Przekład z oryginału hiszpańskiego.

(CZĘŚĆ CZWARTA).

I.

16 Sierpnia.

Dochodziła dopiero piąta godzina z rana. Ani jedna gwiazda na widnokręgu nie świeciła, a wschód grubą nocną oponą przysłonięty, nie zaczął jeszcze rozwijać szkarłatnego zorzy rąbku.

Trzy niewyraźne postacie, niby trzy mary Hoffmanna fantazyi, staniały się przy ścianach i pod oknami willi na Barakach, wewnątrz głównego dziedzińca przegrodzonego, jak wiemy, kratą żelazną. Furtka u kraty była przetwarta, rzecz niewidziana o podobnej godzinie, od czasu owój smutnej nocy, od której zaczęliśmy niniejszą opowieść.

— Z pewnością niema nikogo. Choćby wielmożny pan do ranka czekał, nie ujrzy ani świata, ani żywego ducha, — mówił głos

dziewczęcy, bez najmniejszej tajemniczości, jakiej zdawała się wymagać godzina tak ranna.

— Gdzież się u licha podzieli? — zawołał głos mężki z wyrazem zniecierpliwienia i wściekłości.

— Jak wielmożnemu panu mówiłam, wyjechali przed wczoraj i dotąd ich niema. Patrzyłam jak odjeżdżali. Donia Amalia wsiadła do powozu z małą Luizą, stary Pedro za woźnicę, a za lokaja mulat, który posługiwał. Wyniosła z domu dwie klatki z ptaszkami i wstawiła w powóz, a więcej nic nie zabrali. Zostali tylko dwaj murzyni, którzy śpią w willi.

Znów cisza nastąpiła. Jedna z trzech tajemniczych postaci ją jeszcze biegać od jednego drzwi do drugich, od okna do okna, czy nie dojrzy gdzie jakiego światełka, czy nie dosłyszysz szelestu, któryby obwieścił bytność jakiegś żyjącej istoty w tém opustoszałym mieszkaniu. Lecz napróżno! rozlegał się tylko odgłos jego własnych stąpań, i szum topoli kołysanych ostrém powietrzem zimowej nocy.

Na chwilę widmo podniosło rękę jakby wymierzając raz pięścią w kryształowe szyby okna w sypialni Amalii; lecz ją opuściło, i powróciło na miejsce gdzie się znajdowały dwa drugie.

— Panie komendancie, rychło świtać będzie, a pan wiesz że eskorta wyrusza przededniem.

— Dobrze, poruczniku, wracamy: dziękuję za towarzystwo.

— Senior de Marinio, wydałam na dorobiony klucz wszystko co dostałam od pana, i nie mam czém obdzielić tamtych w domu.

— Masz, a daj mi święty pokój.

— Ileżto?.. co najwięcej pięć *pesos*! — mówiła handlarzka podrabianych kluczków, wyprzedzając komendanta Marinio i porucznika ze szwadronu eskorty.

Gdy przeszli przez żelazną kratę, Marinio zamknął ją i klucz schował do kieszeni. I wnet dwaj federaliści zostawiwszy swoją koleżankę w federacyi przed szynkownią przyległą willi, wsiadli na konie i pocwałowali ku miastu, jeden do koszar straży nocnej, drugi do głównej kwatery szwadronu eskorty Jego Ekscellencyi.

II.

Zaledwie tam na widnokręgu wielkiej rzeki zabieliła fale smuga jasności, jakby lekki nadziei uśmiech wśród czarnej nocy nieszczęścia. Jutrzenka się zbliżała.

Niedługo jeszcze, a wszystko z wyjątkiem człowieka, zleje się w harmonię ze światłem, pośrednikiem pomiędzy Stwórcą, a naturą. Harde rumaki *Pampy* naszej potrząsną dumną głową i dzi-

kiem rzeniem roztrąca ciszę tych bezludnych obszarów. Nieuskromiony byk zginając w kabłąk swój kark barczysty, pobiegł gasić nigdy nie nasycone pragnienie w zlodowaciałych wodach naszych strumieni. Ptastwo nasze południowe, od zwrotnikowych mniej świetne, lecz potężniejsze lub tkliwsze, z gniazd swych wyfrunie na szczyty starych *ombu*, lub kolczastego aloesu, dla powitania najpierwszych jutrenki brzasków. A skryte wśród koniczyn i lucerny srebrzystymi perłami nocy przystrojonych, potulne stokrocie, zaczną roztwierać listki ponsowe, białe i żółte, ażeby, jak cnota przejrzeć się w niebios świetle, gdyż ziemskie światło nie dochodzi tak do nich jak do niej. Przyroda cała z wyjątkiem człowieka, bo chwila nadeszła kiedy słoneczne światło w nieszczęsnem Buenos-Aires służyło na to jedynie, by jawniej się uwidomiła czarna zło-wroga noc jego żywota: w strasznych tych ciemnościach szamotały się z sobą nadzieje i zawody, cnota i zbrodnia, rezygnacya i rozpacz . . . !

W mieście panowała cisza grobowa !

Jednotonny turkot ciężkich ładownych wozów podążających na publiczne targi, chód robotnika, śpiew mleczarza, dzwonek nosiwody, wszystkie te odgłosy właściwe i charakterystyczne Buenos-Aires o świtanie, od dni kilku nie dawały się już wcale słyszeć. Był to gród opustoszały, cmentarz żyjących, których dusze gościły daleko: jedne w niebiosach nadziei oczekujące zwycięstwa Lavalla, drugie w piekle zbrodni, spodziewające się tryumfu Rozasa.

Na jednym tylko gościńcu wybiegającym z miasta dźwięczały podkowy kilku koni: Don Juan Manuel Rozas wyruszał dla zamknięcia się w warownym obozie *Santos Lugares* o świcie dnia 16 sierpnia 1840 roku. Z miasta wychodził wśród cieniów nocnych, obrachowawszy by za dnia przybyć pomiędzy swoich żołnierzy, którym po raz pierwszy w życiu będzie mógł powiedzieć: *to-warzysze!*

Eskorta jego miała rozkaz wyruszenia o godzinę później.

Nic bardziej ponurego, bardziej dramatycznego, nic więcćj niepewnego i gwałtownego, jak obraz polityczny rozwinięty na całym wzburzonym widnokregu rzeczypospolitój argentyńskiej.

Staczał się pojedynek na śmierć pomiędzy wolnością a despotyzmem, cywilizacją a barbarzyństwem; i już na polu walki stanęli współzawodnicy z orężem w ręku, gotowi cios sobie zadać ostateczny, a świadkami strasznej walki ludzkość i potomność.

Wszystkich spojrzenia utkwione w ogromne szranki zapasów: gdzie? na całym rzeczypospolitój obszarze.

Generał Paz szedł do Corrientes, do tego Anteusza wolności argentyńskiej, co legł i znów powstał pasując się za bary z dyktaturą Rozasa.

La-Madrid, ten muszkieter Ludwika XIII wskrzeszony w XIX-tym wieku na ziemi naszej, schodził ku Kordubie dla rozszerzenia potężnej ligi północnej.

Lavalle, nasz średniowieczny rycerz, nowy Tankred, krzyżowiec argentyński, postępował pod gród stołeczny, na czele swoich trzech tysięcy legionistów, dzielnych jak stal, jak wolność gorących, natchnionych jak poezya, szlachetnych jak sprawa dla której ojczyznę opuścili, rzucając w nią rozkoszną miękkość i zbytek, a powracając w niedostatku i w twardej szeregowca kapocie.

Zastępy złożone z najukszałceńszej i najpolerowniejszej młodzieży argentyńskiej, pod dowództwem wyborowych oficerów naszej armii: wojsko to samo w sobie streszcza cały dramat i elegię swego czasu. Żołnierze młodzieniaszki bez wąsa, którzy karabin brali nie jako karyerę lecz jako kaptaństwo; którzy szli do boju mówiąc o niebezpieczeństwach i śmierci nie z poetyczną fantazyą ale z poczuciem czystego sumienia; którzy męczeństwo uważali za hołd należny cieniem naszych ojców i przyszlęj wolności ojczyzny.

Po stronie tyranii, Echagüe w *Entrerios*, w Mendoza mnich Aldao, Lopez w *Santa-Fe*, i Rozas w Buenos-Aires, tworzyli cztery kolumny oporu przeciw wtargnięciu wolności.

Na zewnątrz, z Francyi nadeszła wieść nowa o mianowaniu wice-admirała Baudin dowódcą wyprawy zbrojnej do *La Plata*, jak się zdawało postanowionej w celu położenie kresu całemu zawikłaniu. W Bandzie Orentelnej, Jenerał Rivera zabawiający się tańcami i wyprawianiem festynów w swojej głównej kwaterze w *San José de Uruguay*, toastami popierał argentyńską krucyatę.

Co się tyczy ludności Buenos-Aires, oblicze jój było nadzwyczajnem w tej chwili; napiętnowane niepokojem, trwogą: minuta każda ciążyła straszliwie na duchu.

Lavalle szedł na stolicę. Rozas zdawał rządy na Don Arana i wychodził naprzeciwko nieprzyjaciela, a raczj uciekał z miasta do swego obozu w *Santos-Lugares* o dwie mile odległego. Był to rodzaj reduty, okopanej i najeżonej działami. Pułki miejskie, furgony, konnica, i kilka oddziałów poprzednio tu goszczących tworzyły zastęp Dyktatora w liczbie pięciu tysięcy ludzi.

Tymczasem obrona stolicy osobliwszej pieczy powierzona została.

Zalogę w twierdzy stanowiła połowa straży nocnej: wieczorem gromadził się w niej cały sztab główny czynny i nieczynny; sędziowie pokoju, alkaldowie i ich pomocnicy.

Po koszarach, w jednych paręset weteranów, w innych kilkudziesięciu murzynów starych inwalidów, indziej równie małe i nieodężne siły.

Nieliczni obywatele jacy jeszcze w mieście pozostali, nie byli uorganizowani ani nawet zaciągnięci.

Ciało *Mashorki* złożone z około stu zbójców, za nadejściem zmierzchu dzieliło się na bandy po 6 do 8 ludzi, krążące przez noc po mieście. Lecz dotąd nie innego nie spełnili oprócz ścisłego przetrząsania spotykanych na ulicach przechodniów: jeżeli broń przy nich znaleźli prowadzili ich do Salomona, lub lżyli grubiańsko

tych którzy nie byli opatrzeni w wielkie godła, lub w kartkę *członka towarzystwa ludowego*.

Inspektor, generał Pinedo, mianował *dyżurnych*, zawsze kogoś z generałów pozostałych w mieście bez przeznaczenia. Ci w towarzystwie służbowych przebiegali miasto przez całą noc, zwiedzając koszary dla przekonania się o zachowaniu rozesłanych rozporządzeń.

Była to jedna ze zbyt rzadkich chwil federacji, w których jej działwa czuła się skłonną do niezwykłej sobie pobłażliwości; zjawisko to nadzwyczajne przypadło na dni zbliżania się Lavalla ku miastu.

Mashorka, jak już mówiliśmy nie zrobiła użytku ze swój zdrazieckiej broni.

Dyżurni, w swoich nocnych po ulicach przejażdżkach, tu i owdzie stukali do bramy jakiego domu od dawna kłutwą dotkniętego, i troskliwie się dopytywali czy się co nie stało, czy nietrzeba pomocy, lub zapewniali że niema się czego obawiać, i t. p.

Pan wice-gubernator posyłał uboczną drogą pewne ostrzeżenia do pewnych domów, poręczając bezpieczeństwo, opiekę, rze czy nigdy nie słychane.

Po koszarach, najzapaleńsi w czasie, uczestnicy *świąt parafialnych* wzajem sobie wykazywali niezbitém dowodzeniem, jak okropną jest rzeczą nie móż żyć w pokoju, i zmuszonym być do walczenia z *braćmi* . . .

Po drugiej stronie, wszyscy nieprzyjaźni dyktaturze, to jest cztery piąte ludności oświeconej i uobyczajonej, spodziewali się i lękali, mieli ochotę śmiać się, a ucisk serce gnębił. Lavalle się zbliżał: lecz każda rodzina miała syna, brata, małżonka w szeregach oswobodzicieli, a przyjacielska kula mogła w drogą pierś ugodzić; Lavalle niedaleko, lecz nóż *Mashorki* bliższy niż oręż braci!

W sypialniach pozamykane młode dziewice splatały wieńce, haftowały szarfy, z głębi szuflad wydobywały błękitne szaty od lat wielu pochowane, na przyjęcie wybawców. A matki! matki modliły się za synów idących na krwawe boje, drżały o tych co jeszcze w Buenos-Aires pozostali, aby ich nie porwała szatańska *Mashorka*.

Słowem, każda rodzina, każda jednostka była żywym, dotykającym wizerunkiem trwogi, trapiącej srogiej niepewności.

Takim był ten ogromny obraz, który zaledwo ogólnemi szkicujemy zarysami, z końcem pierwszej połowy miesiąca sierpnia, w chwili gdy znów spotkamy osoby znane nam w naszej powieści.

Serca patryotów były zarazem obawą i nadzieją, sercem bohaterów *świąt parafialnych* miotał strach i tylko strach . . . Ach Lavallu! Lavallu! czemużeś nie posłał jednego choćby szwadronu, któryby na placu *Victoria* krzyknął: *niech żyje ojczyzna!* . . .

Lecz nim zamkniemy ten rozdział, wypada nam objaśnić znaczenie napomknionego kilkakrotnie wyrazu *święta parafialne*,

służącego do określenia epoki, której jeszcze innego właściwego nie dano miana.

III.

Nad wieczorem dnia 27 czerwca 1839 roku, na przedpokojach Izby deputowanych, zamordowanym został prezes tejże Izby, Don Manuel Maza.

Komissya nieustająca zgromadziła się. Sprawdzenie lekarskie na trupie dokonane wykazało dwa pchnięcia zadane nożem.

Następnego dnia zebrała się Izba. Czy w celu wyprowadzenia śledztwa o czyn tak niesłychany a spełniony w obrębie jej posiedzeń? Nie: zgromadziła się dla wysłuchania mowy deputowanego Garigos. Prawy ten federalista objaśnił zgromadzenie o prawdziwych przyczynach tak okropnego wypadku. Objawiły się, powiadał on, zbrodnicze zabiegi dążące do zachwiania wierności wojsk federalnych. Głównym sprawcą zbrodni tak ohydnej był właśnie syn prezesa Izby, a niewątpliwie poszlaki nazbyt jawne wykazały współuczestnictwo ojca w knowaniach syna. Tak ciężkie obwinienia gdy doszły do wiadomości publicznej, wzbudzenie ludu przeciw przestępcy objawiły się groźnie, i wówczas prezes widząc się celem nienawiści i zemsty ogółu, uczuł iż mu nie pozostawało nic więcej jak samobójstwem zhańbione dni swoje ukrócić. Szanownej Izbie należy się zatem zdać sprawę z tego tragicznego czynu i z poprzedzających go faktów prześwietnemu Restauratorowi, który wedle swoich widoków nakaże kroki jakie mu jego mądrość podyktuje.

Nazajutrz po niniejszém posiedzeniu, syn prezesa, młody półkownik Maza został rozstrzelanym w więzieniu. Zwłoki starca na wozie od nieczystości stały przed bramą, dorzucono do nich trupa syna i razem ciśnięto w dół cmentarny.

Po tém prerażającym morderstwie prezesa Izby prawodawczej i Trybunału sądowego, cóż się objawiło w mieście Bueno-Aires? oto głos jednogodny podniósł się na okół Rozasa, od wszystkich korporacyj i urzędów publicznych przyklaskujący mordercy. Nawet z kazalnicy w domach Pańskich słowy proroka wołano o uswięcenia dnia tak błędnego i uroczystego, dnia kary ręką Opatrzności na głowy winowajców wymierzonej, kiedy ojciec ich zamiary wykrył Bóg zastępów opiekujący się sprawą słuszności i prześwietną osobą Restauratora praw, dla którego nadto w swoim czasie zgotowana w niebiesiech nagroda.

Powinszowania wszystkie na podobną modłę odwzorowane posypały się ze wszystkich rozgałęzień ogromnego szczepu federacji, i setki stronnicy pomieściłby nie mogły tysiącznych figur wysłowienia się przyjętego w owój epoce. Musiano wreszcie w każdej parafii miasta otworzyć upusty aby entuzjazm ludowy nie rozsądził

piersi wiernych federalistów, i oto *święta parafialne*, których bachanalia obudzić się miała w świątyniach.

Morderca został apoteozowany, morderstwo błogosławione nie tylko w mieście, ale i po prowincjonalnych parafiach. Sędzia pokoju wzywał wszystkich parafian i na wstępie ściagał z każdego co kto mógł lub nie mógł dać na składkowe koszta uroczystości. Po tém mianowano komisyję, dzień wyznaczano i spraszano gazetami. Ówczesne dokumenta są niewyczerpaną pobudką do filozoficznych uwag wielce zasmucających nad niedołęzną niemocą rodzaju ludzkiego gdy nad nim ciąży ołowiana despotyzmu ręka; każda stronnica, dzień każdy zaznacza postęp w znikczemnianiu się ludu ujarzmionego przez Rozasa. Natchnienie jego dawało popęd wszystkiemu co się działo, przez uległość spełniali wolę jego, lecz nakaz był tak dobrze zamaskowany, iż po dziesięciu leciech piszący znajduje się w kłopotcie dla dojścia gdzie się kończył przymus a gdzie zaczynało się własnowolne działanie w sumieniach przestachem spaczonych.

Opisy w licznych numerach *Gazety Handlowej* przechowały nam najdowodniejsze okazy tego upadku, skażenia, urągowiska.

„Nawa kościelna przybrana była w oliwne wieńce i chorągwie. Tłumy federalnie przystrojone tłoczyły się w przedsionku. Generałowie i dygnitarze, przy biciu dzwonów, puszczeniu rac i wśród okrzyków ludności wnosili do świątyni portret Jego Ekscelencyi, na którego przyjęcie wychodził orszak duchowieństwa w komżach. Nabożeństwo odprawiało się z najokazalszą uroczystością. W Katedrze Buenos-Aires celebrował sam biskup z całą pompą i okazałością jakie zachowuje kościół przy obchodzie świąt wielkich. Pyszna orkiestra i śpiewy amatorów towarzyszyły mszy, po której dostojny prałat zaintonował *Te-Deum* obwieszzone publiczności odgłosem wszystkich dzwonów i salwą artylleryi z wałów fortecznych. I napowrót do przedsionka odprowadzało duchowieństwo wizerunek Restauratora, przy którym w czasie nabożeństwa dostojnicy trzymali straż honorową. Konnica uszykowała się na placu, wiwaty były pod niebiosa. Portret odwieziono do mieszkania Jego Ekscelencyi na wozie wysokim na stóp 30. Damy odznaczające się najżywszym zapałem, rzuciły się do ciągnięcia wozu . . . i t. d.”

Jak widzimy sławne te uroczystości wypłynęły ze zbrodni: i godne spadkobierczynie podobnej spuścizny same zbrodnią były, i stały się płodnym zarodem tysiąca zbrodni w przyszłości.

W normalnym społeczeństwie stanie, na każdym publicznym zgromadzeniu stawają w zawody nauka lub talent, elegancja lub wystawność. W każdym objawia się dążność do podobania się lub uobczajenia.

W przestawnych „parafialnych świętach” wszystko działo się na opak, bowiem spaczona już była moralna społeczeństwa istota. Każda z tych uroczystości była turniejem gdzie się ubiegały o le-

psze gruba ciemnota i barbarzyństwo, trywialność i sprośność, matkobójstwo i świętokradztwo.

Za profanacją świątyni w ślad postępowała profanacja dobrego smaku, obyczajności, obejścia, mowy i nawet kobiety, przy bankiecie federalnym, zastawianym albo w zakrystyi lub na korytarzu klasztoru, czasem w domu sędziego pokoju parafii.

Najdostojniejsze miejsce zachowaniem bywało dla Manuela Rozas. Biędna ta istota uważana była jakby za konduktor elektryczny mający przeprowadzić do swego ojca myśl i uczucie obecnych, z których każdy używał całej potęgi krasomóstwa właściwego swojej epoce, dla ukazania się córce silnym i dzielnym obrońcą ojca.

Owoczesna wymowa zakładała swoją jędrność, świętość, swoje federalne piętna na obfitym bogactwie określników co najdziwniejszych, najbardziej cynicznych i barbarzyńskich. Nieprzyjaciel musiał być brudny, plugawy, sprośny, mięszaniec, oszust, sprzedajny, zdrajca, zbójca, dziki. A zaś potwór federacji w ustach wykwinnych federalistów, — dla których złoto francuzkie było brudnym, lecz złoto argentyńskie czystym i gładkiem dla przesuwania się obficie przez ich ręce, — był świetnym, wielkim, bohaterem, tak samo jak śmiesznymi, wielkimi i bohaterami byli oni wszyscy w skażeniu i zbrodni.

Po federalnej pijatyce następowały tańce federalne. Wtedy to dziewice czyste i niewinne, przyprowadzone tu bojaźnią ojca lub jego znikczemieniem, uczciwa małżonka wleczona częstokroć ze łzami w oczach na te piekielne orgie, musiały się ocierać, dotykać, obejmować w płasach z najohydniejszą, najpotworniejszą *Mashorki* czeredą.

Sceny te chwilowo przerwała rewolucya na Południu, w październiku tegoż 1839 roku, lecz powróciły wnet po rychłym stłumieniu tego heroicznego ruchu. Były to pierwsze drgnięcia tego płodu potwornego, który się szybko rozrósł w tak olbrzymie rozmiary, i wściekłemi zapędy tratował całą ludność, — pierwsze błyski zarania tój krwawej epoki, której łuna złowroga na całym horyzoncie rozpostarła się od 1840 roku.

Dotąd wprawdzie tu i tam padała głowa pod nożem, jednakowoż były to tylko wstępne hasła do mordów zbiorowych, które się później rozpocząć miały.

Terroryzm był stopniowanym przez dyktatora zimno i systematycznie.

Procesa, chłosty, kokardy federalne smołą przyklepiane na głowach kobiet, morderstwo od czasu do czasu, były to następujące z kolei po sobie szczeble, po których Rozas włókł ducha jednostek i ogółu w otchłań rozpaczki i przestachu, a na dno jęj niezgruntowane wtrącić go miał szatańską ręką, gdy dzień nadejdzie przezeń obmyślony na nowe *krwawe wesele*.

Tak więc społeczeństwo podzieloném było na ofiary i morderców. A ci ostatni, którzy sobie już oddawna patent na to miano zyskali, mężni z pugiątem w obec bezbronnej ofiary, heroiczni w popisywaniu się cynizmem, zatrzęśli się jednak ze strachem, kiedy pod stopą hufców wolność niosących drgnęła argentyńska ziemia, w chwilach do których doszliśmy w naszym opowiadaniu. I jednocześnie uciśniona strona drżała również niepewnością powiedzenia się krucyaty.

Otóż dla wydobycia na jaw filozoficznego pierwiastku takowego stanu rzeczy, *powieść* musiała na tór *dziejów* wejść chwilowo wstecznym rzutem oka na poprzedzające wypadki.

IV.

Zastępca gubernatora.

Przeszedłszy krużganek prowadzący z pierwszego dziedzińca, w drugim domu Don Filipe Arana, na lewo wchodzimy do kwadratowego pokoju. Na środku stoi wielki stół do pisania, drugi mniejszy w kącie, dalej pułki, a na tych wiele dzieł teologicznych, księgi praw, dykcyonarz języka, rycina przedstawiająca Ś-go Antoniego, butelka z wodą, kilka filiżanek fajansowych i warcabnica. Jest to gabinet pana ministra podniesionego do wysokości godności wice gubernatora.

Przy małym stoliku przepisuje długą depezę nasz znamienity przyjaciel Don Candido Rodriguez, a przy wielkim stole zarzucanym papiérkami, kopertami od listów i depeż, siedzi Don Filipe Arana, pełnomocnik angielski *caballero* Mandeville, i nasz wszędobylski Daniel.

— Ależ przecie nie było wypowiedzenia wojny, panie Mandeville, — mówi senior Arana, w chwili gdy wraz z czytelnikiem wchodzimy do jego pracowni.

— A tak, nie było wypowiedzenia wojny, — odpowiedział Anglik bawiąc się koniuszeczka mi różowych palców.

— A widzisz pan, — mówił dalej Arana, — że według prawa narodów i obyczaju ludów oświeconych i cywilizowanych, nie może wojna być prowadzona, póki ją nie poprzedzi wypowiedzenie uroczyste i wymotywowane.

— Zapewne !

— A ponieważ pod prawo narodów i my także jesteśmy podciągnięci . . . czy dobrze mówię, panie Bello ?

— Przedziwnie, panie ministrze !

— Otóż skoro jesteśmy pod prawem narodów, mieliśmy prawo do wypowiedzenia wojny ze strony Francji, zanim wyprawiła swoje siły. A skoro tego nie uczyniła, Anglia powinna była przeszkodzić wysyłce téj wyprawy. Bo gdy kraj będzie zdobytym przez

Francję, wtedy Anglia postrada wszystkie swoje prerogatywy w konfederacyi.

— Prześlę mojemu rządowi uwagi wielkiego znaczenia pana wice gubernatora, — odrzekł Mandeville, którego myśl wolny w téj chwili od pogromczego wpływu obecności Rozasa, swobodnie mógł oceniać dyplomacyę i wymowność dawnego dzwonnika od Bractwa Różańcowego.

— Gdyby mi się godziło mieszać w tę rozprawę, mógłbym powiedzieć panu Gubernatorowi, jakiej polityki mojem zdaniem wypadnie się trzymać gabinetowi St. James w sprawach La Platy, — wtrącił Daniel tonem tak skromnym i potulnym, iż do reszty zachwycił Don Filipe, który najgoręcej tego pragnął aby ktoś mówił wtenczas kiedy jemu wypadało to czynić.

— Zdania młodzieńca tak światłego jak pan Bello godne są zawsze wysłuchania.

Pan Mandeville bacznie zwrócił oko na młodego człowieka znanego sobie z nazwiska i słuchał z uwagą.

— Prawdopodobnie w obecnej chwili lord Palmerston znajduje się już w posiadaniu pewnego dokumentu wielkiej wagi: chce mówić o protokóle konferencyi jaka miała miejsce ostatniemi czasy pomiędzy komisyją argentyńską a panem de Martigny. Czy pan Mandeville jest o tém uwiadomiony?

— Bynajmniej, i wątpię ażeby rząd mój otrzymał dokument skoro takowy nie był przezemnie wysłany.

— W takim razie ja miałem to szczęście wyreczyć pana ministra. Akt ów podpisany 22 czerwca b. r., 26 został wyprawionym do Londynu. Jest już więc w drodze od pięćdziesięciu dwóch dni.

— Ale cóż to za dokument? . . . — rzekł pan Mandeville nieco zaintrygowany.

— Mam tu jego kopię, — odparł Daniel wyjmując z pugilaresu kilka kartek cienkiego papiéru.

Co akt ten historyczny opiewał podamy w streszczeniu.

Kiedy przed dwoma laty w skutek nieporozumień pomiędzy Francją a Buenos-Aires wywołanych samowolą i okrucieństwem dyktatora téj prowincyi względem poddanych francuzkich, siły morskie króla Francuzów rozciągnęły blokadę na brzegach argentyńskich, wynikło ztąd przymierze *de facto* pomiędzy władzami francuzkimi a mieszkańcami Argentyny walczącymi przeciw dyktaturze. Ajenci dyplomatyczni Francyi i dowódcy jej sił morskich dawali poparcie i wielokrotną pomoc przy zbrojeniu się i organizowaniu sił powstańczych, od tychże nawzajem odbierając przy każdej sposobności dowody przyjaźni dla Francyi. Przymierze takowe stawało się zatem coraz bardziej ścisłym i wyraźnym. Ostatecznie prezes rady ministrów w Paryżu, p. Thiers, na posiedzeniu Izby deputowanych dnia 27 kwietnia r. b., publicznie i uroczyście uznał za sprzymierzeńców Francyi prowincye i mieszkańców Argentyny wojujących przeciw przywłaścicielowi władzy w ich kraju. Okoliczność ta spowodowała iż strony interesowane uznały za stosowne

postanowić pewne punkta ugody przedwstępnej ze względem na dalsze następności. Generał Lavalle jako naczelnik wszystkich sił zbrojnych, będąc rzeczywistym przedstawicielem interesów i spraw prowincyi Buenos-Aires, uwierzył do tychże spraw komisję argentyńską ustanowioną w Montewideo. Zatem członkowie owęj komisji zgromadzeni u pana Buhel de Martigny konsula generalnego i pełnomocnika francuzkiego rządu, po walnej naradzie ułożyli wraz z nim przedugodne punkta przymierza dla obu stron zaszczytnego i korzystnego, jakie nastąpić powinno było natychmiast po wyzwoleniu Argentyny. Protokół niniejszej umowy spisany w dwóch egzemplarzach, podpisanym został przez pełnomocnika francuzkiego i przez wszystkich członków komisji argentyńskich.

Pan Mandeville zdziwiony zadumał się głęboko.

Przez głowę pana Arana przebiegła jedna tylko myśl, która nim bezustannie władnęła.

— Co powie pan Gubernator, jak się dowie że dokument ten od tak dawna w rękach pańskich znajdował się a on o nim nie wiedział!

— Skoro ten dokument do rąk moich doszedł, miałem sobie za obowiązek udzielić o nim wiadomości panu Gubernatorowi, tak dla przeświadczenia go o mojej gorliwości dla sprawy, jak w celu wykazania mu potrzeby stałego oporu przeciw francuzkim roszczeniom.

Don Arana popatrzał na pana Mandeville.

— Co to za głowa u tego młodzieńca!

Don Candido tymczasem przeżegnał się w mniemaniu iż Daniel jest w zмовie z dyabłem i że on znajduje się w spółce.

— Otóż, — mówił znów Daniel, — na pierwszy rzut oka przymierze to mogłoby obudzać podejrzliwość gabinetu angielskiego, we względzie wpływów jakie Francya osiągnęłaby w tutejszym kraju w razie tryumfu unitaryuszów; jednakże ich polityka, przyznać trzeba zręczna i właściwa, rozprasza te obawy. Dają oni do zrozumienia iż ustępstwa na rzecz Francyi nie są bynajmniej wyłączością, lecz ogólnym programem postanowionym na przyszłość w stosunkach politycznych i handlowych odnośnie do wszystkich mocarstw. Że ich system porządku i gwarancyi rozciąga się do wszystkich cudzoziemców przebywających w rzeczypospolitej. Ogłaszają wolną żeglugę na rzekach wewnętrznych, osiedlanie się wychodźstwa europejskiego uznają za potrzebę tych krain, i odsuwają na bok interesa polityczne stawiając w ich miejscu widoki handlowe.

— Wszystko to zdrada! — wykrzyknął Don Filipe, nie rozumiejąc ani słówka z całej téj mowy.

— Mów pan dalej, słucham, — rzekł pan Mandeville mocno zajęty mową Daniela.

— W obec takiego programu, — kończył młodzieniec, — ministeryum angielskie weźmie na uwagę, z jednej strony złe skutki jawnego sprzeciwiania się Francyi w jéj postawie względem La

Platy, a z drugiej korzyści jakie sobie zapewnić może Anglia jedynie przez zachowanie neutralności w tej sprawie, kiedy wynikiem jej może być tryumf stronnictwa, które stawia program bezwarunkowo korzystny dla handlu, kapitału i wychodźstwa Europy, i którego przyjaźń wypadaloby może później zjednywać sobie za jaką-bądź cenę dla zrównoważenia wpływów pozyskanych przez Francją poprzedniemi stosunkami.

— Ależ to zdrada! — wołał Don Filipe, — to podstęp, to zamach na niezależność i władzę narodową.

— Bez zaprzeczenia, — odrzekł Daniel, — to chytrych uni-taryuszów, ale być może iż potrafią nią ułudzić Anglię, i cała nasza nadzieja w tym razie zawisa na pańskim rozumie, panie Arana, iż potrafiśz pan przekonać pana Mandeville jak dalece zdradzieckim jest plan unitaryuszów względem interesów amerykańskich i europejskich.

— A tak . . . zapewne . . . a no tak . . . pomówię z panem Mandeville.

— O tak, pomówimy o tém, — odrzekł Anglik zamieniając porozumiewawcze spojrzenie z Danielem, w którym odkrywał to wszystko czego niedostawało panu Arana.

— Ponieważ z panem Gubernatorem nie porozumiał się w tym względzie jego minister spraw zagranicznych . . .

— A kiedy nic nie wiedziałem — odrzekł pan minister otwierając wielkie oczy.

— Właśnie téż o to idzie, pan Gubernator nie będzie zadowolony.

— Ja nic z panem Gubernatorem nie będę mówić o tym interesie — dodał poufnie pan wice-Gubernator.

— Dobrze pan zrobisz.

— Nie prawdaż, panie Mandeville?

— Zgadza się zupełnie ze zdaniem pana Bello.

— O, my się wszyscy wybornie rozumiemy i zgadzamy, — wyrzekł z zadowoleniem Don Arana rozpierając się w krześle.

— A czy się porozumiemy w interesie który mię dziś sprowadził do Waszój Ekscelencyi? — zapytał z uśmiechem pan Mandeville.

— A, co do tego poddanego angielskiego . . . moglibyśmy tak . . . lecz w nieobecności pana Gubernatora . . .

— Ależ pan jesteś jego zastępcą, to sprawa tak prosta.

— No, zapewne, ale zapytam się pana Gubernatora.

— Przecież to nie polityka, sprawa cywilna: idzie o zwrot własności zagrabionej przez sędziego pokoju jednemu z poddanych Jój Kr. Mości.

— Dobrze, dobrze, zapytam się.

— Ależ na Boga! . . .

— Spytam się przy pierwszej sposobności.

— A więc żegnam.

— I pan także odchodzisz, panie Bello ?

— Muszę.

— Ale przyjdiesz niedługo, mam się wczemś naradzić z panem.

— Wiele to dla mnie będzie zaszczytu.

Panowie Mandeville i Bello wyszli razem śmiejąc się oba i litując w duchu nad tym nieborakiem dźwigającym na barkach tytuły ministra i vice-gubernatora.

Minister angielski zaprosił Daniela na szklanke wina do siebie i obaj wsiedli do powozu w chwili gdy z pobocznych ulic ukazali się Victorica na jednym chodniku, ua drugim ksiądz Gaete, zmierzając ku mieszkaniu Don Arana.

Za przybyciem do pięknej willi pełnomocnika W. Brytanii, pomiędzy gospodarzem a gościem toczyła się dalej rozmowa o stosunkach krajowych istniejących i możebnych z europejskimi mocarstwami, wywołana układami, których treść powyżej poznawaliśmy.

Historyczny ten dokument stanie się kiedyś dla myślącego dziejopisa objawem dwóch prawd ważnych a niezaprzeczonych.

Zastanawiając się nad nim, trudno nie boleć nad świętą wygnania niedolą, której wpływem jednym z wybitniejszych a i najświetniejszych zarazem, jest łatwość mamienia się ułudami, dotykająca umysły nawet najrozważniejsze. Zdaje się niepodobnym do wiary aby mężowie tacy jak Agüero i Varela mogli sobie wyobrazić iż protokół przez nich podpisany może mieć doniosłość i pożytek jakie sobie krokiem tym obiecywali. Z dziwną dobroduszością wierzyła komisya argentyńska iż za pośrednictwem téj ugody dojdzie do zupełnego zobowiązania się formalnego sprzymierzenia z Francją i nieprzyjaciółni Rozasa. Jeżeli Francya nie uznawała przymierza *de facto* stwierdzonego krwi wylewem, i dała inny zwrot swojej polityce u La Plata, jakże się można było spodziewać aby wagę przywiązywać chciała do zobowiązań przyjętych nie na drodze urzędowej, przez swego tylko ajenta wespół z wrzekomą komisją, która nic nie przedstawiała, przez żadną rzeczywistą władzę nie była umocowaną, żadnej nie dawała gwarancyi na przyszłe następstwa? Z drugiej zaś strony, jeśliby Lavalla pokonał Rozasa, niechybnie rewolucya wyniosłaby go na stanowisko rządowe, a w takim razie i komisya argentyńska, przez samą wartość swoich członków, znalazłaby się blisko przy sterze władzy, i wówczas dotrzymanie przeszłych zobowiązań powinna i chciałaby uważać za moralną konieczność. Takim więc sposobem umowa ta była rzeczywistością na korzyść Francji, a złudniem tylko omamieniem dla interesu rzeczywospolitej.

Lecz za to z innego punktu patrzenia na rzeczy, akt ten staje przed historją jako zakład nieposzlakowanej prawości i honoru wychodztwa argentyńskiego. Konszachta z cudzoziemczyzną były dla Rozasa i jego szajki bronią, z pomocą której ciskał niesławę na swych przeciwników; i długo później jeszcze były one z uprzywilejowanym tematem do najostrzejszych zarzutów, do oskarżeń dowolnych a naj-

bezasadniejszych. Ale w materyach tak ważnych, gdzie historia nie mniej jest interesowaną jak honor jednostek i stronnictw, wnioski godzi się tylko wyprowadzać z faktów i z dokumentów. Owóż oskarżając Rozasa i jego czynnych współników, na każdym kroku spotykamy ich własne akta urzędowe, lub czyny oddagerotypowane w pamięci stu tysięcy świadków; kiedy na potępienie argentyńskiego wychodźstwa, iżby na szwank naraziło jakiegokolwiek z praw, jakiegokolwiek z interesów krajowych, iżby za jakie obietnice, ustępstwa na rzecz obcych, choćby jeden zysk osobisty odniosło, na to najzawziętsi prześladowcy tegoż wychodźstwa nie postawią ani jednego świadka, ani jednego dokumentu, z wyjątkiem podobnego rodzaju jak ten o którym była mowa, a który mniej dawał prerogatyw Francyi niż ich udzieliła ugoda przez Rozasa w końcu października tegoż roku podpisana.

III.

Don Filipe jest wice-gubernatorem i nie jest nim.

Pomimo pośpiechu księdza Gaete by przybyć do domu ministra wprzód niż naczelnik policyi, tamten go ubiegł i pierwszy wszedł do gabinetu D. Arana. Gaete mając swoje powody żeby mówić z ministrem nie w obecności pana Victorica, przeszedł do salonu dla złożenia swęj czołobitności pani ministrowej.

— Cóż tam nowego panie naczelniku? — spytał minister po zwykłych ceremoniach powitania. — Cóż pan powiesz, Lavalla idzie naprzód!

— Temubym się dziwił gdyby się cofał.

— Ależ czy ten człowiek nie widzi że poburzy cały kraj?

— Po toż właśnie tu przyszedł.

— I cóżemy mu zawinili? Alboż sobie nie siedział spokojnie w Banda Orientale, gdzieśmy mu pokoju nie męcili? Sądyszże pan iż za taki postępek nie spadnie nań kara Boża?

— Tego nie wiem, senior Don Filipe; ale w każdym razie wolałbym na niego karę ludzką, bo Bóg daleko a Lavalle blisko.

— A tak, bliżej niżby być powinien. Znasz pan dyaryusz jego pochodu? nie? panie sekretarzu, zdjęteś kopię? tak? bądź łaskaw odczytać.

Don Candido po głębokim ukłonie, oparł się o tylną poręcz krzesła, podniósł papier do wysokości oczu, i czytał sprawozdanie z każdego dnia, z każdej godziny, z każdego ruchu wojsk powstańczych.

— A co? widzisz pan co wyrabia ten człowiek? — mówił Don Filipe zakładając, jak miał zwyczaj, ręce na brzuchu.

— Tak, panie, widzę że nie idzie ani tak prosto, ani tak szybko, jakby dla niego było korzystnym.

— Ale idzie, i ani spodziewamy się którego dnia najdzie na miasto.

— A, cóż robić! — odrzekł Victorica śmiejąc się w duchu z widocznego strachu dygnitarza.

— Co robić? ależ ja już trzy nocy nie śpię! To nie na mnie takie rzeczy. Choć prawda że ja nikomu nie zrobiłem nic złego.

— Nie tak utrzymują unitaryusze.

— Przecież nie kazałem rozstrzelać nikogo. Wiem iż jeżeli mają sprawiedliwość w sercu, to mię w pokoju zostawią. Bo ja chcę tylko żyć po chrześcijańsku, wychować moją dźwiatwę i wykończyć moje dzieło o Najświętszej Pannie Rożańcowej, które zacząłem w 1804 roku, a którego dokonaniu przeszkodziły mi moje zajęcia. Tak, jeżeli Lavallo człek sprawiedliwy, to on mi nie zrobi nic złego, i . . .

— Wybacz pan, ale mi się zdaje że pan ubliżasz osobie prześwietnego Restauratora.

— Ja? . . . jakto? . . . co pan mówisz?

— Przypuszczasz pan że herszt Lavallo może zwyciężyć.

— A któżby mógł zapewnić że nie zwycięży?

— Zapewnia tak Jego Ekscellencya.

— Ach! tak Jego Ekscellencya mówi?

— A pan mu kłamstwo zadajesz.

— Cóż znowu? . . panie! . . i owszem, wiem dobrze iż Lavallo grób swój tu znajdzie. Tak sobie tylko powiadam, na wypadek gdyby się tak przytrafić mogło.

— A, to co innego, — odrzekł Victorica, który się szczerze zabawiał, mimo że jego temperament żółciowy i oschły wcale nie był skłonny do podobnych igraszek.

— A widzisz pan? a widzisz, jak to się łatwo ludziom zrozumieć.

— Pragnąłbym abyśmy się równie dobrze porozumieli w rzeczach służbowych z którymi tu przychodzę.

— Co tylko pan chcesz, mów, drogi panie Victorica.

Pan naczelnik policyi wyliczał dość długi spraw szereg, lecz żadnej rozwiązania nie otrzymując od pana ministra i wice-gubernatora, który tylko za każdą polecał sekretarzowi staranne jój zanotowanie.

— Donia Ezcurra — rzekł w końcu Victorica, — domaga się zarządzenia nowych poszukiwań w pewnym domu na Barakach, który już był raz przetrząsanym, a którego właścicielka jest nieobecna od dni kilku.

— Czy żąda tego na mocy rozkazu pana Gubernatora?

— Nie, bez rozkazu, sama od siebie.

— A więc dajmy temu pokój. Cóż zyskamy na drażnieniu i narażaniu siebie całemu światu? Dostyc już tych zajść, aż nadto już ich mamy.

— Jednakże są podejrzenia na krewnego tój pani.

— Któż jest tym krewnym?

— Daniel Bello.

— Chryste! Co téż pan gadasz!

— Ja mam podejrzenie.

— Nie mówże pan dzieciństw! Ja za niego ręczę jak za N. Pannę Różańcowę. Nie wiesz pan, ani Donia Marya Józefa nie wie ile federacya zawdzięcza temu młodzieńcowi. Intryga, oszczerstwo. Nic, nic przeciwko panu Bello!.. chyba z rozkazu pana Gubernatora.

— Zastosuję się do woli pana Arana nie mając wyraźnych poleceń pana Gubernatora, lecz nie spuszczę z oka tego młodzika.

— Nie ma nic więcej? Zatem skończyliśmy.

— Jeszcze nie, bo nic mi pan nie odpowiedziałeś, ani względem patrolów towarzystwa ludowego, ani względem ich napadów na policyę, ani . . .

— Zapytam się o wszystko pana Gubernatora.

— Alboż pan nie jesteś zastępującym jego miejsce?

— Jestem nim. I cóż z tego? zapytam się Jego Ekscellencyi.

— Dla Boga! ależ pan Gubernator nie ma czasu teraz tém się trudnić. Jeżeli pan jesteś wice-gubernatorem, w takim razie żądania moje nie sięgają po za obręb jego władzy!

— Tak panie, jestem wice-gubernatorem, ale to dla formy: pan rozumiesz?

— Zdaje mi się że rozumiem — odrzekł Victorica, który to dobrze wiedział, lecz miał nadzieję, wykołatania jakich zastrzeżeń względem gwałtów których się Mashorka na policyjnych dopuszczała agentach.

— Dla formy, — kończył pan Arana, — żeby unitaryusze nie zarzucali nam że bez form postępujemy. Ale to między nami, co?

— Tak, a cały świat do sekretu przypuszczony. I drwią sobie złośliwie.

— Zdrajcy!

— I powiadają że pan jesteś i nie jesteś wice-gubernatorem.

— O przeniwiery, sprzedajni!

— I powiadają że pan jesteś w strachu.

— Ja, w strachu? . . . a toż przed kim?

— Że się lękasz gubernatora gdyby się coś stało nie po jego myśli, i Lavalla, gdybyś pan coś zrobił wedle woli pana gubernatora.

— Tak powiadają? A pan co na to, panie naczelniku policyi?

— Ja? nic.

— A to źle, bo ci wszyscy oszczercy powinni być w turmie.

— Alboż nie mówiłeś mi pan przed chwilą że już dosyć tych prześladowań, że nie trzeba drażnić ludzi.

— Tak, ale nie o tych mówiłem którzy nas szkalują.

— Nie dbaj pan o ich gadania, panie Arana.

— Wierzaj mi panie Victorica, że wzdycham za porzuceniem ministerstwa.

— Wierzę, i za osiedleniem się w swojej posiadłości: czy nie tak?

— Co tam za posiadłość, kiedy zrujnowana!

— Nie tak utrzymują unitaryusze.

— Jakto? odzywają się i o mojej posiadłości?

— *O posiadłościach* pańskich. I mówią że to nie są pustki, i że to wszystko źle nabyte, i że panu zostaną odebrane, bo kupiłeś je pan za narodowe fundusze; Bóg wie nie co jeszcze wygadują!

— O Chryste! ależ do więzienia, panie naczelniku, do więzienia!

— Kogo!

— Tych co tak mówią.

— Kiedyż to mówią w Montewideo, senior Arane.

— A a! w Montewideo! .. zdrajcy!

— Bez zaprzeczenia. Ale jakież mi pan dajesz upoważnienie w celu powściągnięcia zaczepek *towarzystwa ludowego*?

— Ach! nie mam teraz głowy do tego. Innego dnia. Zapytam się.

— Dobrze, o tém napiszę do pana gubernatora, — rzekł Victorika powstając, z mocnem postanowieniem nie napisania w tym względzie ani litery do Rozasa; chciał tylko lepiej nastraszyć biednego ministra na którym dowolnie się zemścił.

— A! już pan idziesz? Niech Pan Bóg da zdrowie. A odwołuj się pan do mnie we wszystkim co się może przytrafić.

— O, nie omieszkam, przecież jesteś pan wice-gubernatorem!

— Na złość unitaryuszom, jestem nim, tak senior, jestem!

Victorica wyszedł posyłając do wszystkich djabłów pana wice-gubernatora.

W licznym szeregu ciekawych osobliwości jakie pod rozbiór stawia system Manuela Rozasa, a raczej jego epoka, godną jest uwagi wypracowana fikcja wszystkich odgrywających jakowe role na szerokiej politycznej widowni. Każda osoba była teatralnym aktorem: król w oczach widzów, chudy pacholek w rzeczywistości. Minister stanu, naczelnik bióra, deputowany, sędzia, głównie-dowodzący generał, byli wszystkiém oprócz tego co ich miano oznaczało. Lecz rolę swoją przewybornie pojmowali: to jest odgrywali ją dla widzów, a w gruncie serca każdy wiedział dobrze iż korona jego ze złoczonego papieru, a płaszcz monarszy z lichego łachmana. Ktoś ma sprawę do ministra, generała, i t. d: wiadomo wszystkim gdzie brama dostojnika: wchodzi, otrzymuje posłuchanie, i oblicze samo już mu zapowiada z kim ma honor mówić. Mąż zaszczycony łaską bohatera, dygnitarz Rozasa, musi być koniecznie poważnym, sztywnym, chmurnym, bo to wierny przedstawiciel najpoważniejszej ze wszystkich spraw. Ponieważ każdy z nich przebrany za Lucypera, odziewająca go barwa płomienista daje mu pewną imponującą postawę, a mowa powściągliwa, obfitując w niedomówienia, dopełnia uroczystego wrażenia. Dopóki się powtarza ogólniki, wszystko idzie gładko. Tu i owdzie mowa z konieczności zawadzi o Jego Ekscelencyę i Manuelitę, z któremi bezzawodnie miało się szczęście rozmawiać wczoraj a co najwięcej przed dwóma

dniami. I każdy wyraz z ust federalnych płynący dla słuchacza ma być jakby złotą monetą z popiersiem Restauratora, którą powinien podjąć i do kieszeni schować czcياً przejęty, bo ze stosunków z poświęconą rodziną, wnosić może o wpływach i wszechwładności pana ministra, sędziego i t. p. Lecz ręka Opatrzności znajduje się tuż blisko, i skoro tylko rozmowa dotknie sprawy wchodzącej w urzędowe atrybucye męża stanu, natychmiast niewidzialna ta ręka daje mu szcztka w sumienie, przypominając że on jest tylko lichym robakiem deptanym stopą Rozasa, ladajakim komedyantem w szychowych łachmanach, że swego dostojęństwa nosi tylko tytuł, że wszelka juryzdykcyja, wszelki kierunek należy do autora przedstawiającej się sztuki, ale nie do nędznej truppy zakontraktowanej na lat dwadzieścia za płacę, królewskie szaty, benefis od czasu do czasu, i obowiązek nieskrzywienia się, kiedy potomność wygwizdże, albo kamieniem rzuci.

IV.

Don Arana objaśnia zjawiska magnetyzmu.

Wychodzącego dziedzińcem naczelnika policji ujrzał ksiądz Gaete przez szklane drzwi salonu, i natychmiast pożegnał panie udając się prosto do gabinetu ministra, który z republikańskiej zasady przyjmował wszystkich wchodzących do siebie, bez żadnych ceremonii ani adjutantów.

Głowa Meduzy lub widno nieboszczyka ojca nie byłoby sprawiło na naszym przyjacielu Don Candido Rodriguez tak silnego wrażenia, jak oblicze wielebnego Gaete. Umysł jego znękaný tylokrotnym przestraczem nawiedzającym go ze wszech stron od niejakiego czasu, uległ takiemu wzburzeniu, i o mało co nie porwał się z krzesłem, by się plecami obrócić do vice-gubernatora i jego świętobliwego gościa.

Z odmetu myśli wirujących po jego zbiedzonej głowie w obec złowrogiego zjawiska, wyłonił się w końcu pomysł schylenia głowy aż na papier i pisania z szybkością nieporównaną; jakkolwiek przez poszanowanie dla prawdy dodać należy, iż właściwie nie pisał a gryzmołił na papierze.

Don Arana był w ogóle zwolennikiem wszelkich osób duchownego stanu, lecz co się tyczy osoby księdza Gaete, do téj wiązało go nadto coś niemniej ścisłego, albo może coś ściślejzego nad przyjaźń i wszelkie inne węzły jakie łączą serca ludzkie: był to strach... bał się śmiertelnie potwornego języka Gaety i również jego bratnich z *Mashorką* stosunków.

To téż zaledwie ujrzał go wchodzącego, biegł na jego spotkanie z wyciągniętymi rękoma, jakby w miejscu powitania pragnał go porwać.

Byłto nieodzowny wynik z systematu Roząsa, iż najlepsi jego służalcy drżeli wzajem jeden przed drugim, a wszyscy spółem drżeli przed człowiekiem któremu byli pomocą i podporą.

— Cóż to za cud, ojcze, co za cud! — wołał Don Filipe siadając obok niego; lecz na nieszczęście ksiądz Gaete usadowił się naprzeciw zapracowanego sekretarza.

— Przychodzę dla dwóch rzeczy, panie ministrze.

— Mów ojcze, wszakem jeden z najdawniejszych pańskich i najwierniejszych przyjaciół.

— Da się to widzieć. Piérwsza rzecz jest, powinszować panu.

— Dzięki, tysiąckrotne dzięki! Cóż pan chcesz, wszyscy powinniśmy być na rozkazy pana Gubernatora. A drugaż jaka, szanowny ojcze?

— Druga jest ta, że mi pan musisz wydać rozkaz na ujęcie pewnych bezbożnych uunitaryuszów którzy mię znieważyli.

— Ho, ho!

— I całą federacyą.

— Aż tak?

— I nawet samego Restauratora.

— Czyż to być może! co za zuchwalstwo!

— Przed odjazdem pana Gubernatora chodziłem do niego więcéj niż dziesięć razy, ale z nim widzieć się niemożna było.

— Był tak zajęty ostatnimi dniami.

— Ale Victorica nie był zajęty, a mimo to nie chciał schwytać zbrodniarzy których mu wskazałem, utrzymując że nie może tego uczynić bez rozkazu.

— Jednakże jeśli to wypadek nadzwyczajny, powinienby.

— On nigdy nie chciał zrobić co ja lub który inny z *towarzystwa* żądaliśmy. Co mi tam czy powinien czy nie. Dla tego nie chce, że nie tak federalnym jak my!

— Ależ miły panie, poccoż się tak unosić? no, no, spokojności!

— Nie chcę spokojności! nie chcę! i jeżeli pan mi nie wydaż tego rozkazu, nie ręczę co może nastąpić!

— No, cóżto więc takiego? zobaczmy czy to warte? — pytał Don Filipe przeklinając chwilę która mu sprowadziła gościa.

— Czy warte? Zobaczymy. Słuchaj pan. Są tam na przedmieściu poczciwe niewiasty które od dawna sporządzają mi bieliznę: Otóż będzie temu około dwóch miesięcy, szedłem do nich. Podnoszę klamkę, wchodzę, i odwracam się dla zamknięcia drzwi. Krużganek był ciemny, i

Z temi słowy Gaete wstał, roztworzył drzwi od gabinetu, i zwracając się do sekretarza dodał:

— Pójdźcie-no, rodaku, stańcie tutaj, i wskazał miejsce obok drzwi.

Drżenie przebiegło członki sekretarza od stóp do głów; głos zawarł mu w gardle, muskuły w karku zęzały, nie odwrócił głowy.

— E, do was mówię—wołał Gaete—żebyś był łaskaw tu stanąć! przecież to nie pies do was się odzywa? he?

— Idź-że pan, Don Candido: idź—mówił Don Arana.

Don Candido wstał i szedł, sztywnie i prosto na wskazane miejsce, niby *posąg Komandora*.

— Dobrze, tak. — Wchodzę, ciemno, i huf! potraściłem w kogoś...

Gaete postąpił i uderzył sobą o sekretarza.

— W mgnienu oka dobywam sztylet, ten sztylet federalny, senior Arana—mówił Gaete wyciągając wielki nóż z zapasa—który mi dała ojczyzna tak samo jak wszystkim swoim prawym synom dla bronienia jój świętej sprawy. Kto tu?... pytam, i ostrze do piersi przykładam.

Gaete oparł puginał o pierś Don Candida.

— Odpowiada że jest przyjaciół; ale ja nie znam przyjaciół w ciemnych kruzgankach: hejże więc na niego i za gardło!

Gaete lewą ręką chwycił za halsztuk Don Candida.

Ten o mało nie krzyknął, lecz się powstrzymał; czułiż wszystkim zależy mu na tém, aby nie dać słyszeć swego głosu, poddał się więc w milczeniu swojemu oprawcy. Lecz w duszy poprzyśiągł sobie, iż dzień to będzie ostatni jego pobytu w Buenos-Aires, jeżeli szczęśliwym tratem nie stanie się ostatnim przebywania jego na tym świecie.

Gaete mówił dalej:

— Lecz w chwili gdy mam go zakłóć, nóż mi wypada z ręki; schylał się poń, a tu skoczył na mnie ktoś drugi i pistolet do skroni mi przytyka. Otóż ja rozbrojony, śmierć mi nad głową, a ten dalejże wymyślać na mnie, na Restauratora, na federacyą! A gdy nagadał co mu ślina do ust przyniosła, otóż wtedy we dwóch wrzucili mnie do sali, zamknęli, bo kobiet nie było w domu, a potém sami się wynieśli.

— Och, ależ to niesłychane zuchwalstwo! — wykrzyknął Don Arana.—Cóż to za jedni?

— Otóż w tém sęk, nie mogłem się dowiedzieć, bo z dorobionym kluczem wkradli się tam na zasadzkę, wiedząc że mieszkańci domu wyszły; ale później przydybałem jednego i poznałem po głosie.

— Słyszałeś pan coś równie dziwnego, senior D. Candido?

Don Candido zrobił grymas, który miał wyrażać: *zdumiewająca!*

— Ale cóżto panu? wyglądasz jak nieboszczyk!

Don Candido podniósł rękę do głowy i stukał się w czoło.

— A, głowa boli?

Don Candido uczynił znak potwierdzający.

— No, to zapisz pan zaskarżenie księdza Gaete, a potém idź do siebie.

Don Candido powrócił do stołu i zabrał się do pisania.

— Tę przygodę ja omal życiem nie przypląciłem; właśnie byłem wstał przespawszy się po obiadku, na którym znajdowa-

łem się z czterema przyjaciółmi, i pod noc dostałem prawie apopleksyi.

— O, bo téż to było okropne!

— Ależ przecie, jakem mówił, poznałem jednego, i jeśli nie otrzymam sprawiedliwości, ot! to mi ją wymierzy! — wrzeszczał Gaete uderzając się po pasie, za który zatknął był sztylet pod czerwoną kamizelą.

— Któż to jest ów jegomość?

— Nie, panie; proszę mi wydać rozkaz uwięzienia z próżném miejscem na imię: ja sam je wypiszę.

— Ależ, mój drogi panie . . .

— Tak, tak być musi!

— Skończyłeś Don Candido? — mówił Don Filipe nie wiedząc sam jak się wywikłać z tego labiryntu.

Don Candido skinął potwierdzająco.

— Dobrze, przeczytaj księdzu Gaete.

Don Candido zawahał się.

— No, czytajże pan; czytaj coś napisał.

Don Candido wznosił myśl do Boga, wziął papier i czytał:

„Skarga zaniesiona przed J. Eks. pana wice-gubernatora, przez wielec zacnego i szanownego, znakomitego patryotę federacyi, Wielebnego . . .”

— He! . . . — krzyknął Gaete otwierając wielkie oczy i z wyciągniętą ręką do sekretarza.

— Cóżto? — pytał Arana.

— Ten jest drugi!

— Kto?

— Ten, ten to: ten drugi!

— Czyś pan przy zmysłach? — zawołał Don Arana.

— Już są obaj! — mówił Gaete zacierając ręce.

— Ależ drogi panie!

— Tak, tak, senior Don Filipe, to jest właśnie drugi z tych zbrodniarzy co mię napadli w ciemnym krużganku.

— Ja? jażbym miał chcieć zamordować czcigodnego i poważanego kapłana? — wykrzyknął Don Candido przyoblekając się w odwagę, którą on sam byłby nazwał zdumiewającą, nadzwyczajną, niesłychaną.

— Dobrze! mów jeszcze troszeczkę!

— Jesteś pan w błędzie, mój zacny i najszanowniejszy panie.

Wzburzenie, irytacja . . .

— Jak się zowiesz?

— Candido Rodriguez, do usług pańskich i całej przezacnej familii.

— Familia? Ten sam. Już mam ich obu!

— Księżu Gaete, siadajno pan, — mówił Don Filipe, tonem pojednawczym, — w tém musi być coś nadzwyczajnego.

— Rzecz jasna, panie Ministrze, — rzekł *Candido* nabierając ducha, — mojem zdaniem, szanowny kapłan miał jakiś sen za poduszczeniem szatana.

— Ja ci dam sen!

— Zwolna, księże Gaete; ten pan, jest to człek wiekowy, a wielokrotne mam dowody jego prawości i rozsądku.

— Dobrze, dobrze.

— Słuchajno pan. Ten wyraz, *sen*, napomknięty przez mojego sekretarza, rzuca wielkie światło.

— Nie chcę waszego światła! Dla mnie już jasno: ten jest jeden, a drugi, to ja już wiem kto!

— Ale słuchaj-że pan: obiadowałeś tego dnia z przyjaciółmi?

— Jużem to mówił.

— I potem odprawiłeś drzémkę?

— To się rozumie.

— Otóż więc nic nie byłoby w tém nadzwyczajnego, gdyby to wszystko coś pan opowiedział było widzeniem somnambulistycznym.

— Cóż to ma być u dyabła?

— Ja to panu wyjaśnię: somnambulizm, jest to rzecz nowoczesnego wynalazku, nie pamiętam już czyjego. Lecz dowiedziono, iż wiele bywa osób które rozmawiają śpiąc, wstają, ubierają się, wsiadają na koń, jeżdżą, i wszystko przez sen; toczą rozprawy, widzą ludzi których nie ma przy nich, a nawet niektórzy bili się i uderzali na ściany mniemając że nacierają na nieprzyjaciela: a to jest właśnie co nazywają somnambulizm czyli magnetyzm.

— Bardzo dobrze mówi najjaśniejszy pan wice-gubernator. To w Niemczech pracują z największą usilnością nad wykryciem tych wewnętrznych, skrytych, tajemnych, niedocieczonych zjawisk ducha ludzkiego. A właśnie na zacnych osobach, takich jak dostojny ksiądz Gaete, temperamentu nerwowego, gorącego, wrażliwego, najczęstotliwiej działanie swoje wywierają te nadzwyczajne dziwy natury. Ztąd wielce światły umysł pana gubernatora bardzo właściwie wywodzi wniosek, iż wielebny ksiądz Gaete jest lunatykiem, i przebył chwile somnambulizmu.

— Cóż to sobie drwić śmiesz ze mnie?

— A niechże mię Bóg broni! Ja . . .

— Senior Arana, jesteś pan wice-gubernatorem?

— Tak jest miły panie, lecz w takim razie . . .

— W takim razie oczekuję od pana sprawiedliwości, a jeżeli pan nie każeś uwiezić tego tu pana, i tego kogo ja wiem, jutro jądę do *Santos-Lugores* zanieść skargę do Restauratora.

— Rób pan co chcesz, ale ja nie mogę więzić nikogo bez rozkazu Jego Eksclencyi, tém bardziej kiedy mi pan nie dajesz dowodów.

— Ależ kiedy to ten sam, powiadam panu.

— Widziałeś go pan?

— Nie, ale słyszałem.

— Sen, somnambulizm, mój zacny i miły panie, — wtrącił Don Candido.

— Ja cię uśpię, ale na całe życie!

— Ależ księże Gaete, — mówił Arana, — kapłan, człowiek takiego świętego stanu, oskarżać bez dowodów, zaprzętać głowę rządowi, w chwilach kiedy najście herszta Lavalla nabawia go kłopotu!

— Tak? A ja też doznałem kłopotu z napadu tego jego-ności i jego towarzysza.

— Ależ to nie ten pan, nie mógł być on, nie był.

— To był on, panie ministrze Arana!

— To nie byłem ja, wielbny księże! — rzekł Don Candido podniesionym głosem po raz pierwszy, czując się pod wszechwładną opieką wice-gubernatora.

— Ty sam, powtarzam.

— A ja powtarzam że nie, i protestuję raz, dwa i trzy razy przeciw zniewadze wyrządzonej mi przez zwierzchność duchowną, gdyż zniewaga to niesłuszna, krzywdząca, potwarcza.

— Spotkamy się na ulicy! — zgrzytnął Gaete rzucając pogromcze spojrzenie na sekretarza.

— Nie przymuję podobnego wyzwania, lecz równemi siły potykać się będziemy w szrankach trybunałów.

— Cicho, na miłość Boską! spokojności, zgody! — wołał Don Filipe.

— Panie ministrze do widzenia, jadę do gubernatora. I z tobą do widzenia!

— Jedź lunatyku!

— Chodźmy, chodźmy, wielbny ojcze!

Gaete pogroził pięścią, minister wyciągnął go pod rękę do przedpokoju, a Don Candido nie mógł się już pomieścić w swoim białym surducie, tak go nadymał niesłychany heroizm którym się odznaczył przed chwilą, i sam jeden w gabinecie kłaniał się i powiedział.

— Najpokorniejsze dziękczynienie składam Waszój Ekscelencyi, za szlachetną i sprawiedliwą obronę, jaką raczyłeś uczcić sprawę najwierniejszego i najuniżeńszego sługi swego.

— Ten człowiek, panie ministrze, to opętaniec, — rzekł do powracającego Don Arana.

— Eh! wiesz pan co to jest po prostu?

— Wrodzony, głęboki i ukształcony rozum Waszój Ekscelencyi oświeci mię.

— Jest to po prostu, że ten ksiądz Gaete, nie tak ze wszystkiemi metodyczny jakby należało; zbyt wiele pozwoił sobie wina z przyjaciółmi o których wspominał. Ztąd musiała tam wyniknąć jakaś bijatyka. Nie pamięta z kim się bił, i wmówił w siebie że to z panem.

— O, jakież mam podziw i uwielbienie dla rozumu Waszój Ekscelencyi, który zawsze i z taką łatwością znajduje tajne przyczyny jawnych zjawisk!

— Nawyknienie, mój drogi, nawyknienie do obcowania z ty-
łą ludzi.

— Nie ! to rozum, talent, geniusz !

— Może być nieco, ale nie tyle ile mi przypisują, — rzekł
Don Filipe spuszczać oczy z pokorą.

— Sprawiedliwość zasłudze !

— Nadto, jesteście w epoce pobłażania i zapomnienia prze-
szłych błędów, i pragnę aby moje rządy w zastępstwie miały za
podstawę politykę łagodności względem wszystkich. Jutro może
nastąpić zmiana okoliczności, dla tego chciałbym ażeby miłe wspo-
mnienie po sobie zostawił programat mojego chwilowego zarządu.

— Wzniosły, szczytny programat !

— Chrześcijański, takim chcę, aby był. A teraz udaj się pan
do zakonnic i spraw mój interes.

— Teraz? . . . zaraz? . . . a jeżeli ten ksiądz wyrodny czatuje
gdzie na mnie w zaułku ?

— Nie sędzę, to byłby nadmiar zuchwalstwa ! Z tém wszy-
stkiem radzę panu, miej się na baczności: patrz dobrze.

— O ! niech wasza Ekscelencya o tém nie powątpiewa. Oczy
moje rozmnożę do nieskończoności, przysięgam. Do nówek upadam,
panie ministrze !

V.

Tak było.

W tym kataklizmie, w jaki popadły, prawicą Rozasa wtrącone
wszelkie podstawy moralnego, społecznego i politycznego ustroju
argentyńskiej rzeczypospolitej, religia nie mogła uchronić się od
ogólnego wstrząśnienia, albowiem przedstawiciele jęj na ziemi są na
nieszczęście utworzeni z równie miękkiego wosku jak powszedni
świeccy ludzie.

Z zatamowaniem przezystych chrystyanizmu wytrysków,
sprawiedliwości, pokoju, braterstwa, dobrej woli, boska religia nie
znalazła już w Buenos-Aires godnych siebie apostołów.

Gdy podżęgnięte podmuchem tyrana rozkiełznały się poziome
namiętności w sercach ciemnego gminu, moralność została obaloną,
zatracona równowaga klas, zerwane tamy powodnią wezbranych
popędów ku złemu, w tłumie bez przekonań religijnych wychowa-
nym przez ów hiszpański fanatyzm, co wzrok cielesny otwiera do
grubęj zabobonności a oślepia duszę k'woli prawdziwej czci Bóztwa
i ku pojęciu najświetlejszej ze wszystkich religii. Dlatego federacya
obojętnie patrzyła na profanacyą świątyń, na skażenie duche-
wieństwa, na zniewagę wyrządzaną ołtarzom i ewangelicznej kazal-
nicy i zbrodnia jęj nie zamąciła sumienia skrytą zgryzotą.

Rozas chciał obrać ze wszystkiego sumienia ludzi, na których się opierał: by nie mieli innej wiary jak tylko w jego potęgę, innej bojaźni jak tylko przed jego osobą, innej nadziei oprócz tego co usta jego obiecywały, innej pociechy nad zasywienie jakie zbrodni przynosi powtórna zbrodnia. By tego dopiąć, potrzeba mu było zedrzyć wszelki urok z każdej świętości, z Boga, religii i jój obrzędów, w oczach téj tłuszczy fanatycznej i rozumiętuionej, której zdziczałe uczucie wyzyskiwał.

Kapłani niegodni ewangelicznego posłannictwa dali się użyć do zbojceckich apostaty planów. i od głośnych świąt parafialnych rozpoczęli dzieło zbeszczeszczenia Stwórcy, Odkupiciela domu Bożego.

Kiedy cesarz Teodozjusz ocieknięty krwią po rzeci w Tessalonice chciał wejść do świątyni, w podwojach tejże stanął Ś. Ambroży, i wyciągając rękę rzekł mu: „Tu nie ma wstępu dla zbrodni, idź się obmyć i powróć czystym.”

Ale nie było w Buenos-Aires ktoby czuwał nad świętością przybytku Pańskiego.

Na ramionach federalistów ugodnionych generalskim mundurem lub oznakami krajowych urzędów, ale niskich i zbrudzonych w sercu, wniesionym został portret dyktatora aż do wnętrza świątyń, przyjęty przez kapłanów w obrzędowych szatach, przeprowadzony wzdłuż nawy pod poświęconym baldachimem, umieszczony na ołtarzu obok Boga ukrzyżowanego za ludzi

Z mównicy Ducha Świętego podniósł się jednocześnie głos apostoła odstępcy od praw Ewangelii, i do słów swoich szukając natchnienia nie w arce Nowego przymierza gdzie się zachowuje najpiérwsza ofiara jaką dla duszy przekazał szczytny chrześcijaństwa testament, lecz w krwawym wizerunku zaprzańca Boga i Jego prawa na ziemi, on, sługa Boży, napełniającym świątynię tłumom ciemnym i zaślepionym przynosił naukę nie miłości i pokoju, zaparcia się i cnoty, ofiary i braterstwa. jakie z ust Boga-człowieka na Kalwaryi spłynęły, lecz nienawiść Kaina, octem i żółcią zaprawną gąbkę podaną Temu, co z krzyża prosił o kroplę wody na spiekłe wargi

Pod sklepieniem tyłu świątyń wściekli *mashorqueros* rozjuszeni słowem kaznodziei, wywijali nożami i przysięgali iż je wyostrzą na gardłach unitaryuszów.

Konfesyonał przeobraził się także w szkołę propagandy federalnej, gdzie można było krzywić sumienie penitenta, przedstawiając mu Rozasa jako ulubieńca Bożego na ziemi, a unitaryuszów jako potępionych, wydanych na prześladowanie chrześcijanom . . .

Zgorszenia takowe w codzienny wprowadzone obyczaj, szerzyły się jak morowa zaraza w powietrzu, jad swój niosąc i skażenie pomiędzy duchowieństwo, trując wszelkie pojęcia moralności i świętości aż do ostatnich rzeczypospolitéj krańców.

Jeden z walecznych oddziałów krucjaty wyzwolenia rozbitym został przez federalne siły i przypartym do gór. Za nimj śmierć od nożów Rozasa. Przed nimi zaguba w śniegach Andów. Straszne

to było widowisko, to wkroczenie w dziedzinę natury, gdzie ona w uniesieniu swojego gniewu zasiada wśród lodów, i karą grozi zu-chwałój śmiertelnika stopie, coby się poważyła stąpić tam kędy tylko słoneczny promień lub wichru skrzydło dosięga. A jednak waleczni rzucili się w śnieżyste zasy. Mnóstwo ich ginie w straszliwej z naturą walce, pogrzebani pod ogromnemi lodów zwałami staczającemi się na ich głowy. I kiedy powietrze, światło, lody i gład olbrzymi może z podziwu nad tak wielką śmiałością, nad tém niezczęściem okropném, milczą, u stóp Andów prowincje *Cuyo* ryknęły wtórem do głosu swego pasterza, który wznosił w górę pastorał podniecając ludy do ścigania niedobitków, wołając o śmierć ich i wytepienie!

A barbarzyńiec rad z otrzymania pożądanego skutku swojego planu, pisał w swoim religijnym stylu do biskupa w *Cuyo* list, który nam przechowały egzemplarze urzędowej *Gazety*:

„Rzucając sprawiedliwą klątwę na dzikich unitaryuszów, świętokradzkich wrogów Boga i ludzkości, Wasza Eminencya daje przykład wielki, wspaniały. Otóż to jest prawdziwe chrześcijańskie miłosierdzie, energiczne i szczytne dla dobra ludów, *pragnące wytepienia* bandy bezbożnej, barbarzyńskiej, drapieżnej. . . i t. d. i t. d. Juan Manuel Rozas.“

Zatém: duchowieństwo było skażone, uczucie religijne zwichnięte w społeczeństwie, niemowlęta otwierały oczy na światło dzienne wśród religii mordów, a Rozas, poród federacyi i jój piastun zarazem, podtrzymywał ten skandal i sam się na nim opierał.

Tak: w wyrazie tym *federacya* zawarta pamięć wszelakiego złego jakie splamić może imię i dolę narodu! Nie ma stopnia zbrodni, nie ma rodzaju zbrodniarza jakiby się nie podniósł z każdego z ognisk powstałych pod tém hasłem.

Quiroga, ten bandyta, którego wieki potomne poczytają za bajeczny utwór naszych podań, Quiroga, co ogień podłożył pod rodzinne miasto, co nad głowami ludów przeleciał niby krwawy komet, który przez ciąg życia od zbezczeszczenia dziewicy do zamordowania starca i niemowlęcia nie pozostawił próżnym żadnego z nieskończonych szczebli przestępstwa, i przesycony naigrawanem się z ludzi, zapragnąwszy urągać się Bogu, na czarnej chorągwi wypisał: *Religia albo śmierć!* ów Quiroga mianował się federalistą i z imieniem federacyi przekazał potomności niesłychane zbrodni dzieje; Lopez, kradzieżą i podstępna chytrąścią przedstawiciel dzikich plemion; Ibarra co ukrytych pod własnym dachem przyjaciół swoich włókł w ręce kata; Aldao, mnich Aldao, którego zazdrością paliło zbrodnicze Quirogi życie i z gorączkową żądzą występku silił się prześcignąć rywala i przyćmić jego sławę; Rozas który streścił w sobie popędy wszystkich poprzednich i niemi usystematyzował swój rząd ugruntowany na zbrodni, nią żywiony i kierowany: wszyscy oni przyjęli chrzest swój publiczny w tój krwi kałuży, którą zwano federacyą rzeczywospolitych.

Argentyńska historia nazwę tę wykladać będzie nie inaczej, tylko jako hasło buntu, zamachu uknutego przeciw postępowi i swobodzie narodu.

Federacya jako systemat nigdy nie weszła w zastosowanie w rzeczypospolitej, ani jój nigdy nie zażądały ludy, które jedyny raz do głosowania powołane przyjęły konstytucyę unii. . . .

„Unitaryusze na zbyt są oświeceni stosunkowo do naszej ludności,“ — powiadali federaliści w czasie rozpraw konstytucyjnych, — nie mogą jój przewodniczyć, gdyż ona nie podążyłaby za nimi w rodzaju ich cywilizacji.“

Lecz jednocześnie żądali by ludność sama sobą rządziła i stanowić swoje prawa. Jak gdyby naród tak zacofany iż drugich oświaty nie rozumie, mógł być zarazem dostatecznie posuniętym, by nadać sobie najtrudniejsze warunki politycznego życia: prawodawstwo i rządowe zasady!

Federacya nie była nigdy w rzeczypospolitej jak tylko wadą organiczną, którą chcieli w nię zaprowadzić przywódcy wywyższeni pod tarczą ciemnoty ogólnej. . . I otóż jakie są w całości dzieje tego ludu. Od 1811 roku, wojny domowe, zbrodnie urzędowe, wsteczność, zatamowanie żywiołów postępu jakie kraj ma w sobie, jednym słowem upadek narodu: to wszystko zawdzięczamy tym, którzy podnieśli sztandar federacyi. Ile zaś chlubnej tradycyi rzeczypospolita posiada, w wojskowości, prawodawstwie, w cnotach, nauce, literaturze, to jest przywiązane do imion składających argentyńską martyrologię wypisaną sztyletami federalistów.

Im dalej odbiega historia od rozkiełzanego życia przywódców federacyi, im więcej zbliża się do naszej jutrzeźki politycznej, tém jaśniej promienieje myśl zjednoczenia na czołach pierwszych naszych patryotów. Byli oni unitaryuszami: chcieli ześrodkowania władzy ogólnej w rzeczypospolitej. Inni w opiniach swoich posuwali się dalej: byli monarchistami. Republikę przyjmowali jako fakt pod naciskiem okoliczności spełniony, podtrzymywali ją orężem, popierali jój rozprzestrzenienie na kontynencie; lecz z osobistych przekonań monarchia konstytucyjna była ich serca ideałem, — monarchia, jedyny rząd do jakiego nas zostawiła przysposobionemi metropolia, konstytucya, ostateczny wyraz amerykańskiej rewolucyi. Według nich, ludom Ameryki dla spełnienia wielkich swych w świecie przeznaczeń, koniecznym było zerwać wiekowe więzy przykuwające je do monarchii obcej i zacofanej; lecz ani losy, ani społeczne potrzeby tych ludów nie wymagały zerwania z zasadą monarchiczną. Owszem, rasa, wychowanie, obyczaje, wrodzone popędy i stan społeczny, wszystko domagało się zachowania téj zasady, a jeograficzne względy, ziemia sama, były wyrazem jednéjże co ludów potrzeby.

Lecz rewolucya skrzywiła się, błędny wzięła kierunek, obalając tron iberyjski podcięła korzeń monarchiczny, i z powierzchni gruntu wyrosł bez korzeni, lecz ponętny i uroczy, ideał polityczny, co go zowią rzeczpospolitą.

Zostawał jeszcze środek do powetowania sobie krzywdy jaką przynosiła utrata téj zasady, a środek ów polegał na jedności rządu w rzeczypospolitéj. Lecz jedność ta poświęcona przez argentyńskich Atyllów, co z głębi dzikich wypadają pustyń, kopytami rumaków swoich, poroztrzicali tablice na których zaczęły się wpisywać najpierwsze zgłoski naszej rewolucyi społecznej.

Przybrali miano ludów. Wyobrazili sobie że federacya jest to wolność robienia co się komu podoba, i każdy robił to co Aldao, Quiroga, Lopez, Rozas i im podobni.

I we wszystkich swoich sprawach prawie żaden z nich nieomieszkął obrócić religię na narzędzie swojej osobistój ambicyi.

Ostatnim ze wszystkich który ją w ten sposób zużytkował, był Rozas, lecz pierwszym, bez zaprzeczenia, w wielkości zbrodni.

Inne zgromadzenia męzkie a nawet żeńskie dawały widowisko objawów politycznych wręcz sprzecznych z duchem miłości. z uczuciem pokoju i braterstwa, jakie z wyrzeczeniem się światowych namiętności ślubowali Bogu.

Ci bracia i siostry w Chrystusie radośnie przyklasnęli zwycięstwem Rozasa, a jednak to krew bratnia, Ablowa krew pociekła w téj walce! . . . I drukiem hołdowali najbezbożniejszemu i najkrwawszemu z tyranów, i bluźniercze ich usta ku Bogu wznosiły modły o nieustanne powodzenie! . . .

W Kochinlinie, w Tybecie, w pustyniach Afryki i w Indyi dziewiczych lasach wśród płazów olbrzymich i dzikich bestyi, kapłan Chrystusa nie zna bojaźni. Idzie ich tam dziesięciu a powraca jeden, z powieścią o męczeńskiej śmierci braci, i na ich miejsce idzie dziesiątka nowa i setki za nimi, roznosząc słowem, ofiarą, męczeństwem, świętą propagandę, której dziewiętnastowiekowy czas przebieg nie położył kresu.

Nowemu światu, Kolumba zbudzonemu ręką i wyniesionemu pod światło cywilizacyi starego ładu, najpierwsze promienie padły z czystego i jasnego Ewangelii ogniska, wdzierając się w samotne siedziby i w ciemne mroki sumienia szorstkiego pustyń mieszkańca. Tam apostołski misyonarz ustawiał kazalnicy wszędzie gdzie tylko czterech mógł znaleźć słuchaczy, i gdy mu w uchu świstały strzały, i płomień stosu oko zaćmiewał, on serce wznosząc ku Bogu, nie przestawał głosić Chrystusowego słowa, które mu śmierć częstokroć w ustach na pół przecinała, i mówił, i konał, nie znając bojaźni. Bo życie ziemskie, życie cielesne, nie jest ono życiem kapłana krzyża. Żywotem jego duch, światem niebo, królestwem wieczność, powołaniem męczeństwo, nagrodą radość ukorzonej duszy przed Stwórcy obliczem, jaśniejącem miłością dla syna godnego tak wielkiego daru.

Nie, bojaźń nie jest żadnem usprawiedliwieniem dla tych bezbożnych kapłanów. Przed Bogiem nie usprawiedliwią się bojaźnią z apostołowania mordów, z apoteozy mordercy całego narodu, świętokradzcy, buntownika przeciw wszelkim najświętszym Wszechmócnego natchnieniom, wygłoszonym przez ludzkie usta Odkupiciela świata.

Jeżeli była bojaźń, to dlatego że nie było wiary, nie było poczucia swego apostołstwa na ziemi, a nie było dlatego, że zepsucie téj epoki jadowitemi kroplami przesiąkało stare mury naszych klasztorów, zatrąwało powietrze i zarażało sumienia. . . !!!

I nazajutrz po dniu, w którym rewolucya albo natura w proch ciśnie czoło tyрана, i lud bez kajdan się obudzi, oh! wtenczas nie dotykaj jego sumienia, w duszę mu nie zazieraj, jeżeli chcesz zstąpić do grobu z jedném choć złudzeniem, z jedną nadzieją!

Lat dwudziestka nie przechodzi bez pozostawienia śladu na duszy młodych pokoleń. I tam gdzie nie widziałeś nic innego jak zgorzenie i zbrodnię, występki, apostazy i skażenie wszelkich pojęć dobrego jakie w sobie zawiera słowo i zastosowanie Ewangelii, przez czasy tak długie, tak ciężkie, tam już nie znajdziesz ni wiary, ni moralności. Tam to niezbędna będzie propaganda, i wytrwała praca przez czas równie długi, a w kierunku odwrotnym od wpływów jakie lud dziecięcy w kolebce wykołysały i rozwijały jego duch i uczucia.

A kiedy stróż zapłaczce nad narodem uspionym na wezglowiu swoich namiętności, ze skronią nie orzeźwioną rosą ożywczą wiary, imiona federacyi i Rozasa fosforyczném światłem błyszczyć będą na mgły tumanach rozwieszonych nad La Platą.

One bowiem w obliczu Boga i dziejów będą ziarnem kłakolu, z którego kiełkowały i bujne się rozrosły chwasty niemoralności i zgorzenia, posiewem którego gorzkie owoce zbierać i spożywać nietylko my będziemy, ale i synowie nasi!

* * *

Na małej kamiennéj ławce wśród gaju tukumańskich pomarańcz, siedziała siostra Marta Różańcowa, przeorysza kapucynek. Zakonnice przechadzały się po ogrodzie przytykającym do klasztorowego muru; jedna tylko siedziała obok przełożonej i z uwagą odczytywała jakieś pismo.

— Przepisane dokładnie — rzekła w końcu — a jak zredagowane! — Bóg nas oświeca swoim natchnieniem, siostró Marto, skoro mamy spełnić Jego najświętszą wolę — odrzekła matka przeorysza.

Rozmyślałam i radziłam się sumienia przez dni wiele.

— Ja zaś mogę zapewnić Waszę Wielbność, że całe zgromadzenie podziela te myśli.

— Zgromadzenie powinno tak myśleć jak jego przełożona; inaczej, byłoby to nietylko ubliżeniem winnego mi uszanowania, ale także niewdzięcznością, herezyą, nieuznaniem dobrodziejstw jakie zawdzięczamy prześwietnemu Restauratorowi. On nas obdarował żelazną kratą do przedsionka naszej świątyni; jemu winniśmy zagodzenie na naszą korzyść sporu z syndykem, od niego i jego rodziny codziennie otrzymujemy dary: biada nam gdyby go zabrakło! Zresztą inne zgromadzenia: S-go Franciszka, S-go Dominika i zakonnice reguły S. Katarzyny już nas wyprzedziły, i jeżelibyśmy pominęły tę okazyję, mogłybyśmy zarobić sobie na niełaskę. Powin-

szowanie zwycięstwa pod *Wielką Wierzbą* będzie trochę opóźnione, ale za to będziemy pierwsze w złożeniu naszych życzeń. Chcę tylko żeby je najprzód przejrzał Don Filipe Arana, i lada chwila ma tu przyjść ktoś od niego.

— To myśl wyborna, zdaniem mojem, gdyż nikt lepszej rady udzielić nam nie może jak ten mąż świętobliwy.

Zaledwie siostra Marya słów tych domówiła, gdy ozwał się dzwonek u furty, i zakonnica wbiegła do ogrodu oznajmiając iż się pytają o matkę przeoryszę.

Ksieni powstała natychmiast i poszła do koła: tam się znajdował Don Candido Rodriguez.

Po prawdziwym wstępie, *Ave-Maria* i t. d. tak przemówił:

— Najjaśniejszy pan wice-gubernator, radca tajny, doktor Don Filipe Arana, przysyła mię by powitać Jój przewielebność matkę przeoryszę i całe święte zgromadzenie tego klasztoru, i zapytać o zdrowie Jój przewielebności i całego świętego zgromadzenia.

— Z łaski Boga cieszymy się zdrowiem i modlimy się za zdrowie pana ministra i wszystkich pozostających w łasce Ducha Świętego, — odrzekła matka przełożona według statutów swojej reguły, nie mogąc mówić inaczej jak z koła z wewnątrz.

— Najjaśniejszy pan wice-gubernator rozkazał mi złożyć dziękczynienie Waszój wielebności za pasztety i za konfitury. Były wysmienite: smakowały panu ministrowi.

— Bardzoim rada. Jutro poszlemy mu torty. I panu także jeden poszlemy: mieszkaś pan w domu ministra?

— Nie, matko przeoryszo, mieszkam w moim własnym domu. Jestem niegodnym sekretarzem pana ministra. Lecz w miejsce tortu, większą jeszcze nierównie wdzięczność przechowałbym w sercu na wieki, gdyby Wasza przewielebność i święte zgromadzenie raczyło wznieść ku niebu pobożne modły o spokój i bezpieczeństwo mojego życia, wśród odmetu przewrotów które przezywamy.

— Alboż nie jesteś pan federalistą i sekretarzem Jego Ekscellencyi?

— Tak, matko przeoryszo, jestem jednym i drugim. Lecz się boję knowań nieprzyjaciół Boga i ludzi, a nadewszystko, matko przeoryszo, lękam się strasznie omyłek!

— Bądź pan spokojny, będziemy się modlić; jak się zowiesz mój bracie?

— Candido Rodriguez, rodem z Buenos-Aires, wieku lat 45, beżenny, obecnie poufny sekretarz J. Eks. pana wice-gubernatora, pokorny poddany Boga i sługa Waszój przewielebności i całego świętego zgromadzenia.

— Czy senior Dou Filipe nie dał innego jeszcze polecenia?

— I owszem. Zlecił mi odebrać od matki przeoryszyny list do Jego Ekscellencyi Restauratora wszystkich praw, bohatera wszystkich pustyń i wszelkiej federacyi.

— Oto są dwa. Proś usilnie pana ministra ażeby raczył odczytać drugi z uwagą i porobił poprawki, jakie uzna za potrzebne.

— O, dzieła Waszjej przewielebności muszą być zupełnie wykończone, doskonałe.

— Może pan chcesz przeczytać? to proszę głośno, bo ja lubię słuchać odczytane to co napisałam.

— Upodobanie to dzielają wszyscy mądrzy i wszystkie mądre tego świata, matko przeoryszo. Czytam więc:

„W Imię Jezusa. Prześwietny panie!

„Wznosimy modły do Boga nieba i ziemi, do króla królów, by zwyciężkie ramię Waszjej Ekscellencyi nową udarował siłą, na odniesienie nowych zwycięstw nad zapamiętałym wrogiem który kraj nachodzi: aby w proch był startym przez Waszę Ekscellencyą z pomocą Boskiej opatrności! We wszystkich modlitwach naszych błagamy Istność Najwyższą, ażeby wszystkie chwały Waszjej Ekscellencyi spełniły się bez narażenia Jego życia, ani drogiego zdrowia. I żebyś o Panie, ogarnięty promieniem miłości Bożej która w Tobie goreje, żył po wszystkie wieki dla szczęścia Twoich ludów.

„Takie życzenie w imieniu zgromadzenia całego biédnych kapucynek wznosi do niebios i przesyła Waszjej Ekscellencyi.

Siostra Marta Różańcowa niegodna przeorysza.”

— To przepyszne, matko; lepiej nie napisały i sam Don Filipe mimo swój ogromnej mądrości i nieporównanej wymowy!

— Czy tak? bardzo dziękuje. Proszę się tylko kłaniać panu ministrowi.

— A ja upraszam raz jeszcze o pamięć o mnie w modlitwach Waszjej Wielebności i żegnam Ją z całym świętym zgromadzeniem.

— Bóg z wami, mój bracie.

— O, tak matko, Bóg niech mnie nie odstępuje gdzie się tylko obróć—odrzekł D. Candido, i wyszedł z klasztoru zamyślony wolnym krokiem.

VI.

Don Candido postanawia emigrować.

Zaledwie nasz poufny sekretarz stąpił jedną nogą na ulicę, podczas gdy druga stała jeszcze na wysokim progu wielkiej bramy klasztornej, kiedy raptem kobieta z dużemi czarnemi lokami w największym nieładzie, w ogromnym szalu białym z czerwonymi szlakami, z wlekącym się końcem o kilka cali niżej od obrąbka sukni, ujęła go za ramię wołając:

— Ach, co za szczęście! Bogowie Olimpu drogą mię tą powiedli. O! teraz już nam nie straszne losy kiedy pana znalazłam.

— Seniora, jesteś pani w błędzie, — odrzekł zaczepiony w osłupieniu; — nie mam zaszczytu znać pani, ani się sądzę być Jój znanym, wbrew losom i bogom Olimpu.

— Ja pana nie znam? Tyś Pilades.

— Pani, jestem Candido Rodriguez.

— Nie, jesteś Pilades, tak jak Daniel jest Orestem.

— Daniel?!

— A tak; i jeszcze pan powiesz że go nie znam? Oto stoi przed panem Donia Marcellina, w której to domu brałeś pan udział w owej nadzwyczajnej tragedyi, kiedy

— Pani! na miłość wszystkich świętych, cicho: jesteśmy na ulicy.

— Ależ ja tak cicho mówię, że zaledwo sam mię słyszysz.

— Kiedyż — bo jesteś pani w błędzie, to omyłka... to nie ja jestem . . . nie ja . . .

— To nie pan jesteś? O, prędjéby Ulisses brzegów ojczy-
stych nie poznał, niżbym ja nie poznała moich przyjaciół, a zwłaszcza
gdy im niebezpieczeństwo grozi!

— Co? . . . niebezpieczeństwo?!

— O, tak na hekatombę wskazani, pan i Don Daniel! — za-
wołała deklamatorka podnosząc wskazujący palec do wysokości
oczu sekretarza, które się błąkały od nieba do ziemi, od mówiącej
do wnętrza bramy.

— Wejdz pani, rzekł w końcu wciągając ją za rękę pod bra-
mę klasztoru i sadzając obok siebie na ławce. — Cóż to jest,
co to za wróżby złowieszcze, mordercze, wartkim i szumnym pędem
z ust pani jak lawa hucząca buchają?.. gdzie ja panią znałem?

— Odpowiem: po pierwsze, poznałam pana pewnego poran-
ku w salonie mego protektora Daniela, a drugi raz ujrzałam przy
wyjściu z ciemnego krużganka w moim domu owej nocy, kiedy to...

— Cicho!

— Dobrze. Dodam tylko że w téj chwili ksiądz Gaete od-
prawia poobiednią drzémkę w moim domu.

— Bodajby się obudził w piekielnój otchłani!

— Cicho!

— Mów, zacna niewiasto, mów; cóż więcéj?

— Otóż podczas obiadu złożeczeństwa miotał na pana i na
Daniela. Ręką wywijał większy niż Brutusa sztylet; i wśród przy-
stępu Orestesa szaleństw, poprzysiągł prześladować was z większą
zaciekłością niżeli Montegu Kapuletów.

— Zgroza!

— To nie koniec. Zaklął się, że od dzisiejszego wieczora on
i z czterema będą na was czatować dla zamordowania gdzie was
natrafia.

— Od dzisiejszego wieczora!

— O! w obec zamiarów Gaety niczem jest ów wiersz Kreona:

Umrę, umrzesz, umrą oni:
Smierć wszystkim i zagłada!

Znasz pan *Argie*, Don Candido.

— Dajże mi pani pokój z komedjami! — jęknął Don Candido przeciągając dłoń po czole zimnym potem oblanym.

— To wcale nie komedia, ale okropna tragedia.

— Czy okropniejsza być może nad moją, święty Boże!

— A co najokropniej, to że pan i Daniel będziecie niewinne ofiary Jowiszowi poświęcone.

— Niewinne? Ach przynajmniej ja niewinny! Lecz widzę iż w przeznaczeniu mojem jest coś osobliwego, dziwnego, fenomenalnego. Jak wąta łódeczka na igraszkę fal rzucona kołuje błędnie wśród skalistych wypadków. O fortuna! fortuna! nie twoja to wina ale moja raczej, bom ja opuścił mój zawód, który dziśby mi służył w osobach uczniów moich za mnogie zbawienia kotwice! Bo trzeba wiedzieć pani, iż byłem nauczycielem początków i zaprowadziłem jak najlepsze metody u siebie; o ósmiej zaczynała się klasa, o dziesiątej dziatwa szła na wypoczynek póki ja śniadałem: ranny mój posiłek bywał to zazwyczaj rosół, jaja, i kawa z mlekiem, bez wina rozumie się, bo trunek ten przytępia władze umysłowe, i dla tój to przyczyny Anglikom brak pojętności; potem klasa aż do pierwszej, a wtedy dzieci rozchodziły się do domów a ja przesypiałem się nieco, nie tym snem piekielnym który księzda Gaete trapić musi rojem syczących, jadowitych gadzin...

— Cicho! I tu nas mogą usłyszeć! Żyjemy na wulkanie, a ja, jakkolwiek kobieta, należę do najbardziej skompromitowanych istot przez moje dawne stosunki i polityczne przekonania. Znasz mój pan?

— Nie, pani, ani znać nie pragnę.

— Otóż ja jestem skompromitowana od dawna. Wszyscy moi przyjaciele stali się ofiarami. Zbliżyć się do mnie i nad głową swoją mieć zawieszony nóż anioła niszczyciela, jest jedno i to samo. Ja, moi przyjaciele, i los zawistny, tworzymy trzy jedności tragedyi klasycznej, według tego jak mi wykładał wielokrotnie słynny poeta Lafinur, wiedząc iż niczem większej przyjemności, mi nie robi jak lekcją literatury. Tak, dość tylko żebym z kim mówiła, już ten niechybnie staje się nieszczęścia pastwą.

— I dopiero teraz powiadasz mi to pani?— rzekł Don Candido chwytając za kapelusz i indyjską trzcinę które był na ławce złożył, i zabierając się do odejścia.

— Wstrzymaj się, domniemana ofiaro!— zawołała Marcellina.

— Ja? przy pani?

— A cóżby się stało z życiem Daniela i pańskim, gdybym ja na skrzydłach litości nie przyleciała dla ostrzeżenia o tém co wam zagraża?

— A cóż się zemną stanie, jeżeli dłużej będę rozmawiał z panią?

— W każdym razie umrzeć musisz. *Fatum* niezblagane!

— Niech je dyabeł porwie, i panią razem, senlora!

— Powściągnij twoje zapędy, zuchwalcze: niemówiąc ze mną, umierasz z ręki Gaety, mówiąc ze mną umrzesz z ręki rządu.

— Krzyż! — krzyknął rozpaczliwie Candido z wytrzeszczonymi w stęp oczyma i krzyżując dwa wskazujące palce swoich rąk.

— Bądź pani zdrowa!

— Stój! konieczność jedynie pędziła mię do domu Daniela, bogowie postawili cię na mojej drodze; odbioręż od ciebie przysięgę iż lotem ptaka dościgniesz go i uwiadomisz o katastrofie która wam obu zagraża?

— Tak pani, najdalej za godzinę będę z nim mówił. Ale w zamian, czy pani przysięgniesz że mię po raz drugi nie zaczepisz na ulicy, choćby niewiem co się stało?

— Klnę się na prochy przodków moich! — wyciągając rękę zawołała głosem jakby z próżnej beczki, a echo jej wyrazów rozbilo się o sklepienia bramy klasztoru Kapucynek.

Nieco później Don Candido szerokim krokiem przebiegał ulicę miasta, i z placu *25 maja* zostawiając twierdzę na prawo, schodził ku *Padolowi*.

Była już trzecia z południa, godzina w której czasu zimy mieszkańcy miasta nie zaniedbują nigdy dawnego zwyczaju wychodzenia na słońce, bez względu na to jakim politycznym wypadkom przyświecają blade jego promienie.

W topolowej alei tłoczyła się ciżba. Pięć strażów armatnich zagrzmiało z baterii ustawionych przy *Fadole* na *Retiro* od początków blokady. Co tylko krążyło po ulicach w tej chwili, zbiegło się dla sprawdzenia przyczyny uderzenia z dział.

Nie było w tém nic nadzwyczajnego. Podobne wystrzały prawie codziennie wywoływało zbliżenie się jakiejś *ballenerij* francuzkiej, która gruntowała rzekę, albo opatrywała miejsce umówione, gdzie pod zastoną cieniów nocnych przybije dla zabrania wychodźców. Ani jednego wszakże z tych statków nie potrafiły zatopić trzy ogromne baterie nadbrzeżne, i artylerzystom Rozasa pozostawała tylko uciecha z rozbijania kulami wzburzonych bałwanów wielkiej rzeki.

Na ten raz francuzka *ballenera* do której baterie z *Retiro* dały pięć razy ognia, nie wiadomo dla jakiej przyczyny przybliżyła się, korzystając z przybrania wód rzeki, prawie na strzał karabinowy od urzędu portowego. Tłumy cisnęły się na wielkich kamieniach nad przystanią.

— Przepływają mimo, — powiadali jedni.

— Wyróżnić ich jeżeli na brzeg wysiądą! — krzyczał Larrazabal.

— Podać mi lunetę! — wygłaszał rozkaz komendant Ximeno, do oficerów portowego urzędu.

— To wylądowanie! — wołali inni.

— Niechaj baterie ognia dają! — wrzasnął z konia jeden *członek ludowy*, górujący wzrostem nad ciżbą pieszą, konną i powozową.

Tymczasem *ballenera* swoje płótno żaglowe nagle w fałdy ściągnęła, o jakie sto sążni od brzegu, i z rudłem pod wiatr stanęła bokiem.

Wyczekiwanie było powszechne. Lecz łódź nie była jedynym przedmiotem zwracającym na siebie spojrzenie wszystkich.

O dwadzieścia kilka sążni od pobrzeżnych piasków sterczał nad wodą złom skały o czarnej lśniącej powierzchni, do którego dostać się nie można było inaczéj jak tylko przebywając tę przestrzeń w wodzie za kostki. Na téjto niby wyspie, najbliższéj od łodzi, zjawił się mężczyzna w długim białym surducie, z kapeluszem w jednym ręku, w drugim z trzcina indyjską, i niespodziewanie uwagę wszystkich zwrócił na siebie, bo nikt nie widział kiedy przebrnął przez wodę, a musiał to uczynić, gdyż jak to nadmienialiśmy, innego środka dostania się na skałę nie było.

Czytelnik już poznał naszego profesora-sekretarza, który opuszczając klasztorną bramę powziął stanowczy zamiar emigrowania, chociażby w wannie od kąpeli, jak sam się wyraził w długiej rozmowie przeprowadzonej z sobą samym.

— To tydzień twój *Candido*, — mówił do siebie stojąc już na kamieniu, — Opatrzność cię aż na te tutaj doprowadziła miejsce. Dalej-że, odwagi! Skoro tylko zbawcza ta nawa przysunie się bliżej, bięgnij, rzuć się, leć przez nurty rzeki i umieść się pod potężną opieką téj flagi.

Strach, najgorszy w świecie doradca, takie natchnienie zsyłał w serce naszego biédnego przyjaciela, nie dostrzegającego, że za plecami miał przeszło sto federalnych jeźdźców, którzy za pierwszym jego krokiem ku łodzi, jedném ukłuciem ostrogi w bok konia, we dwie minuty go obskoczą. I tak się stało.

Kiedy wszystkie spojrzenia przenosiły się z kolei od łodzi do nowego *Robinsona*, nagły huk armat wstrząsnął elektryczném uderzeniem nerwy słuchaczów i widzów, cztery wodne piramidy jedna za drugą podniosły się o nie wiele sążni od *ballenery*, a wrzask tysięcogłowej publiczności pochwalnie przywodził odezwaniu się baterji.

W téj chwili *ballenera* żagiel rozpięła, a że dla wykręcenia się na środek rzeki potrzebowała zrazu płynąć ku zachodowi, myśleli wszyscy że się kieruje ku kamiennéj tamie portu: mniemanie takowe najpiérwszy podzielał na nieszczęście nasz *Don Candido*. I żagiel rozwinać, i zejść z kamienia, i ruszyć w wodę za kostki, wszystko to było dziełem jednéj sekundy.

Lecz zaledwie nogi wstawił w tę improwizowaną kąpiel, kiedy *ballenera* zmieniła kierunek i ku wschodowi skrzyła sunąc lotnie pod południowego wiatru podmuchem. Jednocześnie, *Don Candido* roztwierał szeroko oczy i ręce nakrzyż składał: cztery konie podnosząc wodne tumany galopem na niego pędziły.

Don Candido obrócił głowę dopiéro gdy był już otoczonym przez czterech istotnych federalistów, na obliczu których nasz biédny przyjaciel wyczytał nieuchronnie ostatnią swoją godzinę.

— Wynosisz się? — zawołał jeden wznosząc nad głową nieboraka żelazną rękojeść ogromnej nahajki.

— Nie, panie, wracam, — odrzekł Candido składając machinalnie głębokie pokłony jeźdźcom i koniom, a raczej koniom i jeźdźcom, jeżeli mamy się ściśle trzymać porządku następstwa.

— Jakto wracasz? a przecież zabierałeś się brnąć w środek rzeki.

— Tak jest, moi znakomici federalni koledzy, wracam od pana wice-gubernatora, którego mam zaszczyt być sekretarzem.

— Wszakże chciałeś się dostać na *ballenere*? — pytał inny.

— Nie, panie, a niech mię Bóg broni! chciałem się trochę podsunąć, ile tylko można, żeby zobaczyć czy na spodzie łódź nie uwoziła ludzi, ażeby dać o tém znać bohaterom federacji obrońcom, i powołać ich do tryumfu albo śmierci za wszystkich synów jakich ma Buenos-Aires, i za pana Don Filipe i za jego czcigodną rodzinę.

Wrzaskliwe okrzyki na zagubę Francuzom a na chwałę federacji podniosły się po tej przemowie wśród tłumu marynarzy i innego pospólstwa, które brodząc w wodzie po kolana zbiegło się na widownią tej sceny, obiecując sobie tragiczne jéj rozwiązanie.

Komendant i starszyzna stojący na wzgórzu przy urzędzie portowym, nie mogąc wiedzieć co to takiego się stało, krzykiem i gwałtownymi gestami zwoływali konnych aby im przybyli zdać sprawę. A więc jeden z nich wciągnął naszego D. Candido za siebie na konia, zaciekle zgraja otoczyła ich hurmem, i tak w tryumfie prowadzili nieustraszonego sekretarza, który się heroicznie rzucił do wody, dla zbadania wnętrza francuzkiego statku.

Zbytecznym byłoby wymieniać pochwały i powinszowania jakimi został obsypany. Tego tylko przemilczeć niepodobna, iż pod pretekstem zamoczenia, bohater pożegnał co prędzej swoich czcicieli, i skutkiem reakcyi właściwej jego usposobieniu, słabość zajęła miejsce sztucznego męstwa, jakim się potrafił wydobyć z niebezpieczeństwa tak nieuchronnego; toż musiał wejść do najbliższego hotelu na filiżankę kawy, inaczej bowiem nie zdołałby dojść aż do mieszkania Daniela, by mu na oczy wyrzucić straszne następstwa politycznego życia w jakie go dobrowolnie wepchnął, i ostrzedz zarazem, iż życie ich obu może być prawdopodobnie na hekatombę poświęconém, — według słów Doni Marcelliny.

(Dalszy ciąg nastąpi).

Notatki kupca krakowskiego w podróży do Flandryi.

z r. 1401—1402.

Przez A. Pawińskiego.

Nie są rzadkością pergaminowe zabytki z przeszłości polskiej XIV wieku, do których przedewszystkiem zaliczyć wypada rękopisma naszych dziejopisarzy, dyplomata królewskie i książęce, listy nadawcze osób duchownych oraz wyroki sędziów ziemskich. Ale prawdziwie białemi krukami nazwać należy papierowe zabytki z tego stulecia. Takimi są w niewielkiej pozostałej liczbie akta sądów grodzkich i ziemskich, najdawniejsze niemal pomniki polskiego sądownictwa. Nazwał je A. Z. Helcel zapiskami sądowemi i część z nich ogłosił w swoim dziele, wydawszy w niem najstarsze dotyczące ziemi krakowskiej, które się z 1388 rokiem rozpoczynają. Są wszakże zapiski z téjże ziemi krakowskiej z lat jeszcze wcześniejszych, które się mieszczą przypadkowo wszyte do późniejszej książki Assesoryi koronnej w tutejszem Archiwum główném. Początek swój biorą już od r. 1374. Z końca XIV wieku, jak wiadomo, pochodzą także tu i owdzie zachowane Księgi ziemskie Brzeskie, Łęczyckie, Sieradzkie i inne. Liczba ich jest bardzo szczupła.

Cokolwiek przeto powiększa poczet tych papierowych pomników, staje się ważnym, choćby tylko archeologicznym nabytkiem. Ponieważ dotychczas znane z końca XIV i po-

czątku XV wieku głównie się do jednego rodzaju odnoszą, są to bowiem akta grodzkie i ziemskie, radzieckie i wojtowskie, o ileż cenniejsze i ciekawsze być muszą te zabytki, które pozwalają nam bliżej przypatrzeć się nie stosunkom sądowym ale innej stronie ówczesnego życia.

Mamy przed sobą kilkanaście kartek zapisanych ręką kupca krakowskiego. Nie jeden zachował się w nich szczegół uwagi godny, wyjaśniający dzieje handlu krakowskiego z początku XV stulecia, o którym tak szczupłe i nie dokładne posiadamy wiadomości. To co się zgromadzić dało, zebraném zostało przez tych, co albo o polskim handlu w ogóle lub w szczególności o krakowskim rozprawiali. Pisma jednych i drugich wyczerpującej nie przedstawiają całości. F. Jekel (1), lubo najobszerniej się zastanawiał nad swoim przedmiotem, należy do odleglejszej epoki, której nie były znane w nowszych czasach ogłoszone źródła. T. Hirsch (2), gdy pilne swoje badanie poświęcił dziejom handlu gdańskiego z okresu panowania zakonu krzyżackiego, mógł o polskim tylko ogólniejsze podać wiadomości, o ile takowe dla związku z historią handlu gdańskiego potrzebnymi się okazały. Główném dla Giżyckiego (3) źródłem, z kąd czerpał wiadomości o stosunkach handlowych Polski z ościennymi krajami, była, jak sam w przedmowie wyznaje powołana wyżej praca Jekla. Z Bandtkiego (4) nie wiele skorzystamy, gdyż ten nad jedném się tylko zastanawia pytaniem, czy Kraków należał kiedy do wielkiej Hanzy? Rozprawka Zarzyckiego (5) nie obfituje w szczegóły, przytém głębiej w przedmiot nie wnika. Otóż i cały ten nieliczny poczet pisarzy i pracy ich plon nie zbyt bogaty.

A jednak przedmiot ten, dzieje polskiego handlu a w szczególności Krakowa do XV lub XVI wieku, dla wielkiego zajęcia jaki budzi, dla niemałej swęj wagi i na jaw nie wydobytych źródeł zasługiwałyby na pilniejsze rozważenie. Byłaby to wielce ciekawa rozprawka, któraby wykazać się stara-

(1) Pohlens Handelsgeschichte. Wien und Triest 1809.

(2) Danzigs Handels und Gewerbsgeschichte. Leipzig 1858.

(3) Wiadomość o stanie handlu i przemysłu w Polsce w wiekach dawniejszych. Stanisławów 1846.

(4) Rocznik Tow. nauk. krak. 1817.

(5) Wiadomość o handlu miasta Krakowa, rok?

ła, czem był Kraków pod względem przemysłowo-handlowym za czasów Kazimierza W., Ludwika, Władysława Jagiełły. Musiało być to miasto, ówczesna Polski stolica, ważnym ogniskiem handlowego ruchu już z powodu swego geograficznego położenia, już też w skutek opieki, jaką Kraków darzyli królowie polscy zaczawszy od Władysława Łokietka, który w 1306 r. skład towarów ustanowił w Krakowie, tak iż żaden z kupców zagranicznych towary prowadzących nie mógł omijać Krakowa. Kazimierz W. dbał wielce o swoją stolicę, która jako ognisko handlu coraz więcej się wznosiła, ile że w ciągu długoletniego jego panowania kraj cały trwałego niemal zażywał spokoju, po miastach krzewił się przemysł, mnożyło się bogactwo narodowe a kupiec przewożący towary cieszył się większym oszczędnością i dobytku bezpieczeństwem. Ożywiający się w ościennych krajach Polski handel i przemysł ułatwiał zagraniczne stosunki Krakowa. Węgry pod Karolem i Ludwikiem doznawały większej pomysłowości, na Morawach i w Czechach pod rządami Karola IV wzrastało bogactwo krajowe, na Szlązku Wrocław rośl w coraz większą potęgę handlową, miasta pod panowaniem zakonu, mianowicie Toruń i Gdańsk rozpoczynały dobę swego rozkwitu, a wielka Hanza coraz rozleglejsze torowała drogi handlowe na lądzie i na morzu. Leżał Kraków na głównym trakcie handlu posuwającego się z wolna ku Wschodowi. Zresztą, jak się już powiedziało, był ogniskiem handlowego ruchu w granicach ówczesnej Polski. Z obu więc względów podnosiło się znaczenie Krakowa. Można przy pomocy współczesnych źródeł wykazać to krzewienie się stosunków krajowych i zagranicznych; zapewne w archiwum miejskim Krakowa znajdują się te różne ksiąg polskich i zagranicznych nadania, przywileje, które na jaw wydobyć z tyłowiekowego zamknięcia jest obowiązkiem miejscowych uczonych. Naszym zadaniem tu być nie może szerzej rozprawiać o stopniowym podnoszeniu się handlu krakowskiego, gdyż wzmiankowanych źródeł nie posiadamy. Poprzestaniemy w tym względzie tylko na wskazówkach, gdyż mamy przed sobą urzędowy kopjaryusz, sporządzony w Krakowie w XVI wieku, w którym wszystkie przywileje, nadania z treści swój, roku i miejsca są przytoczone.

I tak w 1324 roku zawarli między sobą umowę Krakowianie i Koszycanie na Węgrzech, wzajemnie zapewniając sobie wolność handlu. Podobna umowa stanęła między Krakowianami a mieszkańcami m. Sącza (w 1329 r.), na mocy której kupcy sandeccy zobowiązali się towary swe do Torunia prowadzić przez Kraków, Krakowianie zaś swoje do Węgier przez Sącz. W 1358 r. uzyskali Krakowianie przywilej od Kazimierza W., który stanowi, aby kupcy sandeccy i inni zamiejscowi, prowadzący swe towary do Prus, Szlązka, Czech lub Moraw nie omijali Krakowa.

Stosunki handlowe sięgały jeszcze dalej. Rudolf IV ks. austriacki (a następnie i tyrolski) w r. 1362 otwiera Krakowianom wolny handel z Wiedniem i w całym księstwie austriackim z warunkiem wzajemności.

W końcu XIV wieku wstępuje Kraków w ściślejsze związki z miastami hanzeatyckimi. W r. 1390 znajdujemy wzmiankę o przywilejach, jakie uzyskał od Książąt pomorskich Świętobora, Bogusława i innych (1). W tym samym roku znachodzą się ślady, że miasta Greifswald, Szczecin zawarły przyjaźń z krakowskimi kupcami, którym zapewniają wszelką swobodę i bezpieczeństwo osób, pozwalają im w miastach swych przebywać, kupować i sprzedawać.

Z tych wskazówek niemylną czerpiemy wiadomość, iż handel Krakowa przywózowy i wywózowy rozciągał się w zachodnim kierunku do Greifswaldu, Szczecina i Wiednia, więc do ujścia Odry i środkowego Dunaju. O Toruniu i Gdańsku, o czém Hirsch dokładnie podaje szczegóły, zbytecznym byłoby wzmiankować. Nie brak podobnie wskazówek, które nas objaśniają co do krańców handlu we wschodnim kierunku. Lubo na téj drodze leżał Lwów i współzawodniczył z Krakowem, zawiązywał jednak mimo to Kraków stosunki z odleglejszemi miastami na Rusi, łączył

(1) Cod. dipl. Raczyńskiego, 1390. CIV, przywilej w języku niemieckim Władysława Jagielly, który pod opiekę bierze kupców miast pomorskich, wzięty z transumptu znajdującego się w archiwum szczecińskim. Kopiaryusz wyżej wzmiankowany przytacza treść tegoż przywileju, który się zapewne w wiarogodnej kopii znajduje w archiwum Krakowskiem. W tymże kopiaryuszu przytoczone są dwa przywileje Bogusława księcia szczecińskiego, który daje Krakowianom w granicach swego księstwa zupełną swobodę przywozu i wywozu towarów.

się z Kijowem, a nadto, jak świadczy nadanie Ludwika Węgierskiego z r. 1371 (1), utrzymywał stosunki z Tatarami na Dnieprze (per Leopolim in Tartariam) i tym sposobem prawdopodobnie wchodził w związki z osadami Genuieńczyków nad brzegami morza Czarnego.

Więc w XIV wieku kupiec krakowski dążył z towarami lub po towary aż do Dniepru, Dunaju i Odry.

Nie tu wszakże jeszcze był kres ostateczny, u którego Kraków zawiązywał stosunki handlowe. Wiemy że w XIV i XV wieku główném ogniskiem handlu całego świata było miasto Brugge we Flandryi, dokąd ze wszech stron Europy ściągali kupcy drogą lądową z Francyi, Niemiec i Włoch. Miasto jednak na lądzie położone nie miało dostępu do morza, korzystano więc z przystani nadmorskiej Sluis (L' Ecluse, Schleuse, tj. szluz), z którą się Brugge łączyło za pomocą kanału. Okręta więc handlowe dążące do głównego ogniska—do Brugge zawijały do portu Sluis. W rzędzie miast, które dla Hanzy służyły jako miejsce zbytu i kupna towarów, najcenniejszém było jak wiadomo Brugge. Warsztaty całej przemysłowój Flandryi przysyłały tam swoje wyroby, a tkackie wyroby Brukselli, Gandawy i innych miast jako po Włoskich najpiękniejsze; ztąd przez Hanzeatów rozwożone do najodleglejszych krajów się dostawały. Nie ulega wątpliwości, że za pośrednictwem Gdańska i Torunia, wełniane wyroby z Flandryi przechodziły także i do Krakowa. Mamy między innemi na to dowód, że Spytek wojewoda krakowski w r. 1393 zobowiązuje się względem rajców krakowskich, iż od miasta nadal przy obiorze rajców miejskich, żądać nie będzie postawa sukna brukselskiego (2). Więcej nas wszakże zaciękawia pytanie, czy Kraków nie miał z Flandryą bezpośrednich stosunków, czy się i kupiec krakowski nie znajdował na rynku w Brugge? Hirsch mniema, że wywozowy handel polski sięgał za czasów Zakonu tylko do Torunia i Gdańska. Trudno jednak przypuścić, iżby Kraków, który jak z wyżej

(1) W kopiaryuszu treść podana.

(2) Kopiaryusz krakowski: *privilegium in quo Spitko palatinus Cracoviensis promittit . . . ac se obligat, quod amplius statum panni Bruxellensis ob consulum electionem postulare nolit, tactus videlicet rei indignitate et consancientia, quod ob rem tam piam nempe propter electionem aliquid minus accipere debet.*

powiedzianego wnioskować można, tak rozgałęzione miał stosunki, chciał używać pośrednictwa w przywozowym i wywozowym handlu jako zwykle droższego. Jakoż powątpiewanie nasze w tym względzie usuwa wiadomość, jaką podaje Długosz i szczegóły, które się w notatkach z r. 1401-1402 znajdują. Długosz (1) donosi bowiem, że Mikołaj Kurowski, arcybiskup gnieźnieński (1402-1411), głośny ze swych bogactw, co zebrał ogromne skarby w złocie, srebrze, klejnotach, zamkach, wsiach i folwarkach, wysyłał *ciagle* statki do *Flandryi* z mięsiwem i zbożem. Lepiej nas jeszcze obznajmiją ze szczegółami handlu wywozowego własnoręczne notatki kupca krakowskiego, z których główniejsze w przekładzie przytaczamy (2).

Roku 1402.

Item. Wyruszyłem z pomocą Boga z Krakowa do Flandryi dnia 15 Marca. (3)

Item. (4) Posłał z pomocą Boga pan mój Jan Slepkołg przeze mnie do Flandryi 44 sztuk lwowskiego wosku, a w Krakowie mają najlepszy. Razem 546 kamieni i 9 *zł.* Kamień kosztuje 1 grzyw. 6 groszy. Razem pieniędzy 614 grz. 15 skoje.

(2) Wyd. Lipskie, pod r. 1411, str. 314. *Illic magnas opes in auro, argento, geminis, castris, praediis, villis, mittendo frequentius naves, carne et frumento oneratas in Flandriam, pro fratribus et nepotibus suis quaesierat.*

(3) Notatki te pochodzą z Krakowskiego, są własnością prywatną; udzielone nam zostały łaskawie do tymczasowego użytku. Składają się z 2-eh zeszytów o 20-tu kartkach w formie podłużnej a wązkiej, w tym kształcie jak księgi ziemskie i radzieckie, zwykle *dudkami* nazywane. Papier zachował pierwotną moc swoją, w kilku tylko miejscach uszkodzony; podobnież i atrament, pod działaniem czasu gdzieniegdzie żółkły, odznacza się w ogóle pierwotną tuszową barwą. Znaki wodne, podobne do trzech krótko uciętych palców ręki, z których środkowy góruje nad innymi. Notatki pisane są wyłącznie w języku dolno niemieckim.

(4) *It. bin ich mit der hulfe gotis geczogin von Croko kein Flandirn a die XV in Marcio.*

(4) Item. *hot meyn here Iohannes Slepkołg mit der hulfe gotis mit mir gesant kein Flandirn XLIIII stuck lemborgisch vachs und dy habon ozu Croko lautirs gutis. Summa V o. XLVI lapid. IX zł. Item der steyn kostit I mark VI gros. Summa pecuniae VI o. XIII mark und XV soot gros.*

Item. Pan mój Jan Slepkočil posłał z pomocą Boga przezemie do Flandryi 107 cent. miedzi ważonej w Krakowie, centnar kosztuje 2 grzywny.
Razem pieniądze 214 grzyw.

Item. Pan mój Jan Slepkočil posłał z pomocą Boga przezemie do Flandryi 35 tysięcy czarnych węgierskich skórek, a tysiąc kosztuje 13 grzywien.
Razem pieniądze 438 grzyw.

Item. Mam odebrać z należności pana mego Jana Slepkočil od Spółki Ulryka Kamerones w Kolonii na najbliższe Zielone Świątki, jako na to mam weksel Klause (Mikołaja) Ceisinger.
Razem pieniądze dobrych reńskich złotych 2500.

Item. Dał mi mój pan Jan Slepkočil na koszta przewozu do Pruss w Krakowie 8 marca.
Razem 23 grzywny srebr. bez jednego wiarunka w Krakowie ważone w jednej sztuce.

Item. Poniosłem wydatki na rzecz mego pana Jana Slepkočil w *Toruniu* od dnia 29 marca i wydałem ze srebra 2 grzywny 8 skojców pruskich, a sztuka srebra ważyła w *Toruniu* 23 grzywny i 9 skojców.
Razem pieniądze 54 grzywny 3 skojce bez 10 fenigów pruskich.

Wydatki w Toruniu.

Wydałem na poczet pana mego Jana Slepkočil w *Toruniu*.

Item. Primo. Dałem za miedź za przelozenie do beczek i za beczki, za przewiezienie do statku i za przeniesienie na statek.
A beczek z miedzią było 25.
Razem pieniądze 2 grzy. pr.

Item. Dałem za 44 sztuk wosku za wszystkie za ładowanie, za włożenie (w beczki?), za przewiezienie na statek i umieszczenie na statku.
Razem pieniądze 1 grz. 8 sk.

Item. Dałem za 3 faski (beczki) ze skórkami za obicie obręczami, za przewiezienie i umieszczenie na statku.

Razem . . . 6 sk.

Item. Dałem za przewóz za miedź od Torunia do Gdańska od jednego łasztu miedzi 14 skoj. prusk. a 107 centnarów miedzi stanowią 3 łasztu i $\frac{1}{3}$ część łasztu.

Razem . . . 1 g. 3 w. 4 sk.
i 20 fen. pr.

Item. Dałem za przewóz za wosk, od łasztu wosku 16 skoj. a 44 sztuk wosku uczyniły 4 łasztu i 2 sztuki wosku.

Razem . . . 2 grz. 6 sk.

Item. Dałem za przewóz za beczki od Torunia do Gdańska za 1 \mathcal{L} okrętowy skórek 4 skoj. pr. za 3 beczki

Razem . . . 11 sk.
Razem 8 grz. 11 sk.

Wydatki w Gdańsku.

Wydalem w Gdańsku na cło (1) za towar mego pana Jana SlepkoGil od grzywny pruskiej po 6 fenig. i porachowałem towar mego pana Jana SlepkoGil 1012 kóp groszy, co czyni na pruską monetę 1434 grzyw. prusk. a *grosz po 17 fenigów.*

Razem wydatku na cło w Gdańsku . . . 11 grz. 3 sk.

Item. Dałem od 20 sztuk wosku i 1 beczki ze skórkami w tejże za przewóz

Razem 3 wiardunki pruskie czyli. . . 15 sk.

Item. Za wyladowanie towaru w Gdańsku.

Razem 8 skojców prusk.

W drugim zeszytcie znajdujemy jeszcze tą samą ręką pisane notatki i niewątpliwie do poprzednich należące, mieszczą się zaś od-

(1) Pfundgeld albo Pfundzoll, cło pobierane przez Hanzeatów.

dzielnie dla tego, iż jak się z treści przekonać można, osobny dział stanowią.

Roku 1402-go.

Item. Posłał z pomocą Boga przezemnie do Flandryi Piotr Behme 1 beczkę z jego wyrobami, a w niej się znajduje 25 kamieni wyrobu wełnianego (1) krakowskiej wagi a przytém (...?) a także w niej jest i płótno i kanafas (płótno żaglowe) i przytém 2 soroki (liczba skórek), z tych jedną mam dać Arnoldowi Polkas a drugą sobie zatrzymać, daj Panie Boże szczęśliwą drogę a wyrób wełniany kosztuje razem 500 kóp groszy.

Item. Dał mi Piotr Behme w Krakowie do przewiezienia do Flandryi 16 marca 15 francuzkich koron, 1 franka francuzkiego, 1 angielskiego nobila.

Item. Otrzymałem z należności w Toruniu Piotra Behma na koszta przewozu pomienionego towaru od Jana Hytselt. 25 marca.
Razem 5 kóp. grosz. szer.

Item. Za przewóz ołowiu z Torunia do Gdańska od łasztu 14 skojców, pr. i 1 skojec. . . . a 78 sztuk ołowiu czyni 9 łasztów a Krakowskiej wagi było 300 centnarów.

Razem 5 grz. 7 skoj. prus.

(1) Item hot der Petir Behme von Croko mit der hulfe gotis gesant mit mir kein Flandirn 1 fas von seyne gewerk dorynne ist XXV lapseyde crokisch gewicht und dorbey und dorynne leynen und Kanafas und dorbey II sorroken der sol ich Arnold Polkas ein geben und mir den andirn beholden got geybe beholdene reyso und kostet dy seyde summa 500 schok gr.

Obawialiśmy się wyraz seyde wytłumaczyć słowem jedwab', nie mając zkadinał wiadomości, że w Krakowie tkano wyroby jedwabne. Postawiliśmy natomiast „wyroby wełniane”, gdyż cieńsze tkaniny wełniane nazywano *Saye*, a drugi rodzaj Arrasem czyli Raszem (Hirsch 250). Lubo sukno mierzono na postawy a nie na kamienie, bywały jednak także wyroby tkackie, których cenę obliczano na wagę. I tak płótno sprzedawano na centnary a centnar zawierał 100 łokci. Tym sposobem w tekście pomieszczone *Seyde*, zważone na kamienie, może jest *Saye* owym cieńszym wełnianym wyrobem. Cena, jaka na łokieć przypada według powyższej ceny, zdaje się zgadzać z rodzajem wyrobu.

Kanafas właściwiej Kannefas, t. j. płótno żaglowe.

Soroki (40) liczba skór. W następnych notatkach zawsze jest mowa o sorokach gronostajów, popielio i in.

Item. wydałem w Gdańsku na cło za towar Łukasza Wochner od grzywny pr. płacąc po 6 fen. a towar wart jest 198 kóp gr., co czyni na pruską monetę 280 grz. 7 (właściwie 12 skoj.) sk., a grosz po 17 fenigów.

Razem pieniędzy za cło w Gdańsku 2 grz. 8 sk. pr.

Tusią kończy spis towarów i wydatków podróżnych. Systematyczny i porządny w swych rachunkach kupiec nie omieszkiał zamieścić także wiadomości, kiedy stanął u kresu swojej podróży. Po siedmiu tygodniach przybył szczęśliwie do Flandryi przy pomocy Bożej, o którą nawet w ciągu swoich notat nie zapomniał prosić i składa Panu Bogu podziękowanie następującemi słowy:

Item. Przy pomocy Boga przybyłem do Sluis we Flandryi w wigilią Ś-go Jana (w Oleju) 5 dnia w Maju na dziesięć dni przed Zielonemi Świątkami. Chwała i dzięki Bogu i Jego kochanej Matce pannie Maryi (1).

Jakoż w roku 1402 Zielone Świątki przypadały na dzień 14 maja, więc od 5 maja licząc włącznie czyli od dnia Ś-go Jana zostawało do Zielonych Świątek dni 10.

Winniśmy dać jeszcze kilka objaśnień, nim do wyprowadzenia pewnych wniosków przystąpimy.

Z przytoczonych już notat okazuje się, że właściwie firmowym kupcem był Jan Slepkočil, którego swoim panem nazywa autor notatek. Wiadomo, że zamożniejsi kupcy sami swych spraw handlowych nie załatwiali, lecz wyręczali się pomocnikami, używając ich wedle osobistych zdolności i zaufania do mniej lub więcej ważnych usług. Zwyczajni robotnicy Handelsknechte lub czeladź kupiecka trudnili się sprzedażą w sklepie, wysyłaniem, ładowaniem towarów. Do załatwiania kupna lub sprzedaży w odleglejszych miejscach używali kupcy podobnie jak i dziś komisantów, których albo od siebie wysyłali, albo zawiązywali stosunki z komisantami stale w pewnym handlowym mieście przebywającymi, np. w Toruniu, Gdańsku i t. d. Ci komisanicy posiadający odpowiednie pełnomocnictwa do tranzakcyj handlowych nazywali się Lieger.

(1) Item. Bin ich mit der hulfe gotis komen kein der Slausen in Flandirn an synte Iohanis abende des V tagis in mayo oder X tage vor phinsten. Got und syne libe Mutir mayt Maria sey gelobit und gedanekyt.

Otóż i nasz podróżnik był komisantem tego rodzaju. Możem go zresztą nazwać po imieniu. Nazywał on się Henryk Smet, jak nas w tym względzie objaśniają inne notatki z 1401 i 1402 roku tą samą ręką co poprzednie pisane. Trudnił się on widocznie w Krakowie handlem na swoją rękę, jak się to później pokaże, i wziął z sobą towary do Flandryi oraz różne zlecenia od innych jeszcze kupców.

Z Krakowa wyruszył na kołach, bo dopiero później swój towar na statki ładował, i przybył do Torunia po dziewięciu dniach podróży, już bowiem, jak świadczą notatki, 25 marca odbierał należność od Jana Hytselta. Tu go zaskoczyły święta Wielkiénocy (26 marca), zapewne więc z początkiem kwietnia puścił się wodą do Gdańska, jak zaś długo tu przebywał nie wiemy. Popłynąwszy morzem przybył w pierwszych dniach maja do Flandryi.

Jest wątpliwém, czy wszystek towar został przewieziony do Flandryi, może część sprzedano już w Gdańsku, ale w każdym razie to zdaje się być pewném, że towary prowadzono bezpośrednio z Krakowa do Flandryi. Przedmiot wywozowego handlu Polski według powyższych notatek stanowiły воск, miedź, ołów, wełniane i lniane wyroby, i skórki z Węgier sprowadzane. Obliczmy przynajmniej przybliżonym sposobem wartość wywiezionych przedmiotów, a dość wysoka cyfra ztąd otrzymana nie mało nas zastanawiać powinna.

Jan Slepogil wysłał towaru razem			
za	1012 kóp gr.	=	1434 grz. pr.
Piotr Behme za	500 „	=	705 „
(nic licząc luianych wyrobów).			
Lukasz Wochner za	198 „	=	280 „
za 300 cent. ołow. po 17 sk.			
(według ceny podanej u Hirscha).			218 „
Razem			2637 grz. pr.

Polegając na ewaluacyi grzywny pruskiej z owych lat podanej przez Hirscha, na dzisiejszy pieniądz wynoszącej mniej więcej 4 tal. 10 sr. t. j. 26 zł. pol., otrzymamy ogólną wartość wywiezionego z Krakowa towaru.

11427 tal = 10264 rub. 30 kop. = 68562 zł. pol.

Na podstawie zamieszczonej w notatkach wiadomości o wartości polskiego grosza w stosunku do monety pruskiej, można także bliżej

oznaczyć wartość polskiej grzywny, co w obec niezupełnie dokładnej ewaluacji podanej przez Czackiego stanowi dość pewną podstawę przynajmniej na rok 1402. I tak grosz polski był wart w Gdańsku 17 fenigów, więc grzywna o 48 groszach wynosiła 716 fen. czyli niemal 1 grzywnę pruską (720 fenigów) a Hirsch podaje wartość grzywny pruskiej przecięciowo między 1397—1407 rokiem na 26 złp. Grzywna zatem polska na rok 1401 równałaby się wartości obecnej 26 złp. a grosz dzisiejszym 16 $\frac{3}{8}$ grosza.

Kopa groszy (60) równałaby się 1, 41 grzyw. pruskiej a więc na obecną monetę 36 złp. i 25 groszy; tymczasem Czacki podaje wartość kopy gr. między 1378 a 1419 roku na zł. 48. Różnica jest nie mała, powyższe jednak obliczenie oparte na dość pewnej podstawie przedstawiać się zdaje trafniejszą ewaluacją.

Dałaby się jeszcze oznaczyć cena wosku w Krakowie w r. 1402. Kamień 34 funtowy kosztował 1 grzyw. 6 groszy, czyli 54 groszy a więc funt 1 $\frac{1}{2}$ z górą groszy (1, 58) czyli na obecną monetę 25 groszy.

Pod rokiem 1401 znajdujemy inny mniej ważny rodzaj notatek tegoż samego Henryka Smet. Składa się on przeważnie z dwóch działów: debet i habet, obejmując wykaz długów i należności wzmiankowanego Smeta. Że co do tożsamości osoby nie jesteśmy w błędzie, poświadczają to notatki w ciągu kilkudziesięciu innych jednakowym charakterem pisanych w następujących słowach:

Item. *Ja Henryk Smet* jestem winien Piotrowi Behme w Krakowie, co ja Henryk Smet przy pomocy Boga mam zapłacić na przyszłe Boże Narodzenie.
Razem 100 grzywien gr.

Item. Wuj mój Maciej Arnsberg ma zapłacić z mojej należności *memu panu Janowi Slepkogil* z pieniędzy które otrzymał, jak to napisanem jest na tych kartach.
Razem 60 grzy. bez 1-cj grzyw. (1)

Ponieważ spis tych długów i należności (50 z górą notatek) ogólniejszego nie przedstawia interesu, poprzestajemy na przytoczeniu tylko kilku ciekawszych szczegółów.

(1) Item. bin ich Heinrich Smet schuldig dem Petir Behme ozu Croko, das ich Heinrich Smet mit der hulfe gotis dem Petir Behmen bezcalen sol of Wynachten ub neste komende

Summa I c. mark. gr.

Item. Sol meyn ome Mathis Arnsberg bezcalon von meynor leyn meynem herrn Iohanni Slepkogil von dis geld emphanigin hot, alzo her eingescriben stet in dessyn blate

Summa LX mark gr. minus 1 mark gr.

Z notatek widać, że Henryk Smet był w Toruniu przed swoją podróżą do Flandryi i po powrocie, że miał liczne stosunki handlowe z Toruniem, gdyż przytacza kilku kupców, którym winien summy, na co im był weksel wystawił.

Prócz tego wysyłał także srebro do Torunia, jak się z następnej notatki okazuje.

Item. Posłałem przez Jana Huppe do Torunia srebra 7 sztuk z *mojej kopalni* a takowe ważyły w Krakowie

Razem 62 grzyw. srebra bez 4 skojców (1).

Item (2). Augustyn Mylde winien Marcinowi Schult i mnie za 2 tuziny *spodni mechelnskich*, w półpoście ma być splecone, a winien jest jeszcze.

Razem 9 grzyw. 1 wiard. gr.

Item (3). Ja Henryk Smet winienem Henrykowi Apolsool w *Brugge*, co mu z pomocą Boga mam zapłacić na przyszły jarmark zimowy

Razem 1 \mathcal{H} gr.

Na tej samej kartce, gdzie zostało kawałek niezapisanego miejsca, późniejsza ręka umieściła następną notatkę:

Eneas silvio poeta de picolominibus sensis salutem plurimam dicit domino Johanui de Hayek nec non suis. Czyli: Eneas Sylvio poeta Piccolomini Sienneńczyk posyła liczne pozdrowienia panu Janowi de Hayek i jego rodzinie.

Ktoby był Jan Hayek, dla którego Eneas Sylwiusz następnie papież Pius II-gi (ur. r. 1405 † 1464) posyła pozdrowienia, nie wiemy.

W końcu podajemy jeszcze wiadomość o kilku notatkach innego kupca krakowskiego z lat późniejszych. Zeszyty, z których się wyjęło powyższe notatki, w części tylko zapisane, dostały się do rąk drugiego kupca w Krakowie, i ten na niezapisanych kartkach poumieszczał swoje rachunki dotyczące należności u różnych osób. Notatki zaczynają się od r. 1472 i ciągną się do 1498 bez porządku, naprędce pisane, jak gdyby tylko tymczasowo dla pamięci były do książki wciągnięte, wtedy gdy

(1) Item. habe ich mit Iohannes Huppen gesant kein Thorn silvir VII stuck silbirs von meynem gewerk und dy haben czu Croko goweygin

Summa LXII m. silbirs minus IIII scot.

(2) Item. Ist Augustin Mylde schuldig Mertin Schult und mir vor II *thozin* mechelischer hozin i t. d.

Wyroby sukienne z Mecheln we Flandryi.

(3) Item. Bin ich Heinrich Smet schuldig Heinrich Apolsool czu Bruok das ich ym mit der hulfе gotis bezalen sol of vinthermarkt neste komende. Summa 1 \mathcal{H} gr.

rachunki Henryka Smeta t. j. poprzednie wielką odznaczają się systematycznością. Inaczej sobie nie objaśniamy tego nieladu, choć winniśmy przytoczyć tę okoliczność, że od roku 1472 pisze już ręka nie kupca zagranicznego, ale polskiego. Z notatek widać, że je umieszczał kupiec Jakub Płatnerz a następnie Jan Biały, więc jak z nazwisk sądzić można polskiego pochodzenia kupcy krakowscy.

Rachunki są pisane po łacinie, najczęściej jednak z wymienieniem nazwy towaru po polsku. Różnorodność towarów, o jakich tam mowa, przypomina rozmaitość w sklepach norymberskich spotykaną.

Anno Domini 1472.

Item Hedwigis receipt VIII *tusinos* duos de latis *cingulis* (pasy albo przepaski).

Item receipt duos *tusinos* de brevibus pro duobus florenis.

Item. Martinus de Byecz tenetur 3 flor.

Item. Johannes Carnifex tenetur X flor. et X gros. *pro oingulis de harasz* (wyrób wełniany).

Item. Nicolaus Kuchta tenetur michi 13 flor. pro armis. Solucio ad festum B. V. Marie Assumpcionis.

Item eciam duos *tuszin przepassek* per florenum.

Item apud Thomaz Ostrosnyk de Leopole duos *tussyn* przepasek per flor.

Item. *Gronosz czapniyk* pro suba XI flor.

Item. Adhuc idem Mamczyna tenetur michi unam *marcam* minus quatuor gr. alias *za ialmunky*.

Item. Petrus *qui habet infirmos oculos* pro latis *cingulis* *harasis* alias *harasowe* tenetur 4 flor.

Item. Roku 1478 w dzień Ś go Stanisława po Wielkiéjnocy.

Item. U Pawła 2 kam. 7 funt. *brezylüi* a powinien zapłacić połowę na Wniebowstąpienie i na Ś-ty Michał.

Item. Maciej 2 kam. i pół f. Zapłata połowy na Wniebowstąpienie a połowa na Ś-ty Michał.

Item. Jakub 21 kam. Zapłata połowy na Wniebowstąpienie a drugiej na Ś-ty Michał.

Z powodu wielkiej rzadkości podobnych zabytków, pozwalamy sobie przytoczyć jeszcze kilka wyjątków.

Item. Pani Hyndrazowa ze służą swoim Jerzym kupiła u pana Jakuba Płatnerza 5 kam. *pieprzu* i 4 funt. . . . a zapłata w Lublinie na Matkę Boską Gromniczną.

Item. Pan Kacper Parchwicz winien Panu Jakubowi Płatnerz 50 flor. w złocie.

Item (1). Dominus Cespar Stano pelfifex et dominus Andreas Rosza et Dominus Nicolaus Regula et alter tenetur domino Jacobo Płatnerz 74 flor. pro *popyelicza*. Terminus solucionis ad festum Michaelis 1486.

Item. Dominus Nicolaus Kyelbasza cum consorte sua Barbara tenetur octo lapides *piperis* unus lapis per medium sextum flor. et IV *zł*. Terminus solucionis ad festum Assumptionis Marie Summa facit quadraginta et quinque flor.

Item. Dominus Johannes Kniasz tenetur domino Jacobo Płatnerz quinqueginta flor. minus duobus flor. pro 1 mille *popyelicza*.
Więc 1000 sztuk popielic 48 flor.

Item. Dominus Johannes Vlosz tenetur domino Jacobo Płatnerz pro *castoribus*. triginta flor.
30 zł. za bobry.

Item. Dominus Philippus Almanus tenetur domino Jacobo Płatnerz sexaginta flor. pro quatuor milibus *lasycz*.
Za 4000 łasic 60 flor.

Item. Dominus Regula pelfifex tenetur pro 1 *sorok gro-nostay* 3 flor.

Item. Dominus Nicolaus Volbram pelfifex tenetur 5 flor. . . .
pro *duobus pellibus castoreis*.

Item. Idem tenetur 4 flor. pro X (?) *wydris*.

(1) Pan C. S. kuźnierz i t. d., winni 74 zł. za popielice.

Item. Martinus de *Olomunycz* tenetur pro tribus alias *za trzy soroky gronostay*, quilibet pro dimidio quarto flor.
Terminus pro festo Sancti Viti elapso.

Item. Szoffia Piamarta tenetur VI flor. pro tribus *tusinis* mirrarum alias *yalmunki*. (Za czepki).

Item. Stanislaus *Krawcz* tenetur 3 flor. pro acubus alias *gigly*. Solucio pro festo S. Stanislai absque omni dilatione.

Item. Martinus *ffarbierz* tria quartalia brisilie pro tribus marcis et uno fertone. Solucio ad S. Michaellem.

Item. Apud *myeczNIK* 8 gr.

Item. u nowego mystrza 8 gr. *za drot*.

Item. apud Olbreycht 30 flor. pro *croco*.

Item. Woytek Plathnerz recepit apud me ante Carnisprivium *L ssybas* de quibus *galce* alias *lebky* laborantur.

Item. Haanus de Crosna alias *Locktek* 3 m. pro cingulis.

Z długiego szeregu należności za wzięte u kupca towary, wszystkie niemal wykreślono, niektóre tylko notatki pozostały bez żadnego znaku, może na dowód, że kupiec nie doczekał się uiszczenia ze strony swych dłużników. W takim razie ten korzystny stosunek byłby pięknym świadectwem uczciwości i rzetelności polskiego stanu kupieckiego w owych czasach.

Historya Literatury Angielskiej.

(z H. Taina.)

Streścił Ed. Lub

(Dalszy ciąg).

Wiek XIX.

Romans nowoczesny.

Charaktery Dickensa zawarte są w dwóch działach istot wrażliwych i niewrażliwych. Przeciwstawia dusze sformowane z natury, duszom zepsutym przez społeczeństwo.

Pierwszym wyrobem społeczeństwa angielskiego, jest hipokryzja. Dojrzewa ono pod tchnieniem religii i moralności, wiadomo bowiem jaki jest wpływ dwóch tych czynników w Anglii. W kraju, gdzie do skandalów należy śmiać się w niedzielę, gdzie smutny purytanizm pozostawił ślad niechęci ku wszystkiemu co się szczęściem nazywa, w naturalnem następstwie rzeczy, pozory moralności są konieczne. Jestto moneta którą potrzeba mieć, kto jej niema, fabrykuje fałszywą. Dlatego wada ta, jest czysto angielską. Taki *Pecksniff*, tu tylko mógł być stworzonym. Nie sypie on frazesami teologicznymi jak Tartusie francuzki, ale stosując się do swego narodu, nie szczędzi filantropijnych, stał się z postępem wieku filozofem humanitarnym. Dał córkom swoim imiona *Mercy* (litość) i *Charity*. Dla publiki ma czułe sceny rodzinne w pogotowiu, szafuje uczuciami ojca, męża i dobrego pana. Przy każdej okazji nie żałuje słodkich i pobudzających uwag. Zwijając serwetę przy śniadaniu, wpada w uniesienie wspaniałe: „Ekonomia trawienia, powiada, jest jednem z najdoskonalszych dzieł natury. Co się mnie tyczy, uczuвам wielkie zadowolenie zastanawiając się nad tém, że

gdy zjadłem obiad, wprawiam w ruch najpiękniejszą maszynę o jakiej mamy dokładną świadomość."

Istotnie zdaje mi się w takich chwilach, że spełniam obowiązek publiczny. Jestto całkiem nowy rodzaj hipokryzyi, bo też i występki i cnoty zmieniają się w każdym wieku. Umysł angielski, przeważniej praktyczny, przez ciągłą pracę i handel doszedł do przesady, która jest zabieciem wszelkiej wyobraźni i wrażliwości. Umysł taki widzi w świecie zyski tylko i straty, a człowiek obdarzony tym umysłem, staje się twardym, chciwym i przykrym, ludzi uważa za koła u maszyny, sam zaś jest wszystkiem raczej niż człowiekiem. Dickens dał kilka portretów człowieka pozytywnego, jako: Ralfa Nickleby, Scroogsa, Antoniego Chuzzlewit, Jonasza, Aldermana Cute, p. Murdstone i jego siostry, Bounderbego, Tomasza Gradgrind. Wszyscy oni czy to z natury czy przez wychowanie, wstrętными są, bo wszyscy usiłują wytepić dobroć, litość, zapał i wszelkie uczucia religijne i ludzkie w człowieku. Tyraniżują dzieci, biją kobiety, głodzą biednych, znieważają nieszczęśliwych. Najlepsi z nich są automatami, spełniającymi swe obowiązki legalne, a nie wiedzącymi że innym sprawiają cierpienia. Ludzie ci mogli tylko narodzić się w Anglii w szkole właściwej, mającej swą filozofię, swą sławę i swych wielkich ludzi. Charaktery Dickensa obejmują klasę ludzi rzeczywistą, przedstawiając jakiś nałóg narodowy. Taki np. Gradgrind w *Hard Times*, jest na wskroś anglikiem.

„Tomasz Gradgrind mościpanie! człek realny, człek faktów i cyfr, człek wychodzący z zasady, że dwa a dwa są cztery i nic więcej, i który pod żadnym pretekstem i dla żadnego powodu, nie zgodzi się na więcej. Tomasz Gradgrind mości panie! Tomasz sam w swój osobie, Tomasz Gradgrind z regułą i wagą, zawsze z tabliczką mnożenia w swój kieszeni, gotów zważyć i przemierzyć jakąbądź cząstkę natury ludzkiej i powiedzieć ci otwarcie, co z niego wydobyć możesz mościpanie! Czysta to kwestya cyfr, prosty wypadek arytmetyczny. Możesz mieć nadzieję że coś innego wpadnie w głowę Jerzego Gradgrind, Augusta Gradgrind albo Jana Gradgrind albo Józefa (osoby nieistniejące); ale nic innego nie wpadnie w głowę Tomasza Gradgrind, nic innego, mościpanie! W taki sposób przedstawiał się zawsze sam p. Gradgrind, czy to publicznie czy w stosunkach prywatnych." Pycha właściwą jest w kraju arystokracji, nikt też jej ostrzeż nie wyszydził od Dickensa; wszystkie jego portrety są sarkazmami, a najlepszym z nich jako wyborne w duchu arystokratycznym angielskim oddanie charakteru, jest portret negocyanta londyńskiego, p. Dombey. P. Dombey jako szlachcic kocha swój dom tyle co i siebie. Jeżeli pogardza córką życząc sobie syna, to dlatego żeby nie zaginęło dawne nazwisko bankowe. Miał swoich przodków, chce mieć i następców. Chce prowadzić dalej tradycję; mając także uczucie i chęć czynów a zarazem bogactwa, uważa się za księcia, bo też i ma jego nazwyczajenia. Taki charakter oczywiście mógł się tylko rozwinąć w kraju, gdzie przemysł rozciąga się na cały świat, gdzie przemysłowcy potęgę stanowili, zdobywając w spółce królestwa, zakładając państwa o stu milionach mieszkańców. Pycha takiego człowieka musi być straszną. Pan Dombey nie przypuszcza, żeby mógł ustąpić komu-

hądz lub czemubądz. Druga jego żona, dumna Edyta Skewton, opiera się mu i pogardza nim; pycha przemysłowca uderza się z pychą szlachełnej córki, a to nagromadzenie wybuchów zaledwo powstrzymywanych, wskazuje gwałtowność namiętności, jaką dusze podobnie przysposobione żywić mogą. Edyta przez zemstę ucieka, z pozorami wiarołomstwa. Wtedy Dombey nieugięty w pysze, wypędza córkę z domu uważając ją za spółniczkę żony, zabrania siostrze i przyjaciom mówić o jednej lub drugiej, i przyjmuje nadal gości z tym samym tonem pychy i chłodu. Zrozpaczony, znieważony świadomością swęj przegranej i tego że się świat zeń naśmiewa, pozostaje przecież tak spokojny i dumny jak był zawsze. Nareszcie chce się zabić... aż dotąd posąg z brązu stał niezłomny, lecz wymagania moralności zepsuły książkę. Dombey odradzając się w najlepszego ojca, zaszkodził wartości pięknej powieści.

* * *

W przeciwstawieniu charakterom sztucznym i złym, zrodzonym z instytucji angielskich, znaleźć można istoty dobre z natury: tu należą przedewszystkiem dzieci. Dzieci niemamy prawie w żadnej literaturze. Dickens pierwszy malował portrety dziecięce ze szczególnem zamiłowaniem, a niemyśląc przeto budować publiczności, oczarował ją. Dla zrozumienia lubownictwa malarza w tych typach, trzeba wiedzieć jaką im nadaje fizyczność. Otóż przy cerze przezroczyściej, karnacy świeżej, oczach głębokich niebieskich, podobae one do pięknych kwiatów. Dzieciaczki te igrając na murawie, wieczory spędzają z rodziną, w tęg jedynej jakieg potrzebują poezyi. Dziecię pozbawione czulości rodzinnej, wiedznie jakby pozbawione powietrza, a romansopisarz nie nadużyje objętości tomu, gdy w nim skresla nieszczęścia takiego dziecięcia. Dickens opowiedział je w 10 tomach, a zakończył historię Dawida Copperfilda, w epizodach tych mianowicie, gdzie matka jego wychodzi po raz drugi za mąż za pana Murdstone. Boleści i rozpacz jakie tu dziecię przechodzi, równają się zgryzotom dojrzałego mężczyzny, jestto niby roślina kwitnąca w ciepłym powietrzu, a przeniesiona nagle w śniegi i mrozy.

Dzieci ludu są istotnie dlećmi, istotami blizkimi natury. Bohaterowie z ludu jakich Dickens wybiera, obdarzeni są delikatnością i poświęceniem nadzwyczajnym. Młoda naprzykład kobieta, poświęca się dla uratowania niegodnej żony człowieka w niej zakochanego i ktorego ona kocha, albo woźnica publicznie ręczy za niewinność żony, mimo że wie o jej niewierności, a za całą zemstę obarcza ją słodyczą i pieśzcotami. Nikt nad tych ludzi według Dickensa, nie godzien więcej czystej radości niezamąconego szczęścia, nikt od nich niema bardziej nieugiętego zmysłu moralności. Prawda że ci bohaterowie podobni często do oburzonych ojców z francuzkiego melodramatu, ale mają jedną wielką cnotę: są chrześcijanami. Nietylko kobiety nie zapominają o przyszłym świecie, ale i mężczyźni.

W gruncie rzeczy, romanse Dickensa dadzą się wypowiedzieć w tych słowach: „Bądźcie dobrzy i kochajcie; prawdziwa bowiem ra-

dość polega na wzruszeniach serca, wrażliwość zaś to człowiek. Pozostawcie uczonym naukę, pychę szlachcie, zbytek bogatym a miejcie współczucie dla nędzy, bo istota najdrobniejsza i najczęściej pogardzona, może sama jedna zaważyć więcej, aniżeli tysiące istot potężnych i pysznych. Strzeżcie się zgnębienia serc delikatnych, których istnienie może być w każdym stanie, pod każdą suknią, w każdej dobie życia. Uwierźcie że ludzkość, miłosierdzie, przebaczenie, są przymiotami najpiękniejszymi w człowieku, a serdeczność, lzy, czule wynurzenia, najśłodszą rzeczą na świecie. Mało znaczy być potężnym, uczonym, sławnym, nie wiele więcej być pożytecznym, ale ten tylko powiedzieć może że żył i że jest człowiekiem, który mógł zapłakać na wspomnienia dobrodziejstwa, które wyświadczył lub otrzymał.

* * *

Sięgając jak najdalej w głębiny geniuszu angielskiego, dostrzedz można drażliwość namiętą jako tło pierwotne, a egzaltacją liryczną jako wyraz téjże. Jedna i druga pochodzenia germańskiego, jedną i drugą odnaleźć można w XVI wieku, po zatarcu literatury francuzko-normandzkiej, obie stanowią duszę narodu. Ale wychowanie téj duszy klóciło się z geniuszem narodu, tak jak skłonności pierwotne klóciły się ze wszystkimi wypadkami, jakie naród ten przechodzić musiał. Najazdzwyczajki i narzucona arystokracja, dając pewne swobody polityczne odcisnęły w charakterze narodowym piętno walki i pychy, przypadkowe zaś położenie wyspiarskie, konieczność przemysłu, obfitość materiałów potrzebnych dla przemysłu, rozwinęły zdolności praktyczne i umysł pożyteczny. Nabycie takich przyzwyczajzeń, zdolności i takiego ducha, w połączeniu z dawną nieprzyjaźnią przeciw Rzymowi, wyrodziły religję pyszną i rozumującą, zastępującą pokorę niepodległością, teologię moralną praktyką, wiarę dyskusją. Polityka więc, interesa i religia, niby trzy potężne maszyny, wytworzyły człowieka nowego. Odląd panowanie nad sobą, potrzeba rozkazywania, moralność zimna i bezlitosna, zamięłowanie cyfr i suchego rozumowania, wstręt do faktów niedotykalnych i do idei niepożytecznych, pogarda słabości i czułości serca, leżały w usposobieniu, które nadto bieg wypadków i wpływ instytucji usiłuje w duszach ustalić. Ale poezja i życie rodzinne dowodzą, że się to w zupełności nie uda. Dawna wrażliwość gnębiona drga i daje znaki życia, poeta czai się z pod sukni purytanina i kupca, człek socyalny nie zniszczył ze szczerem naturalnego człowieka. Pokrywa lodowa ukrywa często istotę dobrą, to téż gdy się zjawi pisarz z takim talentem, umiejący poruszyć struny uczucia przytłumionego wychowaniem i instytucjami narodowymi, rozrzewni z pewnością każdego do głębi, pozyskawszy sobie wszystkich sympatyę.

II.

Thackeray.

Romans obyczajowy rozsiadł się wszechwładnie w Anglii, i słusznie, bo tu jest jego ojczyzna. W tłumie uprawiaczy jego ukazało się dwóch mężów niepospolitego talentu, oryginalnych, popularnych,

służących jednej sprawie, moralistów, obrońców uczuć naturalnych przeciw instytucjom społecznym, a którzy dokładnością obrazów, głębokością spostrzeżeń, energią wypadków, lubo innym stylem i z innymi poglądami, odnowili dawny duch walczący Swifta i Fieldinga. Poznaliśmy jednego ognistszego, namiętniejszego, potężnego w łzach i śmiechu; drugi więcej skupiony w sobie, uczciwszy i silniejszy, lubiący dysertacje moralne, mniej zajęty obroną małuczkich a więcej sądzeniem człowieka, wziął w posługę satyry wielką znajomość serca, potężne rozumowanie, skarb obmyślanej długo nienawiści, i dopiero począł ścigać występki. Tym to kontrastem jeden uzupełnia drugiego, tak że chcąc mieć dokładne wyobrażenie o smaku angielskim, potrzeba do portretu Dickensa dołączyć portret Wiliama Thackeraya.

* * *

Nic dziwnego jeżeli w Anglii romansopisarz pisze satyry. Człowiek smutny i myślący pociągnięty jest ku temu z natury, a bardziej jeszcze obyczajami otaczającego społeczeństwa. Nie wolno mu przecie uważać namiętności jako potęgę poetyczną, a więc musi być sędzią raczej niż artystą. Takim to mechanizmem, przemienił Thackeray powieść w satyrę.

Roztworzywszy przypadkiem dwa jego wielkie dzieła: *Pendennis* i *Jarmark śmieszności*, przekonać się można z każdej sceny o tem, że autor chce na każdej stronie dać czytelnikowi sąd o cnocie i występku, tak że dyalogi i charakterystyka są dlań tylko środkami, które ni wywołując jego potwierdzenie i naganą, dołącza je do wydanego już przez siebie potwierdzenia i nagany. Daje on czytelnikowi lekcye, a w uczuciach i wypadkach które opisuje, dojrzy czytelnik zawsze łatwo intencye reformatora.

Na pierwszej karcie *Pendennisa*, widzi się starego majora, samoluba i próżnego, wygodnie siedzącego w swym klubie przy kominku, i upatrującego w sprawozdaniach arystokratycznych nazwiska swojego. Oddają mu list: z przerażeniem wyczytuje że synowiec jego chce zaślubić aktorkę. Pędzi do dylżansu: cóżby się stało ze zaproszeniami arystokratycznymi, gdyby zaszedł mesalians? Z tego wypadu wniosek, że nie trzeba być samolubem ani próżnym, takim jakim jest major.

Rozdział drugi: Pendennis ojciec młodzieńca, był niegdyś aptekarzem lubo pochodził z dobrej familii, i martwił się srodze że nim być musi. Zyskawszy majątek udaje się za lekarza, zaślubia krewniaczkę szlachciankę i stara się wkroczyć w znakomite rodziny. Całe życie pyszni się tem, że był zaproszony przez Lorda Ribstone. Kupuje ziemię i pyszni się jako właściciel ziemski. Każdy z tych szczegółków jest wyraźnym lub ukrętym sarkazmem mówiącym do czytelnika: „przyjacielu, jeśli kochasz syna i siebie, strzeż się udawać wielkiego pana.” Stary Pendennis umiera, syn jego „wielki książę de Pendennis” zaczyna rządzić matką, kuzynką i sługami. Posyła nędzne wierszydła do dzienników prowincjonalnych, zaczyna poemat epicki, tragedye i traktat, w którym broni jako lojalny torys kościoła i króla. Wzdycha za ideałem i zakochuje się w aktorce kobiecie 32 letniej, głupiej i nie ukształconej

papudze. Otóż młodzieńcy, moi przyjaciele, niech się wam nie zdaje żeście panami świata, gdyście zaledwo żakami! Nauka ta i przestroga trwa ciągle: Lesage w *Gil-Blasie* chciał nas tylko zabawić, Balzac w *Ojcu Goriot* chciał nas gwałtownie zająć, Thackeray zaś usilnie pracuje nad tém ażeby nas poprawić.

Zamiar ten tém widoczniejszy, gdy się przyjrzymy jednemu z jego dyalogow lub obrazów. Nie znajdzie się tam werwy usiłującej skopjować naturę, ale refleksyę zmieniającą w satyrę przedmioty, słowa i wypadki. Każde słowo osób dobrane i odważone na to, ażeby wzbudzić wstret lub ośmieszyć. Autor rozwija umyślnię występki, sądzi go, odsłania i karze. Pani Crawley („w Jarmarku Śmieszności”) stara bogata kobieta, zachorowała. Pani Bute jęj kuzynka, przybiega aby zdobyć spadek. Chodzi tu o wykluczenie siostrzeńca, kapitana Rawdona, domnie-manego spadkobiercę. Ten Rawdon jestto zawałdroga i urwis. Pani Bute z czystej już cnoty nienawidzi Rawdona, a więc nie może pozwolić ażeby pieniądze wpadły w tak złe ręce. A wreszcie wszakże jesteśmy odpowiedzialni za błędy naszych krewnych, więc naszym obowiązkiem jest błędy te publicznie ogłaszać. Nie żałuje też opowiatek różnej treści o swym kuzynku, a nadto, dodaje, śmiał drwić sobie z ciotki spadkobierczyni! I czyżby na taką niewdzięczność ciocia pozwolić mogła? Siedząc przy łóżku chorj, strzeże jęj jak oka w głowie. Lecz przera-chowała się cokolwiek, bo siedząc dnie i noce, swemi kazaniami chorą zmęczyła i tak tém jęj zdrowie pogorszyła, że bez robienia testamentu umarła, a moralna kuzynka czuwająca przy łożu jęj tyle dni i nocy, przyczyniła się tylko do szybszego napędzania spadku urwisowi siostrzeń-cowi. Autor umyślnie tak ją przedstawia, że czytelnik radby ją zdema-skować, radby jęj hipokryzyą widzieć ukaraną.

Tutaj rozwija autor jak najszerszej satyrę, przemawia sam. W powieściach jego znaleźć można dysertacye nad próżnością, obłudą, podłością, wszelkimi cnotami i występkami, nad komedią upadków i nad kuzynami chciwemi odziedziczenia. Przeto czytelnika uprzedza z góry, a romans tłumacząc w ten sposób głos sumienia, staje się szkołą obyczajową.

* * *

Zanadto wiele co prawda chłosty w tej szkole, lecz rzecz to smaku angielskiego. Szkoła ta wręcz przeciwna francuzkiej i francuzkiemu usposobieniu, gdzie chcieć zdobyć przekonanie siłą argumentacy, oburzeniem szorstkiem i gwałtownem, na nicby się nie przydało. Francuzi lekko i grzecznie, dowcipem i *bon mot*, usiłują trafić do przekonania. Inna rzecz z Anglikami, ludem jak powiada Taine, żywiącym się ciężkimi pokarmami, ciężkim i poważnym, zatrzymującym wrażenia długo i trwale, u którego śmiech jest niemal konwulsyą a nerwy wymagające bardzo silnych wstrząśnień. Nadto Anglicy są to ludzie praktyczni, którzy pragną nauki, którym potrzeba mówić prawdy istotne ażeby uwierzyli, a nie improwizacye awanturnicze. Zapłacili za to, żeby słuchali rad trzeźwych i satyry mającej podstawę. Temperament ich wymaga wrażeń silnych, umysł zaś dowodów ścisłych. Ażeby się im podobać nie dość jest wykazania występku, ale postawienia go pod przęgiem; ażeby się

im podobać, nie dość jest szydzić żarcikiem ale szeregim rozumowań. Nado biblia której nigdy nie spuszczają z oka, nie pozwoli najmniejszego przekroczenia reguł moralności. Dlatego z Anglikami trzeba być anglikiem, zamknąć się w prawdach uznanych, a wtedy satyra wsparta logiką i oburzeniem, stanie się ostrzejszą, bo ją wzmocni opinia publiczna.

Dla tego rodzaju satyry Thackeray był jedynym, bo też tego rodzaju satyra zasada się głównie na reflexyi. Kto się zagłębił w rozpatrywaniu występków, nabiera gniewu i nienawiści ku niemu, gniew zaś zbyt długo trawiony, pali wszystko czego się dotyka. Ztąd to Thackeray jako satyryk, jest po Swifie najsmutniejszym. Zarzucali mu rodacy to, że maluje świat gorszym niż jest rzeczywistość. Uczuciami jego zwyktemi są: i boleść i pogarda, tak że gdy tworzy dusze czułe, robi je przesadnie czułymi ażeby tём lepiej uwydatnić tyrański na nie nacisk. Z tą samą nienawiścią z którą chłoscze prześladowców, obmyśla zarazem dobroć ofiar. Thackeray karze jak człowiek obdarzony licznymi dowodami i dokumentami, nieprzebaczający nigdy, gdyż dobrze wprzód obmyślił co ma czynić. Efekt tјj nienawiści występku, jest nużącym.

Ironia jest tu bronią, a tём straszniejszą im jest poważniejszą, bo wtedy sprawia ona najgłębszą pogardę. Ironia Swifta jest straszną, zdaje się że kogoś pozdrowia a on go zabija; Thackeray to jego uczeń. Pierwsze rozdziały *Snobów* (książka ta tłumaczoną jest na polskie) szczególnie *Snoby literackie*, godne są Gulliwera. Autor robi przegląd wszystkich *snobów* Anglii, nie zapomina też o swoich kolegach, snobach literackich. Wszakże to zwyczajem zatopić przy sposobności nóż, w piersiach współtowarzysza jednego zawodu! Thackeray tak pisze: „W zawodzie literackim, niema *snobów*. Obejrzyjcie się po całym zgromadzeniu autorów angielskich i wskażcież mi jeden choćby przykład zspolitości, zazdrości lub zarozumienia. Kobięty czy mężczyźni, wszyscy o ile ich znam, skromni są w obejściu, elegancy w manierach, nieskazitelni w życiu, zaci w stosunkach wzajemnych czy względem świata. Być może, że (przypadkiem) słyszemy literata źle mówiącego o koledze, lecz dlaczego? czy przez złośliwość? Bynajmniej. Przez zazdrość? Bynajmniej. Poprostu przez *miłość prawdy i publicznego dobra*. Przypuście naprzykład, że zakrywam błąd jakiś w przyjacielu moim p. Punch, i że mówię że p. Punch garbatym jest, że nos jego i podbródek więcej jest skrzywionym od podbródka Apollina lub Antinusa; czyż przeto szkodzić chcę panu Punch? Broń Boże! Jestto obowiązkiem krytyki, wykazywać zarówno względy jak i zasługi... Uczucie braterstwa i równości pomiędzy autorami, zawsze nas zastanawiało jako dowód wyraźny jednego z najznakomitszych przymiotów tјj klasy ludzi. I właśnie dlatego że my się tak szanujemy i oceniamy, szanuje nas tak bardzo i świat cały, .. dlatego... stan ten jest powszechnie pomyślny i kwitnący, a jego członkowie tak bogaci i oszczędni, że prawie nie potrzeba pieniędzy na to, ażeby ich wspomagać...”

Ironię Tackeraja zaostrza to jeszcze, że się często ciągnie przez całą powieść, naprzykład w *Bulach fatalnych*. Żaden inny autor nie zdobyłby się na taką wytrwałość w zawziętości, obrachowanej

i pełnej goryczy. O niektórych charakterach mówi Thackeray przez trzy tomy a zawsze z obelgą, lubo z przydomkiem: „czuła, najdroższa.“

Najdroższa Blanka jest dziewcziną sentymentalną i literatką, zmuszoną żyć z rodzicami którzy jęj nie rozumieją. Z tego powodu cierpi tyle, że ich ośmiesza w obec ludzi, dając poznać umyślnie całą ich głupotę. Czyżby wreszcie mogła udawać szacunek, skoro go nie czuje? Biedna dziewczina potrzebuje naturalnie sympatyi, zakochuje się najprzód w bohaterach romansów francuzkich, lecz niestety! świat wyobraźni nie wystarcza, a pragnienie ideału tak jest silne, że Blanka zniża się do istot ziemskich.

Mając lat 11, zakochała się w małym sabaudeczyku, którego miała za wykradzonego księżęcia; mając lat 12, w starym nauczycielu rysunków: będąc na pensyi, korrespondowała z dwoma studentami. Biedne dziecię! codzienn listki złudzeń opadały, które nadarmo wylewała wierszem w książce podtytułowanej: *Moje łzy!* Ma pannę służącą, nazwiskiem Pincott, którą ciągle laje za bladą twarz i oczy zapłakane.

— Pincott — mówi jęj — wypędzę cię bo sił nie masz, i oczy masz słabe, i ciągle jęczysz, płaczesz, i wdychasz i chorujesz; lecz wiem że zarobek twój dzielisz z rodzicami, zatrzymam cię więc przez wzgląd na nich. Albo: „Pincott, rodzice twoi umrą z głodu, ale jeśli mi tak będziesz drzeć włosy, napiszę im że cię już nie potrzebuje.“ Głupia Pincott nie pojmuje swego szczęścia w służeniu takiej pani, która nawet sztukę napisała wierszem o biednej służącej, wyrwanej z ogniska rodzinnego. Blanka istota eteryczna, z okiem utkwionem w niebo, z bladym uśmiechem na różanych usteczkach, taką się staje pociechą dla otaczających, że pragnęliby widzieć ją w głębi studni.

Ironia poważna tego rodzaju, staje się karykaturą poważną. Autor broni tu miłości bliźniego, lecz za gorąco, i dlatego sypie obelgę za obelgą. Inne jeszcze postacie w ten sposób kreslone, wywołują uśmiech smutny, bo z poza wykrzywienia przedstawionej postaci, dostrzega się sardoniczny uśmiech malarza, zatem podłość i głupota ludzka zasmuca.

Inne postacie również nie są naturalne, a sceny w których grają rolę, są raczej scenami z komedyi aniżeli obrazami obyczajowemi.

* * *

Lecz przypatrzmy się bliżej, może spotkamy się z awanturą jaką nie z lotrostwem: zabawimy się trochę. Daremnie!—nawet w zabawie satyra niestępiona, bo refleksya ciągle pozostaje w tej samej sile. Leży to już w dziwactwie angielskiem, że komiczność nawet ułożona tak umiejętnie jak kazanie. Potężna i niezmordowana uwaga oddaje przedmioty z taką drobiazgowością, z taką rzec można, płasko-rzeźbą, że sprawiają złudzenie: Thackeray tak jak Swift, posiada ten talent sprawiający złudzenie.

Refleksya tak natężona, tak uważna, mieści w sobie źródło smutku. Ażeby się zahawić namiętnościami ludzkiemi, potrzeba się na nie patrzeć okiem ciekawego, albo uczonego, albo artysty; gdy się zaś patrzy na nie tylko jak na cnoty lub występki, wówczas straszne złudzenia zapędzają w czarne myśli, ukazujące człowieka w całej słabości i brzydocie. Thackeray dochodzi do tego w romansie, do czego doszedł Hobbes w filozofii; zawsze opisując piękne uczucia, wyprowadza je z brzydkiego źródła: czułość, dobroć, miłość, kreśli jako wypływ nerwów, instynktu albo choroby moralnej. Amalia Sedlej, jego ulubienica, należąca do jego arcydzieł, jest biedną kobietką, płacziwą, niezdolną do rozwagi, wielbicelką męża egoisty i brutala, godniejszą raczej litości niż szacunku. Helena Pendennis, wzór matek, jest śmieszną damą z prowincyi, naiwną, wątpliwego ukształcenia, a zazdrosną aż do purytanizmu i namiętności. Mdleje dowiedziawszy się że syn ma kochankę, chciałyby: „iżby syn wprzódy zmarł, zanim popełnił zbrodnię tak obrzydłą.“ Zastawszy Fanny przy łóżku chorego syna, wypędza ją jak nierządnicę i służącą. Syn jest dla niej Bogiem, ale dlatego właśnie unieszczęśliwia go, i staje się dlań nieznośną.

Miłość zaś tak pojmuje Thackeray. W pewnym wieku (Pendennis T. III) głos natury odzywa się: mężczyzna spotyka kobietę, dobrą czy złą, mądrą czy głupią, — uwielbia ją jak w gorączce. Psy po sześciu miesiącach przechodzą chorobę, mężczyzna po dwudziestu latach. Jeśli się kocha, to niedłatego żeby osoba była kochania godną, ale dlatego że czuje potrzebę kochania. „Czy sądzicie iżbyście pili, gdybyście nie mieli pragnienia? jedli, gdybyście nie byli głodnymi?“ I opisuje historję głodu tego i pragnienia, z werwą gorzką i ostrą: sztydzi jakby wytrzeźwiony z pijanych.

Opis miłości Pendennisa i innych, zdaje się prowadzić do takiej konkluzyi, którą autor radby zakomunikować czytelnikowi:

„Moi współbracia w ludzkości! na 50 dni jesteśmy łotrami przez dni 49; w pięćdziesiątym, jeżeli uda się nam porzucić pychę, próżność, złośliwość, egoizm, to dlatego żeśmy dostali gorączki — a szaleństwo nasze nazywa się wtedy i poświęceniem.“

* * *

Jednakże coś kochać trzeba, bo serce znużone nienawiścią i pogardą, czuje potrzebę odpoczynku w czułości i uwielbieniu, a potem ganić błąd jakiś, jestto chwalić właściwość jemu przeciwną; moralista zaś potępiając błędy i występki swego wieku i swego kraju, musi chwalić cnotę jako przeciwwagę. W społeczeństwie arystokratyczném i kupieckim, błędem tym jest egoizm i pycha, dlatego Thackeray chwalić będzie przesadnie słodycz i czułość. Przed śmieszną i prawie głupią kobietą klęknie, artysta sprzeciwi się komentatorowi; pierwszy jest ironiczny, drugi chwalcący, pierwszy da obraz śmieszności miłosnych, drugi, panegirycznie miłość pochwali: u góry satyra w czynie, u dołu dytyramb w tyradach. Pochwały dla Amelii Sedlej, Heleny Pendennis niekończące się; — autor jest w tém podobny do

Dickensa, że jak on czerpił ognisko domowe i życie rodzinne. To też gdy ten mizantrop zetknie się z miłością synowską lub z boleścią matki, wzrusza do płaczu. (Patrz: str. 121, the Great Hoggarthy Diamond śmierć dziecka; lub w *Snobach* ostatni wiersz „Fun is good“)

Często przyczyna miłości bywa przyczyną nienawiści, a sarkazm zarówno jak sympatya, jest krytyką formy jakiegóś społecznój lub publicznej błędu. Dlatego to romanse Thackeraya wypowiadają wojnę arystokracji, nienawidzą rozróżnienia rang.

Napisał o tém książkę całą, rodzaj pamfletu moralnego i pół-politycznego: *książkę Snobów*. Wyras ten trudno objaśnić. *Snob* jest to dziecie społeczeństw arystokratycznych, pogardzające niższymi jedynie dlatego, że są nizkiego stanu lub podrzędnego znaczenia, a całujące stopy wyższym.

Thackeray nienawidzi arystokracji nie tyle dlatego, że uciska, ile że psuje; skrzywiając życie społeczne, skrzywia życie prywatne, opanowawszy państwo zatrzuwa duszę, zostawiając ślady w głupocie wszystkich klass i wszystkich uczuć.

Galeryę tych nienawistnych portretów zaczyna od Jerzego IV „pierwszego szlachcica w świecie.“ Wielki ten monarcha, tak słusznie żalowany, umiał doskonale powozić i grać na skrzypcach. W pierwszój jędrnej młodości, wynalazł poncz z maraskinem, i pawilon chiński. Widzieliśmy go siedzącego w łoży, z szlachetnym brzuchem wyprężonym naprzód. Jakże krzyezano, kobiety płakały, matki ścisnęły swe dzieci, niektóre zemdlały. Tak widzieliśmy, go. Inni widzieli Napoleona: niechaj to będzie naszą pychą sprawiedliwą, żeśmy widzieli Jerzego wspaniałego, Jerzego dobrego, Jerzego wielkiego.

Kochany książę, cnota jego wniknęła w serce dworaków. Kto jest w stanie piękniejszy dać przykład od markiza Steyna? Pan ten, król w swym domu, chciał dowieść że nim jest; zmusza więc żonę swą do siedzenia przy stole obok swych metres . . . największego zaś wroga ma w synu najstarszym, sukcesorze markizatu, którego popchnął do robienia długów Markiz tyranizując wszystkich otaczających, doszedł do nienawiści i pogardy człowieka, zamiłowawszy skończonych tylko zbrodniarzy

Portret gentlemana wiejskiego malowany takiemiż jaskrawemi farbami, maczanemi w żółci i oburzeniu: portret ten staje się ohydny i wstrętny.

Są to portrety szlachty bogatėj i możnej: przypatrzmy się ubogiemu. Sir Franciszek Clavering grał, pił i jadł, dopóki nie zjadł ostatniego szeląga; zaszachrował pieniądze swego pułku, poczem przebiegłszy wszystkie bilardy Europy, zamknięty został w więzieniu za długi. Ażeby się ztąd wyzwolić, żeni się z kreolką, wdową, której majątek podejrzanego jest źródła. Rujuje jēj fortunę, na kolanach błaga o przebaczenie i o talary, przyrzeka na Bibliję poprawę, i bieży wprost ztamtąd do lichwiarza.

Ze wszystkich łotrów, jakich opisują powieściarze, ten jest najohydniejszy. Znosi on obelgi, płacze, przeprosza i na nowo zaczyna; poniża się, korzy a potem za chwilę klnie i odgraża: — gotów

do bójki z kimkolwiek, a znowu w tej chwili biorący go za powiernika. Człowiek ten to błoto, zbydłecenie, idyotyzm, podłość. Cały tom zapelniony tego rodzaju doskonałościami arystokracji angielskiej, a dodać trzeba, że komentarze autora stokroć jeszcze ostrzejsze. Szereg tych portretów, to szturm przypuszczony do wszelkich nadużyć prawa, tradycji i społeczeństwa. A po za tą filozofią, ciągnie się druga galeria portretów niemniej wstrętnych, bo nierówność socyalna zgangrenowawszy stan wyższy, dosięgła i małych.

Według Thackeraya, społeczeństwo angielskie jest zebraniem intryg i przekleństw, bo każdy stara się zepchnąć stojącego przed nim... Trudno wyliczyć wszystkie nędze, które autor przypisuje usposobieniu arystokratycznemu swego narodu. Niesnaski rodzin, pycha siostry uszlachetnionej, zazdrość siostry niemogącej się małżeństwem uszlachcić, upodlenie charakterów nazwyczajonych od młodości do czezenia lordów, upadek moralny pańien, pragnących złapać bogatego męża, tryumf głupstwa, pogarda talentu, niesprawiedliwość usługęcona, obyczajne przewrotne — oto główne. W obec obrazu wykonanego mistrzowsko i prawdziwie, potrzeba przypomnieć, że talent taki musiał przemienić malarstwo obyczajowe w satyrę systematyczną i walczącą, ażeby skutecznie uderzyć w błędy swego kraju i swęj epoki.

* * *

Kto tak jak Thackeray postawił za przedmiot swego romansu satyrę, ten nie bierze już za regułę, sztuki, bo to co stanowi siłę satyryka, jest zarazem słabością romansopisarza. Romansopisarz jest przecież psychologiem, wprowadzającym w czyn psychologię, uczucia zbiera w charaktery, notuje wpływy przeciwne lub zgodne z temperamentami, z wychowaniem, z rzemiosłem, i stara się świat niewidomy skłonnościami wewnętrznymi, uzewnętrznić światem widzialnym w słowach i czynach. Sztukę pisarza poznajemy w tej potęgde twórczej, obojętnej i uniwersalnej jak natura, odtwarzającej niby w płaskorzeźbie namiętności ludzkie i osoby, nie chwając ich, nie ganiąc, nie uszkadzając w niczem. Prawdziwy malarz, z rozkoszą patrzy na ramię dzielne, muskularne, choćby ono zabić miało człowieka. Otóż wszystko to zmienia się tam, gdzie satyra dominuje, a przedewszystkiem zmienia się rola samego autora. W romansie czystym, mówi on jedynie dla objaśnienia jakiego uczucia lub wrażenia, w romansie satyrycznym jeśli mówi, to tylko dla dania moralnej nauki. Otóż wszystkie te nauki zawierające trzecią część tomu, stracone są dla artyzmu, bo skoro zaczynamy rozmyślać nad naszymi błędami, osobistość sama niknie nam z oczu. Autor umyślnie zaniedbuje cieniowania szczegółowego i delikatnego, przezco wpadamy w roztargnienie i zaczynamy się trochę... nudzić... Niektóre romanse Thackeraya mają nieszczęście przypominania romansów pani Edgeworth... Kontrasty zbyt przedłużone nużą... i najazdy pedagogiczne. W „Jarmarku śmieszności,” sam o sobie powiada, że osoby jego romansów nie są istotami żyjącymi, ale maryonetkami które porusza. Głupstwo bez granic,

złośliwość zupełna, są to rzeczy rzadkie, a niemniej i kombinowanie wypadków i uczuć zanadto zręczne. W życiu tak się nie dzieje: natura nie obmyśla takich scen efektownych.

Z pomiędzy wielu romansów Thackeraya, jeden, w którym niema tych stron ujemnych, lecz gdzie przeciwnie płynie czyste źródło talentu, oryginalny, unoszący, prawdziwy, jest rodzajem pamiętnika, zwie się historią *Henryka Esmonda*. Świat tu rzeczywisty a nie pozbawiony złudzeń, urozmaicony bez pretensjonalności moralnej. Czytelnik opowiadaniem samem zostaje oczarowany i zachwycony. Potężna refleksja autora, odtworzyła obyczaj wieku Swifta, Addissona, Malborougha (w których niby Esmond żyje) z wiernością nadzwyczajną, ze znajomością historyczną niezmierną. W opisanu szczegółów, jest tu Thackeray Walter-Scottem. Pułkownik Esmond pisze w r. 1700, otóż imitacya autora, będąca tu prawdziwą genialnością, przenosi najzupełniej w te czasy, niezdradzając mozołu naśladownictwa i silenia się. Ażebym napisać taką książkę, potrzeba było bystrości Thackeraya, jego potęgi w nauce i refleksyi. Arcydziełem charakterów jest sam Esmond. Jaka szkoda, że intencye moralne zbyt tendencyjne, zwróciły w inszą stronę tak znakomity talent.

Nakreślenie charakteru Thackeraya, będzie zarazem najlepszą krytyką jego talentu. Widzieliśmy, że jednemi i temi samemi właściwościami stwarza brzydotę i piękność, siłę i słabość, że refleksya moralna dając mu potęgę satyryczną, skrzywiła sztukę; że nacechowany powieści obyczajowe fałszywym smakiem i trywialnością, w romansie historycznym wzniósł się do arcydzieła; że toż samo usposobienie umysłowe czyni go zdolnym do pisania w stylu sarkastycznym i umiarkowanym, i łączenia nienawiści z miłością . . .

Lecz jeżeli przymioty moralne są chorągwią cywilizacyi i podstawą społeczeństw, jeżeli stanowią piękny owoc rośliny ludzkiej, to jeszcze nie stanowią jego rdzenia. Ani występki, ani cnoty człowieka, nie są jego naturą: chwalić je lub ganić, nie znaczy już, iżby się je znało. . . Prawdziwa treść człowieka, tkwi w przyczynach naszych dobrych lub złych przymiotów, a przyczyn tych szukać trzeba w temperamencie, w wyobraźni, w wielkości i kierunku namiętności pierwotnych. Jeżeli więc, jak to czyni Thackeray i literatura angielska ogranicza człowieka, przedstawiając go jedynie jako zbiór cnót lub błędów, to się go w takim razie nie poznaje, to się ukazuje tylko jego powierzchowność społeczną, a nie jego głębię naturalną i najtajniejszą. Ten sam błąd widoczny w krytyce, która jest zawsze moralną, nigdy psychologiczną, ujawniającą stopień uczciwości człowieka a pomijającą mechanizm uczuć i usposobień; ten sam błąd widoczny również w ich filozofii, czego przyczyną jest zapewne wychowanie praktyczne anglików, instynkt ich poetyczno-religijny a zarazem surowy, ten sam, mocą którego byli niegdyś zaciekłymi purytanami.

Macaulay.

Taine objaśnia w krótkim wstępie, że nie zamyśla bynajmniej skreślić szczegółów życia Macaulaya, że wystarczyć powinno gdy przypomni, iż tenże po ukończeniu studyów klasycznych, wstąpił się w 25 roku życia życiorysem Milтона, a w 30-tym wszedłszy do parlamentu odrazu został potężnym mówcą; że następnie w Indyach zajmował się reformą praw, z kąd powróciwszy, objął najpierwsze dostojęństwo w kraju. Powszechne uwielbienie otaczało go do śmierci. Poczem autor przystępuje do rozbioru dzieła Macaulaya p. t. „Critical and historical essays“

Krytyczne te i historyczne studia, są zbiorem artykułów różnorodnej treści i różnych wieków. Rodzaj ten literacki nazywa Taine: „konwersacją poufną.”

Macaulay zajmuje się filozofią na sposób angielski, to jest jak człowiek praktyczny. Jest uczniem Bakona i stawia go wyżej nad wszystkich filozofów; utrzymuje, że prawdziwa umiejętność pochodzi od niego, bo umysł ludzki błędząc przez 2000 lat, dopiero przez Bakona miał sobie wskazany cel, a zarazem metodę, za pomocą której ma zdążyć. Celem tym jest *pożyteczność*, a przedmiotem nauki nie jest teoria, ale zastosowanie, zadaniem matematyki nie jest prosta ciekawość, ale wynalazek maszyn zdolnych ulżyć pracy człowieka, pomódz w uśmierzeniu natury, życie uczynić wygodniejszem i szczęśliwszem. Zadaniem astronomii, nie może być kosmogonia poetyczna, ale wsparcie geografii i żeglugi; zadaniem anatomii i zoologii, nie jest klasyfikacya dowcipna, ale poparcie chirurga. Zadaniem bowiem każdego badania, i każdej nauki, jest zmniejszenie boleści, zwiększenie dobrobytu, ulepszenie losu człowieka; — prawa teoretyczne tyle mają wartości o ile się dadzą zastosować praktycznie; prace laboratoryów uświęcają się dopiero w warsztatach i kuźniach; drzewo nauki ocenia się dopiero po jego owocach. Dziełami filozofii nie są jej książki, ale jej czyny. Starożytna, utworzyła wzniosłe frazesy, dysputy, marzenia i systemy, ale świat pozostawiła tak nieszczęśliwym jak i przedtém. Filozofia Bakona dopiero wytworzyła spostrzeżenia, doświadczenia, odkrycia, maszyny, sztuki i przemysł. „Przedstawiła życie, zmniejszyła boleść, przytłumiła choroby, zwiększyła urodzajność ziemi, odebrała piorun niebu, oświeciła noc blaskiem dnia, przedłużyła doniosłość ludzkiego wzroku, przyspieszyła ruch, zbliżyła odległość, pozwoliła człowiekowi zajrzeć w głębie oceanu, unosić się w powietrzu,“... Tamta filozofia zużywała się hipotezami, pogardą tego co było praktycznem, zapomnieniem granic ludzkiego rozumu i ludzkiej potęgi. Ta, obliczając siły nasze i słabość, wprowadziła nas na drogi otwarte; zrozumiała fakta i ich prawa, nie chciała się zaciekąć w ich zasadach, uczyniła szczęśliwym człowieka, bo się rzekła uczynić go doskonałym; odkryła wielkie prawdy i wykonała wielkie czyny, bo miała zmysł zdrowy zajęcia się przedmiotami drobnymi

i doświadczeniami pospolitemi: stała się sławną i potężną, bo raczyła zrobić się pokorną i użyteczną. Nauka dawniej była tylko pretensjonalną próżnością i chimera, skoro się trzymała zdala od życia praktycznego. Nauka dzisiejsza wzrasta w coraz większą powagę, ma nadzieję odkryć coraz ważniejszych, bo weszła w życie czynne, bo oświadczyła się z usługą dla człowieka. Niechaj więc nie pragnie zgłębiać niewidzialnego świata, niechaj będzie tylko środkiem, bo istnieje dla człowieka nie człowiek dla niej, bo cała jej chwała i zasługa polega na tém, że jest narzędziem.

„Uczeń Epikteta i uczeń Bakona, obaj towarzysze podróży, przyszli do jednej wsi, gdzie wybuchła ospa. Zastali domy zamknięte, komunikację przerwaną, chorych opuszczonych, matki o swe dzieci przerażone. Stoik zapewnia, że niema nic tak złego, bo dla człowieka choroba, strata przyjaciół, nie jest wcale klęską. Bakończyk wyjmuje lancet i szczepi krowiankę. Natrafiają na grupę górników potażowych. Eksplozja zabiła kilku pracujących, a ci co ocaleli, nie umieją zapuścić się w jaskinię. Stoik zapewnia ich, że taki wypadek jest tylko prostym: *ἀποπροηυμένον*. Bakończyk nie rozumiejący tak pięknych słów, sporządza lampę zabezpieczającą.”

Niechaj czytelnik (mówi Taine) chwali lub gani te słowa, ja nie chcę sądzić doktryn, ale odmalować człowieka; cóż zaś może być ciekawszego, nad to zamilowanie absolutne praktyczności? Podobne usposobienie umysłu odpowiada najzupełniej duchowi narodowemu, dlatego też filozofia w Anglii jest rzeczą nieznaną. Znaleźć tam można moralistów, psychologów, tylko nie metafizyków, a jeśli się przypadkiem znajdzie jednego, np. M. Hamiltona, to będzie on sceptykiem w metafizyce, który filozofów niemieckich na to tylko czytał, żeby ich zaprzeczyć, i który chcąc dać pojęcie o Heglu, bardzo przeprasza czytelników za przedmiot tak dziwny.

Jedyną częścią filozofii, mającej względy u ludzi tego charakteru, jest moralność, bo ta równie jak oni, zapisuje się czynami. Hutcheson, Ferguson, Wollaston, Adam Smith, Bentham i tylu innych, spisali stopy dysertacji o normie regulującej nasze obowiązki, a *Essays* Macaulaya są nowym tylko przykładem tej panującej skłonności narodowej; biografie bowiem jego nietylko są portretami ile wyrokami i sądami. Obchodzi go jedynie i głównie uczciwość lub nieuczciwość osoby, do niej odnosi wszystko, na mocy tejże, feruje wyroki obciążające lub uniewinniające. Czy mówi o lordzie Clive, Hastings, Addisonie lub Miltonie, baczy przede wszystkim na mnogość ich cnót lub błędów, przerywa sobie często opowiadanie ażeby zbadać, czy opowiadany przezeń czyn godziwym jest lub nie, patrzy nań jak prawnik lub jak moralista, zważa na jego otoczenie, zasady wyznawane, na otrzymane wychowanie, zdanie czerpie z analogij powziętych z historii i prawodawstwa wszystkich ludów, nareszcie nabiera tyle dowodów, faktów i wniosków, że najlepszy adwokat mógłby się na nim wzorować, a gdy ostateczny wypowiada sąd, zdaje się iż najwyższy trybunał orzeka sentencję. Krytyka jego, posługując się tu własnym jego porównaniem religijnym, wygląda jak sąd ostateczny, gdzie różnorodność talentów, charakterów, niknie w obec cnoty i wy-

stępkę, i gdzie niema wcale artystów, ale tylko sędzia pomiędzy sprawiedliwymi i grzesznikami.

Krytyka innych narodów bywa swobodniejszą, więcęj dbającą o artyzm, mniej o morał. Taine patrząc na to w perspektywie czasu, tak się wyraża: „Mało nas to obchodzi, czy Paweł lub Piotr jest urwisem, mogło to obchodzić współczesnych, oni poszkodowani byli jego występkami, mogli go więc potępić; lecz nienawiść znikła wraz z niebezpieczeństwem. W tej odległości historycznej, widzę w nim tylko *maszynę* (?) duchową, obdarzoną sprężynami . . . nie uczuвам dla niej ani wstętu ani niesmaku; pozostawiłem uczucia u progu historyi, więcę poję się rozkoszą bardzo głęboką i czystą, gdy widzę *duszę* działającą *według prawa oznaczonego*, przy całej rozmaitości ludzkich namiętności” . . .

Takby może być powinno, iżby autora osobistość oddzielać od jego dzieła, a jednak leży to już w naturze ludzkiej, że ją obchodzi to życie i ta *maszyna* duchowa, jak się Taine wyraża. Niepodobna zresztą zrozumieć krytycznie np. Bakona nie znając jego życia, Stowackiemu chorobliwość przebaczymy przez wzgląd na jego cierpienia, Molier nieszczęśliwy i mizantropijny, a przecięż taki pisarz komiczny będzie dla nas zawsze psychologiczną zagadką; dość że mimowoli dopytujemy się o *duszę* wielkich ludzi czytając ich dzieła, bo życie ich stanowi często a prawie zawsze motyw do tychże.

Opinie religijne, ściśle protestanckie (zostające w ciągłym antagonizmie z katolicyzmem, „papizmem” jak go zwą anglicy) Macaulaya, nie pozbawiły go przecięż gorącego uczucia sprawiedliwości. Jest on liberalnym, w najpiękniejszym znaczeniu tego słowa. Żąda on, ażeby wszyscy obywateli byli równi w obec prawa, ludzie wszystkich wyznań przypuszczeni do wszystkich obowiązków publicznych, ażeby katolicy i żydzi mogli tak samo jak lutrzy, kalwiniści i anglikanie, zasiadać w parlamencie. Powstaje on na p. Gladstone i stronników religii państwa, z nieporównaną siłą dowodzenia, a argumenta czerpie z dziedziny metafizycznej, przeniesionej na ziemię. Popiera je przykładami ze zwykłego życia, z doświadczenia; słowem: daje naukę najwyższej tolerancyi.

Ta miłość sprawiedliwości przechodzi w namiętność, gdy chodzi o wolność polityczną; w niej bowiem widzi ochronę przeciw krwawym rewolucyom i powolnemu upadkowi. Dlatego to jest tak nieubłaganym dla zauszników. „Pitt, powiada, zrobił w szkołach wiersz łaciński na cześć Jerzego I-go. Prosi on Muz, ażeby zapłakały nad urną Cezara, bo Cezar kochał Muzy. Tymczasem Cezar ów, niezdolny przeczytać jednego wiersza Popego, kochał się tylko w tłustych kobietach i ponczu.” Wzniostym jest i przepotężnym Macaulay w swęj „Historii Rewolucyi angielskiej”, zdawałoby się że sam osobiście brał w niej udział, tyle tam ognia i zapału. Uwielbia Kromwella i purytanów, potępia Karola I, a hasła potępienia popiera niezaprzeczonemi dowodami, cytarami historycznemi. Straszniejsze jeszcze słowa jego o Karolu II: „Nastaly dnie, o których mówić nie można bez rumieńca, dnie służalstwa bez wierności, żądź i chuci bez miłości, talentów słabiuchnych a występków kolosalnych; nastal raj serc chłodnych a umysłów ciasnych, wiek złoty podłych, bigotów i niewolników. Król pełzał przed swym rywalem . . . zeszedł na

wice-króla Francyi, i chował w kieszeń, uprzejmy, nikczemnie poniżające obelgi i złoto stokroć bardziej poniżające. Pieszczoty nałożnic i żarciki błaznów, kierowały polityką państwa . . . i t. d." . .

Ztąd już łatwo poznać jakimi uczuciami powodował się Macaulay pisząc historję swojego kraju, i dlatego jest tak wielkim historykiem. Naturalnie, że dopomógł mu w tém talent. Znamieniem jego szczegól-
nym, była moc i powaga argumentacyi.

Gdy dowodzi, nie schodzi nigdy na bok, ale cel ma ciągle przed oczyma, idzie drogą prostą i pewną. Nie dodaje nic ani nie ujmuje faktom, bo chce dojść do nagięj prawdy. Wię niezmierną liczbę szczegółów, posiada niemniejszą idei filozoficznych, a ta filozofia i erudycya godną jest ludzi myślących. Jeżeli faktowi jakiemu zaprzecza, ma zaraz na to najautentyczniejsze dokumenta i cały batalion zwyciężkich dowodów. Nie zna on hipotez, anegdot wątpliwych, sytematów dowolnych, któremi tak szafują inni pisarze. Macaulay badając ostrożnie, idąc za instynktem prawdy, nie może popaść w lekkość właściwą francuzom. Traci może na tém sztuka i piękność, ale zyskuje prawda i pewność. Umię wnieść światło w umysł płochy lub nieuważny, a przekonanie w umysł uparty; ukazuje zarówno dobrze jako i wlewa wiarę, rozjaśnia kwestye zawile lub wątpliwe. Niepodobna nie rozumieć go, przedmiot ukazuje on ze wszystkich stron, zdaje się jakby miał wzgląd na wszystkich widzów i słuchaczy, jakby oceniał pojętność każdego umysłu;—prowadzi za rękę wprost do celu. Wchodzimy za nim po jakiejś pochyłości, i aniśmy się spostrzegli żeśmy stanęli na szczycie. Jeden i ten sam przedmiot gdy jest ciemny, objaśnia dwa, trzy razy, a przecież nie jest nigdy zadługi, nigdy nudny. Być może że jako mówca parlamentarny, a był znakomitym, nauczył się téj jasności w wykładzie. Zawsze tak bywa gdy wielcy mówcy zechcą pisać. Dogmat stoików i dyalektyki akademików, tracą swą ostrość pod piórem Cyncerona.

Obfitość myśli i bogactwo stylu, mnogość faktów, czyli cały ten ogrom umiętności historycznej, posuwa się w dziełach Macaulaya naprzód z coraz wrastającą siłą, z coraz potężniejszą wymową. Dlatego możnaby powiedzieć, że historia Jakóba II jest mową dwutomową, wypowiedzianą jednym tchem i tak, że głos nie zadrżał ani razu. Wymowa ta wywołuje ostatecznie wzruszenie, bo jedność namiętności łączy się z jednością wydarzeń.

Macaulay o jakim bądź przedmiocie mówi, czy to o ekonomii politycznej, filozofii, literaturze lub historii, zaraz przejmuje się nim do żywego. Prąd wypadków, wywołuje w nim poryw myśli. Nie przedstawia on swego zdania ale go broni tonem energicznym, budzącym wiarę, łamiącym opozycję. Mysl jego jest siłą czynną, opanowuje ona słuchacza, oplata go tak dzielnie że nie mógłby się jej obronić, sercem włada przez gwałtowność, do rozumu przemawia przez oczywistość.

Takie przymioty właściwe są mówcom, odnaleźć je można u Cyncerona, Liviusza, Bossueta, Foxa i Burkego. Wszyscy oni mają piękną właściwość przechodzenia z idei szczególnych do ogólnych w najwielkszym porządku; wpadają tylko w jedno złe, to jest w retoryczność.

Macaulay różni się od nich tą wszakże zasadą, że wie, iż fakt szczególny większy wywiera wpływ na umysły aniżeli refleksya ogólna, że wie, iż ażeby ludzi dobrze objaśnić, potrzeba przemówić do ich doświadczenia osobistego. W stylu jego przebija się filozofia Bacona i Lockego. Według tych i według niego, początek wszelkiej idei jest wrażeniem. Nadto Macaulay ma zawsze przed oczyma wyobraźnie anglików, zapelnione obrazami właściwymi anglikom, to jest wspomnieniem jakiejś ulicy w Londynie, Hyde parku, marynarza w kaszkiecie, eleganta w białym krawacie. Do tych to wspomnień odwołuje się, oddając je wiernie w obrazach lub statystyce; jego opisy godne są malarza i geografą, pisze bowiem jak człowiek który widzi przedmiot dotykalnie, i który klasyfikuje go zarazem i ocenia. Czyn, cnota, talent, pomieszcza według rangi, tak jak to czynią w muzeach. Zobaczmy naprzykład, jak opisuje wielki, mówczy, talent Burkego, możnaby rzec że jesto jego własny.

„Burke obdarzony był w najwyższym stopniu tą zdolnością, z pomocą której człowiek jest w stanie żyć w przeszłości i w przyszłości, w przedmiotach oddalonych i w wyobraźni. Indyje i ich mieszkańcy nie były dlań jak dla większej części anglików, prostemi nazwiskami, abstrakcyami, ale krajem rzeczywistym i ludźmi rzeczywistymi. Pałace słońce, dziwna wegetacya kokosów i palm, pole ryżowe, drzewa olbrzymie, starsze od państwa Mogoła pod którymi siadają mieszkańcy, pułap chatki wieśniaczęj, bogate arabeski meczetu, w którym iman z twarzą zwróconą do Mekki modli się, chorągwie i kotły, bożyszczka, kapłan kołyszący się w powietrzu, uroczą młoda dziewczyna ze swym dzbankiem na głowie, schodząca z urwiska nad rzekę, twarze czarne, długie brody, turbany i suknie szeleszczące, dzidy, słonie z pysznemi pawilonami, wspaniałe palankin książęcy, lektyka zamknięta młodej damy: wśród tych wszystkich przedmiotów jakby przepędził życie, i jakby to były przedmioty, leżące na drodze pomiędzy Beaconsfield a Saint-James Street. Całe Indyje obecne były oczom jego ducha, i to od sal w których suplikanci składają złoto i perfumy u stóp monarchów, aż do dzikiego bagna, pośród którego rozłożony obóz włóczągów; od bazarów rojących się jak ule pszczoł kupcami i kupującymi, aż do klatki w której stróż potrzęsa łańcuchem, ażeby odegnać hyenę” . .

A znowu gdy Macaulay uderza na kogoś, zabija go odrazu. Oto próbka: „we wszystkich dziełach w których Southey porzucił opowiadanie, usiłując mówić o kwestyach moralnych i politycznych, upadek jego był zupełny i haniebny. W tych wypadkach, pisma jego uchroniły się od ostatniej pogardy, jedynie pięknosciami i czystością stylu. Tyle jest wdzięku, przynajemny, w jego języku, że chociaż pisze głupstwa, czytamy go z przyjemnością, chyba gdy chce być żartobliwy, bo wtedy trudno o nieznośniejszego błazna. Sili się często na komizm, a tymczasem nie jest niczém inném tylko dziwacznie niesmacznym.” . . .

Nie łaskawym jest i dla umarłych, naprzykład, gdy mówi o arcybiskupie Land. Kiedy żartuje, żartuje z powagą tak jak wszyscy pisarze jego kraju. *Humour* ten wszakże, polega na mówieniu tonem uroczystym rzeczy nadzwyczaj komicznych, i na zachowaniu szlachetnego stylu nawet wtedy, gdy rozśmiesza wszystkich słuchających.

Takim jest *np.* początek artykułu o nowym historyku, Burleighu: „Dzieło doktora Nares, — powiada, zadziwiło nas podobnie jak Guliwera, gdy po raz pierwszy dostał się do Brobdingnag, i ujrzał kłosa zbożowe tak wysokie jak dęby, kostki jego duże jak wiadra, króliki tak wielkie jak indyki. Dzieło i wszystkie jego części są na olbrzymią skalę; tytuł jest tak długi jak zwykła przedmowa, przedmowa zapełniłaby książkę zwykłą, a książka zawiera w sobie tyle przedmiotów ile cała biblioteka. Najlepiej ocenić zasługę tój niezmiernej masy papieru mówiąc, że się składa z 2000 kartek in 4-to bitego druku, że na objętość zajmuje 1500 cali kubicznych, i że waży dobre 60 liwrów ponieważ życie człowieka dochodzi dziś do 70 lat, a zatem nie możemy powstrzymać się z wyrażeniem żalu doktorowi Nares, że nie dobrze czyni chcąc nam odebrać tak potężną porcję tak krótkiego naszego istnienia.”

Ironia to Swifta. *Humour* posługuje się faktami pozytywnymi, kontrastami dziwaczności, branami z pospolitego życia. Oszołomia to czytelnika, tak że rozśmiać się musi nagle i głośno, choć bez wewnętrznej wesołości.

Pocisk żartu wydaje się jakby uderzeniem maczugi. Naprzykład, gdy Macaulay gani tych, którzy nie chcą pozwolić na drukowanie autorów klasycznych treści zbyt wolnej.

„Trudno nam uwierzyć, pisze, że w świecie tak pełnym pokus jak nasz, człowiek taki który byłby cnotliwym gdyby nie czytał był Arystofana lub Juwenalisa, staje się występny dla tego, że ich czytał. Atoli ten, który jest wystawiony na wszystkie wpływy społeczności takiej jak nasza, jeżeli się boi narazić na wpływ kilku wierszy łacińskich lub greckich, podobien jest do złodzieja który prosił szeryfa, iżby trzymano parasol nad jego głową od bramy Newgate aż do szubienicy, dlatego że poranek dżdżysty, a więc boi się zaziębić.”

Garzkie szyderstwo, to rodzaj żartu właściwy anglikom, Macaulay jest mu wierny. Drga jednak w nim i poeta, poeta prawdziwy. Dość przytoczyć tu kilka okresów, w których wyobrażenia długo trzymana na wodzy, wybucha nareszcie wspaniałemi przenośniami, rozwijając się we wzniosłych porównaniach, godnych pomieszczenia w eposie:

„Ariost, pisze, opowiada nam historję czarodziejki, która na mocy tajemniczego prawa natury, skazaną była ukazywać się w pewnych porach roku, pod postacią obrzydłego i jadowitego węża. Ci którzy źle się z nią obchodzili w czasie tój przemiany, pozbawieni byli na zawsze dobrodziejstw, któremi obsypywała ludzi. Ale oczom tych którzy mimo jój ohydneho widoku, litowali się nad nią i ochraniali, odsłaniała się później pod piękną i niebiańską postacią towarzysząc im wszędzie, spełniała ich żądania, zapełniała dom ich bogactwy, uszczęśliwiała w miłości a dawała zwycięstwo na wojnie. Taką boginią jest Swoboda. Przybiera ona czasem postać ohydneho gadu, pełza, syczy, kąsa. Ale szczęśliwi ci, którzy ośmie-

liwszy się przyjąć ją pod tą straszną postacią, bo nareszcie wynagrodzeni za to, w czasie jej piękności i chwały.”

Możnaby zarzucić mężkiej wymowie Macaulaya, brak wdzięku, werwy i prostoty, możnaby zapytać się dlaczego nie spotyka się umiejętności pisarskiej z czystością klasyczną w tym mężu stronnictwa, w tym wojowniku trybuny; krótko mówiąc dlaczego Anglik nie jest atencykiem; atoli niechaj lepiej czytelnik sam przekona się z dzieł jego o wspaniałości i bogactwie stylu, przetykanego barwami najcudowniejszych kwiatów.

* * *

W dziele swém „Historyja Anglii“ wybrał epokę najbardziej odpowiednią jego opisom politycznym, jego stylowi, namiętności, nauce, zamiłowaniu narodowemu i sympatyi Europy. Opowiedział kształcenie się konstytucyi angielskiej, ugrupowawszy resztę dziejów około tego jedyne go wydarzenia „najpiękniejszego jakie było na świecie”, według wyrażenia Anglika i polityka.

W dziele tém użył metody nowój arcypięknej i potężnej; powodzenie téż miał niesłychane: kiedy się miał ukazać tom drugi, zażądano z góry 30,000 egzemplarzy.

Pomówmy o tém bliżej. Historyja ta jest powszechną a nie ułamkową. Obejmuje wydarzenia wszelkiego rodzaju, i stawia je na czele. Jedni pisali historyę rass, drudzy warstw społecznych, inni rządów, inni jeszcze uczuć, idei i obyczajów, Macauley objął to wszystko razem. „Spełniłbym bardzo niedokładnie me zadanie, gdybym mówił o bataliach tylko i oblężeniach, o wroście i upadku rządów, o intrygach pałacowych lub obradach parlamentarnych. Celem moich usiłowań będzie napisać historyę narodu zarówno jak i rządu, zaznaczyć postęp sztuk pięknych i pożytecznych, opisać sekty religijne, malować obyczaje pokoleń, i nie zamilczeć o przeobrażeniach, które wpłynęły na odmiannę ubiorów i zabaw publicznych. Chętnie zniosę zarzut, żem zeszedł z godności historyka, jeżeli mi się tylko uda przedstawić oczom Anglika XIX-go w. obraz prawdziwy życia ich przodków.“

Dotrzymał słowa. Portrety łączy z opowiadaniem, tak np. portrety Nottinghama, Shrewsbury i t. d. wszczepione są w opis sesyj, wśród decyzji parlamentu. Ciekawe anegdotki, szczegółki zewnętrzne, przerywają opowiadanie wojny, nie urywając jej zupełnie. Dysertacya polityczna poprzedza opowieść batalij, lub znowu autor przemienia się w turystę albo psychologa, zanim się znów stanie politykiem lub taktikiem. Jest on naprzemian ekonomistą, literatem, publicystą, artystą, historykiem, biografem, powieściarzem a nawet i filozofem, i tą różnaitością dorównał różnaitości życia ludzkiego, przedstawiając oczom, sercu, duchowi, wszystkim zdolnościom człowieka, kompletną historyę cywilizacyi własnego kraju.

Wszystkie te części jak: opowiadania, dysertacye, anegdoty, obrazy, aluzye do najnowszych czasów, stanowią w Macaulayu nie samą tylko zbiorową, ale organiczną całość. Wszystko trzyma się

kupy, a to dlatego, że przyczyny wiążą fakta. Skupia się on genialnie. Trudno znaleźć historyka, któryby miał pamięć pewniejszą i większą. Gdy opowiada czyny człowieka lub stronnictwa, uwidocznia w jednej chwileczce wszystkie wydarzenia, wszystkie zasady człowieka lub stronnictwa, a szczegóły tłoczą się jedne za drugimi w niezmierniej obfitości. Nie zapomniał nic. Nikt chyba nie umiał lepiej, i nie uczył lepiej historii od Macaulaya. Wiele romansopisarze przenikają się ideami, uczuciami kierowanych przez się osób, wchodzą w ich duszę, podobnie i Macaulay który zna swoich klientów wybornie, a broni ich doskonale. Zdawać się może, że Balzac był komiwojażerem, kurtyzana, starą panną, poetą, i że dla każdego z tych stanów pochwylił osobne życie: podobnie zdawaćby się mogło, że Macaulay był wigiem, torysem, purytanem, ambasadorem. Innemi może środkami jak poeta i filozof, potrafi on przecież doprowadzić w dziele swém do jedności i zwięzłości życia.

Drugą charakterystyczną stroną tej historii, jest jasność, a jest ona popularną. Trudno się lepiej tłumaczyć. Zdaje się, że mówi do czytelnika: „bądź głupi, roztargniony, mimo to słuchać mnie będziesz, słuchać mnie musisz; — powtórzę jedną i tę samą ideę pod tyloma formami, objaśnię ją tyloma przykładami, postaram się o tyle siły przekonywującej, że muszę cię oświecić.“

Trzecią stroną ogólną a wcale nie angielską Historii Macaulaya, jest to, że jest zajmującą. Napisawszy pięć tomów swych Essays w Przeglądzie Edynburskim, nauczył się sposobu dziennikarskiego zwracania uwagi odrazu, i zatrzymania jej wykładem na dłużej. Przydało mu się to wielce w Historii. Użył wszelkich środków godnych i niegodnych wielkiego talentu, alluzyj nawet do wypadków bieżących, ażeby zwrócić uwagę. Tak naprzykład:

Gdy wymienia pułk jaki, pisze w kilku wierszach świetne jego czyny od samego początku, i oto oficerowie tego pułku znajdujący się obecnie w Kalkucie lub Malcie, czują się w obowiązku czytać jego historię; mówiąc o jakimś mieście, opisuje zaraz zmiany jakie w niém zaszły, nowe ulice, budynki odnowione, i oto zobowiązuje zaraz wszystkich przemysłowców i właścicieli domów do czytania. Mówi o aktorkach, mężach stanu w taki sposób zawsze, że rozciekawia aktorów i mężów stanu. Mimo takiej jednak masy faktów, rozpraw i anegdot, mimo takiej różnorodności części składowych przedmiotu, książka czyta się z najwyższym zajęciem. Nosi ona na sobie znamię talentu prawdziwie angielskiego. Uniwersalna, rozwojowa, obfita, urozmaicona, zwraca uwagę i oświeca. Posiada życie, jasność, jedność; zdawałoby się że autor umie popularyzować jak Thiers, filozofem być jak Guizot a artystą jak Thierry. Tymczasem autor, jest przedewszystkiem mówcą i to na wzór swego kraju. Nie jest on właściwie filozofem, dowodem, pierwsze rozdziały historii Anglii, ale klasyfikacja i porządkowanie przyczyniają się do piękności dzieła. Nie jest rzeczywiście artystą, bo gdy maluje, chce przez to czegoś dowieść; nie odznacza się wdziękiem, lekkością, żywością, finezyą, ale ma pamięć, naukę olbrzymią, namiętność polityczną ognistą, wielki talent adwokacki wykładający doskonale przedmiot, znajomość

dokładną drobnych faktów zwracających uwagę, i wzbudzających ciekawość. Ta szerokość nauki i potęga rozumowania i namiętności, stworzyła jedną z najpiękniejszych ksiązek tego wieku, objawiając zarazem geniusz narodowy. Dla swego narodu wydaje się on przez swą żywość, namiętność i jasność, umysłem francuzkim, a jednakże jakaż to różnica między Macaulayem a Carlylem, którego tło i grunt jest czysto germańskie.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

KRONIKA ZAGRANICZNA,

LITERACKA, NAUKOWA I ARTYSTYCZNA.

Rozprawa p. Cherbuliez o poetach cesarstwa niemieckiego. — Landsturm i ochotnicy poezyi niemieckiej podczas wojny. — Gejbel prorok z Lubeki. — Trzydziestoletnie wołanie Herolda. — Psalmi Biblijne. — Emil Rittershauz. — Oskar Redwitz. — Poemat symboliczny *Amaranta*. — *Pieśń nowego cesarstwa* w pięciuset sonetach. — Uroczystość inauguracyi uniwersytetu Strasburskiego. — Baron Aufses z Nurembergi. — Antoni Trueba powieściopisarz i poeta hiszpański. — Wiersz do przyjaciela. — Wystawa obrazów w Paryżu. — Udział kobiet. — Obrazy religijne. — *La vierge aux ruines*, p. Michels. — *Śmierć Ludwika Ś-go*, Piotra Glaize. — *Ś-ty Józef* p. Jacquand. — Dwa obrazy Muratona: *Wiara w przyszłość*, *Miłość Boga*. — Obrazy Alzacy: Henryety Browne, Gustawa Dore, Marohala, pani Ortez. — *Gdzie się kończy zwycięztwo?* — *Rodzina Alzacka wędrująca do Francyi*, Schutzenbergera. — *Stary piastun*. — *Kundel*. — *Strasburg w płomieniach*, Ehrmana. — *Sceny wojenne z pod Metz*, p. Protais. — *Biwak pod Bourget*, p. Neuville. — *Pobożewisko* Peraulta. — *Ranni Francuzi wśród wieśniaków szwajcarskich*. — *Pożeganie Szwajcarów*, Jundta. — *Wdowa*. — *Dzień zaduszny*. — *Wiosna 1872 roku*, p. Perin. — *Nadzieja*, p. Puviv de Chavanne. — *Republika Mossa*. — *Mały pi i plaster miodu*. — *Odrzucona Petroleza* Courbeta.

Rok temu, kiedy Franoya nie ociekła jeszcze ze krwi tak obficie stoczonej, a dymy pożarów kłębamii jeszcze wily się nad Paryżem, krytyka berlińska obliczała sztyderezo plody literatury francuzkiej z czasów wojennych, usiłując przekonać świat o zupełnym upadku ducha łacińskiego, a tēm samēm usprawiedliwić konieczność germańskiej przewagi. Powtórzyliśmy wtedy owe sądy równie złośliwe jak nieuzasadnione.

Surowość tych nieprześląganych krytyków, dała nam prawo mniemać, że równoczesne plody myśli prusko-niemieckiej,

zwłaszcza na polu poezyi, muszą przypominać co najmniej czasy Arndta i Körnera. Milczeliśmy czekając aż się rzeczy wyjaśnią. Otóż dziś wyjaśniły się, dzięki szwajcarskiemu krytykowi p. Cherbulliez, który z nadzwyczajną werwą ocenia utwory poetyczne dzisiejszych tryumfatorów, w artykule p. t.: *Pocci niemieckiego cesarstwa*.

Rzecz to bardzo zwyczajna, widzieć małe źdźbło w cudzém oku, a w własném nie dopatrzeć belki. Można by poniekąd uwzględnić tego rodzaju słabość, zwyczajną tak jednostkom jak i narodom, ale pycha germańska nie ma granic; przechwałki niemieckie podają same z siebie oręż w dłoń poważnego krytyka.

Cherbulliez dowcipnie przypomina niedawne czasy, kiedy inne dźwięki rozbudzały echo gór nadreńskich i poruszały do głębi serca Niemców. Przytacza na dowód sławną piosenkę Platena; i my powtarzamy ją za nim.

„Radbym — woła poeta — skryć się przed światem całym, i pływać po cichej fali, otulony rąbkim chmur i przy uroczej pieśni ptasząt, wyzwolić się z pod brzemienia trosk ziemskich! Kołysany przez czystym żywiołem, radbym uciec od ludzi daleko! radbym dotknąć niekiedy wiosłem brzegu, a nie wysiadając z łódki mojej, pochwycić w przelocie pęczek róży i popłynąć znów dalej, i patrzeć jak trzody pasą się po zielonych wybrzeżach, jak swobodni kosiarze zagarniają w kopy wonne siano, jak winobranicy kładą w kosze słodkie jagody winogrodu! Pragnąłbym karmić się tylko jasnym promieniem zorzy i pić tylko wodę z przeczystych krynic!“

Równym miłośnikiem czystego ideału, okazywał się wielki Goete. Podczas gdy Teodor Körner, nowy Tyrtusz, z mieczem i lutnią wiodł ziomków do krwawego odwetu, orzeł wejmarski odlatywał spokojnie z gniazda, spłoszony wirem wrzawy wojennej. Kiedy Prusacy zbliżali się pod gród jego, poeta uciekł do Tüplitz, gdzie dla rozrywki uczył się historii państwa chińskiego. Później kiedy zagrzmiały działa Waterloo, Goete opuścił Chiny a przeniósł się do Persyi: czytał Gazelle Hafiza, przezwanego wschodnim Anakreone, i brał z nich pobudkę do swojego *Divanu*. „Północ, Zachód i Południe, szamoczą się — woła wieszcz — trony padają zdruzgotane, państwa zatrzęsły się w posadach. Uciekaj Muzo moją zaczerpnij w łono czystego tchnienia Wschodu! tchnienia patryarchów! wśród miłości i pieśni, skąp skrzydła w odradzającym źródło.“

I ze wstrętem zamykał wieszcz ucho na bojowe hymny Körnera, Rückerta i Arndta, których echa rozbijały się po szerokich przestrzeniach Niemiec. Nad te chrapliwe dyssonanse, składał on słodkie melodye Zulejki i westchnienia huryssek.

„Cóżby powiedział olimpijski czciciel ideału — pyta Cherbulliez — na te chmary poetów zrodzone dziś na parnacie germań-

skim? wojna 1870 roku, wywołała z cieniu tysiące nieznanych Tyrteuszów. Grawelotta i Sedan w szczególny sposób zapaliły wyobraźnię. Z czynną armią poezji niemieckiej, złączył się cały landsturm, i liczny zastęp młodych ochotników. Ryknęły trąby i dudy, częstokroć na ton fałszywy; lecz krytyka milczała rozbrojona *dobrą intencją*. Wszystkie dzienniki przepelnione były wierszami: jamby i trochee, naśladowały najwierniej huk dział i strażę kawaleryi. Stary Arminiusz odradzał się w milionowych kształtach, bóg Thor zbiegał z wyżyn Truduanguru, i groził Paryżowi olbrzymim młotem, a widmo Konradina, zamordowanego niegdyś przez Karola d'Anjou występowało groźnie z pod sześciowiekowych prochów grobowca, i zapalało serca do krwawej pomsty.“

W tym chórze ogólnym odezwało się kilka słynnych głosów. Odrodzenie się starego cesarstwa germańskiego, było od lat kilku marzeniem poetów nowej szkoły: postacie Heuryka Ptasznika, Ottonów, Fryderyka Barbarossy, Karola V-go, pojawiały się bez ustanku w dramatach i eposejach, balladach i pieśniach lirycznych. Od roku 1840 technienie germanizmu powiało silnie na serca, i zapaliło w nich nowy płomień. „Poeci — mówi krytyk szwajcarski — wdali się w rozmowy ze stadami kruków, okrążających tajemniczą jaskinię, kędy Barbarossa czekał w bezwładnym śnie, rychło uderzy godzina, aż ocknion z wiekowej martwoty, w płaszczu purpurowym, w złotej koronie cesarzów, ma wstąpić na szczyt góry i olbrzymim palcem ukazać ludom godnego siebie następcę, rozemknąć im wrota przyszłości.“

Ten polityczny zwrot na polu poezji, uderzył odrazu badawczy umysł Hejnego. Surowy Arystofan niemiecki sztydzi zeń w nielitościwy sposób. Oto słowa, któremi w roku 1841 kończy poemat swój Atta-Troll, ostatnią, jak mówi wolną, pieśń Muzy romantycznej.

Nowe czasy! nowe ptaki!
 Jaka wrzawa! rozgwar jaki!
 Krzyki, piski, w lesie, w polu;
 Wiatr im szturmem odpowiada:
 Rzekłbyś, one gęsi stada
 Co bronily Kapitulu.
 Szarych wróbli lecą chmary,
 Hurmem lecą z ranną rosą;
 Przebiegają w lot obszary,
 I podniosłszy dumnie głowę,
 I zapalki w szponkach niosą,
 Niby gromy Jowiszowe.

Jakież słyszę znów poszmery!
 To gołębic białe roje;
 Zbrzydł im widać wóz wenery:
 Im nad miłość miłsze boje.

Prąd ich dzisiaj wprzągnął szalony
 W płomienisty wóz Belony.
 Jaka wrzawa! rozgwar jaki!
 Inne czasy! inne ptaki!
 Nowe ptaki, śpiew ich nowy,
 On nie trafi mi w głąb duszy;
 Póki z mojej stariej głowy
 Nie wyrosną nowe uszy!

Szyderskie pociski Hejnego, nie zgłuszyły lutni poetów, nie zobojętniały serca na dźwięki tych pieśni, które brzmiały wzdłuż i wszerz Niemiec, istna zapowiedź trąb bojowych.

Jeden z tych wieszczów Gejbel, *prorok z Lubeki*, jak go zowie Cherbulliez, wystąpił śmiało do zapasu, jako zagorzały szermierz cesarstwa i śmiertelny wróg Francji. „Nie za nikczemnym dobrobytem — woła Gejbel — nie za równością welszów, tą chwiejną huśtawką okupioną krwi zdrojem, wzdychasz ty o ludu mój niemiecki! Twoje serce drży z boleści, na widok zdruzgotanego dębu! Ale z dnia na dzień brzmi rozgłośniej potężne hasło, wielkie hasło cesarstwa niemieckiego. Daremnie stary smok zawiści, on czterogłowy potwór, trzyma straż przed drzewem żywota, i broni nam jego owocu! Bóg wspiera twe nadzieje . . . To, co dojrzewa w głębi dusz, stworzy sobie ciało i kości. Głośno przemówi konieczność w poryku działań bojowych! . . . Oto koniec pieśni mojej, oto zielona wiosna! Oto cesarstwo z wiekową potęgą swą i ohwałą.“

Aby zdobyć cesarstwo, trzeba było męża gotowego na boje. W roku 1844, tenże sam wieszcz, całą siłą potęgi swojej wywołuje tę wojnę, tego męża:

„Módl się, ktokolwiek modlić się umiesz — śpiewa Gejbel — a jeżeli wzrok twój nie szuka ucieczki w niebiosach, opowiedz tajemnicę twoję wichrom i burzy. Niech ją rozniosą po krańcach ziemi twojej, niby czarodziejskie słowo zaklęcia! Niechaj słabe niemowlę na łonie matki wybełkocze to słowo, niech je wyszezcze starzec w obec rozwartej trumny. O! losy, ześlijcie nam męża! jedyne go męża, ześlijcie nam godnego wnuka Nibelungów, któryby żelazną prawicą ujarzmił czas, i nogą okutą w twarde spiż, ścisnął boki rozhukanemu biegunowi!

„Świadczę się niebem, nie należę ja do tych zuchwalców, którzy dla igraszki wyzywają nieprzeblagane losy; ale zacznę rak wewnętrzny roztoczy nasze trzewia, radbym spotkać się z wrogiem oko w oko, na polu bojowych zapasów. Tak jest, trzykroć błogosławiony dzień i godzina, w której błysną dobyte z pochw miecze, w której nad brzegami Odry i Mozelli, miasto jadowitych słów, posypną się kule ogniste. O! niechbym jutro ujrzał słoneczny promień, odbity na karkach dzielnych zastępów naszych! O! niechby jutro, kopyta naszych koni, zatętniły po kraju wrogów! Wojna!

wojna! hasło bojowe zgłuszy wnet te kłótnie i poswary, co wysuszyły szpik kości naszych. Naród niemiecki chory, trzeba mu krwi upuścić: to jedno ocali go od śmierci.“

W kilka lat potem, kiedy na politycznym widnokregu pojawiła się sprawa Szlezwicko-Holsztyńska, kiedy, jak mówi poeta, rozbójnik duński, podobien do morskiego smoka, otworzył paszczę aby pochłonać Niemcy, prorok z Lubeki obrócił oczy na Alzacją. Oto są jego słowa.

„Stary Minster strasburski tak przemawia głosem spiżowych dzwonów: sztuka niemiecka nauczyła mnie za lepszych lat, sięgać pod gwiazdy strzałami wieżyc moich, a przecież jęczę smutno w służebnictwie u welsza. I dziś gdy patrzę w toczący się prąd wieku, widzę jak Duńczyk w bezczelnym zuchwałstwie, obcina członek jeden z wielkiego ciała Niemiec. Stoję na czatach . . . słucham! . . . Jeżeli dopnie swego, będę jęczał posypan popiołem, i pobledną blaski róży mojej, i od głębokich westchnień, zadrzą w posadach mury moje, podruzgoczą się baszty! Jeżeli zaś upadnie pyszny Duńczyk, będzie to dla mnie hasłem szczęśliwej wróżby! Kres niewoli mój blizki, miecz bratni wkrótce mnie oswobodzi!“

Zo wszystkich dziś poetów niemieckich, Gejbel najgłośniejsze pozyskał imię. Urodzony na północy, nad brzegiem Trawy, w jednej z czterech rzeczypospolitych konfederacji germańskiej, odstąpił dobrowolnie republikańskich zasad, pojmując inaczej wielkość i szczęście niemieckiej ojczyzny. Po ukończeniu nauk w uniwersytecie w Bonn, puścił się na dalekie podróże: zwiedził Grecją, opłynął archipelag.

W roku 1840 powrócił do rodzinnej Lubeki, wkrótce potem otrzymał pensyą z szczenobliwości króla pruskiego, później jeszcze, król bawarski powołał go do Monachium na profesora estetyki.

Gejbel próbował sił, we wszystkich rodzajach poezji, w żadnym jednak nie zasłynął prawdziwie twórczą oryginalnością. Napisał epopeę wzięwszy do niej za przedmiot podróż i zaślubiny króla Sygurta. Jego tragedye: król Rodryg, *Brunchilda*, *Sofonizba*, równie jak komedya: *Meister Andrea*, znalazły powszechne uznanie. Nie tym przecież utworom zawdzięcza on wziętość swoją wśród ziomków. Winien ją nadewszystko pieśniom politycznym, które sypał szczenobrze od lat trzydziestu, a które zebrał dziś w jedną wiązkę i wydał pod tytułem: *Heroldsrufe*, wołanie Herolda.

Urzędowy poeta cesarstwa, *keiserdichter*, jak go zowie Cherbulliez, dzięki zręcznej dyalektyce, przez lat trzydzieści śpiewał na jeden temat, coraz nowemi słowy. Na cześć wymarzonego bożyszczka, tworzył on ody, hymny, tercety, kawatiny. Najwyższą wartość poetyczną przypisują sonetom jego z roku 1844. Dwa z tych sonetów przytoczyliśmy powyżej. W ogólności dawniejsze utwory Geibla lepsze nierównie od dzisiejszych. Zorza nadziei świtająca zdaleka, dzielniej budziła w nim natchnienie, niż pełne słońce chwały.

Tysiące ust powtarzało tę pieśń poety, znaną powszechnie w całych Niemczech:

„W noc głuchą dobiega mnie szelest gałęzi pokrytych świeżemi pączkami. Szum wiatru powtarza starą dumkę, dumkę o cesarzu niemieckim!

„Duch mój w obłędzie, serce ściśnięte trochę! Nadstawiam pilnie ucha! Ten szum, pochód-że to armii w obłokach, czy polot orlich skrzydeł.“

„Sero miliony cierpią dziś równo ze mną, czekają jak ja czekam! Ze szczytu opok czuwają pilne czaty, patrzą azali słońce wschodzi krwawo.

„Ojczyzna niemiecka, piękna oblubienica, przybrana już na gody, z pieniem coraz to złejším. I kiedyż ją zbudzisz odgłosem trąb wojennych, i kiedyż, cesarzu powiedziesz ją do domu twego?“

W roku 1349, Gejbel nastroił już złotą lutnię na cześć nowego cesarza. Niestety! po krótkiej nadziei nastąpił gorzki zawód. Król Fryderyk Wilhelm IV, nie przyjął cesarskiej korony. „I znów zostaliśmy sierotami! — woła z boleścią poeta — jak byliśmy sierotami od lat czterdziestu. I zawiesiliśmy znów lutnie naszo na gałęziach wierzb, a wiatr z jękiem potrącał w ich struny!“

Nie sam wiatr tylko potrącał w struny natchnioną lutni Gejbla. Drżała ona pod dłonią poety, wróżąc dzień zjednoczenia i przyszłej chwały Niemiec. Gejbel nie spuszczał z oka promienistej gwiazdy, w której widział zbawienie narodu swego. Cesarstwo było dlań ideałem. Z gniewem wyrzuca też Niemcom poswary i czeze spory, wstrzymujące kraj na drodze właściwego rozwoju. Pieśni jego pełne symbolicznych obrazów. Tu, widzi niby roje pszczoł leące błędnie w przestrzeń, bez przewodnika, bez celu; tam znów spostrzega drogocenny klejnot, coby mógł ozdobić koronę władcy świata, dziś nędznie tarzający się w błocie. I gromi surowo lud swój, i przeklina stronnictwa, odwracające go z drogi przeznaczeń, jaką wskazuje olbrzymi duch Henryka Ptasznika, odziany w purpurę cesarską. „I kiedyż, woła, zazieleni się stary dąb? Kiedyż w ogrodzie niemieckim zakwitnie korona cesarzów? Dopókiż niemiecka szablica spoczywać będzie w pochwie?“

Poeta nie traci jednak wiary. Wie on, że cesarstwo zrodzi się w zamęcie burz i uraganów, przy ogniu błyskawic, na ziemi ubroczonej posoką. I muza jego, istna Walkyryja, poi się czaszą pełną krwi, lubuje w obrazach strasznych bojów! „Przyjdzie niebawem dzień—woła w uniesieniu—kiedy Pan obmyje hańbę z ludu swego. Ten, co przemawiał na równinach Lipska, przemówi jeszcze hukiem gromów. Wówczas, uwieńczona w godła monarszej władzy, zasidziesz na złotym tronie, nie zrównana królowo, piękna ojczyzno moja! Błyśnij, rozgorz ożywecy ogniu! niech świat odrodzi się piorunem! Z łona niedotłonego stosu, niechaj orzeł cesarski wzleci w górę, istny Feniks z własnych popiołów!“

I uderzył grom! Wojna duńska przepeliła nadzieją pierś poety. „Witaj mi—woła—święty ognisty deszczu! witajcie mi burze i pioruny! Wasz płomień odradza nas, moje serce odpowiada wam tętnem radości. Naprzód orły! uderzcie śmiało w skrzydła! wieszcie Niemiec stroją harfy na cześć waszym tryumfom!”

W trzy lata potem, Sadowa otworzyła szeroko wrota cesarstwu. Gejbel nastraja lutnię na nowy ton, i wysławia pieśnią nowy przybytek, w którym „odkwitają starożytne cnoty niemieckie, i wszystkie ręce gotowe złożyć się do modlitwy, gdzie serce dziewicy zamyka skarby niewinności, gdzie niebiański cherub trzyma straż nad cnotą młodziana. Pomazańcze Pański! — woła poeta do króla—dzięki tobie, mamy prawo szanować samych siebie!”

Nastąpiła wojna francuzko-niemiecka. Posłuchajmy jak krytyk szwajcarski ocenia utwory Gejbla, z tej epoki niepamiętnych w dziejach tryumfów. „Chcąc godnie ucześć władcę, potrzeba przemawiać jego słowy. Lubo nowy cesarz nie jest bynajmniej zwolennikiem poezji, wskrzesił on przecież rodzaj literatury, zapomniany już od dawna, i w listach swoich do królowej, dał wzór stylu zaczerpniętego z tradycyji biblijnych, w którym Imię Pana Zastępów i Boga Izraela co chwila powtarzane.

„Pod tym wpływem Gejbel począł tworzyć staro-zakonne psalmy, ubarwione obrazami *różgi Pańskiej, Sodomy, Gomory*, i t. p. Psalm wymierzony przeciw *Babilonowi* góruje nad innymi. Tu poeta pełną pierśią czerpał natchnienie z Jeremiasza i Króla Proroka. Utwór ten niesłychane zyskał powodzenie.

Zobaczmy jak wieszcz przemawia do Francuzów: „Chociażby ziemia pograżyła się w ciemnościach, a niebiosa rozgorzały płomieniem; chociażby konie broczyły w krwi po uzdy, a koryta rzek zawalone zostały kupą trupów; choćby domy buhały pożarem, a psy tylko szczekały po ulicach pustego grodu, uczując pospołu z gromadą żarłocznych wilków, i ze stadem sępów krwi głodnych: nie przebaczymy wam, dopóki na kolanach, z sercem upokorzonym nie odrzekniecie się ducha kłamstwa, i nie przeblagacie Pana, który was sądzi!”

W innym utworze poeta ukazuje, jak geniusz złego, sprzyśnięty z zastępem mocy piekielnych, buduje państwo swoje na krwi i postrachu, kiedy nagle pojawia się bohater pobożny i mocny, a nad głowę jego ulatują cherubiny w obłokach. „Bóg światłości zdruzgotał smoka i miasto wiecznie szydzące drzy, pod płomienistym mieczem Niemiec.” Kantyki te pisane umiejętnie, słychać w nich pociski piorunów, i rzenie koni, i szumy skrzydeł archangielskich. „Nad te jednak religijno-Kruppowo psalmy—dodaje Cherbulliez — wolimy stokroć pierwszą balladę Gejbla o *paziu i królownie.*”

Ostatnia pieśń ze zbioru Heroldsrufe, utworzona na cześć pokonu; przecież poeta powołuje w niej Niemców na ostatnie zapasy i na ostatni tryumf. „Bodajby — woła — Ten co czasu wojny siedł przed nami w słupie płomienistym, dał ludowi naszemu siły

do ostatniego jeszcze zwycięstwa, siłę do wyrwania z serc naszych czarnego ziarna fałszu, do wyrugowania wszelkich naleciałości Welskich, z naszych myśli, serc i uczynków, *das Welschthum auszumerzen in Glauben Wort und That*. Tak brzmi ostatni głos Geiblowskiego Herolda!

Obok Geibla stawia Cherbulliez Emila Rittershaus, autora zbioru poezyi p. t.: *Neue gedichte*. Rittershaus wykołysany szumem westfalskich dębów, wyższym jest nierównie poetą niż Geibel a przecież nie dzieli w Niemczech sławy współzawodnika. Czemu? bo na tarczy jego poetycznej, są plamy nieczem niezatarte. Rittershaus jeszcze w roku 1862 napisał piękny wiersz na cześć Fichtego, podczas jego jubileuszowej uroczystości. W tym wierszu wyraża chęć, aby ten wielki myśliciel stał się wyrocznią narodu, i przeniknął go na wskrós duchem swoim. Poźniej, po Sadowie śmiała odzywa się pieśnią; „Tłumy pędzą za wozem zwycięzcy, sam tylko poeta, pozostanie wieszczem stariej chorągwi, na której wypisane prawa ludów.“ W roku 1870 nakoniec, jeżeli z jednej strony surowy był dla Welszów, z drugiej w szlachetny sposób przemawiał do Francyi: „Tyś walczyła niegdyś za prawdy wieknieste, ty byłaś wyrocznią ludzkości!“ Po zwycięstwie zaś, do dźwięków tryumfalnych dołączył surowe ostrzeżenie. „Niechaj—rzecze — pamięta Cesarstwo, że ma być nie obozem Cesarza, lecz świątynią swobody.“ Nie przebaczone poecie tych zapomnień, nie przebaczone mu że opiewał braterstwo ludów, że radził Niemcom aby zamknęli ucho na pochlebstwa, nie ubóstwiali własnych cnót i zasług, ale szukali wszędzie piękna i dobra, i jako pszczoły karmili się sokiem wszystkich kwiatów, rosnących na wielkiem drzewie ludzkości.

Większy nierównie mir w narodzie, znalazł trzeci poeta Oskar Redwitz, autor świeżo wydanego poematu pod tytułem: „*Pieśń nowego cesarstwa niemieckiego*. Jest to liryczny wybuch uczuć w obec tryumfów narodowych. „O! królu Wilhelmie!—woła poeta — o starcze szlachetny i bohater ski! dla ciebie niechaj zabrmi pieśń dziękczynienia: tyś podbił serce moje! lody jego pękły pod słońcem twojej chwały!

Redwitz rodem z prowincyj nadreńskich należy do gorących katolików. Pieśń jego wielkie sprawiła wrażenie na umysłach; wzięto ją za głos całego stronnictwa, pokazało się jednak, że była tylko wyrazem osobistych uczuć, co osłabiło poniekąd jej znaczenie.

Od lat z górą dwudziestu, Oskar Redwitz słynio już na parnasie germańskim. W roku 1849 utworzył on *Amarante*, mystyczną epopeję a raczej polityczną allegoryą. Bohatér poematu rycerz Walter, uplątał się w sieci hrabiny Gizmundy, kobiety próżnej, z sercem przewrotném i wszelkimi wadami, cechującami plemię *Welszów*. Zalotna, lekkomyślna, niestała, zakochana w klejnotach i fraszkach, lubi namiętnie bale, zabawy, hołdy i świetne stroje; odtrąca bez litości ubogich, odmawia jałmużny żebrakowi: niedopatrzeć w nią serca ani duszy. „Owoce te — mówi poeta —

nie dojrzewają w kraju Welszów.“ Amaranta przeciwnie posiada wszelkie cnoty germańskie. Pokorna, niewinna, uległa, zamiłowana w pełnieniu obowiązków, pojmuje życie ze strony poważnej i surowej. Podczas gdy dusza wzbija się w niebo i rozmawia z chórami aniołów, wprawną ręką szyje tajemnie koszule dla ubogich. Walther rozrywa pęta czarodziejskiej syreny, poślubia złoćwosą i cnotliwą Amarantę.

W Gizmundzie i Amarancie poeta uosabia dwa plemiona: jedno czyste, pełne żywotnej siły, drugie przewrotne i upadłe. Dwie bohaterki są niemniej uosobieniem dwóch rodzajów poezji: filozoficznej i religijnej. Pierwsza z nich czytała Spinozę Hegla, Woltera; w Ewangielii widzi tylko typy i legendy, tonie cała w mrzonkach panteistycznych i rewolucyjnych. Napróżno Walther tłumaczył jej katechizm, tiradą czterysta wierszową: dumna pogańska odtrąca słowa prawdy. Amaranta przeciwnie, typ muzy spokojnej i wesołej, odmawia codziennie różańce, słucha z rozkoszą dzwonów, siłę ducha czerpie w modlitwie. Małżeństwo Walthera z Amarantą jest symbolem połączenia geniuszu z kościołem.

Poemat ten nieznanym prawie po za obrębem Niemiec, znalazł w kraju nie mały rozgłos. Świadczy o tém dwadzieścia sześć wydań, z których czternaście wyczerpano w trzech latach.

Świeży poemat Redwita: *Pieśni nowego cesarstwa niemieckiego*, mniej szczęśliwy w pomyśle i wykonaniu, został jednak przyjęty z zapalem, gdyż odpowiada uczuciom ogółu i schlebia dumie narodowej. Jest to zbiór sonetów w liczbie pięciuset! że zaś każdy sonet składa się z czternastu wierszy, wyobraźmy sobie 2000 zwrotek o 7000 wierszach, obracających się wiecznie wkoło jednego przedmiotu. Przytaczamy tu słowa Oherbullieza, trudno bowiem zdobyć się na dowcipniejsze ocenienie. „W pieśni o nowém cesarstwie, niesłychana panuje rozmaitość. Są tu i epiczne rapsody, i uniesienia liryczne, i hozanny, i alleluje, i epigramaty, i wybuchy wściekłego gniewu; są i westchnienia, i łzy, i gruchania gołębic. Tu poeta wymierza strzelistą prozopopeę do cesarza Wilhelma, którego zrenica opromieniona światłem wiary; tam wysławia wodzów z pod Werthu i Sedanu; tam znów powołuje w obec generała Moltke duchy Aleksandra z Macedonii, Juljusza Cezara, Napoleona, Wellingtona, Fryderyka Wielkiego. Sławni zdobywcy patrzą pełnym uszanowania okiem na współzawodnika, który ich wszystkich przerosł, i z pokorą uchylają przed nim głowy. Tam nakoniec wyprowadza na scenę wielkiego kanclerza, tego orła, co ogarnia bystrym wzrokiem pola dyplomatycznych zapasów; tego bohatera, który prowadził świętą krucyatę, uzbrojony mieczem ducha; tego łucznika, którego strzały przoszyły na wskrós stek kłamstw i bezczelności Welskich. „Jedno mnie tylko niepokoi, o wielki mążu! — pyta wieszcz — powiedz... masz li ty serce? O tém sercu mało świat mówi, a przecież oddalony od domu zatęskniłeś do ciepłego ogniska. Tak jest, aczkolwiek tyś mąż ulany z twar-

dego spiżu, surowy mocarz na tronie inteligencyi, ty masz serce, i to serce nie zechce sztydzić z uczuć moich!“

Redwitz zwraca się potem do Welszów i uderza w nich piorunem przekleństwa. Błotem hańby obrzuca kłamstwo Welszów, zepsucie Welszów, zdradliwość Welszów; przeciw tym bezceństwowom stawia uczciwość niemiecką, czystość niemiecką, pobożność niemiecką, sumienie niemieckie, słowem wielkie cnoty, które Bóg tak hojnie zapłacił pięcioma miljardami — dodaje złośliwie Cherbulliez.

„Kto z nas nie rumieni się — woła poeta — że niegdyś podziwiał ogładę Welszów? że mówił ich językiem, przejmował ich maxymy? kto dziś patrzy bez wstępu w te ohydne bagnisko? Stosy ciała zgnilych zasłały wkoło ten woniejący ogród co pokrywał cuchnącą trupiarnię. Świat nie widział podobnej zgnilizny. . . ten lud godzien był swego Napoleona!“

I naród niemiecki nie uszedł dotkliwych pocisków. Poeta oburza się że nie wszystkie serca płoną tak gorącym zapalem jaki porywa jego duszę. „Ci pozwalają sobie krytykować wojenne obroty, tamci lękają się, czy zwycięzki miecz Graweloty i Sedanu nie zacieży Niemcom, jak gdyby lud bohaterów mógł być kiedykolwiek ujarzmiony! Niewiasty nawet, o hańbo! nie były bez zarzutu. Ileżto pielęgnowało po szpitalach rannych nieprzyjaciół, przymilając się do nich lekkomyślnie! Godneż one zwać się Niemkami? Nie zaiste, nie są to Niemki ani z języka, ani ze stroju. . . Cicho serce moje, niech cię gniew nie zapala! . . . przepomnij kilku kropel brudnej wody, w oceanie czystej miłości i poświęcenia!“

Po tej apostrofie Redwitz woła do Boga, aby oswobodził narzeczcie Niemców z ich dawniej *skromności i pokory* (1), aby w umyśle ich tehał przekonanie, że są ludem nieporównanym, najpierwszym ludem na świecie! W końcu porównywa północne i południowe Niemcy, do dwóch łabędzi żeglujących po falach, pod cieniem skrzydeł orła cesarskiego. Pragnie aby z sero tych łabędzi wybiegła pieśń słowicza. „W to serce — mówi on — według danego mi posłannictwa, składam poemat mój o nowém cesarstwie niemieckim.“

Roje młodych poetów puściło się w ślad trzech koryfeuszów powyżej przytoczonych. Jak zwykle bywa, naśladowali oni śmieszna i przesadną manierę, nie mając dosyć talentu aby sprostać w tém co stanowi dodatnią stronę utworów Geibla, Redwiza i Ritterhaus. Zostawiamy więc w cieniu całą plejadę młodych pomazańców muzy germańskiej, stosując do nich to, co biskup Krasicki wyrzekł o Rycyzwole.

W dniu 1-ym maja odbyła się arcywspaniała inauguracya nowego uniwersytetu niemieckiego w Strasburgu. Na kilka dni przed tém, uczniowie delegowani od rozmaitych wszechnic niemieckich, przybyli na miejsce, i zawiązawszy korporacyą Stras-

burskich studentów *Strasburger Studentschaft*, odgrywali zbiorowo rolę mistrzów obrzędu podczas uroczystości. Z poza Renu ściągnęły chmury professorów, poetów, uczonych i uczniów, słowem cała intelligencja germańska. Głównymi jej przedstawicielami byli studenci podzieleni na grupy, strojne w fantastyczne bermyce białe, czerwone, żółte i zielone, w westki aksamitne z bogatym szamerunkiem, w złotolite szarfy przewieszzone przez ramię; każdy z nich miał u boku długi rapir, przed każdą grupą chorągwy w berce z pioropuszem, niósł chorągiew korporacji. Była to, mówi Dziennik Augsburgski prawdziwa wędrówka ludów, ciągnąca na zdobycie zarenńskiej alemanii. Wandale i Swewi szli z Hejdelberga, Renanie z Fryburga, Frankoni z Tubingi, Teutoni z Giesen i Marburga, Holzaty z Kiel, nakoniec *Mazury* z Królewca (?!).

Z gmachów publicznych powiewały chorągwie niemieckie, uroczystość inauguracji odbyła się w dziedzińcu zamku cesarskiego, gdzie rozbito ogromny namiot przybrany w godła pruskie, w tarcze herbowe Alzacyi i Lotaryngii, w wizerunki fundatorów i uczonych dawnego uniwersytetu. Po lewej stronie trybuny, wznosił się na piedestale biust cesarza Ferdynanda II, który w r. 1621 podniósł starą akademię do znaczenia wszechnicy, po prawej popiersie cesarza Wilhelma. Korporacje studentów, obszedłszy w paradzie całe miasto, przy choralnym śpiewie *Wacht am Rhein*, weszły pod namiot: rozpoczęła się ceremonia. Prezydent Mödler odczytał akt fundacji nowego uniwersytetu i telegramy ksiąząt, poczem wezwał zgromadzenie, do oddania winnej czci panującemu. Obecni powstali i po trzykroć wykrzyknęli *Hoch!* Uważano jednak że mer miasta i adjunkci, zmuszeni uczestniczyć w obrzędzie inauguracji nie pozostali na miejscach swoich.

Przemówił potem rektor uniwersytetu, Niemiec rodem, dawny dziekan fakultetu teologii; po nim uczony historyk Springer powołany na profesora w celu zgermanizowania młodzieży alzackiej. Przytaczamy w treści jego mowę, zręcznie obmyślaną, aby schlebieniem próżności narodowej pochwycić za serca Strasburczyków.

„Jesteśmy tu — rzekł — w starém ognisku naszego życia rodzinnego, jesteśmy na klasycznym gruncie kultury niemieckiej. Im głębiej sięgamy do źródła narodowego bytu, tém lepiej uznać musimy naszą odwieczną jedność. Jeżeli szukamy w starych legendach, pierwszych wspomnień ludu naszego, znajdujemy je w lesie Wasgau (Wogiezkim). Tam Zygryd odebrał pocisk śmiertelny, tam odbył się krwawy bój Waltera z Günterem i Hagenem; tam również w Wasgensteinie, starożytna legenda o Smoku, przybrała się w formę niemiecką. Kiedy chrześcijaństwo rozpostarł się zwycięzko, pobożny mnich z Wissenburga występuje w końcu pierwszego wieku naszych dziejów, jako najdawniejszy poeta chrześcijański.”

Liczni słuchacze zrozumieli główną myśl mowy. Wyobraźnia ich sięgnęła jeszcze dalej, poza Alpy i Pireneje, bo

i czemużby zatrzymywać się na pół drogi? Już dzisiejsi Niemcy wcielają do historii Prus nadniemeńskich, całą historyczną przeszłość swoją i gotują się do panowania na wszystkich ziemiach, kędy sięgnęły mieczem druzyny Gotów i Wandalów, a gdzie one to nie sięgnęły? Dlatego też uczta strasburska jest uważana słusznie, jako dalszy ciąg manifestacyj pangermańskich, których byliśmy świadkami i w Wiedniu przy uroczystości Grillpartzera i w Dreźnie przy sądzie o Holbeinowskich Madonnach. Wszystkie te uczty literackie, artystyczne i naukowe, odbywają się pod wpływem owego upojenia, w jakim zostają Niemcy od chwili tryumfów nad Francją.

Długoli potrwa upojenie? trudno zgadnąć. To jednak nie ulega wątpliwości, że prędzej czy później pangermańska pycha ciężko będzie upokorzona. Co zaś najboleśniej razi w tych uctach, to że nauka stała się prostym narzędziem u narodu, który przez długi czas szanowany był głównie, ze czci jaką okazywał dla nauki. Cokolwiek mówią Niemcy o swych tryumfach, my widzimy już początek ich klęsk; bo nie jestże największą klęską dla narodu chwila, kiedy świat z oblicza jego zedrze maskę i pozna że cnoty któremi się szczycił, były tylko uludą i szalbierstwem.

Alzateczycy lepiej rzecz rozumieją niżli uczeni pruscy, zaczytują bowiem pasmo swych dziejów, nie od Zygryda i Nibelungów, ale od bohaterów starożytnego Argentorum, co wspólnie z bracią galską, przy pomocy Rzymian przepędzali za Ren hordy Aryowista. Owe Zygrydy i Güntery nie są wcale podstawą, ale tylko małym ustępem w bogatym pasmie dziejowego życia Alzacyi. O tyle Alzacya należała do Allemanów, o ile należała Lombardia do Longobardów, Hiszpania do Gotów, Francya do Franków i t. p.

Professor Springer z pola mitycznych podań, przeszedł na pole historyi, wykazał czem była dla nauki stara alma mater strasburska, kolebka niemieckiej oświaty. Nie powtarzamy tu imion uczonych i poetów strasburskich, mówiliśmy już o nich w swoim czasie; mówca zakończył ogólnemi uwagami, nad stanem nauk w Niemczech i wyraził nadzieję, że przyszłe pokolenia błogosławić będą dzień dzisiejszy.

Po tej mowie urzędowej, trzech delegowani professorowie powitali bratnią wszechnicę strasburską, imieniem germańskich uniwersytetów, Niemiec, Austryi i Szwajcaryi. Professor Waitz z Getyngi, wysławił naukę niemiecką, która od dawna rozwijała myśl jednoci narodowej i staczała zacięte walki na rzecz cesarstwa. Delegowany od uniwersytetów austryackich professor Tomaszek z Wiednia, wywołał mową swoją najżywsze oklaski. „Niemcy austryaccy, wyrzekł, biorą najgorętszy udział w uroczystości waszej, są bowiem wspólne rysy w położeniu i misyi wszechnic austryackich, zbliżające nas w szczególny sposób do uniwersytetu Strasburskiego. Jak ten powołanym jest, aby na zachodzie państwa krzewić naukę niemiecką, zmysł niemiecki,

poczucie narodowości niemieckiej, ożywiać je i rozwijać dla przyszłości; wszechnice austriackie mają w obec innych narodowości, świadczyć na wschodzie starożytnego cesarstwa, o chwale imienia niemieckiego, i pracować nad wielkim dziełem wiecznotrwałej jedności. Narodowy hymn (Heil dir im sieges kranz) odśpiewany z zapalem, zakończył uroczystość.

Nastąpił bankiet: czterysta osób wzięło w nim udział. Wznoszono niezliczone toasty. Professor Dubois Reymond, ten sam który podczas wojny przeproszał audytorium że śmie nosić imię francuzkie, wznosił kielich na cześć kobiet Alzacy i Lotaryngii. Było to prawdziwe urągowisko. Inny professor z Heidelberga, wychylił toast na chwałę miasta Strasburga. Nikt mu nie odpowiedział: miasto nie było reprezentowane na bankiecie.

Wieczorem processya studentów z weneckimi latarniami otoczyła pomnik Gutenberga. Zabrzmiął u stóp posągu choralny hymn zgłuszony gwizdaniem młodzieży alzackiej.

Manifestacya Niemców na cześć wielkiego wynalazcy druku, nie mniejszem była urągowiskiem, jak toast na cześć kobiet alzackich. Nie wiemy jak duch Guttenberga przyjął ten hołd narodu, który w tak straszny sposób nadużył jego sztuki.

Nazajutrz nastąpiła wycieczka na górę S'tej Otylii. Tam pisarz badeński Berthold Auerbach zainprowizował szumny panegyryk na cześć armii niemieckiej. Wieczór zakończył się huczną biesiadą. Tonąc w kałużach piwa, młodzież ze wszystkich stron Niemiec zaprzysięgła sobie wieczną jedność.

Wbrew oświadczeniom profesora Tomaszka, Wiedeń silnie zaprotestował, przeciw politycznemu znaczeniu manifestacyi strasburskiej. „Sposób w jaki odbyła się uroczystość, mówi Tagespresse, pokazuje wyraźnie, że zamiast świątyni pojednania, powstało nad Renem ognisko propagandy germańskiej. Na każdym kroku widzimy tu cel znieważający naukę, chęć wynoszenia jednego narodu nad drugi, apoteozowania gieniusza niemieckiego, z pogardliwem lekceważeniem sąsiadów. Przekonani jesteśmy, że prawdziwie uczeni mężowie niemieccy, poglądną z rumieńcem wstydu na tę egzaltacyą niegodną oświeconego społeczeństwa. Szalona pycha narodowa, do takiego stopnia obłąkała umysły, że jeden z poetów radził zatopić w wodach Lety, wszystko cokolwiek Rzymianie i inni Welszowie uczynili kiedykolwiek dla Strasburga. Pograżyc w niepamięć cywilizacyą rzymską, zaszczerpioną nigdyś nad Renem, zatrzeć w historii oswobodzenie włościan alzackich z paszczy feudalnych bandytów: myśl to niegodna i szalona!“

Dzienniki niemieckie tłumacząc obojętność alzackiego ludu, utrzymują że ciemny ten lud nie rozumie wysokiego znaczenia uroczystości uniwersyteckiej. Pojął ją przecież Strasburg, pojęła je cała Alzacya. Dlatego to tryumfalne pochody, burszów niemieckich, spotykały uśmiech pogardliwy. Strasburżanki w dniu tym nie wyszły wcale na ulicę. Uczniowie alzaccy uwiązali

u boku trójkolorowe wstążeczki, i wiązki nieśmiertelników, wieńcami z tychże kwiatów ozdobili pomnik Klebera. Nie obeszło się bez pokątnych utarczek; nie obeszło nawet bez krwi rozlewu!

Ale najsmutniejsza przygoda spotkała jednego z uczonych niemieckich barona Aufsess, założyciela sławnego muzeum germańskiego w Nuremberdze. Siedemdziesięcioletni ten starzec, trawiony od dawna chorobą, przybył na uroczystość do Strasburga. Siły opuściły go nagle; dzień pierwszego maja, zmuszony był przepędzić sam w hotelu, wieczorem spostrzegł że mu zabrakło wody. W braku dzwonka, wychodzi do sieni, woła... żaden głos nie odpowiada na wołanie; widząc że nie poradzi inaczej, dobywa z kieszeni trąbkę, nieodstępując towarzyszkę starego myśliwca.

Odgłos rozległ się po ulicy. W téjże chwili przechodziło koło domu dwóch panów. Na głos trąbki wpadają w bramę, co tchu pędzą na wschody.

— Kto się poważił trąbić?—pytają z oburzeniem.

— Ja—odpowie spokojnie Aufsess...

Zamiast rozjaśnić rzecz pomału, nieznajomi rzucają się na starca, okładają go pięściami po głowie, po plecach i piersiach, powalają na ziemię. Służba hotelowa nadbiega, podnosi z ziemi pobitego, kładzie go w łóżko, przywołują co żywo lekarzy.

W kilka dni potem, starzec zniechęcony do uroczystości strasburskich, acz słaby wrócił do Nurembergii. Skonał w kilka dni po powrocie. Zrobiono obdukcję. Lekarze poświadczyli, że rany odebrane w Strasburgu, lubo nie były głównym powodem śmierci, przyspieszyły ją przecież, ze względu na stargane siły starca.

Sledztwo wykazało, że dwaj nieznajomi, byli to profesorowie nowego uniwersytetu strasburskiego; przerażeni odgłosem trąbki, rzucili się na nieszczęśliwego Aufseassa, w mniemaniu że jest Alzatzczykiem i powołuje lud do broni.

Rodzina zmarłego przez patryotyzm zamiechała wszelkich kroków prawnych, pisma jednak, mianowicie Gazeta Augsburska podniosły rzeź i domagają się wymiaru sprawiedliwości.

Śmierć Aufseassa rzuciła żałobny kir na uroczystości i inauguracją uniwersytetu strasburskiego i na samą pobudkę, która wywołała tę i inne podobnego rodzaju manifestacje.

Znane w Warszawie urocze powiastki Antoniego Trueby, tego skowronka z niw hiszpańskich jak go zowią ziomkowie. O ile wiemy, polski tłumacz tych powiastek, przygotowywa do druku znaczny ich zbiór, poprzedzony życiorysem autora. Nie będziemy więc rozbieraćli szczegółowo powieści Trueby, które czytelnicy nasi wkrótce będą mogli sami poznać dokładnie i ocenić, wspomnimy tylko kilka słów, o tym słodkim i pełnym wdzięku poecie, który tak głęboko umiał wnikać w serca ziomków, ze pie-

śni jego przeszły dziś w usta ludzi, co samo przez się jest ich największą pochwałą.

Antoni Trueba zna dobrze lud, i nic w tém dziwnego, jest bowiem sam krwią z krwi i kością z kości ludzi. Syn prostego rolnika, urodził się w wiosce Biskajskiej, na stoku góry, w białej chacie, przysłoniętej cieniem orzechów włoskich i kasztanów. Do lat piętnastu życia wychowywał się w tém cichém ustroniu. Wykołysany urokiem ślicznej doliny, i dalekim szumem fal morskich, wykarmiony bogatym wątkiem starych podań, wczesnie uczuł się poetą, i począł śpiewać, tak jak śpiewa lud, gdy słowa pieśni składają się same na ustach, ujęte w rytm prosty i nieuczony. „Śpiewałem bo Bóg tak chciał — mówi Trueba w jednej pieśni swojej, śpiewałem, jak śpiewają ptaszęta w powietrzu albo w cieniowym gaju.

Z upodobaniem czytywał chłopiec legendy o świętych i *Romanzero* ów sławny zbiór tradycyjnych pieśni, tę fantastyczną epopeję, obejmującą bogate pasmo dziejów, w której zmyślonych bajkach, odzwierciedla się z całą prawdą myśl i serce hiszpańskiego ludu. Łatwo pojąć jak te jaskrawe tradycje, na których wątek składał się geniusz dwóch potężnych plemion, Hiszpanów i Arabów, musiały porywać duszę dziecka, jaki skarb poezji składały na przyszłość w wyobraźnię tak bogato z natury uposażoną.

Z woli rodziców piętnastoletni Antonio udał się do Madrytu, gdzie przebył lat dziesięć w jednym z zakładów handlowych. Ale kupiectwo dziwnie było wstrętném poetycznej duszy i chciwemu nauki umysłowi młodziana. Porzucił nakoniec dom handlowy i wziął się pilnie do pracy dziennikarskiej, pragnął zarobionym groszem przyjsć w pomoc staremu ojcu, i dostarczyć środków do wychowania młodszych braci.

Obok tych zatrudnień pracował Trueba umysłowo. Uczył się tak gorliwie, tak wytrwale, że po kilku latach najmóźniejszych wysilen, otrzymał wreszcie stopnie uniwersyteckie. Wieczory na wypoczynek, poświęcał poezji. W owych to chwilach, samotnie spędzonych na poddaszu, z pod pióra jego wylewały się rzewne pieśni, pełne samodzielnego natchnienia i prostoty właściwej ludowym utworom. „Śpiewałem ja — mówi poeta — już nie pod cieniem sadów ojczystej wioski, ale w tej Babilonii wznoszącej się nad brzegiem Manzanares; a przecież i zdążyłem opiewać te rozłożyste konary drzew, co ocieniają biały domek, w którym urodziłem się, w którym umrę jeśli Bóg pozwoli. „I co mnie obchodzą Grecy i Rzymianie? czemu dla mnie przepisy Arystotelesa i Horacego? Mówcie mi o modrém niebie i o błękitnym morzu, o ptaszętach w lesie, o niwie ukłoszonej pszenicą, o jabłoniach obciążonych rumianym owocem, o miłości, o weselu i troskach tego poczciwego i kochanego ludu, a zrozumieć was, bo nad to nie więcej nie pojmuję.“

Jakoż we wszystkich utworach swoich czy wierszem, czy prozą, Trueba czerpał natchnienie z życia ludu i bogatych tradycyj

narodowych. Pieśni jego najczęściej osnute na przysłowiu lub przypowieści krążącej w ustach wszystkich. Wdzięk ich niewysłowiony. Są to pieśni proste ludowe, zidealizowane tylko wytworniejszą formą i podniesione najwznioslejszym uczuciem.

Poezye Trueby wyszły w zbiorze p. t.: *Księga pieśni*: (El libro de los cantares). Oprócz tego pisał udatne bajki rozrzucone po czasopismach. Jeszcze imię autora nieznane było w kraju, a już piosenki jego przebiegały z ust do ust; młodzież wiejska umiała je na pamięć i wyrażała niemi swoje uczucia, tęsknoty i zawody.

W życiu poety zaszła wreszcie pożądana zmiana. Złączony z ukochaną i godną siebie małżonką, otoczony gronem drobnych dziattek, jeżeli z jednej strony oddychał pełnym urokiem domowego szczęścia, z drugiej czuł całą świętość obowiązków jakie zaciągnął. Aby odpowiedzieć im, zmuszony był — jak mówi — skłonić się nieraz do rozbratu z muzami, które darzą zwykle ulubieńców swoich bogatym skarbem ze świata ideału, lecz nie pytają o codzienne ich potrzeby. Aby wystarczyć na chleb dla rodziny, wydawał drobne powiastki pełne prostoty i wdzięku, które dały go poznać w całej Hiszpanii i rozgłosiły niebawem jego imię w najchlubniejszy sposób. W wielu z nich autor powraca z upodobaniem do rodzinnego gniazda, téj gorąco ukochanej Biskai, wysnuwa z serca skarby pamiątek, kreśli obrazy z życia mieszkańców, ubarwione całym urokiem przyrody Kantabryjskiego wybrzeża. Obrazy to proste, naiwne, technące jakąś błogą ducha pogodą. Na świat i życie patrzy autor ze strony dodatniej, ujemną pozostawia w ukryciu, a jeżeli rad nie rad ukazuje ją czasami, to tylko aby tém silniej wydaturnić tryumf światła nad cieniem.

Trueba poświęcił żonie najpierwszy tomik prac swoich p. t.: *Powieści Różowe*. W kilku słowach przedwstępnych, określa wybornie ich ducha. „Dzisiejsi pisarze — mówi on — wzięli sobie za zadanie ukazywać ten świat, jako pustynią bezbrzeżną, nieubarwioną najdrobniejszym kwiatkiem; malować życie jak wiekuiętą noc, bez najmniejszej gwiazdeczki, a przecież Bóg dobry umieścił na drodze naszej, cieniste drzewo, i ożywną krynicę ku pokrzepieniu duszy, ku wytechnieniu dla ciała: religią i rodzinę!“

Najszcześniejszy małżonek i ojciec, chętnie prowadzi czytelnika do domowego ogniska swego. W wielu obrazkach stawia na widownię sam siebie, i żonę i dziatki „te młode latorośle, po których spodziewa się słodkiego owocu, według tego co w nich zaszecepi ręka rodzicielska.“ Z zamiłowaniem kreśli rysy drobiazgowo, dziecinne prawie, ale technące wiosenną świeżością i niezrównanym wdziękiem, pełne życia i prawdy; kobiecie naznacza wzniósłe i święte stanowisko, podnosi szczególnież poważny wpływ matki na moralny rozwój życia rodzinnego, a przez to na prawdziwy postęp społeczeństwa. Marzyciel, który chłopięciem jeszcze, trawił długie chwile na dumaniu, o wschodzie zorzy lub przy świetle księżyca, wsłuchując się w daleki szum fal morskich, tenże marzy-

ciel w obrazkach swoich pieści się z przyrodą, śledzi wszystkie jej ruchy, podsłuchuje głosy, bada najłżejsze jej barwy i odcienia. Nad wszystkim zaś panuje w utworach jego myśl zacna i czysta, i wysokie poszanowanie wszelkich szlachetnych uczuć.

Trueba, powtarzamy, jest powieściopisarzem i poetą czysto ludowym, pisze on o ludzie i dla ludu. Z łona ludu wyszedł sam, wśród niego przeżył pierwsze chwile młodości. Wprzód zaczął wziąć pióro do ręki, władał dzielnie motyką i lemieszem. Nie dziwnego że oddalony od wioski rodzinnej, tęsknił za nią i marzył o niej bez ustanku, nie też dziwnego, że po dwudziestoletniem przebywaniu w Madrycie, z rozkoszą powrócił do rodzinnego gniazda, z żoną i gromadką dzieci. Tu zamieszkał stale pod skromną strzechą rodzinną, na roli którą uprawiał jego ojciec. Tu tworzy on dziś swoje obrazki, tu maluje lud wiejski, przyglądając się z miłością żywym wzorom. W powiastkach sielskich *Cuentos campesinos*, skreślił on z niezrównanym wdziękiem, sceny z życia wieśniaczego, ujęte w szczerpe ramy, ale pełne barwy, ukazujące nam w prawdziwem świetle ów lud hiszpański, odmienny od innych ludów, na którego obliczu miejscowość wycisnęła tak odrębne i samoistne piętno. Wieśniacy ci nie występują w powiastkach Trueby jako Dafuisy i Korydony z dawnych sielanek, są to nieokrzesani włóścianie, przyrosli do zagona swego i do progu domowej strzechy, otoczeni przecież dziwnie poetycznym urokiem, wpływającym z prostych obyczajów, z tradycyjnych wspomnień, któremi żyją i z przyrody co ich wykolysała. Trueba umie idealizować rzeczywistość, w tém leży główna tajemnica jego talentu.

We wstępie do pieśni swoich, kreśli poeta wierny obraz tego ludu, wśród którego urodził się i żyje. Powtarzamy ten wstęp jako cudną kartkę wydartą niby z pamiętników autora:

„Lud wielkim jest poetą — mówi Trueba — posiada bowiem w najwyższym stopniu uczucie, które według mnie jest duszą poezji. Wyrażenia jego są częstokroć porozrywane, bez ścisłego związku, ale za to czuje mocno i głęboko, i niema rodzaju poezji którejby nie uprawiał na swój sposób. Porankiem śpiewa pobożne hymny do Matki Bożej, którą nazwał poetycznie Matką pięknej miłości, z południa widzimy go, jak nad brzegiem Manzanares, wyśpiewuje *segidilla* zaprawione obficie solą dowcipu, wieczorem zaś opiewa miłość i tęsknotę pod okienkiem narzeczonej, oblewając częstokroć łzami struny gitary swojej. Czasami szanuje grammatykę, czasami znów okrutnie ją znieważa. To wzbija się w górę pod obłoki, to znów pełza przy ziemi, czysty dziewiczą niewinnością lub swawolny nad miarę, zawsze jednak oryginalny i pełen życia, ze wszystkiego snuje złotą nić poezji, z każdego źródła czerpie uroczą piosenkę.

„Lud wyśpiewał w pieśniach całą epopeę swego serca, jak Ercylla wyśpiewał zdobycie araukanu, w piersiach tych widzę naprzemian miłość szczęśliwą i miłość zawiedzioną, zdrady i poświę-

cenia, uciechy i niedole, radości i smutki. Każda zwrotka pieśni ludowej, to rozdział z historii ludzkiego serca.

„Wspomnienia z dziecięcych lat moich, potwierdzają wymowne to zdanie!

„W załomie jednej z gór otaczających dolinę biskajską, kryją się cztery chaty, niby cztery bieluchne gołąbki, utulone w cieniu kasztanów i włoskich orzechów; dojrzyś je zdaleka wówczas tylko, gdy jesień ogołoci drzewa z liści: tu spędziłem pierwsze lat piętnaście mego życia.

W głębi doliny jest kościółek wiejski z wieżyczką, strzelającą w górę ponad wierzchołki kasztanów i osiczyn, jakby mówiła, że głos Boży sięga w wyżyny, których nie dosięgnąć przyrodzie; w tym kościółku odbywają się co niedziela dwie msze, jedna o wschodzie słońca, druga o parę godzin później.

My młodzi wstawaliśmy w chwili kiedy ptaszęta zrywają się z gniazduszek, i biegliśmy zwykle na ranną mszę, skacząc wesoło przez chrósty i zarośle, starszyzna wiejska przychodziła na drugą, to jest na sumnę. Podczas kiedy dziadulki, matki i ojcowie szli wolno do kościoła, ja siałem pod drzewem wiśniowém, naprzeciw rodzicielskiej chaty, z kądem rozciągał się cudny widok na całą dolinę zakończoną błękitnym rąbkim morza. Wtedy zbliżało się do mnie kilka dziewczątek, rumianych jak te wisienki nad głową moją lub jak długie wstęgi spadające z ich ciemnych warkoczy i prosiły abym dla każdej z nich ułożył piosenkę, którą wieczorem zaśpiewa narzeczonemu, pod cieniem kasztanów, gdzie zbierała się w święto cała wieś, młodzi na tańce, starsi na pogawędkę.

„Pamiętam jak raz jedna z tych dziewcząt, smutna, gdyż ukochany oddalił się na długo, żądała odemnie rzewnej i tęsknej piosenki. Ubiegło potem dni kilka, a ta dziewczyna nie potrzebowała już pomocy mojej do wyrażenia własnych uczuć. Smutne pieśni wybiegały same z jej duszy, śpiewała je z dziwnym urokiem, gdyż poezya dzieckiem jest uczucia. Jej pieśni równie jak moje, przebiegały z ust do ust; odgłos ich rozlegał się z rosą po dolinie.

„Innego poranku spostrzegłem jak w cieniu drzew co otaczały kościółek wiejski, siedła jakaś obca dziewczyna, tak cudnie piękna że obraz jej nie zatarł się dotąd w mój pamięci. Nie rozumiałem wówczas uczucia jakie mną owładnęło, ale po skończonej mszy, ścigałem okiem tę dziewczuszkę, dopóki nie zniknęła mi z oczu za drzewami; wróciłem do domu dziwnie smutny, i przez dni kilka nie mogłem pokonać mego smutku. Siedziałem wtedy na wierzchołku wzgórza, z kądem widać było drózkę, którą poszła nieznajoma dziewczyna, i rzucałem na wiatr piosenki, wyrażające wiernie tęsknotę serca mego. W dziesięć lat potem gdym przechodził przez wieś w Kastylji, usłyszałem z głębokim wzruszeniem jedną z tych piosenek. Śpiewała je młoda dziewczyna, zajęta praniem chust w źródło wody.

„Raz znowu przed wieczorem, kiedy na wierzchołku gór padało *słoneczko umarłych*, tak u nas zowią ostatnie odblaski zachodu, rozmawiałem przed domem bogatego gospodarza z piętnastoletnią jego córką, słodką i wysmukłą jak lilijka. Dzieweczka szła w ganku. Głos dzwięczny, znany mi dobrze głos towarzysza, który niedawno wspominał mi o uczuciach swoich dla tej dziewczynki, i niezłomnym oporze rodziców z powodu jego ubóstwa, głos mówię dzwięczny odezwał się nagle z pomiędzy drzew:

Piękne oczki, barwy nieba
 Błękitne jak moje,
 Wam otuchę mieć potrzeba:
 Toć ja się nie boję.

„Dzieweczka zmieszana się usłyszała zawsze piosenkę i nieznacznie otarła dwie łzy z błękitnych ocząt. Odszedłem szanując jej wzruszenie, a gdym się nieco oddalił posłyszałem zwrotkę odśpiewaną z ganku głosem cichym i drżącym:

Choć mi z oczu łezka płynie,
 Serce się nie boi;
 Bo ty drogi, tyś jedynie
 Królem duszy mojej!

„Ta dziewczeczka była dla mnie słodkim uosobieniem uczucia i niewinności. Ona to jest typem owych błękitnookich dziewcząt, które opiewałem w nie jednej piosence.

„W smutny wieczór listopadowy, oddaliłem się z wioski mojej, kto wie, myślałem w duchu, może tu już nigdy nie powrócę. I szedłem ciemną doliną zalewając się łzami. Szczekały psy, kwiliły sowy w rozpadlinach skał, wiatr głucho szumiał po gałęziach drzew orzechowych, a rzeka rozbijała się o brzegi i z łoskotem spadała na dolinę; ale mieszkańcy wioski spoczywali cichym snem, wszyscy oprócz rodziców moich i braci, którzy stali w oknie i płacząc słuchali odgłosu kroków moich, co dobiegał ich coraz słabiej a słabiej, przygłuszony pluskiem wody i szumem wiatru. Minąłem już ostatnią chatę wioski, kiedy stanęła w okienku jedna z tych dziewcząt, co przychodziły pod wiśniowe drzewo, prosić mnie o piosenki, i pożegnała mnie ze łzami. A gdym skręcił już za pagórek i dolina miała niebawem zniknąć mi z oczu, posłyszałem za sobą pieśń i obróciłem głowę. Taż sama dziewczeczka śłała mi ostatnie pożegnanie w pieśni równie pięknej jak uczucie które ją wywołało.

„Później, kiedy już mogłem zdać sobie sprawę z wielu rzeczy dawniej mi niezrozumiałych, kiedy począłem badać poezję z artystycznego stanowiska, przywołałem na myśl te wszystkie wspomnienia i powiedziałem sobie: Oto historia pieśni ludowych!

„Nieraz marząc o moich stronach, bo zawsze o nich marzę, wyobrażałem sobie chwilę kiedy Bóg pozwoli mi wrócić na dolinę ojczystą; kiedy to nastąpi, myślałem w duchu, na czole mojem będą zmarszczki i włos siwy na głowie mojej, wybiorę do powrotu dzień świąteczny, schodzić będę ze wzgórze na chwili gdy dzwony kościelne zadzwonią na sumę. Jakże słodko zabrzmią w uchu mojem te dzwony, które tylokrotnie napełniały mnie radością w latach dziecinnych. Zajdę na dolinę z sercem bijącym, z piersią bez tchu, z okiem zalaném łzami. Tam będzie stał z białą wieżyczką swoją ów kościółek, w którym na głowę moję polano wodę świętego chrztu, równie jak na głowy rodziców moich; tam będą rosły owe kasztany i osiki, pod których cieniem tańcowaliśmy co niedziela. Tam będzie ów zielony żywopłot, w którym szukałem gniazdek ptasząt i strugałem fujarki z kory; tam na wzgórzach będą owe jabłonie, z których owoc strącaliśmy kamiem idąc do szkoły. Tam będzie biały domek, kędy się urodził mój dziad, i ojciec, i ja, i bracia moi. Tam będzie to wszystko co nie czuje i nie oddycha, ale gdzież będą o moj Boże! wszyscy ci którzy ze łzą w oku, zegnali mnie przed laty? I zejść pomam na dolinę, znana mi będzie ta dolina, ale mieszkańcy jej będąż mi znani? O! jestże boleść równa boleści jaką uczuję w sercu? Ludzie zebrani przed sumą u drzwi kościołka, przystąpią do wrót, a drudzy wychylą głowę przez okno, i przyglądając się będą obcemu przybyszowi; oni mnie nie poznają, i ja nawzajem ich nie poznaję, bo te dzieci, bo te młodziany i ci starce, nie będą to już owi starce, owe młodziany, owe dzieci, którem zostawił w rodzinnej mojej wiosce. I zejść pomam dolinę. Wszystko to, rzeknę, com ukochał, zmieniło się lub pomarło! Nic-że tu nie zostało już po mnie? I wówczas może stara jakaś babka, zanuci jedną z tych pieśni, w które ja wlałem najgłębsze uczucia duszy mojej, a na głos jej serce zdrzzy mi w piersi, . . . i padnę na kolana . . . i zaszlocham na głos . . . i zawołam: święta, potrzykroć święta, błogosławiona bądź poezyo, bo ty unieśmiertelniasz uczucia ludzkie!“

Szczęśliwy Trueba powrócił do rodzinnej zagrody, wcześniej niż włos jego pobielał, niż czoło pokryło się bruzdami. Poznali go swoi, i gorącym ukochali uczuciem i powtarzają słodkie jego pieśni. Poeta żyje spokojnie pod błogosławionym cieniem strzechy ojeów, a jeżeli niekiedy troska, nieodstępna towarzyszka doli ludzkiej zasępi jego czoło, odgania ją piosnką, jak to wyznaje w wierszu do przyjaciela.

Przytaczamy w przekładzie ten poemacik ofiarowany Antoniu Arnao, jednemu z najzdolniejszych poetów hiszpańskich nowej szkoły, ulegającej może zbyt mocno wpływowi bajronizmu.

R A D A N A S M U T E K .

I.

Westchnienie, bracie, pierś twoją targa,
Z ust twoich rzewna wybiega skarga;
Boleść tę sercem dzielę ja całym:
To co ty cierpisz i ja przetrwałem.

W długiej tęsknocie zbiegł mi wiek młody,
Jak ty poznałem życia zawody;
Sny, co się wyśnić nie miały wcale,
Sny o miłości, szczęściu i chwale.

Rzewnem ja płakał we dnie i w nocy,
Łzami słodziłem ból mój sierocy;
Daremno łzami słodzić złą chwilę:
W łzach tyle jadła goryczy tyle!

Raz widzę w tłumie, dziad jakiś stary,
Z pieśnią potrąca w struny gitary,
Ślepy kaleka! on śpiewać może,
Kiedy ja łzami zalewam łożo.

Przez tłum do starca przystąpię z boku.
— Ty dziadku śpiewasz! a w mojem oku
Łza łzę potrąca, jam tak zbolały,
Choć widzę kwiaty i dzionek biały!

Serce mi truje czarna zgryzota,
Ciebie otucha kołysze złota;
Powiedz mi dziadku, zkadże te dziwy?
Tyś taki biedny, a tak szczęśliwy!

— Słuchaj — odrzecz — i ręką trąca
W struny gitary — odjęła drżąca;
Nie płacz a śpiewaj, pieśń w twojej duszy.
Zbudzi wesele, smutek przygłusz!

II.

Ślepy rozbudził moc we mnie nową,
Błogosław Boże pocziwe słowo;
Odtąd mi w szarą tkanę żywota,

Jakby niteczka wprzędła się złota,
I balsam pieśni uroczo goi,
Ślady bolesnych ran w duszy mojej.

Gdy ja z miłością lirę mą pieszczę,
Cudowniej twoje brzmią struny wieszczę,
Pod biegłym tknięciem mistrzowskiej ręki,
Co dnia zakłète płyną z nich dźwięki;
Gdy się twe niebo chmurą przyómiło,
Rozprosz ten pomrok twórczą ich siłą.

Nie masz-li barwnych kwiatów do sytu?
Na jasném niebie brakłóż błękitu?
Morskaż się fala z pluskiem nie pieni?
Brak-że w dolinie czystych strumieni?
Czyż ci na polu nie dzwonią kłósy?
Czyż nie utkane w gwiazdy niebiosy?

Nie masz-li dzlewcząt co cię pochwyca
Za serce czarów pełną zrenicą,
Ciepłą jak słońko, co żary swemi
Roztopia śniegi kastylskiej ziemi.
Nie masz dla ciebie kraj ten wspaniały,
Drogich pamiątek wiekowej chwały.

Brak-że tu zamczysk o wzniosłej wieży,
Które dziś powój oplata świeży;
Alboż ich widok w sercu nie budzi
Wspomnienia dawnych olbrzymów ludzi,
Co szafowali zdrojem krwi wrzącym,
Aż w końcu przemógł krzyż nad miesiącem.

Proch-że Numancyi wichry rozwiały?
Czyż tu nie istniał Sagunt wspaniały?
Pamięć tych czasów wiekiż nam wydrą,
Gdy Kantabr z rzymską walczył tu hydrą?
Czyż tu do pieśni wątku nie staje,
By sławić Cydy, uczeić Pelaje?

Nie godneż dźwięków twój liry złotój
Wiara praojóów? ich wielkie cnoty?
Niezwyciężona ich woli siła,
Miłość co serca żarem paliła,
Mądrość co ryła bruzdy na czole:
Niegodneż pieśni ojców niedole?

Śpiewaj, ach śpiewak poczczon od braci,
 Błogosławieństwem niebo mu płaci;
 Gdy wątek pieśni z serca wymota,
 Pod jej zaklęciem, pierzcha tęsknota,
Nie płacz a śpiewaj, pieśń w twojej duszy
Zbudzi wesele, smutek zagłuszy!

III.

Pomnisz, bywało, gdy zorza wschodzi
 Szliśmy do lasu krzepcy i młodzi;
 Dusza radosna trosk nie pamięta,
 Krążym tu owdzie istne ptaszęta:
 Rzewna piosenka z duszy nam płynie,
 Odgłos jej z rosą brzmi po dolinie.

Śpiewają z nami trawki i drzewa,
 Ziemia i niebo pieśń z nami śpiewa,
 Huczą potoki, grają nam zdroje,
 Wtórzą nam chórem skrzydlate roje;
 Kwiaty i ziola i ptacy leśni:
 Wszystko przygwarza w takt naszej pieśni.

Słodkoż to było śnić tam na jawie,
 Śnić o miłości, marzyć o sławie;
 Uczcić pamięcią te święte ściany,
 Gdzie tęskni ojciec mój ukochany;
 Gdzie niespokojnie drży pieśń matczyzna,
 Kędy czekają powrotu syna!

Słodkoż to było pomarzyć we śnie
 O tych dziewojach, co nam tak wcześniej
 Pasma żywota oplotły czarem!
 Czemuż dziś zgięty pod trosk nadmiarem,
 Gdy ci tęsknota padła na czoło,
 Ty jej nie spłoszysz pieśnią wesołą?

Już dach ojczysty cieni twą głowę,
 Depcesz twe święte progi domowe,
 I czemuż, bracie, lira twa złota
 Mileży tak głucho, istna sierota?
 Kędyż te zdroje przeczystej wody,
 Co żar gasiły twój piersi młodej?

Śpiewaj-że bracie, pod czarem pieśni
 Odleci smutek, boleść się prześni;
 Śpiewaj wytrwale, Bóg dobry po to

Zesłał ci darem tę lirę złotą.
Śpiewaj a nie płacz, pieśń w twojej duszy
 Zbudzi wesele, smutek przygłuszy.

IV.

Gdy nam tęsknota serce owładnie,
 Jeżeli czujem ukrytą na dnie
 Iskierkę Bożą, któż siłą ducha
 Onę iskierki w żar nie rozdmucha?
 Któryż to śpiewak bolem stargany,
 Nie szukał w pieśni ulgi na rany?

Śpiewał on ślepy Homer przed wieki,
 Śpiewał i Milton, choć na powieki
 Upadł im pomrok! nie znali oni
 Zielonych gajów, kwiecistej błoni,
 Jasnych błękitów, gwiazd, ani słońca,
 Tylko noc czarną, wieczną, bez końca!

Śpiewał i Tasso, pieśń swą natchnioną,
 Choć ból śmiertelny szarpał mu łono,
 Gdy miłość serce paliła żarem!
 Nie padł Cerwantes pod trosk ciężarem,
 Nad rozpacz wyższy natchnieniem jeszcze,
 Kamoens trzącał w swe struny wieszce.

Wznosił król prorok psalmy do Boga,
 Gdy nim miotała boleść i trwoga;
 Gdy go odbiegli słudzy i krewni:
 Coraz to cudniej, coraz to rzewniej
 Zdradzony ojciec, król znieważony,
 Z lutni prorocze dobywał tony.

Bóg wyrył pieczęć na twojem czole,
 Dał ci natchnienie, usłał niedolę,
 Jak tym łabędziom u świata w cześci;
 Czemuż jak oni skąpan w boleści
 Nie wydobędziesz tej pieśni z siebie
 Co w lot piorunem przemknie po niebie?

Śpiewaj o bracie, śpiewaj postol
 Boleść do piersi dzielną podniętą,
 W żalobie serca, w ucisku ducha,

Płomień natchnienia silniej wybucha.
Spiewaj a nie płacz, pieśń w twojej duszy
Zbudzi wesele, smutek przygluszy.

Po ciszy dwóletniej, sztuka wyprawiła Paryżowi długo oczekiwane gody: otworzono na Polach Elizejskich wystawę rzeźb i obrazów. Artyści przynieśli tam plony prac swoich, zebrane przy huku bomb, ręką skrzepłą od głodu i zimna, drżącą od śmiertelnej boleści. I któżby śmiał urągać tym plouom, sztydzić z ich ubóstwa, gdy weźmie na uwagę wyjątkowe warunki w jakich zebrane zostały?

Nie sądzmy jednak aby wystawione dziś utwory artystów francuzkich, potrzebowały takiego uwzględnienia? przegladaliśmy je z wycięzoną uwagą, i wyznajemy sumiennie że stawiając je w myśli obok dawniejszych, gdybyśmy nie wiedzieli o strasznych katastrofach przez jakie przeszedł Paryż i kraj cały, między dzisiejszą a ostatnią wystawą, niepodobna byłoby nam domyślać się całej przepaści jaka dzieli rok 1870 od 72-go.

Na wystawie dzisiejszej nie ma wprawdzie bijących w oczy arcydzieł, nie dopatrzeć tu owych połysków siły twórczej co stanowią epokę w dziejach sztuki. Żaden z młodych malarzy, nie zastąpił poległego Regnault'a, napiętnowanego na czole gwiazdą geniuszu, któremu dano było utworzyć nową szkołę. Mimo to, uważając zbiorowo prace artystów na dzisiejszej wystawie, musimy przyznać, że sztuka we Francji nie nosi bynajmniej śladów upadku ani skażenia; przeciwnie nawet, tak w wyborze przedmiotów jak w wykonaniu, objawy jęj świadczą o wyższym nastroju ducha, o wyraźnej przewadze ideału nad stroną zmysłową.

Kilka zaledwie słynnych imion błyszczy w katalogu tegorocznej wystawy. Znakomici mistrze nie wzięli w nięj prawie udziału. Nie widzimy tu wcale obrazów Iwona, Meissoniera, Jorma, młodego Fleury, Róży Bonheur i innych dawnych laureatów. Niekórtzy z nich wystąpili z mało znaczącemi utworami, jak Cabanel z dziewczką Florentyńską, Hebert dyrektor szkoły w Rzymie, z portretem włoskiej Markizy. Dawni pracownicy zesli jakby umyślnie z pola, zostawiając je nowym przybyszom. Jeżeli wystawa utraciła coś na tém z jednej strony, z drugiej za to, Francya ma prawo pocieszyć się myślą, że przyszłość nie zawiedzie przeszłości.

Salon tegoroczny, oprócz rysunków, akwarelli, pastelów i t. p. nie liczy więcj nad tysiąc pięćset obrazów olejnych. Dyrekyca ograniczyła ilość ich z powodu braku miejsca, wiadomo bowiem, że bióra komissy skarbu mieszczą się dziś w pałacu przemysłowym. Ograniczenie to wypadło na korzyść wystawy. Nie widać tu powtarzamy pierwszorzędných arcydzieł, ale nie rażą nam téz oka niedołączone próby poczynających uczniów. Każdy przyjęty

obraz odznacza się jakąś właściwą, mu zaletą, a wszystkie razem tworzą miłą i harmonijną całość.

Patrząc na dzieła pędzla francuzkiego, przysły nam mimowoli na myśl obrazy nowój szkoły niemieckiej, które widzieliśmy roku zeszłego w Wiedniu. Jeśli pod względem technicznej biegłości jedna szkoła nie ustępuje drugiej, za to pod względem idei, francuzom należy niezaprzeczoa palma pierwszeństwa. W roku zeszłym wyraziliśmy słuszne podziwienie, że naród który ma bezustanku na ustach imię Pana Zastępów, nie zdobył się na żaden obraz religijny, że lud który na mocy praw historycznych buduje nowe cesarstwo, nie umiał odtworzyć z całego szeregu cesarzów germańskich, ani jednej postaci, oprócz Karola V-go, i to w chwili kiedy mocarz, zagrzebany w celi klasztornej przemysła nad marnościami świata. Francya przeciwnie, lubo okrzyczana za bezbożną i rewolucyjną, wydała do pięćdziesięciu obrazów religijnych a setki historycznych, gdy do nich policzymy sceny osnute na ostatnich wypadkach. Rodzajowe nawet utwory francuzkie, wyższe daleko myślą od niemieckich, przedstawiają życie z idealniejszej strony, i z małym bardzo wyjątkiem, nie noszą cechy tego grubego materializmu, który cechuje sztukę dzisiejszą w Niemczech.

W liczbie tysięcy artystów, którzy wystawili utwory swoje w salonie paryzkim, spotykamy sto pięćdziesiąt imion niewieścich. Jakaż to żywa protestacya, przeciwko zarzutowi lekkomyślności, czynionemu zwykle Francuzkom! Rysunek i malarstwo wymaga wiele pracy, kobieta pochylona nad paletą i pędzlem nie może być tą malowaną lalką z ryciny mód, według której tworzymy sobie w wyobraźni typ Paryżanek. Sama cyfra silniej tu mówi niż wszelkie rozumowanie.

Rodzaj przedmiotów wybranych przez kobiety, nasuwa nie jedno psychiczne spostrzeżenie. Dawniej kwiaty, pejzaże, sielankowe sceny z życia, były wyłącznym prawie ich udziałem; dziś kobieta wyzwała się wyraźnie na polu sztuki. Są tu w prawdzie i kwiaty i owoce pędzla kobiet, do najpiękniejszych w tym rodzaju należy śliczna wiązka różowych cebul, pani Nathanielowej Rothszyld, ale są też i utwory wyższego rzędu, świadczące że siła twórcza, nie jest jak sądzono wyłącznym monopolem mężczyzny. Portrety pani Henryetty Browne, panny Jacquemard pełne życia i śmiałych rzutów, należą do celniejszych na wystawie; pani Morard wykonała wielką grupę wieśniaczek bretońskich nazajutrz po burzy, na skalistym przylądku; pani la Villette piękną marynarkę, pani Lalande dzielną sforę ogarów, pani Collard wreszcie Zuzannę pomiędzy starcami. Tej ostatniej mielibyśmy wiele do zarzucenia. Są przedmioty, których pędzel ani pióro kobiety dotykać nie powinno. Że jednak przysłowiem mówi: *De mortuis aut bene aut nihil*, a że biedna artystka umarła na miesiąc przed wystawą, rzućmy na nią całun zapomnienia, równie jak i na jej Zuzannę, która bardzo potrzebuje zasłony.

Wśród pięćdziesięciu obrazów religijnych, pierwsze miejsce zajmuje koronacya N. Panny pędzla p. Doze. Jest to zmniejszone powtórzenie fresków wykonanych przez tegoż artystę w kościele S-go Gerwazego. Zgodnie z prawdziwą tradycją malarz przedstawił Bogarodnicę klęczącą przed Chrystusem, który na głowę jej kładzie promienistą koronę chwały. Rodzina Maryi bierze udział w uroczystości, równie jak rodzina S-go Jana Chrzciciela. Ugrupowanie osób pełne prostoty, zgodnej z duchem Ewangielii, znać że artysta kształcił się na wielkich wzorach włoskich.

Uderzył nas także niepospolitym wdziękiem, obraz Michelsa *La Madone aux ruines*. Dzieciątko Boże stoi na złomie strzaskanęj kolumny, Marya podtrzymuje go by nie upadł. Niewinność połączona z powagą na obliczu Bogarodnicy, wyraz boski w rysach Jezusa, koloryt harmonijny, spokojny, wszystko to rozlewa na obraz prawdziwie religijny urok, godzien wielkiego przedmiotu.

Dziwnie też piękny obraz Piotra Glaize, *Śmierć S-go Ludwika*, przeznaczony do kościoła S-go Ludwika d'Antin. Konający król spoczywa na łożu pokrytém makatą szafirową w złote lilie. Po jednej stronie stoi biskup z pastorałem w rękę, po drugiej rycerz krzyżowy z głową smutno ku ziemi pochyloną. Dworzanie w głębi tworzą prawdziwie malowniczą grupę.

Bogatszy jeszcze pod względem kolorytu obraz p. Jacquand, *Śmierć S-go Józefa*. Noc; kaganiec stojący u wezglowia, słabe rzuca światło na oblicze Świętego. Chrystus podtrzymuje mu barki, u stóp klęczy Marya.

Do religijnych zaliczamy także dwa piękne obrazy Muratona: jeden z nich podpisany *wiara w przyszłość*, wyobraża zakonnika klęczącego na grobie. Cmentarz pokryty grubo śniegiem, niebo chmurne jakby ołowiane, wszystko tu mówi o śmierci, nawet przyroda pokryta całunem zimowym; oblicze tylko zakonnika, napół przysłonięte kapturem, pełne życia i wiary w nieśmiertelność.

Drugi piękniejszy jeszcze obraz tegoż artysty, przedstawia miłość Boga w postaci zakonnika klęczącego w grocie pod krzyżem.

Jeżeli uczucie religijne tak silny znalazło objaw pod pędzlem francuzkich malarzy, z równą mocą wyrażona gorąca miłość kraju i boleść nad doznaniami świeżo klęskami.

Znać Alzaeya najciężej leży na sercu Francuzów. Widzimy ją też oddaną wielokrotnie i pędzlem, i ryłcem i dłutem, to z przekleństwem na ustach, to ze łzami w oku, z wiązką nieśmiertelników w dłoni.

Pani Henryeta Brown, ozdobiona złotym medalem za obraz zakonnicy z chorém dzieckiem, na wystawie międzynarodowej, wykonała obecnie śliczny obraz: *Alzacyą* z roku 1870. Przedstawia ją młoda dziewczyna odziana w czarny płaszcz z wyszytym krzyżem ambulansowym, stojąca nad tacką pełną zbieranych miedziaków.

Sławny rysownik Gustaw Dore, urodzony w Strasburgu, przedstawił także Alzacyą w postaci młodej wieśniaczki, przybranęj w strój narodowy, z ogromną kokardą na głowie. Stoi wsparta na trójkolorowej chorągwi z okiem smutno w ziemię wlepioném; opodal siedzi stara wieśniaczka, pochylona nad kolébką śpiącej dzieciны.

Piękniejsza jeszcze Alzacya Marchała w postawie smętnéj jasnowłosej dziewczyny, z modrém i łzawém okiem: w ręku trzyma kokardę trójkolorową, za czarny gorsecik zatknęła wiązkę nieśmiertelników.

Niepołobna wyliczyć tych wszystkich symbolicznych postaci uosabiających drogą Francuzom Alzacyę. Wykonane mniej więcej biegłym pędzlem wszystkie poruszają silnie serca, znać że głęboka boleść kierowała ręką artystów. Rozmaitość w pomysłach bardzo wielka. Tu w chacie wieśniaczej młoda dziewczyna wyciąga szufladę; ukazuje pięcioletniemu bratu, krzyż ojca zawieszony na czerwonej wstążeczce, opodal siedzi matka wdowa: księga do nabożeństwa leży przy niej na stole.

Tam znów młoda wieśniaczka siedzi przy kołowrotku, wypuściła z ręki przedziwo, czyta pilnie gazetę; znać niepomyślne wieści, bo w oku jej krążą łzy, czoło przyćmione chmurą.

Daléj znów dziewczę dobywa z szkatułki trójkolorowy sztandar, przyciska go do piersi, oczy podnosi w górę z wyrazem największej boleści. Śliczny ten obraz pędzla pani Ortez nosi tytuł: *Skarb Alzacyanki*.

Inny obraz Alzaczycy Pabsta ukazuje nam wnętrze chaty i rodzinę zebraną przy ognisku. Stary ojciec czyta na głos dziennik, wszyscy stoją osłupieni, jakby stopy wrosły im w ziemię.

Niektóre z tych maleńkich dramacików przeplatane humorem. Wyborny obrazek panny St. Aubin, z napisem: *Gdzie się kończy zwycięstwo*, przedstawia dziewczynę krzątającą się w chacie, przystępując do niej żołnierz duski, pali jak widać koperczaki: dziewczyna z podniesioną pięścią zbija z tropu niewczesnego zalotnika.

Obraz znacznych rozmiarów stawia nam przed oczy inny smutniejszy dramat. Tu rodzina alzacka wędruje do Francyi. W głębi czeka wóz naładowany wysoko, pełen skrzynek, koszów i pierzyn, uprężony w dwa konie; przed wozem mieszkańcy gotowi do pochodu żegnają krewnych i przyjaciół pozostających we wsi: pożegnauie to rozdziera duszę. Na lewo młodzi narzeczeni ściskają się ze łzami. W bliskości ich idzie dwoje dzieci, trzymając się za ręce, twarz ich bezmyślna i spokojna. Daléj młoda matka z niemowlęciem na ręku, zasłania usta fartuchem aby przytłumić łkanie. Ojciec rodziny smutny, ale pełen postanowienia i woli, prowadzi za rękę chłopca; ten zaś odwraca głowę ku towarzyszom co pozostaną w domu. Na prawo młoda kobieta, za chwilę pójdzie z mężem; sciska ręce zgrzybiałej matki z najwyższą boleścią; połowa duszy jej przyrosła do tych progów które musi opuścić. Kobiety płaczą, poglądając na nią zdaleka. Żołnierz

tylko pruski patrzy z boku na wszystko okiem zimnym, z uśmiechem szyderstwa i pogardy. Przy wozie pełno ruchu; dziatwa zagania woły, owce, i trzodę nierogatą: dziewczęta pilnują gęsi. Na słupie granicznym wryty napis: Sawerna 1800 kilometrów.. dokąd? zapewne do nowój stolicy, do Berlina! powyżej skreślone na tablicy: *Hier ist Rinderpest!*

Piękny ten obraz malował Strasburezyk Schutzenberger. Typy oddane wiernie, dramat wymowny, ciemny koloryt jesiennego nieba, harmonijnie odpowiada całości.

Inny Alzatezyk Schultz uosobił tradycją w postaci starca nad kołyską dzieciny. Inny znów Lauron, przedstawił kundla pilnującego domowych progów. Ten pies przypomniat nam kilka zwrotek poety:

Tak, psem ja będę, psem co swych śmieci
Pilnuje wiernie, u progu chat,
Co pod kurzawą śnieżnych zamieci
Zmrożou do kości, nie zejdzie z czat.

Tak, psem ja będę na swym barlogu,
Północ mi oczu, nie zmroczy snem;
Wara złodziejom! wara od progu!
Bo zszarpię w kęsy... ha! będę psem!

Artyści alzaccy wykonali niemniej kilka dramatycznych ustępów z czasu ostatniej wojny. Zasluguje na szczególną uwagę obraz Ehrmana. Widzimy tu Strasburg w płomieniach. Na szanecach grodu stoi symboliczna postać niewiasty, cała okuta w zbroję, w prawem ręku trzyma trójkolorowy sztandar, lewą wspiera o działo: wzrok utkwila w szeregi nieprzyjaciół.

Goethals Belgijczyk obrał podobny przedmiot do obrazu.

Tu generał Uhrych stoi na rozwalonych murach, otoczony ludem strasburskim. Nad miastem wśród nocnej ciemności poły-ska krwawa luna, niby ognisty sztandar.

Inny Belgijczyk Van Elven przedstawił rzewną scenę: *Hold Paryża oddany nieszczęśliwemu Strasburgowi*. Na placu de la Concorde przed posągiem wyobrażającym to miasto, strojnym w chorągwie i wieńce nieśmiertelników, garnie się tłumnie lud paryzki. Jedni zapisują nazwiska w wielkiej księdze, inni rozmawiają stojąc grupami, wieśniaczki Alzackie płaczą rzewnie nad losem swego grodu.

Kłęska miasta Metz natchnęła także jednego z pierwszych malarzy dzisiejszych, Aleksandra Protais, którego sceny wojskowe, trzykrotnie już uwieńczone zostały na poprzednich wystawach. Artysta wykonał obecnie dwa obrazy: jeden z nich p. t. *La separation* przedstawia grupę oficerów z armii Bazaina, w dniu kapitulacji 29 października 1870 roku. Nieszczęśliwi jeńcy w chwili

rozłączenia ściskają się za ręce, oczy ich czerwone od łez, ruchy wyrażają rozpaczliwy stan duszy. Drugi obraz piękniejszy jeszcze, ukazuje garstkę prostych wiarusów po za szaniami opuszczonego już grodu; złamani boleścią i trudem jedni siedzą gruppami, drudzy leżą na zmarzłej ziemi. Na drugim planie żołnierz pruski stoi na posterunku, dalej przy ognisku biwakują wojska zwyciężkie. Niebo przysłonięte ciemną listopadową chmurą. Prześliczny ten obraz przewyższa dawniejsze utwory młodego mistrza.

Do obrazów tego rodzaju rok zeszyły nie mało dostarczył podobek, umieli korzystać z nich malarze: widzimy też mnóstwo dramatycznych scen z czasu wojny. Z pomiędzy nich zwraca szczególną uwagę *Biwak pod Bourget* p. Neuville, w dniu smutnej pamięci 21 grudnia 1870 roku. Żołnierze poobwijaui w koce, z głową zakapturzoną, krzątają się żywo: jedni rąbią drzewo na opał, drudzy rozpalają ognisko; inni spoczywają znużeni: krzyż konwencji Genewskiej zatknięty na zrujnowanej szopie, przypomina krwawy dramat jaki się tu odbył przed chwilą.

Dziwnie też przejmujące *Pobojowisko Peraulta*: wśród trupów leży zabity Mobile, napół zagrzebany w śniegu, kobieta wiejska z dzieckiem na ręku kłęczy u stóp poległego. Bezmyślny spokój niemowlęcia smutno odbija obok rozpaczy biednej matki.

Nie ustępuje mu wartością obrazek p. Princeteau: *Patrol ulanów napadnięty przez francuzów francuzkich*. Noc czarna; śnieg zasłał grubo ziemię, żołnierze wybiegają z kryjówek, podczas kiedy konie ulanów jak widma przemykają w pośród ciemności.

Ale najwyżej ceniony obrazek p. Berne Bellecourt p. t. *Strzał armatni*. Rzecz dzieje się na wałach, kanonier stoi po za olbrzymim działem, przykłada lont; oficerowie i żołnierze patrzą kędy uderzy kula. Scena wybornie obmyślana, oddana z wielką prostotą, wyraz twarzy wymowny, szczegóły wykończone po mistrzowsku. Artysta nie z samej tylko czerpał wyobraźni, jako t. raliier, był on nieraz naocznyim świadkiem podobnych scen wojennych: w jednej bitwie pod Paryżem, miał płaszcz poprzeszrzelaui kulami. Dekorowany za odwagę wojskową, otrzymał dziś złoty medal, za swój znakomity *strzał armatni*.

Pomijamy liczne utarczki pod Mans, pod Reichshofen, pod Orleanem; na ocenienie ich potrzeba lepszego od nas zuawcy.

Rzućmy za to okiem na długi szereg dramatów, do których wojna dała smutną pobudkę.

Widzimy tu naprzód piękny obraz p. Ankier szwajcara p. t.: *Żołnierze z armii Burbakego, pielęgnowani przez wieśniaków szwajcarskich*. W wielkiej szopie oddzielonej deskami od obory, ranni żołnierze siedzą albo leżą na słomie. Jeden z nich na pierwszym planie ma głowę obwinętą kapturem, twarz żółkłą i zapadłą. Znać rana jego śmiertelna, leży jak trup z okiem napół zagasłym. Utracił nadzieję, nie zobaczy już kraju ani swoich. Drugi tuż przy nim nogi ma poobwijane w brudne szmaty, w rękę trzyma miseczkę z kawą, którą podaje mu wiejska dziewczyna kłęcząca

u wezgłowia. Dziewczę z głębokiem współczuciem patrzy na nieszczęśliwych; wyraz jęj twarzy niewinny i wymowny. Na drugim planie stara matka niesie na tacy dzbanek kawy i wielki garnek mleka. Z boku gospodarz przygląda się zamyślony, smutne myśli krążą po jego staręj głowie. Dwoje dzieci tymczasem, chłopczyk i dziewczynka skradają się nieśmiało, trzymając mateczynęj spódnicy; ciekawość przemaga smac nad strachem. Z poza deski widać rogatę łby krów, przeżuwających najspokojnięj siano. Scena ta pełna prostoty, prawdy i uczucia, niesłychane sprawia wrażenie: artysta widział ją zapewne na własne oczy. Publiczność otacza tłumnie piękny obraz, z uczuciem wdzięczności dla poczciwych Szwajcarów.

Inny znów malarz szwajcarski p. Bachelin z Neufchatel przedstawił inną chwilę z teje rejerady. Obraz jego p. t.: *wejście armii wschodnięj do Szwajcaryi*, przedstawia rozbitków składających broń, przed władzą wojskową na ziemi neutralnej. Rzecz dzieje się blisko Pontarlier: wzgórze zasłane wkóło śniegiem. postacie pełne wyrazu i prawdy, widocznie malowane z natury.

Na innym obrazie Alzateczyka Jundta, widzimy znów jak internowani opuszczają gościnną ziemię Helwetów. Grupa wojskowych odpływa łodzią od brzegów szerokiego jeziora. Żuaw stojący w pośrodku, odkrył głowę, żegna wieśniaków zebranych w porcie, oficer poniósł rękę do kępi; odpływają z radością, a jednak żal im tej ziemi gościnnęj. Dwie piękne dziewczyny w stroju narodowym stoją na brzegu i z daleka żegnają miłych gości. Obie pełne wdzięku i uczucia. Pejzaż ledwie naszkicowany a jednak dziwnie poetyczny. Widać przezemglę góry poza jeziorem, zorza powłóczy je niby różową gazą. Powietrze świeże, ranne, brzmi w niem okrzyk; *Vive la France!* Taki tytuł malarz alzacki dał swemu obrazowi.

Podoba się tęż powszechnie *Ambulans międzynarodowy* pana Castres, nagrodzony medalem. Dwa wozy pełne rannych francuzów i niemców, ciągną dróżyną zawianą śniegiem. Poprzedza je lekarz, trzymając w rękę chorągiew z krzyżem Genewskięj konwencyi. Służba ambulansowa brnie po kostki w śniegu i w błocie. Pełno tu ruchu i życia, rysunek nadzwyczaj poprawny.

Liczny szereg scen po-wojennych, przenosi nas w rozmaite sfery społeczeństwa. Niepodobna wyliczyć tych wszystkich mniej więćj udatnych utworów; ograniczymy się na tych co nas w szczególny sposób uderzyły.

Wymienimy najprzód skutki wojny, Juljusza Ravel, wymowny obrazek rodzajowy. W izdebce nosząćj ślady niedawnęj za-możności, siedzi w krzesle wybladła kobieta w żalobie: to wdowa po poległym. Nad biórkęm pełnem książek, zawieszona szpada, poniżej krzyż Legii honorowęj; przy wielkim stole siedzą dwie młodziuchne panienki ubrane czarno. Jedna z nich ukazuje na książce litery pięćioletniemu bratu, druga szyje suknię balową. . . nie dla siebie! . . dla nięj minęły już te gody. Pracuje odważnie

na kawałek chleba dla matki i rodzeństwa. Ta różowa sukienka rozpostarta na stole, przybrana w kwiaty i wstążki, smutną stanowi sprzeczność z nędzną izdebką i żalobą nieszczęśliwych sierot.

Od téj wdowy przejdźmy do innej; tu żal przedstawia się inaczej. P. Saintin w ładnym obrazku rodzajowym, przedstawił młodziuchną wdowę w Dzień zaduszny, u grobu poległego męża. Ubrana w wytworną żalobę, przystępuje do pięknego Mauzoleum, z wieńcem nieśmiertelników w dłoni. W drugim ręku trzyma chusteczkę batystową. Małeńka to chusteczka, wystarczy jednak na otarcie łez, bo i te popłyną skąpą miarą. Łatwo to zgadnąć patrząc na ową upiętrzoną fryzurę, na owe bujne loki wybiegające z pod czarnego kapelusika, na lawowe koleczyki w uszach i broszę utrzymującą kołnierzyk. Prawdziwa to ironia żaloby, artysta malując tę postać, miał zapewne taką myśl jak nasz Adam, gdy kreślił znaną piosenkę:

Naprzód ciebie wspomina,
Co chwila, co godzina.

„Pamięć nie w naszej mocy! kończy wielki poeta. Ktoś z obecnych patrząc na ironiczny obrazek, pozwolił sobie dorzucić jedną zwrotkę:

W eleganckiej żalobie,
Idzie rada, nie rada,
Złożyć wianek na grobie,
Drugiego listopada!

Temu wytwornemu obrazkowi odpowiada inny, równie elegancki, pędzla p. Goupil. Widzimy na nim trzy wystrojone pаниenki, zebrane w pięknym buduaraku. Wojna jak się zdaje nie skończona, jedna bowiem rozłożyła na stoliku mapę jeograficzną i oznacza na niej miejsca spileczkami, podczas gdy druga czyta w gazecie wiadomości z pola bitwy; trzecia słucha pilnie i śledzi okiem kierunek spileczek. W ich rysach odbija ciekawość i żywe zajęcie, ale serce nie bierze w tém udziału. Konwencyonalizm światowy zabija prawdziwe uczucia. Panienska, gdy serce jej drży o ukochany przedmiot, nie trefi sztucznie włosów, nie stroi się w różową ani błękitną sukienkę. Nie wiemy czy artysta chciał zaprawić swój utwór szezypną soli atyckiej, czy też tak sobie, dla efektu, przybrał dziewczęta w różnobarwne jedwabie.

Wolimy stokroć tę wiosnę p. Fegu-Perrin, co się pojawia tak ubogo i tak nieśmiało, w postaci młodziuchnej dziewczyny. Sukienka jej szara, cała połatana, nóżki bosc, skrzepłe od zimna, śnieg bowiem marcowy tylko co stał na łące, pokrytej kielkującą ledwie murawą, z pod której pierwsosnek wychyla wątłą główkę. Rysy dziewczynki bezbarwne jeszcze, nie zgadłbyś czy zakwitną pełnym urokiem, czy też pozostaną bez wdzięku. To

wiosna roku 1872! tak poświadcza napis na katalogu; poniżej zamieszczona zwrotka Sylwestra:

Śpi w ziemi bez pogrzebu poległych tysiące,
Przyszła wiosna utkała pola trawką młodą;
Wnet rzuci kwietny całun na groby milczące:
Czém żaloba serc naszych dla ciebie przyrodo!

Od owéj młodziuchnej wiosny, przejdźmy do młodszej jeszcze nadziei p. Puvis de Chavannes. Tu spotykamy się z utworem mistrza, tak dziwnie oryginalnym, że mało kto zrozumieć go potrafi. Puvis de Chavannes, biegły archeolog, w religijnych obrazach swego pędzla, cenionych wysoko przez rzeczywistych znawców, przejął się duchem średniowiecznej sztuki bizantyjskiej; w pojęciu jego ideał jest wszystkim, forma zaś niezbędną tylko powłoką. Doskonały rysownik kreśli on po mistrzowsku swe postacie, ale nieprzyjaciel realizmu, daje im kształty tak idealne, tak eteryczne, że wyglądają raczej na duchy, niżli na istoty z krwią i ciałem. Nie téż dziwnego, że mistrz tak radykalny w swych pojęciach, liczy z jednej strony zagorzalych wielbicieli, z drugiej zaś wywołuje najsurowszą krytykę. Już przed dwoma laty, jego dwa obrazy: Magdalena i Śty Jan Chrzciciel, dały powód do najzaciętszej polemiki. W tym roku Puvis de Chavannes przedstawił nadzieję, nadzieję wątlą, prawie bezcielesną; lecz jakże pełną ducha.

Wyobraźmy sobie o brzasku rannym rysujące się gruzy rozwalonego ginachu, nagie złomy, pokryte ledwie gdzie niegdzie żdzblem trawki lub wiotkim powojem. Z pomiędzy szczelin tu i owdzie wyrasta drobny kwiatek. Na odlamie skały w przekopie, siedzi młodziuchna dziewczeczka, prawie dziecko: istna chryzalida nie zmieniona jeszcze w motyla. Oko jój modre jak błękit nieba, nie przemawia żadnym zrozumiałym wyrazem; świat marzeń uspiiony jeszcze w duszy. Włoski płowe ocieniają bladziuchne i bezbarwne jój rysy. Sukienka biała, prosta, w formie długiej tuniki, przysłania pierś zakłęsłą, kibić wychudłą i niezgrabną, jaką widzimy zwykle u trzynastoletnich dziewczątek; w ręczce drobnej, suchej, nagiętej od ramienia trzyma gałązkę dębową, tylko co rozpekłą w małe listki, drugą ręką oparta o zwaliska. Z obu stron przekopu na wałach, sterczą rzędem mogiłki zasiane krzyżkami, na widnokręgu ciemny las, dalej góry, z poza gór świta bladziuchna jeszcze zorza.

Tak malarz poeta pojął i przedstawił nadzieję! wprawdzie blada ona i wątlą; ale wpatrzmy się w łagodne, spokojne rysy téj dziewczynki, a pochwyci nas niewysłowiony ich urok. Potrzeba być zaprawdę wielkim mistrzem, aby oddać życie w zarodzie, aby w wątlym pączku dać odczuć cudny kwiat, któremu potrzeba tylko trochę słońca i rosy, by zabłysnął pyszną koroną!

Tłumy widzów mijają obojętnie ten dziwny obraz; często potrąci ucho bezmyślne zdanie: „to żart! to straszdyko!“ Nie jeden jednak zatrzyma się chwilę, a ktokolwiek spojrział bez uprzedzenia w błękitne oczy téj nadziei, uczuje mimowolny pociąg i niełatwo oderwie się od czarodziejki. Ciekawi jesteśmy jak krytycy paryzcy ocenią ten utwór, dotąd o ile wiemy sprawozdawcy zbyli go milczeniem. Łatwo zgadnąć że podzielone będą zdania, zacięte może spory; co do nas, gdyby nawet ogół potępił nadzieję pana Chavannes, pochylamy przed nią głowę, jako przed jedną z drogich pereł tegorocznej wystawy.

Najzupełniejszą sprzeczność z tym eterycznym utworem stanowi *Republika* uosobiona w postaci kobiety, pędzla p. Mosse. To olbrzymia lwica gotowa do walki w obronie pomiotu swego. W ciemno brunatnej tunice, w frygijskiej czapce na bujnych kędziorach, podobnych do lwiej grzywy, śmiałą stopą depcze korony i armatury. W prawicy trzyma chorągiew, w lewicy wielki pułkierz. Nad głową jęj zawisła czarna chmura; postać ta przypominała nam sławny *Jamb* Augusta Barbier:

Wolność! o, nie hrabina to pełna wymysłów,
Z wytworzonego Przedmieścia świętego Germana,
Co drży na lada szelest, upada bez zmysłów,
Jak lalka wybielona i uróżowana:
To potężna matrona, z płomienistym wzrokiem,
Głosem schrzyplym, i cerą na słońcu zgorzałą;
Ona rusza się żwawo, chodzi wielkim krokiem,
Na krwawe tłuszcz zapasy, ona patrzy śmiało.
Huk bębnow najmilszą gędzką dla jęj ucha,
Woń prochu ulubionym dla nięj aromatem;
Jęj pierś wtedy rozkosznym płomieniem wybucha,
Kiedy grzmot dział spizowych zahuczy nad światem.

Ostatnią strofkę dajemy po francuzku: brak nam odwagi na jęj przekład. Dajemy ją, bo dziwnie charakterystyczna:

Elle ne prend les amours que dans la popuïace
Et ne prête son large flanc,
Qu'a des gens forts comme elle, et veut qu'on ne l'em-
[brasse,
Qu'avec des bras rouges de sang.

Czterdzieści lat zbiegło od chwili, kiedy poeta, dziś jeden z czterdziestu nieśmiertelnych, skreślił ten wiersz pod wpływem lipcowych wrażeń. Radzibyśmy wiedzieć, jakim téż okiem Barbier patrzył rok temu na urzeczywistniony swój ideał, tarzający się w kałużach krwi bratniej, przy łunie paryzkich pożarów? Sądźmy że poważny akademik radby zagrzebać w wiecznej nie-

pamięci, słowo wybiegłe z ust ptaszkiem, którego żadna moc odwrócić wstecz nie zdoła!

Republika pana Mosse, ta krzepka bachantka w frygijskiej czapce, to rodzona siostra *wolności* Barbiera: wiersz przytoczony jest najwierniejszém jój określeniem. O ilóż wolimy od niój wiotką *nadzieję* pana Chavanne!

Wszystkie powyższe obrazy stworzone były pod wpływem wczorajszych wypadków i nadają osobną cechę tegorocznej wystawie. Do rzędu tych zaliczymy jeszcze jeden dowcip nie satyryczny, istna Lafontainowska bajeczka. Nie występują tu ludzie ale małpy. Jedna z nich zakradła się do ula, wydobyla z niego plaster miodu. Trzy towarzyszki cheiwie poglądają na zdobycz: rzucają się hurmem na szczęśliwą tryumfatorkę. Już mają wydrzeć bogaty łup z jój ręki, gdy nagle ukryty pod plastrem roj pszczoł, wysypuje się, rozbiega, kąsa je bez litości; małpy odskakują w dziwacznych kontorsyach: *La force prend le droit*, taki jest napis pod obrazem.

Tego rodzaju alluzyj, mniej więcej dowcipnych, nadesłano podobno bardzo wiele. Dyrekcyja nie przyjęła ich dla tego zapewne, aby nie poruszać rojowiska szerzeni uzbrojonych w jadowite żądla; między innemi doznał jak mówią takiego losu przesłiczny obrazek p. Detaille, dwudziestotrzyletniego malarza, naszkicowany pod gradem dział, później zaś odmalowany z wielkiém życiem. Obrazek nie znalazł miejsca na wystawie, jako obrażający dla tych, których w tej chwili obrazać nie wypadało, ale rząd przyznał medal artyście.

Odrzucono także obraz wykonany przez Courbeta w więzieniu. Byłaby to kara za powalenie kolumny Vendome? Gdyby utwór był w rzeczy samój areydzieniem, kara byłaby niewczesną: za winę artysty, pokutowałby cały Paryż. Inaczej być musiało. Twórcze natchnienia z czystych tylko zwykło wypływać krynic; nie-nawisć złym bywa doradcą. Odrzucony obraz przedstawiał podobno gracją w rodzaju Republiki p. Mosse i wolności Barbiera, młodszą ale groźniejszą od towarzyszek, uosobioną postać *komuny*. Malarz realista nie zdobył się na apoteozę ideału swego, wołał oddać go w warunkach rzeczywistych. Zagniewana Petroleusa, odwróciła się od widzów, łatwo zgadnąć czemu nie figuruje w salonie.

O historycznych obrazach, portretach, rzeźbach i t. p. powiemy w przyszlém sprawozdaniu.

PIŚMIENNICTWO

KRAJOWE I ZAGRANICZNE.

Przyczynę mogący posłużyć do objaśnienia sprawy tyczącej się wydania biblii królowej Zofii.

Dziwny los spotkał podanie o najdawniejszym przekładzie Pisma Ś. na język polski, utrzymujące się w piśmiennictwie krajowym od lat blisko czterystu. Dał mu początek Długosz w swęj historyi pod rokiem 1399, lubo udzielona przez niego wiadomość jest tak ogólna i giętka, że można ją rozmaicie zrozumieć. Powtórzył za nim, ale już stanowczo, Miechowita w r. 1519 i Kromer, wreszcie Marcin Bielski, autor wielce poważny w Kronice świata wydanej w r. 1550 zeznał, jakoby widział starą biblię polską, w której zdawało mu się połowa była słów serbskich czy téż bułgarskich.

Istnienie zatem przekładu Pisma Ś. w kraju jak widzimy, było nie wątpliwe i stało się téż przedmiotem sporu rozpoczętego w końcu XVI stulecia między ewangelikami i jezuitami, z których pierwsi opierając się na powyższych świadectwach znajdowali powagę dla głównej zasady swego wyznania. Drudzy nie dopuszczając tejsze, zarówno podaniu jako i bytności samego faktu zaprzeczali. Wówczas przyszedł w pomoc ewangelikom zostający w posiadaniu prywatném rękopism na pergaminie biblii, mający być tąż samą o której wspominały kroniki. Opisano go więc kilkakrotnie i wskazano miejsce gdzie się znajdował. Zkąd gdy z przyczyny zbiegu okoliczności zniknął w drugiej połowie XVII wieku, a wspomnienia o nim powtarzały dzieła uczonych, powstały znowu rozmaite sprzeczne pod tym względem domysły i mniemania, które do dziś dnia przetrwały.

Po długich poszukiwaniach, dowiedziano się nareszcie, na początku bieżącego stólecia, że znajduje się na Węgrzech w bibliotece kolegium reformowanego w Szarosz Pataku. A ponieważ zakład ten jest fundacyi znanęj w historyi rodziny Rakocznych, zrobiono ztąd domysł, jakoby dostał się tam drogą zaboru za pierwszjęj wojny szwedzkięj, kiedy jeden z przodków téj rodziny brał czynny w nięj udział. Wiadomość o tém odkryciu przyjęto jako historyczne wspomnienie, postarano się nawet o bliższe poznanie przedmiotu, zdjęto urywkową podobiznę i w kilku dziełach ją przedrukowano. Innego w owym czasie nie przywiązywano do nięj znaczenia, gdyż nie pojmowano u nas jeszcze wcale ważności dawnych zabytków piśmiennictwa dla badań języka. Té mnięjsze poważanie miał

przedtém rękopism na miejscu, brakowało mu już do całości wielu kart pergaminowych, do okładek lub obwijania użytych, i tym sposobem rozproszonych po świecie. Niektóre z tych szczątków wynaleźli trafem tu i owdzie miłośnicy starożytności i ogłosiwszy drukiem, zwrócili większą bacność na resztę. Najznakomitsi badacze języka i piśmiennictwa, jednozgodnie osądzili, iż należy do bardzo ważnych, bo jest jedynym pomnikiem piśmiennym z całej piérwszej połowy XV wieku. Wszystkie albowiem inne dotąd poznane, są niepewne, albo zbyt drobne, aby się z nim równały. Przy takiém poważném uznaniu znalazł się z czasem nakładca umiejący oceniać wartość podobnych zabytków, i należycie usposobiony wydawca. Piérwszy nie szczędził znacznego kosztu na przepisanie w oddalonym miejscu, piękne, wzorowe wydrukowanie i tannością ułatwił nabycie. Drugi przyprowadził oddawna zamierzone przedsięwzięcie do skutku i wydał starannie, odpowiednio do dzisiejszych potrzeb nauki. W ten sposób uczyniony przystępnym, poddany został pod sąd powszechny i właściwych znawców.

Do ich liczby należy sam wydawca, autor najlepszej dotąd grammatyki języka polskiego i innych dzieł. W obszernym wstępie dołączonym do wydanego zabytku, zebrał on mnóstwo szczegółów historycznych, bibliograficznych i paleograficznych. Roztrząsnął krytycznie, sprawdził niektóre, usunął inne, przedstawiając natomiast własne swoje zdanie mające za sobą wiele prawdopodobieństwa. Wykazał przytém właściwą naukową wartość, opatrzył go spisem słów w téj księdze użytych, których teraz wcale nie używamy albo w inném znaczeniu. Z zestawionych przez niego spostrzeżeń dowiedzieliśmy się tedy, że wydany obecnie przekład Pisma Ś. składa się z niejednostajnych części, wykonanych przez kilka osób w znacznych ustępach czasu. Że z początku jest dosłownie niemal przerobiony z najdawniejszej biblii czeskiej, tak zwanego Leskowieckiego kodeksu, przechowującego się w Dreźnie. Daléj umiejętniej już przełożony z téjże saméj biblii lecz w różnych przerwach, o czém mają przekonywać zmiany w piśmie i języku, tudzież znajdujące się przy rękopiśmie pewne znamiona i cechy, oraz umieszczone tamże notatki. Ztąd wyprowadził wniosek, jakoby początkowo podjęty został za życia Jadwigi i z jéj polecenia przed rokiem 1399, w którym ta królowa umarła, a następne części dopiéro po roku 1422, dacie ślubu Jagiełły z W. księżniczką Zofią, reszta zaś po pewném powstrzymaniu przekładu, ukończona za jéj wdowieństwa między 1450 a 1455 rokiem. Ta téż okoliczność spowodowała wydawcę do nadania książce tytułu Biblii królowej Zofii. Co do późniejszego losu rękopismu, opierając się na powołanych świadectwach, ponieważ miał służyć do użytku pobożnych monarchiń, był więc w posiadaniu i Elżbiéty Arcyksiężniczki Rakuskiej, od roku 1454 małżonki Kazimierza Jagiellończyka, żyjącej do roku 1505, na pamiątkę której otrzymał znajdujące się przy nim ozdoby wyobrażające jéj rodzinne

herby. Po tém z kolei tą samą drogą przeszedł na własność królowej Bony a ta wyjeżdżając z kraju, pomiędzy innymi drogocennymi przedmiotami wzięła z sobą i ów rękopism. Wtedy z jęj wiedzą lub nie, sprzedany prywatnym był w ręku Mikołaja Szarfenbergera drukarza krakowskiego i użyty został do przekładu wydawanej przez niego biblii, tak zwanęj Leopolicy, drukowanej w roku 1561. W kilka lat potem dostał się Krotoskim, możnej rodzinie wielkopolskiej, należącęj do wyznania Braci Czeskich, w domu których był przez kilku autorów widziany i wspomniany. Ostatni z członków tęj familii umierając około roku 1630, przekazał go wraz z całą swoją biblioteką, jednocie tychże braci w Ostrorogu, władz przeniósł się do ich szkoły w Lesznie; wywiózł go ztamtąd, może pożyczwszy w jakiej potrzebie, znany w czeskim i polskim piśmiennictwie Jan Amos Komeniusz jęj przełożony, gdy w połowie XVII wieku był z Leszna wezwany do Szarosz Pataku, dla urządzenia tamże podobnej szkoły i nauczania. Odtąd włączony do zbiorów pozostał na węgierskiej ziemi, gdzie z czasem popadłszy w lekceważenie i zaniedbanie, przy częstém przewożeniu z miejsca na miejsce tamecznej biblioteki, i poniewierce, utracił znaczną część swoich pergaminowych kart.

Taką historję rękopismu skreślił p. Małeckci, na zasadzie wielu danych, lub dobrze obmyślanych wniosków, wierząc z przekonania w jedne, przedstawiając inne tylko jako swój domysł. Przeciwno obu wystąpił p. K. M., w lutowym zeszytcie r. b. Biblioteki Warszawskiej, a jakkolwiek przyznaje iż nie był dostatecznie przygotowany, aby stanowczo mógł wyrzec swoje zdanie o wszystkich nasuwających się wątpliwościach, z wiadomości przecież dostarczonych przez wydawcę, wyprowadza wprost przeciwne wnioski. Przedewszystkiém nie zdaje mu się aby rzeczona biblia była nietylko z czasów Jadwigi, ale i królowęj Zofii, nastęrcząc z naciskiem myśl jakoby rękopism Szarosz Patacki sporządzony został między 1597 a 1604 rokiem staraniem ówczesnych ewangelików, dla nadania swemu wyznaniu pewnego uroku. Podejrzania zaś te opiera głównie na piśmie i języku, twierdząc co do piérwszego stanowczo już i bez appellacyi, że choć jest różnych rąk, lecz pochodzi z jednego czasu. Podobieństwa tychże i różnice tłumaczy tylko chęcią naśladowania starego pisma, co nie mogło się udawać każdemu w jednakowym stopniu; co do drugiego znajduję że są te same podobieństwa i różnice co i w piśmie, ale z innego powodu, biblia albowiem Szaroszpatacka jak to p. Małeckci przyznaje, idąc za dawną wskazówką Hanki i świeżém potwierdzeniem Kraszewskiego, tłumaczona jest z czeskiego tekstu, przez polaka, który po czesku bardzo słabo umiał, lecz że robota długo trwała, więc się powoli wprawił. Dla tego tęcz z początku zaraz na piérwszęj stronie znadują się słowa albo czeskie albo przekręcone, których tłumacz nie rozumiał, albo czytać nie umiał. Ulegał z początku wpływowi koniugacyi czeskiej, naśladował czeską formacyą słów, nawet składnią ze słów. Wszystkie te chro-

powatości gęste na początku, znikają stopniowo, w miarę jak tłumacz z czeskim językiem się oswajał; w końcu zdaje się dość czystym i poważnym, ale nie oryginalnym, zawsze pod wpływem czeskiego wzoru. Utrzymuję zatem że pod względem języka dzieło jest jednolite ale nie jednéj ręki i może pochodzić tak dobrze z XV jak z XVI ale z XIV wiekiem niema nic wspólnego, rysunki nawet i herby znajdujące się na piérwszój karcie, wspierają jego podejrzenia, gdyż pochodząc z późniejszego czasu, mogły być przyłączone dla nadania rękopismowi wskazanego znaczenia.

Zdanie p. K. M. aczkolwiek ogólnikowe i w części nie schodzi równie z pola domysłu, zasługuje tém bardziej na uwagę, że nie jest dorywcze, ani powstałe dopiéro teraz w jego umyśle po wydaniu w całości pomnika. Słyszeliśmy go bowiem od lat kilkunastu utrzymującego zawsze, że znane poprzednio urywki należą do czeskiego a nie do polskiego języka.

A jednak czy można przypuszczać, aby tylu uczonych historyków piśmiennictwa krajowego, tylu biegłych znawców języka, nie dopatrzyli pod tym względem prawdy?

Wszakże najstarszy zabytek języka ruskiego, Słowo u pułku Igora, Józef Sękowski bardzo dowcipnie i zręcznie w Petersburgskiej Bibliotece do czytania pomówił, iż był wypracowany przez Bursistów Akademii Kijowskiej w XVI wieku. Toż o najcenniejszym klejnocie piśmiennictwa czeskiego Kralodworskim rękopisie, była głośna i zapalczywa walka, kiedy w roku 1858 Dr. Daniel Kuh redaktor czasopisma *Takesbote* wydawanego w Pradze, napisał i wydrukował w swoim dzienniku szereg artykułów, w których z mocną dyalektyką dowodził, jakoby przez Hankę był wymyślony i podrobiony. Oba jednak obarczone zarzutami zabytki, wyszły z pod próbierza krytyki zwycięzko.

Zapewne przeto i wytoczona obecnie sprawa przeciwko ogłoszonemu przekładowi, przejdzie pod sąd dalszy, dla wydania ostatecznego wyroku.

Co do mnie, nie czując się na siłach abym mógł wystąpić odpowiednio w szranki za wnioskami wydawcy, lub popierać powstałe podejrzenia, ograniczam się na przedstawieniu zdarzenia, które może być do téj właśnie sprawy przydatne. Rzecz się tak ma: Oprócz rękopismu biblii czeskiej z XV wieku, znajdującego się w bibliotece Ordynacyi Zamoyskich, teraz nieprzystępnej, jest jeszcze w Warszawie drugi rękopism tejże biblii i z tegoż stulecia, będący własnością p. Antoniego Muchlińskiego profesora emeryta uniwersytetu Petersburgskiego. Rękopism ten jak przekonywają znajdujące się na piérwszój karcie napisy, był zdawna w posiadaniu Kapituły Włocławskiej, od której w roku 1801 dostał go w darze Tadeusz Czacki i zapisał to na nim własną ręką. Obejmuje cały Stary i Nowy Testament, pisany jest na papierze w wielkich arkuszach, we dwie kolumny, równo, bardzo starannie, czytelnie, ciągle jedną wprawną ręką. Ozdobiony jednostajnie rysowanymi i tąż samą barwą malowanymi głoskami początkowemi.

Wewnątrz mieści na początku, we środku i na końcu księgi wiadomość, jako przepisujący nazywał się Jan Zabłocki, zaczął swoją pracę w roku 1476 za *krala Czeskeho krale syna polskeho*, a ukończył w r. 1478 za *kralowanie Wladislawa krala czeskeho w ponie-dzeli po druhe nedieli Welike noci a to w Kamienicy*.

Rękopism uprzejmie mi udzielony i porównany z wydaną biblią Szarospatacką daje wyraźne świadectwo, iż czeski przekład Pisma Ś. przed wynalezieniem druku, był wielokrotnie z jedną i tą samą pracą przepisywany, w różnych tylko czasach, aż do pierwszego drukowanego jego wydania, i wtedy dopiero w tekście i języku był stopniowo poprawiany. Piszą też o tym Dobrowski i Jungman, w *Historji literatury czeskiej* (str. 91 wyd. 2). Jeżeli więc najstarsze drukowane bible czeskie przekonywają o pochodzeniu swém z jednego źródła, tém bardziej były one zgodnemi w rękopismach. Wiadomo albowiem iż ówcześni przepisywacze książek zostając w stowarzyszeniu jak inni rękodzielnicy, mieli w swych ustawach zastrzeżone wierne trzymanie się oryginału i nie byli także w stanie robić żadnych zmian. A zatem kodeks p. Muchlińskiego w niczém zapewne nie różni się od najstarszego z dotąd znanych Leskowieckiego i innych. Jakoż zgodność takowa do tego stopnia jest posunięta, iż ów rękopism biblii czeskiej zdaje się być ten sam, z którego Szarospatacki wykonano. Tłumaczenie przeto, a raczej pospieszne przelewanię téj ostatniej sporządzone zostało nie z jakiegó kopii takięj Pisma Ś., która była w łacinie błędnie stylizowana, jak się domyślał p. Małecki (str. 43); lecz ściśle z podobnego temuż czeskiego oryginału. Tyle tam znajduje się szczegółów, które porównane z sobą objaśnić się dadzą. Tak nietylko wszystkie ustępy i wyrazy niezrozumiałe, przekręcone, niedorzeczne, ale i brane za prowincjonalizmy lub cechy ówczesnej mowy polskiej, wyszłe jakoby z użycia i te które zmieniły swoje znaczenie, ich końcówki deklinacyjne i koniugacyjne, miane za starożytne polskie, będą podobno właściwie czeskiemi jeżeli nie wspólnemi obu językom. Są tam te same omyłki, które jednak nie są omyłkami, są tam dosłownie te same zdania i wyrazy nie istniejące w Wulgacie, które wydawca dostrzegł i te co mniemał pochodzącemi z głowy polskiego tłumacza. Owa nieforemność syntaktyczna z której p. Małecki jak powiada (str. 49) nie umiał sobie zdać sprawy, bo jęj nie zauważał w innych pomnikach, gdy w biblii Szarospatackiej należy do zwrotów dosyć zwyczajnych, nic innego nie jest, tylko mylném odczytaniem czeskiego pisma. Owa bezwarunkowa niezgodność zaimków względnych (jen, lub jenze, jaże, jeże) ze swojemi rzeczownikami tak co do rodzaju, jak liczby; pochodzi ztąd, iż są one pisane w oryginalnie czeskim w skróceniu *gte genz. gto* a przepisujący nie umiejac sobie z niemi dać rady, odczytywał je na chybił trafił. Dlatego też tak często przełożył *izto* zamiast *jezto* i na odwrot i t. p. Nareszcie wszystkie powody zбочeń od osnowy oryginału łacińskiego, omyłki i opuszczenia, jakie zaszły w kodeksie

Szarospatackim od początku do końca, tylko przy pomocy rzezonego rękopismu można zrozumieć. Opuszczenia, mianowicie kilku wierszy dostrzeżone przez wydawcę up. na str. 11, 37, 236, i t. d., pokazuje się, wynikały z prostego rozlagnienia przepisujących, którzy mając powtórzone to samo po kilku wierszach zaczęcie lub zakończenie, zgadzające się ściśle z kodeksem Muchlińskiego, przeskoczyli je przez nieuwagę i dalej pisali nie troszcząc się o sens całości.

Ośmielamy się zatem wierzyć, iż gdyby jeden z rękopismów w mowie będących, miano pod ręką i porównywano jak to czyniono z łacińskim przekładem, nakładca i wydawca wieleby trudu sobie oszczędzili.

Dla udowodnienia powyższego spostrzeżenia wypisałem z kodeksu Muchlińskiego krótkie ustępy odpowiednio oddziałom odróżnionym w biblii Szarospatackiej i te bez wyboru postawione obok siebie może posłużą do objaśnienia znaczenia tego materiału lingwistycznego.

I tak dział pierwszy, według zdania wydawcy obejmujący przekład, który pod autorskim względem nie wytrzyma nawet najpobłażliwszej krytyki, brzmi w oryginale czeskim zachowując ściśle jego pisownią skrótów i przecinkowania.

W kodeksie Muchlińskiego.

Na początku Buoh stworzył gt. nebe y zemi. Ale zemie biesse ne uzyteczna a prazdna, a tmy biechu nad twarzy propasti. A duch bozy wznasiesse se nad wodami, y wece buoh, bud swietlo, a stworzeno gt. swietlo, y widiel gt. buoh swietlo zo gt. dobre y rozdzielil swietlost od tmy, y nazwal gt. swietlost dnem, a tmy nooi, y uczynil gt. wecer a zytra den geden, y opiet buoh wece, bud stworzenie w prostrzied y rozdzielil wody od wod, y uczynil buoh stworzenie, rozdzielil wody, gesto biechu pod stworzeniem, od tich gesto biechu nad stworzeniem y stalo se gt. tak, y nazwal boh te stworzenie nebem, y stase weocer, a zytra druchy den. Y wece opiet buoh shromazdie se wody gto. pod nebem su, w [¶]miesto gedno a ukasz suchost, y stalo se gt. tak.

W Biblii królowej Zofii, str. 1.

Na początku bog stworzył nyobo y szemyą, alyo szemya bila nycuszyteczna a proszna, a ozmi bili na twarzy przepaszozy, a duch boszy naszweczye (!) nad wodami. Y rzekl bog: bądź szwyatlo, y stworzeno szwyatloszcz. A uszrzal bog szwyatloszcz, ysze gest dobra, y rozdzielil szwyatloszcz odo czmi, y nazwal gest szwyatloszcz duyem, a ozmi nooą y uczynyl wyecor a s yutra, dzeyn goden. Lepak rzecze bog: bądź stworzenye w poszrzod wod, a rozdzelyl wodi od wod. Y uczynyl bog stworzenye y rozdzelyl wodi, gesto bili pod stworzenym od tich, gesz bili nat stworzonym. Y stalo sze gest tako. Y nazwal bog stworzenye nycbom. i stal sze wyecor a z yutra, dzen drugi. Wczszrzal lepak bog y rzekl: agromacoczyo szo wodi, geszto pod nyebem sa, w myasto gedno, a ukasz saą suchoszcz a stalo saą gest tako.

Z tego początku widać jak niewolniczo trzymał się przepisu swego wzoru, w którym zachowane były tak jak są w Kodeksie Warszawskim najstarsze wyrażenia czeskie, znikłe dopiero w przekładzie, gdy poszedł do druku. Naprzykład *na twarzy przepaści* zamieniono w biblii czeskiej 1506 *po urchu* to jest *po nad, po wierchu*. *Wznasiesse* przełożone w biblii Leopoldy 1561 *unosil się*, w Radziwiłowskićj 1563 *przenaszal się*; w Gdańskćj 1632 *unaszal się*, w biblii królowćj Zofii źle tylko odczytano i przekreślono *na szwyecze*. Kilkakrotnie użyte stworzenie zamiast stwierdzenie, *czeskie stworzenie* łacińskie *firmamentum*, nie zdaje się być omyłką tłumacza lub też pisarza, jak mniema p. Małeckci, bo znajduje się w rzeczonym rękopiśmie. W biblii drukowanćj 1506 r. zastąpiono już na *stalo się* lub *obloha*, u Leopoldy jest *utwierdzenie*, u Radziwił. *rozpostrzenie*, w Gdańskćj *rozpostarcie*.

Dział drugi od str. 41—78 odróżniać się mający gładszą stylizacją, zrozumialszą, poprawniejszą i odpisywaniem nierównie sensowniejszém, pokazuje się w porównaniu następnie.

W kod. Muchl.

W Bibl. kr. Zofii, str. 41.

Tehdy Izrael bydlil gt. w egiptie to gt. w zemi Gesen a miel gi, y wplodil se gt. a rozmnozyl se welmi. Y by zyw wni sedmna ste let. Y byl gt. Jakob swych wssch dni sto a czterzydceci a sedm let. A kdyz uznamena bliziece se den k smrti swe, zawolal syna sweho Jozefa y rziek gt. gemu, Nalezli sem milost przed twyma oczima, poloz ruku swu pod bedro me a uczinisz semnu milosrdnste y sprawedlnost, aby mne ne pohrzebowal w Egipcie, ale abych spal sz otci mymi, aby mie wynesl z te to zemie, a polozyl mie w hrobie mych starost. Gemuz odpowiedie Jozef rzka, iat uczinim, coz sy kazal, a on opiet weoe, przysez mi tehdy, genz. kdyz przysahasso pomodli se, Izrael bohu obratiw se w hlawy lozyczka.

Gessen a myal ya i wplodzil szegest a rozmnozyl szegest wyelmy. A bil w nyey szyw szyedm naszocze lyat. I bil gest szyw wszech swich dny sto a czterdzeszeczy a szedm lyat. A gdisz uznamyonal dzeyn szmyerozy przyblizajacz szegest, zawolal syna swego Josepha y rzekl k nyemu. Nalyasil y sm myloszcz przed twyma oczyma, a poloz raka swa pod byodra ma, a uczynysz se mna miloszerdze y sprawyedlywoszcz, abi mya nye pogrzebl w Egipcze, alyc abich spal s otczy mimi, abi mnyee winyosl s teyto szemye y poloszył mya w grobye mich staroost. Gemuszo odpowiedzal Josef h arzkacz: Jacz uczynya, czsosz kaszesz. A on odpowiedzal: Przyszasz my Gensze gdisz przyszakl, pomodlw szegest bogu Israel, a obroczył szegest w glowi loszyczka.

Podobnie wiernie przepisywany jest ten dział aż do końca i wyraźnie mylnie odczytane lub przepisane słowa, łatwo zrozumieć można np. staroczeskie *uznamena bliziece* zastąpione w druku *widiel przyblizuge*, u Leopoldy *widzial ze nadchodzi dzien*, w biblii Budnego 1570 *I przyblizyly się dni*; źle tylko przepisano *uzna-*

myonal. Toż *Nalezlisem*, w druku *Nassel li gsem*, u Leopoldy *Jestim nalazł* ze złego rozstawienia głosek, zrobiło się *Nalyasll y s. m*. Rozpacyowane dla zwrócenia uwagi w druku *Starost*, znajdując się w obu, przestaje być tém samém wyłączością. Wnastępnym ciągu dalszej partyi drugiego pisarza, według przedstawionėj podobizny czytamy.

W kod. Muchl.

I powiedie hospodyna k Morziessowi a k Aronowi w zemi egipske, Miesec ton to gt. wam poczatek, miesec prwni bude, w miesecch rozlicznych. Mluwte ko wssemu zboru synow Izrahelskych a rzecete gim, Desaty den mesece teho to, wezmi kazdy berana po czeledach, a po domiech swych. A pakli gt. mennsie ozislo pocztu, zeby nebylo gich dosti k gedeni berana, przygmi sanseda tweho genze przygednan gt. podle domu tweho, podle czisla dussy gizto by mohlo dosti byti k gedeni berana. Ale beranek bude bezposskwrny, samec gedneho leta, podle mehoz obyozego wezmete kozlec, a budete gehochowati, az do czternadsteho dne, toho miesecec, y budu gei obietowati wssecko mnostwe synow Izrahelskych k weczeru.

W Bibl. kr. Zofii na str. 54.

I rzekł pan bog ku Moyseszeszowy a ku Aaronowy w szemy Egipskyey: Myesząoz tentobądze wam poczyątek myeszycząw (sic) pirwi bodze w myeszycząch tegoto roku. Mowczye ku wszemu zboru synow Izrahelskych, a rzeczczye gym: Dzeszyaty dzien myeszycza tegoto weszmy kaszdi z was barana po czyelyadzaach a po domoch swich, a pakly gest mnyeyszo ozislo lyczbi, yszebi nye bi (sic) gich doszycz ku gedzenyu baranka: przymyszazyada swego, genszo przylaczon gest ku domu tego, polylozbi dusz, geszto bi doszicz moglo bicz ku gedzenyu baranka. Alyo baranek bądze przez pokalanya, samycz, gednego roku, podlug gegoszto obiczaya wyeszmyeczye koszelka, a bądzyczye gy ohowacz asz do czwartego naszczye dnya tegoto myeszycza. I bodzyczye gy offyerowacz wszitko pospolstwo synow Izrahelskich k wyczoryu.

Wyrazy *pirwi i bodze*, pokazuje się są pomyłkami pisarskimi tak jak w czeskim *czislo pocztu* zastąpiono jednoznaczniemi *czislo lyczbi*; podobnież *yszebi nye bi* zamiast *zeby ne bylo, polye*, miasto *podle, wyeszmyeczye* jest czeskie, *wezmete; czternadsteho*, przerobiono na *czwartego naszczye* i t. p.

Opuszczam dział trzeci gdyż jest krótki, sam wydawca uznał go mniej ważnym, nie wiele różniącym się od poprzedzającego. Przechodzę do czwartego mieszczącego się od str. 83—171, który według zdania p. Małeckiego lubo pisany niedbale z ciągłemi pomyłkami i dziwactwami, wynagradza pod innym względem. Ma być niezmiernie ciekawym, gdyż formuje prowincjonalizmy, obejmuje bezlik wyrażen ówczesnej mowy i t. d. Przedewszystkiem zaś zwraca uwagę używaniem już krótkowsanych spółgłosek i samogłosek, na wyrażenie zmiękczenia piérwowych a pochylenia (?) drugich co jest jedyném zjawiskiem w tój mierze w całej naszej literaturze, przed zaprowadzeniem druku. Zostawiając tę ostatnią

zaletę ocenieniu innych, obaczmy wartość tego działu pod wyżej wspomnianym względem.

W kod. Muchl.

W bibl. kr. Zofii, str. 83.

A gdyz by osmy den, przywola Moiziesz Arona a synow geho a wietczich rodem y Izraele, y powiedie Aronowi, wezmi z stada telce za hrziech, a skopce k obieti kadidlne, oba neposskwrniena, a ofierug ge przed hospodinem, a k synom Izrahelskym mluw, wiezmiete kozla za hrziech, a telce y berana rocznieho a bezposskwrny, k obieti kadidlne, wola a skopce zpokoine, obieti, a obietugte ge przed panem w swatyni obietne, wssechne biel olegem pokropenu ofierugice. Neb dnesz zgewise wam hospodyn wasz, y przynesechu proto wssecko, gto przykazal Moiziesz ke dwerzom stanowym, kdezto wssecko kdez stasse mnozstwe; wece Moiziesz. Totot gt. rziecz gitzo gt. przykazal hospodin, uczynite a zgowi se wam chwala geho. I wece k Aronowi przystup k oltarzu a obietug za hziech swoi.

A gdisz bil osmy dzyen, wezwal Moysesz Arona y synow gego, y *węczsich* s Israhela rodem, y rzeczye ku Aaronowy: Wezmy s stada czyeloza za grzech, a skopu ku obyeczyc kadzydlny, oba nyepokalana a ofyferuy ge przed bogem. A synom Israhelskym moy (sic) Weszmyczye kosla za grzech, y czyeloza y barana rocznya, a przespokolanya, ku obyeczyc ka. dzydlny, wolu a skopu za pokoyne obyati. a obyetuge ge w *szwyączydlny obiczayney* wszech przed panem. *Byel olegez pokropyoną* ofyferuyczye, bocz dzysz zyawy są wam pan wasz I przynosą przeto wszytko yakosz przykazal Moysesz, ku dzwyrzom stanowym. Gdzyszto wszytko gdysz stalo są przed pospolstwem rzecze Moysesz: Tocz gest rzecz, którą szto przykazal bog. Uczynoye a syawy są wam chwala gego. Y rzeczye ku Aaronowy: Przystap ku oltarzu a obyetyu za grzech twoy.

Pokazuje się tedy że staroczeski wyraz *wietczich* zastąpiony już w druku na *starsych*, kopista polski nie zrozumiawszy, zamienił na *węczsich*, także *mluw*, to jest mów, powiedz, na *moy*. Rozspacyowane jako szczególność *rocznya* zrobiono z *rocznieho* za *pokoyne* miasto *zpokoine*, rzecz jest także w czeskim i t. d. Cały ustęp w oryginale dobrze rozumiały a *obietugte ge przed panem w swatyni obietne*, to jest: ofiarujcie je przed panem w świątyni ofiarnej; przekrecone zostało na *a obyetuge ge w szwyączydlny obiczayney wszech przed panem*. Dalej jest w rękopismie czeskim *wssechne biel olegem pokropenu ofierugice*, co w druku 1506 zamieniono *przydaducz muky bielne olegem skropene* to jest ofiarujcie dodawszy białą mąkę olejem pokropioną i tak też jest u Leopoldy *ofiarując białą mąkę pokropioną olejem*, w Radziwił. y *ofiarą śniedną nagniecioną z oliwą*. Przepisywacz polski umieściwszy wyżej wyraz *wszech*, zrobił po tém kropkę i zaczął nowy period *Byel olegez pokropyoną*, który wydawca nie przypuszczał aby mógł być pomyłką pisarską i niezrozumienie znaczenia, lecz sądził iż musiał tak czytać rzeczywiście *bieli pokropyonye* (str. 47).

Podobnie objaśniają się dalsze odznaczone miejsca na téjże 83 stronnicy czytamy więc.

W kod. Muchl.

Ne budesz lhati blizniemu ani lati blizniemu, ani przed ślepym polozysz uraza neo zwitle. Ale budesz se bati hospodyna boha tweho, neb ia sem hospodyn. Ne uczinisz toż nepraweho gt. ani neprawie budesz suditi. Nesnabdi eg obliczege obudeho ani cti obliczege mocneho, sprawedliwie sudte blizniemu swemu. Nebudesz sokem ani wrtlakem w lidesz. Nestog proti krwi blizniego sweho. Ja hospodyn. Nebudesz nenawidieti bratra tweho w srdoi twem, ale zgewnie treslci gei, aby niemiel z niego hrziechu. Nehledai pomsty ani wspomenez krzywoty miescian twych. Milug przcetele sweho iako se sameho. Ja hospodyn. Praw mych ostrziechagte dobytku twemu nedag se sniti ginemu plemene, sz dobytczaty. Pole ne posiewag rozlioznym semenem. Rucho gto. gt. ze dweho tkanie neoblecze se czlowiek. Acz by spal sz zenu w ohlipce semene, gto by byla sluzebnice y tako sslechticzna ale ani wyplatu wyplacena, a wyswoezenstwim darowana, bita budeta oba, a ne umrzyeta, proto ze ge ne byla swobodua, ale za swu winu oferowati bude hospodynu w dwerzy stanowych swiedectwu, skopec i t. d.

W bibli. kr. Zofii, str. 83 na 2 kolumn.

Nye bądziesz layacz gluchemu, any przed ślepim polozisz uraszu. Ale bądziesz są bacz pana boga swego, bo yaczem pan. Nye uczinisz, czosz zlosoiwego iest, any bądziesz nye-sprawyedliwyce sądzicz. Nye przyymesz persony ubogey, ani czoyi oblicza mocznego, sprawyedliwyce sądzi twemu bliznemu. Nye bądziesz *oszoczczą* ani *rzeptayączy* o ludzech. Nye stoy przeciwo krwi swego blizniego. Ja pan. Nye bądziesz nye-nyavidzcz (sic) brata twego w szerczu twem alo iawney (sic) karzi gy, abi nye myalesz nyego grzocha. Nye szukay pomsti, any *wspomyenyesh krziwoti nyesczan* twich. Miluy blizniego twego, iako sam sycbye, Ja pan bóg was. Zakonow mioh ostrzegaycze. Dobytku twemu nye day są szniec z ginego plemeny *dobitcząant*. Pola nye poszeway *rosliczitim* szemyenyem y *rucho*, ktores iest ze dwoyga tkanya, nye obleciesz są. Czlowyck, acz bi spal z zonya (sic) sążozem szemyenya, geszto bi bila dzewka y takesz slahcząnka (sic) ale wiplatą nycwiplaczono (sic), ani wiszwolenim darowana: *bita bądzeta* oba, alye nye *umrzyeta*, przeto ze iest nye bila *wiszwolona*. Ala za swą winą bądze offycrowacz w drzwyach stanu swyadzeczstwa scopy i t. d.

Tu znowu przekonać się można, iż rozspacyowany wyraz *uraszu* jest tylko mylnie odczytany *urazu*, dalej *Nye przyymesz* łacińskie *Non considers* (Vulg) *Nie oglądaj się na* (Gdańska) *Nie miej bacności na ubogiego* (Leopol). W oryginalne czeskim jest *Nesnabdię* od słowa *snabdet*, baczyć, zastąpione w druku na *Nehled*, w biblii Budnego podobnie przelożono *Nie przyjmiesz*. Wyraz rozspacyowany *Oszoczczą* o którym wątpik wydawca, czyto

osądzca. Oskarżyciel (Leopol.) jest wiernym przekładem, czeskiego. *Sok* zastąpiony w roku 1506 na *hancze* znaczył w starym języku oskarżyciel, tak jak *wrlakem*, w druku *wtrhaez*, to jest *poduszczać*, i tak też u Leopolity „Nie będziesz oskarżaczem ani poduszczaczem.“ W szarospatackim rękopiśmie przekreślono na *ani rzeptajęczy*. Następnie *ale iawney karzi gy, abi nye myal*, przełożono z oryginału gdzie jest *ale zgewnie treslci gei aby nemel*, w drukowanym *ale zgewnie potreskezy ho w srdezy twem aby nemel*; u Leopolity *ale go iawnie skarz abyś nie miał*. Rozspacyowane: *any wspomnyenesz krziwoti myesezan* jest także wiernym odpiśsem wzoru, toż samo *dobiteżant* w oryginalu *dobyteżaty*, w druku *howadu*, dobrze zrozumiano u Leopolity *bydłeta*, tu został dobytciem; *rosliczüm* przez roztargnienie przerobiono z *rozlicznym*. Staroczeski wyraz *rucho*, szata, przepisany bez przekładu. Ustęp zaś odnoszący się do wykładu będącego w Wulgacie *mulier nubilis* który p. Małecki utrzymuje jakoby powstał z mylnego zrozumienia łacińskiego tekstu, bo *nubilis* dorosła, wzięto za *nobilis* i przetłumaczono na szlachciankę. W czeskim oryginalu wypada logicznie i tak jest jeszcze w biblii wydrukowanej w r. 1506, a dopiero usunięte zostało w roku 1549.

Dział piąty i ostatni od stronicy 171 do końca uznany za najlepszy, bo tłumacz i przepisujący mieli być widocznie ludźmi, z których jeden rozumiał co pisał i starał się wyraźnie wywiązać z zadania swego jak najstaranniej. Drugi zajmował wykształceniem i darem autorskim miejsce nierównie wyższe od swoich poprzedników. Tymczasem przy porównaniu z czeskim oryginałem pokazują się oba następnie.

W kod. Muchl.

Totot gt. prikazanie gto mate cziniti. Trzietie strana wasz wegdi w sobotu, ponocugtez w domu kralowie, a trzietie strana bud u brany gmenem Seyr. A trzetic strana bud u brany gto gt. za przyobytky sstitownikowymi, y budote ponocowati w domu a dwie stranie z wasz wygduce w sobotu, wssichni ponocugtez w domu boziem, przy krali a obkliczte gei, magioe bran odienie w wassych ruku. A wegdeli kto do obrady chramowe, zabitez geho a budete s kraleem kamz koli wegde, neb wynde, y uozniili su centuryonowe, podle toho wsscho iakoż gim przykazał Ioiada kniez, a przygimagio wssecky muze ty, gto. wchodili do chramu

W biblii kr. Zofi, str. 212.

Tocz gest prikazanye, gesz macye uozinyecz: trzczoja cząszoz s was wnydzi w sobotą *ponoczuycesz* w domu krolyowye a trzczoja cząszcz bądź w bronye Seyr. a trzczoja cząszoz w bronye, iasz gest za przebitkem *szczytownykw*, y bądźcoye ponoczowacz w domu Messa. Ale dwye cząsey z was, wszitei wnydacz w sobotą, ponoczuycesz w domu boszem przy krolyu, a oblyszecye gy, maiaż bron w rąku waszu. A wnydzely kto do ogrodzenya koscyelnego, za bycye gy, y bądźcoye s krolem, dokąd poydze abo wnydze. Y uozinyly setnyoi podle wszego, iakosz gym bil rozkazał kaplan Ioyada. A przy muiąc wszitei swe mąszc, gisz wcho-

przes tyden y ty take gto chodili w sobotu, stiemi y przysli su k Iomowi kniezy, ani gid dawasse kopie a bran krale Dawida gto. biesse w domu boziem, y stali su wssitkim magice bran w swu ruku, od prawe strany oltarze az do strany lewe oltarze, a sience, okolo krale i t. d.

dzily do koscyola przes tidzen, y ti takesz, gysz wichodzily w sobotą, y prziszly s soboti stiny, gysz wichodzily, ku Ioyadowy kaplanowy, a on gym dawal *kopyia* a bron krolya Dauida, gesz bila w domu boszom. Y staly, kaszdi maiąc bron w swu rąku ot prawe (sic) stroni koscyola asz do lewey stroni oltarza a syence? okolo krolya i t. d.

Zatém czeski wyraz *ponocuglez* w Wulgacie *observet excubias* jest wiernie przepisany *ponoczujeyesz*. Rozspacyowane *szczi-townykw* podobnież odpisem *sstitownikow* zastąpione w druku 1506 na *pawęzy* i tak téż ma Leopolita *pawężników*. Ustęp oznaczony jako omylony *gysz wichodzily w sobotą y prziszly s soboti*, pochodzi ztąd, że przepisujący dwa razy powtórzył nie potrzebnie blisko znajdujące się wyrazy *sobotę* i *wichodzily*. Rozspacyowane *kopyia i prawe* są także w czeskim wzorze, a wyraz ze znakiem zapytania *syence?* zrozumiały w rękopiśmie a *sience* toż w druku a *syenceze*, znaczy prosto w sieni czyli w przedsionku kościoła, co u Leopolity przełożono *oltarza y domu*, w Gdańskiej zaś *okolo króla zewsząd*. Dział ten prawie wszędzie podobnie wykonany. W wielu miejscach roztargnienie i zadziwiająca niestaranność przepisującego przechodzi granice zwykłych omyłek. Weźmy naprzykład ustęp na str. 305, a takich jest więcej, który wydawca zauważał iż sens w nim widocznie jest zepsuty. Zrozumiały w oryginalu brzmi.

W kod. Muchl.

W bibl. kr. Zofii, str. 305 od początku B. VIII.

Kral Artakserses Ezdro kniezy a mistru pisma hospodinowa zakona, pozdrawienie wskazuge. Ya ge sytny a tielesny za odpłatu przysuzugo przykazal sem gim gto z rodu zydowskeho su, dobru woli z kniezy a iachnow genze w mem kralowstwi zadagi aby stebu ssi do geruzalema a protoz chtielit gmi giti stebu, segduco so w bromadu, gdietoz iako mnie gt. libo, a mym sedmi prziatelom radoiem, atby nawsstiewili ty gto ozinie po zydowsku a po geruzalem-sku i t. d.

Krol Artaxerses Ezdrasoui, kaplanowy a mystrzowy zakona bozego, zbawoyoue wskazuge. Ia marni a oyelestni za otplati prziszdzaią, przykazalem gim, gysz *zqdlywoszcz* z narodu zidowskego swą dobrą warlyą, y s kaplanow y z nauczonych, gisz są w mem krolowstwyc *abi s tobą szly* do Jerusalem. Przeto acz *szqdaią* ktorzi s tobą giłz, *syłqcz syq* w gromadą, *gydzoysz*, iakosz *syq* gest mnye y mim syedmy przyinocylyom *zlyubylo*, *abi nawyodzily*, *gysz* czynią po zidowsku a po ierusalomsku.

Zdaje się jakby całego tego listu tłumacz i przepisujący nie rozumieli, tak są pomieszane między sobą wyrazy, jedne i te same coraz inaczej poprzekładane, np. *zadagi* to jest żądający, przerobiono na *zadlywoscz* i na *sządają*, z pozdrowienia zrobiono zbawienie. Inne wyrazy tak dziwnie są przedstawione z właściwego im miejsca, jakby czyniono sobie z pracy igraszkę. Słowem z owego chaosu bez pomocy oryginału wybrnąć niepodobna. Takie same omyłki, żeby ich liczby nie pomnażać, znajdujemy przy samym końcu wydanej książki, co bynajmniej nie przemawia za pochlebném zdaniem, jakie wyrzeczone zostało o tłumaczącym i przepisującym, którzy mieli się udoskonalać w ciągu swój pracy. Oto dowód.

W kod. Muehl.

Y powiedie k ni Oloferness dobrze gt. uczynil buoh, ze gt tie wyslal z toho lidu, aby gei poddala w nassy ruce, dobry gt. slib twoi. Proto uczinili mnie Boh twoi to witezatwie nad twym lidom, bude y mog buoh a ty budeš welika w domu Nabuchodonozowym, a twe gmeno bude oslawene po wssy zemi.

Tehdy gi kazal wgiti tu kdez biochu pokladi schowani, a tam gi kazal bydleti, a wstawi coby gi mielo dano byti sz geho stolu. Genze odpowiedie Iudyt, rzeci, ne mohu giesti toho cosz mi przykazal dawati, aby namie ne przyssel hniew bozy. Ale to budu giesti coz sem sz sebu przynesla, gizto odpowiedie Oloferness, kdyz to wssechno sniesz, coz sy sz sebu przynesla, to pak co ucziniem. Y rziekla gt. Iudyt zywa gt dusse twa pane, zet neztrawi toho wsseho twa sluzebnico drziewe, i t. d.

W bibl. kr. Zofii, str. 335 od początku drugiej kolumny.

I rzekł k nyey Olofernes: Dobrze uczynił bog, gon ebyebyc wisiał s tego lyuda abi gy ti podala w nasze rące. A przeto, ysze dobre twe slyubyenye uczinyly mnye to bog twoy: Bądze takesz on y moy bog, a ti bądzesz wyelyka w domu Nabuchodonozowye, a gymyą twe bądze ogłoszono we wszey zemy.

Tedi kazal goy wnydz tu, gdzie bilo slozenye gego skarbow, a tam goy kazal bidlycz, a rosказal czsobi goy myano (sic) dano biez z gogo stolu. Odpowye Iudith, rzekąc: Nynye nye bądze mocz gesoz s tego, czso my przikazugesz dawacw abi nye prziszedł na myą gnyew bozi, ale s tego bądą geszcz czsom s sobą przinyosla. Oloferness rzecze: A gdiaw to wszitko *sznyesz czsosz* s sobą przinyosla, czsosz tedi tobye uozynymi? Y rzekla Iudith. Zywa gest dusza twa, panye moy, ysze nye strawyą tego wszego, dzewka twa i t. d.

Przeniósł tedy wyraz *proto*, gdzieindziej, opuścił *witezatwie nad twym lidem*, wyraz *slib twoy* to jest twoja obietnica, przerobił na *slyubyenye*, *promissio*, ślubienie; odznaczone *myano dano*, odczytano z *mielo dano*, a wyraz *sznyesz* w oryginalu *sniesz*, pochodzi od staroczeskiego *snisti*, *snež*, strawić i t. d.

W ogóle w wydanyh rękopiśmie oprócz mylnie zrozumianych lub źle odczytanych miejsc, trafiają się często ustępy i wier-

sze zupełnie opuszczone, niekiedy nawet jakby uwyślnie zbałamucenie tekstu. Co wszystko zdaje się wskazuje że praca szła od ręki, pospiesznie, bez żadnego sprawdzania; zachodzi więc pytanie, czy tak sporządzona, i wyraźnie ostatecznie nie wykończona księga, mogła służyć do czyjegokolwiek użytku?

Zresztą przestaję na powyższych wyjątkach sądząc je dostatecznymi. Wniosków ani domysłów więcj nie pomnażam, bo te już do sprawy nie pomogą.

Pozwalam sobie przecież przypomnieć jeszcze jedną wiadomość. W dziejach cywilizacji krajowej nieraz było już udowodnioném, że religia chrześcijańska, nauki, i piérwsze ślady piśmiennictwa mają pochodzenie czeskie. Po dwakroć także z téjże narodowości panowała najwyższa władza i przyszła znowu chwila, gdy ztąd jój znowu żądano i otrzymano (1470 r.) Główny powód dawano wtedy, jakoby „Polacy i Czesi mieli jeden język i jednakowe zwyczaje narodowe“ wedle współczesnego wyrażenia wzywających. Miało to miejsce rzeczywiście mianowicie w stronach sąsiadujących, czyli w tak zwanój niegdyś Małopolsce, gdzie dotąd najwięcej śladów współplemiennego wpływu zostało: są tam akta publiczne i prywatne sporządzone jeszcze w XV wieku, różniące się nie wiele od czeskich.

Dla przykładu przytaczam jeden z ostatnich takich dokumentów z roku 1486, który mam pod ręką. Oto jest jego osnowa:

My Bernhart Kalinowsky, Yakób Napora, Yan Ozarowsky, Yan Dobek Radostowsky, Paweł Grzibowsky, Petr Pywko, Gyrzik Bibersteyn, Waczlaw z Dwuklenoze, Yan Trzociensky, Girzik z Dobre wody, Gyndrzyob Nemeoz. Wyznamy tymto listem obecnie przedewsiemy ktocz gogy uzrzie neb oztuoze slysiety budu. Zie nam zatu drahu oztwrt leta od Naggiassnicyssoho knieziete krale Kazimyza krale polskeho pana nassieho Naynylostiwiegssioho. Wysoczto Urozeny a Wolmozny pany. Pan Iakub z Dabna kasstelan Krakowsky. Pan Petr z Kurozwąk podskarbio Kralostwi polskeho, pan Petr Sobiensky, Starosta Spisky a Welebuy knie Ianko ze Dosty uozynyly wplnie a doozola zaplatily za sluzbu y zasskody nassie, y protoz my naprzied psany, moczuie a moczi tohoto lista ppuszoziemy a quitugomy y prazdny ozinyne, naprzied kralowsku yasnost y tudziez naprzied gmonowane pany z sluzby y z sskod, a zie my czastokrat gmonowane slibugem wiecznie zadny z nas nenapomynaty zatu oztwrt leta omycz a nadto ya Bernhart Kalinowsky slibugi pod swu czti y pod dobru wicru, list prwnie ozturti letho morzioz a yktomu ten list zasskodny panu Wegowodie Sandomyrskemu w osmy nedielech w geho ruczto daty, a tomu naswedomie a prolepssy gistotu swo gsmo vlastnie a przirozony peczoti a signethi przitysknuty ktomu to listu. Genz gest dan a psan w Krakowio tu Nedielci letare leta bozicho Tisiczocho cztyrsteho osm desatcho ssesteho. U dolu wyciśnięto pięć pieczęci, z których jedna więkza, a cztery sygnetowe mniejsze.

Jeżeli zatem tak bliskie powinowactwo istniało, a niepodobna o tém wątpić, tedy ponieważ u Czechów Pismo Święte w całości przełożono już w XII stuleciu i przez liczne odpisy rozpowszechniono, to i w kraju tak długo jak ten sam język był wspólny lub dobrze rozumiany, nie mogła powstać potrzeba innego tłumaczenia.

Możnaby więc odnosić wyrzeczenie Długosza o Jadwidze rozczytującej się w księgach świętych przełożonych na polskie, i opowieść Bielskiego o biblii ze słowami serbskimi i bułgarskimi, do owych rękopismów czeskich, których liczba musiała być kiedyś w Polsce znaczna, skoro jeszcze dziś dwa egzemplarze znalazło się w jedném miejscu a jest ich więcej po innych zbiorach.

Streszczając ogłoszone spostrzeżenia, wypadnie podobno oczekiwać ostatniego słowa od znawców obu języków.

F. M. S.

Beiträge zur Beantwortung der Frage nach der Nationalität des Nicolaus Copernicus von R. Breslau 1872. (Przyczynki do rozwiązania pytania co do narodowości Mikołaja Kopernika, przez R. Wrocław 1872. 8ka 212 str.).

Jeżeli jedna z niemieckich gazet (Augsb. Allg. Zeit), którą o zbytne dla nas sympatje bynajmniej posądzać nie można, o powyższej z tytułu przytoczonej pracy pochlebne wygłosiła zdanie, daje to już pewną miarę wartości książki, tém więcej, że w niej wypowiedzianą została na nowo wojna niemieckim uroszczeniom. Skoro sędzia Niemiec przyznaje, że autor, a nim jest Polak, z wielkim spokojem, trzeźwo i bezstronnie rzecz swoje wyklada, to podobne uznanie już nas z góry dobrze uprzedza o utworze polskim napisanym w języku niemieckim. Jestto, jeśli się nie mylimy, poraż pierwszy ukazująca się obrona polskiego pochodzenia Mikołaja Kopernika w języku tych, którzy sobie naszego genialnego astronoma przywłaszczają. Pomysł wydaje nam się wielce trafny; my znamy prace Niemców, ale dotychczas zwykle nasze obrony i repliki tylko dla niewielkiej liczby piszących były dostępnymi, większość zaś czytającego ogółu Niemców zmuszona jest poprzestać na tém, co jój podają zagorzali uzurpatorzy. Ta nowa praca z polskiego pochodząca obozu, może przecie nauczyć, oświeci i przedstawi sporne pytanie z innéj strony a w końcu osłabi wiarę tych, co przygotowani przez broszury pp. Prowe, Wattericha i innych, niemieckość M. Kopernika za rzecz dowiedzioną i rozstrzygniętą uważają. Powyższa obrona, o której tu mowa, zdolna jest niewątpliwie wyrzucić podobny skutek, a nie-

uprzedzonego czytelnika niemieckiego może przekonać, że wszelkie uroszczenia przeciwnego nam obozu są bezzasadne, bo autor występuje do walki w pełnym uzbrojeniu z bogatym zasobem niezbitych dowodów, z erudycją, wymową i zręcznością w argumentacyi, która w sposób poważny odsłania nieraz zaślepienie i uprzedzenie i złą wiarę, z jakimi działają przeciwnicy.

Wymownym obrońcą jest p. Kazimierz Römer, autor artykułu o Krakusie i Wandzie, umieszczonego w bieżącym numerze Biblioteki. Jak wódz naczelny, który usiłuje pobić przeciwnika swego na głowę, uderza nań na wszystkich punktach ze wszelkich stron, tak i p. Römer zbiera materiały, dowody, świadectwa dla zwalania na bliższym i dalszym polu uroszczeń niemieckich pisarzy. Nie chodzi tu o zupełny życiorys astronoma, autor głównie ma na uwadze te strony i stosunki, które podnoszą Niemcy dla przywłaszczenia sobie Kopernika. Ztąd powstała konieczność w następujących rozdziałach wziąć pod ścisły rozbiór pytania, mianowicie takie:

- 1) Ziemia i miasto, w którym się urodził M. Kopernik.
- 2) Nazwisko jego, pochodzenie i rodzice.
- 3) Działalność osobista Kopernika, jego polityczny sposób myślenia.

Autor zastanawia się systematycznie nad każdym z tych rozdziałów, skrętnie zestawia wszelkie szczegóły, sięga nieraz bardzo daleko i głęboko, nie pomija żadnej okoliczności, która do poparcia twierdzenia służyć może. Niemcom trzeba dowodzić, czém była kiedyś ziemia Chełmińska i Toruń, jedno z główniejszych w niej miast, w którym się Kopernik urodził; trzeba wykazywać, jakie przechodziła koleje zamieszkania pierwotnie przez lud polski prowincya czysto polska, w której dopiero pod panowaniem krzyżaków zaczął osiadać napływowy żywioł niemiecki. Trzeba ich uczyć że nazwiska wsi i miejscowości zachowane w różnych aktach starszych od osiedlenia się krzyżaków, brzmieniem czysto polskim się odznaczają. Mimo nawet silnego napływu żywiołu niemieckiego ziemia nie przestała być polską, rycerze bowiem zakonni zasiedli w zamkach i burgach, rzemieślnik i kupiec także przybysze, przedewszystkiem do miast ściągali, tu i owdzie powstały osady kolonistów, ale to co główne tło ziemi stanowi, lud prosty na roli osiadły, pozostał w przeważnej sile czysto polskim. Dopiero po dwustu z górą latach w roku 1454, oderwana część weszła znowu do składu ogólnego ciała ówczesnej Polski. W miastach, które się rozwinęły lub na nowo powstały pod panowaniem krzyżackim, silniej i wśród przyjaźniejszych warunków krzewiła się ludność niemiecka. O Toruniu bynajmniej tego powiedzieć nie można, iż był miastem wyłącznie przez Niemców zamieszkałym. Autor poświęcił mały dodatek w końcu swój rozprawy wysłedzeniu początków Torunia i twierdzi, co zresztą już w XVI wieku słyszeć się daje, że Toruń powstał z dawniej polskiej osady Tarnowa, a sama nazwa obecna miała podobno z teje

z dawniejszej Tarnowa się wykształcić. Zdaje się nie ulegać wątpliwości, że jeszcze przed przybyciem zakonu osada lub miasto Toruń lub Tarnowo istniało. Mamy pod ręką oryginalną unowę rajców miasta Torunia (De ratlute unde alle die burgere von *Thurun*), zawartą z zakonem krzyżackim, gdzie już pod r. 1262 jest mowa o starym Toruniu (die viheweide *ze alten thurun*). Według więc wszelkiego prawdopodobieństwa wyrosło, że tak powiemy, z korzenia polskiego miasto Toruń, w którym się powoli rozpostarła napływowa ludność niemiecka, nigdy jednak do tego stopnia, żeby się obok niej nie mieścił i miejscowy żywioł polski. Ludność była mieszana, używano jednego i drugiego języka, ile że ożywione stosunki handlowe z przyległymi miastami mazowieckimi silną zawsze polskiego żywiołu stanowiły podporę. Po wcieleniu Torunia do Polski w XV wieku, już twierdzić można na pewne, że się oba żywioły równoważyły.

Na tak przygotowanej podstawie autor stawia swoje wnioski w nierównie ważniejszych kwestiach, dotyczących nazwiska rodzowego i stosunków rodzinnych Kopernika. Dla naszego ucha nazwisko Kopernik ma formę i brzmienie czysto swojskie, ale zagorzali Niemcy polegając na nieuzasadnionej pisowni, i tu niemieckiego kształtu i dźwięku się dopatrują. Te różne, dziwaczne nieraz wywody niemieckich pisarzy zbija p. Römer systematycznie i gruntownie, dając natomiast swoje objaśnienia w wysokim stopniu przekonywające. Nazwy miejscowości takie jak Chmielnik, Jawornik, Wierzbnik są u nas dość pospolite; zupełnie podobną jest nazwa miejscowości w górnym Szlązku Kopernik; skoro zaś jak wiadomo, nazwy miejscowości nieraz przechodziły na jej mieszkańców, jak np. Poznańczyk, Lubelczyk, tak i Kopernik, jeden z przodków Mikołaja, téj okoliczności swe nazwisko zawdzięcza. Pierwsze ślady Koperników odszukane zostały w Krakowie w aktach radzieckich, gdzie się pod 1396 r. znajduje wzmianka o Mikołaju Koperniku (prawdopodobnie ojcu), który został przyjęty w poczet obywateli Krakowa. Ztąd przeniósł się ojciec astronoma do Torunia i tu Mikołaj ujrzał światło dzienne 19 lutego 1473 roku. Zdawałoby się, że kwestya już jest rozstrzygniętą, tymczasem wypadło jeszcze bliżej rozpatrzyć się w stosunkach rodzinnych, oznaczyć, kto była matka Kopernika i z jakiego pochodziła domu. Była nią Barbara Watzelrode. Gdzie słuszność, tam autor nie unosząc się stronniczym zapalem, przyznaje się zupełnie, oświadczając, że matka Kopernika pochodziła z niemieckiego domu Watzelrodów, oddawna w Toruniu osiadłych, ale téż z drugiej strony zbija domysły bezzasadne Niemców co do babki Kopernika po matce, dowodząc im, że Watzelrodówna rodzi się z Modlibogówny, więc jak nazwa pokazuje z polskiej rodziny. W ostatnim rozdziale rozprawy spotka czytelnik dzieje osobiste Kopernika, o ile one w związku z jego polskością pozostają, stosunki, jakie go z polską młodzieżą akademicką wiązały w Krakowie, następnie trafne spostrzeżenia nad zachowaniem się jego politycznym, jego sposobem myślenia.

Wszystkie wnioski całej téj obszernéj rozprawy dadzą się streścić w kilku słowach, które od autora pożyczymy, tu przytaczamy.

„Mikołaj Kopernik urodzony na polskiej ziemi, ale w mieście przeważnie niemieckim, z ojca Polaka, który wszakże nie był zupełnie obcy niemieckiemu obyczajowi, i z matki Niemki, która go wychowała w tradycyjnym do Polski i jej króla przywiązaniu, Mikołaj Kopernik był wprawdzie przez swe stosunki rodzinne spokrewniony z jedną i drugą narodowością, całym jednak swoim życiem dowiódł, że zgodnie z obowiązkami obywatela myślał, działał jako syn swój rodzinnej pruskiej ziemi, a zatem jako dobry Polak. Dowiódł tego całym szeregiem czynów, które na zawsze mu zjednały wdzięczność jego rodaków, jestto więc ciężka niesprawiedliwość chcieć po śmierci nie przyznać tego charakteru, w jakim za życia na każdym kroku występować, za święty uważał obowiązek“

Autorów takich jak pp. Prowe i Watterich piszących z uprzedzeniem, a co gorzej jeszcze ze złą wiarą, nie przekona, jesteśmy pewni, rozprawa p. Römera, ale bezstronny czytelnik niemiecki, któremu po raz pierwszy daną jest sposobność przyjrzyć się w prawdziwym świetle przedstawionej kwestyi, od powątpiewania przejść powoli do pewności, iż Mikołaj Kopernik nie jest Niemiec w rodakiem i chlubą ich być nie może. Że taki skutek rozprawa wyrzucić jest zdolną, świadczy o tém krytyk powołanej wyżej niemieckiej gazety.

P.

Kilka słów o wykonaniu kary i O pozbawieniu wolności obwinionych. Warszawa, 1871 roku.

Pod temi tytułami wyszły w roku zeszłym dwie broszurki p. W. Miklaszewskiego profesora w Uniwersytecie warszawskim.

Jakkolwiek broszurki wspomniane nie wyczerpują przedmiotu, obejmują jednak wiele szlachetnych myśli, dążących do określenia wolności człowieka, zostającego w stanie normalnym względem społeczeństwa, którego prawa naruszył. P. Miklaszewski wyznaje tu głównie teorię poprawy, pod kierunkiem której przestępcę chce powrócić społeczeństwu jako człowieka użytecznego. Patrzy więc na człowieka jako na indywidualność wolną, nie zaś jako na sprzężynę posługującą jakimś celom i bada jego naturę moralną. Z tego stanowiska odrzuca karę śmierci, jako nieosiągającą celów karze towarzyszyć winnych, odrzuca również karę pozbawienia praw jako niszczącą ustrój rodzinny, i karę cielesną, jako zacierającą gadność człowieka.

M.

*Oderwane Nuty. Poezycje przez Lesławę Korpaczewską.
Warszawa 1872 roku.*

Zbiór wierszy, z których kilka drukowane były w dziennikach i w kalendarzu, a teraz doczekały się powtórnej edycji. Są to w szczupłych granicach dzieje marzeń i uczuć w domowym ustroniu. Najczęściej w zużytej formie Bajronowskiej, lecz nie można tego powiedzieć, aby rym wyciągał poezycję i snuł wiersze, brak tylko siły myślenia, a za to odbicie książkowe. Monotonność myśli i formy nuży i nudzi, a w poezycji znużenie i znudzenie to grzech śmiertelny. . . Czasem w tym zbiorze zjawia się w udatnej formie myśl i obrazek, jak w dumce do melodyi Moniuszki:

Środkiem wioski pogrzeb idzie,
Wiosennym wieczorem,
Niosą światło, wianki, krzyże,
I śpiewają chórem.
Oj dziewczyno nasza młoda,
Tyś jak gwiazda stłała,
Na co tobie wdzięk, uroda?
Byś ją w grób schowała?

Również pięknym jest cały wiersz do melodyi M. Wronkowskiego, który taką wrotką się zaczyna:

O promieniu ty mój złoty,
W mroku szarych dni,
Czemuż ciągle w łzach tęsknoty
Duch o tobie śni.

W inném miejscu p. Lesława odzywa się:

Powiedzcie bracia! czyście widzieli!
Mówcie szatany! mówcie anieli!
Kędy kwiat szczęścia rośnie w ustroniu,
Jak go odnaleźć, zgadnąć po woni?
Jak go dosięgnąć, jak urwać skrycie,
By srebrnym listkiem popruszyć życie.

Najzręczniejszą udął się autorce wiersz *do czapki akademickiej*, której początek na pociechę młodzieży powtórzymy:

O ty! niebieska, z białą obwódką,
Z świecącym daszkiem, przyciętym krótko:
Ty skromna, piękna, a nie uczona,
Wytarta, zblakła i pognieciona,

Przyjm dziś odemnie słówko serdeczne!
 Bo me sympatyę, ku tobie wieczne!
 Tak! ja cię kocham, czapko! pieszczotko!
 Z pod twego daszku, tak nieraz słodko
 Znajome oczy do mnie się śmiały,
 Snami się ćmiły, ogniem strzelały!
 Pod twoim cieniem, las włosów czarnych
 Chował się miękko w skrętach figlarnych.
 Tyś harde czoło w uścisku grzała,
 Pod tobą rosła ta przysza chwała,
 Ta myśl potężna! co medycynę,
 Pchnie na najwyższą wiedzy dziedzinę. i t. d.

S.

Akta grodzkie i ziemskie z czasów Rzeczypospolitej Polskiej z archiwum tak zwanego bernardyńskiego we Lwowie, w skutek fundacyi śp. Aleksandra hr. Stadnickiego wydane staraniem Galicyjskiego wydziału krajowego. Tom III-ci, we Lwowie 1872, str. 313.

Już trzeci z rzędu ukazuje się tom tego stałego wydawnictwa, które na jaw wydobywając bądź nowy materiał historyczny, bądź znany w poprawniejszym podając kształcie, nie mało krajowej literaturze świadczy usługi. Tom, którego niniejszy rozbiór dotyczy, obejmuje dyplomata, przywileje, nadania i inne akta sądowe z XIV i XV wieku, razem w liczbie 130; z tych 76 dokumentów odnosi się do wieku XIV, pozostałe wchodzą w zakres następnego stulecia. Najwcześniejszy w tym tomie przywilej sięga r. 1334, ostatni zaś ściąga się do r. 1488. Wydawcy przyłożyli wszelkich starań, żeby o ile można przygotować tekst poprawny i chwalebne ich usiłowania nie pozostały bez skutku. Korzystano więc z oblat, pomieszczonych w aktach grodzkich i ziemskich o tyle tylko, o ile pierwotne oryginalne akta odszukać się nie dały. Czerpano obficie z archiwum miasta Lwowa, które około 50 dokumentów dostarczyło z XIV wieku, zebrano oryginalne akta z kilku miast Galicyi: z Krosna, z Dobczyc, Sanoka, Halicza, kilkanaście wydobyto z prywatnych zbiorów hr. Włodz. Dzieduszyckiego i innych. Lubo część tych przywilejów i nadań znana już była z Dodatku tygod. do Gazety Lwowskiej, drukowanych przez Fr. X. Wolańskiego, nie zmniejsza to bynajmniej wartości nowego przedruku. Dodatek tygodniowy dla swój rzadkości był niemal niedostępnym, a grzeszył przytęm rażącemi usterkami, które badaczowi nie mało nasuwały trudności. Obecnie ogłoszony 3-ci tom obejmuje przeważnie akta służące do wyjaśnienia wewnętrznych dziejów Rusi Czerwonej, jej miast rozlicznych, a głównie stołecznego jej grodu —

Lwowa. Obok tego znajdzie tam badacz i ciekawe szczegóły ogólniejsze mające znaczenie tak pod względem politycznym i prawnym, jako też społecznym i ekonomicznym.

Jeśli obowiązek wydawcy zasada się na wiernym i dokładnym wydrukowaniu wiarogodnych aktów, oraz opatrzeniu ich w odpowiednie objaśnienia, to i zadanie krytyka w tym szczupłym zakresie zamknąć się musi. Krytyka sprawdza podjęte przez wydawcę usiłowania w celu przygotowania o ile możności zgodnego z oryginałami tekstu, i miarą tą ocenia zalety wydawnictwa. Jak praca sumiennego wydawcy w znacznej części polega na wiernym oddaniu choćby najdrobniejszych szczegółów pierwowzoru, na usunięciu nawet niezna- cznych drukarskich omyłek — tak i krytyk zmuszony jest wglądać w drobiazgi tekstu i drobne usterki podnosić do wysokości zarzu- tów. Z góry oświadczyć nam wypada, iż pojmujemy z doświadczenia jak najpilniejsza ręka i najwprawniejsza oko nie są nigdy w stanie usunąć z tekstu wszystkich błędów, jakie wprowadzają u nas zwykle z łacińskim językiem nie obeznani ci, co czcionki składają. Jakkolwiek z tytułu wyżej przytoczony 3-ci tom Aktów niepotrzebuje z podobnej wyrozumiałości krytyka korzystać, należy bowiem stanowczo do lepszych i poprawniejszych u nas wydawnictw, tém niemniej kilkoma zarzutami większej lub mniejszej wagi obarczyć go winniśmy. Jedne błędy powstały z zaniedbanej korekty, które czytelnik łatwo usunąć potrafi, inne znowu na karb naukowej nieuwagi wydawcy policzyć wypada.

I tak w dypl. No. IV: piscinam liberam in villa *ut* extra villam. Prawdopodobnie powinno być: in villa *vel* extra villam. Zwracamy uwagę wydawcy na to, że powszechnie spójnik *vel* pisze się jak *ut*, z przekręślonem wysokiem *l*. Ztąd łatwo wpadają w błąd ci, co bezzasadnie przekręślane *l* za *t* przyjmują.

Dyplomata No. XV. Skrócony wyraz *sniandi* czytać wypada nie *sinandi*, co żadnego nie daje znaczenia, ale *sententiandi*.

Dyplomata VIII. Nie zgadzamy się z wydawcą na odczytanie skróconego wyrazu *ptam* = *pactam*. W Dodatku do Gaz. Lwow. oddano takowy przez *praedictam*, co przez nowego wydawcę słusznie zostało odrzucone. Ale co znaczy *donatio pacta*? Pod względem paleograficznym niema żadnej przeszkody przeczytać *ptam* = *praetac- tam*; co też pod względem sensu odpowiedniejszém niż *pactam* być się zdaje.

A oto szereg błędów drukarskich:

str.	24	in furtu	zam.	furto.
„	26	insupor	„	insuper
„	38	in pensis	„	in penis
„	65	ipsos	„	ipsas
„	76	principium	„	principum
„	76	nulla	„	ulla
„	81	arrastacione	„	arrestacione
„	82	delecti	„	dilecti

str.	94	momitos	zam.	monitos
„	95	surdis	„	surdi
„	95	ecclesiasticum	„	ecclesiasticum
„	96	detunarys (?)	„	tenutariis
„	96	alter	„	aliter
„	97	ex dictarum litterarum apostolicarum	„	gdzie Ablat po ex?
„	105	heresim	„	heresium
„	109	premissus	„	premissus
„	112	volgariter	„	vulgariter
„	123	contingerit	„	contigerit
„	187	collocare	„	collocari
„	189	eiusdem	„	eisdem
„	192	quolibet manso	„	de quolibet manso
„	237	prehennentur	„	perhennentur
„	245	polendrum	„	poledrum
„	246	humeri	„	humero
„	191	26 lutego	„	20 lutego
„	171	8 listopada	„	18 listopada

Te są drobne a jawne błędy, które łatwo czytelnik sam usunie, a które tylko gwoli dokładności wymieniliśmy.

Zamiana dat kalendarza kościelnego wszędzie z wielką ścisłością dokonaną została we wszystkich dyplomatach. Jeden tylko ważniejszy zakradł się błąd, który powstał z niezwrócenia uwagi na to, że r. 1392 był przestępnym, że zatem dies Cinerum (Środa popielcowa) przypadła na dzień nie 27, ale 28 lutego (zob. tablicę u Natalis de Wailly. Elements de paléogr.).

Tam gdzie w oryginale znajdował się błąd w pisowni, wydawca zaznaczył to w tekście przez dodanie znanego „(sic)“, więc pomieszczał takowy obok błędnego pisania *comodis* przez jedno *m*, *ocurimus* przez jedno *r* i t. d. Żałować wypada, że się tego zwyczaju nie trzymano stale, ztąd całe szeregi błędów nie są żadnym znakiem zaznaczone. Wićć jednak zastanawia, że podobnego znaku nie umieszczono obok wyrazów, które są stanowczo ciemne, niezrozumiałe, ztąd rodzi się wątpliwość, czy źle zostały odczytane, czyli też już w oryginale albo w ogóle w pierwowzorze błędnie były napisane.

Weźmy pod ścisłą uwagę przywilej XIII z roku 1362, dany przez Kazimierza W. mieszczanom lełowskim. Wydawca w przypisku wypowiada swoje mniemania co do wiarygodności tego aktu. Przeciwno niej miałyby mówić brak inwokacyi: *In nomine domini Amen*. To jest zdaniem naszym nie zupełnie trafny zarzut, gdyż posiadamy w oryginale kilka dyptomatów Kazimierza W. bez inwokacyi, zwykle, jak zauważyliśmy, opuszczanej w listach, w poleceniach, np. do celników lub innych urzędów. Sam wydawca zresztą pod koniec swych uwag zupełnie znosi ten zarzut, oświadczając, że inwokacyi brak w niektórych Kazimierzowskich dokumentach. Zdaje się, że brak tej zwykłej formuły nie jest bynajmniej przypadkowy. Cóżkolwiekby, czy ten przywilej jest ory-

ginalny czy sfałszowany, wydawca go nam przedstawił, ale powiedzmy szczerze, zaniedbał się tym razem w swój krytyce. Pytamy bowiem co znaczy: *jure maxime premundicacius*? które wydawca zostawił bez żadnego znaku. Czy wydawca może zrozumiał wyraz *premundicacius*, ale w takim razie nie należało skąpić objaśnienia, czytelnik mógł się czegoś nauczyć, sam krytyk skorzystałby także. Jeżeli zaś, o czém nie wątpimy, i wydawcy nie jest obcem, iż podobny wyraz nigdy nie istniał, to ofiarujemy mu swój domysł, iż zamiast *jure premundicacius*, powinno być *jure preiudicativo*. I jeszcze jedno pytanie, czy podobnież jasnym jest znaczenie wyrazów w tymże dyplomie *et de consuetudine antiqua et laudabili mete dicte civitatis observande*? Co by była *laudabilis meta civitatis*, domysleć nam się trudno zwłaszcza w całym toku tego zdania. . . A może wydawca zgodzi się w tym oczywiście pobałamuconym tekście przyjąć naszą poprawkę w tym rodzaju: *et laudabili more dicte civitatis observando*. Nadto w tymże dyplomie: *cuiuscunq[ue] generis fuerint et coloris* jest błędne, bo jak objaśnia następne określenie zamiast *coloris* najwidoczniej stać powinno *valoris*.

Na końcu tomu mieszczą się indeksa osób, miejscowości wspomnianych w toku całego zbioru. Indeks ułożony systematycznie, zdaje się celować zupełną dokładnością, tylko oczywiście nie należy brać miary z drugiego „Spisu wyrazów nie łacińskich“ na str. 303, gdyż o dokładności indeksów zwątpićby należało.

W tym spisie, który zwykle dla praktycznych celów ma pewne znaczenie, gdyż przedstawia w sposób przejrzysty wyrazy np. polskie techniczne lub pospolite w użyciu będące w XIV lub XV wieku, o ścisłość i dokładność widocznie się nie starano. Brak tu między innymi takich wyrazów, które spotkaliśmy w dyplomatach np.

Cramos 19 str., stuba str. 19. Supa str. 21.

Wojewoda 58, bezmeni 81, złotnic 49.

Tywni (villici) 181, gays 183, Waga 170, graniciebus 177, obedne 65, marduros 170 i inne.

W ogóle jednak wydawcy należy się słusznie za staranność uznanie, które tu raz jeszcze z przyjemnością wypowiadamy.

A. P.

WIADOMOŚCI LITERACKIE.

WARSZAWA.

— *Warszawa*. Czerwiec 1872 r. Dotychczasowe Towarzystwo naukowe krakowskie zmienione zostało na Akademią umiejętności w Krakowie, a w roku bieżącym ogłoszony jest Statut téżże Akademii zatwierdzony przez Najwyższą władzę rządową. Z tego Statu-

tu wykazuje się, że Akademia jako instytucja publiczna, zostaje pod najwyższą opieką Cesarza, który w tym celu mianuje pretektora akademii i jego zastępcę. Przedmiotem Akademii będą:

a Filozofia i lingwistyka głównie polska i słowiańska, historia piśmiennictwa powszechnego, a w szczególności polskiego i historia sztuki.

b Umiejętności filozoficzne, polityczne, umiejętność prawa, historia z archeologią i

c Umiejętności matematyczne, przyrodnicze z geografją i lekarskie.

Akademia więc składa się z trzech wydziałów: filozoficznego, historyczno-filozoficznego i matematyczno-przyrodniczego.

Posiedzenia będą ogólnie czyli walne i wydziałowe. Do wydziałowych należyć mają:

a Rozprawy nad przedmiotami odpowiednich nauk, wniesione mi bądź osobiście przez autora, bądź za pośrednictwem sekretarza.

b Rozbiór przedmiotów, względem których zażądałby wyjaśnień rząd Państwa, naczelna władza kraju. lub wydział krajowy.

c Obmyślanie zadań do nagrody, w miarę uzyskanego na ten cel funduszu, rozbiór zdań referentów i przyznawanie nagród. Akademia składa się z członków czynnych (od 24 do 42 najwięcej krajowych i pozakrajowych od 18 do 30) z członków korespondentów do liczby 36: wszyscy członkowie są wybierani. Językiem urzędowym akademii jest język polski. Pojedyncze prace mogą być ogłoszone w innym języku.

Wybory pierwszych 12 członków Akademii odbyły się dnia 11 i 12 maja; jako pierwotni akademicy obrani zostali; 1) Dr. Józef Kremer. 2) Wincenty Pol. 3) Dr. Józef Szujski. 4) Dr. Antoni Walewski. 5) Dr. Karol Mechorzyński. 6) Dr. Julian Dunajewski. 7) Lucyan Siemieński. 8) Dr. Karol Estreicher. 9) Dr. Józef Mejer terażniejszy prezes. 10) Dr. Teichman. 11) Dr. Fryderyk Skobel. 12) Stefan Kuczyński.

Prezes J. Majer, z powodu czynionych zarzutów tym wyborom, ogłosił Uwagi w przedmiocie zasady pierwszych wyborów do akademii. Od tak urządzonego grona naukowego, przy dozwolonej swobodzie działania i przy stosownych środkach, spodziewać się należy znakomych korzyści tak dla oświaty społeczeństwa tamiecznego, jako też dla postępu nauki.

— Zapowiedzianej *Encyklopedyi Rolniczej* pod redakcją *J. T. Lubomirskiego*, *E. Stawiskiego*, i *S. Przysiańskiego*, wyszedł zeszły pierwszy w drukarni Józefa Bergera.

Nie dotykając naukowej wartości tyle użytecznej publikacji, pod względem typograficznym, wydawnictwo odznacza się tak poważnym formatem w 8-co wielkiej, jak pięknym papierem i drukiem, odbiciem czystym i starannością korekty. Okładka ozdobna podług rysunku znakomitego ilustratora naszego *M. Andriollego*, w drzeworycie, przedstawia zajęcia główne rolniczo w ciągu całego roku.

Obszerny wstęp na czele obejmuje XX stronic, tekst sam str. 60, idzie drukowany we dwie szpalty. Encyklopedia ta mieścić będzie wielką liczbę drzeworytów odpowiednich do treści. W zeszytcie tym mieszczą się następnne artykuły: *Absorbeyca gruntowa*, *Aklimatyzacya roślin i zwierząt*, *Alkohol*, *Alun*, *Ameryka* (pod względem rolniczym), *Amoniak*, *Analiza chemiczna*, *Asfalt*, *Atmosfera*. W kraju jak naszym rolniczym, wydawnictwo takiego dzieła, było oddawna pożądaniem, nie powątpiewamy też, że znajdzie należne poparcie i rozpowszechnienie pomiędzy ziemianami naszymi, dla których użytku głównie jest przedsięwzięte. Wydanie to drukuje się w dwóch tysiącach egzemplarzy; mamy otuchę, że wkrótce wyczerpanem zostanie.

— Wyszedt z pod prassy tom X i ostatni *poezyj Ludwika Kondratowicza* (Władysława Syrokomli) a zamyka go obszerna lista prenumeratorów, którzy pospieszyli z przedpłatą zawezwani w imię wdowy i sierot poety, na których rzecz ta publikacya ogłoszoną została. Liczba ich w Cesarstwie i Królestwie wynosi w ogóle wraz z księgarzami,

	egzemplarzy 3391,		Rsr. 18,650
	które dały	„	„
W Galicyi	„	egzemplarzy 245	„ 2,774
W Wielkiem Księstwie poznańskiem		49	„ 249
Razem przeto za egzemplarzy 3,685		„	21,673

P. Unger wywiązał się ze swego zadania, albowiem podług prospektu, w okréślonym czasie wydał przyrzeczone dziesięć tomów; ale wydawca który w *przedmowie* przyrzekł że w ostatnim tomie poda życiorys zgasłego przedwcześnie poety, zubożony wielu nieznanemi szczegółami, nie spełnił swj obietnicy, niemamy nawet wyjaśnienia powodu, dlaczego biografia Syrokomli opuszczoną została, i czy ją prenumerotorowie otrzymają, chociażby z dopłatą. Cel w jakim ta publikacya ogłoszoną została, wielki udział jaki w nim wzięła nasza społeczność, budzą zaufanie, że dopłata jakaby wypadła za tom dodatkowy, chętnie uiszczoną zostanie na rzecz wdowy i sierot autora.

— Zorza czasopism petersburgski zamieścił przekład rossyjski Konrada Wallenroda, Mickiewicza, przez S.

— Po Pietraszewskim orientaliście pozostał rękopism trzysto arkuszowy, obejmujący wypisy z chronografów tureckich przełożone na język polski, a to od zjawienia się Muzułmanów do roku 1774. Są także materyały, ważne przekłady, z tureckich kronikarzy do wojny z czasów konfederacyi Barskiej.

— W Kaliszu ma wyjść Rocznik na rok 1873.

— Podobno p. Klemens Podwysocki tłumaczy Wiktora Hugo „l'année terrible.“

— W Krakowie Himmelblau zapowiada wydanie Historji literatury Polskiej Dr. K. Mecherzyńskiego.

— We Lwowie ma być przedstawiona komedia Moliera Don Juan, przekładu K. Pieńkowskiego.

— Tom jeden nieznanych francuzkich pism Mickiewicza Adama wydaje Władysław syn jego, który ma zamiar ogłosić drukiem prelekcyę ojca o literaturze łacinskiej miane w Lozannie.

— W Paryżu Rada Towarzystwa historycznego przyznała dwie nagrody za konkursowe prace: p. Michałowi Bobrzyńskiemu 600 fr. za rozprawę: „O unii lubelskiej 1569 i przygotowujących ją wypadkach do zjazdu horodolskiego”; a p. Teodorowi Morawskiemu 1200 fr. za „Dzieje narodu polskiego,” które uznała za najlepsze dzieło historyczne z naszego wieku.

— *Komitet Towarzystwa Zachęty Sztuk pięknych w Królestwie polskiem*, w zastosowaniu się do § 2 Ustawy Towarzystwa, ogłasza niniejszém dla pp. artystów krajowych, bez różnicy stopnia kwalifikacyi, *trzy konkursy* na rok bieżący 1872, a mianowicie: *malarski, rzeźbiarski i architektoniczny*, pod następującymi warunkami.

a) *Konkurs malarski*: przedstawić obraz clejny, oryginalny, wykończony, wyobrażający „Miłosierdzie” wysokość figur minimum cali 18.

b) *Konkurs rzeźbiarski*: przedstawić oryginalną grupę z gipsu, z jednéj lub więcéj figur złożoną, wyobrażającą: „Wiarę” wysokość figur minimum łokcie jeden.

c) *Konkurs architektoniczny*: przedstawić projekt „Zakładu zabawy publicznej,” podług następującej informacyi.

Na placu prostokątnym w środku miasta położonym przy ulicy szerokiej stóp fossyjskich 60, długim z frontu stóp 450, głębokim stóp 600, z trzech stron sąsiednimi posesyami otoczonym, zaprojektować Zakład zabawy publicznej złożony z następujących części:

I. Budowli głównej postawionej frontem do ulicy, z należytem odstąpieniem od takowej dla utworzenia placu na powozy publiczności.

II. Ogrodu publicznego z odpowiedniami poniżej wymienionemi budowlami i urządzeniami.

Budowla główna ad 1-o obejmować ma:

a) Salę koncertową na osób 500.

b) Salę teatralną zimową ze sceną tak pomieszczoną, aby stanowiła jedną całość z drugą sceną dla widowni letniej urządzonej w ogrodzie, lub co lepiej, aby scena *jedna* mogła po dokonaniu odpowiednich zmian służyć w zimie dla sali zimowej, w lecie dla widowni letniej. W każdym razie scena ma być pod dachem stałym i zaopatrzona odpowiednią liczbą garderób, składów, łóż dla artystów i artystek i t. p. wszystko zastosowane do repertoaru przedstawień średniej wielkości teatrów.

Sala teatralna zimowa mieścić winna około 400 osób i razem z salą koncertową ad a i lokalem restauracyi ad c, stanowić apartament balów publicznych.

c) Lokal restauracyi z kilku większych i mniejszych sal i pewnej liczby osobnych gabinetów złożony, z odpowiedniami przynależnościami, kuchnią i mieszkaniem restauratora, dziedzińcem gospodarskim i t. p.

d) Lokal piwiarni urządzony w suterenach (tunel) z wejściem z ulicy i komunikacją z ogrodem.

e) Do całego budynku należeć mają: vestibul główny z przejściem do ogrodu, vestiarniami, jedno lub więcej schodów głównych ze stosowną liczbą bocznych, z komunikacjami, wygodkami, pissoarami i t. p.

W ogrodzie ad II, którego podział zaprojektować należy, mieścić się mają:

a) Widownia letnia na osob 1,000 ze sceną ad I. b. wymienioną, widownia ta składać się ma z parteru odkrytego i ogólnej galerii mieszczącej łoża, przykrytej, i tak winna być urządzona, aby na przypadek niepogody, nad cały parter zaciągnąć można było *velarium* (pokrycie nieprzemakalne).

b) Estrada dla muzyki na osób 50, dwie lub więcej galerii przykrytych z bokami otwartymi, bufet letni, kręgielnia, strzelnica, kioski, altanki, fontanny, sadzawki i t. p. tudzież wygodki dla publiczności.

Powyższy program, przedstawiający ogólny szkic zakładu, uważany być ma jako zasada, której rozwinięcie pozostawia się uznaniu i fantazyi projektującego.

Wybór stylu zależy od autora projektu, z tém jednak zastrzeżeniem, aby styl obrany odpowiadał charakterowi i przeznaczeniu budowli. Materyały budowlne główne: cegła, terra cotta, kamień, marmur, żelazo, szkło, drzewo. Stropy wiązania dachów i schody mają być ogniotrwałe.

Budowle w ogrodzie (oprócz letniej widowni) mogą być drewniane.

Warunki konkursu, wymagane są :

Szkice tuszem obwiedzione, lekko cieniowane lub kolorowane i składać się mają: a) co do budowli głównej z planów wszystkich piętr, elewacji frontowej, bocznej i tylnej, kilku przecięć głównych przez salę koncertową, teatralną i lokal restauracji, b) co do budowli ogrodowych z planów elewacji i przecięć ważniejszych budowli c) co do podziału całości: z planu sytuacyjnego. Skala rysunków ad a i b 14 stóp rosyjskich w calu, ad c 28 stóp rosyjskich na cal.

Wszystkie dzieła konkursowe winny być złożone przez konkurujących najdalej do dnia 30 listopada r. b. na ręce kustosa Wystawy Towarzystwa, przy załączeniu koperty zapieczętowanej z oznaczeniem zewnątrz tejże dewizy, lub znaku umieszczonego na przedstawionem swém dziele, wewnątrz zaś nazwiska i adresa autora dzieła. Na złożone dzieła i koperty kustosz wyda pokwitowanie. Wszystkie dzieła bez względu czy będą premiowane, lub nie, pozostają własnością autora, wszystkie prace konkursowe umieszczone zostaną na wystawie na widok publiczny przez przeciąg dwóch tygodni, poczem Komitet Towarzystwa wraz z zaproszonymi znawcami przystąpi do ocenienia i przyznania premij konkursowych, za pośrednictwem głosowania tajnego. Premium za każdy z trzech konkursów wynosi rs. 200, i po przyznaniu natychmiast wypłacone będzie, z po-

daniem do wiadomości ogółu za pośrednictwem pism, nazwiska autorów premiiowanych, oraz otrzymujących wzmiankę pochwalną. Warszawa dnia 12 (24) maja 1872 roku, vice-prezes Towarzystwa hr. Kossakowski, p. o. sekretarza Kułak.

— Wydany został prospekt na przekład dzieła Liebiga: „*Chemia zastosowana do rolnictwa i fizjologii*.“ W Niemczech już osiem ma wydać, i doznało największego rozpowszechnienia. Tłumacz zeszytami drukuje: dotąd wyszło ich dwa, które stanowią trzecią część całego dzieła. Skład główny w księgarni Gebethnera i Wolffa.

— W *Gońcu Europy* znajdujemy wiadomość, że składki na wzniesienie pomnika *Puszkiniowi* od początku otwarcia wynoszą ogólną summę rs. 33,177 kop. 70. W temże piśmie spotykamy w zeszycie lutowym r. b. polemikę toczącą się między pp. *Pogodinem* i *Kostomarovem* historykami, z powodu życiorysu księcia Szujskiego, w której ostatni broni się od zarzutu, jakoby społeczność rosyjską przedstawiał w epoce rozstroju i zacołania w stosunku do zachodu Europy. Wyczytujemy zarazem, że Towarzystwo wsparcia ubogich literatów i uczonych na posiedzeniu grudniowym r. z. powzięło myśl ustalenia *prawideł* zmierzających do polubownego przecinania sporów pomiędzy autorami a wydawcami.

— Petersburska gazeta akademicka „*St. Peters. Wiad*“ poświęcając obszerny artykuł działalności muzycznej autora „*Halki*“, stawia go wyżej nad wszystkich kompozytorów słowiańskich, nie wyjmując nawet Glinki. W końcu artykułu zwracając się do dyrekcji teatrów w Petersburgu i Moskwie, proponuje ażeby za wystawienie na tych teatrach „*Halki*“ przeznaczono dla rodziny kompozytora zapłatę od każdej reprezentacji, jak to już uczyniono dla rodziny nieżyjącego kompozytora Sierowa.

— Znakomitego rozmiaru dzieła Karola Estrejchera: „*Bibliografia Polska XIX stulecia*“, w Krakowie wyszedł zeszyt IV, zamykający tom pierwszy. Obejmuje litery od *A* do *F*. Z niego się dowiadujemy, że autor jęj wydał w stu egzemplarzach, rozprawę p. n. „*Teatra w Polsce. Rzecz w roku 1860*.“ Przy końcu jest umieszczona *Lista prenumeratorów*, i tych osób, które znaczniejszymi zasilkami popierają cele wydawnictwa Komissji Bibliograficzněj.

— Książd kanonik Polkowski napisał rozprawę: „*O Koperniku*.“ Komissya wydziału historycznego Towarzystwa Przyjaciół Nauk w Poznaniu uznała jednomyślnie pracę tę za odpowiadającą celowi, i przekazała ją do opinii wydziałowi nauk ścisłych i przyrodniczych.

— Professor gimnazjum Krakowskiego *Stahlberger*, przetłumaczył znany poemat Juliusza Słowackiego „*Ojciec zadziumiony*.“ na język niemiecki.

— We Florencji *Bank ludowy* przeznaczył na nagrodę konkursową 1800 franków za utwory literackie. Jak donosi Czasopismo włoskie „*Rivista Europea*“ nagrodę tę przeznaczono Dr. *Marucci* za mistrzowski przekład poezyj Teofila Lenartowicza.

— *Album Kopernika* przygotowywane przez Towarzystwo Przyjaciół Nauk w Poznaniu, na przypadającą w roku przyszłym

czterechsetną rocznicę jego urodzin, (mówi *Gazeta Polska* w No. 117), wykonane zostanie mało jeszcze znanym i upowszechnionym sposobem, tak zwaną fototypią czyli fotodrukiem, i składać się będzie z 15 lub 16 następujących tablic:

I. Karta tytułowa. — W górze w ozdobach architektonicznych w stylu wieku XVI, wizerunek Kopernika podług sztychu Scharfena, na dole widok Torunia z XV wieku; w dali widoku, na zachmurzonym niebie wschodzące słońce, — w obłokach pas zodyakalny, na tle nieba napis ozdobny „album Kopernika;“ po rogach cztery obserwatoria polskie, i wizerunki czterech astronomów Polaków, po bokach herb Polski z czasów Kazimierza Jagiellończyka podług współczesnej Kopernikowi pieczęci, i herb m. Torunia z XV wieku; połączenie całe będzie w ozdobach architektonicznych z wieku Kopernika.

II. Ulica Kopernika w Toruniu w perspektywie (dawniej zwana św. Anny), z domami niegdyś ojca astronoma; w jednym z tych domów urodził się Kopernik. Drugi widok przedstawia dom Kopernika w Frauenburgu, w dzisiejszym stanie. Oba te widoki ozdobione będą ornamentami, w których w właściwych miejscach będą umieszczone: herb biskupstwa warmińskiego, pieczęć kapituły warmińskiej, pieczęć Kazimierza Jagiellończyka r. 1474, i pieczęć Jana Bajrena, gubernatora ziem pruskich, wojewody chełmińskiego, rezydującego w epoce przyścia na świat Kopernika w Toruniu.

III. Wizerunek Mikołaja Kopernika, ojca astronoma, zdjęty z olejnego obrazu znajdującego się w bibliotece uniwersytetu Jagiellońskiego.

IV. Wizerunek Kopernika z obrazu znajdującego się w Towarzystwie Przyjaciół Nauk w Poznaniu, wprawiony w znany symboliczny sztych Oleszczyńskiego.

V. Portret Kopernika podług rzadkiej ryciny Falcka (Falck Polonus sculpsit).

VI. Cztery wizerunki Kopernika, portrety tak zwane typowe podług drzeworytu Reuznera z 1543 roku z dzieł Boissarda, Gassen-dego, i Hartknocha.

VII. Cztery wizerunki Kopernika z najstarszych olejnych obrazów.

VIII. Grupa z 12 wizerunków Kopernika z sztychów lub litografii.

IX. Karta tytułowa z dzieła Heveliusza „*Machina coelestis*,“ szybowana przez Falcka z portretem Kopernika w stojącej postaci.

X. Odpowiednia przedmiotowi kompozycya Jana Matejki.

XI. Ostatnie chwile Kopernika ze szkicu Lessera.

XII. Pomniki wzniesione Kopernikowi w Warszawie i Krakowie.

XIII. Pomniki w Frauenburgu i Toruniu.

XIV. Sześć głównych odmian medali bitych, znajdujących się w zbiorze Lubostrońskim hr. Leona Skórzewskiego.

XV. Podobizny przedmowy Kopernika dwustronno zdjęte z oryginału znajdującego się w Pradze u Hr. Nostiza.

Na końcu dodane będą objaśnienia do każdej tablicy w językach polskim i francuzkim. Przed pierwszą tablicą, osobny obszerniejszy drukowany tytuł z drzeworytem medalu, jaki będzie wybity na czterechsetny jubileusz Kopernika. Album całe będzie oprawne lekko w odpowiednią okładkę kolorową typograficzną.

— Dr. Adam Bełcikowski, po wydrukowaniu odczytu swego *Gustaw i Werter*, wydał studjum literackie: O satyrykach polskich XVII wieku.

W Poznaniu nakładem J. K. Żupańskiego wyszły: „Listy Hugo-na Kołłątaja z lat 1792, 93 i 1794.“ Listy te zebrał i przygotował do druku Lucyan Siemieński, opatrzwszy je wstępem.

Dr. Gumpłowicz wydał w Krakowie: „Konfederacya Barska, Korrespondencya między Stanisławem Augustem a Ksawerym Braniczkiem Łowczym koronnym w roku 1768.“ Jestto ważny przyczynek do tego okresu, rzucający niemałe światło na ten dramat historyczny.

— W Paryżu biblioteka akademii francuzkiej, przechowuje fotografią wykonaną przez słynnego astronoma włoskiego księdza *Se-echi*, jednego z wulkanów znajdujących się na księżycu, a nazwanego *Wulkanem Kopernika*. W objaśnieniu naukowem dołączonem do téj fotografii przez obserwatorium Rzymskie, zwrócono uwagę, iż wedle najsilniejszych obserwatoryi, Wulkan Kopernika, ma wielkie podobieństwo co do swego kształtu z wulkanami wystygłemi, jakie się w okolicach Rzymu znajdują.

— Historycy nasi coraz bardziej zajmują się przeszłością Lwowa. Wyjdą z druku Dzieje tego miasta, napisane przez Romankiewicza dyrektora archiwum miejskiego lwowskiego. P. Stanisław Kunasiewicz wydać ma: Przechadzki archeologiczne po Lwowie, a p. Maurycy Dzieduszycki autor *Wieku Skargi* i Zbigniewa Oleśnickiego napisał monografią katedry Lwowskiej.

W miesiącu czerwcu *Tygodnik Ilustrowany* w numerach: 231, 232, 233, 234, obejmuje artykuły. Z drzeworytami: S. Marszałkiewicz.—Herman i Dorota. — Wiosna. — Plan przyszły wystawy w Wiedniu.—Typy ludowe z okolic Mławy. — Złapałem cię. — Na cmentarzu klasztornym. — Samuel Morse. — Podśluchanie. — Moniuszko.—Przeprowadzenie zwłok Moniuszki.—A. E. Odyniec.—Dom nad zdrojami w Szczawnicy. — Grób rodziców Moniuszki.—Dom, w którym się Moniuszko urodził. — Klub Szaradzystów w Warszawie w r. 1807. Prócz powyższych artykułów mieszczą się następujące: Narzeczona Harem baszy, powieść. — Listy I. T. Jeża. — Z wieczorów nad Tamizą. — Zakłady zdrojowo-kąpielne, przez Zieleniewskiego.—Pozytywui, komedia J. Narzymskiego. — Wspomnienie z podróży po Kaukazie, Podlewskiego. — Dokończenie powieści Natalia — i początek powieści *Wet za wet*, z angielskiego.— Kroniki tygodniowe i Przeglądy polityczne.

(Nadesłano)

PAMIĘCI STANISŁAWA MONIUSZKI.

Szumią jodły na gór szczycie,
 A tak smutnie szumią!
 Czyliż one nasze życie
 Pełne łez rozumią?
 Po wiślanych widać falach,
 Przybyły tam wieści,
 Że stanęły całe w żalach
 Wnieśli hymn boleści.
 Orły płyną po nad niemi.
 Hymn na skrzydłach niosą
 A hymn w łąkach i po ziemi
 Zaległ deszczem—rosą.
 Umarł śpiewak nasz kochany,
 Jęczą wszystkie głosy,
 Jodły, góry i kurchany,
 Pola, łąki, wrzosy;
 Umarł — szumi Wisła sina
 Tocząc mętne fale,
 I dziewczyna i ptaszyna
 Rozwodzą swe żale.
 Któryż z grajków tak rozumiał,
 Podsluchał tajniki,
 Co las szumił, co lud dumał
 Przelał w dźwięk muzyki?
 I któż sercem tak się wsłucha
 W pieśni te i dumy,
 Kto zrozumie duchem ducha,
 Nadtatrzańskie szumy?
 Kto tak wdzięcznie je wyśpiewa?
 Wyplacze na lutni?
 Zgodnie, czemu smutne drzewa,
 Czemu ludzie smutni?
 Cześć ci grajku! cześć i dzięki,
 Grajku ty serdeczny!
 Twoje pieśni i piosenki
 Jak promień słoneczny
 Wiecznie będą nas ogrzewać,
 A choć miną wieki,
 Będą twoje pieśni śpiewać
 Nasze góry, rzeki.
 Jodły wiecznie będą szumieć,
 Cześć twą na gór szczycie,
 Boś potrafił je zrozumieć,
 Pojąć biednych życie.

Kazimierz L.

† Dnia 27 maja r. b. umarł w Warszawie **Stanisław Szczęsny Fortunat, Hr. Kossakowski**, Senator i b. prezes Heroldyi Królestwa Polskiego. Urodzony w Hamburgu 1795 r. Pisał w języku francuzkim i polskim. Ogłosił drukiem: „*Obrazy i charaktery z piérwszój połowy XIX wieku.*“ „*Stara panna, komedya.*“ (Poznań 1858 r.) „*Repertoire du Theatre de Societé du Comte St. K.*“ „*Tristan de la reverie.*“ „*Le mystificateur mystifié.*“ „*La surprise.*“ (Paryż 1857 r.) Lekarskie jego dzieła wyszły w Paryżu 1858 r. pod napisem: „*Essai de medicine pratique comprenant quelques idées sur l'escologie de maladies au point de vue du traitement et un recueil de recettes populaires.*“

† Umarł w Warszawie dnia 4 czerwca **Stanisław Montuszek** twórca opery polskiej, i śpiewników. Dnia 7 odbył się pogrzeb, jakiego miasto nasze od lat wielu nie widziało. Tłumy ludu do 80000 wynoszące, towarzyszyły temu obchodowi. Na cmentarzu Powązkowskim nad grobem przemówił Jan Chęciński znany pisarz i artysta dramatyczny. Najdokładniejszy życiorys zgasłego wielkiego muzyko-poety mamy w Encyklopedyi powszechnej, skreślony przez Oskara Kolberga.

Redakcyja Biblioteki Warszawskiej.

Redaktor odpowiedzialny **K. Wł. Wójcicki.**

Wydawca **Józef Berger.**

LUDWIK KONDRATOWICZ

I

JEGO POEZYE.

Przez

A. Tyszyńskiego.

Wiek nasz nie jest wiekiem poklasków dla dzieł poezyi. Zainteresowanie się dziś tak silne i tak powszechne treścią i wypadkami badań materialnych nie sprzyja zwrotom duchowym. I nie twierdzimy bynajmniej, iżby ten prąd materialny był prądem wstecznym. Po wybijaniu tak silném lecz jednostronném w pierwszych dziesiątkach naszego stulecia, badań przeważnie duchowych, a po zawodzie ich, stosownie do praw rozwicia, przyszść musiała z kolei doba kontrastu. Członkowie doby, nie możemy owszem i sami odjąć się dobie i niepodzielać jój wrażeń, ale w okresie każdym, jakkolwiek hasłem każdego jest jednostronność, tkwi i wszechstronność. Okres nasz lubo jest materialny przeważnie, jest jednak chronologicznie postępnym, a jako taki, nim dopełni swe koło i ustąpi znowu z kolci miejsca zwrotom przerwany (t. j. nowemu okresowi ducha w postępie nowym:) może i musi wydać i niejedno dojście postępane śród swój gałęzi, a dojście to jeśli będzie dojściem postępném istotnie, chcemy rzecz „dojściem z prawdy”, musi pójść mimo wiedzy swych sprawców i na ogólną korzyść wszystkich gałęzi. Takie np. prawdy, do uznania których, myśląc tylko o swym zakresie, doszedł był ostatni okres duchowy, jako: istnienie praw pewnych rozwoju, jedności bytu, harmonii i t. p., przejął i zastosował do dojść swoich obecny materialny, podobnie téż nie jedno dojście i tego, które sam mniema być śmiercią, pogrzebem ducha, może w istocie pójść raczój na jego tryumf.

Objaśnijmy to bliżej.

Po zakwitnieniu i śmierci z końcem wieku zeszęłego, a po wskrze szeniu w połowie naszego: czi wyłącznie materyi,—reprezentanci tego kierunku, po ponowieniu zrazu dawnych swych



twierdzeń o odwieczności materji i *odwieczności jej kształtów* (1), pochwycili następnie, przejęli za własną, i poparli masą dowodów, tę niedawno zjawioną hipotezę: iż owszem, pierwotném nastaniem (t. j. *sposobem* stworzenia) tych wszystkich istot ziemskich na które patrzymy, było nie ich trwanie odwieczne w dzisiejszych formach lub też ich samorodne zjawianie się obok, w formach sobie podobnych, ale ich stopniowe i harmonijne wywijanie się (ewolucya) z formy w formę, przez odmęt wieków. Szkoła wniosła, iż dojsćcie to jest pokonaniem ostateczném ducha i wszelkich z tego wyobrażenia idących „duchowych mrzonek”. Dojsćcie to jakież jednak istotnie musi mieć skutek? i do jakich właściwie wieść wniosków?

Jeżeli ten pomieniony dopiero wykład nastania różności istot jest prawdą, (a sądzimy, iż wszelki wykład, który w stworzeniu rzeczy widzi harmonię i mądrość nie zaś bezład i bezpowodność jest bliższym prawdy) (2), jeżeli istotnie nad naszą ziemią przepływały miliardy wieków i w biegu tym wydawały tylko przemiany form materialnych, a dopiero przed czasem stosunkowo nader niedawnym, przed kilku tysiącem lat, jedna z tych form, z tych utworów, ukazała się z przybytkiem nieznanego dotąd pierwiastku: *ducha żywego*, (z pierwiastkiem *twórczym*) pierwiastku, który ją odróżnił o całość, i wyniósł o całość nad wszystkie utwory poprzednie;—tedy o ileż nam droższym, o ile silniej strzeżonym i wyżej wielbionym być winien, ten tak świeży na ziemi gość, ten duch ludzki. Jak ciekawie badane, jaką czcią otaczane, wszystkie jego objawy, jego produkcye. Z formą ludzką (właśnie według teoryi tej nowój), ukończony, wypada rzecz, został zewnętrzny rozwój natury, a wszelka odtąd zjawiana na ziemi nowość szła tylko od ducha ludzkiego. Pierwiastkiem tym (duch i twórczość) połączył się bezpośrednio człowiek z pierwiastkiem (Duchem - Stwórcą) wszechrzeczy. Pierwiastkiem tym zapanował on ziemi, rządzi i włada wszelką istotą ziemską, z dniem każdym wnosi jakąś na ziemię nowość, nieznaną od dni stworzenia; w świecie swoim (ludzkości) wydał on i wydaje szczygółty takie jak: dzieje, religie, świat wynalazków i nauk, dzieła sztuki i t. p. Badanie i ocenianie każdego z tych szczegółów

(1) „Rozprawiać o powstawaniu gatunków istot jest to rzecz próżna, gatunki bowiem odwiecznie są te same” *Aug. Comte*.

(2) Wykład ten wyrozumowanego dzisiaj (w w. XIX) loicznie dojsćcia, dziwnie się nawet zbiega z podaniami lub nauką natchnień pierwszych historyków ziemi. Główne np. punkta twierdzeń *Genesis* Hebrajskiej: iż ród ludzki nie jest odwiecznym na ziemi, iż na ziemi po jej nastaniu, przybywały epokami postępnie, coraz bogatszej organizacyi utwory, i że wreszcie ludzkość cała dzisiejsza jest rozrodem z jednéj pierwotnéj pary, są to właśnie główne punkta teoryi dzisiejszój o pochodzeniu istot, zwanéj teoryą Darwina. (Co do ostatniego z tych punktów, t. j. wyjścia wszelkich pokoleń ludzkich z jednéj spólnéj pary, widzieć mianowicie dowody w najuowszém dziele Darwina: *Pochodzeniu człowieka i wybór płciowy*).

jest to więc owszem główną żywotności zadanie dla badań ludzkich. Zajmuje nas i naucza zapewne, badanie i przebywanie wśród np. starych jaskiń i skał, wśród sfery lodów i wód, pośród prochów i kości istot zaginionych, i badania te jako badania także wciąż otaczamy; lecz badania te, w razie nawet skutków najlepszych, objaśnić nam tylko mogą i objaśniają martwość i przeszłość. Zagadkami głównymi dla ludzi są: wewnątrz istoty ludzkiej i losy ludzkie, a rozwiązanie tych zagadek prędzej i bezpośrednio nam dadzą, dać nawet, zdaniem naszym, *jedynie* mogą: nie tyle badane np. przepaście i ognie wśród kształtów i treści ziemskich, ile raczej przepaście i ognie serc ludzkich i myśli ludzkich.

Poezya, ta właśnie jedna z gałęzi dzieł sztuki, jeden z głównych utworów ludzkiego ducha, według objaśnień i twierdzeń szkoły materialnej jest to tylko przygodnia produkcja wrażliwszych mózgów, a treść jej to odbicie działań przyrody na nerwy czaszki. Ten też właśnie był grunt i krytyki materialnej z wieku zeszłego, zwaną klassyczną. Skala zgodności poezji danej z jej typem t. j. naturą, której jakoby naśladowniczką tylko być miała, poczytywaną była za jedyną skalę wartości utworu. I nie wszystko też wcale było fałszem wśród spostrzeżeń i reguł krytyki tej, ujemnością i fałszem w krytyce tej było to tylko, co jest ujemnością i fałszem w ogólności całej tej (materialnej) szkoły, to jest jednostronność w poglądzie i pewna ciasność. Iż poezya a zwłaszcza słowa poezji, są dzieckiem mózgu, iż obrazy jej mogą a nawet muszą być odbiciem natury zewnętrznej, jest to istotną prawdą, wszakże nietylko w tym fakcie i nie tylko w tej treści, leży jej całość.

Mamy właśnie przed sobą zbiór natchnień śpiewaka z nad Niemnu, zbiór obszerny, dziesięć tomów utworów obejmujący, a treść ich była to istotnie produkcja jego mózgowej tkanki, działań na nią okolic i słońca nad Niemnem. Lecz oto nad tymże Niemnem, wśród tychże okolic, jakaż ilość (uważać to można) i istnieje i istniała od tyłu już czasów, i innych mózgowych tkanek i czaszek, na które działają, toż słońce, też okolice, które nawet łącznie lub jednocześnie wzrastały i żyły ze śpiewakiem utworów tych, a więc wśród tychże wrażeń zewnętrznych i wrażeń wewnętrznych, wśród myśli podobnych dziennych i uczuć dziennych, które nawet dzieliły jawnie takąż wrażliwość, miały równie upodobanie w śpiewach i chęci własnej do śpiewu (1); dlaczegoż jednak z liczby tych kroci, jednej tylko danym było odczuwać się i długo odzywać, a odzywać na taką nie inną miarę, na taką nie inną nutę? Dlaczego, wśród téjże strony, wśród tych okolic, niegdyś płynęły wieki i nie dawał się słyszeć śpiew żaden? dlaczego nie dał się

1) Przychodzi nam tu na myśl mnogość z owego czasu poezyj, w Rocznikach, Noworocznikach, Pamiętnikach i w innych ówczesnych zbiorach miejscowych, spotykanych, a które dla podpisanych pod nimi nazwisk były (w razie najlepszym) zarazem i głosem skowronka i głosem łabędzia.

słyszeć odtąd? Dlaczego (że się wyniesiemy na chwilę za punkt i mgnienia) i tam i gdzieindziej, wśród biegu dziejów i wieków, wśród kroci, milionów jednostek, jedna tylko w danym miejscu i czasie ukazuje się taka nie inna, otrzymuje przywilej śpiewu, i łącznie ze śpiewami, myślami i innymi utworami społecznymi mózgow i czaszek sprawia jakąś epokę daną, jakiś odcień w ogólnej, jakąś miejscową? oto wszystko to właśnie dlatego: iż oprócz tych ludzkich mózgow i myśli, istnieje jeszcze jak wśród wszechświata, tak w świecie ludzkim, pierwiastek trzeci, który obraca i rządzi, tak treścią mózgow jak myśli, który ich wypadki i dzieła układa do jednej harmonii, który sprawia, iż w takich nie innych kształtach ukazują się czasy przeszłości, w takich nie innych nadejdą, kiedyś przyszłości, w takie nie inne obleka się tło obecności, a który ma imię—duch.

Duch jest początkiem wszystkiego i końcem wszystkiego, tak nauczyła nas właśnie szkoła materialna dowodem nowym. Z utworów, które pośród dzieł ludzkich najbogaciej odbijają i rozwijają pierwiastek ten, jest właśnie mówimy poezya—i powtarzamy znowu: zajmować się tą gałęzią, nie jest to wcale zajmować się sferą „mrzonek”.

Kilka tych uwag uważaliśmy tu za właściwe wyrazić, wśród bowiem niejakiego dziś u nas ożywienia umysłowego w różnych kierunkach, przemagającym kierunkiem także jest materialny, a młodzi przedstawcy ruchu jeśli nie mogą się odjąć treści doby ogólnej (materialnej), nie mogą się też odjąć warunkom i osobistej (młodości), i kierunek ten, na który danym im było natrafic, uważają za najwyższy i ostateczny. Doby: materialna, duchowa, przeplatały się i zmieniały dotąd wprawdzie wśród dziejów myśli nie co lat kilka lecz kilkadziesiąt, ale żyjemy dziś w wieku pary i telegrafów.

Zamiarem tu jednak naszym nie jest tą razą wracać, w rozwinięciu zadania, w kraj pomienionych wyżej duchowych sfer różnych,—nie jest nawet pisanie odpowiedzi na owe specjalne kwestye, o których wspomnieliśmy. Celem naszym jest tylko dać ku temu niejaki materiał. Chcemy tu mianowicie z okoliczności nowego wydania prac, umieścić wspomnienie żywota i zasług owego zmarłego przed 10u laty śpiewaka z nad Niemna, który był z zawodu, zajęć, szczegółów życia wyłącznie poetą, był rzetelnym poetą, i który nawet ze wszystkich poetów znanych, najwięcej może zażył na nazwanie poety serca. Chcemy słowem podać tu tylko możliwie praktyczny zarys szczegółów życia i charakterystykę głównych prac poetycznych Ludwika Kondratowicza.

Ludwik Władysław Kondratowicz herbu Syrokomla, mianujący się zwykle w pismach, (nie dla powodów jak się zdaje heraldycznych ale krajowych i estetycznych), dwoma tylko z tych

nazwisk: Władysław Syrokomla, urodził się w Smolkowie wsi powiatu Borysowskiego w bliskości Mińska, w dniu 17 września 1823 roku (1). Czas narodzenia Ludwika Kondratowicza miał dla poezyi miejscowej coś z wróżby. W r. 1822 ukazało się pierwsze wydanie poezyi Adama Mickiewicza. Rok ten był przeto rokiem poczęcia się najświetniejszego okresu poezyi nad Niemnem, i zarazem, jak widzimy, poety, który go miał zakończyć. Młody Ludwik miał być poetą,—jakież to być winny dzieciństwo i młodość człowieka, który ma zostać poetą?—Zajmującą jest dla fizyologa pracą czynić rozbiór pierwiastków gruntu przygotowanego pod zasiew, poznawać proceder rozkładu i ożywiania się ziarna z którego ma kiedyś wypłynąć kłos; zajmującym byłoby równie winno dla psychologa poznawać proceder duszy, objawem której w żywocie jęj dalszym, ma być talent; wnioski jednak z postrzeżeń jednych i drugich nie równie łatwe. Poznany proceder wzrostu danęj rośliny, zwierzęcia, jest normą procederu dla wszystkich innych tychże klass jednostek, ale w rodzaju ludzkim tak nie jest. Są właściciele ogrodów, którzy umieją dostarczać na obstałunek takie a takie kombinacye roślin, są Towarzystwa w Anglii, które się zobowiązują w lat kilka dostarczać takich a takich (zmieniających przez mieszanie i wychowanie) odcieni rass zwierząt domowych; lecz wątpić o tém można, lub raczej można niewątpić, iż nienastąpi to nigdy, by Towarzystwo jakie podjęło się dostarczania na żądanie: niemowląt z przyszłym talentem. Właściwością osobistości ludzkiej jest duchowość a duchowość to pierwiastek niedościgniony w samym zarodzie swoim. Któż zna skalę myśli i uczuć w dziecięciu, które się rodzi? o skali tęg mogłoby chyba objaśnić samo to dziecko t. j. z niego wyrosły człowiek; lecz pamięć ludzka nie zasięga do owych chwil, i nieświadomość ta musi pozostać na zawsze nieświadomością. Kiedy mały Ludwik, przyszły poeta, włożony pierwszy raz do kołyski, odczuwał się płaczem, czyliż ten płacz był dlatego, iż nie przeczuwał, że mu będzie dano nosić wawrzyn poety? czy też właśnie dlatego iż to przeczuwał? Jak nie znaną jest treść pierwszych wzruszeń, tak też nie znane jest źródło pierwszych znanych. Materyaliści, jak to wiadomo twierdzą: iż idee wrodzone nie istną i sztydzą z podobnych przekonań, lecz oto, że powtórzymy przykład także dobrze znany, dwoje niemowląt rodzi się na świat z jednych rodziców, rośnie w otoczeniu tęgże natury, śród przewodnictwa i nauk tychże piastunek, rodziców i t. p.; i każde z nich objawia wnet

(1) Daty o pierwszych latach poety czerpiemy z własnego dziennika jego, który był zaczął pisać w r. 1845, a który lat temu kilka umieszczony był w głównych wyciągach w Gazecie Warsz. przez p. Korotyńskiego. Kilka innych artykułów p. Korotyńskiego w innych pismach i wizerunek psychologiczno-krytyczny przez p. Kraszewskiego p. n. *Władysław Syrokomla* (1863), to są dotąd jedyno drukowane a szczegółowsze źródła do życia Lud. Kondratowicza.

dalej różną skłonność i różną zdolność;—jeżeli ta zdolność, ta skłonność, nie mogą mieć nazwiska wrodzonych, jakże je nazwać? Nie dlatego iż to narodzone niemowlę spoglądało częściej w błękitne niebo, lub zaś częściej w mrok nocny, patrzy dalej okiem niebieskiem lub czarném, nie powody materialne tym więcej tworzą w nim talent. Pierwsze lata i pierwszy zawód piśmienny Kondratowicza podają nam naturalny powód do tych uwag. Kiedy mały Ludwik miał ukończonych lat 10, oddanym był do Nieświeża do szkoły, którą utrzymywali tam Ks. Dominikanie; w lat parę kiedy klasztor ten był zwinieły, przeniesionym był do szkoły powiatowej w Nowogródku, lecz po ukończeniu tu klasy 5ój, ojciec jego, który przechodził kolejno z dzierżawki na dzierżawkę, już więcej go do szkół nie oddał, ale dla niejakiéj pomocy w gospodarstwie, zatrzymał w domu. Czyżby ztąd wnieść, że aby zostać poetą i znakomitym poetą, należy niedłuzéj przebywać nauki szkolne jak przez lat 5? Wniosku tego nie uczyni zapewne, sądzimy, żaden nawet empiryk, lecz niechby zarazem dodał i empiryczny wniosek o empirycznych wnioskach. Każda treść do której skierujemy śród świata nasze pojęcie, wykazuje nam wprawdzie ostatecznie istnący w niej rozum, ale téż wykazuje dobitnie, iż jest to rozum o który się rozbija nasz rozum, t. j. iż tkwi Taki w naturze, który możemy tylko *pójmować* nie *obejmować*.

Młody Ludwik snąc niewielką pomocą ojcu był w gospodarstwie, bo jak nadmienia ściągnął nieraz wymówkę, iż idąc na dozowanie robotników szedł z książką w ręku; gdy jednak lata biegły i ukazał się z dziecka młodzian lubo niechętny do pracy ręcznej ale i chętny i zdolny do umysłowej, ojciec zamiast puszczenia go w zawód, któryby wymagał pomocy z domu, obrał taki któryby ją mógł już przynosić t. j. mającego już lat 18 oddał do pracowania w biurze Zarządu Dóbr Radziwiłłowskich w Nieświeżu (1841). Zajęcie się i pobyt w Nieświeżu były czasem pierwszego na dobitniejszą skalę obudzenia się czynności i zdolności Kondratowicza. Zajęcie się to odznaczało się mianowicie szperaniem po aktach i spisywaniem historyi m. Nieświeża; i kiedy w tym czasie jeden ze spółwydawców wydawanego wtedy w Warszawie poszytami historyczno-statystycznego obrazu (p. n. *Starożytna Polska*): Baliński, wezwał był znajomego sobie przełożonego nad biurem Nieświeżskim p. Ad. Dobrowolskiego o nadesłanie mu statystycznych danych o miasteczkach Radziwiłłowskich, uprzedzony o tém przez naczelnika swego Kondratowicz wiadomość o Nieświeżu przesłał, i ta (z przypiskiem iż jest od „archiwisty Kondratowicza”) wydrukowaną została w téj publikacji. Jeśliby kto wtedy z ludzi myślących, głębiej *rozumujących*, a na młodzieńczą zdolność Kondratowicza patrzących, był wezwany do wróżby, jakie téż mianowicie jest przeznaczenie dalszych lat jego życia? rzekłby zapewne lub iż może to być z czasem racjonalny gospodarz, lub zdatny i pracowity urzędnik, lub co najprędzej historyczny szpe-

racz, a pominąłby stronę poezyi. Już wprawdzie w czasie zajęcia się w biurze, objawiała się w młodym Kondratowiczu i zdolność do wierszowania, ale zdolność do wierszowania zbyt jest powszechną, zbyt często ułudną, a nadto z owych próbek, i owszem z tych nawet (wyznać to trzeba) i gładko i zdolnie pisanych utworów, które i długo jeszcze potem drukiem ogłaszane były, niktby jeszcze z pewnością wnieść nie mógł, iż będzie to znakomity poeta, a nawet iż to będzie poeta. Głównym źródłem poezyi Kondratowicza miało być serce, miała być rzewność, a rzewność ta zrodzić się mogła dopiero z czasem; zrodziła się jak ujrzymy, dopiero wtedy kiedy poeta oddalony od miejsc rodzinnych i pierwszych dni szczęścia uczuł tęsknotę do nich, lecz dziś śród lat pierwszej młodości, dnie te lubo nie świetnie upływały mu, snąc jednak pogodnie, bez większych trosk, i nie przedstawiało się w ten sposób tło do szerszej poezyi. Mogła ją i powinna była w tym czasie stworzyć, zwykły bodziec i powód pierwszych młodzieńczych śpiewów: miłość i burze jój; i miłość zawitała była w tym czasie istotnie do serca Kondratowicza, lecz była to miłość szczęśliwa, nie przyniosła ni trosk ni burz i zamiast poematem zakończyła się rychtém małżeństwem. I owszem z pamiętnika poety widzimy, iż nawet długo pierwój, bo od roku 12-go życia nie jedna spotykała go erotyczna słabość, a jednak faktem to jest, iż żadna z nich nie wywołała natchnień, któreby osądził za godne nie tylko przechowania, lecz nawet wzmianki. Ożenienie się Kondratowicza nastąpiło w 4ym roku pobytu jego w biurze. W dniu 16 kwietnia 1844 przed ołtarzem w kościele farnym w Nieświeżu, stanęło dwoje dzieci t. j. dziewczynka, która zakończyła zaledwo lat 16 i młody chłopiec, który zaledwo skończył rok 20 i poprzysięgli sobie wzajemną miłość. Te dwoje dzieci miało być otoczoném nie długo potem pięciorgiem nowych, a w naturalném przeczuciu tego następstwa, gdy nowy zawód wymagał własnego zakątka, Kondratowicz rzuciwszy Nieśwież i biuro, tegoż jeszcze miesiąca, przeniósł się na gospodarstwo wiejskie do *Załucza*, zamieniwszy tu na dzierżawie ojca, który objął w dzierżawę inną nie zbyt odległą Radziwiłłowską wioskę Tulonkę.

Pobyt Kondratowicza w Załuczu, do przeniesienia się do Wilna i w okolice Wilna t. j. od r. 1844 do 1853 była to pierwsza epoka jego zawodu i jego piśmiennój sławy. Mówimy epoka, zawód bowiem piśmienny Kondratowicza na trzy dobitnie oznaczone okresy podzielić się może: pierwszy do r. 1853 z przeważającym odcieniem naukowości i prozy, był tylko rzec można prologiem do jego poetycznej sławy; okres drugi od przyjazdu do Wilna lub ściślej od r. 1854 do ostatniej choroby był czasem kwitnienia téj sławy, czasem ukazania się jego najobszerniejszych utworów, poematów historycznych, gawęd i dramatów; i wreszcie okres ostatniej choroby, który był czasem poetycznych wprawdzie, i nawet najoryginalniejszą może barwą odznaczonych, półkonającą ręką

kreślonych liryk, lecz już tylko liryk. O każdym z okresów tych powiemy tu szczegółowiej po słów kilka (1).

I.

Pierwsza epoka zawodu piśmiennego Ludw. Kondratowicza stosunkowo już świetna, była jednak, jak już powiedzieliśmy właśnie, w głównych utworach swoich, treści całkiem odmienną niż następne. Była to epoka ogłaszanych przez autora przeważnie pism prozą nie wierszem, więcej przekładów niż oryginalnych, treści więcej naukowej i historycznej niż poetycznej. Żeniąc się z panną Mitraszewską, pan młody dostał był od opiekuna panny młodej (tegoż p. Dobrowolskiego, który był jego zwierzchnikiem w biurze) w podarunku egzemplarz *Historji Literatury Polskiej* Mich. Wiszniewskiego. Publikacya ta była dopiero wtedy (1844) w swym IV tomie, ale dla łaknącego poznać a miłośnika myśli krajowej młodego Ludwika był to skarb okresowy. Kondratowicz, jak to widzieliśmy, zmuszonym był wcześniej przerwać swoje ukształcenie się szkolne, chciał je przedłużyć w domu, lecz szczupłe środki nie zostawały w harmonii ze skalą jego pożądań; zabytki książek szkolnych i biblioteczeki znajomych mające po kilka popularniejszych bieżących ogłoszeń, były mu zrazu całą pomocą, nie dziw więc, że dzieło takich rozmiarów i takich szczegółów jak literatura Wiszniewskiego, stała mu się przedmiotem dokładnych studyów i podstawą prac dalszych; — z natchnienia to téj książki wydał w lat kilka sam *Dzieje Literatury Polskiej*, o których wnet powiemy, i z natchnienia jój bezwątpienia powziął zamiar przekładów poetów polsko-łacińskich, które są jedną ze stałych zasług jego zawodu, i głównie świecą gwiżdzą w tym pierwszym okresie.

Nim jednak to nastąpiło, autor naśladowując te wzory, które najobficie poznawał, oceniając zasoby umysłowe któremi rozrządzał i wypełniając wreszcie szczegóły popędu, który mu był wrodzony, oddawał się zrazu przeważnie utworom fantazyi. Pierwszém miejscem objawienia się i obudzenia jego do oryginalnych wierszów zdatności (pierwój tłumaczył tylko poezye z wypisów ruskich) był jak to widzimy z obecnego wydania, i jak już o tém

(1) Ułatwieniem tego podziału, jak zkądinąd i powodem do napisania obecnego wspomnienia, jest uskutecznione obecnie wydanie zbioru wszystkich poezyj autora, o którym mówimy. *Poezye Ludwika Kondratowicza* (Władysława Syrokomli) T. 10. 1872, Warszawa. Redaktor tego wydania, towarzysz życia i prac poety, p. Korotyński odział je w szczególnej wartości chronologiczną i bibliograficzną dokładność, pod każdym bowiem i najobszerniejszój i najdrobniejszój treści wierszem znajduje się oznaczony czas jego napisania, w odayłączach zaś miejsce jego pierwszego druku i następnych przedruków, lub téż wskazanie rękopismu z którego wzięty.

wspomnieliśmy Nieśwież, i owe biuro, w którym pracował. Pierwsze formy były to żartobliwe wierszyki zwrócone już do oryginałów kolegów, już do słynnych spólcześnie pseudo-poetów, już do innych spólnego towarzystwa osób. Odznacza je wszystkie szczerą wesołość, gładkość rymu i dowcip, chociaż zarazem zwykle i niejaka mniej zwięzłość; tu też jeszcze był napisany (ogłoszony najprzód przez Kraszewsk. i powtórzony w obecnym wydaniu) i jego wierszyk do narzeczonej (1). Pobyt w Załuczcu, mimo nowe zajęcia rodzinne, rolne, był dalszym ciągiem kształcenia przez młodego autora zdolności rymotwórczej i rozwijania fantazyi, wydobyć się jednak na zewnątrz i zbliżenie do marzonej sławy poetycznej nie następowało tak łatwo. Autor wykończył był wprawdzie znaczną ilość rytmów, powieści, powiastek, prace te jednak czyli to z powodu nieznanego jeszcze imienia ich autora, lub może dla istotnego jeszcze braku ich wykończenia i wyższych zalet, długo pozostawały, a w części i pozostały na zawsze nie ogłoszone. Pierwsze ich próbki przesłał był najprzód Kondratowicz do wydawanego w tym czasie w Wilnie *Atheneum* przez Kraszewskiego (swego następnie przyjaciela przez cały ciąg życia, i pierwszego po śmierci biografą), lecz pozostały bez druku.

(1) Wierszyk ten, który jest jeden ze znanych nam najdawniejszych Kondratowicza, nie jest zapewne żadnym arcydziełkiem, jest on nawet formy więcej konwencyonalnej jak natohnionój, zajmującym jest jednak dziś dla nas jako pierwszy erotyczny wiersz Syrokomli i jako jedyny nam znany zabytek jego romantycznego stosunku z narzeczoną. Z treści jego widzimy, iż autor miał już w swój okolicy imię poety, iż narzeczonej jego była przyjaciółką poezyi, i że wreszcie pióro autora miało już i łatwość i wdzięk. Oto jest kilka słów tego wierszyka:

Pani! *chcesz wierszy, chcesz wkrzesić ducha,*
Którego tak dawno tłumię;
Dziewica każe, poeta słucha,
I spełnia rozkaz jak umie.

Ale okrutne Pani wyrazy:
Nio uniem spełnić tak wiele.

Ja tylko wielbić jestem ochoczy,
Ja tylko uniem być czuły;
Będę uwielbiał anielskie oczy,
Choć mi spokojność zatruły...

Tą narzeczoną poety była wspomniona już panna Mitraszewska Paulina, obecnie właśnie wdowa, na rzecz której i pozostałych sierot (dwóch synów; — troje dzieci stracili młodzi małżonkowie) przedsięwzięte zostało i uskuteznione obecne wydanie.

Tegoż losu doznały nadesłane historyczne powiastki (które i dziś znane nam są tylko z napisów) Ks. Aleks. *Turski* i P. Stanisław *Leszyński*; pierwsza próbka, która wreszcie drukiem była ogłoszona, była to gawędka *Pocztylion*. W dzienniczku autora został nam ślad uszczęśliwienia, jakie uczuł po wyczytaniu pierwszej pochwały drukowanej tego wierszyka, pierwszej w życiu głośniejszej pochwały swój pracy, jakkolwiek bezimiennie ogłoszonej. W liczbie książek, gazet i anonsów otrzymanych z Wilna, znalazł autor w jednym z anonsów zalecanie przez Teofila Glücksberga wydawanego nakładem jego *Atheneum*, a w zalecaniu tém między innymi te słowa: „jest w tym Nrze *prześliczny* wierszyk *Pocztylion*”, to wyrażenie *prześliczny* zawróciło głowę poecie,—„wiem, pisze, iż było to zalecanie wydawcy dla pokupu pisma”, a jednak nie mógł się długo uspokoić,—„ukląkłem, mówi, i wzywałem Boga dziękując, uściskałem żonę, kazałem nastawić samowar (bywało to snać tylko od święta), kilka godzin płakałem z radości.” Łatwo wnieść, iż tak działająca pochwała poparła poetę do nowych obfitych utworów, lecz wnieść też łatwo że zapał ten musiał dalej znacznie być ostudzonym; przesłane bowiem w następnym 1846 roku temuż Teofilowi *Glücksbergowi* jeden po drugim dwa rękopisma: *Powieści Władysława Syrokomli* oraz *Rymy Władysława Syrokomli* (1) wiązanka 1a, tegoż losu doznały, co pierwsze próbki przesyłane do *Atheneum*. Próby poetyczne oryginalne autora: gawędki, liryki i t. p. ukazywały się tylko odtąd różnocześnie w różnych pismach zbiorowych miejscowych, jako w *Atheneum*, *Pamiętniku naukowo-literackim* Podbereskiego, *Gwiazdzie* Kijowskiej i t. p. a pierwszy ich łączny zbiór z dodaniem nie wielu nowych wyszedł dopiero w r. 1853 p. n. *Gawędy i rymy ulotne Władysława Syrokomli*. Gawęda, ten rodzaj poezyi, który autor w następnym okresie tak urozmaicił, rozszerzył i taką właściwością odznaczył, i o której charakterze tam właśnie obszerniej powiemy, była to forma, której w obecnym najczęściej i prawie wyłącznie do utworów swych poetycznych używał. Pierwsze kroki i pierwsze kształcenie się Kondratowicza były wyraźnie na wzór pierwszego wzoru w prowincyi, Mickiewicza. W próbkach nieświeżkich znajdujemy i kilka trawestacyj ze znajomych wówczas ustępów tego poety (jako ze strofek.... „Bywaj mi zdrowy”, „Z pałaców sterczących dumnie” i t. p.) a w których, jak zwykle w trawestacyach, niesilny jeszcze talent własny posiłkował się z łatwością cudzą sztuką; do pierwszych próbek w Zatućzu należały także *Sonet*y na wzór Krymskich, których jest VI i którym dał autor ogólny napis: *Wspomnienie Nieświeża* (w Nieświeżu widok ruin dawnego pałacu i obok źródło, nader łatwo mogły przywodzić na pamięć ów *Sonet* Bakeczsarsajski: „Gdzież jesteś o miło-

(1) Nazwiskiem *Syrokomli* jak przypomina wydawca obecnego zbioru, podpisał się raz pierwszy Kondratowicz w *Atheneum* z r. 1846 pod poezyą *Trzy gwiazdki*.

ścił potęgo! i chwało!" „Wyście przeszły, a źródło zostało", i skłaniać do naśladowania téj formy), następnie chciał jak się zdaje przejąć i uprawiać rodzaj ballady, mniej jednak mający jeszcze precyzji w słowie odrzucił formę symetrycznych strofek, mniej przyjaciel fantazyi odrzucił fantastyczne machiny i ztąd powstały powiastki o treści potocznej, o słowie swobodnem, trochę rozwlekłym, którym dawał ów napis Gawędek. Gawędy te jak i wszystkie w ogóle produkcye poety z tego okresu odznacza wewnątrznie pewien pokój umysłu, lubowanie się wdziękami przyrody, szlachetność popędów serca, (jak to było we wszystkich epokach) szczerą wiarą i chęć szerzenia jój praktycznych następstw czyli cnót zycia. Jakoż treścią każdéj z gawęd jest pewien morał, w ramach nie cudowności (jak to bywało w balladach, legendach) ale w przykładzie potocznego wypadku opowiadany. Tak np. treścią gawędy *Pocztylion* jest, iż bohater jój (pocztylion) spiesząc do kochanki w miasteczku nie zważał na przeraźliwy krzyk w lesie o pomoc wołający, nazajutrz zaś okazało się iż ową osobą o pomoc wołającą i zmarłą w lesie była właśnie jego kochanka. W Gawędzie *Żebrak-Fundator*: biedny żebrak odtrąconym był w jednym klasztorze, ugoszczonym w drugim, a ugoszczenie to odpłaciło się klasztorowi krociami, żebrakiem tym bowiem właściwie był bogacz, który powziąwszy zamiar część majątku zapisać klasztorowi, próbował, który godniejszy? i t. p. W układzie tych gawędek i rozwijaniu podobnych tematów przewodniczyła tu zapewne autorowi ta myśl i ten cel, które w następnym okresie, w którymś swym utworze wyraził:

Kaźda enota natchniona świętym duchem Bożym,
Łacniej się upamiętni, gdy ją w pieśń ułożym.

Szata tych wszystkich poezyj Kondratowicza w owym okresie, t. j. tak owych Gawędek jak i Liryk oryginalnych, bywał zawsze rym gładki, wiersz strojny; lecz w ogóle odznaczały jeszcze te wszystkie kompozycye: jak w treści brak wyższej fantazyi, nowości w obrazach, tak w szacie: brak nowości w wyrazie, niejaka przeciwnie zwykle rozwlekłość i t. p. Nie jedna zapewne z tych poezyj, nie jeden zwłaszcza ustęp śród każdéj mogłyby zjednać swemu autorowi stałe nazwisko poety (z liczby gawęd, np. gawęda z tego okresu z r. 1849 *O Chwale Bożej i Chwale Królewskiej*, cała nawet szata zwięzłej i poetycznej dykcji jest odznaczona), lecz mówiąc nie o wyjątkach, a w ogóle, wszystkie jeszcze poetyczne utwory z tego okresu, tak gawędy jak liryki, w porównaniu zwłaszcza do własnych autora z następných okresów, prawie utworami prozy nazwać się mogły.

Z liryk tego okresu za wyjątek najprędzej mógłby być uważany wierszyk: *O moim starym domku*. W wierszyku tym strone rzewną autora podbudziła ta myśl, iż domek jego mieszkalny, (na miejscu którego miał być stawiony nowy), wkrótce z powodu swo-

jój starości, zagrzebie się w przeszłość. Zajmującym jest dziś dla nas w wierszyku tym opisanie otoczenia tego domku, do którego w następnych poezyach poeta tyle miał posyłać westchnień i zwrotów, — apostrofa do domku z uczuciem jest wyrażona, — a w opisie szczegółów wewnątrz, zajmującym téż jest spotkane tu własne zdanie autora o jego ówczesnej poezyi. Czytamy tu między innymi:

To mój domek pochylony,
Lecz nie oddałbym go za nic.

Pod oknami mych rozwalin
Pstrzeżę ziółka i kwiatuszki,
A od kwiatów idą dróżki,
Do agrestu i do malin.
Przez ostrokół widzisz pole?
Lub jak zdala Niemen płynie?

Chatko! ściany twoje stoją,
Lecz cię wkrótce proch zagrzebie.
Jaż przyrośłem tak do ciebie,
Ty tak wrostaś w duszę moję.

Ot mój stolik, tron potęgi,
Tam szpargałów leżą roje!..

A nad stołem tam wysoko,
Buja nitka pajęczyny:
W nią wlepiąłem moje oko,
W lube dumań mych godziny;
W nią patrzałem gdyby w tęczę,
Gdy na czole ciężar czułem,
Lub gdy myśli pasmo snułem,
Wątle, słabe jak pajęcze!

A jednak, jeżeli jak sam autor powiada, myśli jego ówczesnych liryk i powiastek były po większej części *wątle* i *słabe*, jeżeli istotnie lot w nich fantazyj, rzutność spostrzeżeń, ustępowały tym przymiotom w innych spółczesnych kompozycjach sławionym i dostrzeganym (a jakimi były np. ile przypominamy, *Jordan Sowy*, *Lesław Zmorskiego* i t. p.) to jednak, uważać można, iż miały one wszystkie od najobszerniejszej do najkrótszej ten przymiot, na którym zhywało tym drugim, a mianowicie wszędzie i zawsze w szyku słów, pomysłów, obrazów, ściśłą loiczność. Każda jego całośćka wierszowa, każdy w niej przewod myśli, obrazu,

każdy wiersz wzięty oddzielnie, odznaczony jest stale tą loicznością; nawet w rodzaju poezyi tak związanym jak sonet jest tu wszędzie obok gładkości rytmu, jasność i rozwinięcie szykowne myśli do rozwinięcia wziętej. Przymiot ten (loika ścisła), którym młodzi poeci tak nieraz gardzą, snąć więc jest przymiotem koniecznym poezyi rzetelnej, lub raczej poety, którego utwory mają być nie zbiorem tylko błysków przelotnych, jakby zbłąkanych, ale wartości stałej.

Ale zaletę poetyczną Kondratowicza z tego okresu odznaczyła nadto zasługa, która jedna stałaby za zasługę pierwszego rzędu dla każdej osobistości, a tą było: przedsięwzięcie i wykonanie przekładu wszystkich prawie z dawnych dwóch wieków poezyj krajowych, polsko-łacińskich.

Ograniczoność środków w zaspakajaniu swych żądz umysłowych, niemożność np. bogacenia swego umysłu przez podróże po świecie, przez nabywanie tej nieskończonej liczby pism, które są pożądane, jeżeli są dotkliwemi dla łaknących ukształceń wyższych, to z drugiej strony tę znowu dla umysłu obdarzonego bogactwem wewnętrznym przynoszą korzyść, iż zwracają czynność jego na wewnątrz. Ta to czynność była też powodem, iż Kondratowicz lubo nie wiele mógł przedmiotowie z nauk korzystać, tego jednak co miał zręczność poznania, poznanie zgłębiał, przetrawiał; to właśnie ukształciło w nim było myślenie loiczne, ukształciło smak, to nawet w możliwym kierunku odziewało i w głębszą naukę od wielu innych;—przy pomocy bowiem jak się zdaje samych klasyków i innych przechowanych zabytków szkolnych, wyrobił był w sobie znajomość języka łacińskiego taką, z jaką nie jeden może i doktor filozofii lub prawa oswojonym dziś nie jest, znajomość bowiem i wiążanego słowa tego języka, czyli poezyi. Co do samego przedsięwzięcia przekładów, dwie były jak się zdaje (mówiąc praktycznie) pobudki, które je wydały. Z jednej strony czuł i widział to Kondratowicz, iż daném mu było być panem formy strojnej i wdzięcznej w utworach poezyi, lecz że myśli które mógł w sobie wzbudzać do grania tą formą, były jeszcze „wątle, pajęczne,” — z drugiej strony, rozpatrując się w upodobanej sobie historii literatury kraju, w jej dawnych szczegółach, cierpiał — iż tyle wyśpiewanych śród tego kraju myśli i uczuć, wyśpiewanych niegdyś dla świata językiem świata i nagradzane nawet jego wieńcami, dziś, z powodu wyjścia tego języka z powszechnego użytku, leżały martwo, i nieznanie nietylko światu, lecz i krajowi; powziął więc zamiar, którego wykonanie stawało się właśnie zaspokojeniem obu tych trosk, t. j. wykonać całkowity przekład tych wszystkich poetów tak niegdyś słynnych. Wykonanie to nie było wcale zbyt łatwe; było ono z kilku nawet względów mniej łatwe, niż dawnych poetów rzymskich; poetów rzymskich istniały liczne przedruki, tekst objaśniały liczne komentarze, istniały ich przekłady na wszystkie języki nowe, ale poeci krajowi prócz kilku elegij Janickiego i od Sarbiewskiego nie mieli dotąd tłumaczy na żaden język.

Kondratowicz nie zrażał się jednak. Zaczynając chronologicznie, wypadło mu zacząć wykonywanie przekładów od Janickiego, a wykonanie to stało się było i praktyczną zachętą do drogi dalszej. Chciał traf, iżby ów nasz pierwszy poeta, z zawodu, powołania i charakteru, miał właśnie wielkie powinowactwo z duchem tłumacza, i wykonany przekład okazał się tu wdzięczniejszym a przynajmniej więcej nawet do tekstu podobniejszym, niż nawet przekłady następne. Janicki jak Syrokomla, winien był swe pierwsze poetyczne uczucia i słowa małej poblizkiej szkółce (Lubrańskiego); jak ten był nietylko przyjacielem wiejskiego ludu, lecz sam był z ludu (1), jak ten wcześniej był zagrożonym chorobą nieuleczoną i z téj młodo miał umrzeć, nadewszystko zaś owe cechy wewnętrzne jego utworów: nie namiętność, nagłość, wysokości fantazyj loty, ale rzewność, uczucie, prostota, były to cechy stałe obu tych poetów.

Przekład poezyj Janickiego (1848), była to pierwsza książka Syrokomli oddzielnie wydana. Na książkę tę mógł z rzetelnym tryumfem spojrzeć. W piśmie tém najdawniejszy poeta polski, był jakby czarnoksięsko wskrzeszony i przed czytelnikiem dzisiejszym takim jakim był przed spółczesnymi sobie, postawiony. Janicki pisał między rokiem 1532—1542, gdyby był pisał po polsku, nie byłby naturalnie pisał językiem i słowem tłumacza, ale ten umiał właśnie przejąć i przedstawić spółczesnym swoim w języku ich, ten kolor, ten wdzięk i tę sztukę, z jakimi umiał Janicki przemawiać mową łacińską do swoich spółczesnych. W przekładzie tym, jak równie i w następnych, nie był wprawdzie niejednokrotnie tłumacz we wszystkich szczegółach literalnie wiernym, nieraz wyrażenie jakie przepuścić, nieraz coś dodać, lecz szło mu głównie o właściwą główną myśl tekstu i ducha, i te też w tłumaczeniach swoich, a mianowicie elegij Janickiego nader trafnie odtworzył. W lat kilka wydał przekład Elegij Jana Kochanowskiego, t. j. téj części tych elegij, której nie dotknął był Brodziński, a których treścią po największej części był erotyzm młodego podówczas poety, zwrócony do Paryżanki Lidii; *Rozolanie* Klonowicza, poemat opisowy poświęcony przez jój autora zaznajomieniu swych czytelników z ozdobami ziemi Czerwonoruskiej; oraz (oprócz przekładu poetów 2-go rzędu), przekład wszystkich pra-

(1) W ostatnich czasach rzuconą była wątpliwość, czyli Janicki istotnie był synem kmiotka, i czyli wyrażenie jego, na którym się głównie fundowano iż jest synem rolnika nie było allegoryczne, — wszakże stanowczym objaśnieniem i potwierdzeniem istoty, jest to miejsce w jego Elegii VII, gdzie mówi iż „ojciec pożalował był jego rąk słabych do pluga i oddał do szkoły.”

Pater, quia me nimis indulgenter habebat,
Vivere me durum voluit inter opus,
Ne tenera informi manus attereretur aratro.

wie poezyj Sarbiewskiego w 2-ach tomach. Erotyzm i opisowość w przekładzie Elegij i Roxolanii równie trafnie i wdzięcznie odbite zostały w przekładzie, jak prostota i rzewność Janickiego, tylko poważny i wzniosty w tekście charakter od Sarbiewskiego w przekładzie brzmi za miękko i strojnie, i ztąd podobniejsze są pod tym względem tekstowi przekłady niektórych z tych od przez spółczesnego poecie Samuela ze Skrzypny Twardowskiego wykonane. W niektórych jednak częściach poezyj, przekład nietylko wdzięcznie (jak to jest wszędzie), ale i trafnie odbija tekst, np. w przekładzie *Silviludiow* czyli *Zabawek leśnych* przez Sarbiewskiego na polowaniach, (w których był zmuszany brać udział) pod drzewem układanych.

Czytając dziś te przekłady, które tak wskrzeszają miejscowy świat dawny w jego wewnętrznych szczegółach dziejowych, w jego dawnych zarysach, myślach, uczuciach, stosunkach osób i t. p. w takich szczegółach słowem, jakich poznania nie mógł czytelnik nabyć ani z czytania dawnych kronik, ani akt urzędowych i t. p. łatwo wnieść, ile musiało pociech serce tłumacza, gdy widząc to, i widząc zarazem: jak czarnoksiężki piękności okresy i strofy z pod pióra jego płynęły, wnosić musiał, ilu mitych wrażeń, jakiej wdzięczności stawać się będą źródłem. Powodzenie nie odpowiedziało było jednak wcale temu oczekiwaniu. Nie mówimy już że rozkup przekładów nie w harmonii był z ich wartością (wydanie ich ile wiemy niewyczerpane jeszcze było dotąd), lecz i zdania i powitania publiczne nieodpowiedziały jej także. Zasluga tłumacza tak była niespodziana, tak świetna i zarazem tak jawna, iż recenzenci donosząc o wykonaniu, zajęci już byli tylko wyszukiwaniem i wykazywaniem jego stron ujemnych, t. j. niejakich niedokładności w niejakich szczegółach, i stało się iż zamiast spodziewanych pochwał i laurów, autor same zgorszenia i potępienia w ogłaszanych zdaniach wyczytał. Wrażenie tego skutku na umysł autora mamy przechowane w niektórych z tych zajmujących listów jego, które pisywał w tym czasie z Załucza na Wołyn do J. I. Kraszewskiego, a z których ten umieścił liczne wypisy we wzmiankowanym tu wyżej wizerunku (*Władysław Syrokomla*);—w jednym z nich pisanym po powrocie z Wilna, uzala się, iż jak zdania publiczne tak i prywatne, z którymi z powodu przekładów spotkany był w Wilnie, wcale także nie były oklaskiem,—„jedni, pisze, wieszowali mi znajomości łaciny i objawiali nadzieję, że przełożę z czasem i Horacyusza, drudzy czynili uwagę, iż cofać się wstecz nie jest to postępować,” w innym umieścił wiersz do swego korespondenta, i czyniąc w nim wyraźną alluzję do recenzentów przekładu, a obwiniając ze skromnością sam siebie, iż upodobania swoje chciał mieć głośnemi, dodał:

Dohrze ci tak poeta! nacóż było, na co?
Stroić swe lube dziecię jak gminne pajaco!

* * *

Uczucie to skarb serca, pielęgnuj go w ciszy;

lecz naturalnie, uczucie zalety i zasługi istotnej przemagało w tłumaczu, a na jednym z listów otrzymanych w tym czasie od ks. Moszyńskiego w przedmiocie tychże przekładów, znajduje się taka dopisana ręką jego, jakby z rodzajem oburzenia notatka: „nieprzywiązuję prawie żadnej wartości do moich prac oryginalnych, ale przekłady poetów i historyków polsko-łacińskich i nad grobem poczytam sobie za ważną w literaturze usługę.”

Niepowodzenie przekładów było faktem, zawsze jednak uskutecznienie tych przekładów i ich wydanie, stało się punktem zwrotnym w zawodzie i znaczeniu literackim Kondratowicza. Do tłumaczenia Janickiego (1848) dodał był autor krótkie ale dokładne w przedmowie objaśnienie o życiu i charakterze poezyi tego poety, a objaśnienie to wyrażone piórem piękną prozą, logiczną i wytrawną myślą, dało widzieć iż przybywał do literatury równie odznaczony pisarz prozy jak wiersza. Ruch piśmienny w prowincyi w tym czasie zaczął się być wzmagać, a wydania przynosiły zyski nakładcom. Przekładami dowiódł był Kondratowicz, iż znał dobrze język łaciński, przedmowa do Janickiego i inne ogłaszane urywki przekonały, że pięknie mógł pisać i prozą i posypały mu się propozycje. Zrażony do poezyi, nagłony potrzebami, Kondratowicz najchętniej przyjmował te propozycje, i rzucił się do przekładów a przekładów prozą. Jakoż od r. 1848 do 1854 oprócz wydania 1-go tomu *Gawęd*, który był wyłącznie prawie zbiorem prac dawnych, wszystko prawie co Kondratowicz ogłosił było pisane prozą, było przekładem. Na wyrzuty i uwagi przyjaciół iż zaniedbuje zdolności i talent swój własny, odpowiadał (jak np. w jednym z listów do Kraszewskiego) „*panem careo*”. Przekłady te jego pióra, ogłoszone w tym czasie, były mianowicie: Z języka francuzkiego *Poujoulat'a*, *Historja Rewolucyi Francuzkiej* tom. 2. *Coyer'a* *Historja Jana Sobieskiego* tom. 2. Z łacińskiego: *Pamiętnik Solikowskiego*, *Dzieje Maksymiljana Fredry*, *Wtargnienie na Wołoszczyznę Łasickiego*, *Opisanie wojny Iwona Góreckiego*, *Pamiętnik o wojnie Chociński* Jakóba *Sobieskiego* i *Polska, Kromera*.

W czasie tym wydał też autor lubo prozą także, ale oryginalnie: *Dzieje Literatury Polskiej* (1851—1852) od początku do końca prawie XVII wieku doprowadzone.

Wszystkie te ogłoszenia i prace były istotną zasługą i wzbogaceniem bieżącej literatury. Jak w przekładach poetów, z myślą i duchem wszystkich prawie naszych poetów po łacinie piszących, tak teraz w przekładach mową piękną i jasną przeniósł do wiadomości spółczesnych zapomniane, a tak zajmujące pamiętniki historyczne o dziejach sobie spółczesnych, kilku dawnych historyków. W układzie dziejów literatury, jakkowiec co do faktów korzystał głównie i korzystał prawie wyłącznie z *Historji Lite-*

ratury Wiszniewskiego, ale pierwszy przedstawił szczegółowy zarys tych dziejów w całości kształtniej z uczuciem i słowem pięknym, kreśląc w obrazie zarazem i dzieje piśmiennictwa i dzieje ogólnej cywilizacji kraju w epokach danych; własne tu były nadto niektóre dodatki Kondratowicza o dawnych poetach ze źródeł wileńskich, własne dodane przekłady wszystkich prawie najdawniejszych zabytków poetycznych w języku łacińskim, i wyborne wielu tych dawnych pisarzy, zwłaszcza poetów, charakterystyki. Prace te jednak wszystkie nie były, i (jak to jest z każdą ludzką) być nie mogły bez niejakich swych ułomności, a recenzenci autora, i w tym zwrocie jego zasługi, jak i w poprzednim, na te tylko ujemne strony pośpieszyli zwrócić uwagę. Autor wydawanego natenczas w Warszawie *Piśmiennictwa Polskiego* (W. A. Maciejowski), mówiąc o swych poprzednikach w tej drodze, krótko tylko i pogardliwie wyraził się o tej pracy Kondratowicza, a recenzenci historycy dostrzegłszy gdzieś omyłek w przekładzie nazwań technicznych, zamiast wdzięcznych sprostowań, ze stanowiska usterków tych, całość zasługi potępiali.

Na przestrogi te drażliwym był Syrokomla; jak pierwiej do przekładów poezyj, tak teraz zrażonym się widział i do przekładów prozą. W tym też czasie napisana oryginalna gawędka na obszerniejszą skalę (p. n. *Urodzony Jan Deboróg*) przyniosła korzyść wydawcy. Nakładcy zapotrzebowali więc i poezyj. Zrażony do przekładów i prozy, Kondratowicz zwrócił się więc znowu, i zwrócił odąd stanowczo do poezyi i to do oryginalnej poezyi. Młody autor przestawał już nadto być młodym, a z wzrostem lat, wzrosty były uczucia, wzrosła zdolność i wykształcił się smak. W tym też czasie porzuciwszy Załucze i okolice rodzinne, przeniósł się z rodziną i domem na mieszkanie pod Wilno, wziąwszy w dzierżawę małą wioseczkę *Borejkowszczyznę* o dwie mile od Wilna położoną, z folwarkiem prawie przy trakcie. Tu osiadł i na tém gospodarstwie pozostawał do śmierci, jakkolwiek osobiście najczęściej przebywał w Wilnie. Wypadki te wszystkie wywołały nowy zwrot, t. j. sprawiły okres, w zajęciach, rodzaju zasług, i rodzaju samego talentu autora; okres ten przeciągnięty prawie do śmierci, objął niedługich tylko lat dziewięć, ale nieodgadniemy liczby tych, wśród których pozostawać będą pamiątki zrodzone w tych latach. Jestto okres głównych prac poetycznych Kondratowicza, jak już wspomnieliśmy, i o tych właśnie mamy teraz rzecz szczegółowiej.

II.

Przeciąg od r. 1854 do 1861, t. j. do roku ostatniej choroby Kondratowicza, był to dla jego poetycznych utworów czas kwiatu. Przybywszy z okolic wiejskich do miasta, chciał zachować wśród miasta tenże umysłowości tron, jaki miał wśród swych wiejskich okolic. Silny w popęd a ufny w siły, nie zawahał się zaraz na

piérwszym kroku wziąć za przedmiot do śpiewu, możliwą poetyczną wzniosłość: poemat bohaterów, — i ten wyśpiewał. Poematy bohaterów, gawędy historyczne i poetyczne, dramata i t. p., ukazywały się odtąd i wypływały pokolei jeden po drugim z pod pióra autora. W utworach tych odkreśliła się pewna wybitna talentu jego właściwość.

Powiemy tu pokolei o treści główniejszych z nich, lecz najprzód o tej właściwości czyli o ogólnym charakterze poezji Kondratowicza.

Najogólniejszym podziałem poezji, jak to wiadome, jest podział na rodzaj jój *przedmiotowy*, czyli taki w utworach którego poeta zajmuje się tylko światem nie sobą (jako epepeje, powieści, dramata) i na rodzaj jój *podmiotowy* czyli *wewnętrzny*, w którym poeta zajmuje się tylko sobą, nie światem (jako elegje, pieśni i t. p.) Lecz oto w wieku naszym, w wieku podniesionych uczuć i myśli do nowój skali, ukazał się i nowy rodzaj poezji nieznanym dawnym, rodzaj mieszany t. j. taki, w którym poeta do obrazów i dziejów kreślonych z świata (dramata, powieści i t. p.) przenosi uczucia własne i myśli własne, wciela się w swych bohaterów, lub raczej pod imieniem swych bohaterów kreśli tylko charakter, uczucia, szczegóły dziejów swych własnych; takim np. poetą w Anglii był Bajron, takim u nas Mickiewicz, i do tego też właśnie rodzaju poezji (przedmiotowej z *przewagą wewnętrzną*) należy właśnie i poezja Kondratowicza, t. j. te z jego utworów, które za najwięcej oryginalne i poetyczne są miane powszechnie.

Ten zaś charakter wewnętrzny, właściwy temu poecie, jakież był?

Jeżelibyśmy poezję, chcemy rzec *lot ten fantazyi*, który jest istotą poezji, podzielić mogli na lot w górę i lot w głąb, — tedy możnaby rzec iż lot w górę w talencie poetycznym Kondratowicza pośrednim był; nie wysokość pomysłów, wysokość spekulacyi, górność metafor i t. p., były właściwością obrazów i treści jego poezji, lecz lot pośredni, — ale jeżelibyśmy znowu spojrzeli na jego lot w głąb, w siłę uczuć, skala lotu tego, lotu w głąb serca, była rzecz można bezedna. Poeta ten, jeśli ku czemu sercem powziął był miłość, była bez granic ta miłość; jeśli co obudziło w nim rzeźwość, była bez granic ta rzeźwość. Jeżelibyśmy źródła i przyczyn poezji tej szukali razem i w stronie fizyologii, która także odrzuconą być wcale nie może, bo w swoim zakresie jest prawdą, tedy możnaby zważać, iż gdy źródłem poezji autora było głównie uczucie, a uczucie tworzy wrażliwość, a wrażliwość najsilniejszą jest ta, która działa na dopiero rosnące, czyli dziecinne nerwy człowieka, tedy faktem to było: że źródła poezji Kondratowicza jako czerpiące się głównie z uczuć, były głównie wszystkie wrażenia dziecinne, wrażenia rodzinne, wrażenia z lat młodych.

W pamiętnikach poety czytamy, iż ilekroć w wieku późniejszym wszedł do kościoła w dzień Wielkanocny i posłyszał śpiew *Aleluja (Wesoły nam dziś i t. d.)*, nie mógł się wstrzymać od łez,

bo przypominało mu to czas, kiedy posłyszał poraz pierwszy tę pieśń w dzieciństwie w kościele *Jaśkowickim*. Te przeto wrażenia lat pierwszych, wrażenia lat dziecinnych i młodych, uczuciowy ten autor, raz przejąwszy w dno serca, przechowywał je, pielegnował, pieścił przez całe swe życie, i z istoty ich najcharakterystyczniej wybijała się jego poezya.

Kondratowicz który był urodzonym przyjacielem litewskich kmiotków (jedna z jego piérwszych miłości i miłości, jak to objaśnia, najściślej idealnej, była do dziewczyny wiejskiej), miał téż coś w sobie, co odznacza właściwość serca tych kmiotków. Jest coś co kmiołek litewski nad wszystko miłuje, i coś czego nad wszystko się lęka; to co nad wszystko miłuje jest to jego zagroda rodzinna, czego lęka się, to oddalonym być od niej. Kondratowicz próbował dwa razy porzucić Litwę i dwa razy wnet wracał nazad. W którymś miejscu ze wspomnień jego pielgrzymek znajdujemy wzmiankę, iż w pielgrzymce téj raz mianowicie był wzruszonym silnie, t. j. kiedy podjeżdżając pod Kraków ujrzał w jednej z okolic piaski i sosny, bo mu to przypominało Litwę; zadrgało mu także serce kiedy ujrzał szczyt Tatrów, bo przyszło mu było na myśl, iż kiedy wejdzie na ich wierzchołek, obaczy ztamtąd Litwę. To przywiązanie do rodzinnych okolic, do piérwszych wrażeń, nie opuściło właśnie autora do śmierci i było źródłem, podstawą tych wszystkich obrazów, rysów, ustępów w jego poezyi, które najwięcej z uczuciem były kreślone, i w których przeto najwięcej wybijała się właściwość jego poezyi. Utworom swym jak ujrzymy, autor nadawał rozmaite rozmiary, rozmaite przedmioty; lecz patrząc na tę właściwość o której mówimy, na miejsca które najpoetyczniejsze są w każdym (i lubo co chwila powtarzające się, zawsze w barwie swój świeże, wdzięczne i nowe), możnaby o tych przedmiotach literalnie powtórzyć to co autor w jakimś urywku już z roku 1860 p. n.: *Co umiem kreślić?* powiedział o przedmiotach swego rysunku:

Kiedy biorę ołówek (chęćka dzisiaj rzadka)
I niewiedząc co skreślić, błędne stawiam kreski,
Zawsze wyjdzie z pod ręki lub *litewska chatka*,
Lub *kościółek wioskowy*, lub *dworek litewski*.

Życie dworków, życie litewskich chatek, obrzędy w kościołkach, pejzaże okolic domowych, samo powietrze ich, autor co chwila wspominał, kreślił, idealizował i idealizowanie tych rysów i uczuć do krańców doprowadzał; w jednej np. z Gawęd w której mu w rodzaju ustępu wypadło wspomnieć bezpośrednio o swój rodzinnej wiosce z nad Niemna, tak to wyraził:

Wiem jak tam żyją w gospodzie i chacie,
Jak się zbierają na żniwa gromadne;
Tameczne łąki znam po aromacie,

Wodę tameczną, po smaku odgadnę;
 Innego ptastwa śpiew mię nie omami:
 Znam jak skowronek, jak tam słowik śpiewa;
 Poznam *po szumie* nadniemeńskie drzewa,
 I wiatr tameczny rozpoznam *plucami*.

Serce tego poety jak każdego poety t. j. duchowo wyższe, nie mogło wprawdzie bynajmniej być obcym dla wszelkich w ogóle uczuć duchowo wyższych, religijność, kraj, ludzkość, piękność natury, i t. p. były to pierwiastki składowe, pierwiastki główne całości jego uczucia; ale ta np. miłość kraju w tle jego poezyi wybiła się i odkreślała głównie jako miłość domowego zaścianka, ludzkości jak o miłość ludu wiejskiego, religii jak o miłość obrządków domowego kościołka, natury jako pejzaż litewski i t. p. W kreśleniu obrazów téj treści jeszcze raz powtarzamy, aut. wlewał najwięcej uczucia, wpuszczał najwięcej barw, do treści tych wracał wszędzie co chwila, i ustępy które mieszczą te zwroty, są to najpoetyczniejsze miejsca w jego utworach.

Takięj treści odpowiadała i właściwość szaty jego poezyi, poetyczny styl Syrokomli nie składał się z wyszukanych, górnych wyrazów, sztucznych, zawiłych składni i t. p.; tok jego słowa był jasny i prosty i właśnie w tém pełen gracyi, iż mimo tę jasność i prostotę, tkwiła w nim zawsze jednak i jakaś razem nowość (tajnia autora), przychodził rym jakby niespodzianka: próżna myśl, próżne słowo nie spotykały się w dykcji.

Te były główne rysy i główne cechy poezyi Kondratowicza wśród rozkwitnienia jęj, ten charakter objaśnia jednak tylko to co było wśród poezyi jego najwłaściwszém mu, nie jest jednak jeszcze objaśnieniem i wszelkiej treści i wszelkich nawet poetycznych zalet jego utworów. Jego nie zwykły talent, wysoki talent wszelkie umiał zadanie, wszelki pomysł wykonać, świetnie wykonać, i w każdej formie jakby dla podziwu siebie objawiać. Do takich właśnie utworów, do utworów lubo nieodkreślających głównej właściwości poety, lecz świetnych i podziw budzących, należy właśnie i ów bohatercki poemat, którym autor zaczął swą epokę nową i o którym już wspomnieliśmy, a który ma napis *Margier*.

Margier jest to poemat w którym w przedmiotowej stronie poezyi swojej, najwięcej się wzniosł Kondratowicz. Jestto najobszerniejszy z jego poematów (liczba wierszy jest około 4,000), najpoważniejszy z treści, w szczegóły najbogatszy i do którego autor osobiście zawsze największą przywiązywał wagę. Poematu tego podajemy więc bliższy zarys.

Któż był ów Margier? — Margier był to według kronik dowódca zamku litewskiego Pullen położonego na granicy Prus. Załoga tego zamku po walecznej obronie przeciw Krzyżakom zmuszona poddać się, wołała rzucić się na stos ofiarny i oddać w ręce swych bogów niż w ręce Krzyżaków.

Wypadek ten uznał autor za godny obrania za treść poematu historycznego, aby w nim wyśpiewać i uczcić *ideal ofiary*.

Ramy tak wyśpiewanego poematu są następujące :

Krzyżacy rozbici pod zamkiem Pullen i mordowani na pobożowisku. Książę *Margier* lituje się nad jednym z jeńców kiedy już miał być zrąbanym i osadza go w więzieniu na zamku. Był to młody krzyżak imieniem *Ransdorf*. *Egle* córka Margiera podzieliła upodobanie ojca i zajęła się silniej jeszcze losem więźnia. Uczucie było wzajemne, ale kapłanka boga piekiel *Marti* objawia iż bogowie dopominają się gwałtem krwi więźnia. *Ransdorf* skazany na śmierć, ale *Egle* niedba o wyrok bogów i przy pomocy barda litewskiego *Lutas* który był przyjacielem więźnia wyprowadza go lochem podziemnym. Poselstwo z Polski dopomina się w Malborgu, zwrotu ziemi Dobrzyńskiej i Kujaw, Krzyżacy wnoszą iż najlepszą odpowiedzią będzie rozszerzyć co najrychlej granice i ukazują się znowu pod zamkiem Pullen: w ich liczbie, lubo niechętnie i *Ransdorf*. *Egle* skazana na śmierć. *Ransdorf* zawiadomiony o tém przez barda *Lutas*, zdradza (niepomny przysięg) tajemne przejście, porywa i wprowadza *Egle*, ale za nim wpadł i zastęp Krzyżaków. Litwini otoczeni muszą się poddać, ale zamiast się poddać, rzucają się na stopy ofiarne. *Margier* stojąc na wieży spostrzega lecące czółna a na nim *Ransdorfa* i córkę, cisnął z łuku dwa strzały, a dwa ciała spadły z czółna do Niemna, trzeciém cięciem odjął żywot sam sobie.

Wykonanie poematu *Margier* było trochę złaczeniem w treści: *Konrada* i *Arafielas*. Z *Konrada* był tu, rzec można, wzięty świat krzyżacki, z *Arafielas* niebo litewskie. Wiersz poematu od początku do końca jest wszędzie piękny, wzniosły, i poetyczny. Obrazy kleśłone z życiem. Wspaniały i dzielny bohater poematu *Margier*, rozwiązyły Malborg, pobożny Pullen, stosunki *Ransdorfa* i *Egle*, czuły *Lutas*, zawzięta *Marti*, zapał i poświęcenie Litwinów kończące poemat, wszystko to możliwie historyczne w kreśleniu, piękne i poetyczne;—a jednak było to faktem, poemat ten nie wywołał spółczucia. Sceny tak gorące w wyrazach wydały się zimne, czytelnik nie łączył się sercem z losem rycerzy. I dlaczegoż to? Zdaniem naszym dlatego, że kreślenie i rozwijanie uczuć na tle historyczności umarłej zawsze jest zimne, jest nawet gorzej niż zimne, zdaje się bowiem jakby ironią źródeł tych uczuć. Zapał i poświęcenie dla religii której czytelnik uwielbiać niema powodów, dla krajowości której nikt nie czuje, kazał tu raczej wnosić iż zapały czerpane z podobnych źródeł nie koniecznie są z prawdy. Osobistość jednostki kraju jak jednostki ludzkiej złożoną jest z ciała i duszy, wspomnianie na pierwszą epokę swego bytu, lub raczej epokę swego przedbytu t. j. epokę przedduchową, może być dla mieszkańców kraju (i prowincyi kraju) tak chyba tylko znaczącem i wzruszającem jak dla jednostki ludzkiej wspomnienie na swe czasy z przedurodzenia. Dlatego też te poemata historyczne których treścią są czasy przedhistoryczne, takie np. jak u nas *Lilla Weneda*, *Balladyna*, *Polska w Pieśni* i t. p. mimo tysiące swych ozdób i poetycznych

zalet, mimo wkładane w nie ognie, zimne są historycznie. Jeśli poemata takie mogą niekiedy wzruszyć, podobać się silniej, pociągnąć, to chyba tylko tém, czém Konrad Wallenrod Mickiewicza, t. j. tém, co w tym poemacie historycznym nie jest historycznym.

Są wprawdzie w poemacie Margier i ustępy do których wchodziła i główna strona uczuciowości autora, jest tu np. zakochanie się Ransdorfa w powietrzu litewskim, jest historia serca Ransdorfa, która była odbiciem ówczesnej własnej autora (pierwsza miłość spokojna, orgia w Malborgu, i wreszcie *Egle*); są kreślone obrzędy chrześcijańskie w obozie Krzyżaków, ale piękność tych miejsc stawać musi właśnie w kontraście z głównym celem poematu, którym miało być spółczucie dla Pullen. W zakończeniu np. poematu (że wspomnimy tu dla objaśnienia i charakterystyki o samém zakończeniu) znajdujemy skreślony obraz komunii Krzyżaków przed ostatnią bitwą;—opis ten celem którego było ohydzenie Krzyżaków widokiem ich świętokradztwa, stał się jednak mimo woli autora jednym z najmalowniczych w poemacie. Brzmi tu on tak:

Krzyżactwo pisanemu wierne zakonowi,
 Jeden grzech wypowiada nim drugi ponowi;
 Zmiata z serca wspomnienia ominionych zbrodni,
 Aby nowym gadzinom lęgnąć się wygodniej,
 I przy blasku smolnego drzewa lub łuczywy,
 Przenajświętszy Sakrament dzieli mnich sędziwy,
 Pokłęktemu rycerstwu i knechtów czeladzi,
 „Oto Baranek Boży który grzechy gładzi.”
 Dzwonek brzęczy, ksiądz pieje, a cała gromada
 Długiemi szeregami na kolana pada,
 A blask smolnych pochodni miga uroczyście
 Między konary sosen i dębowe liście.

Bohaterka poematu *Egle*, na wieść iż nieprzyjaciele jej ojca i kraju zbliżają się pod Pullen:

Nauczona z dzieciństwa że Krzyżacy podli,
 Chciałaby ich przeklinać, a jednak się modli.
 Westchnąć ku swoim bogom daremnie się kusi,
 Krzyż jest Bogiem Ransdorfa, potężnym być musi.

Kreślone w ten sposób z mimowolną, jak mówimy, sympatyą, dla przeciwników obrazu i uczucia, o ile są piękne w sobie, o tyle przedstawiać muszą w karykaturze główny morał i rozwiązanie poematu t. j. *ideal ofiary*.

Na podobną nutę t. j. staro-historyczną i bohaterską jak Margier, zaśpiewał następnie poeta nowy lubo krótszych rozmiarów poemat p. n. *Córa Piastów*;—i tu także bohaterami Litwini, ale

nieprzyjaciołmi nie Krzyżacy ale Mazowsze. Książę Litewski Trojden wykonywa napad na zamek księcia Ziemowita, opanowuje go i ma zamiar zburzyć,—ale spotkana w komnatach zamku Hanna (*Córa Piastów*) rozbraja zwycięzcę, czyni także ofiarę z ręki, a ślub małżeński i uczty zamieniają przewidywane widoki zemsty i mordów.

Rytm w tym poemacie równie jak w *Margierze*, świetny, poetyczny, poważny; lecz autor od początku do końca był tu przedmiotowym wyłącznie, nie miał miejsc do wciśnienia głównych swych uczuć, ztąd wszędzie chłodny.

Zdaje się iż sam Kondratowicz uczuć to musiał, i czyli to widok przyjęcia tych utworów, z mniejszém niż miał prawo mieć nadzieję spótczuciem, czyli téż prosto podrost w tym czasie jego uczuć głównych, jakiś zdarzony powód zbudzenia się ich, i w ogóle podniesienie się ogólnej uczuciowości do skali wyższej, sprawiły: iż zarzucił wktótce te raz dotknięte przedmioty i ramy, dawne dzieje i bohaterstwa, a zwrócił się do kreślenia obrazów i uczuć w powiastkach mniejszych, z wizerunkami serc i dziejów bliżej mu znanych, rozmaitszych i powszechniejszych, w powiastkach, w układzie i słowie których nie kępowała go żadna umówna forma, żadne względy przymusu i którym mógł dawać ów dawny napis *gawędy*. *Gawędy* Kondratowicza z obecnej epoki, nie były to jednak *gawędy* epoki zeszléj;—gdy tamte miały głównie na celu przedmiotowość, kreślenie nauczających przygód, morałów, obecne miały raczój na celu kreślenie jeżeli nie własnych autora dziejów i uczuć, to jednak uczuć i dziejów najbliżej i najlepiej mu znanych i w kreśleniu których lubował. Do takich należą prawie te wszystkie które się ukazywały między r. 1854 i 1860. *Gawędy* te jako odbijające najtrafniej talent autora, były rozchwytywane, ukazywały się jedna po drugiej prawie nagle, i odznaczyły swoją właściwość.

Gawęda Kondratowicza z téj epoki (że określimy bliżej jój właściwość) jestto zwykle powiastka ram obszerniejszych, lecz w której obraz nie tylko nie rozwija się w ramach jakiejs artystycznej całości, ale w której niéma rzec można żadnych ram. W obrazie tym kreśli autor nie dzieje z jakąś harmonią wewnętrzną, lecz tylko jakieś dzieje serc, jakieś wypadki w tym bezładzie, tém oderwaniu jak się przedstawiają, zwykle na świecie oku kaźdego;—idzie mu tylko w obrazie o wylanie kilku swych uczuć, kreślenie kilku rysów ludzi albo pejzaży, a wartość obrazowi nadają tu tylko sama ta uczuciowość autora, prawda schwyconych rysów i talent słowa. Treść w *gawędach* jest zwykle spótczesna lub mniej dawnój historyczności. Mimo jednak różne imiona osób, różne miejsca i czasy, główny bohater kaźdej, rzec można zawsze jest jeden. Bohater ten jestto zwykle w powiastce osobistość niegłówna ale drugo i trzeciorzędna, jestto charakter słaby i wahający się, igrzysko ludzi i losu, i który walkę tę z losem

Przeszłości święta! pokój ci niech będzie,
W twym wiekuistym, twoim sennym grobie!

jestes ty dla nas mistrzynią, nie dla zgorszenia jednak, tylko
dla poprawy.

I nie poczytaj nas za świętokradce,
Nie miej za winnych synowskiej obrazu,
Jeśli się zdala przypatrując matce,
Na twém obliczu odkrywemy skazy.

Skazy te więc kreślił w gawędach i kreślił dobitnie, z uczuciem, co wszakże nie odejmowało w ogóle ani poezji, ani tła ogólniej miłości, tym kreśleniom.

Dla zaznajomienia praktyczniej z tym rodzajem gawęd, przytoczymy tu szczegółowszą treść chociaż jedną. Wybieramy gawędę czyli gawędkę *Janko Cmentarnik*, jestto powiastka której najogólniejszą treścią, jest tęsknienie do stron rodzinnych, a przeto jedno z tych uczuć które najlepiej były znane poecie.

Tęsknienie to idealność, w uczuciu tém oprócz smutku jest więc i niejaki urok dla ducha. Urok ten daje nam właśnie stwierdzenie, iż duchowość jest faktem i że owszem wyższą jest nad realność. Ów domek pokryty słomą, ów drewniany lub biędny kościółek wiejski, to nie żadna piękność realna, pobyt wśród nich to nie żadna ziemska szczęśliwość budząca zazdrość, a jednak jeżeli oddalenie, wspomnienia, rzucą na te przedmioty *idealną barwę*, przedstawiać się one nam będą i jako piękność i jako szczęśliwość.

Czuł właśnie i jeżeli się nie mylimy, tę właśnie wyrazić chciał prawdę śpiewak Janka, gdy w prologu do *tęj gawędkę mówiąc* bezpośrednio o sobie, taki wyraził zwrot do lat swych porannych:

Święta jutrzeńko mojego rana!
Tyś była chmurna i zapłakana;
Ot taka sama i w każdym względzie
Jak dzień dzisiejszy, jak jutro będzie,
A jednak nie wiem i zkąd i po co
Nad twém wspomnieniem *światła* migocą.

* * *

I patrzę czasem i gonię rzewno
Za ową barwą mglistą, niepewną,
Za temi dachy gdzie życie biegło,
Za tamtych świątyń znajomą cegłą,
Za tamtym wiatrem, łąki przekosem,
Za tamtych ludzi wzrokiem i głosem,
Z którymi nieraz żyło się ściślej,
Zamiac chleb bratni, mieniając myśli.

Treść Jana Cmentarnika jest z czasów społecznych, treść ta nie potrzebowała przeto uczonych wspomnień, sztucznej fantazyi, a jest tylko opowiedzeniem jednego z najpowszechniejszych zawodów, jednego z najpowszechniejszych ludzi wśród swego czasu.

Bohaterem powiastki jest wieśniak Janek. Janek ten w wiosce swojej był lwem podczas pracy polnej, był lwem na zebraniach ludowych, zazdrościli mu ludzie.

I świetna była dola Jankowa,
Póki się we wsi rodzinnej chowa;
Lecz inną dolę dały mu nieba.
Panu hajduka było potrzeba,
Spodobał Janka, zabrał go z chaty.

Powołanie to nie było dla Janka przykre, zaspokojony powodzeniem w wiosce, marzył chętnie o rozleglejszym, ruszył więc poświstując :

I śnić marzenia zaczął powoli,
O nowém życiu, o innej doli;
Dobrze mu było na dworze pana
Barwa złocista i posrebrzana.

* * *

Gdy się w niedzielę świetnie ustroi,
Oh! myśli sobie, gdyby tu moi,
Gdyby widzieli rodzice starzy ! . .

Ale po rozmyśle, wnet dodał :

O! gdzie tam, gdzie tam, lepiój we świecie!

* * *

Ja w stroju dworskim pomiędzy chłopcy,
W rodzinnej wiosce byłbym jak obcy;
Gdybym zawitał w takim ubiorze,
Pies-by domowy rzucił się może.

Poeta rozumiał dobrze taką treść myśli swego bohatera, nie wyrzucał mu jej i tylko litował się nad nią, przewidując następstwa zbytnej rzewności.

Biednyś ty Janku, wioskowej głuszy
Nie trzeba było wrastać do duszy.
Kiedy raz wrosła, nic nie pomogęm,
Już téj miłości nie wyciąć nożem !
Z taką tęsknotą, jak z karą Bożą
Już i do trumny ciebie położą.

Są wprawdzie dusze i najpowszechniejsze, najroztropniejsze, którym tam lepiej gdzie piękniej, gdzie wykwintniej, gdzie natura bogatsza, ale :

Są inne dusze, głupcy, warjaty,
Co wolą słomę domowej chaty;
Co wśród palm pragną sosnowych lasów,
Co wśród pomarańcz i ananasów

myślą raczej o swojej domowej ćwikle, o szczawiu.

Poradź tu z grubą duszą Litwina,
Co swój dzikości nie zapomina,
Co swe lepianki, swych borów liście
Kocha ogniście, kocha wieczyście.

I takim rzeczywiście wnet stał się Janek. Nie bawiły go dostatki i świetność a tylko tęsknił. Pan był zmuszonym jechać za granicę, pojechał z nim i Janek; były to czasy za granicą burzliwe, wojny powszechnéj: pan Janka podzielał te burze, podzielił i Janek. Przebywał on zupełnie nowe dla siebie dzieje, nowy zawód, i wywiązywał się ile umiał z tego nowego zawodu godnie.

Pod sklepieniami obcego nieba
Janek przy panu walczył jak trzeba,
Współ z drugimi wstąpił z zaszczytem
Na groźne pasmo skał pod Madrytem;
Współ z drugimi zasługą czystą
Został mianowan starym gwardzistą.
Gdy jego mężstwo rodzone chwałą,
Dostał wojenny krzyż pod Alhałą,
W ziemi Rakuzkiej gdzie Wagram pole,
Wziął chrzest żołnierski: ranę na czole.

Ale i wśród tych bólów i wśród téj chwały, jedna tylko więcej nad inne bolała go rana, o jednym myślał przedmiocie. W około niego grzmiała muzyka, hałas bębnow, tryumfy; — widział nad sobą piękne słońce i piękne niebo, towarzysze jego gonili za pięknosciami, a te za nimi, a on ?

Choć w takt rycerski puls jego grzmoce,
On o swój wiosce śni całe noce.

Pośród hałasu bębnow, hałasu trąb

Słyszcy kościelny dzwonek cichutki,
Słyszcy skowronka piosnkę pobudki,

Słyszysz jak rybka pluska się w wodzie,
Słyszysz strojenie skrzypiec w gospodzie.
Śpi na biwaku, na cudzej ziemi,
A dusza jego hula ze swemi!

Tymczasem wypadki biegly, te wojska śród których był, zwróciły się właśnie i posunęły ku jego stronie domowej; w ciągnieniu na kwaterek wypadło mu być o mil kilka od wioski rodzinnej, ale się nie odważył oddzielać, i miał przytóm nadzieję, był pewnym prędkiego końca: ten koniec nadszedł istotnie prędko, ale nie taki o jakim marzył Janek. Pan jego wrócił wprawdzie do swego zamku, ale ten zamek był milczący i pusty.

Bohatérowie z Wagram, z Madrytu,
Dzisiaj strąceni ze sławy szczytu.

* * *

A hufiec pański zbrojny i strojny
Legł w różnych stronach dalekiej wojny.
Pan tylko z Jankiem zostali sami,
Z pogadankami, ze wspomnieniami.

Pan był ranny i mocno cierpiący, i Janek nieśmiało go odstąpił przez całą chorobę.

Leżąc jak łazarz w łóżu boleści
Pan długo konał, bo lat trzydzieści;
Przez lat trzydzieści aż do ostatka,
Jako piastunka, jak własna matka
Janek pilnował łóża chorego.

Pan skonał i ludzie się zadziwili, czemu wnet po boleści zajaśniało i nowém życiem ożywiło się czoło Janka, i dnia jednego zniknął aby nie wrócić, poszedł szukać swój wioski.

I znalazł ją, wszedł do znajomej izby szynkowej, wszedł z rozkoszą; ale dziwi się że żadnej znaniej twarzy tu nie spotyka iż nikt go nie powitał.

Dobrzy wy ludzie, pyta nieśmiało,
Czy wy tutejsi, czy mi się zdało.
A waść kto taki?
Poczęły pytać wiejskie chłopaki.

Jam Janko Skiba, odpowiada, moja chata jest tam i tam; ale mu odpowiadają iż musi się mylić, bo jak zapamiętają, w chacie też żaden Skiba nigdy nie mieszkał. Jako? powiada Janko, a gdzież

jest ten i ten, gdzież przynajmniej ten wasz wietrznik i pićrwszy zawadyaka na igrzyskach, Piotr Siekićra ?

..... tu śmiech bez miary:
 „Co się wam święci żołnierzu stary,
 Toż on już pono dziesięć lat minie,
 Chodzi na szczudłach po żebraniu.“

Janko z sercem ściśnioném pożegnał wioskę t. j. jój pokolenie nowe, a poszedł do swych dawnych znajomych na cmentarz. Najął chatę przy cmentarzu, zrana zachodził do gospody, i wzięwszy kufel miodu szedł z nim na cmentarz, przepijając do dawnych znajomych; mieszkańce przywykli do dziwaka, zwali go cmentarnikiem, a dnia jednego znaleźli go nieżywego nad jednym z grobów, z kuflem w ręku.

Kontrastem napozór z treścią Janka Cmentarnika jest treść jednocześnie prawie napisanej gawędy *Stare Wrota*. Bohatorem tej powiastki jest dziedzic zaściankowej chaty *Szeliga*; był to syn Szeligi niegdyś służebnika Piotra Skargi, który pożegnał tego swego pana lubo go czcił, aby zamieszkać i obudować kawał własnej roli, a gdy ukończył budowę przybył do niego sam ks. Skarga by poświęcić domostwo, i poświęcając z kolei nowopostawione wrota rzekł: oby te wrota stały wiecznie i nie zapadły się nigdy, chyba nad zdrajcą. Innego był charakteru od ojca młody Szeliga; ojciec rzucił był służbę dla swobody, syn rzucił i swobodę i rolę dla służby przy magnatach; zachwyciło i oślepiło go życie dworskie, i ani myślił pospieszyć, aby zamknąć powieki ojcu, gdy ten go wzywał w chorobie. Nastąpiły wojny szwedzkie, Szeliga ze swym magnatem chwycił się różnych partyj, i wreszcie przystawszy stanowczo do szwedzkiej, sam przeszedł do Szwedów i wrócił tylko aby odprzedać własność; ale oto gdy wjeżdżał, owe niegdyś nowe, a dziś już stare wrota, snać zacje-pione przygodnie runęły i zgruchotały zdrajcę. Zmienność i słabość charakteru bohatera, postawienie przywiązania do wioski, do swobody wiejskiej, — za pierwszą cnotę, nadają więc w istocie zupełne podobieństwo wewnętrzne barwie obecnej powiastki. Tém podobniejszą jeszcze do Janka jest gawędka także prawie jednocześnie p. n. *Wielki Czwartek*, z której dla wskazówki podobieństw musimy tu także przytoczyć kilka rysów. Bohatorem jój jest skrzypek i śpiewak wioski *Szymon*, który podobnie jak Janek skończył na kufiu. Początkiem tej powiastki jest opisanie nabożeństwa w kościółku wiejskim w W. Czwartek; malowidła podobnych szczegółów należały zawsze do najwięcej charakterystycznych (przez swą naturalność i umiejętność pochwylenia wrażliwych szczegółów) pod piórem autora, powtórzmy więc je.

Wielki Czwartek. Lud wiejski zebrał się do kościoła, ale drzwi jeszcze zamknięte, więc gwarzył na cmentarzu. Dzwonią,

zakrystyan otwiera drzwi, lud wciska się i zajmuje konfesyonały,
i wkrótce:

Skrzyły drzwi boczne, wioskowa gromada
Serdecznym wzrokiem patrzy na balaski:
Wszedł stary pleban i na klęczki pada,
Prosić u niebios przed spowiedzią łaski.
Przypadł do świętych ołtarza podnóży,
Aż głucho echo odhuknęło w sklepie,
Wtedy pacholę co mu do mszy służy,
Dziecięcym głosem *miseratur* trzepie,
I *confiteor* z ust dziecinnych płynie,
Z uśmiechem w oczach, z błędami w łacinie.

Następuje suma:

Ksiądz ujął palmę i czyta we mszale
Co o téj męce Ś. Łukasz pisze,
A organista fałszując klawisze
Chrapliwym głosem śpiewa *Gorzkie żale*.
Naród się modli, komu głosu stało,
Ten śpiewa pieśni, wspiera organistę;
Żaki kościelne dobitnie i śmiało
Odpowiadają *Laus tibi Christe*.
Stare klekotki w ich swawolnej dłoni
Grzmotnęły razem...
Ale najmocniej grzmotnęła klekotka,
Że aż się zatrzęsł drewniany Dom Boży,
Gdy kapłan puszkę złocistą otworzy;
Gdy się odwróci do narodu środka,
Dzierżąc chleb Ducha nad usta głodnymi (1).

(1) Zbliżają podobne opisy, możemy zwrócić uwagę, jak autor w opisach, które mu były najbliższe serca, mimo podobność treści umiał zawsze w kreśleniu być rozmaitym i nowym, a ztąd poetycznym. W gawędzie np. o której dopióro mówiliśmy: *Stare wrota*, opis nabożeństwa, które odprawiał ks. Skarga w domu Szeligi, tak się zaczyna:

* * *

Kościelny dzwonnik cztery świeczki pali,
Skarga wziął ornat, i wyszła msza święta,
A Szeligowie jakby dwa chłopięta,
Starzeo i młodzian w komże się ubrali,
W ofierze Pańskiej świadomi postugi,
Jeden do mszału a do dzwonka drugi.

* * *

Stary Szeliga wnet po *agnus Dei*
Uderzył w dzwonek i świeczkę rozżarza.

* * *

Młody Szeliga ukląkł u ołtarza etc.

Tymczasem lud spowiada się, pokutuje i rozchodzi się, na-
bożeństwo się kończy, pozostają tylko w kościele młoda dziewczyna
z pobożnym wejrzeniem i starzec o siwym włosie, którzy nie
dostali rozgrzeszenia; wychodzą na cmentarz i spotykają się z so-
bą przy jednym grobie, właśnie owego Szymona który jest boha-
térém powieści, a wzajemne objaśnienia pokutujących zaznajamia-
ją czytelnika z jego historią. Szymon śpiewak wioski, bohater jej
zebrań, zakochanym był w dziewczeczce Marcie; miał ją poślubić
i tylko puścił się był na flis dla zebrania grosza: niepokieszona
Marta pędziła dnie we łzach, i tylko gdy już miała nadzieję po-
wrotu Szymona uniosła się pustém weselem i uwodziła w czasie
zabawy wiejskiej młodego lwa zebrań, parobka z poblizkiej
wioski. Szymon nieznacznie wszedłszy postrzegł to, wybiegł na-
pół przytomny, odrzucił witającą go Martę i więcéj nie wrócił; dni
przebywanych znieść nie mógł, i skorzystał nareszcie z porady
jednego starca (tego właśnie, który stał teraz nad jego grobem
bez rozgrzeszenia) aby troski kuflém zapijał.

Pijąc i piejąc o swój niedoli,
Głowę przez trunek i śpiew odurzoną
Cisnął rękami, wołał że go boli,
Ze serce drze się, że puls coraz prędszy,
Ze z piersi oddech wybucha gorętszy.
Chciano go leczyć, uciekł od lekarzy,
Mówiąc, że żaden ulgi nie przyniesie;
Ze mu najlepiej gdy błąka się w lesie,
Kiedy się w dumkach i pieśniach rozmarzy
O lepszym świecie, gdzie kmiotkowie sami,
Gdzie ani dworu ni gospody niéma,
Gdzie młode dziewczę nie igra sercami,
Przysięgnie miłość i pewnie dotrzyma.

*

*

*

I znowu bredząc widział dzikie mary
I znowu światu złorzeczył boleśnie,
Przeklinał trunek pijąc go bez miary,
Przeklinał pieśnie, układając pieśnie etc.

Poezya Syrokomli wszędzie i zawsze była równie wzrusza-
jąca, malowna, gdy była wewnętrzną t. j. gdy się łączyła blisko
z zaznaném uczuciem własném; dlatego téż w tych gawędach,
w których autor więcéj musiał być przedmiotowym czyli historycz-
nym, chłodniejszym był zawsze; i gawędy te obok szczegółów
i zalet, które innemu rymopisowi mogłyby być tytułem do naz-
wiska poety, przy innych Kondratowicza utworach wydają się
prawie prozą; a takimi np. z tego okresu są: *Nocleg Hetmański*
(bohater téj gawędy jest to Szeliga Starych wrót, tylko że zamiast
na kielichu z rozpacy, kończy na zaciągnięciu się do ówczesnego
kozactwa), *Starosta Kopanicki* gawęda, w której poeta napróżno

chciał uidealizować nazwisko, które w powszechności stało się typem wprost odmiennego uczucia jak uwielbienie; *Marcin Studziński* i t. p. Przeciwnie większym ruchem i życiem, odznaczają się te gawędy, w których autor już samym ich pomysłem łączył się z ludem t. j. te, które dorabiał do przysłów ludowych jako: *o Zabłockim i mydle, Filipie z Konopi, Panu Marku w Piekle*, losach *Matysa* (czyli Matyska, na którego „przyszła kréska”) i t. p. Na gawędy nadto jako pisane od początku do końca ze szczególnym uczuciem i werwą (oprócz *Dęboroga*, który ma wstęp precyduzny, kilka ustępów piérwszej piękności, ale główną treść trochę przeszarżaną), wskazujemy na gawędy: *Kapitan Terefere i Szerpentyna*, gawędę z czasów napoleonowskich (pięknie przełożoną i na język rosyjski przez Maję), sielankę bojową *Ulas* (opisującą ukrywającą się w lesie w r. 1812 partyę partyzancką, którą przechowywał leśnik Ulas) i wreszcie stawioną przez wielu nad wszystkie inne, mającą napis *Kęs chleba*, a która będąc pisaną przez poetę pod wpływem wzruszenia z wypowiedzenia ojcu starój dzierżawy, które mu odebrało *kęs chleba*, i dotykając bezpośrednio wspomnień miejsc rodzinnych, rzeczywiście nader obfityje w ustępy piękne, zwłaszcza w prologu.

Takimi są: ogólny charakter, treść i niektóre główne szczegóły gawęd Kondratowicza; utworów, w których, jak to już powtórzyliśmy nieraz, najwybitniej się odkreśliła właściwość jego talentu, i które sądzimy dopóty będą żyły w poezji kraju, dopóki ta poezya. Kondratowicz ściśle mówiąc nie stworzył tego rodzaju a tylko go przejął, lecz naśladowając rozwinął, a przynajmniej nową i właściwą sobie cechą odznaczył. Protoplastą Gawęd jest *Pan Tadeusz* Mickiewicza, a piérwszym twórcą rodzaju i nazwiska Wincenty Pol w swój starszylacheckiej gawędzie *Przygody Benedykta Winnickiego*. Pol więc właściwie był mistrzem a Syrokomla (co do ram wiersza) naśladowcą. Są podobieństwa ale są też i wybitne różnice w gawędach obu. W gawędach Pola jest więcej strojności w wierszu, symetrii w układzie, w gawędach Syrokomli więcej uczucia. W tle gawęd jest u obu i krajowość i religijność, ale religiność u Pola przeważniej wielbioną jest z zasad, u Syrokomli z obrzędów. Pol jest więcej śpiewakiem klasycznych i optymistą w kreśleniu ich, Syrokomla więcej śpiewakiem ludu i optymistą w jego kreśleniu; poważna muza Pola nie wie co to ironia, braterska Syrokomli nie wie co to pochlebstwo, jeden i drugi tak w gawędach jako i w ogóle swoich poezyjach nie widzą świata za krajem, myśli za sercem, jutra za dniem dzisiejszym; głównym źródłem, treścią i celem śpiewania obu, jest miłość sztuki, jest kochające serce, przeważającym jednak (jednym słowem) źródłem efektu w utworach Pola jest sfera *sztuki*, u Syrokomli — *serca*.

W utworach poety *serca* t. j. poety, źródłem i treścią natchnień którego, były nieloty fantazyi wzniosłej, głębie spekulacyjne, ale więcej uczucia potoczne, uczucia serca, czyliż nie istniał

pierwiastek, którego treść przeważnie i najwięcej podobno związana jest z sercem, a o którym nie wspominaliśmy nawet dotąd: *erotyczność*? Pierwiastek ten nie mógł nie istnieć w utworach takiego poety jak Kondratowicz, istniał jednak w sposób sobie właściwy, a w tym czasie kwitnienia jego talentu, o którym mówimy, obok poematów historycznych, gawęd, i (o których wnet niżej) dramatów, stał się też między innymi źródłem i sobą tylko natchnionego utworu, utworu, który jest jednym z obszerniejszych i jednym z arcydziełek autora, a o którym, iż zdaniem naszym, najuważliwiej był dotąd sądzonym i potępianym, musimy rzec tu także obszerniej. Utworem tym jest powiastka, lub raczej idealno-artystyczna fantazya *Stella Fornarina*.

(Dokończenie nastąpi).

AMALIA.

USTĘP Z WOJNY DOMOWEJ

W RZECZYPOSPOLITEJ ARGIENTYŃSKIEJ

p. D. José Mármol.

Przekład z oryginału hiszpańskiego.

(Dalszy ciąg.)

(CZĘŚĆ CZWARTA)

VII.

Dwa obozy.

Był to dzień 21 sierpnia. Promieniejący król firmamentu w szkarłatno-złocistym płaszczu zstępował na kraniec widnokregu obreżający szmaragdowe pól równiny, gładkie jak mórz zwierciadło w godzinie ciszy. Czoło jego nie wieńczyła owa korona z rubinów, jaką wspaniale go przystraja tropikalne niebo w chwilach pożegnania; ani w okół niego nie roztworzyły się owe pyszne światła igrzyska co płoną w strefach *Krzyżowca* (1), gdzie zalotna

(1) *Crucero*, konstellacya południowej półkuli.

przyroda bawi się wymyślaniem czarodziejskich obrazów na pograniczach jutrzeńki i zachodu. Południowe nasze słońce tylko we własną swoją piękność i majestat strojne, opuszcza pustynie *Pampy*.

Szwadrony dzikiego ptastwa ciągnęły na zachód, jakoby w pogoń za dzienną gwiazdą.

Powiew od południa falował zieloną pól powierzchnię i rozwiewał grzywy dzikich rumaków tu i owdzie pojedynczo zbłąkanych na stepie, z wzrokiem wlepionym w zachodzące słońce.

Przyroda cała przedstawiała ten widok posepny, dziki, a groźnie wspaniałą zarazem, który tak silnie oddziaływa na argentyńskiego ducha i piętno swoje wyciska na jego namiętnościach głębokich, na nieuskromionej myśli śmiałości. Przyroda właściwa wyłącznie Ameryce, przyroda matka i mistrzyni tamtejszego *gaucho*.

Stworzenie to, popędami zbliżone do człowieka w stanie natury, religią i mową wiążące się z cywilizowanym społeczeństwem, obyczajami nie styka się z nikim, tylko z sobą samym. Bo *gaucho* argentyński nie ma podobnego sobie typu w świecie całym, na przekór tym co się kusili przyrównać go jedni do Arabów, do Cyganów drudzy, a wreszcie inni do tubylców naszych pustyń.

Wychowanie to natury. Zrodzony wśród dzikich jój widowsk, wzrasta walcząc z nią i od niej się ucząc. Ogrom obszarów, powietrza zmiany, samotność, straszliwe naszego klimatu nawałnice i burze, oto są wrażenia które od dzieciństwa hartować poczynają ducha jego i nerwy, wyrabiać w nim poczucie swojego męstwa, zdolności i sił swoich. Sam, sobie oddany, odsunięty rzez można od zetknięcia z cywilizowanym światem, wiecznie z żywiołami w zapasach, w walce z potrzebami i niebezpieczeństwem, umysł jego wbija się w pychę, w miarę pokonywania twardego losu. Myśl jego posepnieje; życie skupia się wewnątrz zamiast na zewnątrz się rozlewać. Samotność i natura ujęły jego ducha w swoje niezmiennie i wieczne prawa, a swoboda i niezależność całowiecznych popędów, zamieniają się w warunki nieoddzielne od życia każdego *gaucho*.

Koń wydoskonala dzieło natury: jest to żywioł materialny dopełniający moralne działanie. Na nim wychowanemu, obszar pustyni ogranicza się i skraca gdy go rączym lotem swojego bieguna przebywa. Na grzbiecie jego wychowany *gaucho* staje się jego despotą i przyjacielem zarazem. Na nim nie lęka się on ani ludzi, ani natury, i na nim ukazuje się typem zgrabności i swobody, nie zapożyczonym ani od amerykańskiego Indyanina, ani od jeźdźca europejskiego.

Pasterskie zajęcia którym się oddaje z potrzeby i z powołania, wykończają jego wychowanie fizyczne i moralne. Przy nich staje się silnym, zręcznym i nieustraszonym; przy nich nabywa téj nieszczęsnej obojętności na widowiska krwawe, które tak ogromny wpływ na moralną stronę pół-dzikiego *gaucho* wywierają.

Pomiędzy człowiekiem a zwierzęciem istnieje pewna skłonność przyjazna, pewna zobopólna łączność, której początek leży bezza-

wodnie w krążeniu krwi. *Gaúcho* traci jedną i drugą przez nawyknięcie do wylęwu krwi, która w nim zamienia się z zatrudnienia w potrzebę, z potrzeby w uciechę.

Życie podobne i wychowanie dają mu takie wyobrażenie o swojej wyższości nad miast mieszkańcem, iż snadno i naturalnie przychodzi do najwyższej względem niego pogardy.

Mieszkaniec miasta źle jeździ na koniu, nie jest zdolnym pokierować się sam przez się po pustych stepach; jeszcze bardziej niezdolny do wystarczenia sam sobie w zaspokojeniu swoich potrzeb na bezludnej pustyni; a co najwięcej, nie potrafi ująć byka na nicchybne *lazo* jak *gaúcho*, i wzdraga się utopić nóż aż po rękęjeść w gardle bydłęcia: bez wzruszenia widzieliby nie mógł ramię swoje w potokach kipiącej krwi unurzane.

A więc nim gardzi, i gardzi także postępowaniem prawnym, dlatego że prawo pochodzi z miasta, i dlatego że *gaúcho* ma swego konia, swój nóż, swoje *lazo* i pustynie, gdzie idzie żyć bez niczyjej pomocy, tylko o własnym przemyśle, i gdzie się nie obawia aby go ktokolwiek mógł osiągnąć.

Ta to warstwa ludzi stanowi lud argentyński, właściwie mówiąc, otaczający na okół i zawsze, na kształt burzy, horyzonty miast.

Jednakże warstwa ta snadno płaci haracz dobrowolny czci i poszanowania niektórym ludziom: wybrańcem jej bywa tylko taki, który spotęguje w sobie przymioty prawdziwego *gaúcho*.

Nic pospolitszego w społeczeństwach cywilizowanych nad złych wodzów na czele licznych wojsk, nad niedołężne głowy przewodzące tysiącom stronników jednej myśli. Błąd taki nie jest możliwym u *gaúchów*. Rozkazuje *gaúchom* zawsze tylko najlepszy *gaúcho*. Na to stanowisko musi on dojść za pomocą dotykalnych dowodów, wielokrotnych i jawnych powszechnie. Zdobyć sobie musi urok potęgi na grzbiecie rumaka, z *lazo* w rękę, wśród kałuż krwi, sypaniem na słońce, znajomością każdej piędzi ziemi naszych pól, nieposłuszeństwem bezustannym względem władz cywilnych i wojskowych, urąganiem i sprzeciwianiem się wszelkiemu ulepszeniu przemysłowemu, wszelkim przybyzszom z miast na pola.

Bez tych kardynalnych warunków daremnym byłoby kusić się na opanowanie władzy nad *gaúchami*; lecz ten który je posiada, i umie niemi popisać się na dobie, ten jest ich głową, prowadzi ich, i robi z niemi co mu się podoba!

Takim jest *gaúcho*, a znaczenie jego społeczne i polityczne w naszej rewolucyi by pojąć dokładnie, wypada choć przelotnym rzutem oka przebiez koleją dziejów naszych.

Prowincye Rio de la Plata doszły w Ameryce do takiej rozciągłości i takiego znaczenia, iż Karol III, zmuszony ożęźnie odpiierać roszczenia do nich Portugalczyków, uznał za potrzebne wynieść je do godności wice-królestwa, mianując *vireyem* czyli swoim namiestnikiem generała Zaballos głównie-dowodzącego wyprawą wojenną wypływającą z Kadyxu.

Tak więc do roku 1777 widzimy już odkrytą, podbitą, zaludnioną i w wice-królestwo hiszpańskie urządzonej tę piękną krainę Ameryki południowej, którą Opatrzność wyznaczyła na poczęcie i dokonanie wielkiego dzieła w Jój niepojętych obmyślonego planach, ku powróceniu praw znieważonej ludzkości, i wspaniałych przeznaczeń téj części świata przez ambicyę, ciemnotę i zabobon tamowanych.

Niewola Ameryki zrodzona wraz z pierwszą chwilą jój odkrycia, bliźniaczką była zupełnego przerobienia się Europy; i dziwném powtórzeniem się, jeduëm z tych jakie się w dziejach ludzkości napotykają, chwila narodzin wolności amerykańskiej współczesną była niemniéj ogromnym europejskim przewrotom.

Wielkie ruchy społeczne mogą być dziełem jednego człowieka, jednego słowa; lecz ich następności ani obrachować ani powstrzymać częstokroć niepodobna całemu pokoleniu, całemu stuleciu. Tak, zwołanie Zgromadzenia Stanów we Francyi nie przewidywało bynajmniéj iż stanie się głównym powodem śmierci na szafocie rodziny Bożem prawem obwarowanej, zburzenia tronu wiekami utrwalonego, improwizowania rzeczypospolitéj, cesarstwa, powszechnego kataklizmu Europy, uświęcenia filozofii XVIII-ego wieku, i na ostatek pośrednią przyczyną wolności hiszpańskich w Ameryce, kolonii, gnębionych nieprzewyciężoną potęgą swojej metropolii, — a jednakże tak się stało.

Amerykańskie plemię miało już poczucie swojego upośledzającego stanu. Południowa natura nie zadała kłamu szczodrocie swojej w uposażeniu inteligencyi Amerykanów, a krew hiszpańska ognista i dunna w ich żyłach płynęła, wieści o wypadkach europejskich przekradały się cichaczem, lecz w końcu do nich dobiegły. Trochę książek XVIII wieku, coś z rozpraw konwencyi francuzkiéj, nieco z perodycznej republikańskiej prassy, przemycaly się handlowemi drogami przez matkę Hiszpanię dla pierwszych potrzeb jój dziatwy ułatwionemi, a ideje, te pierwsze rowolucyi wszelkich nasiona krążąc, rozjaśniały i wyrabiały pojęcia ludzi zdolnych, których istnienia nie dostrzegano w koloniach.

Samowiedza już była, przekonania wyrobione, prąd ogólny; brakło więc tylko odważenia się na krok pierwszy, i stosownej pory. Ta ostatnia przyszła od rewolucyi francuzkiéj.

Ferdynand VII wydarty z pośród swego ludu, tron hiszpański opróżniony, prowincye królestwa zaprowadzają u siebie osobne każda rządy, a raczêj rządzą się same jak można wśród burzliwych wstrząśnień; stolica wice-królestwa Buenos-Aires chce także mieć swój zarząd, i pod tym pozorem, poddaniem jój przez okoliczności, wygłasza pierwsze słowo wyjarzmicnia 25 maja 1810 roku.

Ruch ten stał się zaczynkiem rewolucyi a za nią powstanie całego ładu południowego.

Buenos-Aires objawia swoją myśl rewolucyjną, iskra elektryczna przebiega całą Amerykę, i w ślad za pierwszą błyskawicą na całym amerykańskim horyzoncie rozgrzmiewają się gromy bojów

i chwały, wśród których bije myśl i spiże, przy starciu się gwałtownym dwóch światów, dwóch idei, dwóch wieków.

Hiszpania broni każdej piędzi swego panowania, i na każdej piędzi Ameryka podtrzymuje, broni i tryumf zapewnia swojej wolności przez przebieg lat piętnastu.

W tój walce i przez cały ów przebieg czasu, Buenos-Aires jest tём czём słońce w wszechświecie; ono jest wszędzie, świeci wszędzie. Oręż jego przynosi wszędzie swobodę albo się do niej przyczynia; nie obejdzie się nigdzie bez jego idei, jego ludzi i skarbów; a wojownicza i zacięta Hiszpania spotyka wszędzie ramię, zasadę albo naśladowanie Buenos-Aires. Ziemia Rio de la Plata była jój złym duchem, którego wpływ szkodliwy snuł się w trop za jój śladem jak cień za ciałem.

Hiszpania opiera się mężnie, krew na polach bitwy nową krwią polęwa. Ale pożar rewolucyi nadto szeroko zasięgnął, nadto się jął gruntu, ażeby Hiszpania przydusić go mogła swoją ręką w XIX stuleciu, a gdy raz w Ameryce Hiszpania zwyciężoną będzie, Ameryka zostanie na wiek wieków niepodległą.

Lecz w za zbyt obfitych źródłach zaczerpnęła natchnienia myśl znajoma, ażeby przystać miała na zakreszenie dla rewolucyi granic, w politycznej niepodległości i w wolności cywilnej tylko. Sięgnęła ona dalej, i o coś więcej jeszcze walczyli jój synowie.

Potrzeba jój było przewrotu całkowicie społecznego; rewolucyi przetwarzającej społeczeństwo wychowane przez Hiszpanię, tę ziemię inkwizycyi, absolutyzmu i przesądów po trzech wiekach odziedziczonych, w polityce, prawodawstwie, w filozofii i zwyczajach. I wśród zaczerpniających amerykańskie niebo dymów bojowych, Buenos-Aires szło krokiem na nieszczęście nazbyt szybkim, w ślad za tą myślą zuchwale śmiałą lecz szczytną.

Ramiona jego wyciągnęły się po całym lądzie, a głowa jednocześnie wypracowywa i zakreśla warunki nowego bytu.

Wolnymi być politycznie a kolonistami w tradycjach społecznych, prawodawczych i filozoficznych, byłoby to potworną anomalią.

Zerwać ze starymi przesądami hiszpańskimi w polityce, handlu, literaturze a nawet w obyczajach, chociażby takowe lud sam sobie utworzył, było to wdrożeniem rewolucyi w społeczny prąd reform społecznych, postawieniem się na wysokości pojęć epoki, wreszcie działaniem tego o co się sama Hiszpania pokusić miała w późniejszym o wiele czasie, bo dopiero pod panowaniem Izabelli II.

Ci co utrzymują iż nam potrzeba „trzymać się wiernie dziada i pradziada,” ażeby przez tę solidarność ojczystych tradycyi iść ręką w rękę z europejską cywilizacją, nie pomyśleli nad tём, iż to jest jedyny sposób aby nie być nigdy czёмś więcej nad to czём był dziad i pradziad za czasów Karola III i jego poprzednika. Najwierniejszy ze zbirów inkwizycyi nie byłby innego zdania, i nazwałby herezyą podniesienie się nad pradziada. Szczęściem że rewo-

lucya nie upodobała sobie w takim odwzorowaniu. Przebiegając bardzo pobieżnie ten szeroki wypadków zakres, przejrzymy jasno i wyraziście jakie wydało następności powtórzenie się u nas pradziada i prawnuka, a jakie wynikły z zerwania z temi zabójczymi tradycjami.

Wśród szczęku broni, Buenos-Aires, ta stolica gdzie się zbierały kontyngensy idei które jój przesyłały wszystkie prowincje Unii, zarówno jak jój słaby do walki każda swoich lanc kontyngens, postępuje wielkim krokiem po drodze rewolucyi społecznej, i wszystkie kolonialne tradycje padają obalone ręką rzeczypospolitój. Wielkie zasady są postawione i jednocześnie w zastosowanie wchodzi. Rzeczpospolita, rząd reprezentacyjny, ministerjum odpowiedzialne, system wyborczy, swoboda sumienia myśli i handlu, równość demokratyczna, niepogwałcalność praw: wszystko jedném słowem, co tylko europejska rewolucya miała najszczytniejszego i najmądrzej społecznego, to dla siebie uświęca rewolucya nad la Platą. I w świetle tego dnia promiennego świecą nad jój falami, wyłoniły się z rewolucyi te głowy iskrami geniusza tryskające, rzeczypospolitój zaszczyt i chwała, niemniej wielkie i świetne jak sława jój orężem na polach walki zdobyta.

Wszakże dwa wielkie pierwiastki oporu musiały zająć w drogę reformie społecznej. I w rzeczy samj od pierwszych dni się one pojawiły zamaskowane pod różnemi kształtami.

Z jednéj strony, system rządu republikańskiego zaimprovizowany przez rewolucję, zetrzeć się musiał z nałogami monarchicznymi u społeczeństwa zrodzonego i wychowanego pod rządem królewskim samowładnym.

Z drugiéj strony, nowości postępu cywilizacyjnego obudziły musiały drażliwość kolonialnego ludu, zacofanego, ciemnego, przywiązanego do odwiecznych tradycyj.

A więc ta reakcja szczerza w prostocie ducha, która nieuchronnie spotyka wielkie przeobrażenia społeczne, dokonywane na ludach do nich nieprzysposobionych, musiała wybuchnąć, i w istocie wybuchła w rzeczypospolitój.

Obok tego, rewolucya wytworzyła we wszystkich klassach społeczeństwa dążności, interesa, wyraz ich myśli, i ich przedstawicieli. Reakcja objawiła się więc najprzód w cząstkowych buntach, następnie w odrębnych roszczeniach prowincyi, a na ostatek przyszło wystąpienie z własnego popędu i szczerze ludu pół-dzikiego z lasów i pól, przywracającego absolutyzm i ciemność swoich *dziadów* i *pradziadów*, przeciw oświeconej miejskiej ludności, przedstawiającej pierwiastek postępu.

Ibarra, Lopez, Quiroga po jednéj stronie, po drugiej Rivadaria i Kongressowcy, byli tylko przegrywkami téj walki potajemnej lecz olbrzymiej, gdzie sobie wzajem wydzierają zwycięztwo zasady wprost sobie przeciwne, jakimi są: tradycja kolonialna i rewolucyjny postęp.

Dzieje przewrotów społecznych na świecie są najdoskonalszym traktatem logiki: z takich przyczyn wynikają takie skutki. Otóż tutaj, zburzenie zasady monarchicznej, zaprowadzenie odrazu rzezypospolitój tam gdzie zbywało na oświacie i cnotach dla jój zachowania, nagle przeszczepienie idei, i zwyczajów postępowych na ludzie nawykłym do wygodnej bezwładności na łonie ciemnoty, była to utopia wspaniała lecz w wykonaniu niemożliwa. Barbarzyństwo ją póty deptać będzie pod stopami, dopóki nauka dokładniejsza w szkole właśnie krajowych nieszczęść, nie stworzy nowego pokolenia, które ją podźwignie, i do życia wprowadzi. Tak się więc stać musiało — i niestety, tak się stało!

W epoce konstytuowania się rzezypospolitój, przez czas kiedy pomiędzy ideami i ludźmi toczyły się spory o interesa miejscowe i przechodnie, i pod zastoną ztąd wypływających wojen domowych, reakcyja społeczna wrzała jak straszliwa burza na horyzontach la Platy. Aż oto w pewnej chwili, kiedy jedne smutne sceny tak dramatycznej historii naszej zeszyły z widowni, ukazały się na opróżnionej wszystkie naraz reakcyjne żywioły rewolucyj przedziwnie uosobione w jednym człowieku: przytrafia się to zawsze w wielkich społecznych ruchach, sprzyjających ludzkości lub jój wrogich, że Bóg lub szatan, z wszystkich pojęć i popędów ulepia jedną masę w ludzkim kształcie, której przeznaczeniem jest wyobrażać dobro lub zło, stosownie do tego z jakich pierwiastków istota jój utworzona.

Człowiekiem tym był Rozas.

Rozas najlepszy *gaucho* w całym znaczeniu wyrazu, bo do dzikiego wychowania i dzikich skłonności łączył w sobie wszelkie cywilizacyi zepsucia: umiał mówić, kłamać i tumanić.

Reakcyja wybuchła i w nim się uosobiła: on więc musi wiernym jój pozostać, gdyż w dniu w którymby ją zdradził, kapłani obalą i zburzą bożyszcze. On zatem wierny swemu pochodzeniu i przyjętemu posłannictwu, nada *gauchowi*, jego ideom i obyczajom, przewagę nad społeczeństwem la Platy, skoro tylko zapewnionym będzie tryumf panowania reakcyi.

Z nienacka pochwycone Buenos-Aires znosić musiało ten straszny nacisk siły. Już tu nie był spór unitaryuszów i federalistów: to cywilizacya i barbarzyństwo stanęły z sobą w zapasy o zapanowaniu nadal. Wszakże z porażką unitaryuszów cywilizacya została czasowo pokonana, gdyż i samo stronnictwo federalne, jako zasada polityczna, upadło przez tryumf herszta *gauchów*, który pod sztandarem federacyi obalił zarazem unię i federacyę. A jednak radowało się stronnictwo federalne mniemając się zwyciężkiem. Lecz dziejom potomnych przekazało ono prawo straszego a sprawiedliwego oskarżenia siebie, iż zgubę swoich politycznych przeciwników kupić chcieli sobie, iż zgubę swoich politycznych kraju, wydając go w ręce zbrojcy, który następnie zdeptać miał i te prawa jakich w systemie federalnym szukano. Gdyż *falszem* jest jakoby federaliści byli w błędzie; *falszem* iżby nie znali Roza-

sa. Znany jest Rozas od 15-go roku swego życia. W tym już wieku był to syn wyrodny, zbiegł z rodzicielskiego dachu w rok później, a dalej *gaucho*, niewdzięcznik przeciw swoim dobroczyńcom, następnie i zawsze bandyta, buntownik przeciw wszelkim krajowym władzom.

Takim był ów wódz, który w sierpniu 1840 roku zamykał się w szańcach *Santos Lugares*, z powodu iż ku stolicy postępowała garstka rycerzy wolności pod przewodnictwem Lavalla.

Przenieśmy wzrok nasz na błonia *Luchan*, a tam ujrzymy tę walecznych krucyatę, przy niepewnym świetle wieczornego zmierzchu: istne wyobrażenie niepewności losów na które się puszczały.

Wszyscy na koniach, i mały hufiec na dwa rozdzielony oddziały, które się czasowo rozłączyć mają: jeden szedł na południe, drugi w *Luchan* pozostawał.

Generał Lavalle dowodzi pierwszym. Zanim na stolicę uderzy chce się wprzód naoznie przekonać o duchu południowej strony prowincyi. Na północy tylko nie wiele znacząca garstka mieszkańców przyłączyła się do jego szeregów; milicya i liniowe wojsko pozostały wierne tyranowi.

Dwa oddziały rozstawały się z sobą wśród okrzyków na cześć wolności ojczyzny, tej ziemi tak drogiej dla serc jej wiernych synów, a którą wkrótce zlać mieli szlachetną krwią swoją. Szwadrony pierwszego oddziału były już w pochodzie, i zdala jeszcze pozdrowienia szpadami i włóczniami stały.

Wówczas szwadron *majowy*, do drugiego należący oddziału, zaśpiewał hymn narodowy: pieśń to zwycięstwa naszych dawnych legionów, której wyrazy wraz z ostatniem technieniem wypadały z piersi przeszytych żelazem hiszpańskich włóczni.

I dopóki za nocną pomrokę nie zniknęły z widnokregu cienie Lavalla i jego mężnych wojaków, póty żołnierze drugiego oddziału pozostali na siodłach.

A potem legioniści wolności rozpalili ogniska dla rozgrzania ciał zdębtwiałych od chłodu tej ostrzej zimy; bo ciepło dla duszy pełnej zapasu czerpali z wiary, z nadziei i z ojczystych świętych wspomnień.

I noc rozpostarła swój gwiazdzisty baldachim nad tém obozowiskiem, gdzie każde serce czyste i godne opiekuńczego Opatrzności oka. I gwiazdy jedne wyjaśniłby nam mogły ile tkliwych westchnień ku nim wleciało z piersi tych młodocianych mężów, głosem wolności wydartych macierzyńskim objęciem, słodkiemu spojrzeniu wybranej swojego serca, w wieku gdzie życie człowieka otwiera mu raje najczystszych duszy uczuć.

Sprzeczność uderzająca i straszna. O mil dwanaście od tego miejsca gdzie wolność nieskażoną prawicą tuli skroń swoich synów do snów cichych i niewinnych, zastęp niewolników usypia śniąc o zbrodni pod opieką żelaznej dłoni tyraństwa!

Sześć tysięcy żołdaków rozciągniętych wpośród okopów *Santos-Lagares* czekają na zawołanie mordercy swojego kraju,

by oręż swój zwrócił na tych właśnie którzy wyzwolenie im nieśli. Zdraycy wspólnej matki, zdolnymi byli zarówno zdradzić człowieka któremu prawa swoje byli zaprzędawali: a więc wśród nocnej ciszy, obozowisko potrójne patrolowały drużyny, zmieniając się co dwie godzin. Jedne wartowały na zewnątrz okopów, drugie w około obóz obchodziły, a trzecia snuła się pomiędzy legowiskami żołnierzy. Czyliż pomiędzy niemi stał namiot wodza? Azaliż proporzec lub włócznie jego żelazo dawało go poznać wśród innych? Nie, Rozas nie miał namiotu. W dzień pisywał pod szopą, a w nocy nikt nie znał jego stałego miejsca spoczynku. Udawał że sobie obierał pewne legowisko na przepędzenie nocy, a w pół godziny żołnierz trzymający wartę stał przy opróżnionem miejscu. Może on czuwał nad wszystkiemi? Nie: on uciekał, krył się, zmieniał miejsca i straż, ażeby nikt nie wiedział gdzie się wódz znajduje.

VIII.

Dworskie przyjęcia.

Ponieważ czytelnik nasz rozpatrzył się już nieco w położeniu politycznym i wojennym, choć tylko tak ogólnikowo przedstawionem, wypada mu zbliżyć się jeszcze do niektórych postaci charakteryzujących tę epokę; tém więcéj, iż osoby te wpłynąć mają na obrót wypadków stanowczych w losach każdego z bohaterów naszej opowieści.

Na wielkim obrazie argentyńskiej dyktatury, Manuela Rozas staje na pierwszym planie po swoim ojcu. Aczkolwiek dotychczas nie uwydatniła się ona w ten sposób co później, lecz już obecnie stawała się pierwszą ofiarą tyрана, i najskuteczniejszém narzędziem mimo swéj wiedzy i woli, jego szatańskich planów.

W kwiecie wieku, nie miała bowiem jak lat dwadzieścia dwa, wysoka, szczupła, wdzięcznych i i delikatnych kształtów, fizyognomię miała amerykańską: blada, z siną obwódką w około oczu, żrenica jasno szara, ruchliwa, spojrzenie pojętne.

Z charakteru była wesoła, łatwą i rozmowną. Lecz od niejakiego czasu dawało się w niej dostrzegać niekiedy jakiś smutek, cierpienie, nieukontentowanie, nieraz żywe jéj oko przymykała rozdrażniona powieka. Manuela płakała, lecz płakała w skrytości, jak wszyscy co prawdziwie cierpią.

Wykształcenie jéj było zaniedbaném, lecz wynagradzała ten brak wrodzona pojętność. Matka jéj, kobiéta bystra i do intryg zdolna, lecz gminna, nie starała się bynajmniej o dobre wychowanie córki. Osiérocona od lat dwóch Manuela nie miała nikogo coby się o nią mógł troszczyć oprócz ojca, gdyż brat jéj był nieokrzesanym łotrem z najgorszemi skłonnościami, a innym pokrewnym niechodziło o nią, lecz o stanowisko Rozasa.

Dwukrotnie już o serce jój obły się czułe dźwięki serenady miłosnej pod zamkniętém jój oknem, i dwukrotnie ojcowska ręka rygowała okiennice: młoda dziewica marzenia życia niewieścigo miała tylko w zwierciedle wyobraźni oglądać. Ojciec zawyrokował wieczny celibat dla tego dziecka wtajemniczonego we wszystkie jego nędze, wszystkie intrygi i zbrodnie: bo ważne te tajemnice wydałyby wraz z sercem dziewczycy.

Prócz tego miał on w niej narzędzie do zdobycia sobie popularności. Przez jój pośrednictwo schlebiał miłości własnej gminu wyniesionego nagle na znakomite stanowisko przyjaznych stosunków z naczelnikiem federacyi. Z jój pomocą myśl jego przechodziła do najpośledniejszych jego służalców. Wreszcie przez nią wiedział każde słowo, prawie gest każdy wszystkich co się zbliżali by za usłużność występna lub zbrodniczą kupić sobie los, łaskę, jakiś tytuł do znaczenia w federacyi.

Córka mu nadto była aniołem stróżem: czatowała nieledwie na ruch powieki każdego co się do ojca jój zbliżał, strzegła domu, bramy, nawet jadła.

Przypatrzmy się tój biédnej kobiécie w chwilach, kiedy w jój salonie znajduje się tłumne zebranie, a ona jest monarchinią tego osobliwszego dworu.

Lecz wzrok nasz nie może rozróżnić ich twarzy: konieczném jest przystąpić do nich blisko, gdyż gęsty obłok tytuniowego dymu przyćmiewa światło lamp i świeć.

Jest to godzina zwykłych odwiedzin głównych członków *towarzystwa ludowego*. Palą cygara, klną, bluźnią, i brukają kobiérce błotem z obuwia i wodą ociekającą ze zinokłych ponszów.

To najwyrazistsza demokracja federacyi. Salomon, Merlo, Cuitinio, i inni im podobni rozmawiają z deputowanemi, z generałami, z których już także niektórych poznaliśmy choć z daleka. Tymczasem małżonki ich najzagorzalsze federalistki otaczają Manuełą i Donię Escurra. Każda z nich jest kumą tego, chrestniaszką tamtego, siostrzenicą owego, słowem spowinowacone na różne sposoby i stopnie z temi potężnemi filarami, na których spoczywa święta i niespokalana federacyi sprawa.

Ściany tego salonu mają uszy i usta, dla powtórzenia Restauratorowi praw, każdego wyrzeczonego tam słowa. Każde grono po swojemu okręśla położenie polityczne, lecz nikt się nie waży różnić w zdaniu co do pewności tryumfu ojca federacyi nad jego plugawemi nieprzyjaciółmi. Według jednych głowa Lavalla wystawioną będzie w klatce na placu *Victoria*; drudzy mniemali że wojsko wzięte w niewolę powinno pójść pod nóż *towarzystwa ludowego* na placu *Retiro*.

I kobiety także dopominały się o swoją cząstkę. Wszystkie unitaryuszki, matki, żony, córki, siostry zdrajców prowadzonych przez Lavalla powinny być im oddane, a one obciąższy im warkocze, obróćą do swoich posług.

Manuela odwracała oczy z kolei od każdego grona słysząc ten konkurs zbrodni, na którym ubiegano się o lepszą w wygłoszeniu pomysł najohydniejszego. Nie było to wszakże dla niej nic nadzwyczajnego, bo powtarzanie się podobnych scen odjęło im pierwotną moc wzbudzania podziwu. Lecz w młodem jęj sercu niemile dźwięczał ten chór wieczny przekleństw i złorzeczeń. Przytęm tak częste obcowanie z tą gawiedzią dało jęj poznać tę jeszcze smutną prawdę, iż nawet szlachetnej psa wierności dla swego ojca po nich spodzięwać się nie mogła; że byli to tylko spodleni niewolnicy, a uczucia z których się przed nią chępnili, wypływały jedynie z ich niecných skłonności i z przekonañ ujarzmiionych strachem i wolą pana.

Ale za to inne kobiety radowały się za nią. Jedna podziwiała wymowę małżonka, druga rumieniąc się za swojego że nie tyle krzyczał co inni, pocieszała się tęż że inni słyszeli ją rozprawiającą za niego. Inna pyszniła się możliwością powtórzenia Manueli słów swego męża za głuszoney wrzawą.

Mercedes Rozas obecna na tęp zebraniu, rada była także, bo spojrzenia mężczyzn zwracały się jednocześnie do Manueli i do niej przy obietnicach wyróżnienia unitaryuszów; były to bowiem u krasomówców tego zgromadzenia słodkie słówka dla przymilenia się pięknym damom.

A zaś Donia Marya Józefa Escurra cieszyła się ze wszystkich i za wszystkie.

Właśnie Larrazabal ogłosił że oczekuje tylko na upoważnienie Jego Ekscellencyi, ażeby najpięrszy ze wszystkich sztylet swój w krwi unitaryuszów umoczyć.

— Otóż to mi mowa dobrego federalisty, — rzekła głośno Donia Escurra. Dzięki tolerancyi Manuela powymykali się z kraju unitaryusze, i teraz nachodzą z Lavallem.

— Przychodzą tu po swój grób, — odrzekł jeden z braci federalnych—i powinuiśmy być radzi że powychodzili.

— Nie, mój panie, najpewniejsze to co w ręku, i lepiej było pozabijać ich nim wyszli.

— Brawo! — wrzasnął Salomon.

— Tak, brawo, — mówiła dalej stara—a jeszcze nie tyle winna łaskawość Manuela, jak ci co otrzymawszy polecenie ujęcia kogo z unitaryuszów zagawronią się i dadzą im umknąć.

Oczki jęj maleńkie, zaczerwienione i przenikliwe utkwily w komendancie Cuitinio, który o kilka kroków od niej wypuszczał z ust wielki kłęb dymu.

— I niedosyć że dadzą umknąć—kończyła—ale kiedy wierni federacyi śludzy, dadzą im znać gdzie są ukryci, idą tam, i samymże unitaryuszom pozwolą się zdurzyć jak smarkacze.

Cuitinio wykręcił się plecami.

— Komendant odchodzi?

— Nie, ale ja wiem co robię.

— Nie zawsze.

— Zawsze, seniora — tak. Umiem zarzynać unitaryuszów i dałem dowody; bo wiem że są gorsi od psów i wtędym tylko kontent kiedy widzę ich krew. Ale pani przymawiasz.

— Rada jestem żeś mię zrozumiał.

— Ja wiem co robię.

— O! komendant Cuitinio to przecież nasza najlepsza szpada, — wtrącił deputowany Garrigos.

— To nie czas na szpady — zauważyła Donia Józefa — ale na sztylety. Pod sztyletami powinni ginąć ci dzicy zdrajcy Boga i federacyi.

— Brawo! sztylet! — krzyknął Salomon.

— Tak, sztylet! śmierć pod sztyletami, — ryknął wspaniały chór federacyi.

— Sztyletem ale po gardle — dodała Marya Józefa z błyskającym okiem.

— I nóż musi być wyszczerbiony, żeby ich zabolalo, — dodał Gaetau, człowiek miedzianej cery i niewypowiedzianie odrażającej fizyognomii.

— Tego tylko żałuję — odezwał się inny — że straż nocna ma strzelby, a przez to Marinio każe zawsze tylko rozstrzelać tych, których przyprowadzą do jego koszar.

— Ba, taki to skrypulat z tego Marinio! Dlategożto miał tyle względności dla wdówki na Barakach.

— Dobrze mówi Donia Ezcurra: sztylet powinien być bronią federacyi, i stosownie do tego wydam rozkazy, — rzekł Marinio chcąc przypochlębić się tej harpii żeby dalej nie mówiła.

— Niech-no Restaurator sprawi się z temi co nadchodzą, a my już tu damy rady tym co są w mieście, — mówił deputowany Garrigos.

— Skoro pierwszy rozkaz przyjdzie od Restauratora, najpierwszą głowę którą utnę przyniosę pani, Donia Manuelita.

Manuela wzdrygnęła się i odwróciła oczy w inną stronę.

— Unitaryusze są zanadto szkaradni ażeby Manuelita chciała na nich patrzeć — wtrącił inny chcąc trafić w myśl córki swojego ojca.

— Prawda — odrzekła Marya Józefa — ale zarznięci wszyscy są ładni chłopcy.

— Ha, skoro panience nie do gustu takie rzeczy, to jój nie przyniosę obiecane go prezentu; ale my mężczyźni popatrzymy na ich głowy, czy one piękne czy brzydkie, bośmy wszyscy powinni umyć ręce w krwi tych plugawych zdrajców.

— Niech mnie tylko Donia Manuelita poszle gdzie zechce, a ja jój przyniosę różaniec z uszu dzikich unitaryuszów, — wołał Gaetau.

Chór wrzaskliwy pochwał i groźb zagłuszył pojedyncze głosy.

Manuela wodziła oczami po wszystkich kobietach, i szukała jakiegoś niewieściego współczucia, jednej duszy coby ją rozumiała, jednego skinienia któreby ją pokrzepiło; ale nigdzie... nikogo... nic

U mężczyzn i u kobiet same tylko dzikie oblicza, pochmurne, złowrogie. Na jednej nienawiść, na drugiej występki, na tej zbydlęcenie, na tamtej wyuzdanie i cynizm: oto co otaczało tę młodą kobietę, której sercu natura nie poskąpiła może uczuć tkliwych i delikatnych; lecz w piekielnej szkole gdzie ją ojciec sam umieścił, oniemiały zwolna czulsze tego serca struny, pod dotknięciem wrażeń tak twardych i gwałtownych.

— Tak jest, wszyscy powinniśmy się przyłożyć do dania wielkiego przykładu, ażeby federacya została ugruntowaną na niewzruszonych dyamentu posadach! — wykrzyknął deputowany Garcia z napuszością i porywem, jakie zwykle mowy jego cechowały. To będzie wielki dzień ojczyzny! dzień w którym się ugasi gorączka wolności co nas trawi. Lecz gorączka ta święta nie może być ugaszona, tylko we krwi niewolników unii!

— Kiedy mowa o gorączce— odezwał się na boku Marinio do generała Soler korzystając z zasłuchania się gości w dalszej perorze; — czy wiesz generale, że nasz Gaete umiera?

— Ho, ho! Słyszałem tylko że słaby.

— Śmiertelnie. Ma okropne zapalenie mózgu.

— Od jak dawna?

— Od pięciu czy sześciu dni. W gorączce prawi tylko o magnetyzmie, o panu Arana, o jakichś dwóch których nie chce nazwać, i mnóstwo niedorzeczności.

— A o gubernatorze nic nie mówi?

— Nie.

— To niechże sobie umiera kiedy chce.

— Jednakże to był dobry federalista.

— A jeszcze lepszy pijak, i może ztąd jego choroba. Zresztą w każdym razie gdyby Lavalla zwyciężył, dyabli i tak porwaliby co prędzej mnicha.

— I z nim wielu innych.

— Pana i mnie naprzykład?

— Być może.

— Wszystko być może, a co najgorsze, to, że nie możemy być pewni że nie zwycięży: Lavalla jest tegi zuch.

— Ależ generale, my mamy siły trzy razy liczniejsze.

— Ja opanowałem wzgórze *Victoria* z siłą trzy razy mniejszą od wojska broniącego z góry.

— Ale tamto byli Hiszpanie.....

— Właśnie, tamto byli Hiszpanie; to znaczy, panie Marinio, że umieli się bić i umierać walcząc.

— Nasi żołnierze nie mniej są waleczni.

— Zgoda. Zatem mogą być zwyciężeni, jak niemi byli Hiszpanie, pomimo swojej waleczności.

— Ale sprawiedliwość jest po naszej stronie.

— Na polu bitwy niema sprawiedliwości, panie Marinio.

— Mamy zapał.

— I oni go mają także.

- Tym sposobem.
- Tym sposobem, bić się będą, a dyabeł wie kto zwycięży.
- Jesteśmy jednego z sobą zdania generale.
- Wiem o tém.
- Chciałem tylko wiedzieć opinię pańską w tym względzie.
- To o tém wiem.
- Nie dziwi mię ta przenikliwość generała: żyłeś wiele w rewolucyi.
- W niej się wychowałem.
- Jednakże nie mogło się być stać w niej nic okropniejszego nad to, co nas federalistów spotkałoby gdyby Lavalle zwyciężył.
- Byłby to interes skończony dla wszystkich a zwłaszcza dla pana i dla mnie.
- Czemuż to szczególnie dla nas?
- Bo mnie nienawidzą nie wiem za co, a pana za to żeś *mashorquero*.
- Oh! nie jestem przecie *mashorquero*, w dosłowném znaczeniu wyrazu!
- Bardzo to być może. Ale ponieważ nie będziemy mieli trybunału któryby nas sądził, wypadnie nam albo się dać pozabijać, lub emigrować.
- A, straszna to musi być rzecz, emigracya, generale Soler!
- zawołał Marinio kręcąc głową.
- Probowałem jój już kilka razy: straszna, ani słowa.
- A więc potrzeba abyśmy wszyscy bronili się do upadłego.
- Kto wie czy możemy liczyć na wszystkich.
- I ja o tém powątpiewam.
- Zdrady są naturalną rzeczą w rewolucyach.
- A! i nieprzyjaciele niejawni są najgorsi!
- Najstraszniejsi.
- Ale mojego oka nie ujdą... Oto właśnie jeden, ten co wchodzi.
- Oh! dzieciuch!
- Tak, dzieciuch dwudziesto-pięć latni. Wszyscy go mają za najlepszego federalistę, ale dla mnie to nic innego tylko unitaryusz przebrany.
- Jak się zowie?
- Bello, syn prawdziwego federalisty, zamożnego właściciela ziemskiego, współnika panów Auchorenas, z wielkim znaczeniem na prowincyi.
- Kiedy tak, to młodzik ma dobre plecy.
- A oprócz tego, młodzik ten w wielkich jest faworach u Salomona, i wszędzie wchodzi i wychodzi.
- A, to potrzebaż go powitać, mój drogi panie, — rzekł generał Soler.
- Zapewne, ale mimo to on zanotowany—odrzekł Marinio, i obydwa zbliżyli się napowrót do reszty towarzystwa.

IX.

List żelazny.

W rzeczy samej Daniel wszedł do salonu Rozasa, przedarł się przez tłumy wśród silnych uścisków ręki na prawo i na lewo, i poszedł powitać Manuellę i federalne damy jej dworu.

Ubiór jego stosował się do nieodzownej mody federacyi: sukmana, ponsowa kamizelka, wielkie godło, i bez rękawiczek. Ale sukmanka była wykwintnego kroju, na dwa rzędy zapinana, na rękawach wyłogi z czerwonego axamitu, obuwie lakierowane, kamizelka z kosztownego kaźmirku, ręce delikatne, kobiece, i twarz jak ją znamy, piękna, rozumna, oko żywe, promieniste, długie połykające włosy na bladą skroń spadały. Wszystkie te zalety razem połączone, więcej niż dostateczne były dla postawienia go dobrze w oczach kobiet, zwłaszcza, kiedy tak mało młodzieży w owym czasie stroiło się w czerwień federalną. Wiedziały one o przechwałkach unitaryuszek z licznego zastępu pięknych i wykwinnych kawalerów w ich stronnictwie; toż z pewną dumą spoglądały na urodziwego w swoim obozie młodziana, który mógł współzawodniczyć w każdym względzie ze wszystkiemi, co było najbardziej dystyngowanego w przeciwnym.

Natychmiast małżonka medyka Rivera zrobiła mu obok siebie na sofie miejsce, lecz tak ciasne, że Daniel musiałby być przynieść niepoślednią tuszę kwitnącej siostry Jego Ekscellencji. Takiej zbrodni politycznej nigdyby się nie dopuścił; a więc przy drugim końcu sofy usiadł na krześle tuż obok Manueli.

Atoli piękna Mercedes nie dała się zbić z toru. Wstała, wzięła krzesło, usiadła obok Daniela i na przywitanie uszczypnęła go mocno w ramię, mówiąc do ucha:

— Udał że nie widział, co?

— Owszem, widziałem że pani prześliczna, — odrzekł Daniel, wnosząc że o to jej chodzi. Ale było to jeszcze nie wszystko.

— Stuchaj pan, na wstępie muszę powiedzieć. Jak będziem wychodzić, pan mię odprowadzisz. Dzisiaj chcę żeby Rivera wściekał się jak będę iść z pięknym chłopcem; bo to zazdrosny jak turek, pokoju mi nie da. Ja to panu wszystko opowiem przez drogę.

— Bardzo mi to będzie zaszczytne, seniora.

I odwróciwszy się w drugą stronę, pochylił się nieco ku Manueli, żeby z nią porozmawiać swobodniej, nie będąc słyszany przez resztę towarzystwa.

— Gdyby ktoś miał szczęście i zaszczyt wyłącznie być panią zajętym, — rzekł, — dom ten byłby dla niego wielce niebezpiecznym rywalem.

— A to dlaczego, panie Bello? — spytała Manuela ze szczerą dobroduszością.

— Bo te codzienne liczne zebrania zanadto rozrywają myśli pani.

— O nie!—odrzekła żywo, — ja staram się nie widzieć i nie słyszeć.

— Kiedy tak, to jest niewdzięczność,—mówił Daniel z uśmiechem.

— Nie, to należna zapłata.

— Jakto, seniorita?

— Czy pan myślisz że moje milczenie, lub moje nieukontentowanie może im być nieprzyjemnym?

— Jakże wątpić o tém.

— A więc ja im odpłacam za nieprzyjemność jaką mi oni sprawiają.

— To mię dziwi.

— Bo pan nie zajmujesz mojego smutnego miejsca codziennie.

— Być to może. Jednakże oni mówią o panu Gubernatorze, pełni zapału dla niego, i wiernie służą jego sprawie.

— Nie, panie Bello, oni nam szkodzą. Mówią więcej niżeli powinni, a może nie działają z tak dobrą wiarą, jakby potrzeba dla interesu mojego ojca. A zresztą, czy podług pana to jest dla mnie towarzystwo, ci panowie i te panie?

— Zapewne. Pani masz więcej rozumu niż oni wszyscy.

— Nie mówię o rozumie, mówię o ogładzie, o upodobaniach.

— Pojmuję iż przykrym musi być dla pani brak innego stosowniejszego dla niej towarzystwa.

— Tutaj to jest niemożliwym, ci niecznośni ludzie będą wieczną przeszkodą do zbliżenia się ku mnie osobom mojej płci lub przyjaciółom mojego wyboru. Któżby się odważył przysłuchiwać tak ohydny rozmowom? Ja wiem że unitaryusze są naszymi wrogami, ale pocóż te kłatwy, te straszne bluźnierstwa, te krzyki o krew i śmierć, któremi mię zamęczają? Ach panie Bello, okropne moje tutaj życie!

— To prawda,—mówił Daniel zupełnie naturalnym tonem,—pani potrzebne byłyby towarzyski jej wieku i usposobienia, któreby panią rozerwały wśród tylu niepokojów jakie przynoszą obecne czasy dla wszystkich.

— O jakże byłabym szczęśliwą!

— Znam kobietę której charakter zgadzałby się zupełnie z pani usposobieniem, onaby panią pojęła i pokochała. Raz panią widziała tylko, a ma dla niej najszczersze współczucie.

— Doprawdy? Któż to taki?

— Kobięta równie a może więcej niż pani nieszczęśliwa.

— O nie, żadna w świecie nie może być odcennie nieszczęśliwszą!—rzekła Manuela z westchnieniem i spuszcżając zażalone oczy.

— Pani przynajmniej nie jesteś spotwarzoną.

— Ja nie jestem spotwarzoną! — wykrzyknęła Manuela podnosząc głowę i utkwiała w nim roziskrzzone oko.— Tego jednego nie przebaczę nieprzyjaciółom mojego ojca, iż przez zemstę polityczną szarpią moją niewieścią sławę. I jakie jeszcze potwarze! . . . — ręką oczy zakryła.

Rozprawy w innych kółkach były tak żywe, że na rozmowę dwojga młodych ludzi nie zwracano uwagi; szpiegowaty ją tylko raz po raz spojrzenia Doni Escurre i komendanta Marinio.

— Czas to wszystko rozprószy, droga pani, — mówił Daniel tak czułym i przyjaznym tonem, że mu mimowiednie spojrzeniem podziękowała. — Lecz właśnie czas najgorzej się przysługuje osobie o której mówimy, bo każda chwila pogorsza jój położenie.

— Ale cóż to takiego? kto ona? — pytała żywo i niecierpliwie.

— Dotknęła ją potwarz polityczna, oskarżenie, że jest unitaryuszką, a ztąd ją prześladują.

— Powiedźże mi pan kto to jest?

— Moja krewna, Amalia.

— I z rozkazu mego ojca ją prześladują?

— Nie, ani nawet z rozkazu policyi. Prześladowca jój ma osobiste pobudki, a zastania się federacją i imieniem szanownego Restauratora praw dla spełnienia zemsty niegodnej i interesownej.

— To oburzające! . . . któż więc jest tym prześladowcą?

— Nie mogę teraz powiedzieć; kiedyś się pani dowiesz: to tylko nadmienię, iż to jest osoba niepośledniego znaczenia.

— O, to okropne! . . . wiesz pan co? przywieź tu Amalię, do mnie.

— Nie, pani, nie przyjechałaby. Zamiłowana w samotności, znalazłaby się z przykrością w tak liczném towarzystwie, jakie panią otacza.

— Ja ją przyjmę sam na sam . . . Ach! nie, ja nie mam wolności odosobnić się!

— Zresztą od kilku dni opuściła swoją piękną willę na Barakach, i pomimo ustronia w jakim przebywa, jest niespokojna i przestraszona.

— Biedaczka!

— Jednakże w pani mocy oddać jój nader ważną przysługę.

List od pani do niej, któryby mogła pokazać takim coby się poważyli, jak już to miało miejsce, najść dom jój bez rozkazu pana Gubernatora . . .

— Dobrze, dobrze! rozumiem, jutro zaraz napiszę! — rzekła uradowana iż jój nadarzyła się sposobność upokorzenia miłości własnej tych, którzy ją bezustannie dręczyli. Po chwili dodała: — Jakkolwiek miła mi rozmowa z panem, lecz dłużej się przeciągając obudziłaby zazdrość w innych tu obecnych, dla których podług woli mego ojca mam być względną bez różnicy osób.

— Życzenia pani są dla mnie rozkazem; lecz pozwalam sobie jeszcze polecić pamięci pani ów list.

— O, nie obawiaj się pan, nie zapomnę!

Nie myliła się Manuela: rozmowa jój z Danielem już zaczęła obudzać zazdrość w tych pieskach zgłodniałych, czekających na okruchy z bankietu federalnego, przy którym codziennie królowała ta biedna ofiara szalonej ambicji swojego rodzica. Prztém pora już była dość późna, i każdemu pilno wrócić do domu, by pochwalić się przed swojemi, ile zaszczytów spłynęło na niego w byle słówku, uśmiechu, ruchu, seniority Manueli de Rozasy Escurra.

Skoro więc tylko skończyła swą rozmowę na stronie z Danielem, całe towarzystwo przystępowało do niej po jednemu, złożył jój swoje uszanowanie i ofiary, a były to wszystkie tego samego rodzaju jakiego próbki słyszeliśmy przed chwilą. Scena ta stawiała na myśli piekło. Manuela choć przyzwyczajona do tego chóru, jednak rumieniła się, że Daniel słucha podobnej mowy, składanej jako hołd należny jój stanowisku. Tylko że wymowne jego wejrzanie objawiało tyle współczucia, iż odgadując w nim inną jak w drugich duszę, zdobywała się na odwagę i rezygnację.

Opróżnił się wreszcie salon, i wtenczas dopióro zabrała się do wyjścia Donia Mercedes i Rivera. Żegnając siostrzenicę rzekła z właściwą sobie naiwnością:

— Idę już, córeczko, i zabieram z sobą tego pustaka Bello, żeby się Rivera wściekał.

— Do widzenia, panno Manuelo: odpocznij pani—rzekł Daniel podając rękę z wyrazem słodyczy i pocieszenia w głosie.

Biednej dziewczynie lzy z oczów się polały, gdy sama została w pokoju.

Tymczasem Mercedes uczepiwszy się ramienia swego towarzysza wyszła z nim na ulicę. Noc była zimna, Daniel bez płaszcza, lecz tego nie czuł; było mu gorąco bo się wściekał ze złości na to wzięcie szturmem swojej osoby. Mercedes nie pozwalała mu przyspieszać kroku, bo chciała koniecznie żeby ich spotkał z sobą zazdrosny Rivera. I szeptała bezustannie, opowiadając mu w swoim arcynaiwnym języku przeróżne sceny zazdrości swojego małżonka, niewinne figle jakie mu płała drażniąc tę zazdrość przez zemstę.

Nie na tém koniec. Wdała się w rozmaite tajemne szczegóły małżeńskiego pożycia, wyznała mu, że jest kobietą gwałtownych namiętności, wyobraźni wulkanicznej, a nie spotkała nikogo coby ją zrozumiał. Bo mąż bardzo poczciwy człowiek, dobry, usłużny, przynosi jój z targu wszystko co ona lubi; ale zimny jak śnieg, materialny jak kamień, prozaiczny, a nawet... głupil nawet wierszy czytać nie umie, a ona przecież poetka, autorka pamiętników niesłychanie ciekawych o swojej osobie, w której od urodzenia i nawet przed urodzeniem wszystko było nadzwyczajne. Więc jest bardzo, bardzo nieszczęśliwa! Jój potrzeba człowieka rozumnego, poety, artysty, młodzieńca wrzących uczuć i namiętności, któryby ją ani na chwilkę nie odstępował.

I to nie wszystko. Skoro po długiej przechadzce stanęli przed jój domem, napała się żeby Daniel wszedł i posłuchał jednego roz-

działu jój pamiętników, bo Rivery nie ma w domu. Pokusa była nęcąca, lecz w długiej walce odparł ją zwycięzko, a z całych sił kołatał w bramę, żeby co prędzej odzyskać swobodę, na inny dzień przyrzekając korzystanie z tego szczęścia. I skoro tylko brama napowrót się zamknęła, nie odszedł ale odleciał jak strzała od domu siostry prześwietnego Restauratora praw, kobiety świeżej jeszcze, bogatych kształtów, płci alabastrowej, ale usposobienia dziwnie romantycznego, że użyjemy tu wyrażenia owego czasu określającego wszystko co wychodziło z naturalnego porządku rzeczy.

Kiedy on biegnie śmiejąc się prawie na głos ze swego porwania i ucieczki, musimy się znów z czytelnikiem cofnąć o dni kilka, dla wyjaśnienia niektórych szczegółów będących w ścisłym związku z naszym opowiadaniem.

X.

Obudzenie się księdza Gaete.

W owym dniu tak fatalnym dla profesora Candido Rodriguez, w którym mu się nie powiódł zamiar potajemnego wyruszenia pod zagle i w chwili gdy zbliżał się do domu Daniela cały kapiący ze zmoczonego obuwia i odzieży, uczeń jego odprowadzał aż do swojej bramy gościa znakomitego, bo prezydenta *Towarzystwa ludowego*. Przyszedł on był w interesie odezwę którą *Towarzystwo* przesłać miało prześwietnemu Restauratorowi ofiarując mu ponownie swoje *życie, honor i sławę*, przez ciąg straszego przesilenia wywołanego przez dzikich unitaryuszów. Daniel mu natychmiast wygotował odezwę, która, świetna zapałem i federalną wymową, w zdumienie wprowadziła dostojnego Salomona. I pewien już że imię jego podpisane na tym wiekopomnym akcie, z pokolenia w pokolenie przejdzie aż do najodleglejszej potomności sławy opromienione, pożegnał swego młodego przyjaciela, któremu także gotów był oddać życie, honor i mienie, bo to wzór federalizmu najpierwszej próby. I w tej oto właśnie chwili, nadchodził najszanowniejszy sekretarz jego Eks. pana vice-gubernatora.

— Danielu!—zawołał D. Candido, ujmując za ramię swojego ucznia.

— Wejdźmy, mój kochany mistrzu.

— Nie, wyjdźmy — odrzekł chcąc go zatrzymać w krużganku.

Lecz Daniel wziął go przyjacielsko pod rękę i wprowadził do pokoju.

— Wiesz pan że mię przestrasza pański głos i spojrzenie.

— Danielu! jesteśmy zgubieni.

— Jeszcze nie.

— Ale się gubimy!

— Prawdopodobnie.

— I czyż to nie ty sam zgotowałeś ten los bezbożny, niefortunny, wrogi, który wisi i ciąży nad nami?

— Być to może.

— A wiesz co się stało? nie mówi ci sumienie?

— Ani słówka.

— Danielu!

— Mój panie, jestem dziś w dobrym humorze, a pan mi go widzę popsuć chcesz.

— W dobrym humorze? a nad głową twoją i co gorsza nad moją zawieszona krwawa kosa czarnej parki!

— Nie to mi humor popsuje, bo o tém wiem, ale to że mi pannie powiesz odrazu i poprostu co się stało, ale pół godziny wkoło tego będziesz się obracał.

— Nie, słuchaj: będę szybkim, lotnym, raptownym w mojej mowie.

— Bardzo dobrze: dalej.

— Wiesz, że jestem sekretarzem prywatnym pana ministra.

— Wiem, wiem.

— Idę co rano, i piszę, co jest do przepisywania, chociaż z mozołem, bo trzeba ci wiedzieć że pismo, dobre pismo, jest przywilejem młodzieńczego wieku, a właściwiej mówiąc, trzydziestu lat. bo przed tą epoką życia puls jest nazbyt niespokojny, a później, wzrok słabszy i palce mniej giętkie; wszystko to ze krwi, która jak utrzymują krąży z mniejszą lub większą szybkością, stosownie do wieku człowieka i jego stanu zdrowia, chociaż mojem zdaniem.....

— Święta Barbaro błogosławiona! Otóż się rozpoczyna dysertacyał

— Cofam się.

— To bardzo dobrze.

— Ograniczę się.

— To jeszcze lepiej.

— A więc dziś rano... tu Don Candido opowiedział Danielowi wszystkie przygody zasłałe w domu pana Arana, w klasztorze, i w porcie, obracając dobre pół godziny na paręset przymiotników i parę tuzinów epizodów.

Daniel słuchał, rozważał, i plan układał z ową szybkością pojęcia i obrachowania, jakie już w nim nieraz dostrzegaliśmy.

— Więc się tak zaniepokoił waszém gadaniem o somnambulizmie?— pytał zapatrzony w podłogę, i bawiąc się machinalnie swoją bródką.

— O, i bardzo: zrazu był zakłopotany, niepewny, wahający, potem się nasrożył i ciskał wściekle spojrzenia naprzemian na nas obydwóch; słowem wyglądał jak waryat.

— Zwątpił.... Zbrodniarz i bez oświaty a więc skłonny do zabobonu.

— Co tam mruyczysz przez zęby Danielu.

— Nie jestem lunatyk. I Donia Marcellina powiedziała panu że Gaete u niej przesypia się po obiedzie? która mogła być godzina?

— Około czwartej.

— Teraz kwadrans po piątą — mówił Daniel patrząc na zegarek. I obiad jadł z siostrzenicami... a więc musiał pić nie mało... czekaj pan.

Pobiegł do drugiego pokoju, wziął płaszcz i pistolety, i wracając rzekł:

— Chodźmy.

— Gdzież zwrócimy nasze kroki? czy jeszcze jakiemu niebezpieczeństwu mamy stawić czoło?

— Chodźmy, bo inaczej dziś albo jutro będziesz pan miał do czynienia z księdzem Gaete i jego bandą.

Obwinął się w płaszcz i wlokąc jakby magnesem za sobą biednego profesora, wielkim krokiem przebiegał ulicę miasta.

— Daniel — odezwał się D. Candido głosem drżącym i melancholicznym — zbliżamy się ku ulicy *Cochabamba*.

— Nie mylisz się pan.

— A jak nas zobaczą z domu tej cudacznej kobiety, z której ust sypią się gradem wszystkie tragedye?

— Tem lepiej, bo do jej domu właśnie idziemy.

— Ja? o! nie powiedzą potomne dzieje iż tam zginął D. Candido Rodriguez! To mówiąc przyjaciel nasz stuknął w ziemię indyjską trzcina, wykonał pół zwrotu w prawo, i zabierał się wracać drogą, którą przyszedł.

Daniel ujął go silnie za ramię.

-- Jeżeli pan wrócisz, Gaete dziś w nocy będzie się widział z panem; jeżeli ujdiesz księdzu, jutro poszę pana do *Santos-Lugeres*; a jak pan ze mną pójdziesz, i tylko będziesz powtarzał po mnie co ja zrobię i powiem, wtedy będziesz pan ocalonym.

— Ależ ty jesteś sam dyabeł, Danielu! — rzekł D. Candido patrząc wytrzeszczonemi oczyma na ucznia.

— Może być. Chodźmy.

Wstrząsnął ramię opierającego się jeszcze, utkwiał błyszczące oko z taką siłą w niepewną źrenicę tego niewolnika swój woli, że ten jakby nagalwanizowana bryła, bez samotnej władzy, poszedł za młodzieńcem nie pisnąwszy ani słowa.

W kilka minut Daniel zapukał lekko do bramy, drugi raz mocniej, a wkrótce szelest sztywnej sukni jedwabnej obwieścił zbliżenie się mieszkanki tego samotnego przybytku. Drzwi się otwały, wyjrzała twarz śniada, puciołowata z potarganemi czarnemi lokami, a wyraz zdumienia osiadł na niej, na widok gości dobijających się do bram jej Edenu.

Ale tej córce literatury klassycznej nic nie było zdolnym odebrać dramatycznego natchnienia i nagły podziw nie przeszkodził zastosowaniu dwu-wiersza z Argii:

„Sam jeden, bezbronny, bez wozu,
Cóż począć myślisz? Wracaj do obozu!”

— Obudził się Gaete?

„Po znojach w tój ciężkiej wojnie,
Sen go kołysze spokojnie.”

Daniel popchnął z lekka przed sobą w krużganek deklamatorkę, a za sobą wciągnął profesora, w chwili kiedy temu przez głowę już mignęła była myśl ucieczki.

— Cóż robisz? o śmiałku bez trwogi!

— Zamykam drzwi.

Daniel zasunął rygiel. Na twarzy jego malowało się silne postanowienie. Donia Marcellina była w osłupieniu. Don Candido pomyślał że już nadeszła ostatnia godzina i jakaś chrześcijańska rezygnacya zaczynała rozlewać się po jego duszy.

— Czy siostrzenice pani są w domu?

— Wyszły wszystkie oprócz Gertrudity, która czesze się w kuchni, bo ksiądz jest w sypialnym pokoju, a ja spoczywałam na sofie w sali.

— To dobrze. Jesteś pani dowcipną kobietą, i jednym rzutem oka świetna jój wyobraźnia obejmie wszystko co się przedstawi jój oczom, a raczej uszom, bo będziesz pani słyszała z sali co się stanie.

— Azaliż krew popłynie?

— Nie, nie. Zresztą pani jako literatka wyrzeczysz swoje o tém zdanie. Wychodząc zobaczę się z Gertrudity, bo przyniosłem coś dla niéj, a i dla pani także. A teraz do widzenia.

Wziął za rękę niemego profesora i wszedł do sali. Było tam zupełnie ciemno, lecz za promykiem wdzierającym się przez szparę w okiennicy Daniel mógł trafić do okna i otworzył okiennicę. Na sofie gdzie spoczywała Donia Marcelina, leżała ogromna cycowa kołdra. Wziął ją za jeden koniec, podał drugi profesorowi i gestem kazał mu obracać nim w prawo a sam skręcał w lewo.

Don Candido w dobrej wierze myślał że wielebny ma zostać uduszonym, i mimo niebezpieczeństwa jakie mu od żywego nieprzyjaciela groziło, na myśl o morderstwie krew mu się w żyłach lodem ścinała.

Odgadywał to Daniel i uśmiechał się. Potém wziął skręconą kołdrę, popatrzał na towarzysza kładąc palec na ustach i postąpił ku drzwiom sypialni. Rozlegające się donośne chrapanie upewniło go że może tam wejść bez wielkich ostrożności, co téż uczynił wraz z professorem przyszytym do jego odzienia. Odchylił okiennicę wychodzące na dziedzińiec, i przy bladym zmroku mógł dojrzeć księdza rozciągniętego na składaném płócienném łóżku; spał na wznak, bez zwierzchniej odzieży, do połowy lekką kołdrą przykryty i chrapał na całe gardło.

Daniel z cicha postawił krzesło pomiędzy murem a łóżkiem, wskazał towarzyszowi aby tam usiadł, a gdy ten machinalnie usłuchał, dał mu po nad śpiącym jeden koniec skręconej kołdry, znakami pokazując by mu go pod łóżkiem podał. Gdy Don Candido rozkazał jego spełnić, przezacny kapłan federacyi znalazł się wnet przywiązany przez piersi do łóżka.

Po tych przyrządach Daniel przymknął znów okiennicę o tyle, aby otwierający oczy mógł przedmioty rozpoznać; potem wręczył drżącemu współnikowi jeden ze swoich pistoletów, do ucha mu szepnął żeby na dany sobie znak powtarzał jego słowa, i sam usiadł w głowach łóżka po drugiej stronie.

Gaete chrapał w najlepsze, kiedy Daniel zawołał głosem silnym i basowym:

— Senior Gaete!

Mnich przestał chrapać.

— Senior Gaete!

Mnich otworzył z trudnością obrzękłe oczy, obrócił zwolna ciężką głowę, a na widok Daniela źrenica mu się rozszerzyła: wyraz przestachu rozlał się na jego twarzy. A w chwili gdy próbował podnieść głowę, usłyszał głos po drugiej stronie:

— Senior Gaete!

Niepodobna opisać jego zdumienia, kiedy zwracając się ku stronie z kąd się ten nowy głos odzywał, spotkał się z twarzą sekretarza Don Candido Rodriguez. Przez chwilę obracał głowę to na prawo to lewo, i jakby chcąc się przekonać że to nie był sen, uczynił ruch do podniesienia się, lecz bez pośpiechu, jakby nie wierząc sam sobie. Lecz na przeszkodzie stanęła mu przepaska wiążąca piersi i ramiona; unióśł tylko głowę, i natychmiast znów ją opuścił na poduszki.

Nie był koniec na tém. Daniel przytknął mu do lewej skroni rurę swego pistoletu, na znak jego Don Candido przyłożył drugi do prawej; a wszystko to się odbywało z ich strony bez jednego słowa, gestu, ani poruszenia na krześle.

Gaete zamknął oczy, bladeść śmiertelna okryła jego czoło.

Daniel i Don Candido odjęli pistolety.

— Senior Gaete! oddałeś czartu twoją duszę, a my, w imieniu Boskiej sprawiedliwości przychodzimy wymierzyć karę za wielką zbrodnię.

Don Candido powtórzył ostatnie wyrazy Daniela starając się intonacją nadać im pozór czegoś nadprzyrodzonego.

Zimny pot rześiście spływał ze skroni księdza Gaete.

— Poprzysiągłeś śmierć dwóch osób do nas z postaci podobnych, a za nim tej nowój dokonasz zbrodni, my cię poszlemy do piekieł. Czy to prawda żeś zamierzył to morderstwo?

Gaete milczał.

— Odpowiedz! Odpowiedz! — rzekli razem Daniel i D. Candido, znów mu przykładając do skroni lufy swoich pistoletów.

— Prawda, lecz przysięgam na Boga....

— Milcz! imienia Boskiego nie wymawiaj!—rzekł Daniel przyrywając drżącą i głuchą mowę przestraszonego mnicha, którego twarz szkarłatem się powlekała, a na czoło sine występowały plamy.

— Apostato, renegacie, bezbożniku, godzina twoja wybiła; ciosem śmiertelnym ugodzi cię moja potężna prawica!—zawołał D. Candido, który zrozumiawszy wreszcie że niebezpieczeństwa już nie było, chciał się pokazać bohaterem.

— Zkąd zamierzałeś wziąć pomocników do spełnienia tej zbrodni!

— Odpowiedz!—krzyknął donośnie D. Candido.

— Odpowiedz!—zawołał jednocześnie Daniel.

— Chciałem prosić o nich Salomona,—odrzekł Gaete nie otwierając oczu i coraz słabszym głosem; oddychał już z trudnością.

— Pod jakim pozorem chciałeś od niego tego żądać?

Gaete nie odezwał się.

— Mów!

— Mów! — powtórzył D. Candido przykładając znów pistolet do skroni.

— Na Boga!—zawołał ksiądz siłąc się podnieść i znów upadł na poduszkę.

— Boisz się?

— Boję się.

— Otóż umrzesz—rzekł D. Candido.

Z uciśnionej piersi nędznika wydarł się ryk chrapliwy, jednocześnie z konwulsyjnym rzutem głowy: krew mu zaczęła silnie przypyływać do mózgu.

— Nie umrzesz, jeżeli uznasz, że nigdy w tym domu nie spotkałeś tych osób, które chcesz zgubić—rzekł Daniel.

— A któż wy jesteście? — zapytał ksiądz otwierając oczy i z trudnością zwracając głowę w jedną i drugą stronę.

— Nikt, nikt—odpowiedzieli razem uczeń i professor.

— Nikt! — zawołał Gaete, zamykając znów powieki i z powtórnym konwulsyjnym drgnięciem we wszystkich członkach.

— Czy nie rozumiesz co się z tobą działo i co się dzieje w tej chwili?

Nie odpowiedział.

— Jesteś lunatykiem, i umrzesz w tym stanie tego dnia, kiedy zamierzysz wyrządzić najmniejszą krzywdę osobom, które zläje ci się że widziałeś.

— Tak!—zawołał D. Candido—lunatyk jesteś, i lunatykiem umrzesz, śmiercią straszną, ohydną, krwawą, w tej samej chwili kiedy choć pomyślisz o znacznych osobach, których ślubowałeś zgubić. Sprawiedliwe wyroki Boże wiszą nad twoją głową!

Gaete prawie nie słyszał. Nowe konwulsyjne wstrząśnienie dało poznać Danielowi iż blizkim jest atak apopleksyi. Odwiązał zatem uciskającą mu piersi kołdrę, dał znak towarzyszowi, i obydwaj wyszli na palcach. Gaete niesłyszał ich kroków.

Donia Marcellina z siostrzenicą słuchały za drzwiami i dusiły się od śmiechu.

— Pani, — rzekł do niej Daniel w krużganku — dowcipem swoim odgadniesz jaki ma być dalszy ciąg téj sceny.

— Wiem, wiem: sen Orestesa, albo Dydony z Sycheuszem.

— Otóż to właśnie. Był to sen, nic więcej.

Wręczył każdej z kobiet po pięćset *pesos* i wraz z profesorem wyszedł na ulicę *Cochabamba*.

W kilka godzin po téj scenie, ksiądz Gaete miał ogoloną głowę i nie czuł wcale kłasnania czterech tuzinów pijawek, które zabawiały się wypijaniem z niego krwi na skroniach i za uszami. A w kilka dni później doktorzy Jego Ekscellencyi nie śmieli jeszcze ręczyć za szacowne życie federalnego kaznodziei.

A przez ten czas Daniel czuł się zupełnie wolnym od prześladowań zagrażających mu w tych właśnie chwilach, kiedy najbardziej potrzeba mu było wszelką mieć swobodę dla interesu swojego kraju, swojej ukochanej i swoich przyjaciół.

XI.

P u s t k a.

Idąc drogą *Padolu* wiodącego z Buenos-Aires do San-Isidro, napotyka się o jakie trzy mile od miasta miejsce zwane *Oliwki*, i kilkadziesiąt drzew oliwnych, resztkę lasu od którego powstała nazwa miejsca. Tam to w latach 1819 i 20 nie jeden raz obozowało tysiąc lub dwa tysiące ludzi przebywających dla obalenia rządów, po to ażeby nazajutrz obalonemi były drugie przez nich ustanowione.

Z *Oliwek* położonych na małej wyżynie po lewej stronie gościńca, oko obejmuje szeroką rzekę, rozległe pobraże i wysokie wzgórze San-Isidro. W stronie téj zwracał na siebie uwagę w roku 1840 mały domek zniszczony i opustoszały, odosobniony na wydmie pochyłej ku rzece, na prawo od drogi: była to dawna posiadłość pewnej rodziny, procesowana obecnie przez inną, i znana pod nazwiskiem *pustki*.

Opuszczony od lat kilku dom ten groził upadkiem na wszystkie strony, a wiatry południowo-zachodnie wiejące tak gwałtownie przez ciąg tegorocznój zimy, byłyby dokonały dzieła zniszczenia, gdyby niespodzianie i to w przeciągu trzech dni nie został podźwigniętym z upadku. Jakby czarami wewnątrz budynek stał się prawie nowym, lecz zewnętrzną stronę zostawiono bez najmniejszego przyozdobienia.

Kto kierował tą robotą? kto kazał ją dokonać? kto miał zamieszkać w tym domu? nikt nie wiedział ani pytał, bo w chwi-

lach tych każdy wiele miał do myślenia o rzeczach ważniejszych i osobistych.

Ale tak się stało, że ściany przedtém obdarte, w trzech dniach pokryły się piękném papiérowém obiciem, sufity znalazły się znów w dobrym stanie, posadzki wyhéblowane, nowe zamki u drzwi, i szyby powprawiane we wszystkich oknach.

I to domostwo, powszechnie nazywane *pusłką*, zamieszkiwane dopiéro co przez gromadę nocnych ptaków, o którego pourywane gzymsy roztrącały się wściekle zimowe wichry, gdy jednocześnie u stóp wydmy na której się wznosiło rozbijały się o czarne głazy rozhukane fale wielkiej rzeki, dzikim porykiem wtórując szumowi starych drzew oliwnych wiatrem kołysanych, domostwo to mówiliśmy, przedstawiało teraz we swém wnętrzu obraz ludzkiej siedziby, a co więcéj. mieszkania ludzi uobyczajonych i do wykwintnego smaku nawykłych.

Nieliczne pokoiki umeblowane z prostotą, lecz z elegancją, a w miejscu ponurego wrzasku sów i puchaczy, rozlega się melodyjny śpiew prześlicznych ptaszków, płasających po przecikach złożonych klatek.

Pośrodku małej salki stoi okrągły stół mahoniowy, zasłany serwetą śnieżnej białości, na niej nakrycia na trzy osoby; porcelany i kryształy połyskują od światła małej lecz jasnej lampy słonecznej.

Nie było jeszcze dziewiątej godziny wieczorem, a księżyc w pełni, błady, wypływał z za posad widnokregu La Platy, niby przepyszna perła z wód toni Bożą ręką wydobyta na pokazanie i podziw dla świata.

Świetlana frędzla zwieszając się od stóp nocnego wędrowca po niebie, powłóczyła się po rzece, i na jej ruchliwej powierzchni wydawała się niby wąż ogromny z łuską ze srebra i z perłowej konchy.

Noc była spokojna i cicha. Na błękitie niebios rozsypały się gwiazdy, a wietrzyk miękki nasycony zapachami z ogrodów Parany przelatował w powietrzu jakby miłośne Sylfid westchnienia, które w téj chwili bujały wśród smętnych księżycy promieni pojąc się eterem, igrając z brylantowém światłem naszych gwiazd południowych.

Wszystko było poezya i ciszą, wszystko przezrocze i bezludne, tam, nad brzegami téj rzeki, która tylokrotnie i w téj właśnie samej chwili patrzała na rozkiesznaną burzę namiętności całego narodu. Wody przemykały się miękko na swoim piaszczystém łożu, i na chwilę możnaby pomyśleć że zima stuliła już śniegowe skrzydła, któremi liść warzy i kwiecie, i że powiew z północy przynosi już tchnienie wiosny od zwrotnika.

U dołu wydmy łagodnie spadzistój ku rzece, o kilka kroków od fal granicy, na małym kopcu z piasku siedziała kobiéta, i z zachwyceniem wpatrywała się w okrągłą twarz miesiąca podnoszącą się leniwie z wód łona. Ostatnie pierścienie srebrystego węża

rozpryskały się tuż w pobliżu tej zagadkowej postaci, a fale jakby hołu jej składać przybywały rozlewając pianę białą na piasku gdzie miękko spoczywała drobna jej nóżka, i szmerząc ową pieśń tajemniczą, którą morze w ciszy kołysze do snu ducha przestworów, kiedy spokojny zasypia na puchowej wód jego pościeli.

Oczy jej jak gwiazdy promienne, ale wejrzenie ich smętne i powłoczyste. Pukle jej włosów pod lekkim wietrzyku powiewem muskają pieśzczotliwie blade jagody. Kibić ujęta w czarny axamitny kabat zdaje się jakby nie mogła się oprzeć słabym powietrza prądom, zgina się jakby wiotka latorośl. Czy to Nimfa samotna tej odludnej i miłośnej rzeki nad brzegi jej w ten wieczór uroczy, w tę atmosferę poezji, ciszy i rzewnego dumania z obłokiem spłynęła z góry, i znów w obrotku uleci? Bo znać jej dusza na ziemi nie gości, myśl jej rozmarzona daleko od materialnej życia sfery: ona nie widzi, nie słyszy zmysłami, i szelest ludzkich tuż obok niej kroków nie skłonił ją do odwrócenia prześlizniętej główki od fali srebrzystej w której utonęła wzrokiem.

Mężczyzna schodził z góry ku brzegom. Chód jego szybki zrazu, wolniał w miarę zbliżania się ku samotnemu gościowi tej poetycznej ustroni. O dwa kroki nie doszedł, ręce na piersiach założył i patrzył na nią w milczeniu jakby oczarowany. Dusza jego rzekłbyś pogrążona w religijném zachwyceniu. Nagle westchnienie zdradziło jego obecność, młoda niewiasta szybko odwróciła głowę, okrzyk z ust jej się wymknął, a jednocześnie on już klęczał u jej nóg i ręce jej cisnął do bijącego serca.

— Aniele mojej duszy, jakże tak piękną jesteś! — rzekł w końcu pojąć wzrok zachwycony widokiem jej czarujących wdzięków.

— O tobie myślałam, — mówiła kładąc rękę na jego głowie. Myślałam o tobie, i widziałam cię, ale nie tutaj, nie na ziemi; widziałam cię, byłeś obok mnie, w przezroczych błękitu przestworach, skąpany w blade-różanej jasności, oddychałeś wonnemi etery, niebiańską poileś się harmonią grającą po strunach powietrznych; widziałam cię w jednej z owych chwil zachwytu, kiedy mię jakaś nadprzyrodzona siła jakby odrywała od ziemi.

— O, bo ty nie jesteś ziemską istotą, mój aniele, — rzekł siadając na piaskowym kopcu obok niej. Widzisz ty jak jest wspaniałą i piękną blada twarz księżycy? lecz więcej majestatu, więcej piękności na twojem alabastrowém czole. Widzisz tę jasność jakby rozlaną po całym niebios sklepieniu? cudniejszy blask twego spojrzenia i bardziej smętny niż błękitny płomyk tych nocnych dyamentów. O, czemuż nie mogę unieść się wraz z tobą na jeden z tych globów najświetniejszy, i tam uwieńczyć cię z gwiazd koroną, i nazwać królową, monarchinią wszech świata! Ach! ja cię tak Kocham, Amalio! chciałbym rękami mojami osłonić delikatny kwiat twego życia przed spieką słonecznych promieni a tchnieniem gorącym piersi mojej oddalić zimę od ciebie....

Pierścienie włosów odgarnął z jej twarzy, aby ją całą oblał srebrny blask księżycy i wpatrywał się z wyrazem radosnego upojenia.

— Czyś ty szczęśliwy, Edwardzie? powiedz.

— Światło mojego życia, obok ciebie nie zazdroszczę aniółom ich błęgiego istnienia!.... Patrzaj: widzisz tę gwiazdę najświetniejszą z całego firmanentu? To nasza, to gwiazda naszego szczęścia; ona tak płonie, tak się iskrzy, tak jaśniej jak miłość w naszych sercach, jak nasze szczęście, jak blask twojej piękności dla mojej duszy.

— Ach! nie, nie: nam przyświeca tamta, — rzekła młoda kobieta wskazując bladą gwiazdkę migającą prawie nad falami rzeki na kresie widnokregu.

Oparła się na ramieniu ukochanego i wpatrywała w niebieskie stropy przez długie chwile. A przez ten czas z ust ich obojga na przemian wymykały się wyrazy miłości, uwielbienia, nadziei....

— Ty mię pojednałeś z nadzieją — mówiła w końcu.

— Ty mię kochasz, — mówił Edward, wszak prawda? połączysz los twój z moim?

— Tak, jakkolwiek cię ma spotkać. Jeżeli szczęśliwym będziesz, ja znajdę szczęście w twojem weselu; jeśli ci niedoła przeznaczona, podzielę twoje smutki, a gdyby....

— Gdyby co? skończ najdroższa!

— Gdyby los zawistny co cię prześladuje sprowadził zgon dla ciebie, ten sam cios który twoje skróci życie, wyzwoli mojego ducha aby za tobą mógł polecieć....

Edward przycisnął do serca szlachetną kochankę, a w téjże saméj chwili gdy domawiała ostatnich wyrazów, grzmot daleki, głuchy, przeciągły, rozległ się w przestrzeni, jakby echo armatniego strzału w górskiej krainie.

Zabobonność jest nieodłączną towarzyszką poetycznych usposobień. I oboje młodzi upojeni szczęściem, w téjże właśnie chwili, ujęli się za ręce i patrzyli czas jakiś na siebie z niekreślonym wyrazem. W końcu Amalia pochyliła głowę przynięcioną jakąś myślą proroczą i straszną.

— Nie, — rzekł Edward otrząsając się z pierwszego wrażenia, nie, to się stało bardzo naturalnie... to skutek nagłego gorąca które mieliśmy w tym dniu zimowym, nic więcéj.

Łagodny i smętny uśmiech pobłąkał się po różanych jej ustach a z milczącej piersi uleciało westchnienie. Edward mówił dalej:

— Amalio, burza bardzo daleko. A teraz niebo tak czyste jak twoja dusza, nad naszemi jaśniej głowami. Świat jest naszą świątynią, a Bóg sam kapłanem błogosławiącym naszą miłość z po za tych obłoków i gwiazd... i nasza gwiazda, gwiazda naszego szczęścia na ziemi, nie widzisz jak błyszczy, jasna i piękna jak ty?.. patrz na nią Amalio.

— Nie, to tamta,... — odrzekła wskazując na przyémioną małą gwiazdkę, która już się prawie pogrążyła w topielach ogromnej la Platy, spokojnie jak całe przyrodzenie w téj chwili.

I znów skłoniła głowę na jego ramię, jakby biała lilia przygięta podmuchem wiatru; spoglądała na niebo, on w nią się wpatrywał, a u stóp ich fale toczyły się ciągle z cichém szeptaniem, i pianą okrywały się białą jakby draperią lekkiej powiewnej szaty.

— Dlaczego odwracasz oczy odemnie, najdroższa? — zapytał Edward po chwili milczenia.

— O nie, ja patrzę na ciebie, widzę ciebie wszędzie, — odrzekła spoglądając na niego z czarującym uśmiechem.

— Ale się zmieniłaś: przed chwilą tak jaśniałaś szczęściem i miłością, a teraz... zamglił się blask tego szczęścia.

— Bo szczęście jest jak kryształ: émi go nasz własny oddech.

— Ty nie wierzysz w nasze szczęście?... dlaczego?

— Nie wiem.. ale.. tak smutnie się zaczęła nasza miłość!... i czyśmy mieli choćby chwilę spokojności, odkąd zamieniły się z sobą pierwsze nasze spojrzenia?

— Cóż z tego? mimo to żyjemy jedno dla drugiego i jesteśmy szczęśliwi.

— Szczęśliwi! Alboż śmierć nie wisi nad tobą? ach i nade mną, bo twoje życie jest mojem....

— Lecz wkrótce będziemy szczęśliwi na zawsze.

— Kto wie!

— Ty wątpisz? aniele mój; dlaczegoż wątpisz?

— Tu się jakiś głos odzywa, nie wiem sama co mi mówi, ale ja go sobie smutnie tłumaczę, — rzekła Amalia rękę na sercu kładąc.

— Zabobonna! — rzekł Edward biorąc dłoń która spoczywała na drogiém mu sercu, i obsypując ją pocałunkami.

— Alboż to, nie jest coś dziwnego, — mówiła dalej, — że w chwili wzmianki o nieszczęściu, wśród pozornego spokoju przyrodzenia, rozległ się grom z nieba, jakby złowieszcze stwierdzenie słów moich?

— I pocóż mamy robić naturę sprzymierzeńcem z wrogami nam losy?

— Zapewne... ale... jestem zabobonna, sam to powiedziałeś.

I znowu uśmiech łagodny i rzewny zaigrał na ustach nadobnej Tukumanki. I w téj chwili powstała, mówiąc:

— Chodźmy, już późno; może Daniel zaraz nadjedzie.

Schodzili z pochyłej wydmy, dłoń w dłoni, wolnymi krokami, i rozmawiając usty i oczami doszli do samotnej i odosobnionej *puszki*.

XII.

W i d z i a d ł o.

Z polecenia Amalii żadne światło nie ukazywało się z okien domu. Drzwi zewnętrzne były pozamykane, z wyjątkiem tych które wychodziły na rzekę, gdyż można było być pewnym iż nikt tędy nie przechodzi wieczorem.

Skoro weszła, natychmiast mała Luiza wybiegła na przyjęcie swojej pani, a stary Pedro wytknął głowę przez wewnętrzne okno, ażeby zobaczyć czy córce jego pułkownika nic się nie stało.

Niedłgie chwile przesiedzieli z sobą narzeczeni, rozmawiając zawsze o sobie, o spodziewanej przyszłości, kiedy Pedro pilnujący drogi przez okno ze swego ciemnego pokoju, uchylił drzwi od sali i rzekł:

— Otóż nadjeżdżają.

— Kto taki? — zapytała przestraszona Amalia.

— Don Daniel z Ferminem.

— A! to dobrze. Daniel jest naszym aniołem opiekuńczym, Edwardzie.

— Oh, Daniel, niema równego jemu człowieka na świecie, — odrzekł Edward z pewną dumą, oddając ten hołd słuszości swojemu przyjacielowi od lat dzieciennych.

Żywy, wesół, swobodny jak zawsze Daniel wbiegł do pokoju w krótkim ponszu związanym pod szyją czarną wstążką, na którą spadał wywinięty biały kołnierz od koszuli.

— Kochankowie nie jadają, a dla mnie to dobra gratka, — rzekł we drzwiach składając ukłony, jeden siostrze, drugi przyjacielowi, a trzeci na cześć stołu gdzie były przygotowane, jak już widzieliśmy, trzy nakrycia.

— Czekaliśmy na ciebie.

— A! bardzo dziękuje: to bardzo grzecznie. A jak się znużiliście czekając na moje przybycie! Jak wam czas nudno przechodzi?... Pedro! wieczerza! — zawołał zrzucając ponsz i rękawiczki, i zasiadłszy do stołu ualał sobie szklankę wina.

— Ależ mój panie, to niegrzecznie; siadasz do stołu piérwszy przed panią.

— A! ja jestem federalista, panie Belgrano, a skoro nasza święta sprawa zasiadła bez ceremonii do bankietu naszój rewolucyi, to i ja mogę bez ceremonii zasiąść do tego stołu który jest drugą w całym znaczeniu rewolucyą; talerze jednego koloru, półmiski innego, szklanki zamiast kieliszków do szampana, lampa prawie ciemna, a koniec serwety włóczący się po ziemi jak szal mojej serdecznój przyjaciółki Doni Mercedes Rozas de Rivera.

Amalia i Edward wiedzieli już o przygodzie Daniela i śmiejąc się zasiedli do stołu na którym właśnie Pedro ustawił wieczerzę.

— I cóż? przyrzekłeś téj pani na wczoraj wizytę i posłuchanie jój pamiętników, i złamałeś rycerskie słowo. Przypuszczam że dziś musiałeś odzyskać twój honor?

— Nie, moja pani siostro, — odrzekł krajak pieczyste, — nie pójdę do mojej romantycznój bogini aż będę miał honor przedstawić się u niój wraz z twoim szanownym Edwardem.

— Nie trać panu téj sposobności, panie Belgrano, — rzekła ironicznie.

— Nie straciłem jeszcze zdrowego rozsądku.

-- Jakiem Daniel, to wielka szkoda! nie widziałem jeszcze żeby rozsądek chodził w parze ze szczęściem.

— A! teraz sobie umiem wytłumaczyć twoje nadzwyczajne szczęście, — rzekła Amalia.

— Bravo! jak powiada nasz szanowny prezydent Salomon. Otóż i Edward żeby miał mniej rozsądku, skorzystałby z silnej protekcji jaką mu los nadarza w tak trudnym dla niego położeniu: złożyłby wizytę pięknej siostrzycy Restauratora praw, czytywałby z nią pamiętniki kiedy Rivery niema w domu, i t. d. i t. d.... i jużby się nie obawiał ani Doni Ezcurra ani samego Belzebuba.

— No i cóż Edwardzie: skorzystaj. Edward się nachmurzył, a Daniel rozśmiał się na całe gardło.

— Wyborny! ale nie zupełnie mi się udało. My z Florencją choć wam nie dorównamy we wszystkich, mamy więcej od was rozsądku, bez porównania, bo najmniej trzy razy w tydzień się pogniwamy, a to obrachowane przezemnie żeby mieć trzy razy pojednanie. Gdyż nic nie wyrównywa szczęściu następującemu po gniwach pomiędzy dwójkiem kochających się serdecznie, i kiedy dopnę tego że wy się trzy razy w tydzień będziecie gnić z sobą..

— Nie, nie; dziękuję ci Danielu: bardzo dziękuję! — rzekł Edward z żywością, która wywołała serdeczny uśmiech na obliczu Amalii.

— Jak sobie chcesz, ja tylko ofiaruję: wolno przyjąć albo nie.

— Schowaj sobie swoją ofiarę i mówny o rzeczach poważnych.

— A to byłby cud nadzwyczajny w tym domu!

— Nie wiem co się dzieje na Barakach?

— Przez trzy dni już nikt tam nie zajrzał, co jest także nadzwyczajność u federalistów. Byłem tam dziś rano; wszystko w tym stanie jak zostawiliśmy przed dwoma tygodniami; wierni twoi murzyni śpią w dzień, a w nocy czuwają udając śpiących, gdy ktoś nadchodzi; lecz widzą i słyszą: więcej mi nie trzeba.

— O, poczciwi starzy: muszę ich wynagrodzić!

— Wczoraj kazała ich zawołać Marya Józefa i wypytywała, ale nie mogli jój nic powiedzieć, tylko że ciebie niema w domu i że nie wiedzą gdzie jesteś!

— Co za kobieta!

— Ale teraz nie mamy czego tak bardzo się lękać, bo stan rzeczy nam sprzyja! Jutro pierwszego września, Lavallo rusza w dalszy pochód. W tak ważnych okolicznościach nikt nie poważy się z osobistymi intrygami Rozasowi się naprzykrzać. Cała ta sprawa prześladowanie ciebie, i dalszy ciąg ścigania Edwarda znajduje się w podrzędnej sferze, bez rozkazu dyktatorskiego. *Mashorka* zaś i wszyscy koryfeusze federacji ociągają się z przybraniem stanowczej postawy, aż nie będzie jawnym rezultatem obecnej wyprawy. Przez ostatnią zatem połowę tego miesiąca nie mieliśmy nic ważnego, oprócz jednego zdarzenia przed tygodniem: ale to było z naku-
zu samego dyktatora.

— Cóż to za nowe wydarzenie? — spytała Amalia zaniepokojona.

— Posłuchaj, bo to charakterystyka Rozasa. Przybył do Buenos-Aires pewien człowiek z Korduby, poczciwy i spokojny, nie biorący żadnego udziału w polityce: prowadził na sprzedaż transport wozów z Południa. W kilka dni po przybyciu, towarzysząca mu żona wydawszy na świat nieżywe dziecko, znajdowała się w stanie bardzo niebezpiecznym. Mąż wyszedł z domu w celu zajęcia się pochowaniem zwłok dziecięcia, i szukania pomocy dla żony. Policja zatrzymała go na ulicy, weszła z nim do jego izby, a po najściślejszych poszukiwaniach, bez najmniejszej względności dla chorób dokonanych, chociaż nic a nic nie znaleziono, powlekli go do koszar, kazali przygotować się na śmierć i we dwie godzin rozstrzelali.

— Okropność! — zawołała młoda kobieta zakrywając oczy rękami. A żona? Cóż się stało z nieszczęśliwą żoną?

— Nieszczęśliwa żona dostała obłąkania i wkrótce pewno umrze.

— Obłąkana!

Edward skinął na Daniela żeby o czém inném mówić: Amalia jak trup zbladła.

— Kiedy się skończą te smutne czasy i będziemy razem wszyscy ty i Edward, ja i moja Florencyja, wtenczas, siostrzyczko, powiem ci straszne rzeczy, które się stały blisko ciebie a o których nie wiesz. Tylko że wówczas będziemy tak szczęśliwi, iż może nie zechce się nam mówić o smutkach. Pijmy za przyjście tego błogiego czasu!

— Tak, tak, niech nam zawita inna przyszłość!

Edward i Amalia ponieśli do ust szklanki za przykładem Daniela.

— Pij dobrze Edwardzie, wino sił dodaje, a mamy przebiecz zaraz ze trzy mile po porzeczu.

— Boże mój!.. o téj godzinie!.. — zawołała Amalia.

— Dotąd wyszliśmy cało, nic nam się i nadal nie stanie. Nas jest trzech, *Mashorka* musiałaby wysłać aż dwunastu, czterech na jednego, wtenczas mogłaby być sprawa wątpliwa; ale ich tylu nigdy razem się nie włości: sześciu, ósmiu co najwięcej.

Kochająca kobieta nie wątpi nigdy o mężtwie w wybranym swego serca, ale nie pragnie by takowe na próbę wystawiał. Amalia odrzekła szybko:

— Ale będziecie unikać spotkania? Edwardzie, wszak prawda, nie będziesz się narażał?

— Nie, narażać się nie chcę; zanadto cierpiałbym nad niemożnością powrotu do tego domu.

— Dobrze mówi, bo to jedyny dom z kąd go nie wyrzucają.

— Jego? cóż to znaczy?

— Co znaczy! moja droga, alboż nie wiesz? Nasz szanowny professor początków nie wypchnął go z domu pięścią ale retoryką; moja Florencyja przyjęła go w gościnę, ale nazajutrz ja go ztamtąd wyrzuciłem; jeden z naszych przyjaciół chciał go przetrzymać

przez dwa dni, ale jego zacy ojciec pozwolił tylko na półtora; w ostatku ja go tylko dwa razy u siebie przyjąłem, a z dzisiejszą nocą będzie trzy. W pół do dwunastej, idźmy; gdzie twój płaszcz i szpada?

— Luiza wzięła do swego pokoju, pójdę ją zawołać.

I wyszła, więcéj jeszcze dla ukrycia łez przepelniających jój zrenice. Z przybocznego pokoju weszła do drugiego: w obydwóch nie było światła, tylko księżyc je oświecał przez szyby okien wychodzących na gościniec, który prowadził w górę pomiędzy *Oliwkami* a *Fustką*.

Edward z Danielem rozmawiali przez chwilę z sobą, kiedy nagle usłyszeli krzyk Amalii i jednocześnie zbliżające się jój kroki.

Obydwa poskoczyli ku drzwiom drugiego pokoju, lecz już w nich stanęła młoda kobiéta.

— Co się stało? — zapytali jednym głosem.

— Nic... nie wychodźcie jeszcze... nie wychodźcie dziś wcale, — odrzekła okropnie blada i pomieszana.

— Na Boga, Amalio! co to takiego? czy tam kto jest?

— Nie ma, nie ma, ale nie wchodźcie tam, — mówiła nie ustępując z progu.

— Czegoż krzyknęłaś? czemu tak zbladłaś straszliwie?

— W ciemnym pokoju Luizy zobaczyłam kogoś stojącego za oknem wychodzącém na gościniec. Zrazu sądząc że to Pedro albo Fermin, przystąpiłam bliżéj dla przekonania się; ale wtenczas ten człowiek mię dostrzegł, odwrócił się szybko, okrył twarz ponaszem oddalił się prawie biegnąc; lecz nim się odwrócił od okna, promień księżyca padł na jego twarz i poznałam go.

— Któż to taki? Amalio! — zawołali obydwaj.

— Marinio.

— Marinio? — wykrzyknął Daniel, a Edward wykręcał sobie palce.

— Tak, on: nie mylę się. Nie mogłam się powstrzymać i krzyknęłam.

— Wszelkie nasze ostrożności i zabiegi już teraz za nic! — wołał Edward gwałtownie krocząc po sali.

— Nie ma wątpliwości, on tropił za mną kiedy wyszedłem z domu Arana, — mówił Daniel zastanawiając się i rozważając.

Otworzył drzwi wychodzące na rzekę i zawołał służącego.

— Ferminie, potrzebuję wiedzieć czy tam wśród drzew oliwnych nie znajdują się ludzie konni, a jeżeli ich tam już nie ma, tedy muszę wiedzieć w którą się stronę udali i wielu ich było: jeżeli już ztamtąd wyjechali, to nie będzie jak od pięciu minut kiedy tam staniesz.

Fermin odszedł, a pozostali przeszli do pokoju Luizy i otworzyli okno, zkąd widać było górny gościniec, a za nim powyżéj kilkadziesiąt drzew oliwnych, które w takiéj oddali od domu wydawały się niby widma zwiędzające tę samotną okolicę.

Jakiś czas już patrzali na drogę ku stronie drzew, gdy odezwała się Amalia:

— Czemuż tak długo wybiera się Fermin?

— Oh, on już o dobry kawał drogi od nas.

— Przecież nie przejeżdżał tędy, a inaczej nie dostanie się na gościniec.

— Nie, moja droga, Fermin jest dobry *gaucho* i wie że za umykającą zwierzyną nie idzie się w pogoń od tyłu; jestem pewny że on wydmą zjechał na dół, a o kilka staj dalej w górę podjechał i dopióro zawrócił ku drzewom oliwnym górnym gościńcem..... otóż i jest, tam, widzisz go?

W istocie widać było o dwa staja od *Pustki* jadącego na ciemnym koniu, po prawym brzegu gościńca zostawiając nieco na lewo drzewa oliwne: a za chwilę słysząc się dał głos tego jeźdźca śpiewający jedną z owych tęsknych a dzielnych pieśni naszych *gauchów*, które wszystkie są odmienne w słowach a podobne melodyą.

Naraz powstrzymał galop konia, a truchtem zwrócił ku oliwnym drzewom nie przerywając śpiewu. Potem znikł pomiędzy drzewami, a za chwilę znów z pośród nich wypadł jak meteor i w mgnieniu oka przeleciał drogę dopióro co przebytą.

— Ścigają Fermina, Danielu, już go nie widać! — rzekła Amalia.

— Bynajmniej: ja to rozumiem wszystko.

Rzadki dar spostrzegawczy posiadał Daniel w nader wysokim stopniu, i przezeń pojmował mądrość *gaucha* tak dobrze jak cywilizacyi rozum, nie zawodząc się prawie nigdy.

— Fermin nie znalazł nikogo między drzewami, zjechał, poszukał śladu i znalazł świeże wskazówki przejścia koni w tym kierunku, jakim za nimi w pogoń się puścił dla sprawdzenia swoich domysłów.

Wrócili do sali i stanęli we drzwiach wychodzących na rzekę. Za ledwie byli tam dziesięć minut, kiedy dostrzegli Fermina lecącego jak wiatr przez piaski pobraża. Wielkim klusem podjechał w górę wydmy i przededrzwiami zsiadł z konia.

— Tam jadą — rzekł z owym charakterystycznym *gaucha* niedbalstwem.

— Wielu? jaką drogą?

— Trzech, górną.

— Poznałeś konie?

— Znam jednego.

— I cóż?

— Ten co naprzód idzie, to srokacz z białymi pęcunami, na którym jeździ komendant Marinio.

Amalia spojrzała z zadziwieniem na obu przyjaciół.

— Dobrze: a teraz sprowadź nasze konie na brzeg rzeki.

— Jakto? Jedziecie? — zawołała Amalia.

— Natychmiast. Fermina zostawiam tutaj; on i Pedro

będą czuwać nad tobą. Ja muszę koniecznie jeszcze dziś towarzyszyć w objazdach dyżurnemu, a Edward przenocuje w moim mieszkaniu. Ten tu dom nie jest już bezpiecznym, wypada poszukać innego.

— Mój Boże! znów troski i niepokoje, coraz nowe! — zawołała Amalia cisnąc skronie rękami.

— Spieszmy się Danielu, — mówił Edward, a w głosie jego wrzała taka niecierpliwość, tak ponury blask świecił w jego czarnym oku, że Amalia myśl jego odgadła i ujęła go za rękę mówiąc:

— Proszę cię, Edwardzie, przez miłość dla mnie, — z taką słodyczą, z taką tkliwością w głosie i spojrzeniu, że poraz pierwszy odwrócił od niej oczy, lękając się ażeby lwa nie urzekła czarodziejka.

— Spuść się na mnie, siostró, — rzekł Daniel składając pocałunek na czole téj istoty tak pięknej i szlachetnej, a tak nieszcześnie gnębionej.

Edward ścisnął jej rękę. Pożegnanie było milczące: każde z nich trapił inny niepokój, inne pragnienie. Amalia trapiła się ich odjazdem, Edward tém że Marinio mu umknie; a Daniel niemożnością przepołowienia się na dwóch ludzi, żeby razem czuwać nad Amalią na gościńcu San-Isidro, i nad Edwardem w mieście.

XIII

O b j a z d.

Wsiadłszy na koń przy rzece, Edward puścił się lotem strzały. Daniel po rozważnym obrachowaniu był pewnym że nie dościgną komendanta, czego chciał nadewszystko uniknąć; Marinio bowiem był naprzód o pół godziny. Wiedział nadto iż taki człowiek jak redaktor *Gazety* nie będzie po drodze bawił się rozkoszowaniem natury, lecz się postara co najprędzej wydobyć z tych bezludnych okolic. Pozwalał więc Edwardowi na galopowanie całym pędem. I to także przewidywał że konie jego choć rącze i wyborowe, nie wytrzymają przez całą drogę tak nagłego biegu: i w istocie zaczynały już tracić siły i okazywać się niesfornymi pod ręką jeźdźca.

Biegli jednakże popędzając ostrogą, kiedy nagle: „*кто идzie?*” — obito się o ich uszy. Znajdowali się już blisko koszar na *Retiro*, gdzie stała pikietta konnicy i pół kompanii z bataliona marynarki, bo reszta wysłana była do obozu Santos-Lugares.

— Ojczyzna! — odrzekł Daniel osadzając swego konia na miejscu.

Edward zaś tak szarpnął uzdeczkę swojego, że rumak się rzucił a jeździec o mało nie runął na ziemię.

— Jaki naród? — pytała dalej placówka.

— Czysta federacya, — odpowiedział Daniel.

— Jedźcie.

Edward już się miał znów puścić galopem, kiedy głos chrapliwy i donośny krzyknął: — „*Stój!*” — młodzieńcy zatrzymali się. Gromadka dziesięciu jezdnych spuszczała się ze wzgórza od koszar. Trzech wyprzedziło innych dla rozpoznania kto przybył drogą *Padolu*. Przypatrywali się im długo z niedowierzaniem, aż reszta konnych nadjechała.

— Winienes mi konia, generale — rzekł Daniel skoro tylko poznał generała Maucilla, który pełnił dzisiejszej nocy służbę dyżurnego. Młodzieniec wyrzekł te słowa tonem śmiałym i pewnym, jaki umiał przybrać w chwilach najtrudniejszych, i którym rozbierał najzłośliwszych i najbardziej przenikliwych.

— Bello tutaj? — rzekł generał.

— Tak panie, tutaj, więcej jak milę biegnę na porzeczu żeby się z panem spotkać, bo go nie dojrzałem w pobliżu żadnych miejskich koszar. A załem mam u pana konia, bo mój stracony przez tę gonitwę za panem.

— Była umowa że się stawisz u mnie o jedenastej, a ja przyszedłem z domu o kwadrans na dwunastę.

— Więc to moja byłaby wina?

— Tak się zdaje.

— Ha! to się uznaję winnym i nie dopominam się konia. Cóż nowego generale?

— Niema nic. Chciałeś pan odwiedzić ze mną naszych żołnierzy po koszarach. Zacząłem od *Retiro*, ale jeszcze pozostają wszystkie inne. Jedziemy razem? teraz udaję się do twierdzy.

— Tam się pewno pospali.

— Oh! alkałdy i sędziowie pokoju! powiedz mi jeśli laska, co to za żołnierze!

— Łatwo sobie wyobrazić. A więc generale spotkamy się na platformie twierdzy, bo muszę odprowadzić do miasta mego przyjaciela, który miał z nami noc przepędzić, lecz zasnął w drodze.

— Ejże! co to warta dzisiejsza młodzież! No, to dobrze, zobaczymy się w twierdzy i tam będziemy wieszcząć. Ale pośpiesz się.

— Za chwilkę wracam, generale.

Zostawiwszy przyjaciela w swoim mieszkaniu, Daniel zamknął sam bramę domu, i wsiadł znów na swego dzielnego rumaka. Przy fosach spotkał się z generałem i jego drużyną. a po zwykłych formalnościach wojskowych weszli do twierdzy.

Noc była ciągle piękna i cicha, a w wielkim dziedzińcu warowni i po korytarzach gmachu, w którym się mieścili za innych czasów wydziały ministeryalne, gromadkami palili cygara i gawędzili z sobą wszyscy z miasta alkałowie i sędziowie pokoju, ich pomocnicy i posługacze, połowa straży nocnej, i wielka część głównego sztabu: wszystkiego około pięciuset ludzi.

Cała ta różnorodna załoga twierdzy zostawała przez tę noc pod rozkazami komendauta Marinio, według rozprządzenia inspektora wojennego.

Niepodobna opisać zdumienia komendanta straży nocnej, gdy ujrzął Daniela towarzyszącego generałowi Mancilla, kiedy on był pewnym że ten się w tej chwili znajduje w *пустце* o trzy mile od miasta.

Daniel ze swój strony nie wiedział że Marinio tej nocy ma służbę w fortocy, jednak na twarzy nie okazał najmniejszego żdziwienia. Lecz pojmując co się dzieje w umyśle komendanta na jego widok, rzekł do dyżurnego:

— To jest co się zowie służbistość, generale. Pan Marinio składa pióro a bierze szpadę w rękę.

— To jest co się zowie spełnieniem obowiązku, panie Bello, — odrzekł Marinio nie mogąc jeszcze ochłonąć z wrażenia.

— I to co się zowie czynność, — dodał dyżurny; — nikt tutaj nie śpi.

— A nigdzie tak nie zastaliśmy, — dorzucił Daniel.

I temi słowy jeszcze bardziej zamącił wyobraźnię komendanta: boć skoro Daniel wszędzie towarzyszył generałowi Mancilla, to on nie za nim jechał z daleka aż do *пустки* przed trzema godzinami, a więc może to nie była Amalia owa kobieta co krzyknęła w ciemnym pokoju owego domu. Tedy Marinio gubił się w domniemaniach. I podczas kiedy generał rozmawiał z niektórymi z sędziów i poszedł z nimi na górę do pokoju gdzie się znajdował stół zastawiony zimnem mięsiwem i butelkami, Marinio popełnił nieostrożność właściwą umysłom z nienacka zmieszany, nie mogąc się powstrzymać od zapytania Daniela:

— A więc to nie pan przejeżdżałeś się konno, dzisiejszego wieczora?

— Owszém, trochę.

— A!

— Aż do siódmj bawiłem u pana wice-gubernatora, a potem zanim się udałem z generałem Mancilla odbyłem małą przejażdżkę w okolicach *Retiro*.

— Po drodze ku San-Isidro?

— A tak. Ale sobie przypomniałem że mam pilny interes w mieście i zawróciłem. zazdroszcząc jakiemuś co przedemną jechał, i widać nie miał interesu bo nie zawrócił.

— Jechał przed panem?

— Tak jest, ku San-Isidro, górnym gościńcem, — odrzekł Daniel z taką dobrodusnością, że Marinio do reszty stracił głowę, i zaczynał przypuszczać że sam zdrwił z siebie.

— Co pan chcesz? — mówił dalej Daniel—my nie mamy ani chwili dla siebie. Żebym to ja miał przynajmniej pański talent, panie Marinio, gdybym tak umiał pisać jak pan, toby przecież moje trudy przynosiły pożytek sprawie federacyi. Ale tak, włóczę się z miejsca na miejsce cały dzień i całą noc, a ziarnka piasku nie warte to wszystko co zrobię na korzyść Restauratora.

— Każdy robi co może, panie Bello, — odrzekł Marinio, na którego duszy bardziej wykrzywionej niż jego oczy, nawet pochlębstwo nie robiło wrażenia.

— Kiedyż to będziemy w pokoju, i ujrzymy plonujące te świetne zasady które pan rozkrzewiasz *Gazetą*!

— Wtedy jak nie będzie ani jednego unitaryusza jawnego albo zamaskowanego.

— Właśnie to samo dzisiaj mówiłem do pana wice-gubernatora.

W tej chwili adjutant generała przyszedł z zaproszeniem do niego panów Bello i Marinio. Weszli na górę. Na około kilkunastu z tych ichmościów popijało wino z dyżurnym. Ale rzecz dziwna i nadzwyczajna! kielichy przeszły już czwartą kolęj, a żaden federalny toast nie obit się o sklepienie tego pałacu, który w innych czasach nasłuchiwał się toastów za wolność i ojczyznę! Marinio przyłączył się do towarzystwa, lecz również milczał.

— Czem służyć panie Bello? — spytał Mancilla.

— Za jadło dziękuję : lecz spełnię kielich za powodzenie naszego oręża.

— I wiecznej chwały Restauratora praw — dodał Mancilla.

Wszyscy wypróżnili do dna kielichy, lecz w najgłębszym milczeniu.

Generał dyżurny odwołał na stronę komendanta Marinio.

— Każ pan iść spać wszystkiój tej gawiedzi : kto wie, to może potrwać długo, niechaj się nazbyt nie utrudzają.

— Czy mam kazać podnieść most zwodzony?

— Niema potrzeby, nic takiego dziś nie zajdzie. Objadę jeszcze inne koszary, a potem sam się spać położę.

— Masz pan z sobą dobrego towarzysza.

— Kogo?

— Bello.

— A, to klejnot nie chłopak.

— Z jakiego kruszcu, generale?

— Nie wiem czy ze złota czy z połączanej miedzi, ale się świeci, — rzekł Mancilla z uśmiechem podając rękę komendantowi.

Zeszli na dół przez główne wschody, a przez czas kiedy Mancille zwoływał swoją drużynę do koni, Daniel zbliżył się do komendanta.

— Zadzroszczę panu, senior Marinio; pragnąłbym takiego stanowiska na którym mógłbym się odznaczyć.

— I zniósłbyś pan dla federacji to wszystko co ja znoszę.

— Wszystko : nawet szemranie.

— Szemranie?

— A tak. Tutaj nawet słyszałem dopiero co takich, którzy pana krytykują.

— Mnie? a to o co?

— Powiadają że pan nie pokazałeś się w twierdzy do jedynastój w nocy, a powinienes być być tu o siódmój.

Marinio wykręcił oczy i zaczerwienił się cały jak pomidor.

— Któż to powiedział, panie Bello? — spytał głosem trzęsącym się od złości.

— Tego się nie mówi: rozgłaszają się cuda nie wymieniając świętych. Ale zawsze takie pogłoski źle żeby doszły do uszu Restauratora.

Marinio zbladł jak chusta.

— To baśnie!

— O, nic więcej, tylko baśnie.

— Jednakże pan nie powtórzysz tego nikomu?

— Jak pan możesz przypuszczać? ja, taki wielbiciel pańskiego talentu? nadto mam szczególne powody sprzyjania panu, za usługę jaką chciałeś wyświadczyć mojej siostrze.

— Jakże się ma pańska siostra?

— Bardzo dziękuję, zdrowa.

— Dawno ją pan widziałeś?

— Dzisiaj wieczorem byłem u niej.

— A? słyszałem że się wyprowadziła z willi na Barakach.

— Nie. Przyjechała na kilka dni do miasta, ale niedługo wraca do siebie.

— A, wraca?

— Lada dzień.

— Nuż, Bello! — wołał generał Mancilla już na koniu.

— Jestem generale: dobranoc panie Marinio.

Daniel wskoczył na konia i wyjechali z fortecy. Marinio pozostał w największym niepokoju i niepewności, nie wiedząc sam jak miał nazwać tego młokosa, który mu się wymykał na wszystkie strony, i zewsząd wciskał w jego prywatne sprawy, którego przeczcuciem nienawidził, a u którego jednakże nie zdołał podchwycić ani jednego słówka, ani kroku nierozważnego, coby dał pozór do możliwości zgubienia go.

XIV.

Niebezpieczne zwierzenie.

Nie było więcej jak dwunasta w nocy, a miasto już puste: ukazywały się tylko cienie stróżów nocnych, każdego na swoim stanowisku, gotowych na hasło trwogi biędz do fortecy pod rozkazy swego naczelnika, a więcej nikt. Ani śladu już tej wesotój i ruchliwej ludności Buenos-Aires, której młodzież w innych czasach oczekiwała z niecierpliwością wieczoru, a żeby wolne dać pole swoim umysłom chciwym przygód i uciechy. Od zmroku każda rodzina zamykała u siebie swoich ojców i synów, dosyć było przechodzić ulicę po ósmój wieczornój w epoce terroryzmu, aby dać tém samém do zrozumienia, iż ten kto się na to odważał musiał

mieć wielką rękomię federalnej zastugi. Straszna to szkoła, w której od r. 1838 młodzież pozostała w Buenos-Aires uczyła się obyczajów niewieścich, kiedy w domowych jedynie progach mogła mieć niejaką pewność że się na każdym kroku nie spotka ze sztyletem Mashorki.

Może sen przynajmniej koił niepokój zgębnionych umysłów? nazbyt gorące były pragnienia, zbyt bolesne wrażenie tych chwil które przebywali mieszkańcy biédnego miasta, ażeby we śnie znaleźć mogli zapomnienie dnia wczorajszego. To téż skoro tylko podkowy kawalkasy dyżurnego zatętniły na bruku, natychmiast, to cień jakiś zaczernił się na tarasie, to gdzieś się uchyliła okiennica z ciemnego mieszkania i wybiegło spojrzenie zaniepokojone, badawcze.

Koń galopujący obudzał zaraz wnioski że to może sztafeta leci z doniesieniem o zdradzie, o zwycięztwie, o porażce. Huk jakiś którego na razie nie można wytłumaczyć sobie przyczyny, to pewno strzał armatni, lub pochód zbrojnych. I nie jednemu drużyna generała Mancilla przedstawiała się jako hufiec Lavalla wpadający do miasta.

Nietylko sprawa ogólna. wprawiała umysły w ten stan nerwowej drażliwości, interes osobisty przyczyniał się na równi z tamtą do tak mordującego ich nastroju, bo do politycznych przekonań każdej jednostki przywiązaniem było niebezpieczeństwo własnego jój losu.

Stronnicy federacyi jako zasady, wiedzieli iż się nie mają czego lękać osobiście tryumfu zasady unii, albowiem ta nie narzucała się orgźnie, ani uaczelnik krucyaty wyzwolenia nie przybywał dla wywierania zemsty za polityczne przekonanie. Lecz to także wiedzieli, że herszt mianujący się federalnym, wplątał ich w pasmo odpowiedzialności prywatnych, nie należących już do działu polityki lecz sprawiedliwości, i ztąd mieli obawę.

Ludzie należący do klubu *Mashorki*, skalani wszelkim rodzajem zbrodni jaki może prowadzić na rusztowanie, czuli się pod zasłużoną kłatwą tysiąca rodzin; osobiste krzywdy pociągają za sobą osobiste zemsty i kary: a więc drżeli na myśl tryumfu Lavalla.

Tacy co mieli krewnego w wojskach wybawczych, trwożyli się na wspomnienie walki nieuchronnej.

Ci którzy nigdy czynem nie dowiedli federalnego zapalu, co było już dostatecznym do pomieszczenia ich na liście unitaryuszów, dręczyli się niepewnością wążących się wypadków, niepokojem o kraj i o siebie samych w razie klęski Lavalla.

I otóż takim sposobem cała spóteczność jednéj i drugiéj barwy politycznej, wszystkie jój warstwy wplątane były w obecny stau rzeczy, bądź przekonaniem, bądź czynami; w osobach krewnych lub przyjaciół, wszyscy zostawali w trwożnym oczekiwaniu, i każda najdrobniejsza okoliczność jaka się przytrafiła, sprawiała wrażenie na umysłach niepewnością zachwianych.

Daniel jadąc obok generała Mancilla dostrzegał często ruch okien lub cienie na tarasach, i rozumiał co to znaczyło.

— Nasze kochane miasteczko nie śpi, generale; nie uważasz pan tego ?

— Wszyscy czegoś oczekują, mój drogi,— odparł Mancilla— z którego ust rzadko kiedy wychodził wyraz, któryby nie był złośliwym, dwójznacznym lub satyrycznym.

— Ale czy wszyscy tego samego, generale ?

— Wszyscy.

— Zadziwiającą jest ta jednoznaczność opinii która panuje pod naszym federalnym systemem !

Mancilla obrócił się i zniemacka spojrział na ten *klejnot*, jak go był nazwał, a potem odrzekł :

— Najdoskonalej się zgadzają wszyscy w jednym szczególnie pragnieniu, żeby się to co najprędzej skończyło.

— To ? cóż znaczy to, generale ?

Mancilla znów popatrzał na Daniela, bo pytanie było jawną napaścią na jego zaufanie.

— Mówię o stanie rzeczy.

— A ! o polityce. Ależ dla generała Mancilla polityka nigdy się nie skończy.

— Jakto ?

— Przecież pan nie jesteś stworzony na zamknięcie się w rodzinném życiu, udział w sprawach politycznych jest koniecznością dla pana, i czy to za rządem czy w opozycji' zawsze będziesz pan miał stanowisko swoje w naszym kraju.

— Choćby unitaryusze weszli ?

— Chociażby nawet i weszli. Wielu z naszych federalistów stanie pomiędzy niemi.

— Tak, a niektórzy nawet zajmą stanowiska bardzo wysokie, na przykład na latarni; lecz cóśkolwiekby, nasze miejsce zawsze obok Restauratora.

— O tak, on godzien tego aby go nie odstępować w przygodzie, — odrzekł Daniel z dziecinną prostotą, choć dobrze uchwycił dwójznacznik generała.

— Straszna to jednak rzecz jakie ten człowiek ma szczęście, nieprawdaż ?

— Dla tego że jest przedstawicielem sprawy federalnej.

— Która jest najlepszą ze wszystkich, wszak tak ? — rzekł Mancilla spoglądając na Daniela.

— Tak się nauczyłem na kongresie konstytucyjnym.

Mancille zagryzł sobie wargi: on na kongresie był unitaryuszem, lecz Daniel miał taki pozór dobroduszości, że stary lis nie mógł przewąchać czy to był sarkazm lub nie. Młodzieniec mówił dalej :

— I sprawa ta nigdy nie będzie pokonaną: to niezawodne, że tylko sami federaliści mogliby obalić Rozasa.

— Powiedziałyby kto że masz pięćdziesiąt lat, panie Bello.

— O, bo ja dobrze uważam co słyszę.

— A cóż to pan takiego słyszysz?

— Jak wiele niektórych z federalistów mają wziętości u ogółu, naprzykład pan generał.

— Ja?

— Tak, jest pan. Gdyby nie węzły spokrewnienia z Restauratorem, ten ostatni miałby się z panem na ostrożności, bo on musi wiedzieć jakiej pan używasz popularności, a nadewszystko zna rozum pana i męstwo. Dlatego też nie wierzę temu co mówią że miał jeszcze w roku 1835 powiedzieć, iż generał Mancilla nie zda się jak tylko do gry w cetno i lichy.

Mancilla raptownie konia przybliżył do niego i rzekł głosem rozdrażnionym :

— Te słowa podobne są do tego bydłęcia *gaucho*; ale wiesz dlaczego je powiedział?

— Pewno żartem, jeżeli powiedział, — odrzekł Daniel z najzimniejszą krwią.

— Dlatego że mnie się boi, — rzekł Mancilla ściskając ręką ramię Daniela i przez zęby dodał bardzo niepoehlebny przymiotnik do imienia Rozasa.

To oświadczenie wręcz nie było nic dziwnego przy takim charakterze, w którym się znajdowała mieszanina męstwa i swawoli, uniesienia i płochości. Lecz położenie było nazbyt niebezpiecznem aby się wkrótce nie upamiętał że się za daleko posunął w ufności względem młodego człowieka, zapóźno byłoby cofać się, i zdało mu się że najlepiej będzie wywołać równie ważne zwierzenie ze swego towarzysza objazdów, rzekł więc z właściwą sobie chytrnością:

— Ja to wiem dobrze, że gdybym zawołał, miałbym po sobie wszystką młodzież, bo wszakże żaden z was nie może sobie podobać w tym stanie rzeczy w jakim obecnie żyjemy?

— Wiesz co, generale? i mnie się tak zdaje, — odpowiedział Daniel, tak jakby mu podobna myśl po raz pierwszy w życiu do głowy przysła.

— A pan pierwszy byłbyś przy mnie?

— Gdyby była rewolucya?

— Gdyby była . . . cośkolwiekbądź, — odrzekł Mancilla nie ośmielając się wyrzec tego wyrazu.

— Myślę że bardzo wielu w takim razie poszłoby za panem.

— Alebyś pan poszedł? — nalegał Mancille chcąc koniecznie wydrzeć jakąś tajemnicę z młodzieńca, przed którym sam nierozważnie z tak wielką się wygadał.

— Ja? Widzi generał, ja nie mógłbym dla bardzo prostej przyczyny. Przysiągłem że się nie połączę z inną młodzieżą mojego wieku, odkąd się drudzy porobili unitaryuszami, a ja stale wyznaję zasady federalne,

— Ba! ba! ba!

Mancila odsunął się, wmawiając w siebie że Daniel jest sobie poprostu młokos paplający bez żadnego zastanowienia, gdyż podobny skrupuł honoru nie znalazłby miejsca w umyśle wyższym.

— Zresztą generale, — mówił Daniel jakby się na niczem nie poznał, — ja mam wstręt do polityki, dla mnie zabawa to damy i literatura.

— Tak i mnie się zdaje, — odrzekł sucho Mancilla.

— I cóż? jabym pragnął wejść w ślady generała Mancille.

— Jakto?

— To jest chciałbym się postawić tak tobrze jak on w łaskach u płci pięknej.

Miłośki były słabą stroną generała, tak jak mocne przebiegi polityczne: Daniel ugodził w cel.

— Oh, czasy te już minęły, — rzekł z uśmiechem.

— Nie dla kroniki.

— Ba! kronika, cóż to dowodzi!

— No, to jeżeli pan chcesz zostać przy obecnej rzeczywistości. Znajdę tysiąc unitaryszów, którzy nienawidzą generała Mancilla z zazdrości że ma taką żonę.

— Bo też piękna moja żona, co? śliczna! — rzekł Mancilla prawie wstrzymując konia i patrząc na towarzysza z wyrazem zadowolnionej miłości własnej w oczach i na całej twarzy.

— Krolowa wszystkich piękności, to i nieprzyjaciele uznają, i mojem zdaniem, jeżeli ten był tryumf ostatni, to wart za wszystkie.

— Czy ostatni . . .

— No, no, generale, nie chcę nic wiedzieć . . . jestem wielkim przyjacielem pani Augustyny, jakaś pogłoska o niewierności jej męża mogłaby ją podrażnić, . . . więc ja nie chcę i słyszeć o tém: pragnę jej spokoju.

— Ach, mój drogi, jeżeli umiesz tak drażnić i uspakajać kobiety jak mężczyzn, będziesz miał w życiu więcej miłosnych przygód aniżeli ja.

— Nie rozumiem, generale! — rzekł Daniel udając zupełne zdziwienie.

— Dajmy temu pokój, oto jesteśmy przed koszarami.

Odbyli przegląd tych koszar, następnie zwiedzili wszystkie inne gdzie były załogi wszelkich barw i klas społeczeństwa. Rzecz dziwna! szampan federacyi jakby przestał już *fermentować* w piérsiach jój dziatwy, bo bez szumu z nich wybiegały pytania i odpowiedzi, i wszelkie rozmowy dowódców z dyżurnym . . . Sprawa bez wiary, bez poczucia, bez zapału serca, chwiała się i ondlewała na piérwsze zmarszczenie brwi przeciwników . . . kapłani bez religii, całujący ziemię kiedy ich bożyszczce kołysze się ua ołtarzu z trupich kości! . . .

Daniel patrzył i badał, i na każdym kroku mówił sobie w myśli:

— Dwóchset tylko ludzi, a wszystką tę hołotę możnaby oddać Lavallovi z powiązanemi rękami i nogami.

Nad rankiem już przybyli przed dom generała. Lecz Daniel nie chciał ażeby szwagier Rozasa miał sen niespokojny w skutek swoich zwierzeń, i przed pożegnaniem rzekł do niego :

— Generale, pan mi niedowierzałeś, co wielce mi jest przykrém.

— Ja ? cóż znowu panie Bello !

— Tak jest, wiedząc że wszystka nasza młodzież dała się uwieść tym szaleńcom z Montewideo, chciałeś mię pan zbadać, i mówiłeś rzeczy których z pewnością nie myślisz, gdyż wiem dobrze iż Restaurator nie ma lepszego przyjaciela nad generała Mancilla. Ale ja się też mogę poszczycić równie jak pan moim federalnym patriotyzmem. Wierzysz pan temu ? — pytał z doskonale udaną nieśmiałością.

— Wierzę, wierzę, — odpowiedział generał ściskając mu rękę, i uśmiechając się z biédnego i prostodusznego *chlopeczyny*, jak go nazywał w téj chwili.

— Więc mogę zawsze liczyć na pańską protekcją ?

— Zawsze, niezawodnie ! a teraz dziękuję za towarzystwo: do widzenia.

— Żegnam pana generała, do miłego widzenia !

Daniel zawrócił konia, i śmiejąc się mówił do siebie:

— Nie byłbym dał złamanego szeląga za moje życie, póki myślałeś że jestem panem twojój tajemnicy, a teraz dałeś mi je sobie wykupić a ja ci nie zwróciłem twojego zastawu : dobranoc generale Mancilla, najwierniejszy sprzymierzeńcze swego kochanego szwagierka.

XV.

Ojczyzna, przyjaźń i miłość.

Za przybyciem do domu około czwartój z rana, Daniel zaprowadził sam konia do żłobu, bo wiernego Fermina nie było, a inni domownicy nic nie wiedzieli o nocnych pana wycieczkach.

Wszedłszy do mieszkania zapalił świecę i przedewszystkiém zajrzał do pokoju obok swojej sypialni, w którym spoczywał Edward. Sen jego był niespokojny, a na pięknych rysach rozsiadła się jakaś chmura czarna, objawicielka posępnych obrazów, jakie może w téj chwili drażniły jego podnieconą wyobraźnię.

Daniel długo mu się przypatrywał : znać nie dawno sen go zmorzył, bo świeca była prawie wypalona, i przy niej otwarty tom dziejów rewolucyi francuzkiój. Widział on w Edwardzie żywy i dotykalny obraz prześladowań i niedoli jakie cierpiała młodzież rzeczypospolitój, a biegnąc dalej myślami i coraz szersze stopniowo zakreślając koło, przyszedł do przekonania iż przed oczami ma

obecnej epoki uosobienie, z którego losów wyczytać może losy całego pokolenia do którego należał.

Blady, z podsiniałemi oczyma, znużony duchem i ciałem przez troski, trudy i ciągły niepokój, Daniel przeszedł do swojej pracowni i rzucił się na krzesło.

Lecz nagle, odgarniając ze skroni długie rozrzucone włosy, przysunął się do biurka, i spokojny, z twarzą pogodną jak zawsze kiedy go ważna myśl zajęła, powymmował ze skrytki niektóre listy, odczytał i zaczął pisać następujący:

„Do pana Buchet Martigny — *Buenos-Aires 1 września.*

„Odebrane przed tygodniem ostatnie listy pańskie potwierdzają miłe dla mnie przekonanie, iż los mojego kraju obudza coraz więcej współczucia pomiędzy ludźmi serca, choć obcych nam narodo-wością; a odezwy, jak mi pan donosisz, zaniesione przez współ rodaków pańskich do rządu francuzkiego za sprawą argentyńską, nowym są tytułem do naszej wdzięczności względem tych szlachetnych wyjątków w Europie, która nas tak mało pojmuje a jeszcze mniej nam sprzyja.

„Lecz obok złożenia tego hołdu wdzięczności, winienem otwarcie wyznać panu, iż wypadki dziś tak stanęły, że wszelkie wdanie się Europy czy to na naszą korzyść czy przeciwnie, przybyłoby za późno, gdyż wprędce musi się wszystko roztrzygnąć. Albo za dni piętnaście miasto będzie wziętém i Rozas zgubiony na zawsze, albo się nasze wojsko cofnie, a wtenczas wszystko upadnie na długie lata i podźwignąć się nie będzie w stanie nawet przy pomocy obcej potęgi. Położenie więc obecne radzi ażeby co prędkiej podeprzeć siły Lavalla wszelkimi możliwemi środkami, gdyż na najmniejsze współdziałanie mieszkańców stanowczo nie liczyć nie można. W mieście jest materyalnie nie możebnym zebrać w jedno kółko choćby dziesięciu ludzi, mimo że większość przeklina gnębiące kraj więzy, i z całym duszy upragnieniem wygląda godziny odrodzenia się jego swobody. Lecz przypomnij pan sobie wszystko co mu przy widzeniu się naszym mówiłem. Dziś jeszcze tylko moralne wrażenie nagłego wejścia do miasta może coś zdziałać, ale spieszyć się potrzeba nie tracąc godziny. Niech to wezmą pod rozważę niektórzy, a zwłaszcza komissya argentyńska, która tak wiele rozprawia a na nieszczęście z tak małym skutkiem. Upierają się przy mniemaniu, iż ludność naszego miasta dzisiaj jest tém czém była w roku 1810: jest to błąd, zaszczytny zapewne, ale błąd, a fakta które już przeszły w dziedzinę historii, na całej północy naszej prowincyi spełnione, powinnyby przynajmniej z połowę illuzji u naszych unitaryuszów zniszczyć.

„Ale jeszcze przedewszystkiém przekonać potrzeba Lavalla o tém co zawsze powtarzam, że potęga Rozasa nie jest w fosach, wałach, armatach i żołnierzach obozu *Santos-Lugares*, lecz się znajduje w stolicy; tam on jest silny: Buenos-Aires to głowa, a wszystko reszta tylko członki podrzędne. Ztamtąd musi wytrysnąć prąd rewolucyjny i rozlać się dopiero po całej Rzeczypospoli-

tój. Niech się więc nie waha. Oporu tu znaleźć nie może; federaliści pobici samą niepewnością powodzenia, a połowa z nich przynajmniej z chęcią przejdzie do Lavalla, ażeby w zdradzie przeciw Rozasowi szukać sobie rękojmi nadal. Dołączam przy niniejszém notatkę obejmującą rozlokowanie i liczbę sił pozostawionych w mieście, i t. d. . . i t. d. . .” B.

Daniel przyłożył na tym liście niezwykłą pieczętkę, zaadresował do pana Duglas, i wziął się znów do pisania:

„Droga Amalio! nie myliłaś się, twoje widziadło to nie kto inny jak Marinio. Zadałem mu klina w głowę. Wierzy i nie wierzy w to że za mną jechał i że ciebie odszukał. Ale sama ta wątpliwość będzie go podżegać i zechce z nią wyjść co rychlej! Odtąd kroki moje uporczywiej będą śledzone niż kiedy. Niema rady: śmiałość w tak trudnych razach jest roztropnością, trzeba wracać na Baraki i to prędko. Urządź wszystko i bądź gotowa każdej chwili. Wypadki bięgną już szybko, wszystko musi się dziać nagle, tak jak nagle będzie starcie się ostateczne z sobą naszego szczęścia i naszej zaguby. Boże, miej pieczę nad ludźmi dobrej woli!”

Po skończeniu drugiego listu napisał trzeci.

„Duszo mój duszy! jeszcze jest dla mnie szczęście na świecie, wielkie szczęście, kiedy przygnieciony i stargany walką bezowocną a straszną, której ty jeszcze nie znasz, mam twoje serce na przytułek dla mojego, mam twoje imię które kreśląc zbliżam się do Boga i do aniołów. Dzisiaj przecierpiałem wiele, jedyną mi ulgą jest nadzieja że się przychylił do mojej prośby. Potrzeba żebyś koniecznie nakłoniła twoją czcigodną matkę na wyjazd do Montewideo, jak można najprędzej, choćby jutro: ja wszystko ułatwię. Na niebie nad naszymi głowami, w powietrzu którym oddechamy jest dziś nieszczęście, i może . . . kto wie! . . . wszystko jest dziś zwiastunem złego . . . I w tych chwilach nie pragnę, nie chcę tego co byłoby mojem szczęściem, moją dumą, moim rajem. Lecz jeżeli to dla spokojności twojej matki przed wyjazdem będzie potrzebnem, jutro nas połączy kościół, tak jak nas już Bóg złączył: na wieki.

„Nie pytaj mię o nic. To tylko ci powiedzieć mogę, iż chciałbym cię unieść na gwiazdy, ażeby nawet powiew tych chwil czoła twojego nie dotknął. Nie żądam żebym z wami jechał . . . uciec mogę . . . moje przeznaczenie jest nieodzowne, przykuty jestem do Buenos-Aires . . . lecz niedługo się zobaczymy, może za tydzień, za dwa najdalej. To wiek cały, nieprawdaż. Tymczasem Florencyo na obłoku, powietrzem, światłem, rozmawiać będziesz ze mną, a ja słowa twoje składać będę w świątyni, gdzie obraz twój cześć odbiera: w mojej duszy.

„Usłuchasz mię, droga? Twoja matka nic ci nie odmawia, a ja cię nigdy nie prosiłem o nic, jak tylko o twoje szczęście i o szczęście twojego Daniela”.

Opowiadania o Warszawie, jój przeszłości i pamiątkach miasta.

Przez

F. Mak. Sobieszczańskiego.

I.

Co było na tém miejscu w czasach przedhistorycznych.—Natura dotąd znanego gruntu.—Kości zaginionych zwierząt, odkopywane w glinie.—Ostatnie ślady morza i lodowców.—Kamienie polne i znajduwane skamieniałości. Dowody że oba brzegi Wisły na obszernój przestrzeni pokrywały niegdyś lasy.—Najdawniejsza topografia gruntu.—Najstarsze zabytki i ślady pobytu ludzi.

Stosownie do nowego kierunku przyjętego w badaniach przeszłości, chcielibyśmy czytelnikom opowiedzieć najprzód historią tego kawałka ziemi, na którym wznosi się piękne miasto rozsiadłe na wzgórzystym brzegu Wisły i przeglądające się wdzięcznie w nurtach rzeki u stóp jego płynącej.

Może to zaciekawieć, gdyż odkąd nauki ściśle idą ręką w rękę z naukami wyzwolonemi, ileż odkryć poczyniono w tym względzie! Ile szczegółów na które dawniej nie zważano lub odrzucano, jako nie należące do rzeczy, a które okazały się, że zostają w nierozdzielnym ze sobą związku.

Obecna nauka znajomości wnętrza ziemi doszła już do wielu wzniosłych prawd. Wiemy teraz, że świat przyrody i dzieje rodu ludzkiego przechodzą jednakowe koleje ciągłego postępu i ulegają zarówno nieustannym zmianom. Mają swoje odpowiednie epoki, stopniowe a poniekąd częściowe rozwijanie się, oraz dzieje kształcenia

i doskonalenia. Lecz epoki te są olbrzymich rozmiarów, następują po sobie zwolna, nieznacznie dla oka, z małemi wyjątkami wydarzających się tu i owdzie gwałtownych objawów.

Źródłem tego rodzaju dziejów są pokłady ziemi obejmujące w swoim wnętrzu bogate archiwum składające się ze szczątków jestestw, z ustrojów roślinnych zwierzęcych i nieożywionych, które zastępują miejsce później występujących w dziejach ludzkości numizmatów, napisów i dyplomatów, okres czasu i daty oznaczających.

Tylko jedne i drugie pisane są właściwym językiem, który odczytać potrzeba.

Mamy więc i tam księgę historii przed sobą otwartą. Cóż kiedy wszędzie zaledwie kilka kartek w niej odcyfrowano, a reszta pozostała jeszcze tajemnicą.

Gdzieindziej przynajmniej pilnie około czytania krzątają się, u nas mało dotąd na tém polu uczyniono postępu. A że szczupłe są wiadomości o całym kraju, tém bardziej przeto o Warszawie.

Nikt tutaj wyłącznie nie badał naukowo pokładów gruntu, nie robiono ciągu spostrzeżeń, nie czyniono specjalnych poszukiwań.

Od czasu doktora Erndtela opisującego Warszawę w r. 1728 pod względem przyrody, i Filipa Carossi uczonego górnika, który w r. 1770 szukał tutaj i w okolicy minerałów oraz skamieniałości, nastąpiło potem długie milczenie. Przerwał je dopiero przed trzydziestu laty znakomity geolog Pusch, wspominając o niej niekiedy mimochodem, i oto wszystko co dotąd było zrobiono.

Natura ziemi na obszerném zagłębieniu Mazowieckiej równiny, w przestrzeni przez miasto teraz zajmowanej, znana jest w kilku miejscach zaledwie do głębokości 390 stóp pod najniższy stan wody. Chociaż więc wszystkie warstwy gruntu, na którym wznosi się Warszawa nie są jeszcze dostatecznie zbadane, pewnem jest wszelako, że formacja jego geologiczna zwykle napływową zwana, w składzie swoim zawiera warstwy nie regularnie uławiczone i falowato pomieszane pokłady i żyły gliny, stwardniałego iłu, jużto czystego, już pomieszanego ze zwirem, oraz warstwy mniej więcej grubego i czystego piasku.

Z dotychczasowych spostrzeżeń nad układem warstw miejscowości wnosić można, że wielka ich część wychodzi u brzegów Wisły, a inne w swym faldzistym biegu ukazują się na powierzchni ziemi tworząc obszerne piaszczyste przestrzenie około Marymoutu, Wawrzyszewa i t. d. lub pokłady iłu i glin żelazistych w stronach ku Mokotowu, zaś tuż za Pragą rozpoczynają się pokłady torfu.

Napływy jakie tutaj Wisła osadziła są bardzo niestateczne co do położenia i oprócz piasku składają się z gliny, utworu jurowapienia, i bodaj także margła kredowego. W okolicy też Warszawy można łatwo na brzegach tej rzeki, przy uiejakięj uwadze rozróżnić, nowszemi powodziami naniesione warstwy od dawnych napływów. Tamte zawierają w sobie zawsze ułamki krakowskiego jura wapienia wodami zaokrąglone, nieco krzemienia i odłamki karpackiego piaskowca;

gdy tymczasem te ostatnie nie mają wapienia, a za to zawierają zaokrąglone głazy czerwonego granitu i tromatu czyli szarogłazu.

Glina według zdania mineralogów jest właściwą formacją geologiczną, osadziła się ona w ostatnich czasach przetwarzającej się skorupy ziemskiej, na dnie wielkich zbiorowisk wodnych i zawiera jedynie szczątki stworzeń żyjących niegdyś w wodach słodkich, bez żadnego śladu morskiego jestestwa. W glinie tutejszego kraju znajdują się na wielu miejscach charakteryzujące ją ślimaki lądowe, tudzież kości zwierząt czworonożnych zaginionych. Pomiędzy niemi nosorożca, wołu pierwotnego i gatunku sloni pierwotnych (mammuta). Ztąd od tych ostatnich szczątków najliczniej znajdujących się, osad ten niektórzy gliną mammutową nazwali.

Takię gliny było oddawna i jest jeszcze podostatkiem w Warszawie, zdaje się jakby przyroda ułatwiając sposobność umyślnie przeznaczyla to miejsce na wzniesienie wielkiego miasta. W niej od niepamiętnych czasów odkopywano tutaj olbrzymie kości, które w tém mniemaniu, że są po wielkoludach, podług przyjętego w całym kraju zwyczaju, umieszczano w przedsionkach kościołów.

Jeszcze teraz na korytarzu prowadzącym do sali posiedzeń kapituły kościoła Ś. Jana, widzieć można zawieszone szczątki kości z nosorożca i renifera, a w sieni byłego klasztoru Missyonarzy przy kościele Ś. Krzyża na Krakowskiem Przedmieściu wielką szczękę z wieloryba. Podobne okazy mammuta są i w gabinecie anatomii porównawczej Cesarskiego Warszawskiego Uniwersytetu, tudzież po zbiorach prywatnych; szkoda tylko iż wszystkie wymienione szczątki nie mają oznaczonego miejsca swego pochodzenia. Za to znaczne szczątki wołu pierwotnego znaleziono przed kilkoma laty pod Czerniakowem, a w r. 1868 rybacy wydobywali na Saskiej kępie liczne zęby mammuta.

Niemniej wymownemi zabytkami przeszłości są wyżej wspomniane głazy naniesione (*blocs erratiques*) czyli tak zwane kamienie polne rozmaitej wielkości i gatunku, używane w Warszawie do brukowania ulic dawniej wszystkich, teraz bocznych i oddalonych; kamienie tego rodzaju znajdują się w tutejszym gruncie tak obficie, iż uprawiający drzewa owocowe, aby je wydobyć, muszą grunt przekopywać, inaczej drzewa wysychają.

W nauce dowiedzioną już została natura ich skandynawska i pochodzenie. Geologowie utrzymują iż przyszły one tutaj ztamtąd w ostatniej epoce lodowej przez morze, wmarznięte w olbrzymie kry, wodami przeniesione. Następnie przez opadnięcie wód i roztopienie się lodu, rozsiały się tam gdzie je teraz napotykamy.

W miejscu tedy dzisiejszej wspaniałej Warszawy, przed wieloma tysiącami lat, podobnie jak w większej części Europy, rozlegało się głębokie morze, które zapewne wielokroć kolejno odkrywało dno ziemne i znowu je zalewało.

W tej ostatniej epoce zmianami klimatycznymi objaśnianej, na morskich wodach unosiły się potężne góry lodowe, pędzone prądami z północy na południe. Wtedy to wody pooplukiwały granitowe

skały Finlandyi, Szwecyi, Norwegii i wapienie Estonii i Inlant. Dno morza naszą ziemię zalegającego, zaniosło się łem i piaskiem powstałym z rozkładu, starcia się i zwietrzenia tych kamieni, oraz pokryło głazami oderwanymi od łądów lub mielizn morskich północy, zaniezionych na tratwach lodowych.

Wówczas przywędrowały tutaj ze Skandynawii te wszystkie okazy, które w ogrodach i okolicach dotąd się znajdują.

Tegoż samego są pochodzenia skamieniałości napływowe do dawniejszej nierównie epoki należące, znajduwane w iłach, piaskach i wapieniach. Owe belemnity, amonity, madrepery i t. p., podobnież kornaliny, agaty a nawet opale, o których piszą naturalści krajowi, Rzączyński, Erndtel, Carossi i inni, które dotąd są odkrywane.

Z końcem burzliwej epoki lodowej nastąpił spokojniejszy okres dziejów skorupy ziemskiej. Wtenczas większa część rzek dziś istniejących, ustaliła kierunek biegu swego, zasilane obficie źródłami tworzącymi się z tających lodników i gromadzącej się wilgoci na obróślonych lasami wyżynach górskich. Takież początek zapewne miała i Wisła zwana pierwotnie Białą wodą, co znaczyło tyle, jakoby przedniejsza i najwspanialsza między innymi. Jakoż koryto jej wielokrotnie zmieniane, było niegdyś daleko szersze, obszerniejsze niż teraz i bliżej wzgórz sięgała.

Po obu jej brzegach wspomagana nastąpiła przychylną zmianą klimatu, rozwinęła się bujna roślinność. Ślady lasów w rozległej przestrzeni na około Warszawy dotąd są widoczne. Przekonywają o nich torfy na Pradze, powstałe może jeszcze z dawniejszej roślinności. Mówią najstarsze podania miejscowe; wskazuje pochodzenie nazwisk licznych w całym obrębie osad ludzkich, które wyraźnie przyjęły swoje miano od poprzedniego stanu miejsca. Takimi są np. między innymi wsie najbliższe Warszawy: Lasy, Czarny las, Bukówka, Brzeziny, Grabiny, Jaworowo, Lipków, Podolszynie, Dąbrówka, Zaborów, Zaręby, Kłodno, Pieńków i t. d.

Wspominane są w bardzo wielu historycznych źródłach piśmiennych. po dawnych dyplomatach, lustracyach, kronikach, i t. p. Tak w przywileju zwanym lokacyjnym Janusza starszego księcia Mazowieckiego z r. 1413, wymieniony jest las *Lang* to jest *Łęg* czyli *Ług*, co w ówczesnym języku znaczyło gaj, i wskazano iż rozciągał się pod zamkiem między pochyłością góry i brzegiem Wisły, zatem w stronie dzisiejszych ulic Bugaj, Brzozowa i Mostowa (1).

W dawnych aktach tyczących się posiadłości uniwersyteckich, czyli tak zwanego pałacu Kazimierowskiego, przy ulicy Krakowskie Przedmieście, są ślady, że całe górzyste nadbrzeże Wisły aż poza granicę teraźniejszego Solca, zajmował odwieczny las bujnie zarosły, który później obrócono na zwierzyniec dla zabawy panujących. Spominają go jeszcze źródła archiwalne z pierwszej połowy XVII wieku. Rewizya skarbowa całego Mazowsza odbyta w r. 1564, opisując ówczesny stan Warszawy, wymienia w stronie teraźniejszej ulicy Nowy

(1) Zbiór pam. Płatera I s. 144.

Świat, gdzie teraz jest ulica Chmielna, wielki pastewnik Chmielnikiem wtedy zwany, w którym pisała, że olszyny i dębiny rosło tam nie mało (1).

Jakoż jeszcze na planach miasta 1770 roku, są oznaczone zarosła po lasach pozostałe, około ulicy Wielkiej, Hożej i sąsiednich tymże. Z tegoż samego dokumentu i wielu innych dowiadujemy się, że za książąt Mazowieckich aż do końca zeszłego stulecia, cała okolica około Powązek była zarosła lasem, który zwano gajem książęcym; mówi o nim rzeczona rewizya w następnych słowach. „Jest ku Warszawie boru nie mało, za młynem, wszecz i wzdłuż na pół mile dobre. Jest w nim drzewo ku budowaniu godne, dębiny nie mało, a cały nieposzkodzony”. O tym gaju pełno po archiwach wspomnień. Stały w nim za dawnych czasów budynki myśliwskie, służące dla dworu bawiącego się polowaniem, o których jako niegdyś istniejących tradycyjnie już pisała w r. 1642 akta kapituły kolegiaty Ś. Jana (2). Resztki owego lasu przetrwały do schyłku zeszłego stulecia. Można bowiem ówczesni właściciele Powązek, przy uroczem urządzeniu miejsca, wśród sztucznych sielskich domków, drzewami i kwiatami okrytych, posiadali jeszcze lasek cienisty, wodę czystą i cudne widoki opisywane i wychwalane przez poetę Trembeckiego w znanym osobnym wierszu; co wszystko wkrótce potem znikło zupełnie pługiem zagładzone.

Nakoniec w samem mieście nawet, jest jedna posiadłość przy ulicy Długiej pod Nr. 546, zwana dotychczas Suchy las i są nazwy ulic, które niewątpliwie otrzymały na pamiątkę przeszłego stanu gruntu. Takimi są np. ulice: Bugaj, Brzozowa, Chmielna, Dębowa (na Pradze), Lipowa, Olszowa (na Pradze), Smolna, Sosnowa, Żórawia, dawniej Żórawinowa i t. p.

Z tórn położeniem zgodną była najdawniejsza topografia Warszawy. Aczkolwiek nie wiele mamy materyałów do przedstawienia dokładnej postaci gruntu, w bardzo odległych czasach, lecz według szczegółów zebranych ze starych częściowych mapp i planów znajdujących się w archiwum Magistratu, tudzież rozmaitych piśmiennych dokumentów, możnaby sporządzić wierny opis stanu powierzchni przed dwustu mniej więcej laty; poznawszy zaś ten stan, czytelnik łatwo wystawiłby sobie prawdopodobny obraz najodleglejszej przeszłości.

Przebiegając dziś ulice Warszawy prócz tych, które spuszczaają się ku Wiśle, dostrzegamy nieznaczne tylko ich pochyłości i zdaje się nam jakoby miasto zbudowane na równinie. Tak jednak nie jest; grunt na którym leży górna część miasta był bardzo nierówny i poprzecinany różnemi wklęsłościami i wąwozami, wyrównanemi tylko przez czas i sztukę. Przechodziły przezeń rozmaite większe i mniejsze strugi, tak nawet znaczne, iż gdy później tamowały komunikacyę, pobudowano na nich obszerne mosty. W wielu stronach dobywały się

(1) Ks. Rewizyi 18 s. 72 arch. b. Kom. Skarb.

(2) Vol. V. s. 834.

źródła, były mnogie wielkie stawy, sadzawki, kałuże i bagna; co wszystko z czasem zostało zasypane lub w części pobudowanemi kanałami osuszone. Dziś jedynem tego stanu przypomnieniem pozostały nazwiska kilku ulic, jakeimi są: Stawki, Źródłowa, Topiel, Tamka, Źabia, Bagno, Błotna, wskazujące wyraźnie pierwszy stan miejscowości.

Niektóre wznioślejsze dotąd miejsca formując w oddalonych czasach znaczniejsze wzgórze, przez długie wieki nosiły nazwy gór. Takimi były między ulicą Pokorną a rzeczką Druną, za naszej pamięci jeszcze widzialna góra zwana Łysą, prastare miano powtarzające się niemal w całej Słowiańszczyźnie. Na początku XVIII wieku obrócono ją na cmentarz dla ewangelików, potem stanęły na jej części koszary wojskowe dla gwardyi, następnie Aleksandrowskiemi zwane, w końcu znikła wszedłszy w obręb fortyfikacji Cytadelli.

Wyższe wzniesienie gruntu ułożonego z warstw gliny będące między Wisłą i ulicą Spadek, które także zajęte zostało pod Cytadellą Aleksandryjską, nosiło podobnież miano gór zwanych od pierwszej połowy XVII wieku pijarskiemi, chociaż nie wszystkie były własnością tego zgromadzenia i część należała do jezuitów. Stały tu liczne cegielnie, ztąd przez brany z nich materyał coraz bardziej zmniejszane, nikły. Inno wzniesienia powstałe nikiiedy z rozmaitych zbiorowisk od swego pozoru lub przeznaczenia, zwano górami: Zieloną, Gnojową, Kalwaryą i t. p.

W ogóle zresztą postać gruntu była następną: poczynając od dzisiejszego placu Ś. Aleksandra ku rogatom Marymontskim. I tak wzdłuż ulicy Żórawiej szła struga biorąca początek na polach około teraźniejszego magazynu bankowego z pochyłością od folwarku Świętokrzyżkiego. Źródła prócz tego miała w ulicy Kruczej i w ulicy Brackiej około nrów 1581 1588. Wielki staw znajdował się w posesyi naprzeciw ulicy Wielkiej pod Nr. 1600a, gdzie teraz jest folwark Świętokrzyżki. Przecinając ulicę Bracką przechodziła struga przez podwórze posiadłości pod Nr. 1274, gdzie teraz jest stacya autobusów i pod wielkim murewanym mostem wchodziła do wąwozu, który jest teraz ulicą Książęcą. Most ten stał przy ulicy Nowy Świat opatrzony z obu stron murami parapetowemi, miał długości w kierunku ulicy łokci 40, szerokości 26. Oznaczony on jest z wymiarami na planie cząstkowym w r. 1773 (1). Istniał jeszcze na początku bieżącego stulecia, wkrótce jednak znikł nawet z pamięci, tak iż gdy przy urządzeniu odpływu drenów osuszających posesyjo n. 1587 w r. 1869 odkopano dwa parapetowe mury, pisma czasowe Warszawskie podawały o nich różne mylne domysły.

Wzdłuż ulicy Jeruzolimskiej, po obu stronach, jeszcze za naszej pamięci widzieć się dawały obszerne wodozbiory pochodzące z bardzo odległych czasów.

Okolica Ordynackiego od strony Wisły była miejscowością, która w najdawniejszych aktach występuje pod nazwiskiem „Glinki”

(1) Zbiór planów w Magistr. II, 12 III, 14.

z powodu natury jej gruntu; znajdowały się i tutaj wąwozy oraz rozmaite wklęsłości aż do drugiej połowy XVIII wieku. Jeszcze w aktach Kommissyi brukowej czytamy, że w r. 1778, jeden z zamożnych właścicieli wystawił most na ulicy Wareckiej dla wygody mieszkańców.

Nazwisko ulicy Bagno przekonywa, że w tém miejscu ścieki z pobocznych gruntów nie miały dostatecznego odpływu. Rzeczywiście gromadziły się one aż po róg ulicy Granicznej i Królewskiej, przy tak zwanym końskim targu, gdzie stanowiły wielką kałużę i gdzie dla komunikacji pobudowany był w XVII i powtórnie w XVIII wieku, most drewniany w dwóch kierunkach to jest po ulicy Granicznej i Królewskiej (1).

Zabia ulica domyślać się każe bagnistego gruntu, nie masz wszelako o nim śladu na mappach, już na początku zeszłego wieku z téj miejscowości sporządzanych. Tylko Antoni Magier w swoich pamiętnikach powiada, jakoby za jego czasów, jeszcze w r. 1778, slyszal tutaj skrzeczące w kałużach żaby, z którego to powodu ulica nowo wytknięta nazwisko otrzymała.

Ulica Przejazd stanowiła znowu mocne zagłębienie gruntu. Z Leszna i Nowolipia schodziły tam ścieki. W posesyjach pod nr. 2483, przy ulicy Karmelickiej i pod n. 737 na Lesznie, były źródła bardzo obfite, z kąd rurami wody sprowadzano do Staréj Warszawy. Z tyłu posesyi n. 648 był staw z odpływowym rowem do placu, na którym później stanął pałac Hilzenów, potem Mostowskich i byłéj Kommissyi Spraw Wewnętrznych, teraz na koszary zamieniony (2). Tędy też szedł rów okopów najdawniejszych, usypanych w r. 1621, który później zamieniono na kanał idący Naławkami, ulicą Wałową, dalej pomiędzy Franciszkańską, Czarną i Wójtowską spływał do Wisły.

Dla utrzymania komunikacyi z ulicy Przejazd, stał także most drewniany znacznej długości (3). Podobnie z ulicy Dzikiéj ku Nałewkom był spadek gruntu, a w posesyjach pod n-mi 2248, 2249 i 2285 znajdowały się źródła, które dostarczały wody do Nowéj Warszawy.

Liczne stawy zajmowały miejsca gdzie teraz wznoszą się posiadłości oznaczone numerami 2249, 2285 i 2286; świadczyły one o nadwyzwyczajnej ilości źródeł w téj okolicy i dopiero po roku 1827 zasypane, znikły (4). W tyłach posesyi pod n. 1799 przy ulicy Franciszkańskiej były dwa obszerne stawy w kwadrat, trzeci zaś mniejszy znajdował się w posesyi pod n. 1791, wychodzące na ulicę Święto-Jerską.

Przy ulicy Wygon posiadłość pod n. 2184 stanowiła niegdyś obszerne bagno i sadzawkę, mającą przeszło 250 łokci długości a 150

(1) Zbiór plan. II 20.

(2) Zbiór plan. III, 27.

(3) Tamże I, 15.

(4) Weinert. Staroz. III, f. 6.

szerokości, którą później osuszono, poprowadziwszy w r. 1784 kanał od ulicy Bonifraterskiej, przez ulicę Wygon, Zakroczymską do Wisły.

Grunta mianowicie położone w stronie zachodniej Warszawy ku Powązkom i same Powązki miały oddawna liczne zdrojowiska, strugi, stawy, oraz mokradła i błota. Są one wskazane jeszcze na planach miejscowych, sporządzanych w zeszłym wieku. Tu były odwieczne uroczyska wymienione na mapie 1775 roku, noszące nazwiska: Sobiebloto, Włoki, Wapno, Korytko i t. d., które jak wiadomo są pamiątką pogańskich czasów, gdzie odprawiano uroczystości religijne. Bywały one urządzone zawsze w zakątkach niedostępnych, naturą od napadu obwarowanych, wśród błot, trzęsawisk i pośród lasów.

Najbliższa ulica Stawki otrzymała nazwisko od istniejących tu niegdyś wielu stawów; obszernie zaś grunta zajmujące numerami 2267, 2268 i 2270, w nowszych czasach obrócone na plac broni, jeszcze do roku 1823 przedstawiały kałuże, doły, i były miejscem zupełnie opuszczonym. W tych stronach płynęła od niepamiętnych czasów rzeka zwana pierwotnie Dzanszna, potem Drna, niegdyś znaczniejsza, dziś zaledwie dostrzedz się dająca rzeczulka. Według jawnych śladów jakie się dotąd utrzymują i na wszystkich dawniejszych planach są wskazane, miała ta rzeka swoje źródła za dzisiejszym cmentarzem Powązkowskim; lecz zasilana była wodami idącymi od Woli przez Czyste, wzdłuż teraźniejszych okopów. Płynęła ona w kierunku od rogatek Powązkowskich, około koszar Mikołajewskich pod nr. 2218 i 2219 po za ulicą Pokorną ku Wiśle. Wzdłuż tej rzeczki były stawy w okolicach rogatek Powązkowskich przy ulicy Pokornej, dawniej ulicy Fawory i rogatek Marymontskich. W ogóle jeszcze w r. 1770 liczono tutaj około 16 stawów, które należały do tej rzeczki i dostarczały znaczną ilość ryb dla mieszkańców Warszawy. O jej poprzednim znaczeniu możemy ztąd brać miarę, gdy według dowodów historycznych w XV stuleciu, tu miało stać pięć młynów wodnych, od r. 1539 mieściła się szlifiernia, od r. 1551 folusz, od r. 1564 blicharnia do bielienia płótna. W istocie część wspomnianych zakładów była niezawodnie na tej rzece, inne prawdopodobnie na drugiej rzece od Powązek i Wawrzyszewa idącej do Marymontu, a istniejącej także od wieków.

Przeszedłszy górną część miasta, dla uzupełnienia stanu rzeczy wspomnieć wypada o wodach, które zbierały się po spadkach góry ku Wiśle, bo dają wyobrażenie o ich obfitości i postaci gruntu. Tak na placu gdzie dziś młyn parowy pod nr. 2913, stał niegdyś pyszny pałac i ogród, w którym znajdowało się cztery sadzawki, każda po 50 łokci w kwadrat, były one połączone kanałem potwierdzonym w r. 1822. Toż posessyc przyległe pod nr. 2912, 2911, 2910, każda miała podobnej wielkości sadzawkę, z których po lewej stronie ulicy Jerozolimskiej spad ku Wiśle, a w posessyi pod nr. 2910 dotąd jeszcze widzieć można poroślą trzcina. Dalej dwie mniejsze sadzawki były w ogrodzie klasztoru Ś-go Kazimierza. Większy wodozbiór przy zbiegu ulic Tamka i Solec, za posessyą nr. 2898 jeszcze na planie

wydanym w r. 1838 znaczną zajmował przestrzeń, bo przeszło na 100 łokci długości i szerokości.

Terazniejsza ulica Aleksandrya i Ordynacka były wzgórzami, Tamka zaś, zwłaszcza od posesyi nr. 2874 stanowiła głęboki wąwóz, ciągnący się ku Wiśle. Dzisiejszą posiadłość nr. 2844 i 2845 noszącą nazwisko Sewerynowa, zwano oddawna górami. Nosiły one za naszej pamięci miano gór Dynasowskich, ztąd iż w drugiej połowie zeszłego stulecia były własnością znanego w historii księcia Karola Nassau. Przy dość znacznym ich spadku, przed niedawnymi laty znajdowały się dwa źródła obfitujące w czystą, dobrą wodę do picia. Przedtém zaś kiedy zajmował je ogród Godzkiego, był tutaj rezerwoar w kształcie litery T, którego ramiona długie były przeszło 200 a szerokie na kilkadziesiąt łokci. W miejscu około nr. 2915 powstała w następnych czasach ulica Topiel. Podobnież za pałacem Kazimiérowskim w ogrodzie i prywatnych sąsiedzkich posesyach znajdowały się sadzawki.

Przez część ulicy Bugaj od nru 2590 do 2595, w samym skępie téjże ulicy zbierające się ścieki tworzyły bagno, na którym utrzymywano trzy połączone ze sobą długie pomosty (1). Wreszcie całe spadziste wzgórze z drugiej strony zamku od Krakowskiego Przedmieścia, w odległych wiekach formowało jeszcze większe zagłębienia. Wytryskiwały ztąd liczne źródła, których pamiątką jest ulica Źródłowa, istniejące jeszcze na początku zeszłego wieku, kiedy Dr. Erndtel opisywał warszawskie wody. W XV stuleciu mieściło się tutaj kilka cegielni, a gdzie dziś dom pod nr. 2690, stał niegdyś folwark OO. Bernardynów i tu był piec do wypalania wapna. W aktach Komisji Brukowej czytamy, że za klasztorem kościoła Ś-go Józefa Oblubieńca, ku posesyi pod nr. 370, rozciągała się jeszcze w XVII wieku sadzawka, która leżała wzdłuż drogi zwanéj Piekło (2).

Z powyższego opisu widzimy, że grunt miasta był bardzo nierówny i poprzecinany wielu zagłębieniami; zaś obfitość w nim wody, przekonywa o istniejących w odległych wiekach lasach, które jak wiadomo przyczyniają się do skraplania wilgoci powietrznej.

Wszystkie wreszcie przytoczone szczegóły są zbyt jawnym dowodem, że wskazany stan miejscowości przed paruset laty jako sam z siebie zmianie nieulegający, nie mógł być inny w najbardziej oddalonych wiekach.

Do jéj przeistoczenia musiała się zatem przyłożyć ręka ludzka. Zobaczmyż teraz najdawniejsze, prawdopodobne i niewątpliwe ślady osad ludzkich.

I oto odkrywane w glinie kości zaginionych zwierząt, obszary szeroko rozpościerających się tutaj lasów, liczne wśród niedostępnych moczarów uroczyska, wprowadzają nas właśnie w świat przedhistoryczny, odtworzony nowszemi badaniami archeologów europejskich.

(1) Zbiór pl. II 6.

(2) Akta Kom. Bruk. str. 400.

Dowodzą one spółczesności człowieka z mamutem, wołem pierwotnym, reniferem, i tym podobnemi zwierzętami, które powoli zniknęły, lub ustępowały w miarę zmian klimatologicznych, i były zastąpione innemi, stosownie do tych zmian rozwiniętami.

Epokę tę nazywają kamienną, dzieląc ją na okres zwierząt zaginionych czyli kamienia grubo ociosanego. Okres renifera, który zwolna ustępował do klimatu ostrzejszego jaki dziś zajmuje, był to wiek kamienia lepiej obrobionego i okres zwierząt przyswojonych, należących dziś do rzędu stworzeń domowych, czyli wiek kamienia szlifowanego, po których nastąpiły wieki brązu i żelaza.

Do udowodnienia tych epok, posługują się znajdujące po różnych miejscach krzemienne ostrza, kliny, siekierki, młoty, noże, strzały i tym podobne narzędzia wyrabiane z krzemienia i z rozmaitych gatunków twardych gładów, różniące się między sobą coraz większą dokładnością wyrobu i coraz kunsztowniejszą postacią.

Rzeczony zabytki odkrywają się także w tutejszym kraju i znajdowano je w Warszawie lub sąsiednich okolicach. Klin z krzemienia ciosanego znaleziony na Soleu, posiada gabinet mineralogiczny przy Uniwersytecie. Inny duży klin z krzemienia zagatyzowanego z ostrzem dobrze zachowanem, bardzo gładkiego wyrobu znaleziony pod samą Warszawą, pokazywano na wystawie starożytności w r. 1856 i jest wymieniony w drukowanym jej katalogu. W ostatnich także latach w przedhistorycznym cmentarzysku, odkopywanem w r. 1870 i 1871 na prawym brzegu Wisły w Grochowie, o wiorstę od tej rzeki i od Pragi położonem, znajdowano narzędzia z krzemienia bardzo pierwotnego wyrobu i takież ostrza od strzały nader niezgrabnej formy. Lecz szczególnie liczne rozmaitego gatunku i kształtu narzędzia kamienne odkrywano i dotąd odkrywają w stronach blizkich Warszawy. Niedaleko zaś stąd pomiędzy Serockiem a Nowogeorgiowskiem (Modlinem) natrafiono w r. 1871 na ślad tak zwanych stacyi krzemiennych należących do najpierwszych czasów okresu kamiennego, gdzie w owych epokach w większej ilości wspomniane narzędzia wyrabiano.

Obfitość zabytków tego rodzaju w innych krajach Europy, tudzież umiejętnie czynione przy tychże poszukiwania, posłużyły już do pewnych wniosków, które chociaż nie są jeszcze krytycznie udowodnione, mają przecież za sobą wiele prawdopodobieństwa. Ze szczątków zatem kości zaginionych zwierząt i przedmiotów uznanych za społeczne tymże wyroby ręki ludzkiej, usiłują dzisiejsi uczeni nie tylko posunąć historią istnienia człowieka poza granicę dotąd przyjętą, ale za pomocą tychże podają obraz jego życia, zwyczajów i obyczajów, w odpowiednich oznaczonych epokach. Posługują im do tego wyborze duch czasu, panująca metoda porównawcza w historii, tudzież przodownictwo dane naukom przyrodniczym.

Upewniają teraz jakoby cała ludzkość na podobieństwo przyrody, miała swoje stałe prawa wzrostu i postępu, lata niemowlęstwa, młodości, dojrzałości i starości, przez które przechodzą wszystkie narody, jedne powolnie, drugie częściowo i kolejno. Inne znowu za-

trzymują się na pewnym stopniu ukształcenia i nigdy granicy swej natury nie przekraczają.

Owe tedy narzędzia kamienne znajduwane razem ze szczątkami kości olbrzymich zwierząt, a niekiedy i ludzkiemi, są śladem pierwotnego społeczeństwa, które zjawiało się wszędzie jednak, różniąc tylko czasem trwania rzeczonoj epoki.

Człowiek, mówią, najwyższy utwór przyrody, jedyna istota obdarzona możnością ciągłego doskonalenia się, w pierwotnym stanie, czyli w epoce kamiennój, pędzi życie koczujące myśliwca, we wszystkim do otaczającej przyrody zbliżone. Pokarmem jego są: surowe mięso i owoce; skóry zwierząt odzież; jaskinie, pieczary i lasy schronieniem i grobem. Za narzędzia, sprzęty i broń służy mu pierwszy przed oczy nawijający się krzemień lub inne twarde gazy i kości, które zwolna wygadza, urabia i do użytku udoskonala. Z gliny będącej wszędzie pod jego stopami, kiedy chodząc tylko po niej spostrzegł że wilgotna, przyjmuje z łatwością żądane kształty i stale je po wyschnięciu zatrzymuje; zaczyna wyrabiać ręką niezbędne dla siebie naczynia, wysusza na słońcu, potem utacza kołem i wypala w ogniu. Słowem całe bogactwo przyrody darmo na około niego się rozwijało a przecież było dla niego z początku bez wartości. Ażeby używać bezpłatnych darów, trzeba się było stać ich panem i pracą przywłaszczyć sobie. Potrzeby przecież zostają jego mistrzynią, a wzrost i wymagania tychże prowadzi do nieustannego postępu i powolnej zmiany w przyjętym porządku. Dostatek wprowadza w wymienne stosunki. Potrzeba rodziny rozwija w nim towarzyskość, otoczony niebezpieczeństwami łączy się w gromady aby spotężnić w siłę.

Po upływie znacznego czasu przychodzi chwila, gdy najlepsze wyroby z kamieni i kości nie wystarczają.

Z kolei przeto zastępuje je bronz, pierwszy metal zjawiający się chociaż nie jednocześnie u rozmaitych ludów i wszędzie staje się powszechnionym.

Ludzie żyjący w epoce kamieni szlifowanych i bronzu wstępują na drogę cywilizacyi, składają społeczeństwo i są już osiadłemi. Wybierają sobie odpowiednią miejscowość na stałe osady, dla bezpieczeństwa budują na jeziorach i rzekach domy nadwodne na palach, przyswajają użyteczne zwierzęta, zostają rolnikami.

Działalność ludzka rozwija się bystro w epoce bronzu. Potrzeby pewnych krajów i ludów oraz rozmaite powody skłaniają do odległych za łupem ciągnących wycieczek, czyli do tak zwanych wędrówek narodów, które roją się jak pszczoły ze starych do nowych uli, parte nadmiarem ludności, lub brakiem środków utrzymania.

Tworzą się odrębne języki i plemiona. Z zetknięcia rodów powstają narody. Związują się trwalsze i bliższe zamienne stosunki. Odkrywają złoto, miedź, cynę, ołów, uczą wyrobu i użytku szkła.

Nastają nowe pojęcia religijne, ciała zmarłych nie chowają już w dawnych mieszkaniach, jako w epoce kamieni ciosanych, ani zakopują w ziemię, jak było w wieku kamieni szlifowanych; lecz palą

w ogniu i popioły zbierają w osobno gliniane naczynia czyli urny, składane na pewnych miejscach, które tworzą ogólne cmentarzyska.

Rozradzające się potrzeby lub międzynarodowe stosunki dają wreszcie poznać wyrób i użytek żelaza najtańszego z metali i do wszystkiego sposobnego, które rozpoczęło czasy właściwie historyczne i najwięcej przyczyniło się do ich znaczenia i potęgi. Z epoką żelaza rozwijały się nieustannie rolnictwo, przemysł, handel, wszelkie nauki, umiejętności i sztuki.

Wyroby z gliny stopniowo ukształcone, doszły do wspaniałej porcelany, szkło upowszechniło się i udoskonaliło. Wynaleziono srebro; zjawily się pierwsze pieniądze, z początku odlewane z brązu. Postęp idzie coraz dalej i dalej, pomimo zawad i trudności, aż do dni naszych.

W każdej epoce, jak wyżej mówiliśmy, przy zmianie pojęć religijnych, w rozmaity sposób chowano zmarłych. I w ostatniej też epoce przed chrześcijaństwem, z początku jedni palili ciała nieboszczyków po dawnemu, inni chowali w ziemię stosownie do miejsca, przywiązania do zwyczajów przodków, lub rodzinnego podania. A ponieważ w dziejach ludzkiego społeczeństwa, na jakimkolwiek statoby stopniu ukształcenia, ceniono zawsze przedewszystkiem życie; myśl przeto przedłużenia go poza grobem, nigdy między ludźmi nie znikala. Obiekano ją tylko w rozmaite formy materialne, zanim doszła do przekonania moralnego, w szczytnem uznaniu nieśmiertelności duszy. Ztąd wypływały cześć i czacunek jakie miano wszędzie i po wszystkie czasy dla umarłych w najodleglejszej starożytności i przeświadczenie jakoby mieli po śmierci te same co za życia potrzeby i stosunki. Z tą myślą chowano i składano z nimi do grobu to czem się zajmowali, co lubili, lub pragnęli, przekazując w ten sposób wielorakie szczegóły bytu minionej przeszłości.

Owe szczątki odkrywano od wieków na całej niemal kuli ziemskiej, lecz świadomość ich albo ginęła w mgłę niepewnych tradycji, lub błędnie była objaśniana. Dopiero w naszych czasach, gdy uznano łączność wszystkich nauk w badaniu przeszłości, poczęto zagłębiać się w niedostępne dotąd przestrzenie. Wykopaliska w mowie będące zajęły celniejsze miejsce w rzędzie dowodów historycznych, dla przedziejowej ludzkości. Poszukiwano je gorliwie w pieczarach, jaskiniach, odgrzebywano w mogiłach, torfach i namuleniach wodnych. Wynajdywane zaś coraz liczniejsze i osobliwsze okazy, posłużyły uczonym starożytnikom do odgadywania mniej więcej szczęśliwie i trafnie stanu pierwiastkowej kultury narodów i podały możność przedstawienia obrazu społeczeństwa w pewnych epokach. Jakkolwiek usiłowania ich mogą być niekiedy na przypuszczeniach lub na wybujałej wyobraźni oparte, w ogólnem przecież pojęciu rzeczy, są niezaprzeczenie prawdziwe.

Porównane z sobą okazały się prawie wszędzie mniej lub więcej do siebie podobne, lub w kształtach bardzo zbliżonych. Niedopuszczając ściśle przynależnego odróżniania, dają niewątpliwe świa-

dectwo wspólności rodu ludzkiego i jednakowego jego rozwoju, który w odpowiednich warunkach wiecznie się powtarza.

Zabytki tego rodzaju znajdowano także oddawna w tutejszym kraju, tylko teraz gdy nauka o starożytnościach przedhistorycznych jest na dobie, więcej na nie mając baczenia, coraz częściej się odkrywają. Brakuje im przecież dotąd naukowych spostrzeżeń, żadne więc wnioski wyprowadzić się z tychże nie dadzą. Jak zatem o pomnikach odnoszących się do epok odleglejszych, tak i o następnych nie wiele powiedzieć można.

Do ostatniej należą w znacznej liczbie dotąd wykopywane gliniane urny, czyli popielnice, napelnione spalonemi kośćmi ludzkimi, zawierające niekiedy drobne sprzęty i ozdoby bronzowe. Są one rozmaitej formy i objętości, od największych do najmniejszych. Nacznia te tak jak wszędzie pierwotne, były wylepiane rękoma, z gliny grubiej, pomięszanej z ostremi okruchami granitu. Ponieważ zaś nie znano z początku koła garncarskiego, więc najdawniejsze nie mają równej okrągłości, jaką się odznaczają późniejsze. Najpospolitsza ich postać i to najdawniejszych, w których robota gruba i niezgrabna widocznie za ich pierwotnością przemawia, podobna jest do tych garnków, które dotąd powszechnie używane są do gotowania. Szerokie u góry, z brzegami nieco ku środkowi ściągniętymi, bez żadnej szyi, ku dołowi całkiem równo zwężające się aż do szczupłej dość podstawy.

Inny, bardzo rozpowszechniony kształt popielnic znajdujących w tutejszym kraju jest złożony, dół ma formę wyżej opisanego garnka, na nim zaś wznosi się mało co ku górze zwężona długa szyja. Popielnice tego kształtu zwykle bywają największe; zresztą znajdują podobne i mniejsze w najrozmaitszych kształtach w postaci garnuszków z uszkami, to mniej lub więcej głębokich mis, miseczek i pokrywek, z płowej, czerwonej, a nawet czarnej gliny. Niektóre wykopaliska widocznie należące do późniejszych czasów, dostarczają naczyń glinianych noszące wyraźnie już ślady, że były na kole garncarskiem wyrabiane, przytém glina w nich czystsza i mocno wypalona, co dowodzi, że rzemiosło garncarskie stopniowo i tutaj się doskonaliło. Niekiedy znajdują się urny, chociaż rzadko, z pewnemi zewnątrz upiększeniami w kształcie linijek, kropek, lub gwiazdek, są i wytworniejsze jeszcze, jakoby ze znajomością rysunku wykonane. Trafiają się w niektórych sprzęty i ozdoby, tak męzkie jako i żeńskie ze srebra, złota, szkła, wyrobione nader wytwornie w guście wschodnim, które wskazują wyraźnie, że ówczesni ich posiadacze mieli zamienne stosunki i odległe związki z obcemi narodami.

Wszystkie prawie wymienione rodzaje popielnic, tak co do ich kształtów, jako i sposobu wykonania znajdowano oddawna i dotąd jeszcze znajdują się w Warszawie, oraz w najbliższych jej okolicach po obu brzegach Wisły, gdzie napotykanne były ślady cmentarzysków pogańskich, świadczące o odwiecznym tych stron zaludnieniu. Tak w roku 1823, przy zakładaniu ogrodu Belwederskiego znaleziono znaczną liczbę urn czarnej i czerwonej barwy, napelnionych kośćmi

ludzkimi, z których kilka widzieć teraz można w Muzeum archeologiczném przy bibliotece uniwersyteckiej mieszczącym się. Wykopywano je także przy budowie tarasu pod zamkiem 1819 roku, a od lat kilkunastu, kiedy tylko jakie roboty przedsiębiorane są za Wisłą na Pradze, zawsze prawie natrafiają na cmentarzyska zapelnione urnami; mianowicie w stronie wschodniej na polach osady Targówek, w miejscu piaszczystém. Niedawno nawet w latach 1870 i 1871 w Grochowiu, w pasmie piaszczystych wzgórz odkryto znaczną ich ilość rozmaitego kształtu i rozmiaru z pokrywami i bez tychże, zawierające w sobie popioły i kości, narzędzia krzemienne z pierwotnej epoki i sprzęty brązowe. Powtórnie tamże odkopano wielką ilość urn rozmaitego rozmiaru i formy, wszystkie lepiene jeszcze od ręki, pokryte płytkiem naczyniem lub wierzchem okrągłym, dnem w otwór, w których mieściły się popioły i kości oraz śpilki brązowe od włosów (1). Odkrywano je również na samej Pradze podczas prowadzenia kolei żelaznej konnej w r. 1867, tudzież przy sypaniu wału nad Wisłą w r. 1869.

Powtarzały się te wykopaliska i w najbliższych okolicach Warszawy, np. we wsi Tarchominie w r. 1834 znaleziono wiele urn nader osobliwych; pod Raszynem w r. 1846; w Lisowie pod Czerskiem, gdzie były wewnątrz rozmaite przedmioty z brązu. Toż w Książenicach, pod Grodziskiem w r. 1856, zawierały kolczyki, zapinki i inne niewielkie ozdoby z brązu, szkła i t. p., w Skierniewicach w r. 1860, w Grójcu 1861, i t. d. Co wszystko jeżeli nie więcej, przynajmniej dostarcza te niewątpliwe dane, że wymienione miejscowości były zaludnione już przed chrześcijaństwem.

Lecz któż może śmiało powiedzieć w obec powtarzającej się tożsamości, po wszystkich częściach świata, do jakiego należą narodu i czyli są pozostałością po pierwobytnych tutejszych mieszkańcach?

Wprawdzie obeznani z pierwotną historją kraju wiedzą że palenie ciał zmarłych, składanie popiołów i kości po urnach, zakopywanych po lasach, polach i wzgórzach, jednoczesne sypanie mogił starszynie, lub tradycyjne grzebanie w całości zmarłych, było we zwyczaju u wszystkich Słowian, przed chrześcijaństwem. Nawet później jeszcze długo owe obrządki zachowywano gdzieindziej i powolnie tylko wykorzeniano. Zważając przecież na przytoczone wyżej powody, trudno oznaczyć właściwą dla nich epokę i pewne pochodzenie. Skąpe są także szczegóły oparte na podaniach, nazwiskach miejscowych i języku.

Wiadomo, że góry, lasy i okolice nad brzegami rzek były pierwszymi drogami cywilizacyi i osad ludzkich. Po lasach, jak powiadają najdawniejsi kronikarze, mieszkali pierwsi osadnicy w tym kraju, i lasy rozciągały się po obu brzegach Wisły. Tu mieli poświęcone czei bogom gaje i drzewa, tu odprawiali religijne obrządki i chowali ciała zmarłych.

(1) Bibl. Warsz. 1871 IV, str. 43.

Pamięć tej przeszłości przechowała się w Warszawie w nazwisku ulicy Bugaj, które uczeni tłumaczą za Bóg gaj czyli gaj poświęcony bogom. Takich Bugajów mają inne starożytne miasta w Słowiańszczyźnie. Jest np. Bugaj w Petrokowie, Wieluniu, Brześciu, w Łucku i w i.

Podanie dotąd przechowane utrzymuje jakoby na tém miejscu, na którym wznosi się teraz kościół parafialny Panny Maryi na Nowem Mieście stała niegdyś świątynia pogańska, którą to tradycją wspierają archiwalne źródła, gdzie przy pewnej sprawie w XVII wieku wytoczonej przez Nową Warszawę Staręj, przywiedzione zostało świadectwo najstarszych wiekiem, mających z pokolenia do pokolenia przekazaną sobie wiadomość, jakoby pierwotna posada głównego miasta była na inném miejscu, to jest tam, gdzie potem zabudowało się nowe. Za czasów więc pogaństwa siedliska ludzkie mogły mieć tutaj inny kierunek, i że tak było, mamy inne jeszcze poszlaki i powiemy o nich w dalszym ciągu. Wybitnym także szczegółem oddalonej przeszłości przedstawiają miejscowe nomenklatury piekła i piekiełka, nadawane niektórym posiadłościom tak w samej Warszawie jako i w jej bliskości. Między innemi posiadłość pod n. 2690 przy ulicy Bednarskiej wymieniana jest często w aktach jako miejsce, które oddawna nosiło miano piekła; zaś posesyją pod n. 2470 przy ulicy Nowolipie, lud dotąd zowie piekietkiem, które to miano nosi i mała osada za Wisłą naprzeciwko Bielan. Też same nazwy spotkać można w lesistych okolicach tutejszego kraju, mianowicie w guberniach Radomskiej i Kieleckiej. Niektórzy z naszych badaczy objaśniali przyczynę tej nazwy, jakoby była pamiątką kary wymierzonej na ludzi zwierzęcego życia; co też dowodzić miały znalezione przed czterdziestu laty kości w posesyi na Nowolipiu, które wydobyto przy kopaniu studni. Wniosku tego nie można jednak odnieść do piekłów i piekiełek znajdujących się wśród gęstych puszczy leśnych, gdzie sama miejscowość nie okazuje się stosowną na podobne kary. Prawdopodobniejsze zatem będą nowsze badania nad aryjskim źródłem tego słowa, znaczącem spalenie, spiczenie i naprowadzającym na domysł, że mogły służyć dawniej na palenie ciała zmarłych i w takim razie byłyby pamiątką pogańskich jeszcze czasów.

Te i w ogóle przywiedzione wyżej wiadomości, zdają się dostatecznie przemawiać za odległą wielce przeszłością Warszawy jako osady, przedewszystkiem zaś dostarczają pewne dane, że miejscowość była niezawodnie przez ludzi osiadła w epoce, do której piśmienna historia nie sięga.

MIEJSCOWOŚCI W KRÓLESTWIE POLSKIM, nazwane od stanu, zajęć i pochodzenia, zamieszkujących je osadników.

Przez

Feliksa Zielińskiego.

Antoni Zygmunt Helcel w badaniach swoich w przedmiocie historyi dziesięcin w Polsce (Bibl. War. r. 1863 T. III str. 55) zapisał (str. 9) spostrzeżenie, „że przeliczne widzimy wsie, nazwiska mające od osadników ich dawnych” i przytoczył jako przykłady nazwy następujące: koniary, psary, sokolniki, łagiewniki, żerdniki, strzelce, rataje, bobrowniki, winniki, skotniki, świątniki, dodając że w nazwie Dzieckowic, może pozostał ślad polskiego nazwiska napotykanego w starodawnych dyplomatach decimów (decimi).

Kilkanaście nazw wiosek przez Helcela sposobem przykładowym przywiedzionych nie wyczerpują wszystkich nazw osadników w starożytnych dyplomatach wzmiankowanych. Helcel np. w rozprawie powołanej wymienienia jeszcze jako rodzaje osadników:

(str. 10) naroczników zwanych, jak mówi, niekiedy po łacinie *censini* (1); str. 24 smardów, łążeków, stróżów, popracników, łowczych.

Röppel zastanawiając się w swojej *Historji Polski* nad wewnętrznym stanem kraju w najdawniejszych czasach, odróżnia wolnych osobistych a nie rzeczowo, zwanych w dyplomatach *liberi*, od niewolnych. W pierwszych upatruje występujących w późniejszym czasie, przeważnie dopiero od XIV wieku, kmieci (2), przytaczając oprócz *liberi* drugą ich wcześniejszą nazwę, znaną mu z dyptomatów XIII wieku *haeredes*. Mniema on, str. 309, że nazwie *liberi* odpowiada wyraz miejscowy slobodnicy, oznaczający dziedzicznych czynszowych chłopów w zachodnich Węgrzech, na pograniczu Moraw. Co do niewolnych, Röppel uważa że byli używani do szczególnych posług i tylko dla łatwiejszego utrzymania małemi kawałkami roli nadani. Od rodzaju zajęcia mieli oni liczne

(1) W dyplomie z roku 1254 C. D. P. III s. 56 czytamy *consini* qui dicuntur conare. *Censitów* nazwa, zapewne jednoznaczna z *consinami* zdaje się być zatem ogólniejszą i niemożna jej brać za jedno z narocznikami.

(2) W Nestorze raz tylko kmiecie, według czytania tekstu przez Bielowskiego (Mon. Pol. str. 747) są wymienieni. Wyraz ten kładzie Nestor (r. 1075) w usta posłom niemieckim, zapewne znającym język czeski i to w znaczeniu wojów, ludzi wojennych.

szczególne nazwy, z których przytacza znane mu z dyplomatów: braxatores, pistores, carnifices, securarii (wywodzi ich Röppel od skóro (sic) Haut) tornatores, lagenarii, coementarii, camerarii, mellifices, hortulani, aratores, piscatores (mylnie wydrukowano pistores), custodes silvae, venatores, falconarii, casto (r) arii, castorum captores, caniductores, equorum custodes (str. 310, 311).

Wszakże kiedy Röppel pisał, nie wyszedł z druku żaden z nowszych naszych dyplomataryszów; jeden tylko Wielkopolski był temu historykowi w rękopiśmie znany. Posiłkując się nim i ogłoszonymi przez dawniejszych pisarzy dyplomatami, tudzież szląskimi, Röppel miał nader niedostateczną znajomość przedmiotu. Co do hortulanów np. Röppel czyni uwagę, że ich tylko w szląskich dyplomatach znalazł. Brak znajomości języka stał się też powodem, że Röppel tylko co do custodes silvarum przytacza odpowiednią miejscową nazwę *leśni* i to odwołując się do kodeksu dyplomatycznego Morawskiego Boczka.

W przypisku 26 str. 311 Röppel do przywiedzionych powyżej dodał jeszcze ze Stencla nazwy: popratnicy, sirdmiones, strozones, lasaki, decimi, censini. Razem wszystkich nazw jest u Röppla 27.

Nazw miejscowych odpowiednich wzmiankowanym, Röppel z małemi jak widzieliśmy wyjątkami, odszukać wcale się nie starał.

W roku 1864 Miklosicz ze stanowiska lingwistyki zastanawiał się nad wytwarzaniem się nazw miejscowości z nazwisk osób w językach słowiańskich. W swój rozprawie zwrócił uwagę na nazwy miejscowe oznaczające osoby pewnemi rzemiosłami zajęte albo do pewnego stanu należące (str. 7 8). Z nazw tych w Polsce i na Rusi Galicyjskiej Miklosicz przywodzi następujące:

Bednary, bobrowniki, bartniki, bartodzieje, winiary, kołodruby, kołodzieje, koniuchy, kuchary, młynary, piekary, pisary, rudniki, rybitwy, świniary, szklary, skomorochy, skotniki, czeladź, szczytniki, szewczyki.

Oprócz tego ma jeszcze z dyplomatów łagiewniki, sokolniki, strzelce.

O nazwach miejscowych pochodzących od nazw pewnych ludów, Miklosicz czyni uwagę, że największa ich część pochodzi od nazwy pojedynczych indywiduów, i ztąd nie przedstawia szczególnej ważności. Wylicza również niektóre z tych nazw (str. 8) (1).

W rozprawie mojej o naroku, wydrukowanej w Bibliotece Warszawskiej r. 1871 wyliczyłem w końcowym przypisku 26 nazw miejscowych ludności różnych zawodów, czerpiąc je głównie z dyplomatów, w których nazwy te oznaczały lub ludzi różnego powołania lub też osady. Wyliczenie to sposobem przykładu uczynione, pominięto niektóre nazwy

(1) P. Die Bildung der Ortsnamen aus Personennamen im Slawischen von Dr. Franz Miklosich. Wien 1864: z czém porównać: Die Bildung der Slawischen Personennamen przez tegoż. Wien. 1860. Miklosicz rozciągając swoje badania do wszystkich ludów słowiańskich nie zamierzał wyczerpać przedmiotu... Vollstaendigkeit ist für keines dieser Voelker angestrebt worden. Personennamen str. 4.

u Helcla i Röppla zamieszczone, dodało za to inne u nich nie wspomniane.

Porównyując nazwy przez Röppla i Helcla zebrane,—Miklosicz nie był mi jeszcze znany—z wyliczonymi przezemnie, nasunęła mi się myśl przejrzenia obecnie istniejących nazw miejscowości w Królestwie Polskiem. Nazwy te zostały zebrane jak wiadomo staraniem b. Kommissyji Rządowej Spraw Wewnętrznych i Policji, alfabetycznie ułożone i wydane w dwóch tomach w Warszawie 1827 roku p. t. Tabella miast, wsi i osad Królestwa Polskiego.

Język przechował nam ślady przeszłości starszej nawet niż czasy z których mamy dokumenta piśmienne i zupełniejsze od przechowanych w tych dokumentach. Badania językowe służyć powinny za kontrolę i uzupełnienie badań opartych na dziejowych pomnikach. Wstępując na tę drogę nie taję przed sobą, że pierwszy krok na nią stawiony nie wiele rzecz posuwa, że ułożony przezemnie na podstawie tabelli wykaz miejscowości od zamieszkujących je osadników nazwanych nie jest zupełny, ani też, gdy nazwy dziś istniejące powstały różnocześnie, niektóre widocznie w nowszych dopiero czasach, nie może być w całości uważany za źródło wyjaśniające stan wewnętrzny kraju w najdawniejszych czasach. Wszakże zacząć raz trzeba pozostawiając dalszy postęp pracy następcom.

Skazówką dawności nazw osadników i osad było dla mnie wymienienie tych nazw lub odpowiednich im łacińskich, w pierwszych opisach biskupstw i klasztorów, zwłaszcza założonych w XI i XII wiekach.

Z tych czasów posiadamy opisy uposażenia trzech mianowicie biskupstw:

Gnieźnieńskiego arcybiskupstwa w bulli papieżkiej z r. 1136 doszłej w transumpcie; najważniejszy i najobszerniejszy. (u Raczyńskiego C. d. m. p., z niego w kodeksie dyplomatycznym pomorskim i u Lelewela Polska w. śr. T. III).

Włocławskiego doszły w oryginale w bulli papieżkiej z r. 1148, lecz bardzo ogółowy i do wyświecenia niniejszego przedmiotu nie przydatny. (C. D. P. II str. 1—4).

Płockiego w dyplomie księcia Konrada z r. 1203 co do autentyczności podejrzany, lecz zawsze z XIII wieku pochodzącym a przechowującym ślad nierównie dawniejszego stanu rzeczy. (Kodeks dypl. Mazowiecki, w dodatku str. 337 338).

Opisy uposażeń klasztorów w XI i XII wieku założonych są w dyplomatych: odnoszącym się do Tyńca, z datą 1105 najpóźniej 1123, pofalszowanym lecz starożytnym (u Szczygielskiego i t. d. Bielowski Monumenta Pol. T. I str. 516—520); Łędu 1145 (C. D. P. I. str. 1—4); Trzemeszna z r. 1145 (C. D. P. T. II str. 587—590), Mogilna z datą niepewną (Bielowski Monumenta str. 59. Helcel w Bibli. Ossol. T. VI str. 368—379 Maciejowski i Wuttke); Zagościa z lat 1153 i 1173 (Cod. dipl. Pol. T. III str. 4—5 8—9); Oliwy na Pomorzu z r. 1178 (Cod. Pomor. dipl. str. 111 112) i Lubienia na Śląsku z r. 1178 (u Somersberga i u Lelewela T. III str. 137—42 podejrzanej autentyczności).

Wzmianki wyświecające przedmiot mniejszego pisma znajdują się i w dokumentach późniejszych czasów, które w części tylko uwzględnić bylibyśmy w stanie.

Najwcześniejsze dyplomata znają te nazwy: Gnieźnieński majątności kościelne zwie *possesiones*, *bona*, *civitates*, *castelli*, *provincia*; na oznaczenie osadników w powszechności używa wyrażen *possessores*, oprócz tego *incolae*, *servi*, *rustici* *quorum officia sunt*, *advenae*. Jako poszczególne nazwy osadników, których po większej części po imieniu wylicza:

sagittarii, *piscatores*, *arator*, *castorum custodes*, *pistores*, *coci*, *agazones*, *sutores*, *lagenarii*, *carpentarii*, *hospites*, *milites*, *argenti fossores*. Przy jednym osadniku dodaje: *cum sociis*. Osada od osadników nazwana: *silche* (*silche* dziś *sielce*).

Dyplom Tyniecki zna jako majątności: *praedia*, *fori*, *tabernae*, *macellae*, *villae*. Osadnicy w powszechności nazwani *adscripticii*, *servi*, *haeredes*.

Nazwy zajęć: *ministri*, *pistores*, *lagenarii*, *artifex lagenarum et doliorum*, *coci*, *camerarii*, *piscatores*, *pecorarii*, *smardones*.

Wyliczenie imienne.

Dyplom Płocki: *praedia*, *bona*, *villae*, *terrae*, *possesiones*, *castra*, *castellatura*, *sors*.

Osadnicy w powszechności: *ascriptii*, *homines liberi colentes praedia episcopi*, *haeres*.

Po szczególe tworijmirici *camerarii*, *lagenarii*, *falconarii*, *piscatores*, *cucharii*, *ministeriales*, *coci*, *aucupes*, (bez wymienienia pojedynczych).

Nazwy miejscowości od osadników pochodzące: *cowale*, *drwały*, *bartdzieje*, *psary*, *dlugosiedlec*, *sokolniki*, *postruże*, *woźnik* (*vosnicz*), *szijmirze*.

Dyplom Łędzki zna jako majątności: *haereditates*, *possessionum loca*, *villae*; jako nazwy powołań:

coci, *scurarii*, *stabularii*, *camerarii*, *piscatores*, *venatores*, *tabernarii*, *castorarii*, bez wyliczenia imiennego.

Helcel w wydaniu C. D. P. I poprawił *scurarii* na *sanctuarii*, lecz Lelewel drukując po raz wtóry dyplom Łędzki w Polsce wieków średnich T. III str. 130—134, jakkolwiek znaną mu już była poprawka Helcela, wydrukował z posiadanego przez siebie aktu *scurarii*, wątpiąc tylko czy nie należy czytać *sturarii*. Poprawka *sanctuarii* utrzymać się nie może, bo nadanie nie mogło obejmować świątników, którzy dopiero skutkiem przeznaczenia ich do usług kościelnych przybierali to miano; chybaby nadanym był kościół, mający już do posług swoich wyznaczonych świątników (porówn. C. D. P. III str. 74, r. 1257 ... *Ecclesiam in Zarnowecz cum sanctuariis*).

Dyplom Mogilski: *castra villa*, *haereditas*; odróżnia nie szczególne zajęcia, ale stan prawny osadników *ascripticii* i *liberi*; w końcu nazwanych w powszechności *servi ascripticii* wylicza po imieniu; przy niektórych dodaje: *cum filiis*, *cum fratribus*, *cum consanguinitate*, *cum congeneracione*.

Pochodzenie tego dyplomu od Bolesława Śmiałego jest dla mnie wątpliwe, z powodów, które przytoczył Heibel, a z których nie wszystkie zwycięsko odparł Bielowski, i zdą, że wprawdzie trybem najdawniejszych dyplomów wyliczeni są w nim po imieniu ludzie kościoła, lecz gdy nie są rozróżnieni według zajęć, ale tylko oznaczeni według swego stanu prawnego jako *servi ascripticii*, to już na późniejsze acz jeszcze dawne czasy wskazuje (porówn. C. D. P. II s. 6, 7, rok 1218). Przykłady imiennego wzmiankowania ludzi z dodaniem ich zajęć, można znaleźć wprawdzie i w późniejszych dyplomatach, np. z lat 1254 i 1257 (C. D. P. III str. 56 i 74), ale są to wzmianki wyjątkowe. Za dawnością znowu dyplomu przemawiają wyrażenia *cum congeneratione* i t. p.

Dyplom Trzemeszna: — w powszechności *liberi* i *homines ecclesiae*: w szczególności *zakłodci* (*zakłodzice*) (1) bez wyliczenia imion. Nazwy osad: Polace, Siedlicow.

Dyplomata Zagościa: pierwszy z r. 1153 zna *villae, possessio*; w powszechności *rustici, artifices, officiales, liberi hospites, servi*; po szczególe: *aratores, pastores ovium, vaccarum, gregis, vinearii*. dyplom z r. 1173: *terra*:

w powszechności *rustici, artifices, officiales, liberi hospites, servi* i po szczególe *pastores, jumentarii, vinearii, Lagenarii*.

Fundacye Pomorska i Szlązka, Oliwy i Lubienia, pod względem nas zajmującym nie wiele dostarczają materiału.

W ogólności nie można powiedzieć żeby dyplomata stwierdzały przypuszczenie Röppla: iż niewolnemi mieli być mianowicie używani do posług, w przeciwstawieniu z wolnymi osobiście dziedzicznymi posiadaczami gruntu. Posługi i rzemiosła są w dyplomatach pomieszane (*officiales* i *artifices*); nazw oznaczających zajęcia w powszechności, *ministri, ministeriales* (2) *artifices, officiales, rustici quorum officia sunt*, nie można brać za jedno z nazwami oznaczającymi stan prawny, *servi ascripticii, homines ecclesiae, originarii* (3). Że dziedziczni posiadacze gruntu nie zawsze byli wolni nawet w późniejszych czasach, tego dowód wyraźny mamy w dyplomie b. kujawskiego z roku 1273, poświadczonym przez jego następcę w roku 1292 (C. D. P. II str. 86, 87). Biskup

(1) Zakłodzice przypominają Rzymskich *compediti*.

(2) O tych *ministeriales* dyplom Płocki z r. 1203 mówi: *illi autem qui sunt ministeriales sicut coci, lagenarii, Auoupes, Conarii, sive cuiuscunque officii, neque monetario, neque Castellano neque Episcopo tenentur solve-re podimno sive Stroszam quia ob omnibus servitutibus sunt liberi eiusdem libertatis sicut homines liberi colentes praedia Episcopatus et Canonicorum* s. 338. *Ministeriales* po polsku służebnicy, p. Lelewel. Polska w. śr. III str. 45, Miklosioz Orts *namen* str. 7 tłumaczy dzieci, lecz nie wiem na jakiej podstawie.

(3) *ascripticii* prawdopodobnie po polsku poddani, *propria professione globae astricti*, Bandtkie Hist. praw. Polskiego str. 90 z Długosza. *Originarii* *ojszyce* z ojca poddani. W tabelli są: *woyoieszyce, wojdy*. Rob, rab już w XVI wieku nie był u nas w użyciu, mamy atoli podobny wyraz: *parobek* (Ob. Linde).

uznaje że homines nostri ascripticii, haeredes de Gacow, imiennie wskazani, wywiedli się świadkami i przysięgą iż są wolnemi od wszelkich opłat i danin tak osobistych jak rzeczowych (soluciones personales seu praediales), że tylko ogółem dają corocznie dwie dzieżki miodu. Jednakże ta wolność nie rozciągała się do posług, do których obowiązani byli zarówno z innemi ascripticii. Zapewne z powodu wolności od danin, zachwalsza młodzież zaczęła przechwalać się między ludem że są wolni (liberi). Aby się taka opinia nie ustaliła, biskup w r. 1292 ogłosił przed świadkami dyplomata z r. 1273.

Nie wolny stan ludności wiejskiej w ogóle okazuje się z bulli 1136 r. Czytamy w niej: possessores villarum... omnes archiepiscopales, lub téż: villae cum suis possessoribus de possessione archiepiscopali; albo: eum centum servis et villis eorum, (por. pstre sto, pstroszyce).

Nie widzę téż powodu odróżniania jak Naruszewicz dwóch rodzajów ludności; servi i ascripticii. Dyplomata odróżniają co do stanu prawnego tylko wolnych i niewolnych. Ostatnich liczba zdaje się być w początku przeważną. Przewaga ta zmniejszać się zaczęła, pod wpływem gromadnych uwolnień (manumissio) zwłaszcza w XIII wieku np. 1254. C. D. P. III-str. 56).

Porównajmy z wskazówkami dyptomatów ślady przechowane w nazwach miejscowych dotąd utrzymujących się (1).

Mamy:

Baby, babice (C. D. P. III str. 60 r. 1254 babici) barany, bartniki, bartodzieje (mellifices) bednary, bednarze, bobrowniki (castorarii) bojary, borowy, browary (jeśli nazwa dawna, odpowiada łacińskiemu braxatores C. D. P. III 65 r. 1255); byki, byczki.

Ceglarze (coementarii), chelmce (C. D. P. III r. 1233 helnci), chmiele, chmielarze (humularii), cieśle (carpentarii) chałupnicy, cybulaki, cybule, czeladź.

(1) Już po napisaniu niniejszego artykułu doszła mnie rozprawa p. Baudouin de Courtenay o dawnym polskim języku do XIV wieku. P. C. przywiódł sposobem przykładu (s. 89) kilkanaście nazw miejscowości nazwanych od stanu i zajęć osadników, jako to:

Rybniki, korabniki, woźniki, skorniki, bobrowniki, niewoduiki, skotniki, błotniki, swepetnici, bartodzieje, strzelcy, winiary, piekary, konary, swinary, psary; nadto (s. 88) czeladź: razem 17.

Z tych pominięte są u mnie błotniki i niewodniki. Obu niema w tabelli: jest tylko błotnica i niewodowo. Czy błotniki których p. C. wyczytał, jak widzę z jego słownika, w C. D. P. III str. 7 oznaczają stan lub zajęcie? na to nie znajduję dowodu. Niewodniki oznaczają istotnie zajęcie, lecz osada téj nazwy, leżąca niegdyś nad Gopłem, według świadectwa wydawców (C. D. P. I str. 150) odszukać się obecnie nie dała.

Może nie będzie zbytecznym uczynić tu wzmiankę, że p. C. jak nadmieniam (na str. 44) do końca 1230 nie spotkał ani razu pisowni rz. rs. Jednakże w dyplomacie Płockim z r. 1203, w oryginale nas doszłym, lubo co do daty wątpliwym, jest kilkokrotnie rz. W dyplomacie 1145, klasztor w Trzemesznie nazwany jest Chermesense (Czermesense), co zdaje się dowodzić istnienia *Trze*, już w owéj epoce. P. C. dowolnie przyjmuje ozriemesense.

Dobrogosty (dypl. Lubeński Pol. w. śr. III 140 dobrogosten dorf.) drwały (1203) dziadaki, dziadowie, dziaduchy, dziechciarze, dziedzice (haeredes).

Flisy.

Gąsiory, gąski, gólosze, gołoty (Statut Wiślicki), gost (hospites), groty, grotki, grotniki, gwoździe.

Jajaki, jastrzębniki, jelonki (venatores cervorum C. D. P. III str. 22. Mazow. str. 11) (1).

Kaczki, kaczory, kaczorki; kapuściaki; kii, kije, kijany; kłodzice, kłodzie; kmietyszki; kobyłe, kobyłany, kobylniki; kociołki? kołacz, kołaczce, kołaki, kołodziej; komorniki (camerarii); konary, koniuchy (agazones, conarii); kopacz; korabniki, korabki; kosaki, kosiary, kośnik; kowale, kowalki, kowala, kowalewo, kowalewice (fabri); kozły, koziełki, kozłołki, koziki; kożuszki, kożuchow; krawce; krowice; kuchary, kuchty (coci, cucharii); kumiecie (w Augustowskim kilkokrotnie, czy nieprzeistoczony wyraz kmiecie?) kurzacze.

Laski, lasotki (czy to nie będą perticarii C. D. P. II str. 21, 34 z lat 1239, 1242) leśniaki, leśniki (sylvarum custodes); łagiewniki (lagenarii); łązy, łąży, łąźniki, łązory, łązieczniki, łąziska (2); łowcza, (venatores); łuczyce.

Majdany; maziarze; młynary, młynarze. Nałęczce? naróżniki? (czy nie będą to raczej naroczniki?).

Ogrodniki (hortulani); owczary (ovium pastores); oraczew (od oracze aratores); osieczniki.

Piekary (pistores) pisary; podłazie, podłęże, podłężyce, przewoźniki, psary (caniductores), pstroszyce (pstroscici C. D. P. III s. 43).

(1) Tu mogłyby może należeć *koszuty*. Miklosicz tłumaczy *koszuta* przez *cerva*, Personnonamen str. 69, przywołując w poparciu źródła Serbskie. Znaczenie tego wyrazu w Polsce ze źródeł historycznych wykazać się nie daje. Mamy jeszcze *Łanięta*.

(2) W dyplomatach odróżnione są dwa rodzaje ludności przybyszowej hospites i advenac; po polsku goście i łązy. Obydwa w nazwach miejscowych obecnych licznie i w rozmaitych formach się przechowały. Od gości, dobrogosty, gościraadowo i t. d. Od łązów, oprócz wymienionych form w tekście podłazie, podłęże, podłężyce, załęki, załęgi, załazy, załęże i t. d. W dyplomatach jako nazwy osadników łązaki i załazy (załassi). Linde ma łążęki, łążęgi w znaczeniu włóczęgów; załęże w znaczeniu bagnistej niziny; łązy, oblazy, góro łązy, w znaczeniu dróg bocznych. Jako ciekawość nadmieniam, że starożytność zapisała nam zwycięstwo Terencjusza Varrona nad ludem Salassi w górnym Piemencie, którzy pobici zaprzędani zostali w niewolę (Cibrario. Della schiavitù I s. 110).

O gościach mówi Miklosicz: Personnenamen str. 53; że gość oznacza nie tylko tego który z obczyzny do nas przychodzi, ale i tego, który od nas w obce kraje wychodzi; po niemiecku wychodzący wojak także przez swoich nazywany jest „Gast“ według Wackernagla. Nareszcie i gospodarz zwie się gost. Rad wedle Miklosicza alacer. Gościerady tyle o goście różni.

Radły; rataje; (Helcel I 289 agricola), rogoże, rogóznik; rudniki (fossores); rybaki, rybitwy, (piscatores), rzeszotary.

Siekierki, siekiery (w Przemyskiem siekierczyce p. dodatek do Gaz. Lwowskiéj 1872 s. 103 (1) sielce, siedlec, sielice, sielki (sedentes homines 1203 etc.) (2); sitnik, sitki; skomorochy (3); skory, skorki, skorosze (Scornichi C. D. P. II 593 z r. 1235); skotniki (pecorarii, jumentarii) skrzyńki? smardzew, smardzow, smardzewo, smardzewice (od smardow); smolarze, smolniki, smoły; sokolniki, sokoły (falconarii); solniki, sołtysy; starce (Helcel I 273) starki, starzyny, starzynki, stolniki (urządzenie zup. z r. 1364. Helcel I s. 223. Stolnicy sectores); struże, stróża, struża, (custodes); strzelce, strzałki (sagittarii); świątniki (sanctuarii), szepietowo (właściwie świepietowo od świepietnicy, mellifices); świniary; szczytniki, szewce (sutores), szklary.

Tkaczew (od tkacze, textores); tokary (torneatores).

Ułany.

Wapiennik? wardężyn, wardężynek (Helcel I 288 agricola); winiary, winniki (vineatores); wojny (milites 1136); wojty, woźniki.

Zakłocice (raczej zakłodzice z dypl. Trzemeszna porównaj kłodzice, kłodzie); załazy, załęże i t. d. (advenae qui vulgariter zalassi vocantur C. D. P. III s. 68 1256) zajączki? zduny (figuli), żerniki, złotniki, zrebce, zrebęta, żebrak, żebraczka.

Nie obojętném będzie nakoniec wymienić tu nazwy osad od ludności różnego pochodzenia:

Cygany, czechy, czeski.

Danowo (może od danow).

Francuzy.

Haliczany, holendry.

Kaszuba; kozaki; krakowiany; kujawy; kurpie, kurpiki.

Lack, lachowo, lachowiec, lachowizna.

Litewniki.

Mazury, mazowsze, mazowszany; morawiany, morawianki; Moskwa. Niemce.

Płowce? (Miklosicz); podolany; polany, polanowka; pomorzany, pomorze; prusy.

Ruś, rusinow i t. d.

Szlązak, szwedzski.

Tatary; Turek, tureczyny.

Węgrzyn.

Żydy, żydowo i t. d.

(1) czy to nie będą łacińskie z dyplomatu Lędzkiego securarii—może securarii? Röppel wywodzi ich od skóry. I ta nazwa istnieje także.

(2) sedentes homines i advenae, po polsku siedlce i łazy stanowią dwa przeciwległe bieguny pierwotnego wiejskiego społeczeństwa. Porównaj czeskie sedlaci i saskich półwolnych lassi vel lazzi (Walter Deutsche Rechtsgesch. § 392).

(3) Skomorochy u Lindego kuglarze, niedźwiedniki, dudarze.

KRONIKA ZAGRANICZNA,

LITERACKA, NAUKOWA i ARTYSTYCZNA.

L'annee Terrible (Rok straszny) poemat Wiktora Hugo.— Prolog.— Plebisoyt.—Sedan.—Wiersz do trupów niemieckich pływających po Sekwanie.— Na manifestacyi amerykańskiej.—Do Niemców.—List do Pani** posłany balonem w styczniu 1870 r.—Do wnucząt w dzień Nowego roku.—Do Polki w dniu jój urodzin.—Kapitulacya.—Wykrzyki! Dość już krwi!—Łuk tryumfalny i kolumna Vendome.—Pożar Paryża.—Krwawy odwet.—Kto winien?—Życie Dickensa, przez Johna Forstera.—Lata dziecinne.—Szkio z podróży Andersona.—Wystawa obrazów.—Najazd p. Suminais.—Gallowie przed Cezarem, Sebastiana Corau.—Jakób Coeur p. Patrois.—Ustęp z wojny Kokoszój, p. Rodakowskiego.—Portrety.—Carolus Duran, Jolobert.—Portrety pędzla kobiet.—Portret p. Krajewskiego.—Wielki portret Prezydenta Rzeczypospolitej, przez pannę Nelia Jacquemart.—Fortuna kołem się toczy, p. Sirony.—Strącone palladium p. Blanco.—Narcyz u źródju, p. Marszał.—Wdowa po mężenniku.—Gońce złych wieści.—Dzwonnicy nuremburscy.—Róg stołu i uczta eyganii literackiej.—Siew i żniwo.—Taniec konkursowy o koguta—scena alzacka.—Wotum.—Czarownica Bretońska.—Pokusa—Dziewczyna u źródju, najcenniejszy obraz na wystawie p. Juliusza Breton.—Medal honorowy.—Dziewczyna z krowami.—Widok Puław od strony Wisły, p. Szermentowskiego.—Rzeźby.—pomnik na cześć zwycięstwa Peruwianów nad Hiszpanami.—Przysięga Spartakusa, p. Barras. Dawid, p. Mercier.—Rycerz w spoczynku.—Joanna Dare.—Joanna i Werigtorix, wzór monumentu na cześć poległych ofiar.—Mirabcau.

L'annee Terrible! Rok straszny! oto główny przedmiot dzisiejszej kroniki, bo on też w rzeczy samój, jest dziś przedmiotem wszystkich przeglądów, tak literackich jak i politycznych, w całym świecie europejskim. I zagorzali chwalczy, i zacięci oskarżyciele, wielkiego, bądź cobądź, poety, znaleźli w tym poemacie nowe a silne pobudki, jedni do podniesienia chwały, drudzy do tórn większego potępienia autora.

Wiktor Hugo genialnym tytułem, wybornie określił poemat swój, tak piękny a tak straszny zarazem. Istna to salamandra, zrodzona w płomieniach, wykarmiona krwią i dymem pożarów. *Rok straszny* pozostanie na przyszłość nazwą nie samego tylko poematu, ale niemniej nazwą całorocznego blisko cyklu krwawych zdarzeń. Ów rok, zwany dotąd rokiem *Obleżenia i Komuny*, dziś już w ustach ludu francuzkiego nosi wymowne nazwisko *L'année Terrible!*

Poeta w strasznej księdze swojej zapisywał dzień po dniu wszystko, co potrafiło jego myśl, co zbudziło w duszy twórczą iskrę natchnienia. Z podziwem patrzymy na te czterysta wielkich stronnic, skreślonych siedmdziesięcioletnią ręką, w ciągu jednego roku, o czém świadczą same przedmioty, a czytając te palące zgłoski, tak nieraz szczytne, tak samodzielnie nacechowane piętnem, pochylamy kornie głowę pod potęgą geniuszu, a zarazem czujemy niewysłowioną boleść, że ten geniusz, któremu starczy tehu i lotu by krążyć po niezmierzonych okiem wyżynach, pograża się częstokroć w tak czarne, w tak niezgłębione odmęty.

Nie naszą rzeczą zanurzać się z poetą w te przepaście; wolimy raczej ściagać go wzrokiem w podświetlonych lotach, o ile starczą na to siły nasze. Nie brak zaprawdę w tym zbiorze, drogoceńnych klejnotów zrodzonych z łez i bólu, jak perły w łonie konchy. Wydobyć je na jaw, będzie zadaniem naszym. Niechaj gady wylęgle z nienawiści syczą w trzęsawisku i bluzgają zatrutym jadem, my poruszać ich nie myślimy.

Wiktor Hugo podzielił poemat na dwanaście części. Każdy miesiąc *straszego roku*, zaczawszy od sierpnia 1870, to jest od pierwszych klęsk, do lipca roku następnego, kiedy zgliszczą porażonych gmachów, buchały jeszcze dymem, a Sekwana ściekała krwią tyłu ofiar, każdy miesiąc powtarzamy, tworzy w poemacie osobny ustęp, podzielony jeszcze na pieśni i obrazy.

Czém jest ta księga? zapytajmy poetę: on sam najlepiej odpowie.

Straszne czasy! myśl moja w tej smutnej przestrzeni,
 Gdy wszystko tak dziwacznie płacze się i mieni,
 Myśl moja, to step głuchy, po którym w noc ciemną
 Szereg czarnych widziadeł przemyka tajemno;
 Tę księgę piszę codnia, ilekroć uderzy
 Zegar nową godzinę, dorzuca łup świeży!
 O! dnie *straszego roku* – to hydry, co z piekła
 Wznoszą łby, i nim przepaść porwała je wściekła
 Rzuciły mi przed oczy tumany złowieszcze
 I w głąb duszy mordercze wpijały mi kleszcze,
 I na każdym mym wierszu wyrzyły ślad czarny,
 Jakie widmo wypala po darni cmentarnej.
 Chcesz-li odkryć mą duszę zgrzęzłą w te odmęty,
 Ujrzysz na niej tysiąca ran ślad wyciśnięty,

Gniewu, bólu, rozpacz, tęsknoty ponurój,
Jakby ją wskrós zorały krwawe lwów pazury.

Poeta w dziwnie malowniczy sposób, kreśli na wstępie obraz plebiscytu, jako zapowiednię przyszłych klęsk, które miały spaść gradem na Francją. Te milionowe świstki papieru, na których skreślono wyraz *Tak*, porównywa on poetycznie, do płatków śniegu spadających głucho na ziemię. Przyszło słońce, stopniał śnieg, i z pod białego całunu wyjrzała złowrogo niedola.

Wymownie tu poeta odróżnia lud, od bezmyślnój tłuszczy, którą wicher pomiata jakby plewą. Lud — mówi on — bierze Bastylię, tłuszcza znieważa Kolumba, pluje w oczy Joannie Darc, upada na kolana przed Tyberyuszem! Oblubienicą ludu idea, kochanką tłuszczy gilotyna.

Wielbię Spartę, Ateny, Paryż pełen chwały!
Wielkie Forum, z kąd wielkie głosy na świat brzmiały;
Lecz wyższą w moich oczach powagę zdobędzie
Jeden mąż sprawiedliwy, niżli tłum w obłądzie.

Czytając to piękne określenie pytamy, tenże to sam głos, który w innej okoliczności tak wysoko podnosił tłuszcze? *la populace sublinée!* O ileż to w Wiktorze Hugo, poeta przerasta męża stanu!

Po tym wymownym wstępie autor zatrzymuje się chwilę, i pyta ażali starczy mu sił do skreślenia okropnych obrazów, jakie przesunęły się przed jego wzrokiem.

Chciałbym strasznego roku opiewać niedole,
I waham się łokciami podparty na stole,
Mamże iść jeszcze dalej? iście mi przystało.
O Francyo! widzieć gwiazdę na niebie zmalatą!
Straszny rumieniec sromu pali moje lica,
Zbiegła powódź i nowa wzbiera nawalnica;
Trzeba iść! niech się dziejów rozwiąże zagadka:
Ten wiek stoi przed sądem, służe mu za świadka.

Po takim prologu następuje *Rok Straszny*. Rozpoczyna go smutnej pamięci miesiąc sierpień. Poeta opiewa niesłychaną w dziejach klęskę Sedanu, opiewa ją z rozpaczliwym zapałem, biczem słowa ohłoszcze sprawców nieszczęścia i hańby. W obec Sedanu, czemże wszystkie klęski jakie dotknęły Francją w pasmie wieków!

Dziś żałobny Azincour dla nas pełen czaru,
Wesołą prawie dzisiaj pamięć Trafalgaru,

Zedrzyjmy kir żałobny z Blenheim i Ramilli,
 Już srom na polach Cressy głów nam nie pochyli;
 Nową hańbą już pamięć Rozbachu zatarta,
 O Francyo! oto straszna twoich dziejów karta;
 Sedan! imię śmiertelne, co wszystko pożarło,
 Wypluj je! niech ci nigdy nie przejdzie przez gardło.

Poeta opiewa potem rozpaczliwy bój, zakończony okropną katastrofą:

Kiedy bojowe trąby straszne dzwonią hasło,
 Kiedy nasze wiarusy, z odwagą niezgasłą
 Chcą zrównać wielkim ojcom, których czci świat cały,
 Nagle rozległ się okrzyk, proporce zdrząły:
 Już waga naszych losów smutno przechylona,
 Wszystko wre, broczy we krwi, morduje lub kona.
 Zabrzmiał potworny okrzyk: „Ja chcę żyć!”
 To słowo

Powstrzymało ryk armat, i wrzawę bojową.
 Słowo padło i przepaść odjękła daleka,
 A czarny orzeł szpony wyteżył... i czeka!

I wylicza poeta wszystkie wielkie chwile w dziejach Francyi, wszystkich jej bohaterów, zaczawszy od Brennusa, tego tytana Celtyckiego, z rozpuszczonym na wiatr włosem, od Sykambra Klowisa, do nowych Achillesów i Scypionów: Klebera i Desaix'a, do pierwszego Napoleona, większego niż Cezar i Pompejusz; ukazuje tych olbrzymów, jak występują z wiekowych grobowisk, i na murach nieszczęsnego Sedanu, składają tylokrotnie zwycięzki swój orzeł!

Ależ dla pogromców, którzy zmogli nas liczbą tylko—woła poeta—zwycięztwo będzie prawdziwą chwałą?

Wśród tryumfu przez szczerlnie zwarte niebios wrota
 Nie błysnie nawet chwały aureola złota;
 Z ziemi, tak szczodrze krwawą posoką zżyznioną
 Nie wzrośnie nawet listek wawrzynu zielony!

Utarczki wkoło obleżonego Paryża, dostarczyły znów poecie niezliczonych pobudek do pieśni; patrząc na drogie miasto gotujące się do odporu, opasane potrójną obręczą wałów, fortów i żywych piersi, woła w najwyższym uniesieniu:

Chciałbym nie być Francuzem, abym rzec miał prawo
 Dziś, kiedy ty w boleści szamoczesz się krwawo,
 O Francyo! gdy sęp szarpie sztuki z twego ciała,
 W tobie niech będzie cel mój, szczęście, miłość, chwała!

Zasłyszawszy o trupach nieprzyjacielskich, znalezionych w Sekwanie, tak poeta przemawia na ich widok:

Przysłiście tu zdaleka, widzę was zuchwali,
 Wiatr z cichym was poszeptem kołysze na fali.
 Jak miękko, jak łagodnie prądy was unoszą
 I woda rąbkiem piany otula z rozkoszą.
 To wyl syny Połnocy! gdy fala was toczy
 Przy jej szumie błękitne zamrużyć wam oczy!
 Rzekliście: Idźmy do tej wszetecznej na gody...
 Niniwa pocałunkiem obdziela narody;
 Tam wrzawa, tam wesele, tam śmiech i rozpusta,
 Idźmy, do słodkiej czary przyłożyny dziś usta!
 Hej Germany! Saksony! hurmem na Południe!
 Do Niniwy co żywo! tam gwarno, tam cudnie!
 Niniwa do przybyszów krasi lica hoże,
 Otworzy nam objęcia!

— A Sekwana łożel

Kiedy Paryżanie poczeli na gwałt lać działa, i jednemu z nich dali imię *Wiktor Hugo*, tak poeta odzywa się do groźnego chrześniaka:

Czekają nas zapasy: potrzebaż nam synu
 Dopełnić się, nim oba wystąpić do czynu.
 Daj mi twój spiż! piorunem niech ryknie me słowo,
 Ja wleję mego ducha w twą paszczę spiżową!

I w rzeczy samej, słowo poety ryczało piorunem, ilekroć nowa zniwaga ugodziła w nieszczęśliwą Francją. Na manifestacyi Ameryki dla zwycięzców, odpowiada wyrzutem pełnym goryczy i boleści:

W obec tej zniwagi
 Drgnęły kości olbrzymów, pękły sarkofagi,
 Tłum duchów się szamoce z gniewem i pogardą,
 Kościuszkę Spartakusa pochwyca dłoń twardą,
 Madison kipi gniewem, Jefferson się sromia,
 Jakson odgania marę drzącemi rękoma;
 Hańba nam! woła Adams, Linkoln drży z rozpaczy,
 Snać, drugi raz mu w sercu utkwiał nóż siepaczy!

Bolą ciężko poetę owe bezustanne przechwałki Niemców, ta pogarda jaką zwycięzcy okazują zwyciężonym, te sonety i hymny, któremi poeci wołają na lud niemiecki, aby otrząsnął się z wszelkich naleciałości galskich!

— Nie strząśńecie wy z siebie tego wpływ! woła natchniony wieszcz, zrzucić go nie w mocy już waszój.

Odwróćcież wy oczy
 Od szczytu gór, z kąd przedświt błyska wam uroczy;
 Wyzwólcieź się od skrzydeł, co wam rosną z ramion,
 Choć nawet ich nie czuje zmysł szaleń omamion;
 Wyzwólcieź się od technienia, co z nas na świat wieje,
 Od świata, co dziś w nowe wstępuje koleje,
 Od myśli co widnokrag nieznany otwiera,
 Od wymowy Kornela, od pieśni Szyllera,
 Od własnych płuc, dla których oddychać potrzeba,
 Od zrenic swych, co w jasne spoglądają niebo,
 Od prawdy, co wskazuje kędy w przyszłość droga:
 Wyzwólcieź się od jutra, wyzwólcie od Boga!

To znów poeta rozwija skrzydła, i orlim lotem ubiega w daleką, dziś zapomnianą przeszłość, kiedy Gallowie i Germany, dwa bratnie szczepy plemienia starych Aryów, pomni wspólnej kolebki, łączyli siły własne, w obec niesytych krwi i łupu kochort rzymskich. Dziś pękły stare węzły:

O zgrozo! lud nad ludem pastwi się szalony!

A jeden nasz początek, i ród, o Saksony!
 Z jednego w mroku dziejów my wyszliśmy łona,
 Gallowie i Germany, dwa bratnie plemiona.
 W tój starój Europie, z kąd zdroj dziejów tryska
 Wzrastaliśmy pospołu, i jedna kołyska
 Tulila nas, i pieśni jednakie nam brzmiały,
 I małego Abla kochał Kain mały!
 Była nas wielka chmara, jak kłosów na łanie,
 O nas to mówił Tacyt, i o was Germanie:
 „Bóg mocny rządzi ninie, dusza ich zacięta,
 U nich niewiasta płacze, mąż krzywdy pamięta!”
 Jeśli Rzym w pola nasze zapuścił zagony,
 Posłyszał okrzyk Celta, Wend nieustraszony,
 Zbito społem pretora, wyparto konsula,
 Biegł co tchu Teutates na głos Irmensula,
 Wspierano się nawzajem piersią i żelazem.
 I ku niebu z modlitwą dusze biegły razem,
 I nieraz w ciemnym gaju, pod dęby świętymi,
 Przed kamiennym ołtarzem, klęczeli na ziemi
 Teutony kolońscy, i Bretony Gale.
 A gdy w skrzydła Walkyrya zaszumi wspaniale,
 Gdy przemknie, u was Herman, u nas Brenus dzielny,
 Widzę gwiazdę na łonie Dziewy nieśmiertelnej!

O Niemcy ! w jasne niebo podnieśby wam oczy !
 Gdy wasz miecz tak zawzięcie krew z serca nam toczy,
 Germaninie ! gdy ręka twa morduje Gala,
 Gdy stopa twa go depcze, i gmach praw obala:
 Zaczem tryumf zdradziecki twą własną cześć zmaże
 Patrz tam ! ujrysz twych ojców obok naszych w parze !

Ciasno poecie w oblężonym Paryżu, radby łokciami własnymi rozbić żelazną obręcz ściskającą, nieszczęsne miasto. „Naprzód ! naprzód ! woła na wodzów, spożytkować wam te nagromadzone siły, spożytkować te serca bijące tak krzepkim zapalem ! Ten biędny lud szamocze się sam w sobie, i rozbija próżno skrzydła o szczeble ciasnej klatki, i próżno ogląda się za wodzem, któryby go powiodł na pole zapasów i chwały !”

W rozumie człowiek mieści, ku złemu zbyt skory,
 Przesady, błędy, kłamstwa, potworne zapory,
 Lecz niech go wielki przykład, wielki głos poruszy,
 Z tych kamieni zbuduje świątynię w swej duszy !

Czasami znów poeta nastraja lirę na inny ton. Nieodrodny potomek starych Gallów, zawsze swobodnych wśród najcięższych nawet udręczeń, zaprawia Hugo słowo swoje wesołym humorem i dowcipem. Zobaczmy oto list posłany balonem z oblężonego Paryża, do przyjaciółki przebywającej na wsi. Poeta żartuje z własnych bięd i kłopotów, swobodnie przebiega od jednego przedmiotu do drugiego. Dajemy cały ten list w przekładzie.

List do pani**
 posłany balonem 10 stycznia 1871 r.

Paryż walczy wesoło. Pozdrawiam cię pani !
 Czuję się ludem, światem, duchowo zbratani,
 Żyjem jedni dla drugich, nie bacząc na siebie,
 Bez trwogi, bez oparcia, bez słońca na niebie,
 Byle tylko nie zasnąć, a złe się przebierze.
 Dałem piętnaście franków za trzy jajka świeże
 Dla wnucząt. Paryż w szanice opasany i mury.
 Bezpieczny. Jemy osły, niedźwiedzie i szczury.
 Brzuch nasz Arką Noego, tam wstęp niewzbroniony
 Żadnemu dziś zwierzęciu; pigmeje, mammony,
 Wszystko tam społem wkracza i legnie pokotem,
 Słoń spotyka się z myszą, pies spotyka z kotem,
 Brakło drew, toporami w pień lipy strzebiono,
 Już pola Elizejskie na kominach płoną;
 Pokostniały nam ręce, szron okna przysłania,
 Żadna praczka bielizny nie bierze do prania,
 Bez ognia płótno nie schnie, ładnie czy nie ładnie

Już nie zmieniamy koszul. Gdy wieczór zapadnie
 Szmer głuchy na ulicach niby w pszczolnym roju,
 Zabrzmi pieśń, albo trąbka da hasło do boju.
 Sekwana ciężko płynie, bo na grzbiecie toczy
 Archipelagi lodu, czasami w pomroczy
 Przemknie kanonierka, i wstęgę spienioną,
 Rzuci za ślady swemi na ciemne wód łono.
 Żyjem wszystkiem i niczém, ale myśl wesola.
 Na stole bez obrusa, kędy głód nas woła.
 Kartofel istnym królem, szarpiem go po szczypcie;
 Cebulki tu bozkami jak niegdyś w Egipcie.
 Brak węgla. Nasz chleb czarny i twardy jak z glazu.
 Paryż śpi pod całunem, zabrakło nam gazu,
 O szóstej noc rozcięła zasłonę grobową,
 Tylko bomby szalenie huczą nam nad głową.
 Gdy piszę, maczam pióro w czerepie z granatu:
 Paryż kona, lecz ran swych nie odkrywa światu.
 Lud wszystek strzeże fortów, gród zdał mu swe losy,
 Ojce, męże i bracia, sieczeni w pokosy
 Jak mur stoją na wałach, otuleni w koce,
 A tyjące kartaczów w powietrzu furkoce.
 Niech Moltke bombarduje, Bismark głodem ściska,
 Paryż po bohatersku pilnuje ogniska,
 Jednoczy dzielność męża, z niewieścim urokiem!
 Radośnież po błękitcie zatacza on wzrokiem,
 Za gołąbkim, co wieści przynosi ze świata,
 Za balonem co w szlaki powietrzne ulata . . .
 Patrzę na gród niezłomny wśród bólu i trudu,
 Wołam : przebacz urazy, walcz, kochaj mój ludu !
 Wroga tylko zwij wrogiem ! skąpan nowym chrzestem,
 Nie znam mego imienia, sam nie wiem kim jestem,
 Dziś me imię ojczyzna !

W tej zapasów chwili,
 Kiedy wszystko się chwieje, rozprzęga i chyli,
 Chwała naszej niewieście, bo wielka prostotą !
 I cóż było ozdobą Rzymskich matron ? oto
 Miłość progów domowych, umysł hartu pełny,
 Dłoń twarda od wrzecziona, zeczerniała od wełny,
 Zrenica wciąż rozwartą, której sen nie zmruży,
 Gdy mężowie i bracia stoją u stóp wzgórzy,
 A gdy Anibal ściska gród w żelazne kleszcze !
 Te czasy powróciły, widzimy dziś jeszcze
 Jak olbrzym, tygrys paszczę w ostre kły zjezoną,
 W drgające żywem tętnem wnużył grodu łono,
 Pod uściskiem piekielnym wśród katuszy miasta,
 Mąż jest tylko Francuzem, Rzymianką niewiasta!
 Ona się nie pożali, ani łą, ni słowem,
 Drząc przy zgasłym ognisku, na chłodzie zimowym,

Pod śnieżną zawieruchą, ona w progu jarki
 Czeką na kęs koniny, by nakarmić dziatki!
 Głód, nędza, niezém dla niej, huku bomb nie słuca,
 Ona wie czém powinuość, i moc czerpie z ducha.
 Wciąż sypią nasze forty rześistym kul gradem,
 Paryż ze snu ockuiony, wstaje z licem bladem.
 O świcie huczają bębny, grzmi bojowe hasło,
 Pobudka krzesze w płomień skrę w piersi niezgastą,
 Każdy dzielnie wystawia, jutra nie świadomy,
 Serce na błysk nadziei, a czoło na gromy;
 Spromienion aureolą boleści i chwały,
 Bądź co bądź gród nasz wita pokłonem dzień biały!
 Chłodnoź będzie i głodno, bez chleba ni słońca,
 I cóż ztąd? co się trwożyć? wytrwajmyż do końca!
 Po nocy wschodzi zorza, tak to świat się toczy...
 Za miesiąc może wroga nie ujrzym na oczy;
 Wonczas ja i synowie trudami złamani,
 Do ogniska twojego przytulim się paui.
 W marcu, miłą gościńę przygotuj, gdy łaska,
 Jeżeli granat w lutym głów nam nie roztrzaska!

Drobne wnuczęta jedyną były pociechą poety, w tych chwila-
 ch nieopisanych prób. Często też wspomina on małą Joalkę
 i jasnowłosego Jurcia. Daliśmy już w przedostatniej korespon-
 dencyi wiersz do tej ukochanej dziewczeczki słabiej podczas oblężenia.
 Również rzewnych ustępów napotyamy wiele w książce Wiktora
 Hugo. Są to niby słoneczne promyki, przebijające czarny pomrok
Strasznego Roku. Z wyżyn ledwie dosięgłych okiem, kędy soko-
 ły ścielą guiazda, poeta spuszcza się na ziemię, i poi spaloną pierś
 orzeźwiającą rosą, w kółku miłej rodziny. W każdym jego słowie
 do dziełek przebija nadzwyczajna prostota. Oto wierszyk skre-
 ślony w dzień Nowego Roku, w dzień tak smutno pamiętny dla
 Paryża.

Dzieci, jak urośnięcie, opowie wam matka,
 Że dziadunio was kochał do dni swych ostatka,
 Że mało miał radości, a zgryzot bez miary:
 Gdyście były małeńkie, on bardzo był stary.
 Że złości ani guiewu nie miał w swęj naturze,
 Pożegnał was na wiosnę, gdy zakwitły róże,
 Iż zmarł, iż miał serce dobre, nie ze skały,
 Że tej zimy, gdy bomby nad miastem huczały,
 Przebiegał straszny Paryż, przez bagnetów krocie,
 I znosił wam zabawki, lalki i łakocie.
 A wy słuchać będziecie pod wielkich drzew cieniem,
 I starego dziadunia wspomnicie z westchnieniem.

Rzewniejszy jeszcze wierszyk do małej Joalki w dzień jej urodzin, gdy dziecina skończyła pierwszy rok swego życia.

Do Joalki.

Wczoraj skończyłaś roczek, droga ty dziecino!
 I szczebioczesz jak leśną pokryte gęstwiną,
 W ciepłych gniazdach ptaszęta szczebioczą radosno,
 Kiedy czują że piórka do lotu im rosą.
 Joalko! twoja buzia istny różę pączek!
 W tych księgach, które chwytasz skwapliwie do rączek,
 A które ja na rozkaz oddaję twój, dziecię,
 Choć je rączka bezmyślna zszarpie i pogniecie,
 W tych książkach jest nie jedna dziwnie piękna karta,
 Lecz jednej twój pieszczoty zaprawdę nie warta.
 Żaden mistrz takich cudów nie stworzył przez wieki
 Jak myśl, co z twój półsennej rozkwita powieki,
 Jak ta cicha zaduma co bije ci z czoła,
 Kiedy patrzysz na ludzi żrenicą anioła.
 Joalko! Bóg ztąd blisko, bo ty jesteś z nami!

Wczoraj skończyłaś roczek . . . to mi wiek! . . . czasami
 Dziwnie jesteś poważna, do uniesień skora:
 Twój wiek, to owa życia półniebiańska pora.
 Cień twój, jeszcze na ziemię nie padł plamą czarną.
 Gdy głowy rodzicielskie twe rączki ogarną,
 Zda się, jakbyś tuliła w objęciu świat wszystek!
 Twoja duszyczka żyje, gdy wiotka jak listek
 Od matki Alicyi do ojca Karola,
 Naginasz się rozkosznie, bo szerszego pola
 Twój umysł nie ogarnie! cała twa uciecha,
 Gdy ona cię kołysze, gdy on się uśmiecha!
 W tej pierwszej chwili życia, ach! oni dla ciebie
 Radością i nadzieją, słoneczkiem na niebie!
 Oni jedni i słusznie, a ja żyję przecie!
 Żyję biedny dziadunio, bo cię kocham dziecię.
 Tyś przyszła, mnie czas odejść: uim mnie noc otoczy,
 Ku twój zorzy z pociechą zwracam smętne oczy,
 Ty Joalko, ty z Jarcim złotowłosym bratem,
 Starczyście duszy mojej, wyście dla mnie światem!
 Po zawodach żywota nie pragnę nic więcej,
 Niech tylko odblask waszej kołyski dziecięcej,
 Wśród słońca na milczącym odbije mym grobie!

O niewinna dziewczuszko! z kądże przyszło tobie,
 W takie czasy wycisnąć pierwsze stopek ślady?
 Nad kolebką twą stoi widmo grozy bladej,

Śmiejesz się, gdy do boju mknie dzielnych tysiące,
 Bręczysz jak drobna pszczołka na kwiecistej łące.
 W jak dziwny chór się zlewa twoje pierwsze słowo,
 Z wrzawą miasta, gdy szczeka w zbroicę stalową,
 Jakże dzwieczny twój głosik pobrzmiwa mi słodko;
 A gdy ogarniesz twemi rączęty, szczebiotko,
 Stroskaue głowy nasze, jak anioł widomy,
 Sądzę, że czarna chmura z której biją gromy,
 Drży, i cofa się nagle z porykiem szalonym,
 Że Bóg kreśli nad grodem w sto wież uwieńczonym,
 Nad okrętem, w zapasach z falą rozwściekloną,
 Nad tych dział tysiącami co śmierć z paszezy zioną,
 Nad światem, co z rozpaczą wzrok utkwiał w ruiny,
 Błogosławieństwo, rączką niewinnej dzieciny!

Nadszedł okropny dla Paryża dzień kapitulacyi. Z piersi
 poety wybiega żalosa skarga:

Po toż nam było znosić ten pięciomiesięczny
 Ucisk srogich Tutonów, którym bucha z oozu
 Dzikość, wyssana niegdyś w puszczy ciemnym pomroczu,
 Na toż było mrzecz z głodu, drżec z mrozu niestety!
 Na toż się było w ziemię wkopywać jak krety,
 Zapelniać nory prochem, dzwigać pod niebiosy
 Wieżycy naszych fortów; po toż ciał pokosy
 Walić w grób, tę stodołę gdzie śmierć składa plony,
 Po toż wystawiać czoła na grad bomb szalony?
 Gdy barki nie zwętały, gdy serce nie zgasło,
 Gdy trzykroć sto tysięcy gotowych na hasło
 Czeka z piersią kipiącą i zżyma się srodze,
 Drgnął Paryż . . . w ręce wroga oddali go wodze,
 Z jego dumą, z rozpaczą w piersi niewychłodłej:
 O ludu! ci wodzowie spełnili czyn podły!

Głęboko zajrzał poeta w piersi ludu, wsłuchał się w tętno
 tych zrozpaczonych serc, z których miał niebawem wybuchnąć
 gniew wściekły, grozący zaturą społeczeństwu.

I rozgrzmiwały znów działa nad Paryżem! każdy pocisk
 bratnią rzucony ręką, odbił się w sercu poety. Z piersi jego zra-
 nionej wybiegł wtedy bolesny wykrzyk:

Wstrzymajcież ten zapęd szalony!
 Jak płomień co kłosisie pożera zagony,
 Zabijacie cześć waszą, przeszłość i nadzieję.
 Stójcie! na kraj żałoba z waszej chwały wieje,
 Każdy strzał bratnią ręką wymierzony w pierś brata,
 Sieje śmierć, i zagubę, i srom w obec świata.

Kędyż was ta piekielna pędzi zawierucha ?
 Byłóż bohatérskiego odzyskać wam ducha,
 By czarną bratobójstwa okryć się sromotą ?
 Biada wam nieszczęśliwi !

Czy widzicie oto

Tę chorągiew cmentarną nad waszemi głowy ?
 O ! straszna, istny całun ! .. czarna do połowy,
 Do połowy znów biała jak zgió (1) wieje górą,
 Rządzi tu, sprawa czaty, szeleści ponuro !
 Pługawi naszych wieżyc poszczerbione szczyty,
 Gnecie was, tak jak Egipt guiół Izraelity.
 Oh ! ta wojna domowa, co w pierś nam się wbodła,
 Bolesna po Austerlitz, po Sedanie podła.

Zgubion ten, kłątwa wieków nędznika obarczy,
 Kto na zlanej krwiá bratnią opiéra się tarczy;
 Kto na trupach buduje kolumnę swéj chwały,
 Kto wznawia nienawiści rozorane wały;
 Kto tchnieniem swego ducha podsyca z niesławą
 On płomień, co z dwóch głów ni wybuchá tak krwawo;
 Kto w obec klęsk i gruzów o przyszłości tuszy,
 Gdy Francya morduje dziś duszę swéj duszy,
 Paryż to słońce świata !

Z oburzeniem patrzy poeta, jak bomby druzgoczą, sławny łuk tryumfalny, jak młoty wał w pyszną kolumnę Vendome, którą on opiewał w młodości. Wielkim głosem woła na szaleńców:

Ludu mój! wiek podziwiał twój trud niesłychany
 Gdy w drżącą Europę biły twe tarany:
 Gdziekolwiek stawisz stopę, w trop za twemi kroki
 Wszystko się przeistacza po ziemi szerokiej:
 Siejesz myśl i zielone wnet falują plony
 Z cudownego posiewu. Twoje legiony
 To fale rozhukane, co szaloną mocą
 Biją w górę i twarde skał szczyty druzgoczą.
 Ludu! tyś toczył z piersi szczerze krew ofiarną,
 Blaskiem co bił do ciebie, tyś zwalczał noc czarną,
 I promień twego czoła rozrzucal po ziemi;
 A kiedy szedłś naprzód szlaki gwiazdzistemi,
 Ludy z czcią i podziwem wzrok wlepiály w ciebie.
 Lat dwadzieścia tyś orłem szybowal po niebie:
 Od Nilu do Adygi, od Tybru do Łaby,
 Przed tobą, z swych się węzłów rozprzegal świat słaby.
 O ludu mój! w historii wszak dowodów stanie,
 Gaśł nawet sam wódz olbrzym przed tobą Tytanie!

(1) Zgió, śmiertelna koszula, wyraz przyjęty u ludu na Mazowszu.

I stają dwa pomniki, — szczyt ich niebios sięga,
 Twój tryumf zwieńczon łukiem, kolumną potęgą;
 One tobą, twym duchem w nowy kształt spowitym,
 Jak ty, jeden z nich spiżem, a drugi granitem!

Słuszna gdy dawnych zwycięstw karmimy się chwałą,
 O! te oba pomniki jak nam cześć przystało,
 Z miłością pielęgnować, strzedz nocą i we dnie;
 Bo kiedy nasz widnokrąg zamgli się i zblednie,
 Mścicielem naszym pomnik, świadek naszej doby!
 Będziem patrzeć na oba przez cafun żaloby
 I ostrzyć o nie oręż; i ujrzym tam w górze
 Ryte na gładkim spiżu, na twardym marmurze,
 Imiona wielkich mężów co po świecie słyną,
 Bo godzina upadku, jest dumy godziną.
 Bo z pod kiru żaloby tém jaśniej połyska,
 Słoneczny blask tryumfów; bo z tego ogniska
 Bierzem światło i życia iskry tajemnicze:
 Dobrze małym spoglądać w olbrzymów oblicze.
 Oh! uczcie nam pomniki, wzniesione prawicą
 Tych zmarłych, których czyny takim blaskiem świecą;
 Tych zmarłych, co pioruny miotali z obłoków,
 Że dziś jeszcze po ziemi brzmi odgłos ich kroków:
 Ach! żywi nie tak błyszczą! mniej słońca nad niemi,
 I głębiej niż ci zmarli pogrzebani w ziemi!

Czy słyszycie te działa? te młoty nad głową?
 Kto śmie walić w tę bramę! w kolumnę spiżową!
 To wy!

Treny Wiktora Hugo z czasu wojny domowej słusznie porównano do lamentacyi Lukana po klęskach Farsalii, do krwawych obrazów, jakimi Dante uwiecznił bezrządy swęj ojczyzny, jakimi Hopital i Montaigne przechowali dla potomności żalobną pamięć nocy Bartłomiejowej. Obok tych, stanąć może obraz pozaru Paryża, najstraszniejszy z obrazów *Strasznego Roku*.

Ludu! gdy nad twém miastem jak w biblijne czasy
 Pożar krwawo potrząsa płomienistą grzywą,
 Jak niegdyś grom Jehowy nad grzeszącą Niniwą;
 Gdy Lutecya w straszonym szamoce się skonie,
 Gdy z puścizną co wieki złożyły mu w łonie,
 Gore Luwr nieśmiertelny, jak strzecha słomiana,
 Gdy pod łukami mostów, krwią ścieka Sekwana;
 Gdy Trybunał gdzie szalę dzierzą praw strażnicy,
 Od wrzębu staręj królów odcepion kaplicy,
 Pada jak łachman ręką odpruty niewieścią;

Gdy w lochach Panteonu zadrgnęły boleścią
Prochy śpiących olbrzymów i z ciemni grobowej
Patrzą w drżące odblaski łuny purpurowej!

Wszystkich wieków Nerony biegną, wzrok ich błyska:
Każdy z śmiechem dorzuca głównię do ogniska.

Krwawy odwet zwycięzców, dał poecie pobudkę do dziwnie
rozdzierającego serce ustępu.

Dzień-że to? czy noc czarna? czy przedświt złowrogi?
Tłum cieniów się szamocze wśród krwawej pożogi;
Grom uderza za gromem, po omacku, głucho,
Straszny odwet! O patrzmy... nakłońmy tam ucho!
Iskra Boża nie świeci w sumieniu człowieczem,
Traf ślepy tam wszechwładnie rządzi pomsty mieczem,
Szał zagasił do szczętu rozumu pochodnię,
Któż dziś wie, czy powinność spełnia-li czy zbrodnię?

Tu wojsko, tam lud wściekły, ... a Francoya sierota
Leje krew! ... nad głupotą pastwi się głupota!

Kto winien? zapytuje poeta i w krótkim ustępie drama-
tycznym, wymowną daje odpowiedź; przytaczamy cały ten ustęp:

Kto winien?

— Ty spaliłeś księgozbiór?

— Tak, wśród nocy ciemnej

Podłożyłem sam płomień.

— Zbrodniarzu nikczemny!

Zmącone twe pojęcia szał piekielny głuży,
Wiesz-li ty że zabiłeś promień twojej duszy;
Zdmuchnąłeś sam rozumu twojego pochodnię.
To, co ty nikczemniku zburzyłeś wyrocznie,
Było drogim twym skarbem, twą świętą chudobą:
Księga wszędzie i zawsze świadczyła za tobą.
Bo i czemu księgozbiór? to wyznanie wiary
Zmarłych dawno pokoleń, co przez pomrok szary
Swych grobów, świadczą zorzy wschodzącej nam jasno!
W on skarbiec prawd, gdzie mędrcy złożyli myśl własną,
W te arcydzieła twórczej potęgi człowieka,
W tę hekatumbę czasów, gdzie z pod trumny wieka
Świeci złota nic podać, którą przędą dzieje;
W tę przeszłość co przyszłości zakreśla koleje,
W to źródło, co bystremi rozłącza się rzeki,

W to, co raz się poczęło i trwać będzie wieki;
 W te otchłani biblijne, w te prorocze chóry,
 W onych Hiobów co głowy dźwigają nad chmury,
 W Homerów, w Eschilesów, co ozołem w lazurze
 Kręśla zapasy bogów i serc ludzkich burze;
 W Molierów i Kantów, w czystej myśli łono,
 Ty rzucasz nikczemuiku pochodnię zatloną,
 I wszystek rozum ludzki, ty opętan szalem,
 Zamieniasz w tuman dymu!

W pasmie wieków całem,
 Kto był rzecznikiem twoim? księga, zawsze księga!
 Ona stuletnie węzły przesądów rozprzęga:
 Ona świeci jak słońce. Z niej świat blaski bierze,
 Nią zwalczy głód i pomór, powali pręgięrze.
 Na głos jej z karku Negra twardy powróz zleoi,
 I Paria się strząśnie z swych wiekowych śmieci.
 Otwórz księgę, odczytaj Platona, Kornela,
 Szekspira i Dantego, cudnież się udziela
 Ioh wielki duch twój myśli, z uspienia ją budzi,
 I czujesz się człowiekiem na modłę tych ludzi!
 Czytasz i poważniejesz, i marzysz radosno,
 Czujesz jak w duchu twoim te olbrzymy rosną;
 W miarę jak płomień wnika do dna duszy twojej,
 Podnosi ją, ukrzepia, ożywia i koi.
 Już myśl twoja porwana prądem myśli nowej,
 Gotowa odpowiedzieć i czynem i słowy,
 I czujesz się być dobrym, potem lepszym jeszcze;
 Jak śnieg taje na słońcu, tak widma złowieszcze
 Wściekłej pychy, przesądów topnieją powoli,
 Wpływ wiedzy cię uzacni i z błędów wyzwoli;
 To światło, co nad ziemią rozprasza mrok ciemny,
 Ty śmiesz gasić twą ręką, zbrodniarzu nikczemny!
 Cel, za którym szalony gonisz tak zażarcie,
 Rozwiązali go mędrce wprzód na księgi karcie.
 Księga myśl twą przenika, w błędnych rojeń tłumie,
 Ona prawdę od kłamstwa oddzielić w niej umie;
 Ona gordyjski węzeł w sumieniu twém przetnie,
 Ona ciebie wyleczy z tych trędów, co szpetnie
 Splugawiły twe serce nienawiści jadem.
 Ona ci przewodniczy, ty masz iść jej śladem;
 Ona wytrzeźwi z szału twą głowę pijaną,
 A ty ją w proch niweczysz ręką rozpasaną?
 Księga twojem bogactwem, to twój skarbiec złoty
 Prawa, wiedzy i prawdy, postępu i cnoty,
 Bez niej Bożą iskierkę my w duszy przytłumiem,
 A tyś ją zniszczył nędzny?

— Ja czytać nie umiem!

Ja czytać nie umiem! oto wymowna odpowiedź, jaką Wiktor Hugo kładzie w usta szaleńców na pytanie: z kąd poszły wszystkie kłeski Francyi i cały ten rok straszny! Powtórzył może poeta rzeczywiście odpowiedź nie jednego lub niejednej z tłumu podpalaaczy! powtórzyło ją za nim tysiące głosów w całej Francyi, bo Hugo wyrzekł słowo leżące w głębi serca narodu. Głos wieszczca potrzebny był, aby dać tém większy pohop ludziom dobrej woli, do zajęcia się wychowaniem ciemnych warstw społeczeństwa.

Ja czytać nie umiem! odpowie miliony głosów po wszystkich stronach ziemi, bo ciemne warstwy społeczeństwa istnieją w każdym kraju. Ale tu nowe zachodzi pytanie, co to jest umieć albo nie umieć czytać? która to warstwa społeczeństwa jest ciemną, a która jasną? Zagadnienia to wielkie, pierwszorzędne, tajemnicze!

Słusznie krytycy francuzcy podnieśli słowo poety, wyrzeczone w tak dramatyczny sposób, ale niemniej téż słusznie zawołali z gorzkim wyrzutem:

„Mistrzu słowa! a gdy lud nauczy się czytać, będzie on wytrzeźwion z obłądu czytając twoje rady? nie byłoby dlań lepiej, aby wcale czytać nie umiał?”

Surowy to sąd, surowszego wydać niepodobna! Niestety, wiele ustępów z *Straszego Roku* zasługuje w zupełności na taki wyrzut. O tych to ustępach wspomnieliśmy w początku naszego sprawozdania. Ileż tam tleje ukrytych iskier, co w danej chwili natrafiwszy na palne materiały, mogą straszny wybuchnąć znów pożarem.

Gdyby poeta zapytał owego szaleńca który spalił księgozbiór, kto mu podał zatloną głównię? posłyszałby zapewne odpowiedź, że podali ją ci, którzy i czytają i piszą, i częstokroć nawet obdarzeni twórczym płomieniem, zamiast oświecać nim tłumy, spełniają niestety szalone dzieło zniszczenia!

Jakkolwiek bądź *L'Année Terrible* jest poematem oryginalnym, powiemy nadzwyczajnym, jak nadzwyczajnymi były i same wypadki, w których poeta czerpał natchnienie.

Wyszła w tych czasach w Londynie pierwsza część bardzo ciekawego dzieła p. t. *The life of Charles Dickens by John Forster*. Tu po raz pierwszy widzimy życie ulubionego powieściopisarza angielskiego, opisane dokładnie, wiarogodnie, w sposób dziwnie żywotny i zajmujący.

John Forster złączony był z Dickensem najściślejszą przyjaźnią, znał wszystkie tajemnice jego serca. Jemu to przed wielką laty polecił sławny autor, obowiązek napisania swego życiorysu w razie śmierci. Czuł on, że przyjaciel wypełni to lepiej niż drudzy, jakoż bynajmniej się nie zawiodł.

Przyjaźń Forstera z Dickensem zawiązana w roku 1837, przetrwała lat trzydzieści trzy, do chwili śmierci ostatniego w roku

1870. Byli oni mniej więcej w jednym wieku, oba pracowali od młodości w zawodzie literackim, co ścieśniło jeszcze ich węzły. Nikomu też Dickens nie pozwolił zajrzeć tak głęboko do swego serca jak doświadczonemu przyjacielowi.

Serce to wiele, bardzo wiele przeboleło. Ślady tej boleści, lubo osłonięte humorystyczną werwą, przebijają w powieściach Dickensa; lecz nie każdy je umie tam dopatrzyć i odgadnąć. Mało który z pisarzy wlał w dzieła swoje tyle osobistych uczuć, mało też który potrafił tak się zamaskować przed okiem obojętnych. Ogół porwany cudną barwą obrazów i tryskającym z nich życiem, nie domyślał się nawet, że pod tém bogactwem kolorytu, pod tą niewyczerpaną homorystyką, kryją się łyzy pełne goryczy. Dickens ukazywał się zawsze światu w blasku niezrównanego powodzenia, wybrani tylko przyjaciele wiedzieli ile ta aureola pokonywa ran nieuleczonych. John Forster znał je najlepiej: dzieło jego o Dickensie nadzwyczajny ma urok, rzuca bowiem nowe światło na uczuciową stronę powieści wielkiego pisarza.

Forster ukazuje Dickensa w jego latach dziecinnych. Te lata bezmyślnej swobody, tak zwykle szczęśliwe i wesołe, smutno wlekły się dla przyszłego pisarza; więcej w nich znalazł dni posępnych aniżeli pogodnych, a nie były to zwyczajne cierpienia: to co znosił biedny Dickens, wychodzi poza obręb powszednich udręczeń.

„Było to dziecko wątłe i słabowite — mówi Forster; cierpiał częste napady kurczów, co go czyniło niezdolnym do wszelkich ćwiczeń ciała tak hartujących siły w młodości. W zabawach dawał się zwykle wyprzedzić towarzyszą. Do dziesiątego roku przebywał w Chatain. Później gdy ojciec przeniósł się do Londynu, biedny chorowity chłopczyk na cięższe jeszcze narażony był próby, tak z powodu słabych sił, jak z powodu ubóstwa. Próby te jakkolwiek z razu bolesne, dopomogły mu jednak do poznania głębokich tajników serc ludzkich i wreszcie stawiły mu przed oczy obrazy nędzy, pod najrozmaitszą postacią.

Ojciec jego zaplątany w różne spekulacje handlowe, utracił wszystko co miał; wkrótce po przybyciu do Londynu osadzony został w więzieniu za długi. Żywy obraz tego więzienia, widzimy w powieści *Little Dorit*. Działwa przywiedziona do niedostatku, zmuszona była pracować na kęs chleba. Wówczas dziesięcioletni Karol Dickens dostał się do sklepiku jednego z krewnych, który prowadził handel szuwaksem. Obraz tego domu odmalowany wiernie w Danielu Copperfield.

Oddawna już domyślano się, że w przygodach małego Copperfielda, Dickens skreślił swoje własne przygody: dzieło Forstera potwierdza w stanowczy sposób te domysły.

Ubogi chłopczyk zajmował w sklepiku krewnego swego Lamerta, najpodrzedniejsze stanowisko. Pobierał tygodniowo sześć do siedmiu szyllingów. Zadaniem jego było obwiązywać słoiki

szuwaksu, najprzód tłuszczonym papierem, następnie zaś niebieskim; obstrzygać papier wkoło; nakoniec przyklejać etykiety.

Pracował z nim razem kilku chłopców z najniższej warstwy społeczeństwa, gburowatych i nieokrzęsanych; cierpiał na takim towarzystwie mały Dickens, który pamiętał lepsze czasy jakiejś takiej w domu zamożności. Tęsknił szczególnie za ukształceniem i nauką. Przerazała go myśl sama, że dłuższy pobyt w tej duszącej atmosferze, pograży go w kałuży społeczeństwa, z kąd się nie zdoła wydzwignąć. Tak mocno cierpiał na tem, że w lat wiele później, wśród dostatków i pomysłności dręczyła go myśl sama o tych czasach. Smutnemi też barwy odmalował je, w krótkim urywku autobiograficznym r. 1847; kończy rzecz tą uwagą:

„Od owiej godziny, do tej kiedy to piszę, z ust moich nie wybiegło ani jedno słowo o całym tym ustępie z dzieciństwa mego, który powyżej określiłem. Nie mam dziś najmniejszego pojęcia jak to długo trwać mogło; czy rok, czy wiele mniej albo też wiele więcej.

Oboje rodzice moi milczą o tym czasie, nie słyszałem nigdy z ich ust najlżejszego nawet napomknięcia. Ja także sam nikomu dotąd nie wspominałem o tem, nikomu, nawet żonie.”

Autor nie dokończył tej autobiografii, poprzestał ledwie na kilku rzutach pióra. Znaczną część tych zapisków pomieścił dosłownie w pięknej i obszernej powieści p. t. Daniel Copperfield, do której myśl podały mu doświadczone w dzieciństwie przygody. Forster dodaje niektóre szczegóły z onych zapisków, nie włączone w powyższą powieść.

„Ciężko mi kiedy wspomnę—mówi Dickens--to uczucie zupełnego opuszczenia, to ostateczne zwątpienie, ten wstyd jaki czułem, patrząc na smutny mój los; tę boleść jaka przepełniała serce moje na myśl, że wszystko czegokolwiek nauczyłem się dawniej, do czego przyłożyłem tyle usilnych starań, wszystko to odleci odemnie i nigdy już nie wróci. Tych udźczeń opisać nie zdołałem. Cała istota moja przesiąkała na wskroś zgryzotą i poniżeniem. Dziś nawet, kiedy jestem szczęśliwie otoczony podziwem i sławą, dziś oto, zapominam częstokroć we śnie, że mam drogą żonę i miłe dzieci, że jestem dojrzałym mężem, a wracam senną myślą w te rozpaczliwe czasy!

„Matka z rodzeństwem mieściła się wtedy w dwóch izdebkach starego domu, stojącego pustką na Gowerstreet; tylko siostra moja Fanny, znalazła wstęp do królewskiej akademii muzycznej.”

Biedny chłopczyk wychodząc z domu na całodzienną pracę, zabierał do kieszeni swój obiad, obwinięty w papier, złożony za ledwie z kawałka suchego chleba i kiełbasy. Czasami gdy nie było i tego, przyciśnięty głodem, biegł do pobliskiego sklepiku i posilał się czem mógł. Zdarzyło się razu jednego, że nie mogąc przezwyżyć pokusy, wszedł do jakiejś porządniejszej garkuchni i kazał podać sobie pół porcyi pieczeni wołowej. Nie mógł zapomnieć

z jakim podziwem przyglądała się służba tak osobliwemu zjawisku.

Ojciec nie był w stanie opłacić długów. Matka do ostatniej przywieziona nędzy, zwinęła dom i przeniosła się z dziećmi do więzienia.

„Klucz od domu—ciągnie Dickens—odesłano gospodarzowi, który szczerze był rad, pozbywszy się raz takich lokatorów, a ja istny mały Kain, lubo nie złego nikomu nie wyrządziłem, dostałem się do domu jednej podeszłej pani, która przyjmowała chłopców na pensyą. Była to dawna znajoma mojej matki. Ona to nie domyślając się niczego, posłużyła mi za wzór do obrazu *Mistriss Pipchin* w powieści *Dombey*, dodałem tylko niejakie zmiany i upiększenia. Codzień kupowałem sobie na śniadanie kawałek chleba za *penny*, a za drugi małą mleka miarkę; zjadałem część, resztę zostawiałem na wieczór, aby się pokrzepić wróciwszy ze sklepiku. Mieszkanie moje opłacane było jak myślę, co zaś do innych potrzeb, musiałem sam na wszystko wystarczyć, zarabiając siedm szyllingów tygodniowo, bez najmniejszej z nikąd pomocy. Tak żyłem zwykle od poniedziałku zrana, do soboty wieczorem; pozbawiony wszelkiej rady, wszelkiej przestrogi i pociechy, wszelkiego ukrzepienia. Bóg mi świadkiem, najsurowszą mówię prawdę.”

Niedziela była dla chłopca niejakim wytchnieniem i ulgą, z rana szedł po siostrę do akademii, a potem z nią razem przepędził dzień świąteczny przy rodzicach w więzieniu.

„Wielu rzeczy nie pamiętam z tych czasów, mówi dalej Dickens, wiem tylko że mi na wszystkiem zbywało, że moje życie nadzwyczaj było trudne; wiem że kiedy czasami kto mi darował szyllinga, wówczas tylko jadłem obiad, albo piłem herbatę; wiem że od rana do wieczora przebywałem z prostaczym gminem, pracowałem z dziatwą jak ja odartą i nędzną. Wiem że wszelkiemi siłami starałem się nie wydawać pieniędzy naprzód, żeby wystarczyć niemi do końca tygodnia. W tym celu rozdzielałem miedziaki na sześć części, każdą część zawijałem w osobną paczkę, kładłem na niej napis *duia*, w którym ma być wydana, i chowałem te paczki do stolika; wiem i to że częstokroć błąkałem się głodny po ulicy, wiem że łasce Bożej zawdzięczam tylko, iż pozbawiony wszelkiej opieki, pogrążony w ostatecznym niedostatku, nie zostałem rozbójnikiem albo włóczęgą.”

Mimo to wszystko—dodaje Forster—udało się małemu bohaterowi zamknąć w sobie zgryzoty i gorycze. O więzieniu ojca nie wspominał nigdy przed nikim, a wielką pilnością i sumiennością w pełnieniu obowiązków mu powierzonych, jak niemniej ogładą w obejściu, umiał pozyskać szacunek nieokrzesanych współtowarzyszów, którzy przewalili go *paniczem*.

Biędny chłopiec wymógł prośbą i łzami u ojca, że go przenieśli na mieszkanie do innego domu, w bliskości więzienia, gdzie przebywał z żoną i dziećmi. Z opowieści syna znać że ojciec był

człowiekiem wyższego umysłu i niepospolitych zalet serca. Łatwy w pożyciu, zacny w dążeniach, przyjacielski, a nawet pracowity, nie mógł jednak dojść do niczego, gdyż obok tylu przymiotów, zbywało mu na praktyczności: nie umiał pogodzić się z twardymi warunkami życia.

Zamieszkał chłopiec w małej izdebce na poddaszu w bliskości rodziców. Miejsce to było dla niego rajem. Ową izdbkę wiernie odmalował w niejednym obrazku, mieszcząc w niej bohaterów swych powieści. Obrazy życia więziennego, skreślone w Picknickerze, w Dawidzie Copperfield i w Litte Dirrit, oddane wszystkim z żywych wzorów, które Dickens miał przed oczyma w dzieciennych latach, posiadał on wrodzony dar spostrzegania, a ciężkie i nieustające próby, wyrobiły w nim do najwyższego stopnia tę znakomitą zdolność.

Gdy skończył lat dwanaście wszedł do porządniejszej wreszcie szkoły. Tam rozbudziły się wkrótce wrodzone władze jego ducha, objawiał je chłopiec w swobodnych żartach i pustocie. Po ukończeniu szkół pracował w biurze adwokata, następnie w redakcyi różnych dzienników, aż nakoniec zaświecił jako niezrównany powieściopisarz." Wówczas to, mówi biograf, dawniejsza nędza była dlań jakby nieprzebraną kopalnią bogactw, materyałem do przyszłej sławy. Śliczna Dora, opisana tak uroczo w Copperfieldzie, dodaje Forster, to pierwszy przedmiot jego uczuć, obraz jej przechowywał wiernie w pamięci.

John Forster w żywy i zajmujący sposób, skreślił wizerunek ulubionego pisarza angielskiego. Pierwszy tom obejmuje wyłącznie jego młodzieńcze lata. Oczekujemy z niecierpliwością dalszego ciągu tej zajmującej publikacyi.

Postać Dickensa znana w całym świecie literackim, gdyż powieści jego tłumaczono na wszystkie europejskie języki, postać ta drogą jest szczególniej sercu ziomków. Każdy Anglik, czy lord w pysznym pałacu, czy ubogi wyrobnik przy warsztacie, czyta z zajęciem nieporównane jego obrazy, czerpie w nich otuchę i ukrzepienie. Był on, jak go słusznie zowią, pisarzem biednych i opuszczonych, prześladowanych od losu i przez ludzi. Osuszył nie jedną łzę, podał balsam na nie jedną ranę, do nie jednego posępnego żywota przyniósł promień słonecznej otuchy. Boleść była mu wyborną mistrzynią. „Pisarz w cierpieniu uczy się tego, czego ma uczyć w pieśni.” Słowa te, które Shylley wyrzekł do siebie, stoją się wybornie do Dickensa.

W niemieckim przekładzie ukazało się nowe dzieło, sławnego pisarza duńskiego Andersona, p. t. *Szkice z podróży*. Treść dzieła nadzwyczaj urozmaicona i pełna życia. Autor oprowadza czytelnika po szerokim świecie, zatrzymuje się z nim to u podnóża Alp, w wąwozach Taminy, w Ragatz i przy Lwie lucernskim, to w Anglii, w gościnnych progach Karola Dickensa, to daleko w zapire-

nejskiej Portugalii, to na północnych wybrzeżach skandynawskich. Są to szkice kreślone w różnych czasach i miejscach, niby kłosa z różnych pól, zebrane w jeden snopek.

W zajmujący sposób opisuje Anderson krótkie chwile, które spędził w Godshill, wiejskiej posiadłości Dickensa. Z wielkiem życiem maluje postać sławnego pisarza angielskiego; ukazuje go w pośród rodziny, wystawia jego nieporównaną dobroć, jego szlachetne czyny. Obraz to dziwnie sympatyczny, snąc przyjazną, nakreślony ręką.

Anderson prawdziwy Duńczyk, zrosł się niejako z własnym krajem, tu tylko pełną oddycha piersią, tu tylko czuje się swobodny i szczęśliwy. Niezem dla niego najcudniejsze uroki obcej przyrody, woli ziemię własną, zasłaną śniegiem i niebo pokryte chmurami, niż kwieciste łąki i czysty błękit południowych stropów. To też nad brzegami Tagu napada go tęsknota do bukowych lasów Zeelandyi. Nie zachwycają go malownicze wierzchołki Pirenejów, ani alpejskie lodowiska; aby malować te cuda farb na jego paletrze: obrazy jego mdłe i słabo zarysowane. Ale niechaj tylko ogarnie wzrokiem duńskie wyspy, niechaj posłyszysz huk fal rozbijających się o skały nadbrzeżne, niech poczuje woń ziół macierzystych, niech spojrzy w serce ludu swego, a pierś jego uderzy, i mistrzowskie obrazki, tryskające życiem, jaskrawe blaskiem poezyi, sygną się z pod jego pióra, jak potok wód krynicznych.

Z miłością skreślił Anderson prześliczny obraz Skagenu, umiał on potęgą talentu ożywić tę jałową pustynię, między dwoma huczącymi groźnie morzami, gdzie miasta bez dróg i bez ulic, tak przecież malownicze, gdzie bukowe lasy tak pięknie odbijają na tle płowych wydmów piaszczystych. Oko poety dostrzega w wązkim półwyspie Jutlandzkim, jakoby ramię wyciągnięte ku bratniej Norwegii: serce jego bije na wspomnienie dawnej jedności skandynawskiej. „Frydrychshawen—woła on—to przystań godna tych parostatków, które w kilku godzinach zarzucają mosty pomiędzy Danią, Norwegią a Szwecyą!” Tylko patrzeć a latarnia morska na Skagenie, ledwie że dziś roztlona, zaświeci pełnym blaskiem, ludom połączonej Skandynawii!

Wracamy do wystawy paryzkiej, dopełniając sprawozdania zaczętego w zeszłej kronice. Wyliczyliśmy tam celniejsze obrazy, osnute na zdarzeniach współczesnych, przenieśmy się teraz na pole właściwie dziejowe. Mimo że czasy obecne pochłaniają przedewszystkiem myśl artystów, niektórzy z nich przecież zwrócili oczy w przeszłość i na jej tle odtworzyli pędzlem kilka scen historycznych, godnych uwagi i ocenienia.

Zobaczmy najprzód *Najazd* pędzla p. Luminais. Dwaj konni Longobardzi wloką zbroczone branki greckie; przedmiot sam przez się dramatyczny i przejmujący, oddany z wielką siłą. Gdyby

nie te Greczynki, i nie owe sterczące złomy świątyn korynckich, możnaby sądzić że to scena wczorajsza. Wnuki Albaina zachowały plemienne cechy rodu, z czego się szczycą przez usta swych uczonych i poetów. Świadczą o tém Mentzel i Gajbel.

Od Longobardów cofnimy się głębiej w przeszłość do Gallów i do Rzymian. W pośród utworów żyjących malarzy, spostrzegamy wielki obraz, zmarłego mistrza Sebastyana Cornu. Obraz ten przed kilką laty zamówiony był przez rząd, dla ozdobienia jedużej z sal pałacu Rady Państwa. Szczęściem że Cornu, zajęty freskami w kościele S-t Germain des Prés, nie spieszył z wykonaniem zamówionego dzieła, byłoby spłonęło wraz z pałacem, i z dawniejszym obrazem artysty, przedstawiającym Konkordat.

Ostatni utwór zamieszczony dziś na wystawie, wyobraża wodzów galskich przed Augustem Cezarem, gdy ten ogłasza podział Gallii na prowincye rzymskie. Cezar stoi na trybunie, otoczony wodzami legionów; w prawej ręce trzyma przywilej, lewą rękę wysunął naprzód, snać przemawia do zgromadzonych. U stóp trybuny czuwa liktor, wsparty na wiązce różg. W pośrodku młodzieniec w białej szacie wylewa kadzidło na ogień święty; z prawej strony stoją Gallowie, z długim, puszczoneym na wiatr włosem, w starożytnych pauncerzach, przybrani malowniczo: postawa ich dumna, nie zapowiada niewolników. Stracili wprawdzie niepodległość, ale nie zwątpili o przyszłości; zda się jakby im w uchu brzmiały wieszcze słowa Wercingetorixa, oddającego się w ofiarę za lud swój, mściwemu Cezarowi:

Ludu mój! znoś cierpliwie to brzemień żywota,
 Choć gwiazda nad twém czołem zagasła już złota;
 Nasza ziemia nie zginie w tej strasznej powodzi!
 Przez krwi morze, i łez morze,
 Nowej ery błysną zorze.
 Wszystko co żyje w bólu i we łzach się rodzi (1).

Piękny to obraz, obmyślany według klassycznych tradycyj, ale pełen prawdy, wykonany ręką mistrzowską.

Sebastyan Cornu niezmordowany pracownik, wielkie położył zasługi na polu sztuki. On to urządził muzeum Campana i uczynił je dostępnym dla rzemieślników, pragnących podnieść rzemiosło do arcyzmu, przez badanie starożytnych arcydzieł. Wojna zaskoczyła go zajętego pracą nad *Gallami*. Słaby, złamany trudem, oddalił się z Paryża, lecz z rąk nie wypuścił pędzla ani palety. Nastąpiła wojna. Wieść o nieszczęśliwej bitwie pod Reichshoffen, ugodziła go jakby piorunem w serce. Choroba powaliła go na łożo, z którego nie miał powstać. Gasnącém okiem patrzył na klęski i upokorzenie Francyi. Wojska pruskie zajęły jego

(1) Wercingetorix — Dramat Henri Martiu.

dom, w tryumfalnym pochodzie na Paryż. Złamany boleścią skonał 23 października. Francuzi z głęboką czcią zatrzymują się przed ostatniem dziełem zasłużonego mistrza, który jak tyłu innych padł ofiarą miłości kraju!

Inny także obraz historyczny ściąga na siebie powszechną uwagę, wykonany bowiem biegłą ręką p. Patrois, a do tego stawia przed oczy dziwnie sympatyczny przedmiot. Rzecz dzieje się w XIV wieku, w czasach najazdów angielskich i klęsk pamiętnych w dziejach. Jakób Coeur, prosty mieszczanin paryzki, siłą geniuszu pozyskał ogromny majątek, a idąc za szlachetnym popędem serca, oddał go zrujnowanej Francji. Te pieniądze pozwoliły zaciągnąć nową armię i odebrać w części oderwane prowincye. Obraz przedstawia Jakóba stojącego przed stołem: rysy jego oblicza nacechowane wielką potęgą woli. Słudzy znoszą ogromne wory złota. Z drugiej strony przystępuje nieśmiała młoda żona z małą córeczką. Patrzą zdumioném okiem na stopy dukatów rozrzucone po stole. Niezlomny mąż skinieniem ręki oddala je obie, znać trwoży się aby widok tych drogich istot, przywiedzionych do ubóstwa, nie odwiódł go od szlachetnej ofiary.

Sztuka polska świetnie przedstawiona na polu historycznym, pędzlem p. Rodakowskiego. Znamcy i nie znamcy zatrzymują się przed pięknym jego obrazem wielkich rozmiarów: jest to ustęp z *Wojny kokoszej*. Napis w katalogu, tak określa przedmiot obrany przez naszego artystę: „Zygmunt I Król Polski, pokonany niesfornością szlachty i intrygami królowej Bony Sforzyi, ogłasza zbuntowanym ustawę zatwierdzającą ich przywileje.”

Rzecz dzieje się we Lwowie, na tarasie pałacu królewskiego. Wielki hetman Jan Tarnowski, w pysznej delii aksamitnej zielonej, stoi przed balustradą, czyta pismo królewskie, w obec szlachty, która zaległa cały plac poniżej tarasu. Widać tylko falujące głowy, niby kłosa na łanie. Głębiej nieco siedzi Zygmunt Stary; na obliczu jego uwydatniona wielka boleść. Jedną ręką podparł stroskaną głowę, drugą opuścił z wyrazem rezygnacyi. Król przybrany w aksamitną szafirową delię, obłożoną sobolem, ma na głowie złotą opaskę zamiast korony. Długa siwiejąca broda nadaje wielką powagę jego szlachetnym rysom. Królowa strojna w białe atłasy i draperye z karmazynowego aksamitu stoi oparta o poręcz krzesła królewskiego. Dumna z odniesionego zwycięstwa, odwraca ku panom dworskim piękne oblicze. Złoty jej włos wijący się w pierścieniu, ślicznie odbija z pod aksamitnego beretu. Wkoło siedzą panowie duchowni i świeccy, w malowniczych ubiorach czasu swego. Jedni z nich widocznie zadowoleni; łatwo wśród tych odgadnąć Kmitów i Firlejów, lubo nazwiska ich pokryte milczeniem; inni zuów przytłoczeni boleścią słuchają ze sromem aktu ubliżającego godności królewskiej. Znać przeczuwają hydrę bezrządu, co, jak mówił Sebastyan Klonowicz, podnosiła już głowę z pod kwiecistej murawy. Piękna zwłaszcza postać biskupa: oblicze jego rozpromienione wysokiem namaszczeniem. Nie wie-

my czy artysta miał na myśli Maciejowskiego; nam postać ta uprzytomniła najwierniej krakowskiego biskupa, tak jak go pojął i oddał A. E. Odyniec w nieporównanym dyalogu z hetmanem Tarnowskim, kiedy dwaj prawi męże ubolewają nad pychą panów i niesfornością szlachty, przekonani jesteśmy że p. Rodakowski czytał jego Barbarę Radziwiłłównę.

Sliczny to obraz, krytyka francuzka uznała jego wielkie zalety. Przytaczamy słowa p. Ebement, sprawozdawcy z Debatów, którego trudno pomawiać o stronniczość.

„Kompozycja ta wybornie pojęta w całości, mówi krytyk, wykonana umiejętnie, w sposób nadzwyczaj świetny, przedstawia szczegóły prawdziwie znakomite. Uderza nadewszystko szlachetna głowa króla wystudyowana jak portret, malowana śmiałym i pewnym siebie pędzlem; koloryt jęj ciepły i harmonijny; wyborna tęż głowa królowej. wyraz oblicza wprawdzie nieprzyjemny, ale oddany z ścisłą prawdą historyczną, jakby mówiący. Suknia jęj biała atlasowa doskonale wykonana, w ogólności kostiumy i akcesorya, tak ważne w dziełach tego rodzaju, traktowane nadzwyczaj umiejętnie. Obraz p. Rodakowskiego jest niewątpliwie jednym z dzieł wystawionych w tym roku, które najwierniej i najzupełniej reprezentują rodzaj historyczny.”

Trudno być prorokiem między swymi, nie napróżno mówić przysłowie. Podczas kiedy cudzoziemcy oddają hołd artyście naszemu, korrespondent Dziennika poznańskiego, zbywa piękny utwór pogardliwem lekceważeniem. Według niego „jest to galerja portretów ugrupowanych a raczj zebrałych na jednem płótnie, a z wyjątkiem samego króla Zygmunta Starego, nie uwidatniających ani fizyognomią, ani postawą znaczenia chwili historycznej, którą chciał oddać artysta. Brak życia i ruchu, wielką jest wadą w obrazie historycznym, który staje się tylko pewnym rodzajem studjum archeologicznego, starodawnych typów i ubiorów. Takie wrażenie robi na wszystkich obraz p. Rodakowskiego.”

Myli się polski krytyk, słowa p. Ebement powyżj przytoczone, wymownie świadczą że nie wszyscy doznali podobnego wrażenia. Dziwny tęż zarzut naszego sprawozdawcy, iż „obraz tego roczny pana Rodakowskiego, wyraźnie był ułożony w celu współubiegania się z p. Matejką, ale mimo niezaprzeczonych jego zalet, ani wybór przedmiotu, ani samo ułożenie sceny, nie przypomina *zdaleka nawet*, żadnego z arcydzieł artysty krakowskiego.”

Zapytujemy coby sztuka zyskała na tém, gdyby utwory pana Rodakowskiego przypomniły dzieła pana Matejki? Pole sztuki szerokie, zwłaszcza u nas, jest na niem droga dla obu mistrzów: jeden drugiemu nie zabierze miejsca pod słońcem. Krytyka sprawozdawcy, nacechowana wyraźnie, tym nieszczęśliwym duchem prowincjonalnej koteryjności, który nie pozwala zwolennikowi artysty krakowskiego, oddać zasłużonej pochwały lwowskiemu artyście. Śmieszne to, a raczj bardzo smutne!

Co do przedmiotu, którego wybór tak razi poznańskiego korespondenta, *wojna kokosza* nie należy zapewne do sympatycznych ustępów, w dziejach naszych. Ale pytamy jest-że koniecznym zadaniem artysty, wybierać chwile godne apoteozy? Czyż i pan Matejko takie tylko wybierał chwile?

Alboż sławny *Sejm* podziwiany na międzynarodowej wystawie, przypomina ustęp chlubniejszy i miłszy dla serc naszych, niżli wojna kokosza? Nie myślimy czynić ztąd zarzutu panu Matejce—jak to inni bezmyślnie czynili. Dosyć dla nas, jeśli jedna tylko postać obrazu, odbija w sobie myśl wielką i żywotną. Ta myśl promienieje w mężu powalonym na ziemię, którego *reto* jest modłą dla przyszłych pokoleń. Taką to myśl odkupującą winy przestępnych i bezrozumnych, oddał również p. Rodakowski w natchnionej postaci biskupa Maciejowskiego, w której widzimy żywą protestację przeciw wojnie kokoszej.

Oprócz obrazu historycznego, nasz lwowski mistrz dał na wystawę portret młodej osoby, jeden z najpiękniejszych w tegorocznym salonie, jak utrzymują sami krytycy francuzcy. Układ obrazu dziwnie uroczy i fantastyczny. Młoda panienska stoi obwinęta w czarny burnus podbity amarantowo. Rysy typowe, pełne wyrazu, oddane z całą prawdą, podniesione prześlicznym kolorytem, długie zwoje ciemnych loków, spadają lekko na ramiona. Ręce nagie po łokcie, zwłaszcza prawa podtrzymująca burnus, wykonane prawdziwie po mistrzowsku.

Nie mała to rzecz wystąpić z celującym utworem na wystawie, tak bogatej w portrety jak tegoroczna. Niepodobna byłoby policzyć tych wszystkich które ściągają na siebie uwagę. Do kategorii najsilniej bijących w oczy należą dwa wielkie portrety p. Carolus Duran. Młody ten malarz pozyskał w Paryżu wziętość nierównie wyższą nad zasługę. Efekt wszystkiem dla niego, szuka go też głównie w świetnym odłaniu atlasów, aksamitów, koronek i innych szczegółów ubioru kobiecego, a bardziej jeszcze w grze kolorów krzyżujących obok siebie, w najsprzeczniejszy sposób. Maluje zwykle kobiety w całej postawie, przybrane bufiasto i zamaszysto. Moda dzisiejsza, tak dziwaczna i przesadzona, wymagająca tyłu wolantów i festonów, przypadła do smaku artysty, gdyż pozwala mu rozwinąć cały talent dekoracyjny. Wybornie określił go sprawozdawca Debatów. „Carolus Durand — mówi on, od początku zawodu swego, lubił zawsze strzelać efektami, i śmiało postępuje na tej drodze. Zaczął od strzałów z pistoletu, dziś daje ognia z armat.” Co będzie dalej? niewiadomo. My sądzimy że młody artysta wróci na prostą drogę, kiedy mu zabraknie amunicji. Sztuka skorzysta na tém, bo malarz ma talent i umie władać pędzlem.

W tym roku Carolus Duran dał na wystawę dwa ogromne portrety kobiet. Jedna z nich żona byłego ministra sztuk pięknych Richarda, stoi w kłębnie różnobarwnych kwiatów, w sukni z perłowego atlasu, przybranej czarnym aksamitem, obwieszanej

koronką, przepiękanej mnóstwem różowych kokard. Prawy łokieć wsparła na lewej dłoni, bawi się gałązką geranii ponsowej. Drugi portret mniej jeszcze harmonijny, przedstawia kobietę siedzącą na kanapie pokrytej cynamonowym aksamitem. Wytworzyła lecz nie piękna rudowłosa blondynka, ma fryzurę piramidalnie upiętrzoną, suknię lilla, na piersi wielką kokardę barwy cytrynowej, w ręku ponsowy wachlarz: dodajmy do tego tło ciemno-seledynowe pokoju, i kobierzec majowo-zielony. Nic dziwnego że wszystkich oczy zwracają się mimowoli na obraz. Artysta żądał tego i osiągnął cel w zupełności, są jednak osoby którym podoba się ten rodzaj. Sam oto krytyk poznański zowie portrety Durana najznakomitszemi na wystawie. W rzeczach gustu niema dysputy!

O ileż miliej wpada w oko portret kobiety (marszałkowej Canrobert) wykonany surowym pędzlem Jalaberta. Ubrana w suknię błękitną i biały burnus obłożony sobolem, z kitką czapłą wśród kruczych włosów, ślicznie ta postać odbija na popielatym tle obrazu.

Jalabert wystąpił w tym roku z innym piękniejszym jeszcze utworem. Nie jest to już właściwy portret, ale raczej obraz z życia, naturalnej wielkości. Przedstawia młodą wieśniaczkę włoską w ubraniu malowniczym, w chwili gdy wyjęła z kolébki tylko co rozbudzone jasnowłose dzieciątko. Nad kolébką zawieszony święty obrazek, obok kropielniczka i gałązka palmowa. Rysy matki zwróconej profilem, dziwnie łagodne i harmonijne, jakby oblane promieniem macierzyńskiej miłości. Nigdy autor nie podniósł się jeszcze tak wysoko.

Ale powróćmy do portretów. Jeden z nich nadzwyczaj ładny p. Dieudonné wyobraża młodzieuchną piętnastoletnią pannikę w białej sukieneczce z różową szarfą. Woń jakaś wiosenna wieje z tej postaci świeżej jak pączek róży.

Piękny też prostotą i powagą portret Jacquemotego, wyobraża kobietę w czarnej sukni, zapewne w żałobie; łatwo to zgadnąć po smętnym wyrazie oblicza, powleczonej tęsknotą: z tych czarnych oczu nie mało znać łez popłynęło.

Tłumy widzów zatrzymują się przed portretem Franquettego sławnego dowódcy frantirerów, poległego pod Buzenwallem. Sympatyczna to postać dla paryżan. Portret w całkowitej postawie wykonany umiejętnie pędzlem p. Perignon.

Kilkanaście kobiet wystąpiło w tym roku z portretami, niektóre z nich wyborne. Do najcelniejszych należy portret młodej kobiety przybraną poważnie w czarną suknię z tumakami, wykonany przez słynną artystkę panią Henryette Browne. Zwracają niemięniej uwagę dwa śliczne portrety pani Felicji Schneidel: jeden kobiety w żałobie, z fotografią w ręku, drugi małej dziewczynki odzianej białą beduiną, oba pełne wyrazu i myśli.

Z malarzy polskich jeden tylko p. Krajewski wystawił obraz młodej kobiety w sukni amarantowej. Dotąd znaleźliśmy

tylko męskie portrety naszego artysty, rysy kobiet jak wiadomo, nierównie trudniejsze do oddania: p. Krajewski, uczeń Jakommo tego pięknie wywiązał się z pierwszej próby.

Kończymy wreszcie przegląd portretów, zatrzymując się nad jednym z nich, od którego zaczynają wszyscy sprawozdawcy, malowany bowiem przez pierwszorzędną artystkę, a do tego pomieszczony w pierwszej sali, na miejscu honorowém, jako przedstawiający pierwszego dostojnika Rzeczypospolitej francuskiej. Mówimy tu o portrecie Thiersa, znakomitego pędzla panny Nelie Jacquemart.

Artystka doszła już tego niepospolitego zaszczytu, że nad jej obrazem czytamy napis *Hors concours*, co znaczy, że potrzykroć otrzymała już złoty medal. Niema dla niej przeto innej nagrody, prócz wielkiego honorowego medalu, albo krzyża Legii honorowej. Wielki medal otrzymują wyłącznie artyści za wielkie kompozycje historyczne albo rodzajowe. Co zaś do orderu, nie wiemy czy Rzeczpospolita uzna za rzecz właściwą, uczcić pannę Jacquemart w sposób, w jaki przed kilkoma laty cesarzowa Eugenia uczciła Rozę Bonheur. Cokolwiekby nastąpi, nie ulega żadnej wątpliwości że artystka zasłużyła prawdziwie na ten zaszczyt. Jeżeli go nie otrzyma, to dla dwóch chyba przyczyn: albo dla tej samej, dla której pani Georges Sand, pierwsza stylistka tego wieku, nie została przyjętą w grono nieśmiertelnych Cerberów języka francuskiego (bo nie miała szczęścia urodzić się mężczyzną), albo też z powodu pruderyi prezydenta. Pan Thiers możeby nie śmiał narazić się na śpilki dziennikarskie, nagradzając w ten sposób artystkę, która o tyle zidealizowała jego rysy, o ile te zidealizowane być mogły. Ostatnie to przypuszczenie więcej do nas przemawia. Po Paryżu krążą ploteczki jakoby panna Jacquemart obrażona była na prezydenta, tak dalece, że nie chce kończyć rozpoczętego portretu pani Thiers: czas rozjaśni zagadkę.

Znany od kilku lat talent panny Jacquemart: na dwóch poprzednich wystawach portrety ministra Duruy i marszałka Canroberta liczone były do najcelniejszych. Rzuty jej pędzla śmiałe, kreślone jak mówiono męską ręką, zdumiewały zwawców: podobieństwo wizerunku z oryginałem, uderzało w oczy publiczność. Oprócz innych darów, znakomita artystka posiada jeszcze i ten, że najpospolitsze nawet rysy, umie ożywić i rozpromienić blaskiem ideału. Na wielką zaletę, właściwą tylko prawdziwym mistrzom, zaletę którą tak wysoko podnoszono w Tycyanie, Wandyku, Welasquezie ściągnęła na pannę Jacquemart tysiące złośliwych pocisków. Przeciwnicy cesarstwa, a było ich tylu, radzi byłiby widzieć spotwornione lub ośmieszzone rysy koryfeuszów Bonapartystowskich. Uidealizowany Duruy, a bardziej jeszcze Canrobert, był dla nich solą w oku. Toż samo powtórzyło się dziś, co do portretu prezydenta, a to gwałtowniej jeszcze w miarę poruszonych namiętności politycznych.

Dzienniki opozycyjne rzuciły się teraz na artystkę, istnie jak one pszczoły ukryte pod plastrem miodu, o których mówiliśmy powyżej. Trudnoby zliczyć ich zarzuty. Ci gorszą się, czemu artystka wstępny bojem zamieściła portret w wielkiej sali na miejscu honorowém, gdzie figurowali niegdyś królowie i cesarze? Zkąd taka śmiałość? Gdyby prezydent miał przynajmniej wzrost Linkolna lub Grandta, ale człowieczek mały, krępy, rysów pospolitych, nie jestże w tém miejscu istną parodią? Drudzy dziwią się czemu p. Thiers nie we fraku, ale w tabaczkowym paletocie? jeśli zaś ubrany jak zwykły chodzić po ulicy, czemu niema na głowie kapelusza? Inni nareszcie pytają, czemu pan Thiers nie mówi na portrecie? Artysta nie powinienże wybierać zwyczajnej pozy dla swych wzorów, a któż widział prezydenta w postawie słuchającej? P. Thiers zawsze mówi, czy to z katedry, czy na radzie ministrów, czy téż w salonie własnym! pan Thiers nigdy nikogo nie słucha! Obraz więc nie prawdziwy, nie podobny!

Przejdźmy wreszcie do tych utworów sztuki, w których ta czarodziejka rozpościera do lotu wolne skrzydła, okrążając szerokie pole ideału, bez względu na czasowe koleje. Wystawa tegoroczna mało liczy dzieł takich, ziemskie sprawy zanadto pochłonęły dźwumysł i serca, aby sztuka dla sztuki mogła być swobodnie uprawioną. Ślady myśli dzisiejszej widzimy tu nawet i w mitologicznych alegoryach.

Patrzmy oto na tę fortunę, pędzla młodego artysty p. Sirony. Dumna bogini toczy się w symboliczném kole. Piękna, zimna, nieprześlągana, pełnemi rękoma rozsięwa dary chciwym tłumom. Temu rzuca koronę i berło, tantemu wieniec sławy, innych powala i drugocze. Nad głową jej po jednej stronie, zawisły czarne, brzemienne gradem chmury, po drugiej błyska słoneczny promień. Obraz to wielkich wymiarów, postacie ugrupowane umiejętnie, pełne ruchu i życia.

Każda z nich bierze udział w dramatycznej akcji. Ten z szaloną chciwością rzuca się na łup, tamten nadaremnie wyteżę siły, aby powstrzymać straszne koło, które przejdzie wnet po pysznym jego grzbiecie. Nieco opodal artysta pomieścił z myślą grupę dwojga kochanków. Zatopieni w sobie całą duszą, dość bogaci własnym uczuciem, nie raczą nawet spojrzeć na znikome dary fortuny: miłość wystarcza im do szczęścia. Mniej jeszcze wymaga od losu, to młodzieuchne pacholę, co z wędką w rękę siedzi tak spokojnie nad strumieniem, i czeka rychło ułowi drobną płotkę.

Efektowy to w rzeczy samej obraz, znawcy zapowiadają artyście piękną przyszłość, niektórzy nazwali utwór jego sceną z Szekspirowskiego dramatu. Przyznając niezaprzeczony talent panu Sirony, powiemy jednak otwarcie, że przedmioty mytologiczne wydają nam się przestarzałym już anachronizmem. Zanadto ich nadużyli malarze i poeci. Inne dziś czasy, inne obyczaje! Kiedy estetyczni Grecy wydobywali z twórczej wyobraźni typy do swoich

mytów, kiedy między innemi wymyślili symboliczne koło fortuny, wówczas welocypedy nieznane były wcale. Dziś dla nas przy najmniej prozaiczne koło welocypedu, ośmieszyło fortunę.

Mimo całego rozgłosu jaki dzienniki nadały temu obrazowi, znać przedmiot nie przypadł do smaku sędziom, artysta bowiem nie otrzymał medalu, z ogólnem podziwieniem.

Szczęśliwszy od niego młody Blanc, dostał medal złoty za piękny obraz historyczno-mytyczny, *Il Enlèvement de Palladium*. Ustęp to z wojny Trojańskiej. Tryumfatorowie greccy zstrącają z piedestału boginię opiekuńczą Troi. Lud patrzy z niesłychanem przerażeniem. Ruch wielki, nie biorą w nim tylko udziału trupy poległych Trojan.

Drugi złoty medal otrzymał p. Marchal za obraz pełen wysokich zalet, pomimo treści mytologicznej, p. t. *Narcyz u źródła*. Piękny młodzian, zakochany w sobie, patrzy z uniesieniem w własne oblicze, odbite w krynicznej wodzie. Niunfa siedzi w pobliżu, pogarda odbija w jej rysach, znać poprzysięgła zemstę. Klątwa wnet się dopełni: Narcyz już napół omdlał, lica jego blednieją, chwila jeszcze, a zmieni się w wątyły bieluchny kwiatek.

Przysądzono srebrny medal młodemu bardzo artyście p. Becker za obraz pod tytułem: *Wdowa po męczenniku*. Widzimy wewnątrz katakumb rzymskich, słabo oświetlone kagańcem. Wdowa stoi u grobu męża, podnosi w górę małe dziecko, ukazuje mu płytę kamienną, zdobną w biały wieniec i palmy, na której skрэślone imię ofiary. Dziecię przyciska do głazu niewinne usteczka, starszy chłopczyk ukrywa się za matkę. Dyrekcyja szkoły sztuk pięknych, widząc niepospolity talent w młodym bardzo malarzu, wysłała go do Hiszpanii, aby zbadał na miejscu wielkich mistrzów sztuki religijnej.

Do premiowych należy niemniej obraz p. Lecomte de Nony, p. t. *Gońce złych wieści*. Jestto ustęp z pięknego dzieła Teofila Gautier: *Romans de la Momie*. Rzecz odbywa się w Tebach, wkoło sterczą olbrzymie mury sławnego miasta. Na tarasie pałacu królewskiego, siedzi Faraon, istny sfinx ulany ze spiżu. W rysach jego wyraźna niecierpliwość, w oku szalony gniew: czeka na gońca.. biada temu kto przyniesie złe wieści! Faraon podniósł w górę żelazne berło; powali go, jak powalił już innych. Świadczą trupy pomordowanych gońców, zaścielające ziemię. Scena to nadzwyczaj dramatyczna.

Z pomiędzy cudzoziemców otrzymali nagrody: Szwed Wahlberg za piękny krajobraz szwedzki, i Holender Kaemmerer, za obrazek rodzajowy w guście flamandzkim.

Strasburczyk Uhlman otrzymał zarówno srebrny medal za wyborny obraz *Dzwonników Nuremberskich*. We wnętrzu wieży kościelnej, trzech krzepcy Bawary, w staroniemieckim stroju, ciągną z siłą za grube dzwony. „Na co oni tak dzwonią? Na chrzciny, na wesele, czy na pogrzeb? pyta któryś z krytyków. W bezmyślnych twarży nie wyczytać nic, chyba tylko myśl że po trudzie po-

krzepią się kuflem bawara." Nam się zdaje, że ci dzwonnicy dzwonią na tryumf jedności germańskiej: ta była zapewne myśl alzackiego artysty.

Liczba rodzajowych obrazków znaczna jest na wystawie. Przedmioty do nichbrane z różnych warstw społeczeństwa. Jeden z nich p. t. *Le coin de table* (róg stołu) przyciąga tłumy ciekawych. Przy stole zastawionym w wino i wety, ucztuje *Cygania literacka*; poeci i artyści portretowani z natury: zna ich wybornie cały Paryż. Minęły czasy kiedy Gilberty umierali z głodu po szpitalach. Dzienniki dostarczają dziś złota poetom, ale gdzież złota poezya? Ta wierna towarzyszka ubogiego poddasza, ucieka od zadymionéj knajpy!

Najsilniej przemawiają do nas przedmioty z życia wieśniaczego ludu; uderzyły nas między innymi dwa śliczne obrazki p. Bernier: *Siew* i *Żniwo*. Na pierwszym rolnik orze swój zagon, żona stąpa za pługiem, rzuca posiew w zaoraną skibę; na drugim falują dojrzałe kłosa w polu, żenicy krzątają się z sierpami.

Dziwnie wymowny inny obrazek p. Ferat: tu kmiotek zapuszcza w ziemię lemiesz i wyoruje kościotrupa.

Tam znów w chacie alzackiej, przy ognisku odbywa się tradycyjna zabawa, *taniec konkursowy o koguta* (*Guttershanc*). Pary wirują żwawo; w pośrodku izby młodzian unosi w górę wiejską dziewczę. Ono wygrał nagrodę konkursową. Kogut tymczasem trzepie załośnie w skrzydła nad kotłem wrzącej wody, uwiązany za nogę. Mnóstwo widzów zatrzymuje się przed obrazem. Biedna Alzaoya! mówią jedni do drugich, jój los podobien dziś do losu tego nieszczęsnego koguta!

Śliczny téż obrazek p. Lebel, przedstawia *wotum w kościele San Germano*. Dziewczyna wiejska przystępuje nieśmiało do ołtarza, całuje nogi świętego; druga modli się wsparta o balustradę. W głębi wieśniak, znać ojciec dziewcząt, podnosi pod ramiona chorą matkę, którą biedna rodzina oddaje pod opiekę świętemu patronowi.

Inny obrazek wiejski pana Wylie, nagrodzony medalem, ukazuje nam wnętrze bretońskiej chaty. Młoda kobieta trzyma na ręku maleńkie dzieciątko. Drużyna kumów przygląda się ciekawie, podczas gdy stara czarownica bretońska, chuda, straszna, z zakłęśm okiem, przykłada kościste ręce, do rąceł niemowlęcia i przepowiada jego przyszłą dolę. Smutna to dola, znać po przerażeniu biednej matki.

Jakby dopełnienie tego obrazku, widzimy na innym, nie mniej pięknym. Dziewuszka siedzi na ławeczce pod drzewem, koszyk jaj postawiła przy sobie; po drugiej stronie siedzi młody wieśniak, jak widać bywalec, zna bowiem Paryż, umie jeografią. Cienkim pręcikiem kresli na piasku jakieś linie: to droga do Paryża, świadczy napis. Dziewczyna przygląda się z żywym zajęciem: rzuci zapewne dom i matkę, poprobuje tam szczęścia, i spełni się horoskop czarownicy bretońskiej.

Inny znów obrazek przedstawia dwie dziewczyny, z jednej zapewne wioski, lecz jakże odmienne od siebie. Jedna ubrana po wiejsku w ubogi gorsecik i fartuszek, druga w sukni jedwabnej z upiętrzoną fryzurą. Ostatnia szepce coś do ucha towarzysze, znać wysławia ponęty stolicy. Dziewczyna słucha, ale słowa kusicielki nie zachwiały jej wcale; ma ona talizman, którym zasłania się od zgubnych ponęt: tym talizmanem maleńka książeczka, którą trzyma w ręku i paciorki różańca. Postać ta pełna prostoty i niewinności oddana z niesłychanym urokiem.

Ale koroną wszystkich obrazów rodzajowych z życia ludu, są dwa przesłiczne utwory Juliusza Bretona; są one niemniej koroną całej wystawy: uznał to głos powszechny, uznał sąd, przyznając artyście wielki medal honorowy.

Breton umiłował gorąco lud, zajrzał do głębi duszy kmiotków, przyrosłych do ziemi, w których życie pracowite, jednostajne, osobny wyrobiło charakter.

Jeden z tych obrazów przedstawia dwie dziewczyny u studni: na pierwszym planie stoi piękna dziewczyna w spódniczce błękitnej, lekka, wysmukła jak topola, na piersiach ma chusteczkę w pasy. O ramie wsparła dzbanek, prawą ręką trzyma go z góry, lewą podpira od spodu. Układ rąk pełen wdzięku, wyraz twarzy przesłiczny. Druga dziewczyna pochylona nad źródłem, napełnia wodą dzbanek, głowę zwraca do towarzyszki. Krajobraz spokojny, pełen prostoty. Nad wodą sterczy piramidalna skała, w szczelinach rosną błękitne lilie.

Na drugim obrazie, dziewczyna pasie krowy. Nie żadna to sielankowa pasterka, ale prosta wieśniaczka, z licem ogorzałym, świeża jak tchnienie wiosny, postać jej prosta zidealizowana, bez przesady. Siedzi na murawie z nogami nakrzyż, stopki bosa wyglądają z pod sukienki. Rękę jedną trzyma na kolanach, drugą podpira się o ziemię. W rysach jej zwróconych profilem, widoczna głęboka zaduma. Z ust pół otwartych znać piosenka wybiega na góry i lasy i zlewa się harmonijnie z szumem wiatru, ze świego-taniem ptastwa. W głębi krowy pasą się na łące pod wielkimi drzewami.

Juliusz Breton, powtarzamy, rozumie i kocha lud wiejski, zna on bogate skarby tradycyi, złożone w jego łonie; wie że z tych krynic roztoczą się kiedyś bystre prądy, co odrodzą i zbawią społeczeństwo.

Zakończamy na tém sprawozdanie o tegorocznych obrazach, nie żeby zabrakło przedmiotów godnych opisu, ale że słowo nie starczy na oddanie tego co stworzył pędzel, łatwo też moglibyśmy znużyć uwagę czytelników. O krajobrazach, z których sztuka francuzka słusznie pochłubić się ma prawo, powienny tylko, że są między niemi prawdziwie mistrzowskie, podpisane imionami Corot, Francois, Grandsire, Groseiller, Chantreuil, Appian. Cechą francuzkich krajobrazów jest niesłychane życie, rzekłbyś że listki drzą

na drzewach, że obłoki przebiegają po niebie, że woda szeleści po kamykach.

Widok Puław od strony Wisły, pędzla p. Szermentowskiego, uderza nas właśnie tym życiem, jakie podziwiamy w pejzażystach francuzkich. Prześliczny to obrazek, wonny macierzanką naszych pól, żywicą, naszych sosen, spokojny, pełen harmonii. Ta łacha Wisły jak cudnie się roztacza, ów lasek jak cichy i uroczy. Wieśniacy grabią siano; patrząc na nich wyszepnęliśmy w duchu: szczęść Boże waszjej pocziwój pracy!

Pozostaje nam jeszcze powiedzieć słowo o rzeźbach. Liczba grup, posągów, popiersi i medali dochodzi do trzystu trzydziestu na wystawie; pomieszczone jak zwykle w oszklonym ogrodzie pałacu przemysłowego, wśród kwitnących róż, rododendronów i azalei, dziwnie uroczy przedstawiają widok.

Na placu przed pałacem, uderza w oczy kolosalny pomnik z brązu i marmuru, przeznaczony dla Rzeczypospolitej peruwiańskiej, na pamiątkę zwycięstwa pod Callao, odniesionego 2 maja 1866 roku nad hiszpańską eskadrą. Pomnik ten ozdobi główny plac w mieście Lima. Jakkolwiek Peruwianie sami przyczynili się do zwycięstwa, niemniej przecież trzy Rzeczypospolite: Chili, Ekwator i Boliwii, jako ściśle podówczas sprzymierzone z Peru, biorą udział w tryumfie. Świadczą o tym godła i napisy.

Na wysokości kolumnie marmurowej stoi bogini zwycięstwa, przybrana zbyt modnie, lecz nie dość posągowo, w suknią z brązu złoczonego, szeroką, fałdzistą, krótką, przedstawiającą się najdziwniej, gdy patrzymy na nią od ziemi. Trudno doprawdy pojąć, jakim sposobem znakomity rzeźbiarz p. Cuquot mógł tak ośmieszyć tryumfującą *Wiktoryę*, a bardziej jeszcze zrozumieć nie możemy, jakim sposobem sędziowie konkursowi, którzy z pomiędzy innych wybrali ten model, nie spostrzegli całej jego śmieszności. Wprawdzie kolosalna figura na wysokiej kolumnie, inaczej przedstawia się oczom, niż rysunek lub model na małą wykonany skalę. Głos publiczny silnie dziś zaprotestował, w skutek tego bogini otrzymała nową, poważniejszą zapewne szatę, zanim popłynie na dalekie podzwrotnikowe morza. Pomnik to przecież nie bez wysokich zalet. Piękne płaskorzeźby na postumencie wyobrażają w alegorycznych postaciach trzy bratnie Rzeczypospolite. Zwraca szczególnie uwagę postać pułkownika Galvez, który w chwili bohaterstwa skonu, przekazuje ojczyźnie własny tryumf. Poeta Lłona, jeden z najświetniejszych przedstawicieli poezji południowo-amerykańskiej, zajmował się gorliwie urzeczywistnieniem myśli tego pomnika.

Perłą rzeźb tegorocznych jest niezaprzeczenie *Przysięga Spartakusa*, dłuta p. Barrias, młodego ucznia szkoły rzymskiej, nagrodzona złotym medalem. Piękna ta grupa wyobraża Spar-

takusa niedoroślą jeszcze chłopczyzną. Stoi on u stóp krzyża, na którym kona niewolnik w najokropniejszych męczarniach. Młodzian trzyma sztylet w zaciśniętej pięści. W jego rysach pełnych wyrazu, snadno odgadnąć przyszłego mściciela, który wstrząśnie do gruntu, zachwianym już gmachem społeczeństwa rzymskiego.

Drugi medal złoty otrzymał p. Mercier, równie jak Barrias uczeń rzymskiej szkoły, za piękną grupę Dawida z Goliatem. Król prorok naciska prawą stopą głowę powalonego olbrzyma, jego miecz składa w pochwę. Utwór ten pełen siły i wyższego natchnienia, przypomina arcydzieła sztuki florenckiej.

Rycerz w spoczynku p. Leenhoff'a, ściąga też powszechną uwagę. Wspaniała to postać tego męża, spoczywającego po długim znoju. Oko jego nibyto półsenne, lecz ucho pilnie czuwa; niech tylko pobudka da hasło, a lew zerwie się na nogi i zuchwale potrząśnie grzywą. Artysta Holender z rodu, otrzymał srebrny medal.

Takąż nagrodę przyznał sąd p. Chapu za posąg Joanny D'arc. Bohaterka przedstawiona tu w zbroicy, ani z chorągwią w ręku, ale na kolanach w chwili najwyższego uniesienia, gdy głos z nieba oznajmia jej wielkie posłannictwo. Oblicze Joanny prawdziwie natchnione, z ust jej półotwartych gorąca wybiega znac modlitwa.

Smutne wypadki upłynionego roku, oddziaływały silnie na artystów, i nie jednem kierowały dłutem; pod wpływem tych wrażeń pan Calmels wykonał symboliczny posąg *bolesci*, p. Azelin niemięniej piękną postać żalostnej *wdowy*; p. Hebert smutną *wyrocznię*, pod którą w piedestale czytamy rzewny napis:

Gdyby w księgę przeznaczeń zajrzeć mu przystało,
Człowiek w niej na uśmiechy znajdzie chwilkę małą,
A na lzy długie lata!

Podoba się też ogólnie muza tuląca do piersi odciętą głowę ulubieńca swego Andrzeja Chenier. Pięknie odbija głęboki żal w postawie niebianki obok spokoju, jaki śmierć wyrzyła na obliczu poety.

Z pomiędzy kilku rzeźb pomnikowych, zwraca szczególniej uwagę grupa Joanny D'arc i Wercingetorixa, wzór monumentu na cześć ofiar niepodległości narodowej.

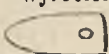
Nie będziemy tu wylizywać długiego szeregu popiersi marmurowych; niektóre z nich nadzwyczaj piękne, mianowicie Hiolla, laureata ostatniej wystawy.

Wśród wizerunków zmarłych i żyjących osobistości, uderza w oczy pyszny posąg sławnego Mirabeau. Wielki mówca wyciągnął rękę do tłumów, promień zapału wytryska z jego czoła!

Do redakcyi Biblioteki Warszawskiej.

W zeszytcie czerwcowym Biblioteki Warszawskiej, odczytałem bardzo ciekawy artykuł p. Z. Glogera o naszych „stacyach krzemiennych.” Badanie epoki przedhistorycznej zrobiło znaczne postępy w ostatnich czasach, dotąd jednak stacyi wyrobni narzędzi z krzemienia nie znaleziono w kotlinie Dniestrowej, nie dlatego, żeby ich tu wcale nie było, ale dlatego, że nikt z badaczy o to się nie pokusił. A wszakże lewy brzeg starego Tyrasu o wysokich, lasem pokrytych skałach, sporo posiada materiału nadającego się do podobnego rodzaju wyrobów, bez zaprzeczenia też najpierw był zaludniony. Warunki bo sprzyjały temu: obfitość zwierza, bezpieczne ukrycia, jako to pełno pieczar, potem już po wprowadzeniu chrześcijaństwa przerabianych na pustelnie, zamieszkiwane przez mnichów, pionierów wschodniej cywilizacyi, wreszcie sąsiedztwo wody, głównego może w on czas szlaku komunikacyjnego, a w końcu i piękność położenia, musiały nęcić najbardziej nawet dzikich poprzedników naszych na tój ziemi... Toż Bahota, Kamieniec, Swinihorod (Dzwiniogród), Uszyca, najwcześniejsze już historyczne osady z X i XII w., jak sępie gniazda siadały na skałach, albo się wciskały między góry zbiegając ku sędziawemu Dniestrowi. Otoż w okolicy tych osad najprędzejby się dało znaleźć owe *eclats de silex* francuzów, trzeba tylko szukać pilnie. Z tych to okolic posiadam kilka drobnych okazów, które tu pokrótce opiszę, zastrzegając na wstępie, że archeologiem nie jestem; więc może przecenię to, co istotnie nie zasługuje na wzmiankę: rzeczą specjalistów będzie sprostować moje błędy.

Zacznę od jaru Uszyckiego: w okolicy miasta Starój Uszycy, w Hucie Kosikowieckiej (własność p. Mieczysława Regulskiego), przy kopaniu fundamentów w płaskowzgórzu zarysowującym półkole zwieszzone nad jarem, znaleziono kilka kościo-trupów w postawie siedzącej, każdy z nich w lewej dłoni trzymał młotek krzemienno biały, niezgrabnie ociosany; cztery czy pięć z nich rozeszło się po świecie, wszystkie były jednakiej barwy i wielkości (długość 17 centym.); miało to miejsce w 1851 r.

O miedzę ztamtąd w Łojowcach (własność p. Podhorskiego), położonych nad Dniestrem, na polu za wsią, znaleziono młot dość spory, według p. Ottona von Petrino (brata b. ministra rolnictwa w cesar. Austriackiem) z *syenitu* wyrobiony, z okrągłym otworem przy nasadzie, takiego kształtu  długi na 17 cent., szeroki na 7, szerokość bocznych ścian jednakowa, wynosi 5 cent. Czy nie jest-to zabytek z epoki budowlu mieszkań na palach? P. Petrino wysłany na Podole przez brata ministra, dla rozpatrzenia pokładów i skrzyków kulistych (pyrytów żelaznych), mających posiadać własności udobrzienia gleby (miano z nich wyrabiać mączkę, kwestya jednak pono, że zmianą ministeryum upadła), otóż p. Petrino archoelg, uważa młot rzeczony za okaz dość rzadki, z tój szczególniej przyczyny, że się cało przechował, kiedy okazom wi-

dzianym przez niego brakowało, albo ostrza, albo kawałka u otworu, ten zaś ma w średnicy 2, 3 centym., bardzo przytém starannie i gładko jest wyrobiony.

W tołtrach Nihieńskich (Miodobory), na gruntach wsi Nihina należących do p. Sarneckiego, a opisanych bardzo szczegółowo i sumiennie przez p. Barbot de Marny, profesora górnictwa w Petersburgu, dużo okrząsek krzemiennych napotkać można. Uczynności p. Albina Gosławskiego, brata starszego Maurycego, zawdzięczam kilka pięknych okazów, jak dwa groty, na jednym z których jakby ślady rzeźby dopatrywać się dają, parę młotków z ciemnego krzemienia, bardzo pięknie wygładzonych, dłuto długie na 21 cent., szerokie na 2,5 c., nadto ostrze krzemienne stożkowate, o 7 ścianach, 14 cent. długości. w obwodzie 4,5 cent.

W Dzwiniaczu na gruzach dawnego Swenihorodu, znaleziono grot, zupełnie taki jak w tołtrach Nihieńskich, młot i skrobaczkę o brzescu ostrym, długą na 19,5 centym.

Teraz na zakończenie słów kilka o wykopalisku także w Uszyckim powiecie na polach wsi Porosiatkowa (dawniejszy Prosiętków, dzierżawne dobra królewskie). Miało to miejsce w 1861 r. Kmieć szukający źródła trafił na popielnicę, a podejrzewając, jak to zwykle bywa skarb w nich ukryty, porozbijał je na kawały, resztki ich dostały się do mnie: jest ich dwie, jedna o grubych dwucentymetrowy chścianach, dnie dużém, prawie takiej objętości jak popielnica w pęku z popielatęj gliny ulepiona, zawierała w sobie trzy paciorki gliniane, takie jakich rybacy używają do włóczków, wielkości sporego orzecha włoskiego; dwie z gliny szaręj o płaskich powierzchniach z otworem i słabo wypuklonych bokach, jedna zaś z gliny żółtęj z jedną powierzchnią gładką, drugą stożkowatą: przez obie przechodzi otwór niewielki; na powierzchni gładkiej ustawiona paciorka ta ma kształt małej przysadkowatej buteleczki. Czy to resztki ozdób? czy może istotnie ciężarki z sieci rybackich pochowane z popiołami ich właściciela, jako godło jego powołania na tój ziemi? Druga popielnica, z denkiem małym kunsztowniej obrobioném (a ta się tylko z resztkami ścian bocznych do mnie dostała), nic krom kości w sobie nie zawierała.

Otóż tyle na dzisiaj odpowiedzi p. Glogerowi. Powtarzam raz jeszcze, że przy skrzątnych staraniach, nie jedna stacya krzemienna odnaleźć się dała w kotlinie Dniestrowéj.

Dr. *Józef Rolle*,
w Kamieńcu Podolskim.

Dnia 17 (29) czerwca 1872 roku.

PIŚMIENICTWO

KRAJOWE I ZAGRANICZNE.

Wyprawa kijowska Bolesława Wielkiego, napisał Jan Karłowicz. Poznań 1872 str. 32, przekład z rozprawki łacińskiej na stopień dr. fil. Berl. Univ.

Od rozprawy na stopień doktora wymagają Niemcy, aby obejmowała najmniej dwa arkusze druku, aby nie była kompilacją i mieściła w rezultatach badania cośkolwiek nowego, samodzielnego. Otóż pod względem objętości „Wyprawa kijowska” dosięgnęła do zakreszonej miary, drugiemu wymaganiu także zadość uczyniła. W czym to się objawił, zapyta czytelnik, ten krok naprzód, w jakim punkcie posunęła się krytyka autora? Roepell w swojej Historii Polski (147—149), opowiadając przebieg wyprawy kijowskiej Bolesława Chr., który w zdobytym Kijowie 1018 r. osadził na tronie swego wygananego zięcia Świętopełka, dodaje, na zasadzie wiadomości przechowanej u Nestora, że Bolesław *zmuszony był* z powodu niebezpiecznych knozań Świętopełka Kijów i Ruś *porzucić*. Polski zaś autor rozprawki, p. Karłowicz przyszedł do wniosku, że Bolesław *dobrowolnie opuścił stolicę Rusi i powrócił do kraju*.

Oto treściwa odpowiedź na zapytanie czytelnika. W niej się mieści niemal cały owoc pracy p. Karłowicza. Ależ już Szajnocha dowodził, że w słowach Nestora: iż Bolesław uciekł z Kijowa, tkwi sprzeczność z innymi okolicznościami powrotu Bolesława, i pyta się słusznie, *pókiż będziemy prawić o ucieczce Bolesława z Kijowa?* (zob. Bol. Chr. str. 247 wyd. 2-gie). Więc ostatecznie i Szajnocha uprzedził p. Karłowicza, prostując mylne zdanie Roepella. Szajnocha twierdził, iż w tém sporném pytaniu musi Dytmar głównie rozstrzygać, pan Karłowicz także nic innego w tym względzie nie powiada. Gdzież są przeto nowe wnioski? W którym punkcie posunął autor rozprawki naprzód krytykę historyczną?

Przestaśmy się jednak targować z p. Karłowiczem, bo krytykowi nie berlińskiemu lecz warszawskiemu nie chodzi o to, czy autor rozprawki ma większy lub mniejszy tytuł do sławy za wynalezienie lub dopełnienie trafniejszej kombinacji w oddaniu faktu historycznego; ale pyta się głównie, ile na tém skorzystała nauka. Owoż wyznajemy z przyjemnością, że w Wyprawie kijowskiej są nowe przyczynki. Szajnocha wyrzekł, iż trzymać się trzeba Dytmara, jako współczesnego kronikarza; p. Karłowicz poszedł za

tém zdaniem, ale przeprowadził je pełniej, konsekwentniej, rozwinął je systematyczniej. Powtarzając za Szajnochą, zgadzamy się z wnioskiem p. Karłowicza, iż Bolesław W. który w powrocie zdobywa pod drodze Czerwieńskie grody, nie mógł uciekać z Kijowa; zgadzamy się na to (także Szajnocha), że wiadomość Dytmara o *wesolym powrocie* Bolesława odnosi się do skutku wyprawy kijowskiej z 1018 roku. Ale stajemy na chwilę w obronie godnego czci głębokiej Szajnochy. P. Karłowicz zarzuca naszemu historykowi sprzeczność: „Szajnocha, powiada autor, kazał Dytmarowi zmarłemu 1 grudnia 1018 r. świadczyć o szczęśliwym powrocie Bolesława do kraju po 10cio-miesięcznym pobyciu w Kijowie, a więc o wypadku zaszytym w czerwcu 1019 roku.” Naturalnie to nonsens, bo Dytmar nie mógł już po śmierci pisać swojej kroniki. Ale zkądże tak obcesowo obarczać zarzutem Szajnochę? Toż z taką powagą historyczną jak Szajnocha, trzeba ostrożniej. Autor twierdzi że Dytmar umarł 1 grudnia 1018 r., ale tego bynajmniej nie dowiódł. Zkąd ta pewność, że tak było? Wszak są wcale niepośledni pisarze niemieccy, co utrzymują że Dytmar zakończył życie właśnie 1 grudnia 1019 r. Naprzykład Otte (*Neue Mittheil.* V. 2 141), Wilmans (*Archiv für aeltere deutsche Geschichtkunde* XI 151), Giesebrecht (*Geschichte des deutschen kaiserzeit*, trzecie wyd. T. II 556), Wattenbach (*Deutschlands Geschichtsquellen*, drugie wyd. 226), który swoim podręcznikiem przyczynił się do rozpowszechnienia powyższej daty, Dümmler (*Neue Mittheil.* XI 253), a są to przecież głośne imiona krytycznych badaczy. Dlaczegożby i Szajnocha nie miał być tego zdania? Może właśnie rok 1019 jako rok śmierci Dytmara przyjmował? A jeśli wzmianki o tém nie zrobił, to może dlatego iż Szajnocha w ogóle nie przytaczał cytat. P. Karłowicz wszak robi tak samo. Jeśli twierdzi, że Dytmar umarł r. 1018, to żadnych nie stawia dowodów w tej spornej kwestyi. Przypuśćmy że tak jest, jak twierdzą wyżej przytoczone powagi, chociaż *adhuc sub lite res est*, to w takim razie kombinacye autora Wyprawy kijowskiej mogą się stać bardzo wątpliwymi, bo wtedy upaść musi dowód, że Bolesław wrócił niebawem z Kijowa już we wrześniu 1018 r., że w tym miesiącu Dytmar zapisał wiadomość do kroniki swojej o powrocie Bolesława, skoro już 1 grudnia tegoż roku nie żył tenże Dytmar.

Kombinacyi p. Kartowicza niedostaje ważnej podstawy. Ona się w niwecz obraca, skoro autor nie dowiódł, że Dytmar umarł 1 grudnia 1018 r. P. Karłowicz widocznie nawet nie zwrócił uwagi na to, co stanowi podwalinę jego dowodu, który bez tego fundamentu dowodem być przestaje. Kładziemy to na karb niewuagi, zapomnienia.

Może autor się nas zapyta, jakie jest nasze zdanie co do śmierci Dytmara? Zwracamy uwagę p. Karłowicza na to, że Roczники Kwedlinburskie podają pewne wskazówki. I tak pod r. 1018 wzmiankują o śmierci Dytmara temi słowy: „Thiatmarus

merseburgensis episcopus i inni de hac luce abstracti sunt.“ Więć z tych roczników mógł p. Karłowicz poczerpnąć dowód, iż Dytmar umarł istotnie 1018 roku.

Ale cóż dalej? Te same roczniki pod r. 1019 donoszą: „Bolitzlavus Ruciam auxilio Saxonum sibi subegit.“ Więć Bolesław wrócił z wyprawy kijowskiej 1019 r. Cóż za znaczenie będą miały kombinacye p. Karłowicza? Zdaje nam się, że trzeba rozstrzygnąć czy roczniki Kwedlinburskie zasługują na wiarę. Jeśli na nich można polegać, to jak pogodzić obie daty? Nie jest to naszym zadaniem, bo nie piszemy o Wyprawie kijowskiej, ale mniemamy, iż należało do autora rozprawy wyjaśnić te różne sprzeczności, usunąć wątpliwości. Krytyka która nie rozpatruje *wszystkich* świadectw, przestaje być krytyką a wnioski jej jako nie wyczerpujące śledztwa, prawa obywatelstwa w nauce zyskać nie mogą.

Mamy inne jeszcze zarzuty przeciwko rozprawce, lubo mniejszej wagi.

Kijów został zdobyty przez Bolesława 14 sierpnia. Miał z sobą posiłki niemieckie, oddział 300 ludzi. O nich donosi Dytmar „iż wraz z innemi posiłkami (węgierskie Pieczyngów) odesłane zostały do domów, skoro senior z radością widział, jak się doń krajowcy schodzili i swoją wierność mu ofiarowali“ (VIII 16). P. Karłowicz powiada (str. 15) „że posiłki te niemieckie *zaraz* po zdobyciu Kijowa do ojczyzny odprawione zostały. Od nich więc Dytmar miał najpewniejsze wiadomości o sprawie kijowskiej, jako od świadków naocznych, opowiadających po powrocie do Niemiec swe przygody; od niktó musiał się kronikarz ten dowiedzieć o datach bitwy i t. d. Tym też tylko sposobem zrozumieć można, jak Dytmar, pisząc księgę ósmą we wrześniu 1018 r., szczergółowo opowiadać może wypadki w sierpniu tegóż roku zaszłe w Kijowie.“

Najprzód w wyżej przytoczonych słowach Dytmara niema wzmianki, iż posiłki odprawione zostały *zaraz* po zdobyciu Kijowa. Kronikarz powiada: „Omnes hii tunc domum remittebantur cum indigenas adventare, fideles sibi opparere senior prefatus letabatur.“ P. Karłowicz raz tłumaczy to w ten sposób (str. 15), iż posiłki *zaraz* po zdobyciu Kijowa do ojczyzny odprawione zostały, co ze względu na wyraźny imperfectum jest oczywiście błędne, drugi raz (na str. 20) wyklada w ten sposób: iż posiłkujący odsyłani byli do domów, gdy pan ten (Bolesław) z radością widział, jak krajowcy przychodzili i wiernymi się jemu okazywali, co jest nierównież trafniejsze tłumaczenie. Ale w takim razie z tego po-wolnego *odsylania* posiłków, w miarę jak mieszkańcy krajowi ofiarowali mu swą wierność, bynajmniej nie widać, iżby to miało być *zaraz* po zdobyciu Kijowa. Zresztą w sumiennym wykładzie źródła, nie wolno jest raz tak, drugi raz inaczej, bo kiedy przychodzi do wyprowadzenia wniosku bardzo ważnego, to autor Wyprawy kijowskiej trafne tłumaczenie pomija, a chwytą się ob-

jaśnienia fałszywego. Oświadczamy więc autorowi, iż się stanowczo nikt zgodzić nie może na przypuszczenie, iż posiłki *zaraz* po zdobyciu Kijowa odprawione zostały. Jeszcze jedno zapytanie.

Na jakiej zasadzie p. Karłowicz odniósł w przytoczonych wyżej słowach wyraz Dytmara *senior* do Bolesława W. ? Kronikarz kiedy mówi o Bolesławie nazywa go albo po imieniu, albo też tytułuje go *dux*. Zkądże więc nowa nazwa *senior* i co znaczy? Kilkanaście wierszy przedtém powiada Dytmar o Kijowie, iż miasto po ustąpieniu Jarosława, przyjęło Bolesława i Świętopełka seniora swego (*seniorem suum*), t. j. swego poprzedniego pana. Kiedy więc niżej mówi tenże kronikarz *senior prefatus*, to się chyba do Świętopełka odnosi, tak nam się przynajmniej zdaje. Otóż my byśmy tak wyłożyli, że kiedy Świętopełk widział ku wielkiej swój radości, iż ludność znów do niego wraca, i wierną mu być przyrzeka jako dawnemu panu, wyganemu przez Jarosława, wtedy posiłki jako już zbyteczne odsyłało do domu. Może w tym wyrazie *senior*, wyrażony jest stosunek starszeństwa w jakim się znajdował Świętopełk względem swoich braci. Nam się zdaje, iż te oznaki wierności o której Dytmar wzmiankę czyni, ściągają się najwłaściwiej do Świętopełka; Bolesław osadzał na tronie swego zięcia, dla niego więc nie dla siebie wymagał wierności. Cokolwiekbądź ani Bolesław ani Świętopełk nie odsyłał posiłków *zaraz* po zdobyciu Kijowa, bo podobnego określenia czasu nie można z powyższych słów kronikarza wydobyć. Targujemy się z autorem Wyprawy kijowskiej, gdyż ten pośpiech wracających do domu posiłków jest dlań podstawą do wniosku wielce śmiałego. Ci posiłkujący niemieccy muszą wracać jak najspieszniej, żeby mogli opowiedzieć Dytmarowi co się stało w Kijowie, a nadto żeby tenże Dytmar mógł jeszcze we wrześniu wiadomości od nich zaczerpnięte zapisać do swojej kroniki. Kijów został wzięty 14 sierpnia. Przypuśćmy, że posiłki nie *zaraz* wróciły do domu, co prawdopodobnym być się zdaje, ale że opoczywały w Kijowie dopóki się Świętopełk nie czuł dość pewnym na swoim tronie, to w takim razie, czy już we wrześniu mogły wrócić do Niemiec. Owoż jakkolwiek wniosek wyprowadzimy, na to się zgodzi z nami każdy, iż p. Karłowicz powinien był objaśnić czytelnika, że odległość od Kijowa do Merseburga, gdzie przebywał Dytmar, mogła wynosić przy drogach ówczesnych, zapewne prowadzących nie w prostym kierunku, przynajmniej ze 200 mil; powinien był przekonać na podstawie analogii, że niemieccy wojownicy mogli przebyć tę odległość w ciągu dni 30 lub 40tu. W innym razie rodzi się wątpliwość w umyśle czytelnika, który razem z nami słusznie zapytał się może autora: a jakimto sposobem, jeśli posiłki składały się z piechoty i takowe nie *zaraz* Kijów opuścili, jakim sposobem przebyły tak prędko tę przestrzeń znaczną, że już Dytmar we wrześniu z ust niemieckich walczników, pisał o szczegółach zdobycia Kijowa przez Bolesława W. ? Wszak Bolesław wprawdzie z przeszkodami, ciągnął tylko

od Buga do Kijowa z górą trzy tygodnie a przecie od Buga trzeba jeszcze przez Wisłę, przez Odrę, przez Elbę aż do Merseburga. A czy wracający oddział Niemców także nie musiał walczyć z przeszkodami po drogach nie bitych, czy nie musiał trawić czasu na wyżywienie swoje? Weszli do Kijowa 14 sierpnia, niechby dla odpoczynku, potrzeby którego autor im nie odmówi, zostali do 20 sierpnia, to do końca września dni najwyżej 40. To za prędko! ale to nie nasza rzecz, więc autor powinien był takie obliczenie prawdopodobnym uczynić.

W końcu jeszcze jeden zarzut. Autor, jeśli mu nie jest objętną czystości mowy rodzinnej o czem nie wątpimy, nie pomówi nas o zbytnią drobiazgowość, jeśli przytoczymy następnny wyjątek (str. 4) z jego rozprawki :

„Wywiązały się z przyczyny jej zameścia wojny, nie jednym *rysem* do homerycznego opisu walki trojańskiej *podobne* i prostotą opisu Nestorowego a *legendami* czysto ludowy, ułankowy pozor mającemi Marcina Galla, i *przyczyną* wojny *niewiaścą*, raz żoną Świętopępka a potem *odmówioną* Bolesławowi *córkę* Włodzimierza, i owemi *połajankami* bohaterów przed bitwą i t. d.“

Czy może być wojna podobna do wojny z *niewiaścą* ?

Dru ga część rozprawki obejmuje wyprawę z r. 1069 Bolesława Śmiałego, do której odnieść należy Marcina Galla i Nestora szczegóły, domięszane do wyprawy Bolesława W. Rzecz ta jest umiejętnie przeprowadzona. W końcu p. Karłowicz przedsięwziął wycieczkę przeciwko Długoszowi dowodząc, że on w opowiadaniu dziejów polskich XI wieku nie może służyć, dla braku krytyczności w tej części kroniki za przewodnika. Objaśnienie jest trafne, przykłady są przekonywające, ale po Lelewelu, Roeppellu któż ze źródłowych badaczy naszej przeszłości twierdził inaczej? A. P.

Hieronim Savonarola, przez Klemensa Kanteckiego. Poznań i Lwów 1872, str. 108.

Na schyłku wieków średnich, na progu nowych czasów przyświecała Italii ranna zorza nowego życia, złote swe promienie rzucając na dziedziny, nad którymi dotychczas panowały pomroki. Mowa Greków i Rzymian zakwitła w wymownych ustach Marsilio Ficino, boski Platon powstał z martwych nad brzegami Arno, powaby starożytnych piewców roztaczał Angelo Poliziano, a Brunellesco, Ghiberti, Donatello, Michelangelo Buonarrotti . . . i któż wyliczy imiona tych wszystkich mistrzów, co jako promien-na zorza zwiastowali ludzkości powstającą dobę odrodzenia? Najjaśniej roznieciło się to zadanie nad Florencją, jako nad drugiemi Atenami. Ale na innych dziedzinach życia ponure duchy utwierdziły swe panowanie. Swoboda polityczna, która się

w młodszej swój dobie jako świeży a pełny kwiat rozwinęła, złamana w bratobójczych walkach, przesuwała się wśród murów miejskich jako cień bez ciała. Umilkły dzwony, na głos których niegdyś schodził się lud wolny na swoje obrady, wołę narodu zastąpiła wola jednego człowieka; sterem rządu kierował Torre albo Visconti lub Sforza, Este, Medici lub inny tyran. Nastął dla wolnych miast włoskich czas Pizystratydów, Dyonizych, a jeśli wieki nowsze przypomnieć wolno, czas Napoleońskich rządów.

Już wielkich trudów około spraw domowych nie miały podejmować, ani cechy, ani szlachta rycerska, wytchnienie dać im postanowiono, ale jeden brał na siebie całe brzemie. Jeśli dawniej cnota do urzędów wynosiła, to już teraz tylko związki lub przyjaźń z tyranem do zaszczytów drogę śłały. W sercu ludu, któremu odjęto prawa krzątania się około spraw publicznych, powstała próżnia. Dokuczała czczość życia. Więc rozkosze i zbytek gasiły pragnienie, gruby materyalizm dostarczał pokarmu do sytu dla zaspokojenia głodu łaknących. Praca służyła tylko jako środek do gromadzenia bogactw, zgromadzone zaś skarby tonęły w kale rozwiązłego życia. Rozpusta ogarnęła wszystkie stany, i duchowieństwo świeckie poszło za ogólnym prądem; w klasztorach dawna surowość obyczajów ustąpiła miejsce zupełnemu zepsuciu. We Florencyi na schyłku XV wieku taki obraz włoskiego społeczeństwa odbija się najjaskrawiej. Tu pod świetną nauką i sztuk wyzwolonych pomroka, jaką okrył Lorenzo Medici całe miasto, kryło się społeczeństwo, które się ze wszelkiej wyzuto moralności. Wszystkie wodze politycznych rządów już był pochwycił w swe ręce „Wspaniały” tyran, i szczerze pracował nad tём, by żal ludu po straconej swobodzie ukoić napojem zmysłowych rozkoszy, podawanych w pełnym kielichu. I pili wszyscy u tego źródła, jak strudzony pielgrzym po skwarным dniu podróży. Oko wykwintnych mieszczan lubowało się wdziękiem kształtów u wspaniałych gmachów, które wznosiły ręce robotników, a robotnik wśród nieustannej zyskownej pracy zapominał o ludowym wiecu. Rękodzielnik siedział spokojnie przy chlebobajnym warsztacie, szlachtę rycerską olśniewała świetność wypraw wojennych, a wszyscy mając chleb i cyrki (panem et circenses), jedną śpiewali wesolą pieśń życia. Nocne orgie, bezwstydnе bankiety, hazardowne gry w nieprzerwanym ciągu następowały po sobie zaprawione cynizmem, który Heliogabala dni przypomina. Przepisy religii straciły moc obowiązującą, zakrzewiły się nieprawości, skażeniu powszechnemu ulegli wszyscy, ale spokojnie siedział na tronie Medici. I wtedy jeszcze nikt nie spostrzegał, że ręka władcy Lorenzo Medici tajemnie Florencję na tę drogę wiedzie, i Francją za naszych dni na te tory wprowadzoną została.

Żył w owym czasie we Florencyi w klasztorze Ś-go Marka mnich, którego zwano Frà Girolamo, bratem Hieronimem. Lud, który się schodził dość tłumnie do świątyń, mniej dla nabożeństwa, więcej dla światowych celów, strojne panie dla wystawy, młodzież

na sprośne rozmowy, lud ten przysłuchiwał się nieraz słowom głoszonym z kazalnicy. A na ambonie w tym czasie (1490 r.) ukazywał się w sile wieku będący dominikanin, istny obraz zakonnika, na którego twarzy odbijała się cała surowość życia spędzonego nie na łonie rozpusty, ale wśród modlitwy, rozmyślań i pracy. A kiedy głos ognistego zapału kaznodziejskiego wydobywał się z piersi natchnionego mówcy, milkły szepty, oczy słuchaczy zaniechawszy mitosnych spojrzeń zwracały się ku zakonnikowi, który wdziękiem swych słów zniewalał wybredne ucho Florentczyka.

Był to Hieronim Savonarola. Różne obiegały wieści o jego przeszłym życiu, o surowości jego czynu, o jego nieskazitelnej moralności. Już to z lat młodych bolało serce jego na widok upadku współziomków. Dlań życie miało tylko jeden powab, pracować nad poprawą kościoła, nad odrodzeniem swoich współbraci. Więc wyrzekł się świata i bez wiedzy ojca udał się do klasztoru. Długie lata spędził na zgłębianiu Arystotelesa, Tomasza z Akwinu i Pisma Świętego. Powtórnie w 1490 r. wrócił do Florencji i tu rozpoczął swój świetny zawód kaznodziejski. Wdziękiem słów, ogniem zapału, ściągał tłumy do kościoła. Groził występki, nieprawości, chłostał kościół i duchowieństwo, zachęcał do cnoty, do poprawy. Niekiedy jakby w chwili natchnienia przestrzegał lud, aby nie odrzucał słowa Bożego, gdyż Bóg ześle klęski na całe Włochy; a tak się przejmował postannictwem swoim, iż opowiadał, jakby głosy nadziemskie doń przemawiały. Nie jestem prorokiem, mawiał, ani synem proroka i ja nie chcę tego straszego nazwiska; ale jestem pewny, że się, co przepowiadam, wypełni. . . Nie mienił się być prorokiem, a jednak przemawiał do ludu jako drugi Amos, Jonasz lub Ezechiel. I stało się jako mówił. Umarł Lorenzo Medici, umarł i papież Innocenty VIII i lud słuchał z większą uwagą słów Savonaroli, jak gdyby Bóg przemawiał usty swojego proroka. Przyszedł i z za Alp Karol VIII, którego przyjście przepowiadał. Florencja się otrząsała powoli z dawnych grzechów. Savonarola ją nawrócił. Ustały orgie, wstrzymała się wyuzdana rozpusta, zakwitła miłość braterska jako w pierwszych czasach chrześcijaństwa. Znienawidzona Mediceuszów rodzina wypędzoną została i znowu odżyła dawna republikańska swoboda. Nowy kształt rządu był dziełem Savonaroli. Teokratyczny charakter przemagał w tym kształcie. Chrystus był głową niewidzialną tej rzeczywospolitéj, widzialnym jej naczelnikiem zakonnik z klasztoru Ś-go Dominika. Nie wszyscy jednak z jedną skwapliwością pracowali nad poprawą swoich obyczajów; znaleźli się przeciwnicy, campagnacci, którzy płaczkami (pianoni) nazywali gorliwych zwolenników Savonaroli. Nastąpiło rozdwojenie. Tymczasem kaznodzieja dominikanin nie ustawał w swój pracy około nawracania współziomków na drogę cnoty, rzucał gromy z kazalnicy, ale i po za kościołem w życiu publicznym, w jego przekształceniu czynny przyjmował udział. Na tém polu zaszedł za daleko. Nieraz nie umiał powściągnąć swoich

zapędów. Chłoscząc, słowa jego dotknęły także stolicę apostołską. Na tronie papieżów zasiadł Alexander VI Borgia. Dość tego nazwiska, żeby zrozumieć dlaczego Savonarola podniósł oręż kaznodziejskiego słowa na Babilon. I od miecza tego zginął. Nie zachwiał go widok palącego się stosu. Dla prawdy, dla swych nieugiętych przekonań położył życie. Skonał wśród płomieni w 1498 r. Naukę Bożą, że tu słów Cypryana Bazylika z XVI wieku użyjemy (Sprawy męczenników fol. 20), krwią swą zapieczętował.

Jeżeli kościół, powiada Perrens (Jer. Savonarola pas. 1856 str. 339) nie pozwala go zaliczyć do rzędu świętych, to bynajmniej za kacerza uważać go nie należy, a w każdym razie Włochy pomieścić go winny w liczbie wielkich ludzi, którzy są chlubą tej krainy. I zaiste wśród tej rannej zorzy, która zajaśniała nad Italią na schyłku XV wieku, zwiastując jej dzień odrodzenia, jasnym promieniem błyszczy postać Savonaroli. To też i nadszedł czas uznania. Wdzięczne Włochy wznoszą mu wspaniały pomnik we Florencji.

Po tych treściwych rysach, które z najnowszych prac zebraliśmy z Perrens'a i Villari'ego, kilka słów powiedzieć zamierzamy o tém, jak się p. Kantecki wywiązał ze swego zadania. „W pracy niniejszej, powiada autor, nie naginaliśmy faktów do powziętego a priori przekonania, lecz zestawiliśmy świadectwa autorów najrozmaitszej barwy i wprost przeciwnych poglądów, staraliśmy się dojść prawdy, która dziś po wydaniu różnych listów i dokumentów nie ulega już wątpliwości. Dlatego też mniej nam chodziło o krytyczne badanie i szczegółowe zbijanie przeciwników, jak raczej o podanie rezultatu studyów naszych w przystępnej formie opowiadania, osnutego na źródłach włoskich, francuzkich i niemieckich, współczesnych i późniejszych.” Słowa te dostatecznie określają rodzaj i charakter utworu historycznego, o którym tu mowa. Nie jest to więc badanie krytyczne ani rozprawa naukowa, ale skromny obrazek ujęty w formę opowieści historycznej. W obec wyżej przytoczonego wyznania autora byłoby niesłusznym wymagać, aby nowymi wnioskami wzbogacał swój przedmiot, lub nieznanne szczegóły dorzucał do obrazu. Autor wywiązał się już z zadania swego, skoro umiał skorzystać z gotowych a licznych prac, poświęconych dziejom Savonaroli. Jakoż pod tym względem p. Kanteckiemu zarzutów czynić nie można, gdyż dość dokładnie przytacza wyjątki z monografii i zna je nie tylko z tytułu. Powołuje się nieraz na zdanie p. Perrens'a i czyni to wyraźnie, niekiedy znowu nie przyznając się, korzysta dosłownie z wzmiankowanej pracy francuzkiego historyka (porów. Perrens'a str. 31—33, 84, 85, 130, 198). Autor trzymał się ściśle w granicach zadania jakie sobie określił, na krok nie odstąpił od opowiadania życia Savonaroli, a tyle nastrecało się sposobności do krytycznego roztrząśnienia kilku ważnych stron w działalności florenckiego reformatora. Jeżeli więc obeznany z życiem Savonaroli czytelnik

nik przejrzy pracę p. Kanteckiego, to słuszny z nami uczyni mu zarzut, dlaczego żadnego bliższego nie dano wyjaśnienia tego procesu psychologicznego, jaki się w duszy Savonaroli odbywał, kiedy ten zapewniał iż miał widzenia, objawienia. Trzeba było dotknąć tego przedmiotu i pokazać jak rozumieć należy te pozory proroka, w jakie się odziewał Savonarola. Wszak niemal każdy co obszerniej z autorów zastanawiał się nad reformatorem, starał się według swego widzenia bronić, potępiać zakonnika kaznodzieję albo przynajmniej więcej rozumiając uczynić tę stronę umysłowego stanu Savonaroli. Jeżeli p. Kantecki nie miał sposobności przejrzeć własnych traktatów Savonaroli i na nich sąd swój osnuć, należało przynajmniej oprzeć się na zdaniu Perrens'a lub Villari'ego. Bo jakżeż w tym razie w obec takiego niedostatku autor ma prawo mówić o *studyach* swoich. Żeby praca istotnie na tę nazwę zasługiwała, to trzeba iżby autor stosował się do tego co Horacy powiada: *Multa tulit fecitque puer sudavit et alsit, qui studet* i t. d. Ztąd też gładko płynąca z tokiem życia Savonaroli opowieść p. Kanteckiego, lubo swą potocznością miłe na umyśle czytelnika sprawi wrażenie, głębszych potrzeb zastanawiającej się myśli nie zaspokaja. P. Kantecki jest szczerze rozkochany w swym przedmiocie, żywo się zajmuje działalnością Savonaroli około naprawy obyczajów, włada przytém językiem gładkim, wyrobionym. Za tę dbałość o czystość rodzinną mowy jesteśmy autorowi wdzięczni. Cała praca w ogóle, jako opowieść bez pretensyi do naukowego traktatu, założeniu swemu odpowiada najzupełniej. Kogo zajmuje piękna postać Savonaroli, niech po bliższe szczegóły żywota i działalności uda się do pracy Kanteckiego, którą szczerze zalecamy polskiemu czytelnikowi.

A. P.

Nierząd i praca. Studium literackie przez F. M. Ejsmonta. Kijów. W drukarni Uniwersyteckiej 1872. (w 12e str. 215). Wyjątek z kroniczki mojej okolicy, z notat pana Marcina. Warszawa 1872. W drukarni Józefa Sikorskiego. (w 16ce str. 164), przez Leona Kumickiego.

Redaktor i wydawca zbiorowego pisma „*Co Bóg dał*” w Kijowie w r. b. ogłoszonego, wystąpił teraz z pracą samodzielną, której dał napis *studium literackiego*. Mniemamy, że jest to raczej opowiadanie, nawet powieść, ale nie *studium*, które ma inne przyjęte już powszechnie znaczenie.

Autor w pierwszym rozdziale maluje nam dwie rodziny, z których jedną był głową pan *Marck Łyczko* z dawnego rodu mieszczań krakowskich, a teraz herbowy Nałęcz, który dorobiwszy się grosza, zakupił znaczne posiadłości na Polesiu, i jako *bene*

natus et possessionatus, używał dobrego imienia, jak na to ze wszystkich względów zasługiwał. Miał syna *Marka* jedynaka, co następnie w całej opowieści niemałe zajmuje stanowisko.

W sąsiedztwie zamieszkiwało hrabstwo *Pufowscy*, którzy mieli także jedynaczkę pannę *Blandynę*, późniejszą bohaterkę główną w tym dramacie. Pan Marek pokochał ją, zyskał wzajemność; rodzice jego nic nie mieli przeciw temu związkowi, z rodem tak starym, gdyż pochodził od Horacyusza Koklesa, który sam jeden bijąc się z całym ogromnym wojskiem Porseny, nie puścił na most drącego się nieprzyjaciela: wyprawili sute wesele, a stary podkomorzy *Łyczko*, na ostatniej gałązce swego rodowodu, przy imieniu ostatniego potomka *Marka*, dopisał: „Małżonka Jmc. pan., na *Blandynka*, z domu *Jaśnie Wielmożnych hrabiów* (dużemi li., terami) *Pufowskich*. Działo się dnia 25 października 1842 roku, „na świętych *Kryspa i Kryspina* męczenników.” Na tém też kończy się *prolog*; sędziwy starzec wraz z małżonką umiera wkrótce, a ich miejsce zajmuje pan Marek z żoną swoją *Blandyną*. *Hrabianka*, której rodzice zmarnotrawili własny majątek, występuje na scenę w całej okazałości. Z rodzaju tych jak to u nas mówią *hic mulier*, wychowana po francuzku i używająca przeważnie tego języka, przy wdziękach niewieścich, charakter miała energiczny, mężki a szorstki. Układna i grzeczna względem obcych, była tyranem biednego *Marka*, który w niej zawsze rozkochany, był jednym ze sług najposuszniejszym. Stary modrzewiowy dwór podkomorzego zburzono, a wystawiono ogromny pałac niewiadomego stylu. urządzono odpowiednio i obszerny ogród. Pani *Blandyna* dla splendoru domu, wyrobiła mężowi tytuł hrabiowski, na co poszło dwie piękne wioski. Teraz już oboje udostojnieni tytułem hrabiostwa, cieszyli się dwojgiem dzieci, synem *Apoliuszem* i córką *Matyldą*. Pierwszy, zepsuty wychowaniem i pieczęcią matki, przechodzi więcej w idyotę niż człowieka z wadami; druga chociaż ma popędy zacne, ulegając jej także wpływowi, zbliża się pomimowoli, do pojęć i wyobrażeń panujących w tym pałacu, za potężnym wpływem królowej całej rodziny, hrabiny *Blandyny*.

W téj grupie postaci i charakterów, nie mających żadnej nowości w sobie, bo już powielekroć przedstawianych w powieściach polskich, a które stanowią tu ciemne strony, występują dwie postacie piękne i szlachetne: w *Zbigniewie Młodzieckim*, i sędziwym *Wilibardzie Hulskim*. Każda z nich zajmuje czytelnika i zjednywa sobie jego współczucie. *Zbigniew* za poznaniem *Matyldy*, pokochał ją całą potęgą pierwszój miłości, i pozyskał jej wzajemność, ale nie potrafił jednakże sobie zjednać przychylności matki, która korzystając z jego uczucia do córki, zręczną przymówką pożyczca od niego 10,000 rubli, ale postanowiła oddać jej rękę baronowi *Alfonsowi von Schipitz*, jako posiadaczowi dwu milionowej fortuny w Prusach, o której powzięta pewne wiadomości. Był to rzeczywiście szuler, i z kart tylko żyjący czterdziestoletni hulaka, co ogrywał szlachtę w całej okolicy,

a w pałacu hrabiostwa Łyczków, znajdował dla swego tytułu barona, odznaczające się szczególną uprzejmością, przyjęcie.

Hrabini Blandyna, obdłużywszy na zbytki i wystawne życie cały majątek mężowski, nie mu w posagu nie przyniosłszy, postanowiła zebrać 30,000 rsr., na które już miała od Zbigniewa część trzecią, a resztę poleciła mężowi wydostać. Posłuszny pan Marek, kłamstwem zdobywa podobną sumę od przyjaciela swego Hulskiego, a na wysoki procent od żydów zaokrągla i resztę. Z tak zebrany kapitałem hrabini wyjeżdża za granicę z Matyldą, wyprawivszy wprzód syna: zbytową, sprawia wyprawę dla córki, a dla siebie kosztowne stroje, i po kilku miesiącach wraca uszczęśliwiona do swojego pałacu, który oblegali wierzycciele, a w nim pana hrabiego Marka, co teraz zaczął puszczać się w grę, nieczując potężnego cenzora swego.

Wyprawa tak kosztowna miała olśnić barona, którego już uważała za zięcia i upatrywała w nim jedyny ratunek wybrnięcia z bankructwa. W tym celu tak umiała pokierować, że Matylda przystała na jej widoki i zamiary, poświęcając miłość swoją dla Zbigniewa. Wprędce jednakoż rozegrywa się dramat, baron po zaręczynach, dostawszy od hrabiny jeszcze znaczną sumę, którą sama mu pożyczyła, ażeby ślub przyspieszyć, w dniu wesela znika bez śladu i kończy w kryminale pruskim swój zawód; cały majątek zabierają wierzycciele, a hrabini z właściwą energią, gdy mąż głowę stracił, wydobywa z niego do 20,000 rubli i przenosi się do miasteczka, gdzie i te resztki marnotrawi.

Zbigniew srodze przebolał zawiedzione swoje nadzieje i rany serca, ale czując się obywatelem kraju, w dalszém życiu widział jeszcze zawód dla siebie otwarty. Powoli trzeźwiał na umyśle i pragnął osobistych cierpień zapomnieć: oddany pracy ziemiańskiej cenil lud, i był od niego kochanym. Gdy usłyszał swego wiernego ekonoma mówiącego z pogardą o nim, odzywa się w te słowa (str. 113.):

— Chłopi, to żelazne społeczeństwa nogi, to jednolitość nasza, to naród, z którego my szlachta pochodzimy, a więc równi nam, młodszy bracia nasi, którzy swą ciężką pracą podtrzymują i karmią kraj cały.

W tej myśli, jak dawniej tak i teraz sam uczy czytać i pisać chłopięta wiejskie. Zebrawszy znaczny kapitał pracą rolniczą, teraz postanowił przychodzić w pomoc współobywatelom, zagrożonym upadkiem. Wtajemniczony w zamiary Zbigniewa, Wilibard Hulski sumiennie je spełnia. W głębokim Polesiu ratuje *pana Rocha* ojca licznej rodziny, od wypędzenia przez wierzycciele z gniazda swoich przodków, i w ciągu lat kilku oddaje mu wioskę oczyszczoną, ze wszystkich długów. Starsza córka panna *Barbara*, przypadła Zbigniewowi do serca, i zdaje się że będzie towarzyszką jego życia, jak nam autor *w epilogu* lekko napomyka.

Hrabini Blandyna pragnęła teraz straciwszy wszystko, przywabić Zbigniewa, ale ten nie dał się ułowić w nastawione sidła.

Wkrótce potem panna Matylda uciekła z domu i wzięła ślub z młodym oficerem. Pan hrabia Marek na Kaukazie jest teraz urzędnikiem i ma niezłe miejsce.

Owóz treść całej powieści, przeplatanej różnemi myślami i uwagami autora: z tego powodu zapewne, położył na karcie tytułowej nadpis: „*Studjum literackiego.*”

Jak zdaje się, że p. Eismont brał swe postacie z żywych wzorów, tak w obrazach miejscowości szczęśliwym jest ich malarzem. Weźmiemy tu jeden ustęp. Oto jak nam opisuje poleską puszcę.

„W dali, wśród oczeretu, rzeka wąziem korytem się wije, na zielonym kobiercu skoszonej łąki, gdzieniegdzie gęstemi zarostej krzakami. Nad łąką zgrupowane o popielatych pniach olchy i osiki z drgającą jakby od żalu listkami... Upał, gorąco, i w borze cisza zupełna, a taka cisza, z jaką się chyba w okolicy przez czarodzieja zakłętą, albo gdzieś w zagrobowym świecie spotkać można. Powoli słońce coraz niżej się stacza, i wieczór odziany w mglistą powłokę, na ziemię spływa. Świegotanie, wieczorna modlitwa ptasząt, z brzęczeniem miliardów owadów i muszek tworzy tej uroczystej chwili muzykę. Z rozkoszą oddychasz powietrzem przesiąkniętym wonią. Lecz oto zachodzące słońce rzuca już ostatnią garść promieni na drzew wierzchołki: te się rozptywiają, rozpryskują, przełamują się między tysiącem gałązek i listków, i w coraz to większej osłaniającej nas mgły wieczoru, w tajemnym cieniu wierzchołku drzew, ujrząz fantastyczne promienne motyle. Zachód się w purpury i w najjaskrawsze złociste farby przystraja, ostatnia walka gry światła z mrokiem wieczoru powoli ustaje. Wieczór zapada, szarzeje: zciemnia się zupełnie. Noc wkrótce nad leśną przestrzenią roztoczy swe czarne skrzydła. Dienne ptastwo spieszy na spoczynek, żmija skręca się w kłębek pod drzewem, zwierzę niespokojnie łąkę przebiega, w gęstwinę spieszy. W ruczaju, zawałonym tam i owdzie spróchniałymi drzewy, skrzeczy wesołych żab dwa chóry; derkacz i pułacz ze środka puszczy wydają głosy trwogi; skryte w gęstą trawie owady senną dokończają rozmowę; daleki głos trąbki myśliwca i okrzyki wesołe hop! hop! odbijają się tysiącnym echem. A wszystko to się zlewa w harmonijną symfonię, w nieprzeniknionej wzrokiem ciemności odwiecznej puszczy przy tajemniczych z czarnych drzew tworzących się olbrzymich postaciach, fantastycznych ruinach, murach, zamkach i tym podobnych kształtach widziadeł.

„Patrzysz i stajesz zdumiony. Gwiazdy tu z błękitu niebios upadły, migocą i odbijają się cudnie w kroplach srebrzystej rosy, zawisłych na czarnych listków obłonkach. Zbliżasz się by podjąć gwiazdeczkę z ziemi: poznajesz świętojańskiego robaczka!

„Któż z ziomków naszych, wpatrujących się sercem w oblicze natury, nie zachwycał się naszymi puszcami, lasami. W nich Jan dla swój Urszuli składał nieśmiertelne treny, w nich dumał

i wieszczem uplastyczniał je piórem *Adam*, o krasie ich pieśń z serca Pol zanucił, pieśń, co daleko rozniosła się po świecie."

Autor, stawiając Zbigniewa Młodzieckiego, jako ideał, młodego pokolenia ziemian naszych jakby dla nauki drugich w przypisku, daje spis bibliograficzny dzieł gospodarczych ważniejszych; w samotném ustroniu, teraz złamany w nadziejach marzonych, zbierał najpiękniejsze ustępy z poetów polskich i pisarzy w jedną księgę, z której stary przyjaciel odczytywa wyjątek z *Listów z podróży* zmarłego *Tadeusza Padalicy*, gdzie mówi o pracownikach pióra.

"W tych ludziach, którzy dziś uprawiają literaturę, jest więcej poświęcenia się i bohaterstwa, niżeli w dawnych rycerzach. Jest to zakon dobrowolnego ubóstwa, a tyle zaparcia się, tyle poświęcenia jest w tych ludziach, że żadne ciosy nie odwrócą ich od obranego raz zawodu. Nasi prawi pisarze noszą na czole wieniec laurowy, a przynajmniej każdy z nich idzie po drodze i prowadzi nas do celu, którego szukamy przecuciem. Nasz geniusz-poeta, zawsze wpośród nas stawać będzie z nauką Skargi."

W zakończeniu, streszcza autor swoje przekonania, ażeby z miłością grzechy społeczne wykazywać. Ten cel miał sam, drukując *Nierząd i pracę*. Musimy pochwalić tę dążność; co zaś do wykonania, wydatnieje w całym tym utworze jeszcze zbyt młodzieńcze pióro, które porywa zapał ciągły a rozwadze chłodniejszej nie zostawia pola. Rozmowy pomiędzy hrabiną Blandyną a mężem, są przesadnie rażące, i jak na stanowisko jój, często w grubijańskie przechodzą. W całości są usterki stylowe, ale te dalsza praca młodego pisarza usunie łatwo. Dodatnią stroną tego *studjum* są myśli zacne: one to nadają rzetelną wartość tej pracy, podjętej w najszlachetniejszych celach.

W mniejszych rozmiarach jest powiastka Leona Kunickiego p. n. „*Wycieczki z kroniczki mojej okolicy z notat pana Marcina*” Znany to autor od lat wielu, który udatnemi obrazkami, ponajwiększej części poświęconemi ludowi dawnego Podlasia z nad Bugu, zjednał sobie należne uznanie. Prawda w malowidle i uczucie rzewne, oto główne cechy tego pióra wytrawnego i powabnego.

W *kroniczce* pomienionój, obywatel sędziwy *pan Marcin*, osiadły od dawna na małej wiosce podlaskiej, opisuje osiadłe w okolicy sąsiedztwa, z którymi go łączą, już blizkie a serdeczne stosunki przyjacielskie, już tylko prosta znajomość. Te Hogartowskie pojedyncze obrazki, łączą się w ścisłą całość, przez stosunki tych rodzin, a głównie interes i miłość. Jak we wszystkich utworach L. Kunickiego, tak i tu, przeważa strona jasna od strony ciemnej, i właśnie ta przewaga, z artystyczną rozwagą przeprowadzona loicznie, nadaje tej *kroniczce* szczególnie powab. Wypadki opowiadane po prostu, zajmują czytelnika, który z upodobaniem od deski do deski je odczytuje, a gdy zamknie ostatnią kartę, w umyśle jego zostają wyraźne wszystkie postacie, cały dramacik odegrany, a silny pociąg do tego co piękne i szlachetne w nim znalazł. Takie wrażenia może jedynie prawdziwy talent

pisarski wywołać, i takich doznawaliśmy zawsze, po odczytaniu prawie każdego utworu naszego pisarza.

Dodatne i jasne strony w tych obrazkach, stanowią dwa dwory ziemiańskie: *Olchowice*, dziedzictwo zamożnego sędziego, który w całej okolicy za najbogatszego był uważany, i skromniejszy w *Stawkach*, dziedzictwo państwa *Antoniostwa*. Sędzia miał jedy-naczkę pannę Emilię, która wysoko wykształcona, piękna, a przytém mając główkę zawróconą dużym posagiem, liczny szereg zalotni-ków, pogardliwie traktuje; i zasłużyli na to, bo to jest mała gale-rya oryginałów prowincjonalnych. Wśród nich odróżniała młodego Kazimierza syna państwa *Antoniostwa*, który dla niej prawdziwą okazywał miłość, gdy wszyscy inni czychali wyłącznie na jej po-sag. Mało co starszy wiekiem od panny Emilii, doznawał i od niej często przymówek, i przyczinków, ile mu brakowało nauki i wy-kształcenia. Rodzice jego, a szczególnież téż matka, wzór matek polskich, z sercem i energią, obok przywiązania gorącego, widząc jego przywiązanie do dziedziczki *Olchowice*, i upatrując w tém zgubne dla syna następstwa, przy pomocy autora téj kroniki pana Marcina, wysyła go do brata swego w *Poznańskie*. Scena ta poże-gnania młodego Kazimierza z rodzicami i siostrą, mistrzowskiém piórem skreślona.

Wkrótce po jego wyjeździe zjawił się z *Podola* młody pan Alfons, i pozyskać potrafił serce panny Emilii; ale gdy jój ojciec, nieszczęśliwym zbiegiem okoliczności traci cały majątek, zalotnik (jak się pokazało, gracz i łowiec na posag) znika: *Olchowce* prze-chodzą w obce ręce, i Sędzia z córką, z sędziwą *Starościną* matką swój żony i krewniaczką, w małym jój folwarczku *Zalisowszczyźnie* znajdują przytułek. Panna Emilia jako kobieta rozumna i z silnym charakterem, przebolawszy swój zawód pierwszy w życiu, pogod-ziła się z losem, zajęta tylko opieką nad babką i ojcem. Tymcza-sem wraca pan Kazimierz, wykształcony pod okiem wuja, i po-dróżami odbytemi, zawsze kochający dawną dziedziczkę *Olchowice*. Zmiana jego uderza wszystkich a ją szczególnież, a gdy objął go-spodarstwo przy ojcu, niedługo przy staraniach poczciwego pana Marcina i zacnej ciotki *Scholi*, u której miał schronienie sędzia z rodziną, stanął na ślubnym kobiercu z panną Emilią.

Oto treść w skróceniu całej kroniczki, a około głównych i wydatniejszych postaci, jak Sędziego, jego córki, państwa *Anto-niostwa* i syna ich Kazimierza, stoją liczne figury wybornie po-chwycone: jak młodego *Gucia*, zarozumiątego w szczęściu do ko-biet, pana *Maurycyego* podżytego kawalera, obu zalotników do uroczej sędzianki, pana *Franciszka* zapalonego preferansistę, który na każdy kolor w kartach uktada wierszyki; *Mateusza* *Kra-nik* zwanego *Buldogiem*, syna spanoszonego propinatora, pani *Korzyckiej* zbankrutowanej szlachcianki, a matki dwóch córek na wydaniu; pana *Konstantego* zapalonego myśliwca, ale i zwolennika buteleczki; jego siostry stariej panny *Petronelli*, i pana *Alfonsa*

z Podola. Każdy w tej *kroniczce* znalazł właściwe pomieszczenie, i do harmonii całości obrazu, zajmującego wierném malowidłem, należy.

WZ.

Groby kościoła N. Maryi Panny w Kielcach i Bulla Erekccyjna Dyecezyi i Katedry Kieleckiej, przez ks. Władysława Siarkowskiego. Warszawa, nakładem Michała Goldhaara księgarza w Kielcach. (w Drukarni Ch. Kellera, w 12-e str. 93).

Miasto Kielce, położone w jednej z najpiękniejszych okolic naszego kraju, należy do wielce starożytnych grodów. Świątynia, której daje opis autor, a głównie groby w niej się znajdujące, liczą już wiek siódmy swego istnienia. Wedle świadectw historyków naszych (Długosz: *Liber beneficiorum*), Gedko czyli Gedeon z rodu herbownego *gryfów*, biskup krakowski, pierwsze fundamenta tego kościoła około roku 1137 położył. A wybrał po temu wyniosłe wzgórze, panujące nad całym miastem, wśród lasu, gdzie porastały odwieczne dęby, buki i modrzewie. Budowla ta w stylu gotyckim stanęła w całości dopiero przed zgonem Bolesława IV Kędzierzawego. Postać jej pierwotna aż po rok 1523 była nietkniętą: wtedy dopiero Jan Konarski biskup krakowski, przybudował zakrystyę i kapitułarz z ciosowego kamienia. Następca jego Piotr Myszkowski, mając na względzie że kościół Gedeona był za szczupły, i nie mógł pomieścić licznie gromadzącego się ludu, o drugą połowę go przyczynił. O tej przebudowie świadczy tablica marmurowa zachowana pod chórem z roku 1583 z odpowiednim napisem. Syn Zygmunta III Jan Albrecht, 1632 roku, a następnie Kazimiérz Żubieński i Konstanty Szaniawski nie mało się przyczynili do upiększenia kościoła Panny Maryi.

W późniejszych czasach za Jana Pawła Woronicza (1827 roku) znacznemu przeobrażeniu świątynia ta uległa: przez co postać zewnętrzną zupełnie zmieniła. Obalono bowiem stare mury ze strzelnicami otaczające cmentarz, odjęto część korytarza, ułatwiającego przejście z zamku biskupiego, przez co odsłonięto od strony miasta cały jej widok który dotąd był zakryty. Nareszcie w naszych już czasach za rządów nad dyecezyą ks. Macieja Majerczaka biskupa administratora, z zapomogi rządu i bardzo licznych składek mieszkańców Kielc i okolicznych wiosek, kapłanów całej dyecezyi, przebudowana i z gruntu wyrestaurowana, zyskawszy na wspaniałości straciła zupełnie cechę starożytności.

Zanim urządzono cmentarze dla chowania zwłok zmarłych po za murami miast naszych, wedle powszechnego dawniej zwyczaju, grzebano je na cmentarzach przykościelnych, jak i w samych kościołach. Nie tak dawno, bo dopiero w roku 1817 założono

nowy cmentarz za miastem pod nazwą *Świętego Józefa*, a w następnym zaczęto na nim chować ciała wszystkich zmarłych mieszkańców kieleckich i z pobliskich okolic.

Od str. 13 następuje opis grobów, które istnieją w kościele Panny Maryi. Najwspanialszym z pomników grobowych jest Elżbiety z Krzyckich Zebrzydowskiej, matki Andrzeja Zebrzydowskiego biskupa krakowskiego, który go wystawił swęj matce. Znajduje się przy ścianie obok wnijsia na chór. Pomnik z marmuru czerwonego wykuty, przedstawia zmarłą matronę w naturalnej wielkości, w postaci leżącej, z głową wspartą na prawej dłoni. Strój owoczesny; u lewej ręki zdobnej pierścieniem spada różaniec. Napis łaciński u wierzchu zamieszczony objaśnia, że zgaśa 28 października 1553 roku.

W podziemnych grobach mieszczą się trumny zarówno tych z kapłanów którzy mają pomniki grobowe, jak i tych po których żadnej niema pamiątkowej tablicy. Szczegółowo ks. Siarkowski opisuje trumny ze zwłokami w nich przechowanymi. To daje sposobność autorowi do przypomnienia zasług wybitniejszych postaci: jak biskupa Majerczaka zmarłego 1870 roku, Wojciecha Górskiego pierwszego i ostatniego biskupa kieleckiego, który zakończył życie 1818 r. Zwłoki jego tak się zachowały, że rysy twarzy w niczém zmienione nie zostały: i w. i. Na cmentarzu kościelnym w kaplicy nazwanj *Ogrójcem*, wystawionj w roku 1760 przez ks. Józefa Rogalli kanonika krakowskiego, mieści się grób dla grzebania ciał zmarłych. W nim przez lat kilkanaście spoczywały zwłoki Bartłomieja Głowackiego zwanego „kumem z pod Racławic,” którego uczcił pamięć Teofil Lenartowicz śliczną pieśnią. Głowacki umarł w szpitalu kieleckim 9 czerwca 1794 roku. Następnie zwłoki jego przeniesiono do mogiły ziemnej na cmentarzu kościelnym i pochowano między dwoma wiązami po prawej stronie kościoła. Autor pisze: „do dni obecnych znajdują się osoby w Kielcach, które znały osobiście tych ludzi, co widzieli zwłoki Głowackiego w czasie przeniesienia takowych z grobu „Ogrójca” na terażniejsze miejsce wiecznego spoczynku.” I dodaje zajmującą wiadomość, że zmarły Bartłomiej Głowacki „rodem był ze wsi *Rzędowic* należącj do parafii *Koniusza* w okręgu proszowskim. Do dziś dnia ród Głowackich istnieje we wsi pomienionj.” Niepośledniego talentu malarz pejzażów głównie, Głowacki, podług którego rysunków księgarz krakowski Friedlein wydał opis Krakowa i jego okolic, illustrowany widokami litografowanymi, był w prostj linii wnukiem tego Bartłomieja.

W końcu swego opisu grobów, podaje bullę erekcyjną dyecezyi i katedry kieleckiej, jako nader ważny dokument, dotyczący dyecezyi tutejszej a który nie był jeszcze drukowany. Za rządów austryackich w roku 1805, za staraniem cesarza Franciszka II zmienioną została katedra w Tarnowie, a mocą tej bulli Piusa VII podniesioną została kolegiata N. Panny Maryi w Kielcach do godności katedry. Wzmiankowany powyżej ks.

Wojciech Górski, senator Królestwa Polskiego (urod. 1739 roku) był jedynym kieleckim biskupem.

Praca ks. Siarkowskiego jest zajmującym przyczynkiem a niezbędnym materiałem dla oczekiwanej monografii tak starożytnego grodu, jakim są Kielce.

WZ.

Historia Wratislaviensis et quae post mortem regis Ladislai sub electo Georgio de Podiebrad Bohemorum rege illi acciderant prospera et adversa von Mag. Peter Eschenloer Namens des Vereins für Geschichte w. Alterth. Schlesiens herausg. von Dr. H. Markgraf. Breslau 1872, 4-o, 277 str.

Nader czynne na polu wydawnictwa Towarzystwo Szląskie wydało już 9 tomów kodeksu dyplomatycznego Szląska. Dwa tomy obejmują uchwały książęce z początku wojny 30-to letniej. Znowu podjęte zostało wydawnictwo: *Scriptores rerum Silesiacarum* przez Grünhagena. W VI tomie ukazały się źródła odnoszące się do czasów husyckich. Obecnie w VII-ym tomie wydał Markgraf, historię Wrocławia napisaną w XV wieku przez Eschenloera. Publikacya ta staje się użyteczną i dla badacza polskich dziejów, które w tak ścisłym pozostają związku z historią Czech i Węgier, kiedy tam królowali Jagiellonowie. Piotr Eschenloer był pisarzem miejskim w Wrocławiu (1455—1481). Pisał rodzaj pamiętników, do których wcielił liczne akta i dokumenta, a o takowe było mu łatwo jako pisarzowi miejskiemu. Wydawca pomieścił we wstępie szczególnie odnoszące się do życia autora wspomnianych pamiętników.

A. P.

Hanssiche Geschichtsblätter 1872, Leipzig. Rok I.

Miasta hanzeatyckie w Niemczech dają przykład godny naśladowania. Dziś, kiedy już związek handlowy nie istnieje, ponowiły związek ale w innym rodzaju, na polu wspólnej a wspaniałej przeszłości. Uczni przedstawiciele miast hanzeatyckich założyli Towarzystwo historyczne, żeby przy pomocy dawanych przez nich składek, ogłaszać drukiem pomniki dziejowe, kroniki, akta, uchwały sejmowe czyli recesa. Towarzystwo założyło także swój organ, wyżej z tytułu przytoczony, w którym mieścić się będą rozprawy treści ogólniejszej, ściśle odnoszące się do dziejów Hanzy. Towarzystwo zamierza przeto podniecać zamiłowanie świetnej niegdys przeszłości. Obecny zeszyt obejmuje kilka gruntownych

a ciekawych rozpraw prof. Frensdorffa, Dra Koppmana. Jest tu także mała wiadomość umieszczona przez prof. Pauli, na którą zwracamy uwagę. Pauli znalazł w Londynie w *Public Record office* trzy listy Zygmunta I króla polskiego, pisane do króla angielskiego Henryka VIII i kardynała Tomasza Wolsey i takowe w odpisie w zupełności podaje. Zygmunt I bawiący w 1526 r. w Gdańsku ujmuje się za trzema gdańskimi mieszczanami, którzy niesłusznie zostali w Londynie pociągnięci do odpowiedzialności, jakoby sprzyjali reformie Lutra i pisma jego tajemnie do Anglii przywozili. W tych trzech listach stanowisko Zygmunta względem reformy w 1526 r. bardzo się uwydatnia. Z tego też względu na listy, zkażdinąd mniej ważne, zwracamy uwagę naszych badaczyw.

A. P.

Dodatek autora do artykułu: „Notatki kupca krakowskiego,” w zeszycie lipcowym r. b.

Z powodu pomyłki zaszłej w obliczeniach na str. 69, następne sprostowanie umieszczamy od wiersza 3-go aż do ustępu.

I tak grosz polski w Gdańsku był wart 17 fen., więc grzywna wynosiła 816 fen. czyli 1,13 grz. pr. Ponieważ Hirsch podaje wartość grz. pr. między 1397—1407 rokiem na 26 złp., zatem polska grzywna w r. 1401 w Gdańsku równałaby się wartości obecnej 29 złp. 10 gr., a dawniejszy grosz polski obecnym 18 $\frac{1}{3}$; kopa zaś wynosiłaby 36 złp. 20 gr. w Gdańsku. Tymczasem według Czackiego wartość kopy w kraju, miała między 1378 a 1418 rokiem równać się 60 złp. Jestto różnica nie mała, powyższe zaś obliczenie zdaje się przedstawiać więcej do prawdy przybliżoną ewaluacją.

Uwaga. Cyfry rachunków i wydatków wyżej przytoczonych zostały umieszczone bez poprawek według tekstu oryginalnego, lubo oddzielne pozycye, również jak i ogólne summy w niektórych miejscach przedstawiają niezgodny rachunek. W dwóch tylko razach zaszła pomyłka drukarska: na str. 64 wiersz 24 czytać należy 11 skojców, a w 25 wierszu zamiast 3 skojce, 3 wiardunki bez 10 fen.

WIADOMOŚCI LITERACKIE.

WARSZAWA.

— *Encyklopedyi Rolnictwa i wiadomości związek z niem mających*, wyszedł zeszyt 2-i od str. 61 do 140: i obejmuje następne artykuły: *Austro-Węgierskie Państwo* (pod względem rolniczym),

a w niém Czechy, Morawia i Szląsk: górny obszar Dunaju; kraj górzysty między Alpami a równiną węgierską: Węgry i Banat: Siedmiogród, Galicya i Bukowina; kraje Karstu. *Azot.*—*Bakewell Robert.*—*Barometr.* — *Barcie i bartnictwo:* odesłane do *pszczolnictwa.* — *Bazant:* *bazantarnie.*—*Bekas.*—*Belki, bale.*—*Bezpłodność roli.*—*Bezpłodność u zwierząt.* (z drzeworytami).—*Bezpłodność roślin.*—*Bibliografia rolniczo-technologiczna polska,* przez Cypryana Walewskiego.—*Bielenie.* Na czele pierwszego zeszytu znajdujemy obszerny *wstęp*, napisany wytrawnem piórem; wskazuje on wymownie zadanie i cel tój szacownej publikacyi. Musimy tu przywieść zakończenie pomienionego *wstępu*, godnego uwagi każdego.

„Wśród płynącego potoku czasów i wypadków, potrzeby, niedostatki się zmieniają, nowe zachodzą położenia, nowe z niemi potrzeby, nowe niedostatki, nowe wymagania. Ludzie jednak zostają ci sami, wśród odmiennych położen, i odmiennych trudności. Pozostają również niezmiennie prawa natury, klimat, warunki fizyczne miejscowości. To co się zmienia i to co się nie zmienia, pozostaje zawsze w ścisłym z sobą związku. Jedno trzeba w każdej chwili umieć użyć na posługę i pomoc drugiemu. Wychowanie więc i kształcenie się własne rolnika powinno mieć głównie na celu: wyrobienie w nim takiej niepodległości sądu, takiej samodzielności myśli, iż na podstawie gruntownie przyswojonej znajomości praw natury i wszystkich dokładnie rozpatrzonych i rozpoznanych danych miejscowych, z powodu ścisłego rachunku gospodarskiego, takie obmyślał środki, kierunki i formy, jakie warunkom miejsca i czasu najistotniej, odpowiadają. Zużywane formułki, recepty i wzory zkaład przyniesione, są już wskazówką kalectwa umysłowego lub niedostateczności ukształcenia. Wzory obce, i przeglądy rozmaitych form gospodarstw w różnych krajach i różnych klimatach prowadzonych, do tego tylko służyć powinny, aby pokazać, że wszędzie ta samodzielność sądu i zdania, główną odgrywa rolę, i jest właśnie matką i przyczyną wszelkich różnic. Dopóki tego zasadniczego prawa się nie pojmie i nie zastosuje, czyli, dopóki własną pracą nie zdobędzie się całych zasobów nauki i nie wyczerpie wszechstronnie całej znajomości warunków miejsca i czasu; dopóki się nie nauczy do tych dwóch czynników stosować rachunku gospodarskiego; dopóki się nie nauczy z przykładów obcych korzystać umiejętnie i wyborowo; dopóki się własną myślą nie podniesie nad wszelkie ślepe naśladownictwo i nie obmyśli dla siebie właściwych celów i środków: dopóty o rzeczywistym postępie rolnictwa i o czystym dochodzie z ziemi nie będzie mogło być mowy. Droga to trudna, pracowita, powolnie tylko poniej postępować można, a mianowicie chcąc na nią wejść, trzeba wiele zapamiętać, wiele się nauczyć, odrzucić miłe nawyki, łamać się z samym sobą. Nie jeden już na nią wszedł, pragnęlibyśmy zachęcić spóźnionych, lub pomódz im do wyjścia na nią.”

— Konserwatoryum Muzyczne Warszawskie, istniejące od roku 1861, w pierwszych latach podtrzymywane dobrowolnemi ofiarami z całego kraju, później poparte zapomogą rządową, rok rocznie przedsta-

wia w popisach publicznych owoce swych działań na drodze swojej przedsięwziętych. I w roku bieżącym były dwa: w wielkiej sali Aleksandryjskiej w gmachu Ratusza, w dniach 20 czerwca (2 lipca) i 23 czerwca (5 lipca) r. b.

Dyrektor Konserwatorium Apolinary Kątski, w sprawozdaniu swoim, przed licznie zebraną publicznością, przedstawił działalność tej instytucji od roku 1868. Z niego dowiadujemy się, że liczba uczni coraz wzrasta; gdy w 1868 było 68, w następnym 109, w r. 1870 126, w r. 1871 160. Od początku założenia Konserwatorium pobierało wykształcenie muzyczne 500 uczni, połowa 250 odbyła tak kurs Konserwatorium, że mogła otrzymać patenta odpowiednie lub świadectwa kwalifikacyjne. Z tej liczby 11stu pełni obowiązki nauczycielskie w szkołach rządowych, w samém Konserwatorium mieści się czterech, w orkiestrze Teatru Wielkiego 12, pełniących obowiązki organistów przy kościołach przeszło 50, w chórze katedralnym 15, kapelmistrzami orkiestr wojskowych dwóch. Kilka uczennic wyszło na głośnie śpiewaczki, z uczniów zaś znaczna liczba znajduje się na prowincjach tak Królestwa jak Cesarstwa, i za granicą, zajmując zaszczytne posady. Cyfry te najwymowniej poświadczają o działalności Konserwatorium, które zamiłowaniem do jednej sztuk pięknych, po kraju rozszerza. Największą zasługą jest oprócz tego, wykształcenie tak znacznej liczby organistów, którzy uszlachetniają muzykę kościelną, w naszych świątyniach.

— Nakładem księgarza Gustawa Sennewalda wyszła „*Pamiętka po dobrej matce, czyli ostatnie jej rady dla córki*”. Klementyny z Tańskich Hoffmanowej. Jest to dziewiąte wydanie poprzedzone *słowem wstępniem*, Pauliny Krakowowej znaniej zaszczytnie w literaturze naszej. zarówno jak na zacnym polu pedagogicznem. O zaletach tego dzieła nie potrzebujemy się rozszerzać, a wydanie tej szacownej pracy, w chwilach obecnych, gdy kwestya kobiet zajmuje nasze organa prasy, uważamy za wielce pożyteczne dla polskich rodzin.

— Nakładem księgarni i składu nut Gebethnera i Wolffa wyszły utwory ś. p. Stanisława Moniuszki na fortepian: *Halka* opera w 4 aktach (partya); *Hrabina* opera w 3 aktach; *Straszny dwór* w 4 aktach. *Paria* (wyjątki); *Widma*, sceny liryczne z poematu Mickiewicza: „*Dziady*,” oraz utwory do śpiewu z pomienionych oper. Ukazały się zarazem *Śpiewniki domowe* zgasłego kompozytora i *muzyka kościelna*.

W nowém poprawniem i taniem wydaniu: Zbiory zupełnie Nokturn, Polonezów, Mazurków i Walców Fryderyka Szopena, każdy stanowi oddzielny poszyt. Wszystkie razem dają 96 utworów tego genialnego muzyka, i kosztują rs. sześć kop. 35, lubo mogą być te zeszyty nabywane i oddzielnie. Nakładem téjże księgarni wyszła z pod prasy powieść Jana Zacharyasiewicza p. n. *Widoki familijne*. (Jest to odbitka z Gazety Polskiej, w której pierwotnie pomieszczoną była:) i *Praktyczne gorzelnictwo*: pouczający podręcznik dla prowadzących i posiadających gorzelnie, przez A. Kortego. Z niemieckiego

przełożył i do miejscowych fabrykacji zastosował Stanisław Włocki (Warszawa 1872).

— Księgarz i wydawca „*Bluszezu*“ Michał Glücksberg, ogłosił nową publikację: „*Biblije czyli Stary i Nowy testament*“ w przekładzie księdza Jakuba Wujka, z ilustracyami Dorego. Wydanie to, o połowę tańsze od francuzkiego, zdobić będzie 230 drzeworytów wielkiego rozmiaru. Dla ułatwienia nabycia, wychodzić będzie w zeszytach dwa razy na miesiąc, a każdy kosztuje po kop. 50: całość składać będzie 62 zeszyty. Dla ewangielików ilustracje też same będą dodane do tekstu podług tłumaczenia Dr. Lutra. Format dla rycin w kroju arkuszowym.

— Pomędzy dramatami Józefa Korzeniowskiego, w rękopiśmie pozostały dwie tragedye, każda w pięciu aktach, wierszem: „*Mieczysław*“ i „*Pelopidowie*.“ Oba te utwory, pierwszy raz drukowane, będą pomieszczone w nowem zupełnem wydaniu, teraz wychodzącem staraniem Redakcyi *Kłosów*.

— Współpracownik wielu pism czasowych warszawskich *Julian Horain*, który z całą rodziną wyniósł się do Stanów Zjednoczonych, i w r. b. w przejeździe bawił w Warszawie, pisuje teraz listy wielce zajmujące z Ameryki, które ogłasza *Gazeta Polska*. W ostatnim z *Haboken* (New Jersey) z daty 22 czerwca r. b. czytamy: „*Professor Agassiz*, wysłany kosztem rządu amerykańskiego, dla zwiedzenia w celach naukowych, środkowej i południowej Ameryki, zabrnął aż do Chili, gdzie mu rektor uniwersytetu Ignacy Domejko darował duplikaty swoich zbiorów mineralogicznych. Amerykanie chwalią się, że z tym nabytkiem, który oceniają na kilkanaście tysięcy dollarów, będą posiadać najznakomitszy gabinet mineralogiczny na kuli ziemskiej. Czy nie strzelił bąka nasz zacny rodak, smarując i tak już tłusty poleć.“

— Dr. filozofii Stanisław Krzyżanowski, po wydaniu w Krakowie „*Rocznika dla archeologów, numizmatyków i bibliografów polskich*“, za rok 1869, ogłosił teraz podobnyż *Rocznik* za dwa lata 1870 i 1871.

— W korespondencji z Rzymu *Gazety Warszawskiej* nr. 159 czytamy: „*Rzeźbiarz* nasz znakomity Wiktor Brodzki ukończył całkiem z gliny w tym tygodniu popiersie i posąg Kopernika, przeznaczone na obchód przyszloroczny do Torunia i Poznania. Popiersie przedstawia wielkiego naszego rodaka w młodzieńczym jeszcze wieku, tak jak go wyobraził z natury sławny mistrz florencki Ghirlandajo. W posągu zaś oglądamy go już w dojrzałym wieku, ale w tym samym malowniczym stroju, raczej włoskim niż polskim z końca XV a początku XVI wieku, to jest podbitej futrom a otwartej na piersiach delii, której krótkie rękawy podobne trochę do kontusza z obciętemi wylotami, mają nader udatne w kształcie krzyża rozporoki obszyte także futrem. Nic w tym stroju kanonika warmińskiego nie przypomina: włosy Kopernika długie jak w obrazie Ghirlandaja spływają na jego ramiona. Prawicą podparł głowę pochyloną ciężarem twórczej myśli, i że porównania Kochanowskiego użyję, kładącą się jak

kłos dostały; palcem wyciągniętym i do skroni zbliżonym zdaje się wskazywać i wytykać wiekiustą prawdę, jaką myśl polska czyta w księdze wszechświata gwiazdami zapisanej, patrząc twarzą w twarz Stwórcy jak aniołowie Pańscy. Znajduje on się w chwili niesłychanego podniesienia ducha, w chwili najwyższego objawu, wytężony wzrok utopił w sferze niebieskiej, którą do lewego kolana przyciska. Noga ta trochę wzniesiona opiera się jak na stopniu i podnózu, na księgach wykładających system Ptolemeusza. Myśl grecka zdeptana, myśl nowa prawa gwiazdom przepisuje. Minęły czasy błędnej nauki, niewolniczego starożytności naśladownictwa, nadszedł czas boskiej improwizacji, duch polski otwiera na rozcież podwoje nieskończoności i jak dźwignia Archimedesowa pokrywa w zapale nieruchome światy i ruch im nadaje. Prawodawca słońca lewą rękę oparł na kręgach sfery jak na strunach harfy, i cała harmonia światów drży niby w jednym akordzie pod tą wszechmocną dłońią. Jestto istny improwizator, niby Konrad Adama kładący palce na gwiazdach jak na szklanych harmoniki kręgach. Patrzy, wciąż patrzy, a już wszechświat stanął mu jednym błękitnym przezroczeniem, już wzrok tego polskiego orła zanurzony w słońcu, przeszył je na wskrós i wydarł mu z samego jądra tajemnicę stworzenia. Duch grecki legł w tym pieśniowym pojedynku ze słońcem, z Heliosesem-Apolinem; Apollo przypisał o milczenie śmiertelną fujarkę Marsyasza i zatrzymawszy ostatnie słowo pieśni przy sobie, hardemu współzawodnikowi swemu ziemski kształt za karę odebrał, odarł go ze skóry. Duch polski, groźniejszy od Helleńskiego zapaśnik, zmógł i zwyciężył Apollina, zwalczył go pieśnią, wydarł mu zagadkę zamierzełą w jego wiekiustych blaskach, podpisał się imieniem Kopernika pod swoją cudowną improwizacją *De revolutionibus orbium coelestium*, tak jak na tarczy słonecznej. Czem są promienie Heliosa przy strunach, w które duch polski uderza, przy kręgach sfery, na których przebierają palce naszego prawodawcy słońca? Czujesz, że kiedy improwizator nasz zstąpi z wyżyn nieskończoności, ze słonecznego Synaj swego, i twarz swą spuszczoną podniesie, twarz ta zaświeci promieniami niepożytej chwały, a narody będą spór wiodły między sobą o narodowość nieśmiertelnego męża, jak greckie miasta o kolebkę Homera. Lecz błąd już w tym względzie niepodobny, a Brodzki wielkimi głoskami wyrzył na podstawie swego dzieła: *Copernicus Polonus*.

— W Krakowie ogłoszony został nowy konkurs dramatyczny, pod następującemi warunkami:

Udzielonemi zostaną utworom scenicznym trzy nagrody, a mianowicie: 500 złr., 250 złr. i 150 złr.

Nagroda 500 złr. udzieloną zostanie tylko bezwzględnie dobrej sztuce scenicznej, a oczywiście względnie najlepszej z nadesłanych.

Nagrody 250 złr. i 150 złr. będą udzielone względnie tylko dobremu sztukom.

O nagrody 500 złr. i 250 złr. ubiegać się mogą tylko sztuki (tragedye, dramata, komedye) mające niemniej trzy akta. O nagrodę 150 złr. mogą się ubiegać i jedno i dwuaktowe sztuki.

Sztuki przeznaczone na konkurs nie mogą być pierwój ani drukowane ani przedstawione.

Sztuki przeznaczone na konkurs winny być nadesłane najdalej do 31 grudnia 1872, po czém nie będą przyjęte do tegorocznego konkursu.

Skutek konkursu winien być ogłoszony najdalej 15 lutego 1873.

Wyrok konkursowy wydaje teatralna kommissya doradca, która się składa z pp.: Asnyka, Anczyca, Bałuckiego, Bełcikowskiego, Estrejchera, Kłobukowskiego, Koziobrockiego, Koźmiana, Lisickiego, Łubińskiego, Manna, Rembowskiego, Rychtera, Szujskiego, Steibelta, Szukiewiczza, Tarnowskiego, Wittego i Zamojskiego.

— W miesiącu czerwcu i lipcu r. b. *Kłosa* od nr. 362 do nr. 369, obejmują artykuły z drzeworytami: Typy wschodnie przez Leona Kaplińskiego, U przewozu, Brigham Young, i święty przybytek Mormonów.— Przybycie kompanii na odpust do Częstochowy.— Pierwszy promień słońca.— utwór Andriollego.— Orszak pogrzebowy ś. p. Stanisława Moniuszki.— Złożenie do katumb zwłok jego, rysunek Andriollego.— Portret St. Moniuszki.— Wnętrze kościoła Św. Patrycego w Dublinie.— Wybuch Wezuwiusza w d. 26 kwietnia r. b.— Teatr Wielki w Warszawie.— Najazd, obraz z wystawy paryżkiej.— Dawid Linwingston.— Płock, widok od Wisły i rynek.— Pani Antonina Hoffman w 10 charakterystycznych rolach.— Posłannictwo Chrystusowe, rzeźba W. Brodzkiego.— Szkoła elementarna w Rzymie.— Rozbitki na morzu.— Książę Jerzy Lubomirski.— Wyrok śmierci, obraz Jana Matejki.— Łagiewniki.— Kościół farny w Białym Radziwiłłowskiój.— Antykwaryusz.— Wyjście z chaty do ślubu w Krakowskiém.— Ameryka.— Chłopcy murzyńscy, na ulicach Ryszmontu, wracający od pracy. Oprócz tych artykułów mieszczą się następujące: Dersław z Rytwian, Powieść T. Jeża.— Stracony i odzyskany, powieść tłumaczona.— Listy z obcego świata T. Hodi.— Idealizm i Realizm Jana Zacharyasiewiczza.— Miasteczko Lachowce i uozony Jabłonowski.— Parę materyałów do rozjaśnienia kwestyi o równoprawnieniu kobiet, p. F. H. Lewestama.— Przegląd prassy peryodycznej.— Kronika naukowa, przez T. Skomorowskiego.— Missyonarze angielscy w odległych krajach.— Krzyżacy, ludowa zabawa pasterska w Sławonii, J. Bleszczyńskiego. Kroniki: Lwowska i Drezdeńska.— Stanowisko kobiety w rodzinie i społeczeństwie T. Hodi.— Literatura zagraniczna przez F. H. L. Urywki higieniczne i lekarskie przez Dra Łuszczkiewiczza.— Przegląd teatralny F. H. L.— Wiadomości z pola literatury i sztuki. Pokłosie i przeglądy polityczne.

— *Tygodnik Ilustrowany* z miesiąca lipca r. b. Od nr. 236 do W. 238, obejmuje artykuły z drzeworytami: Jerzy książę Lubomirski.— Kościół farny w Radomsku.— Stanisław hr. Kossakowski.— Cyganka.— Krajobraz karpacki.— Mogiła Karoliny Proniewskiej.— Łuck, były kościół OO. Bernadynów, i były kościół i klasztor O.O. Dominikanów.— Wnętrze tawerny lodyjskiej. Prócz powyższych mieszczą się artykuły: Z wieczorów nad Tamizą.— Domy przytułku dla nieletnich w Bazylei i Retlingen przez Karola Strazburgiera.— Pozytywni komedia J. Narzymkiego.— Pogadanki higieniczne Dra Szokalskiego.— Biblia królowej Zofii, przez F. M. Sobiesz-

czańskiego.—Najnowsze wynalazki i spostrzeżenia naukowe.—Listy o pis-
mach Gabryelli.—Dalszy ciąg tłumaczonej powieści, Wet za wet z angielskiego.—Kronikł tygodniowo.—Korespondencye i przeglądy polityczne.

† Dnia 20 czerwca r. b. zakończyła życie *Sabina z Gostkowskich Grzegorzewska*, urodzona 18 stycznia 1808 roku, jedna ze zdolniejszych autorek polskich. Pismo nasze w roku 1856 ogłosiło obszernie ustępy z jej *Pamiętników*, wielce zajmujące. Rozprawa treści filozoficznej p. n. „*Wpływ hobbów na duchowy rozwój człowieczeństwa*,” (Biblioteka Warszawska T. III, z r. 1855) zwróciła uwagę myślicieli naszych. Oddzielnie wydała: „*Wspomnienia rodzinne*,” osnute na tradycyi rodzinnej Wessłów spokrewnionych z autorką, a obejmujące wspomnienia o królewiczowej Konstantowej Sobieskiej. Ostatnią pracą ś. p. S. Grzegorzewskiej, jest obszernie w czterech częściach studyum społeczno - obyczajowe p. n. *Dlaczego?* które w rękopiśmie pozostawiła: z godłem na czele; „Jedyną rękojmią spokoju i szczęścia społeczeństw, jest zgoda, jedność i sprawiedliwość, lekarstwem na przesady i rozterki . . . miłość.” Wszystkie pisma zmarłej autorki odznaczają się stylem udatnym i pięknym językiem.

† Dnia 3 lipca r. b. w Krakowie, zakończył życie Dr. *Henryk Suchecki*, professor Uniwersytetu Jagiellońskiego, licząc lat 61. Lingwistyka słowiańska była głównym przedmiotem jego badań. Od roku 1857 do 1865, jako professor języka i literatury polskiej na Uniwersytecie w Pradze wykładał te przedmioty. Przeniósłszy się do Krakowa, był członkiem Towarzystwa Naukowego w tém mieście, a zarazem członkiem towarzystw naukowych w Pradze, Poznaniu, Lipsku, Halli i w Greisfald (Gryfinie). Wiele prac w tym kierunku rozpoczętych pozostało w rękopiśmie.

† Dnia 6 lipca r. b. zakończył życie ś. p. *Józef Narzymski*, w Jaworzu na Szlązku, autor dwóch komedyi premiiowanych na konkursie krakowskim, p. n. *Epidemia* i *Pozytywni*. Urodził się dnia 8 lutego 1839, w młodym więc wieku zmarł, bo zaczynał rok trzydziesty czwarty. Zwłoki jego pochowano na cmentarzu w Krakowie.

Redakcja Biblioteki Warszawskiej.

Redaktor odpowiedzialny K. Wł. Wójcicki.

Wydawca Józef Berger

LUDWIK KONDRATOWICZ

I

JEGO POEZYJE.

Przez

A. Tyszyńskiego.

(Dokończenie).

Któż była Fornarina?— Stella Fornarina była to piękna dziewczeczka, towarzyszka mieszkania Rafaela przez lat dwanaście, a Rafael z powściągliwości pasyi nie słynął, sam więc napis poematu był już zgorzeniem; potępiono poemat piérwój nim go przeczytano, potępił go i nieprzyjaciele i przyjaciele autora (1); matki nie dawały go córkom do ręki, osoby idealniejsze nie rozerznęły w nim kartek. A jednak każdy który ten utwór przeczytał, a bez uprzedzenia przeczytał, nie materyalizm tym spotkał, lecz owszem, kontrast. W poemacie tym całym, przeciwnie od początku do końca nie ma ani jednego obrazu, ani jednej myśli, ani jednego słowa, któreby nie oddychały najczystszą idealnością. Obwiniano wprawdzie autora wnet o to, iż chciał idealizować występki, iż utwór ten był manifestacją cyniczną jego stosunków własnych. Sądząc utwór, musimy go jednak sądzić takim jakim jest w sobie i nie mamy prawa opierać się na domysłach; lecz przypuszczając nawet iż był istotnie pisany pod wpływem jakiejś słabości i jakichś czarów, i w tym razie obwinienia były z gruntu niesłuszne. Utwór ten, którego zadaniem było dowieść, iż Stella była dla Rafaela niczém więcéj jak gwiazdą natchnienia, który w przeprowadzeniu swém od początku do końca był, powtarzamy, wyrazem saméj idealności, w którym poeta między innymi woła jawnie:

„Ludzie ziemskimi żądzami skalani,
Znacież wy żądze wysokie artysty?”

(1) P. Kraszewski, który w pośmiertnej biografii Kondratowicza tak trafnie zkadinał skreślił i przebieg życia i charakter każdego utworu tego poety, o jednej Fornarinie, zdaniem naszym wyraził się mylnie, iż poeta lepijby był uczynił dla swéj sławy, gdyby był nie dotykał tego przedmiotu.

w utworze tym, autor nie obwiniał nikogo, a siebie usprawiedliwiał stanowczo.

Stella Fornarina była owszem kwiatem tego rodzaju czyli tój barwy erotyczności, jaka była jednym z pierwiastków poezyi Kondratowicza i o której rzec tu słowo musimy.

Syrokomla w jednej z swych liryk, z pierwszój jeszcze epoki swego zawodu, wyliczając pierwiastki swójej poezyi, w zwrocie do swójej *Fletni*, wyrażał między innemi:

Ten co strugał cię z drzewa,
Dał ci tonów niewiele:
Jednym głosem się śpiewa
Panu *Bogu* w kościele,
Drugim głosem *ziemica*,
Trzecim krasna *dziewica*.

Okazuje się jednak iż „*nemo est iudex* etc. erotyczność a zwłaszcza pisanie wierszy do dziewic nie należały do charakterystyk głównych poezyi Kondratowicza. W całym zbiorze poezyj jego nie znajdujemy ani elegij, ani sonetów ani pieśni poświęconych dziewicom; w żadnej z powiastek lub gawęd, dziewica nie jest bohaterką, obrazy i ustępy erotyczne w utworach autora są bardzo rzadkie, w tych zaś jakie są, ta cecha która odrazu niegdyś nadała była charakter sztuce poetów nadniemeńskich: *idealizm w erotyczności*, ta cecha i w poezjach Kondratowicza także jest górującą, i owszem do swoich krańców w kreśleniach doprowadzana.

Cóż to jest erotyczność ta *idealna*? Fizyologia i psychologia nie objaśniły jeszcze dostatecznie tego pierwiastku, ale jest to między innemi także jeden z tych pierwiastków, które istotę ludzką od niższych o całość odróżniają. Pierwiastek ten jest téż w poezyi Kondratowicza kreślony zawsze w tój jego wyjątkowości. Miłość płci określa się tu wszędzie prawie i zawsze jako uczucie jakieś wyłącznie idealne, jakiś eter, nic, które rodzi tylko szczęśliwość i zadowolenie z samego siebie. W głównym np. poemacie swoim *Margier*, Syrokomla określając stan serca głównego tu bohatera erotycznego *Ransdorfa*, zamiast kreślenia jakichś ogniów, zapędów, zawiści, śród tego serca, mówi iż w nióm było natenczas „błogich myśli tak wiele, tak wiele!”

A w duszy taka świętość jak w Pańskim kościele,
A dumki takie piękne, tak czyste jak złoto:
Czy był wzajem kochany? *ani pytał o to...*

Podobnie i córka Margiera, bohaterka Egle, to np. nie bohaterka Filomachii Morsztyna, wykradająca klucz z pod poduszki ojca, aby w nocy odwiedzić więźnia; jój uczuciem po jego ujrzeniu, po widywaniu z dala, była tylko jakaś wewnętrzna radość...

Od niejakiego czasu, gdy oczy otworzy,
 Tak coś dobrze na sercu, popiękniał świat Boży...
 Co to za szczęście młodość! tak się w duszy chwali,
 Jacy dobrzy bogowie że nam życie dali!

Taka właśnie i taka tylko rozlana jest erotyczność we wszystkich obrazach, ustępach, we wszystkich przygodnych erotycznych wzmiankach w utworach Kondratowicza, a za kwiat jój, jak rzekliśmy, uważaną być właśnie może Stella Fornarina; w powieści tój autor posunął odwagę aż do przyodziania w szatę idealności i przedstawienia jako wyłącznie idealny takich nawet stosunków, które dotąd istotnie pojmowano, pojmować tylko umiano jako wyłącznie materyalny.

Właściwie o rzeczywistym stosunku Stelli i Rafaela, ani historya ani jakieś spółczesne pomniki piśmienne nic nam nie przekazały; wiadomem jest tylko, iż od roku 1508 do śmierci (1520) mieszkała przy nim piękna dziewczeczka piekarska („Fornarina”), którą admiraował; w jeduój z biografij Rafaela czytamy także, iż gdy raz Papież odwiedzając pracownię artysty, ujrzał Stellę wnoszącą jakiś przyrząd malarski, i zapytał: co to za dziewczeczka którą już drugi raz widzi u niego? Rafael rzekł: „to moja żrenica”; być może, iż ta wzmianka była właśnie dla Syrokomli pierwszém źródłem pomysłu. Znanie tradycyjnie rozwiązłe życie Rafaela, a stałość w przyjaźni z dziewczeczką były sprzecznością, i autor wniósł iż położenie jój było wyjątkowe, iż był to tylko zesłany mu z nieba model dla dawania mu natchnień w jego najczęściej religijnej treści utworach. Iż uczucie autora było erotycznie podniecone w tym czasie, iż cały ten poemat z tego właśnie powodu od początku do końca ze szczególną werwą poetyczną był kreślony, to nader prawdopodobne, ale właśnie ten idealny kolor, który jest kolorem wyłącznym tój kompozycyi, to wzniesienie się w niej śród treści do wyższej i ogólniejszej idealności niż w którym innym utworze, są najlepszym dowodem i pozostawiania serca autora w tym czasie głównie śród sfery duchowej, i kreślenia swój treści nie z naciągnięcia, lecz z dobrą wiarą.

Dla dowodu przytaczamy tu główne rysy i ram i wykonania.

W zaczęciu myśl autora wznosi się do ojczyzny Rafaela, do Rzymu, do spojżenia na wyjątkowe znaczenie tój miejscowości i tój opiewa. Rzym najprzód był panem świata przez siłę, lecz ta umarła, stał się potem panem świata—idea i ta nie umrze; próżno nieraz świat się wysiła, by ją zagrzebać,—jakieś niewyrachowane pomoce, niespodzianki, sympatye, sztuka i t. p. zjawiają się aby ją podnosić i czynić wieczną. Taki jest prolog poematu, i określa go tenże, jaki jest od początku do końca w poemacie, prześlizny rytm.

Rzym, to potężny, to słaby z kolei,
Zostawał panem świata po dwa razy:
Jeden raz w imie człowieczych idei,
Drugi raz w imie Baranka bez zmazy.

Z gór Kapitolskich tryumfator młody
Pierwszy raz spójrzył i pogroził światu,
I schylił wszystkie znajome narody
Do stóp swojego Ludu i Senatu.

W jego orężu, obyczajach, słowie,
Była najwyższa potęga *człowiecza*;
Wojował mieczem i zginął od miecza.

Lecz kiedy zrzucił staręj myśli szczęty,
Gdy nad nim śmierci ciemności zaległy,
Przyszędł Duch *Boży*, młodociany, święty;
Tchnął nowém życiem w strupieszate cegły,
I poczuł olbrzym że mu bije łono,
Powstał z grobowca i czoło odśtania

Na siedmiu górach, siadł na tronie Ducha
Sługa sług Pańskich, rybak Pańskiej łodzi.

Próżno na niego swe pociski miota
Namiętność ludzka i wieków ciemnota.
Bo w miarę tego jak z postępu prawa
Ludzkość mknie naprzód, albo wstecz się cofa,
Bóg nowy oręż Kościołowi dawa,
Już to zwyciężkie pióro filozofa,

już inne dziwy....

Kiedy uznali najslabsi i prości,
Że Pan Zastępów jest Bogiem miłości,
Wtedy już miłość krzewić należało!

Światło zabłyśło nad Piotrową skałą
I przyszli na świat *sztuki geniusze*.

Jednym z takich był *Rafael*. Rafael był królem pędzla, przedmiotem poklasków; lecz oto natchnięty tak często artysta dzisiaj rozpacza; Papież polecił mu skreślić obraz Przenajświętszej Dziewicy i artysta niezdolny jest wznieść się do odpowiedniego pomysłu; ćwiczeniem duchowém stara się do tego uzdolnić, ale napróżno.

Napróżno malarz spowiedzią i postem
 Najprzód oczyszcza swojej duszy płamy;
 Napróżno płótno rozbiwszy na ramy
 Czyni znak krzyża nad farby pokostem;
 Próżno dnie całe duma nad stalugą,
 Upada na twarz i modli się długo...

I oto wreszcie, kiedy już spodziewać się przestał, był wystu-
 chany. Przechodził on jedną z ulic rzymskich, kiedy uderzył go
 nagle widok niespodziany, na który stanął:

Promienie słońca w malowniczym rzucie
 Dawały odblask na chleby i ciasta:
 Przy nich siedziała precudna niewiasta...
 Niby tęskniąca, niby uśmiechnięta,
 Chleb podawała siwemu starcowi.

Żądza artysty w sercu płomienieje,
 Onby jój pięknem tchnął w tysiąc postaci,
 Ona paletre jego ubogaci
 W barwy ognistsze, żywsze tysiąc razy
 Niż wezystkie barwy, co malarz wysłęczy,
 Niż blaski jutrzni, niż kolory tęczy.
 Onby jój duszę, co w tych oczach pała,
 Podniósł dostojnie na wysokość nieba.

Kiedy Rafael powiedział ojcu dziewczeczki że on jest (tak
 znany już całemu miastu) Rafael, i poprosił go o danie córki na
 model, ojciec odepchnął prośbę z pogardą, -- a Stella? Stella
 z której oblicza taka błyskała idealność, ani rozumie bojaźni ojca;
 jój myśli, cele, nadzieje, także tchnęły tylko idealnością; na pro-
 pozycję Rafaela uderzyły ją tylko ten rozgłos i sława, której jój
 ciemnej piekarki stałyby się udziałem.

Jak tu młodzieńca słowu nie uwierzyć,
 Co głos tak dźwięczny, tak miłą ma postać?
 Ah, obok niego całe życie przeżyć,
 Potém z nim razem nieśmiertelną zostać
 Z jego imieniem swoje złączyć imię,
 Słynąć w obecnym i potomnym czasie,
 O! to jest szczęście, szczęście tak olbrzymie,
 Że marzyć o niem, zuchwałością zda się.

I Stella znalazła się wkrótce pod tymże dachem, pod którym
 był i Rafael. Nie każdy zapewne zrozumie ten stosunek artysty
 z dziewczeczką, ale poetę mógł pojąć i może objaśnić poeta. Miewał
 Rafael chwile słabości, ale to co stanowiło główne tło jego życia i co

było związane głównie z tém życiem była to idealność, a szczyt jój w uosobieniu się ziemskim, widział w piękności kobiety.

Sztuka u niego była szczytem wiary,
O niej on myślał, dla niej żył jedynie.

* * *

Lubił obrzędy, wiary tajemnicze,
Lubił gdy piosnka ludowa zadzwoni...

* * *

Lecz na najwyższym szczycie jego myśli
Obraz kobiety, *jak w obłoku* stoi.

I właśnie tym szczytem, tym w obłoku stojącym obrazem,
była mu i stała się nazawsze zesłana na przewodniczkę Stella.

Ona mu stwarza świat nowy, świat czysty,
Wznosi ku niebu z poziomej otchłani;
Ludzie ziemskimi żądzami skalani
Znacież wy żądze wysokie artysty?

W miłości, w sztuce, zatopiony cały,
Wdzięchen dziewicy która go szczęśliwi;
On z jój oblicza czerpał ideały
Nowych obrazów, którym świat się dziwi.

O! pięknaż Stelli dusza być musiała,
Gdy wciąż nowego zapału udziela!
Wielką snąc była miłość Rafaela,
Gdy nań dziewica tak potężnie działa!

Przepatrz obrazy Mistrza po kolei,
Jedna, wciąż jedna postać powtórzona;
Tam czarodziejski obraz Galatei,
Tam matka Boża z dzieciątkiem u łona.

Przepatrz wiekowe po świątyniach freski,
Przepatrz pałace i wille bogaczy;
Postać kreślona coraz to inaczej,
Jeden ma wyraz piękności niebieskiej —
To wszystko *Stella!*

Tak i tak tylko autor określił w poemacie stosunek Rafaela do Stelli i Stelli do Rafaela; jak zaś to czynił szczerze, najlepszym dowodem jest ta jego pewność, iż pierwszy zrozumiał dobrze owe stosunki, i że przywraca stanowczo sławę pamięci kobiety.

Laura króluje w Petrarki sonecie,
Dante ubóstwił swoją Beatricze,
A Fornariny nadziemskie oblicze
Dotąd uczczenia nie znalazło w świecie.

* * *

Ta którą kochał Rafael z Urbino
Dlaczego niema czci swojej ołtarza?

Ziemio Auzońska! tyś bogów kraina,
Świat był przed tobą barbarzyński, gruby:
Trzebaż zimnego głosu Słowianina,
Aby ci wskazać przedmiot twojój chluby?

Autor był pewny że go odkrył, objaśnił, i że jego opinia stanie się odtąd świata opinią; przekonanie to wyraził stanowczo w zakończeniu poematu:

Umarł król pędzła najpiérwszy na świecie,
Wcześniej dla sztuki, dla Stelli, dla siebie.

Nad Rafaela wiekową mogiłą
Znów czarnych kruków zleciało się grono,
Nieszczęsnej Stelli znowu złorzeczono.
Ale wiek przyszedł choć późną zapłata,
Pamięci Stelli winny dank udziela,
Pokrył jój imię niewinności szatą,
Ona: natchnieniem była Rafaela!

Czy świat uwierzy temu wykładowi i uniewinni Stellę i Rafaela? świat tylko wiedzieć to może; ale to pewna, że sam pomysł tego wykładu, i przekonanie z dobrą wiarą o jego prawdzie, uniewinniło zupełnie jego śpiewaka. Utwór ten w każdym razie to utwór piękny, cel jego to cel idealny, treść europejska; i było to owszem godnym poezji kraju która wśród europejskiej najoryginalniejszej i najdobitniej odznaczyła odcień miłości, t. j. idealnej (a różnorodnej) miłości, iżby wnieśli i ten drogi kamyczek do jój obszaru.

Obok gawęd, powieści, poematów, i innych utworów odznaczonych tak silnie barwą podmiotowości, Kondratowicz w tych kilku tak krótkich ale tak żywych latach zakwitnienia swego talentu (1855—1860), stał się też był autorem utworów, których właściwą treścią, jak najmniej może, a przynajmniej powinna być, podmiotowość,—a mianowicie kilku już dłuższej, już krótszej treści sztuk dramatycznych.

* Piérwszym krokiem i przejściem autora gawęd do nowej tej formy były przedsiębrane i rozpoczynane prace w celu ułożenia librettów do oper. Dwa pokrewne i tak z sobą związane miłością

melody i sztuki talenta, Kondratowicza i Moniuszki, zdawało się iż były zrodzone na to, iżby się stawać sprawcami spólnych utworów; łączyli się też istotnie nieraz tym spólnym zamiarem, jakkolwiek urzeczywistnienie żadnego nigdy nastąpić nie miało. Zamiarem ich pierwszym było napisanie opery *Cyganie* na wzór Kuiaźnina, następnie opery *Margier*, lecz czyli to wkrótce nastąpiło wydalenie się autora partycyi do Warszawy, czy może niechęć autora libretta do roli podrzędnej w dziele przedsiębranem, czy co najprędzej zniechęcanie się kolejne do raz obranego przedmiotu z różnych powodów, sprawiły: iż kompozycya pierwsza skończyła się była na dwóch scenach, Margiera na czterech, poczem autor z formy opery przeniósł obraną treść w inną, i wyspiewał ów bohateriski poemat o którym mówiliśmy.

Działo się właśnie to w czasie, kiedy Kondratowicz stawał się mieszkańcem miasta. Życie miejskie samo przez się jest dramatem, w mieście w którym zamieszkał był też i teatr; wrażliwy Kondratowicza umysł czerpiący natchnienia z bytu, począł więc wplatać fantazyę i w te nowe formy. Jednym z popularniejszych dramatów które dawała wtedy miejscowa scena, był dramat noszący nazwę *Nawet w chatce byle z nim*; zdaje się iż właśnie ten dramat, oraz niejakiś istotne sytuacje własne były powodem, iż autor posunął się wtedy do napisania obrazku w formie dramatycznej, którą nazwał nie wiemy dla czego *dziwactwem*, i któremu dał napis: *Chatka w lesie*, (*Chatka w lesie*, dziwactwo dramatyczne Cz. I 1855, Część II 1856). W tym teatralnym utworze Kondratowicza, jakkolwiek w dramacie, obszerny jeszcze żywioł miała podmiotowość; był to wprawdzie zbiór charakterów kilku, charakterów jednak i sytuacji które nader blisko z doświadczeniem i uczuciami autora mogły i musiały się łączyć. Temata tego obrazku były: poeta i piękność, poeta i pieniądz, autor i księgarz, obrazki i życie wiejskie i t. p. temata nader znane zawodowi autora, — treść ta a nadto układ jasny i prosty, dykeya nieraz liryczna, styl prosty a skrytej poezyi, tak znany talentowi autora, sprawiły iż obrazek ten zyskał powodzenie i poklask, iż sztuczka ta jest może najlepszą z dramatycznych kompozycyi autora, i jedną która pozostała na scenie. Ale to powodzenie i poklask, niejaki i materyalny profit, raz wejście w świat sceniczny (na scenie i poza sceną), sprawiły iż Kondratowicz napisał następnie nie jeden dramat, różnej miary, barwy i treści, a do utworów w gałęzi tej ukończonych i ogłoszonych (prócz *Chatki w lesie*, której dwie części przedstawiają się dziś jako jedna całość) należą mianowicie dramata historyczne: *Kasper Karliński*, *Możnowładcy i sięrota*, *Wyrok Jana Kazimięrza*, komedia *Wiejscy politycy*, krotochwila *Hrabia na Wątorach* i monodram *Natura wilka do lasu ciągnie*.

Trzy dramata historyczne są to kompozycye obszerniejsze i rozwinięte, ale autor w kreśleniu przedmiotów swych historycznych czyli to w formie poematu, czy dramatu mniej był szczęśli-

wym; talent pióra jest wszędzie, ale już sama treść każdego z dramatów tych dawała efekt przykry, gdy zaś ten rodzaj efektu nie był zapewne celem autora, wnieść wypada, że nie z rzetelnego uczucia płynęły w nich słowa i sceny, a ztąd i wrażenie ich chłodne.

Treścią dramatu *Kasper Karliński* byłato owa znana rezygnacja tego dowódcy Olsztyna, broniącego go w imię nowoobranego Zygmunta III przeciw stronnikom Maksymiliana pod wodzą Stadnickiego, gdy będąc zmuszonym do obrony nie wahał się wydać hasła do strzelania na przeciwników, lubo ci własne jego dziecko na strzały wystawili. Czyn Karlińskiego było to zapewne bohaterskie z zaparciem miłości własnej spełnienie powinności żołnierskiej, ale czyn ten wykonany w wojnie domowej, w walce ze swoimi, i wyrazem którego było nie tyle poświęcenie dla kraju, ile poświęcenie dla osoby, nie daje zupełnego typu wzniosłości, nie wzbudza admiracyi, tym bardziej, iż sprawcami konieczności ofiary byli krajowcy, którzy także w imię téjże zasady (t. j. obrony praw krajowych, lepiej tylko według nich pojmovanych) występowali.

Przykrzejszym jest jeszcze obraz dramatu: *Możnowładcy i sierota*; treścią jego jest walka w r. 1600 stoczona, a przynajmniej na wielką skalę przygotowana w m. Wilnie, o rękę Zofii ostatniej z Ostrogskich pomiędzy orszakiem ks. Janusza Radziwiłła, któremu w dzieciństwie jeszcze była przyrzeczona i Chodkiewicza (jakoby Karola) syna opiekuna, do którego skłaniało się więcej serce sieroty. Wprowadzone tu i rozwijane obrazy takie jak duma magnatów, bezsilność praw, ucisk sieroty, zbyt są znane i zbyt często były kreślone, iżby mogły być poetyczne, zbyt przykre iżby uważać się mogły za wyraz piękna; oś erotyczna szuki, miłość i przysięgi Zofii dla młodego Karola, przy znaney dykcyi autora ożywiają na chwilę treść, ale tém mniej uroczeń staje się rozwiązanie. Zofia po rozpoczętej walce widząc przewagę Janusza, przywołuje kochanka i oświadcza iż go musi poświęcić dla miłości miasta, a przywołując Janusza mówi:

Lecz *jeśli* ręce omyłeś z krwi bratniej,
Przybliż się księżu, oto moja ręka.

Gdyby ta ofiara była przed bitwą, byłaby to istotnie ofiara jawna, ale po rozpoczęciu jój była raczej z musu i to *jeśli* brzmi tu nawet raczej jako *ponieważ* (omyłeś w krwi etc.).

Najobszerniejszym i najwięcej różnaitości mającym dramatem jest *Wyrok Jana Kazimiérza*. Rzecz dzieje się w czasie konfederacyi Tyszowieckiej, kiedy kraj cały prawie oddawszy się zrazu Szwedom, przechodzi na stronę króla. Stronnik króla Guniński odkrywa w obozie szpiega i przebija go, lubo tym szpiegiem okazał się jego syn; rana nie była śmiertelną, a szpieg ujęty ma być sądzonym przez króla. Król uradowany z powodzeń uła-

skawia go, a ojciec który przed chwilą dowiedziawszy się, iż syn żyje, zawołał:

O! bądź przekłeta niedołączna dłoni,
Ześ głębiej w serce nie wbiła żelaza!

po wyroku królewskim uradowany woła: więc hańba zdjął i charakter szczególniej energii okazuje się raczej jako zbyt powierzchowny (1). Dramat ten ma więcej ożywienia niż poprzednie, ale rozproszenie scen w różne miejsca, rozwleczenie i zamęt akcji (do głównej należy tu także romans młodej Gumińskiej z rycerzem Czarneckiego Lackim), kreślenie historycznych figur takich jak król, Czarniecki i t. p. w roli postaci drugo i trzeciorzędnych, czynią także obraz ten bladym i bez znaczenia.

Przeniesienie kraju nad dziecko, nad kochanka, nad syna, były to zapewne trzy główne temata w tych trzech dramatach w pomysł autor, lecz jak widzimy, szczegóły wykonania zacierają w nich efekt tych tematów.

Daleko żywszymi obrazkami są: krotoczwila dramatyczna *Hrabia na Wątorach*, napisana na temat przysłowia dawnego: „*Comes de Wątory, jeden kmieć a trzy dwory*“ i w której autor mogąc czynić aluzje humorystyczne do możnowładztwa był w swoim elemencie; oraz monodram *Natura wilka wyciąga z lasu*. Treść tego monodramatu była na pozór walką z przysłowiem ludu, które powiada przeciwnie: iż natura wilka ciągnie do lasu; lecz w istocie była właśnie potwierdzeniem ironicznem tego przysłowia; wilkiem bowiem autora był tu człowiek, artysta sceniczny, który zniechęcony do scenicznego życia uciekł do lasu, lecz po rozmyśle wrócił znowu na scenę (czyli iż wilk właściwie wrócił właśnie do lasu).

Komedia wreszcie autora *Wicjscy politycy*, dawana na scenę wileńską w czasie obradowania właścicieli miejscowych nad reformą włościan, była oczywiście naśladowaniem *powrotu Fostla*. Jak tam jest tu młoda bohaterka (Podkomorzanka) zajęta przyjaciele włościan (młodym Stefanem, synem sędziego); jak tam są tu spory ojców o wyobrażenia dawne i nowe; jak tam są ironie z rozumowań wiejskich polityków (polityk sędzia, który czytywał Kurjera, umiał wnieść z każdego artykułu, nawet z tytułu opery *włoszka w Algierze* iż „wojna na wiosnę“). Różnica jednak tej komedy od wzoru oprócz skali *znaczenia*, jest i ta iż niema tu ona

(1) Dlatego sądzimy, iż sztuka ta winnaby się raczej drukować z wariantem zakończenia, w którym młody Gumiński dowiedziawszy się iż jest skazany na śmierć, kończy życie w więzieniu, i rozwiązanie nie wymaga w ten sposób przebaczenia ze strony ojca. Wariant ten jak objaśnia obecne wydanie był napisanym przez autora na żądanie Dyrekcyi Teatrów, i umieszczony w temże wydaniu w liczbie *Dodatków*.

takich typów czasu jak Starościna, Szarmancki i t. p. oraz téj prostoty i téj symetrii w układzie i akcji, które są jednym z warunków arcydziełek.

Czyniąc te jednak zarzuty układowi i treści dramatów Kondratowicza, nie powiadamy wcale, iżby autor nie miał dramatycznego talentu;—młody ten autor-poeta we wszystkiem do czego się tylko dotknął piórem, objawiał talent. Wiersz jego we wszystkich dramatycznych jego utworach był gładki i śliczny,—w historycznych ozdobny i wzniosły,—w krotoczwilach potoczny, dowcipny. Nie zostawił nam wprawdzie Kondratowicz dramatycznych całości pierwszego rzędu, ale w każdym utworze jego są sceny, obrazy i ustępy, godne takich całości.

Oprócz form dramatów, gawęd, poematów artystycznych i bohaterów, uczucie i fantazyja Kondratowicza, w owym najwyższym okresie tych jego uczuć, i w tysiącnych innych już dłuższej, już krótszej treści, aż do ulotnej objawiało się formach, a które wszystkie w obecnym wydaniu otrzymały (i słusznie) nazwisko *liryk*. Dla poety, który tak umiał czuć i czuł tak silnie jak Kondratowicz, najwłaściwszą, owszem i najpowszechniejszą nawet zdawałoby się powinna była być formą liryka;—ale w tém silnym uczuciu miłość własna autora miała rolę tak szczupłą, a miłość ludzi tak żywszą, iż jak z jednej strony przedmiotem obojętnym autora do śpiewu bywał najczęściej świat nie on sam (więc dramata, powieści i t. p.) i tylko siła uczuciowości wlewała w te jego utwory taki nie inny kolor,—tak z drugiej, w lirykach jego nie widzimy nawet i cienia miłości własnej. W całym zbiorze poezyi Kondratowicza nie znajdujemy prawie liryk egotycznych, jakichś *np.* elegij, pieśni, sonetów i t. p. w którychby autor bezpośrednio i tylko uczuciami swojemi lub spekulacyami swojemi, sam siebie i czytelnika chciał zajmować; liryki jego są to wszystko poezye, lub pisane do osób trzecich z powodu ich samych, lub z powodu jakichś wypadków, w jakichś celach społecznych i t. p. lub wreszcie są określaniami jakichś doznanych wrażeń, co tworzyło już raczej poezyę tak zwaną, opisową jak czystą lirykę. Motywa które w tych wszystkich różnych rodzajach liryk wybijały się głównie, dawały im kolor, były ich źródłem: były to właśnie owe motywa, które w uczuciu autora czerpały głównie swą stałość i siłę z wrażeń pierwotnych, jako to religijne, miłości ludu, okolic rodzinnych, obyczajów rodzinnych i t. p.

Żywioł i cechy religijności w poezyach Kondratowicza, jak to widzieliśmy już, miały sobie właściwą barwę. Kondratowicz był religijnym jak wszyscy prawie poeci, a przynajmniej poeci serca (był takim nawet i Göthe, jak mimo przeciwne pozory, widać to z jego pamiętników *Dichtung und Wahrheit*), bo już i samo najpierwsze źródło poezyi: *natchnienie* które pieśń tworzy, ostrzega ich o istnieniu innego nadpotocznego świata, który nie jest materją, który kieruje ich wolą, który jest światem tajni.

Nie ja śpiewam, lecz duch Boży,
Który piosnkę we mnie tworzy,

śpiewał Kondratowicz jeszcze w pierwszej epoce swego śpiewania. Mimo to jednak ten kolor i ta treść, które cechowały żywioł religijny w jego poezjach, nie były to ani z jednej strony mistycyzm, któryby gowiódł do opiewania dogmatów historycznych wspomnień chrześcijańskich, drobnienia i cieniowania uczuć w tym kierunku, jak to było obfitą treścią poezji religijnych wielu naszych poetów z XVI wieku, ani też z drugiej strony stosowaniem zasad chrześcijańskich do praktyki życia (taki nieporównany obrazek jak ks. *Definitor* w poemacie Dęboróg to wyjątek); główni bohaterowie jego poematów, gawęd i t. p. nie widać iżby byli religijnymi psychologicznie; bohaterowie ci wszyscy prawie, jak to widzieliśmy, wśród swęj walki ze światem a przygniatał światem, nie szukają ratunku w harcie swęj woli, w pracy lub poświęcaniu się, a tylko w kieliszku. Cechą religijną poezji Kondratowicza bywała niekiedy, lubo było to rzadko, oderwana liryczność, a taką np. była jego piękna liryka *S. Franciszek z Assizu* (według legendy o jego walce ze słowikiem o wyższość śpiewu); ale najczęściej objawiało i odznaczało ją tylko przywiązanie do obrzędów, malowność obrzędów, oglądanie w obrzędach uczuć wewnętrznych i t. p. ustępy w tém rodzaju napotykają się prawie w każdej gawędzie autora (jak to i widzieliśmy w części), a cechą tą odychają nieraz i szczególne jego utwory, jakimi naprzykład były: *Staropolskie roraty*, *Dnie pokuty i zmartwychwstania*, *Dni doroczne na Litwie* i t. p. Dla objaśnienia niejakego tęg cechy w lirykach, przytoczymy tu kilka rysów z *Dni dorocznych*. Cóż to są dni doroczne? Dni doroczne są to małe epoki roczne, dni świąt, obchodów dorocznych, zwyczajów dorocznych, — są one epokami i w dalszém życiu, ale wrażenia ich działają mianowicie najsilniej na dusze młode; dlatego też ten poemat pobieżny i niezbyt długi (objął on tylko dni doroczne od N. Roku do Wielkanocy) ze szczególném uczuciem przez Kondratowicza został skreślony. Jest to panorama malowna pełna życia i ruchu, w której znajdują wprawdzie swą rolę i wspomnienia różnej natury (jak myślistwo, karnawał i t. p.) lecz które odznaczają i ożywiają mianowicie religijne.

Jak malownym np. w opisie kolendowania włościan jest ten obraz ruchu, który szczerocść i żywocść wiary wycisnęły w zwyczajach wiejskich i jaka wierność w obrazku. Skrzypek wioskowy bierze wpółstrojne skrzypce, idzie z nimi w otoczeniu pod okna, i wydobywa z nich tony.

Chłopców z całej wsi gromada
Wtórzy skrzypcom aż pierś pęka;
Od sąsiada do sąsiada
Chodzą śpiewać pod okienka,

O miasteczku Betleemie,
O Jezusie, o niebianku,
Który przyszedł na tę ziemię
Zrodzon w stajni i na sianku.

Chłopcy głosy rozpuścili,
Skrzypek długą kwintę bierze,
Zda się słyszysz : Jezus kwili...
Pocieszają go pasterze.

Mróz choć skrzypi, śnieg choć zimny,
Wiatr choć wieje z po za góry,
Rzekłbyś : cały krąg natury
Pastuszkowe śpiewa hymny.

Jaki ruch w mięsopustnych zabawach wiejskich, mianowicie w obrazie zbytków i szału dni ostatnich, i jak naturalny duchowy zwrot, kiedy północny dzwon ostatniego wtorku wzbudza w religijniejszych duszach upamiętanie się. Czujesz, mówi poeta, jak rozżalone te dzwony grają w twój desce piersiowej, i żądasz nowego zwrotu :

Chciałbyś w cichym gdzieś klasztorze
Odżyć wiarą i nadzieją,
Lecz się oczy do snu kleją,
Smutny rzucasz się na łożo.
Głowa boli, serce boli,
I śnić będziesz długo jeszcze:
To szalony wir swawoli,
To w powietrzu dzwonów dreszcze.

Jakże mianowicie malowny i naturalny Wielki Tydzień, gdzie każdy dzień tak odznaczony swoją właściwością, swoją miejscową barwą:

Otóż wierzbna, otóż kwietna
Zawitała nam niedziela.

* * *

Orzeźwiona łzami wiary,
Wraca w domy ciżba prosta
I jak każe zwyczaj stary,
Rószczką wierzby siebie chłosta
„Nie ja biłem, wierzba biła“
Już za tydzień zmartwychwstanie.

Tam szaleją z rószczką młodzi
I dziewczęta i chłopaki.
Całus w poście się nie godzi,

To choć wierzba da się w znaki.
 A *gospoda* jak w żałobie,
 Rzadko który ją odwiedzi,
 Bo nastąpił czas spowiedzi.
 Czas się zamknąć w samym sobie,
 Co kto mówił, co dokonał,
 Co pomyślił w grzesznej duszy,
 Nim to przyjmie konfesyonał
 Nim ich kapłan do łez skruszy.
 rozbierają ludzie w swych myślach.

A w dzień W. soboty jakież charakterystyczny obrazek zastawionego gościnnie stołu na nadchodzące święta:

Lubił szlachcic starój daty,
 Wskazać ład swój i dostatek:
 Stół sążnisty śród komnaty,
 Obrus biały jak opłatek
 Umajony w zieleniźnie,
 Zastawiony jadłem szczerze,
 Że i wąż się nie prześliznie
 Między misy i talerze.
 Gdzie stawiane z cudnym szykiem
 Rzędy jadła i napoi,
 Gdzie baranek z proporczykiem,
 Na najpierwszym miejscu stoi etc.

W tego rodzaju ustępach, takich kreśleniach przebijał się i wyrażał głównie pierwiastek religijny w lirykach Kondratowicza, jak i w ogóle jego poezji; mimo jednak kreślenia te na pozór tylko powierzchowne, mimo nie przejmowanie się bliższe za dni kwiatu jego poezji, w kreśleniu jednostek tłem religijnem, mimo nawet wyraźne ślady pozostałe w listach autora, iż wiarę jego niekiedy zamieniała niewiara (1), we wszystkich poezjach Kondratowicza od pierwszych kreśleń pióra do stawianych w wigilią śmierci, nie znajdujemy nigdzie zwrotów materialnych, przekonanał tej cechy, lecz owszem przemagającą w nich jest zawsze duchowość, tło religijne;—połączenie się sercem z ludem, który jest wierzącym, nie mogło sprawić zmiany w istocie serca;—takie religijne uznania: jak bytność Boga, żywot wieczny duchowy jednostek, miłość chrześcijaństwa, przebijały się i wyrażały wszędzie i zawsze we wszystkich utworach poety. Kondratowicz nawet niekiedy i rozu-

(1) W roku 1859 w czerwcu pisał w jednym z listów (do Chęcińskiego) „Nie mogę się oswoić ze stanem mojej wyrozumowanej niewiary, która ma mi moją dawną wiarę zastąpić... Przyszedłem do zupełnej równowagi serca i rozumu, to znaczy nie mam dziś ani serca, ani rozumu.“ (U *Krasz.*)

mował, tylko iż jeżeli rozumował, to w formie sobie właściwej, oryginalnej, t. j. łącząc się z przysłowiami ludu i pisząc do nich waryacje. Tak np. znajdujemy wśród liryk jego lirykę o nieśmielności duszy, a ta napisana jest na temat przysłowia ludowego: „Hulaj dusza!” Obejmuje ona strof dziesiątek, i dla wskazówki tej oryginalności, przytaczamy tu całkowicie parę kończących.

Autor mówi, iż nie chce już myśleć o ziemi i bożkach społecznych.

•
Już niegłupim abym wierzył,
W jakąś ziemską przyszłość błogą,
Abym czołem tam uderzył
Gdzie potrzeba kopnąć nogą!
Człeka wyższy cel porusza,
Przeboleła w sercu rana,
„Hulaj dusza bez kontusza,
Szukaj pana *bez żupana*.”

Są tam inne światy Boże,
Gdzie nie bawi czcze mamidło,
Ile tutaj czynów stworzę,
Tyle piór mi wrośnie w skrzydło.
A gdy skrzydła wiatr napusza,
Już mi dalsza droga znana,
Wolna dusza, niechaj rusza
Najwyższego szukać pana.

Miłość ludu wiejskiego, równie jak religijne uczucie, była także jednym z najcharakterystyczniejszych i najtrwalszych uczuć poety. Istotnie (można tu wtrącić) to ostrzeżenie czyli zawołanie jednego z proroków Hebrajskich, iż „nie czyni Bóg słowa izby wprzód nie objawił tajemnicy swój sługom swoim, prorokom”, sprawdza się i objaśnia bliżej we wszystkich zwrotach dziejowych. Ile się razy zbliża jakiś dziejowy fakt, zjawiają się piérwój (już to nierychło piérwój, już rychło piérwój) śpiewacy, którzy go zwiastują; fakt ten nie zawsze może się zjawia w tych szczegółach albo w sposób w jaki jest zwiastowany, a skutek ten właśnie tym więcéj skrytość i istnienie sprężyn wewnętrznych i harmonii wewnętrznej stwierdza. Zbliżone i ziszczone za dni naszych w najbliższych nam stronach, usamowolnienie ludu wiejskiego, poprzedziły także wołania i kilku śpiewaków, a z tych odznaczyli się byli głównie Pol. Winc. nad Dniestrem, Kondratowicz nad Niemnem. Syrokomla śpiewając społecznie w Wilnie z obradami właścicieli miejscowych nad losem kmiotków, nie przestawał popiérać i bronić sprawy włościańskiej we wszelkich formach swych pism i w gawędach i w dramatach i w lirykach oddzielnych; i owszem na dłu-

go przed tym projektem i skutkiem, w tychże różnych formach poezyi, już to allegorycznie już prosto i jasno nie przestawał wskazywać dobitnie już na istnący ucisk ludu, już cnoty ludu, już na konieczność przyjscia zgodnej łącznej przyszłości. Jasność, dobitność, uczucie, należały zawsze do cech tych lekcyj, a lekcye te czerpiące swe źródło w poczuciu społecznych równości, i dziś po zmianach stosunków nie są lekcją zbyteczną. Lekcye te umiał autor w swym czasie wciskać z ręcznie i tam gdzie czytelnik nie pomyślił nawet o ich spotkaniu. Tak np. w Ateneum z r. 1851 umieszczoną była gawęda dziecinna *Lalka*, nie jeden ojciec dał ją zapewne dziecku do przeczytania i sam chciał być świadkiem morału jaki ono otrzyma; tymczasem w mowie dziecka do lalki spotykały się tu wyrazy takie :

Ty tylko tego nie wiesz, że my to „panowie“
A jeszcze jest lud inszy chłopami nazwany,
Którym Pan Bóg z niebiosów przykazał surowie :
By pracowali na pany.

* * *

Ot i wczora . . . gdy papa zasnął po obiedzie,
Pytam się czy to pięknie ? i co za potrzeba ?
Weszli, zbrudzili pokój, krzyczą jak niedźwiedzie :
„Chleba Panoczyk (1) daj chleba !“
Więc kazali ich obić, i słusznie obici.

W wierszu znowu napisanym jeszcze w r. 1849 do autora świeżo wówczas wydanego śpiewnika z motywów pieśni ludu Stanisława Moniuszki, poeta jakby przewidując ową w lat kilkanaście wielką reformę, do której inicjatywą być miało przedstawienie jego prowincyi, takie umieścił zakończenie :

Cześć tobie pieśniarzu ! harmonie śpiewacze
Rozniosą braterstwo jak cudem.
O ! kto raz przy piosnce ludowej zapłaczę,
Przestanie się pastwić nad ludem.
Litwini ulegną wieśniaczéj potędze,
Zbliżą się z rodzinną szczerotą,
I Litwin we złocie i Litwin w siermiedze
W braterskich uściskach się spleją.

Myśląc o ludzie, myślał téż autor o okolicach pomieszkań ludu; w niejednym miejscu kreślił pejzaże litewskie i dalszych stron krajowych, a do téj treści należały jego poemata opisowe wydawane pod napisem : *Wycieczki w promieniu do Wilna, Wra-*

(1) Termin miejscowy.

zeniu pielgrzymy po swojej ziemi i t. p. W poematach tych wszędzie nowość słowa, uczucie i wdzięk obrazów, jakkolwiek zarazem mniej życia dla braku ludzi i serc.

W lirykach krótkich pisanych z najrozmaitszych okoliczności do przyjaciół, do różnego zawodu osób, w Albumach i t. p. w tych wierszykach tak licznych i które w obecnem wydaniu składają prawie oddzielny tom, wszędzie równie widny jest talent poety; w każdym z wierszyków tych, tak dłuższym jak i najkrótszym jest wewnątrznie cel jakiś, zewnątrznie gracia, wszędzie uczucie żywsze lub ostre słówko. Byłyto jakby promienie i promionka tego słońca, którym był błysnął talent poety w epoce o której mówimy.

Lecz oto ta epoka świetna talentu Kondratowicza nagle zagasnąć miała.

Poezya, wtrąmy tu uwagę, rozwijana w jednostce danej jako cząstka ogólnej uprawy sił, nie wyczerpuje przed czasem życia; wiek poetów którzy zajmowali swój umysł nie tylko poezją lecz różnostronnie różnym rodzajem pisma, różnym zawodem, może się przeciągać do lat nader niekrótkich, dowodem tego wśród bliżkiej nam spółeczności np. francuzki Wolter, w Niemczech Göthe, u nas Niemcewicz, Karpiński, Kajetan Koźmian i i.; ale dziedzice uczuć drażliwszych, żywszych, poeci jednym tylko fantastycznym kierunkiem myśli zajęci, paląc i wyczerpując swój umysł, faktem jest, iż zwykle gasną w pół wieku;—takim np. był los wśród poetów krajowych Kondratowiczowi współczesnych: śpiewaków Irydiona, Króla Ducha i i., takim był i jego samego. Talent i natchnienia Kondratowicza wśród swego wzrostu, rozkwitu, nagle miały uczynić zwrot ku końcowi. Śród blasku i życia i śpiewów objęły go nagle cierpienia w wróżbę żalobną. Poeta mimo to wprawdzie nie przerwał śpiewu, śpiew jego dał nam owszem fakt nowy psychologiczny, wiecznie żywych i świeżych uczuć i myśli wśród zamierania ciała, lecz śpiewy te były już odtąd prawie wyłącznie na krótką i na szczególną barwę nutę, i o treści ich, jako odróżnionych tą właściwością, rzec jeszcze oddzielnie musimy.

III.

Czas od roku 1855 do 1860 był to czas męskiej młodości Ludwika Kondratowicza. Był to dla jego fizycznego życia czas jakby rozbłyśnienia tarczy kwiatu, a myśl jego wśród tego czasu już nie dwuznacznym, jak widzieliśmy blaskiem jutrzeńki, lecz zabłyśnięta była istotnym słońcem. Lat kilka to przeciąg tak krótki, czas ten dla większej części społecznych Kondratowicza był tylko monotonnym nic nieznaczającym ustępem wśród życia, lecz dla życia tego poety miał być zarazem i południem i zajściem. W czasie tym, świeże rysy poety jak właśnie dopiero rzekliśmy, przedsta-

wiły nagle widok jakby omdlenia; słońce myśli ćmić się zaczęło. Patrzący sądzili patrząc, iż słońce nie przestało być słońcem, a tylko zaciągnęło się było przelotną chmurką, iż tarcza kwiatu nieprzestała być tarczą, a tylko stuliły się były jój listki przed krótką nocą, lecz fakt był inny. Chmurka owa zejść już nie miała nigdy ze słońca które zakryła, listki tarczy zwinęły się były nie przed chwilową nocą, ale wieczną.

Cóż było praktycznym powodem takiego skutku ?

Sądźmy, iż nie omylimy się wnosząc i zapisując tu tę uwagę prostą, iż wśród losu Kondratowicza toż samo było powodem zamierzchu jego błysku, co zrazu rozbłysku, toż upadku poety co i zrodzenia poety, t. j. wygórowana czułość. Pierwiastek ten w pierwszych lata rozwicia młodą duszę autora zwrócił był do poezji, i dalej do wszelkich odcieni poezji, do wejścia z nią na wysokość, która wywołuje oklaski, i pierwiastek ten był też powodem, iż dusza ta przeniesić nie była zdolna zmiłknienia, upadku tych oklasków.

Przybycie w roku 1853 Kondratowicza do Wilna było, jak to widzieliśmy, epoką w jego zawodzie życia, w jego utworach; poparło ono było myśli i kompozycje autora do wyższej sfery, ram obszerniejszych, lecz dodać trzeba, nie przyniosło mu było wcale wyższych chwil szczęścia. Pobyt w Załuczu, pobyt wśród okolicy cichój, wśród skromnych żądań,—ten pobyt do którego autor następnie tak tęsknił, tak go w różnych wzmiankach opiewał, był to istotnie czas złoty jego istnienia. W ranku życia upodobał był on sobie młodą osobę z sąsiedztwa, poślubił ją, i w pożyciu tém znalazł pokój i szczęście domowe, upodobał był sobie w pieśniach rodzinnych, dołączył do nich własne i ujrzał iż były one przyjmowane z upodobaniem po kraju całym. Jakkolwiek Kondratowicz czuł, wiedział, iż nie był jeszcze wcale podówczas twórcą poetycznych arcydzieł, ale z zadowoleniem przestawał na roli którą zdał się w sobie uznawać *króla dźwięków*, czuł się królem wśród okolicy, czuł się wśród kraju, może wśród świata. Pisząc wtedy *Do swojej Fletni* i pieszcząc się z nią, wołał on tylko wprawdzie zrazu :

Oj! danaż moja dana!
Moja fletni *drewniana*.

lecz wnet niewątpiąc, iż nikt mu nie przypisze przesady, zawołał:

Liro ty moja śpiewna, z *czarodziejskiego* drewna
Snać ciebie utworzono:

i istotnie, nikt mu nie przypisał przesady.

Przybycie jednak do miasta, wśród ludzi zajęć i chłodu, do miejsca gdzie się ścierają zdania, gdzie z swój istoty odbijać się muszą życie i ruch i świata dalszego (który nigdy nie stoi), nie mogło być dalszym ciągiem téj szczęśliwości. Spojrzano tu na

autora ciekawie, nie jeden dał się słyszcć i poklask, ale ogół przyjęcia które młody autor zaraz ocenił, nie mógł odpowiedzieć skali jego rozmarzeń. Świat uczony nim mu naznaczył miejsce, chciał wiedzieć z jakim przybywa patentem uczoneści, krajowym lub zagranicznym, a autor nie mógł przedstawić innego jak z ukończoną w szkołach powiatowych klasy 5-jej; świat myśli zostawał wtedy w ogóle pod wpływem, śród admiracyi dla spekulacyi niemieckiej, (reprezentowaligo w tym czasie w Wilnie młodzi przybysze i słuchacze katedr Dorpackich), wpływów i odcieni téj spekulacyi szukano i w utworach fantazyi, a młody śpiewak ze stylem tylko i treścią piosenki wiejskiej przed miastem stawał. Jakoż po pierwszym jeszcze odwiedzeniu Wilna (1851) Kondratowicz w tych listach poufałych, które pisywał z Załuczca do Kraszewskiego, zamiast doniesienia o laurach które był obrzucony, wyrażał „odczarowałem się i potrzebuję wiele czasu, wiele skupienia się w sobie aby siebie odzyskać. Moja cisza, mój stolik i moje książki straciły dla mnie swój urok“ Zaś teraz po przeniesieniu się tu stałem (1853) obok powtórzeń podobnych dodał: „nie mogę i nie chcę zrywać z ludźmi, ale znajduję, że chcąc kochać ludzkość potrzeba na nią patrzeć z pewnej oddali. Wyjechałem mil dwie od miasta, wziąłem dzierżawę, pomimo że gospodarzyć nie umiem i nie lubię“ Ten zawód, to zniechęcenie stały się téż były zrazu jak widzieliśmy i źródłem zmiany zbawiennój: czułość i drażliwość Kondratowicza zamiast zupełnego zniechęcenia go, stały się były bodźcem do rozwijania się i wywołały talent. Śpiew poety wzniósł się do ram obszerniejszych, do staranniejszej sztuki, a pożałowanie lat dawnych, stosunków dawnych, obudziło i rozwinęło w nim wkrótce główne źródło i uczuciową głębokość jego poezyi. I oklaski odezwały się znowu i skali szerszej; spotykały go nie tylko prywatne, lecz i publiczne, dawała je scena. Ale oto drażliwe serce autora raz przywykłe do marzenia o królowaniu nie mogło się oswoić ze zmianą marzeń. Autor co do nauki składał lepij niż naukowy patent, albowiem fakta piśmienne, co do śpiewów coś (dla najogólniejszej liczby ludzi) więcj niż dziwienie rozumu, bo przemawianie do serca, a jednak sam to przed sobą widział, sam czuł przed sobą że nie był najwyższym, że tu i owdzie posłyszany poklask nie może być stałym, cóż dopiéro jeżeli go spotkała w tych względach jedna i druga wymówka głośna. Przy mówki o naukowość, o średni polot, najwięcj drażniły go zawsze. — Tymczasem ze wzrostem rodziny, ze wzrostem stosunków, wra stały potrzeby, wydatki; rola była mu tylko mierną i niepewną pomocą, dzierzawiona przezeń wioska (owa Borejkowszczyzna) miała tylko osady trzy chaty, gospodarstwa przytém, jak to widzieliśmy w jego wyznaniu własnem nie lubił (1); a jednak miłując niez-

(1) Szczegół ten każe piszącemu te słowa wspomnieć na swój własny niejaki stosunek z poetą i wznowić żal, iż stosunek ten (w nadziei iż będzie jeszcze niekrótki) był tylko nader dorywozy. Było to przypominam

leżność chciał zależeć tylko od siebie, od własnej pracy, — utwory poetyczne opłacane mu były nieźle, pisały się więc i wylały te utwory jedne po drugich. Nagłość taka nie pozwalała niekiedy mu dawać należnych wykończeń, pisać zawsze z rzetelnych natchnień, a więc dawał zawsze utwory równej wartości; im mniej już wtedy istniało poetycznych zdolności w około, im większej dawał dowody autor, tym więcej obudzało się żalu że się rozprasza, że zamiast utworów kilku wartości dobrej, nie dawał jednego wybornej. Te zdania i te krytyki zjawiające się coraz obficie, wyrażane coraz dotkliwiej, bodły i dręczyły autora, a bodły i dręczyły tym bardziej, iż przez swój wpływ krzyżowały i źródła jego zasobów; zjawiała się przytęp była w tym czasie i zapanowała na długo nad nim słabość (i silna) serca, ta czyniła go tym więcej pożądanym oklasków, tym drażliwszym na krytyki. Tymczasem ze wzrostem drugich znikaly pierwsze, zły los sprawiał, iż nieraz i sama scena zamieniała się w pustki. Uczucie upokorzenia, upadku, jątrzone drażliwością, pojmwane przesadnie, kazało mu szukać lekarstwa w stosunkach z żywszym z natury światem artystycznym; wśród uciech, wśród ucztowania, wieści o tych uciechach rozgłaszane ze zwykłą przesadą wieści, rozchodziły się jednak szeroko jak głośnym było imię poety, a wracając i dochodząc do niego w owych przesadach, zadawały mu cios tak stanowczy, i te ciosy były tak ponawiane, iż wążkę zdrowie poety nie zdołało ich przeniść, i zgon jego wielkim, przyspieszonym i świadomym jemu samemu kro-

(który to piszę) w mcu października r. 1855 w Wilnie, w czasie gubernialnych wyborów ówczesnych, gdy jeden z obywateli gubernii Kowieńskiej pan K... odwiedzwszy mnie a wprowadzając z sobą młodego czkownika rzekł: „Pan Syrokomla.“ Wypadało to świeżo po umieszczeniu mojego zdania w Bibliotece Warszawskiej o Dęborogu; czy autor czytał to zdanie a nawet wiedział o niem, nie wiem, ale był ożywiony, mówny, ze spojrzeniem szczęśliwem z siebie, a przy lekkim zarumienieniu na twarzy tak był wtedy podobnym do wizerunku swego umieszczonego przy obecnem wydaniu, jak wybierająca się na bal lub wracająca z balu młoda piękność do staruszki w suchotach leżącej; — przy pożegnaniu prosił, aby nie ominąć Borejkwoszczyny wracając z Wilna. — W rok potem odwiedził mnie na wsi w przejeździe extra-poczta do Mińska. Była to jesień, czas w którym nadeszłe wtedy dla mieszkańców wiosek spekulacye gorzelane, pochłaniają zwykle wszelkie inne ich spekulacye, a widok zajeżdżającego pod okna z dzwonekami gościa ucieczył mi nie tyle jako poety, ile jako gospodarza z pod Wilna, — i pierwsze słowo które po najszczerzszym powitaniu wymknęło mi się, było to zapytanie o cenę kartofli w Wilnie? dopiero ujrzenie jawnego zdziwienia na twarzy gościa, i przez okno na ławce ganku żyłka Kinkulkina (antykwaryusz z Wilna) a zwłaszcza wykrzyk siostry gdy m uprzedzając powiedział: Pan Syrokomla z Wilna, i rzucenie się jój do toalety (była to 10-ta rano), zwróciły mi do rzeczywistości. Widzenie się jednak i tą razą nie trwało dłużej nad śniadanie podręczne z przepiciem zdrowia. Mimo częste odwiedzanie Wilna, zajazd do Borejkwoszczyny (o której artystycznych zasobach wewnątrz

kiem zbliżyć się począł (1). Jako wyraz tych cierpień, wyraz tych uczuć, zaczęły wkrótce wypływać z pod pióra autora wierszyki z barwą szczególną, z barwą wyrazem której były zarazem i sarkazm i śmierć, a które już od czasu do czasu ukazywały się i w jakimś czasowym piśmie, już w wyjednywanych u poety zbiorach i t. p. Do takich np. należał ów krótki wierszyk ówczesny, który miał napis *Sen i Kabala*; autor tu wyraża gorzko-żłośliwie

słyszałem wiele) odkładałem zawsze na potem;—chcę jednak poznać stopień sławy gospodarskiej poety, zatrzymałem się raz, przypomina mi się, przy oberży stojącej przy trakcie, a należącej jak sądziłem do Borejkwoszczyzny, i tu pod protekstem jakiegoś wiejskich szczegółów zawiązawszy rozmowę z oberżystą i oberżystką, rzekłem kończąc:—Cóż? jakżeż tu gospodarzy Pan Syrokomla?—na pytanie to odpowiedziano mi tylko pytającym milczeniem i pokazało się iż prorok nie tylko ze sławy, lecz nieraz i z nazwiska nie jest i ojozyźnie znany; poprawiwszy więc zapytanie rzekłem:—Wszakże Borejkwoszczyznę w posessyi (w dzierzawie) trzyma, zdaje się p. Kondratowicz? — „A! Kondratowicz? . . . rzekła wtedy oberżystka, — a tak . . . o! i ja bym tak trzymała jak Kondratowicz; przez całe lato siedzi w Wilnie, przez całą zimę w Wilnie, a na Ś-ty Jerzy (dodała ciszej) przyjedzie . . . pójdzie do pana Hrabiego . . . napożycza panu Hrabiemu książek . . . francuzkich, niemieckich . . . i na tém koniec“. Oberżysta który stał przy żonie z uszanowaniem dla jej wymowy, był to ów sławny *Kaciukiewicz*, który w rozpuszczonym wtedy żłośliwie testamencie Syrokomli, niby przez niego samego napisanym, figurował w następnym wierszu:

Czuję że gdy nadejdzie kres mego żywota,
Nieborak Kaciukiewicz zostanie sierota . . .

nie mieszał się on prawie do rozmowy, z tego jednak co mówił można wnieść było, że i ten paszkwil wtrącony do testamentu takąż był prawdą jak i sam testament.—Zdarzyło mi się jeszcze następnie kilka i więcej razy spotkać z poetą w Wilnie, a w zebraniach najróżniejszej natury,—czysto piśmiennych, czysto światowych, mieszanych i t. p. we wszystkich zaś tych razach wyznać wypada, postać jego (z wyjątkiem nagiej ręki pod nagą brodą) była istotnie podobną już zawsze do wizerunku przy wydaniu, taż (na wątlém i niewysokim ciałku) pochylona głowa, też oczy bez wyrazu, usta bez słów, tylko wietrzący słuch w lewo lub prawo. Bywałoto nawet wtedy, kiedy w zebraniu była i *Stella*.

(1) W jednym z listów, które pisywał w tym czasie Kondratowicz z Wilna do J. Chęcińskiego (z którym w czasie krótkiego swego pobytu w Warszawie zawiązał był szczeroprzyjacielski do końca życia stosunek) wyrażał między innymi: „Czy wiesz, drogi Janku, że ja który zwykle nieczytałem nawet pisanych na mnie pochwał i nagan, dziś oboruję na próżność. Lekce ważące a zawsze stronne zdania krytyków waszych o pracach, które kosztowały kilka miesięcy czasu i kilka funtów krwi, przyprowadzają mnie o rozpacz. Chwaliłem ci się że mię pożerał symptomat ruchu i pracy, ale pisma warszawskie i księgarze wileńscy tak mi dali uczuć niesmak atra-

iż miał sen o krokodylu nad Nilem, który połknął baranka za to, iż się ten chciał ulitować jego łez, a stara babka wyłożyła poecie iż to znaczy że: „nie z *sercem* idź do świata a z *wiedzą*, i unikaj czułych ludzi bo *zjedzą*“, i napiszą ci na nagrobku „żeś *baran!*“ Taką też była owa tak przejmującej treści a tak jasnej allegoryi z owego czasu liryka, pod napisem *Śmierć Słowika*, który niegdyś król wioski, dzisiaj zamknięty w klatce, próżno wysiłał się aby przemódz hałas miasta i skonał. Z liryki tej, której treść dla tego mianowicie jest przejmującą, iż jak to dziś wiadomo była ona wyrazem niejakiejsz udanej fantazyi, czułościowości, ale najszczerzej prawdy (i która dodać to można nawiasem była nietylko historyją słowika, ale i śpiewem słowika, tak w niej każdy wyraz swém brzmieniem tłumaczył swoje znaczenie) przytoczymy tu dla jaśniejszej charakterystyki zaczęcie i zakończenie :

Śmierć słowika.

W drucianem więzieniu, gdzie kipi gwar miasta
Zamknęli słowika;
Lecz chętka śpiewania tak wzrasta, tak wzrasta,
Że pierś mu przenika.

Wspomina on dawne swe lata, swą dawną sławę, chciałby ją wznowić, i na hałasy powozów, na krzyki tłumów zrazu nie zważa:

Przekrzyczę, prześpiewam niesforne te gwary
Pomimo hałasul
Do wyższej, do wyższej, nastroję się miary,
Tak myślał syn lasu.

Ale sił niestawało, nie dorastały one i nie zdołały przemódz grzmotu powozów!.

Już ból wysilenia rwie piersi ptaszęce,
Skrzydełka omdlały...
On tego nie czuje, bo w swojej piosence
Utopił się cały.

Całego słowika ogarnął szal pieśni,
Aż echem drga klatka,

mentu, że gdyby nie dziewiętnaście gąb z mojej ręki czekających chleba, rzuciłbym niedołężne pióro.“ „Na zdrowiu okrutnie upadam, ledwo widzę co piszę *solum mihi superest sepulchrum*“ (1859 czerwiec); i w następnym liście o miesiąc później z „Druskienik.“ Każdy wiersz płacą mi po dwa złote, ale dwadzieścia gąb głodnych czeka na mnie, pięćdziesiąt żydów drawi oblega... z każdym przebytym dniem jakoś słodko pomyśléo że bliżej już do grobowego łóžeczka.“ (Władysław Syrokomla przez Kraszews.)

Tém śpiewa donośniej im cierpi boleśniej,
Z sił swoich ostatka.

A wozy wciąż huczą, a ciżba wciąż krzyczy,
Ci sobie, on sobie,
Aż pęknął od pienia gardziołek słowiczy
W ostatniej swój probie.

Daremnie w drobnouchne skrzydełka szeleści
Chwieje się i słania,
Gorące serduszko zadrgało raz jeszcze,
Lecz taktem skonania.

I ten co pieśniami górował nad knieją
Tu zerwał swe siły;
A koła po bruku szyderczo się śmieją
Że ptaszka zabiły.

I uczuciowy a boleśny ten śpiew był proroczym, a proroczym w każdym nawet wyrażeniu swoim; autor po wyśpiewaniu go poczuł się być na chwilę lepiej i śpiewał jeszcze lat parę, ale nuta jego była już tylko oddzielną sobie właściwą barwą, serce jego „zadrgało było raz jeszcze” lecz „taktem skonania.”

Poezye które w ostatnich czasach śpiewania swego pisał autor, razem zebrane, wydane były zaraz po śmierci jego w Warszawie, pod nader trafnym napisem: *Poezye ostatniej godziny*.

Takie poezye ostatniej godziny, czyli poezye pisane przez autorów z wiedzą o blizkim swym zgonie nie były wprawdzie zupełną nowością w naszej literaturze. Niegdyś Klemens Janicki dotknięty we Florencyi chorobą puchliny wodnej, wróciwszy do kraju i oczekując śmierci, śpiewał był jeszcze lat parę, i w elegjach opiewał nieraz swój blizki koniec; Symon Zimorowicz uproszony o ułożenie wierszy weselnych na ślub brata, pisząc swe Roxolanki był już dotkniętym (jak o tém sam uprzedza w przedmowie) chorobą suchot i wkrótce po weselu zakończył z nich życie; ale Janicki kreślił tylko swe uczucia boleści słowami boleści, Zimorowicz w swych Roxolankach powtarzał weselne pieśni ludu i zajmując się wyłącznie swoim weselnym przedmiotem, znajdował może lekarstwo w tém zapomnieniu; lecz charakter *poezyi ostatniej godziny* Kondratowicza był zupełnie odrębny, sobie właściwy, różny może od wszelkiej dotąd znanój poezyi ludzkiej. Kondratowicz w ostatnich czasach swojego śpiewu tak już skupionym był w sobie, w uczuciu własnem, iż nie mógł się prawie zajmować osobistością obcą; nie tworzył więc już ani dramatów, ani nawet gwęd (drukowane nawet pod rokiem 1860 były już pisane pierwój) a wylewał uczucia swoje jedynie w kształcie liryk; oryginalnością zaś i wyjątkową barwą tych liryk to było mianowicie, iż oddychały

one zarazem, jak to i wzmiankowaliśmy już, śmiechem i grobem, sarkazmem i trumną. Co się mogło w umyśle autora złożyć na treść podobną? Iż w śpiewie konającego jest treść żałobna, to naturalne, lecz zkądże sarkazm? Kondratowicz kiedy jeszcze podraszał a podraszał z talentem i spójrział na świat, uczuł był (można to dostrzedz z treści jego pieśni) żal do tego świata, iż widząc się niczém gorszém od kogobądźkolwiek, był jednak towarzysko na świecie niżej od tylu jednostek; uczuł żal iż tak miłując w gruncie świat cały, widział się odrzucanym przezeń; lecz oto nagle ujrzał przed sobą grób, chwilę blizką w której mógł pożegnać ten świat, te wszystkie jednostki, te jednostki, które nadto podziela także wkrótce i ten jego dzisiejszy los; to zrodziło w nim sarkazm, ironię i nawet pewną rzeczywistą wesołość ducha. Uczucia te wygrywał autor na nutę dziwnęj wszędzie gracyi, nowości i tego wykwintu słowa, do którego był doszedł.—*Hart ten duszy i smaku w taką godzinę* był wyjątkowym. Bez dowodu i objaśnienia czytelnik z trudnością zapewne mógłby dopuścić i wyobrazić podobny fakt. Dlatego też lubo nie przytaczaliśmy prawie wyjątków z wielkich kompozycyj autora (epopei, dramatów) z poezyj tych, dla bliższej charakterystyki, przytoczymy dosłownie ustępów kilka.

Śród zbioru owego wydanego w Warszawie w roku śmierci Ludwika Kondratowicza p. n.: *Poezye ostatniej godziny*, nie wszystkie z tych poezyj były istotnie z ostatniej godziny (1); niektóre z nich jak np. wiersz *Zawczasie* należą nawet do epoki pierwszej jego młodości, ale mówimy tu tylko o tych, które z pewnością należą do ostatnich miesięcy życia autora. Poezj tych w obecnym zbiorze jest kilkanaście i wszystkie lubo w różnych odcieniach, mają tenże ogólny charakter; dla przykładu wspomnimy tu o trzech, wybierając mające następne napisy: *Owidiusz na Polesiu*, *Melodye z domu obłąkanych*, *Cupio dissolvi* i wreszcie powiemy o ostatnim wierszu poety czyli o zaczątej przed śmiercią niby powiastce, która mieć miała napis *Dwa obrazy*.

W ostatnim roku życia autor skazanym był na ustronne życie w Borejkwoszczyźnie;—w oddychaniu wyłącznie powietrzem wiejskiém, sądzono iż może się jeszcze znajdzie ratunek dla zdrowia. W tém oddalonym od świata życiu, a życiu ostatnich godzin, w jakiejże treści natchnienia ubierał się jego umysł? Czy się zjawiały w nim były: rozpacz? żal? trwoga? czy wreszcie przynajmniej żałoba?—I owszem, autor na tém wygnaniu napisał był wprawdzie elegię, ale elegia ta mająca właśnie ów napis *Owidiusz na Polesiu* humoryzmem i humoryzmem tylko z gruntu jest odznaczona. Poeta porównywa swój los do tego wygnańca z dworu Augusta (podejrzanego o chęć uwiedzenia jego córki Julii) za morze Czarne, i tak najprzód smutne położenie tego poprzednika swego określa:

. znękany i chory,
Już Nazon w Pińskich lasach zbiera muchomorzy;

(1) Objasnia to właśnie i redaktor obecnego wydania.

Łowi wiuny i raki Cezarów dworaczek,
I z łuku sarmackiego pudłuje do kaczek.

Wysła więc co chwila listy do Rzymu, ale August prośbami
jego nie zmiekczył się—Julia zdradziła go,

A poeta, wygnaniec, z głodu i ze smutku,
W dobrach Radziwiłłowskich umarł w Dawidgródku.

Tu zwraca się już poeta do siebie:

Ja, co żadnej Julii nie zaszedłem w drogę,
Ja co Ovidiuszem nazwać się nie mogę;
Skazany wyższą wolą, w niemałym kłopotcie
Siedzę w Borejkwoszczynnie jak on w pińskim błocie.
Na łąkach nie masz trawy, a kłosów na niwie,
Śród kwiatów bujny oset wyrasta szczęśliwie;
A ja, biedny wygnaniec z krainy dalekiej,
Nawet raków nie łowię, bo tu nie ma rzeki.
A Litwinki nadobne, a królowe żniwa?
Każda się z nich do roku dwa razy umywa;
Każda snać dla większego sielskiego uroku,
Czesze złocisty warkocz tylko raz do roku.

* * *

Bohaterki litewskie, Aldony, Pojaty!
Musiałyście myć części oblicza i szaty;
Albo wasi rycerze w kudłatej niedźwiedni,
W zapalczywej miłości nie byli wybredni!

* * *

Wychodzę do ogrodu, a tu żyd się kłania,
Polak mojżeszowego chcę mówić wyznania;
Za 40 srebrników co mi dał do dłoni,
Arenduje owoce gruszy i jabłoni.
I jako mąż przezorny przygląda się bacznie,
Czy właściciel ogrodu gruszek kraść nie zacznie.

* * *

Powracam do komnaty, do cichój komnaty.

Melodye z domu obłąkanych, poezya z poezyj ostatniej godziny najobszerniejsza, najdobitniej téż oddycha ową podwójną barwą: grób i sarkazm. Jakie w téj poezyi mogą być szyk i symetrya, o tém ostrzega już napis; napis uwalnia autora od ścisłej logiki i upoważnia do wszelkich wybujań. Autor na nutę ironii sta-

wał się tu nawet w istocie więcej może spekulacyjnym niż kiedy, chociaż mistrzem było mu tu tylko samo uczucie.

Melodye te mają odstępów sześć.

Ja jestem panem świata, woła poeta w pierwszym, panem nieba i ziemi, bo je zamknąłem kluczem, tylko przygaście słońce, bo mię w oczy kole, a jeśli to nie tak łatwo,

To mu ogólcie głowę z promieni,
Jak ogolono mnie moją głowę
Za to, że rzucił światło różowe.

W ustępie drugim sarkastyczna recepta czarta dla szczęścia ludzi.

W trzecim poeta dziękuje przyjacielowi za przyslaną mu do czytania książkę, lecz dodaje że jęj czytać nie będzie, bo zapowazna; dosyć już mamy i powagi i kęz śród zycia, a niech się raczej rozbudza wesołość, panuje śniech,

Śmiejcie się mogiły z ludzi!
Ludzie śmiejcie się z grobów...
Śmiej się góro! śmiej się chmuro!

* * *

Niech wysoko słyhać będzie
Jak my tutaj weseli.

W czwartym ukazuje, iż jedna paciorka z tych co mu zawieszono na szyi, czerwona, i objaśnia iż jest to zasuszona łza murzy-na którego smagał plantator.

W piątym opowiada o czynach kota, i jak ujrawszy iż ten dusił słowika, jaskółkę w gnieździe, biegł na drzewo aby go dogonić i zabić, ale doktor wsadził go jako obłąkanego do zimnej wody.

Szósty jest opisem pogrzebu, pogrzebu poety; treść to jedyna, opis własnego pogrzebu skreślony z sarkazmem w wigilię śmierci. Mamy wierszyk Kondratowicza podobnej treści z czasów pierwszego okresu jego czynności: *Pogrzeb młodego rolnika* (1851); i tu był opis zgonu i pożegnania młodego pracownika i wyrażony kształtnie, lecz był tylko zkądinąd zbiór myśli, wyrażań, każdemu znanych, rozwleczonych, powszednich; w obecnym i uczucie podrosłe i sztuka; w każdym słowie tu świeżość, w każdym uczucie, tok na pozór najprostszy, najnaturalniejszy, a jednak mimo to, co chwila i rym tak naturalny, iż zaledwo nie obudza uśmiechu.

Kreślenie to, w szóstym odstepie, spotkanego pogrzebu, ile w melodyach obłąkanego wypada naturalnie bez powodu, bez związku z resztą treści, przynajmniej jawnego; i jest w głównych ustępach w tych słowach:

Dzwon szczerbaty kaszla z wieży:
 „Do pacierzy!”
 Czterech dziadów w szmatach, boso
 Trumnę niosą;
 Cztery babki szpitalnice
 Niosą świce;
 A na czele organista
 Aż się chysta.
 Musiał zażyć dla zapachu
 Kordyału,
 Bo z zapachem bierze tony
 Antyfony.
 A gdy huknie: *Dies illa!*
I Sybilla!
Requiescat kiedy palnie
 Kapitalnie,
 To aż czując radość błogą
 Tupnie nogą.

Trumna prosta— a za trumną
 Niezbyt tłumno:
 Idą sobie ludzie prości
 Z ciekawości.
 Potém bieży tłum pacholi
 Dla swawoli,
 Dwóch przyjaciół nieboszczyka
 Z drogi zmyka.

„Po kim beczysz tak nieczysto
 Organisto?!
 Trup (jak znacznie i po zgonie)
 W dobrym tonie.
 Są na czole myśli znaki,
 Kto to taki?”
 Tak zapytał pan z natłoku
 Z szkiełkiem w oku.
 Organista tak mu rzecze:
 —Ja nie beczę,
 Po łacinie śpiewam z nuty
 Psalm pokuty;
 Anieboszczyk, co widzicie,
 Sterał życie;
 Po obłokach się kołysał
 Wiersze pisał.
 Wiersze zgryźli z dobrej chęci
 Recenzenci;
 A pokrewni gdzieś tam w dali
 Wieś zabrali!

Wziął na rozum za głęboko,
 Spuścił oko,
 A jak w drodze spotka człeka
 Precz ucieka.
 I poczęto mówić w mieście,
 Ze nareszcie
 W jego głowie złe nadzieje,
 Kogut pieje!
 Zachorował, była zima
 Jeść nic nie ma!..
 A on nie wie nic o świecie
 Wiersze plecie!
 Albo jęczał jak w malignie:
 (Gdy już stygnie):
 „Kiedyż w piasku głowę złożę?
 Mocny Boże!
 Jam tak kochał!.. za co? za co?
 Tak mi płacą?”...

W wierszyku tym widzimy napozór jakby ironię z obrzędów religijnych, które autor tak kochał; ale to ironiczne (poufałe) kreślenie nie było właściwie dowodem wzgardy obrzędów, tak jak zarazem obok idąca ironia siebie, nie mogła być wyrazem wzgardy dla siebie; wyraziły się tu tylko w tej formie gorzkość uczucia, żal do świata i jakby lekceważenie już świata.

Wyrażeniem religijnego uczucia autora w tym czasie był jego poważny wierszyk, mający napis *Cupio dissolvi* („pragnę być rozwiązanym”, wyrażenie wzięte z listów S-go Pawła). W wierszyku tym poeta mówi o swojej duszy.

Człowiek czyliż ma duszę? Gdybyśmy wiedzieć chcieli czy ma duszę słońce, co się dzieje na słońcu? kogożbyśmy się powinni pytać? i od kogo odpowiedź musiałyby być najtrafniejszą, jeżeli nie od samego słońca? Czyli człowiek ma duszę? któż lepszą dać na to może odpowiedź jeżeli nie sam człowiek, a przynajmniej człowiek *duchem bogatszy*. W jakiejbykolwiek chwili i w jakibykolwiek sposób tworzyła się czyli zjawiała dusza w ciele człowieka, to pewna, że o istnieniu jakiegoś *duchowego siebie*, odrębnego od ciała *siebie*, każdy człowiek dobitnie ma przekonanie. Im większą byłoby prawdą iż ciało ludzkie w swoim przedwiecznym pierwiastku jest (jak o tym wspomnieliśmy na początku) wywinieniem się z gatunków niższych, tym też pewniejszemu być musi iż ten pierwiastek który odróżnił ludzi od tych gatunków i tak wysoko wzniosł nad nie, to jakaś *odrębność*. Wskazówką i sprawdzeniem w swoim zakresie tej odrębności są tu nam właśnie i te *poezye ostatniej godziny*. W ciele ścieśnionem bólami, przeżytem i konającym, duch widzimy tkwił młody, z gruntu wesoły, i jakby królujący nad światem. W wierszyku *Cupio dissolvi* zwró-

conym do Stwórcy, niema naturalnie ironii. Autor zajmuje się tu poważnie sferą uczuć swych zmysłów i z samego uczucia wychodząc, wyraża się jak najczystszy idealista:

W uchu i w oku, w smaku i woni
Tylko się samo złudzenie chroni,
Tylko przeszkoda duszy człowieczej
By doskonalej pojęła rzeczy.

Kończy więc wiersz życzeniem odzyskania swobody zupełnej, lub raczej zaczyna go właśnie od tego błagania :

Na co mi panie ! ta suknia z ciała ?
Ja jestem *duchem*, duchem nic więcej,
Po co mam chodzić w szacie zwierzęcej ?

I wreszcie na zakończenie tego zarysu : jak treści i charakteru tych poezyj ostatniej godziny, tak i całego żywota poety, wspomnijmy jeszcze o tym jego utworku, który był pisany literalnie w ostatnich dniach życia i którego dokończenie śmierć mu przerwała. Utwór ten jest to początek powiastki, ale bohaterem której jest wyraźnie sam autor, lub raczej wszystkie główne pierwiastki uczuć jego. W poezytęj (ma ona napis *Dwa obrazy*), widną jest jeszcze z jednej strony cała werwa pióra i zarazem już nieudane ale nader istotne błaganie się myśli, t. j. snucie się myśli śród której po kolei (jako w snach nocnych) już władza *pamięci*, już władza *sądu* usypiały. Urywek ten przekazał nam też w ten sposób to psychologiczne dane, iż umysł śród cząstkowego nawet uśpienia sądu być może poetycznym, i przypomina zarazem, jakieto były mianowicie owe główne pierwiastki uczuć autora, które istniały i płątały się zawsze przed myślą jego, nawet wtenczas, kiedy jej czuwanie i całość cząstkami się ćmiły, a mianowicie iż pierwiastki te były : miłość sztuki, religii, stron domowych, rodziny, drażliwość na sądy i t. p.

Treść *Dwóch obrazów* następna : młody artysta-malarz natchnięty sławą Rafaela, ślubuje wierność paletrze, ale ujrzawszy arcydzieła rzymskie czyni drugi ślub : nigdy nie tykać paletry, „Jeżeli nie jesteś zdolny malować rzeczy niebieskich, rzekł mu głos jakiś, maluj to co znasz tak dobrze, brzegi Wilii i Wisły“ i malarz chwycił za pędzel i odmalował (co?) wizerunek Ojca Ś., te jego oczy, jakim nie było równych na ziemi :

(„Temi oczami, gdy je w ludy wciskał
Nie jedną trzodę dla Pana pozyskał,
Było to dawno, och ! bardzo już dawno.“)

Utwór ten zyskał odrazu powszechny poklask, więc też wnet i dotkliwe krytyki od spółrywali.

Bracia po pędzlu, towarzysze czuli,
Przyszli zażółcić (?) utwór znakomity,
Wielcy mężowie i ich satelity !
A chociaż czasem widzieć się nadarzy
Jak się wąż przemknie po ich pięknej twarzy,
Ciche syczenie otchłani anioła
Wyższych uwielbień zagłuszyc nie zdoła.

Malarz włożywszy kapelusz kalabryjski uchodzi z Rzymu, i wchodzi bezpośrednio (gdzie?) na błota pińskie (1); tu dochodzi go głos i spotyka postać (czyją?) jego ojca, ale na zawołanie do niego: „ojcze mój luby!“ ojciec zamiast uściśnienia syna, łaje mu iż leci w przepaść, gdzie go pewna śmierć czeka :

„Kto mię tam ojcem z oczeretów woła,
Szablą mi swoje przyczyny wyłuszczy !
Ja nigdy synem nie miałem gawrona,
A waćpan — gawron z Białowieskiej puszczy.
Nieznając drogi, w sam środek czeluści
Idziesz szalony, *gdzie twój zgon pewniutki.*

Tą czeluścią było to przybywanie do miejsca rodzinnego ze sławą zagraniczną.

Co z tobą Marku, żeś się przeszatanił (?),
Włóczyz się w bagnach, zamiast siedzieć w Rzymie,
Pędzel twój będzie pudłował, nie ranił,
Tu ledwo znane Chrystusowe imie,
Tutaj za obraz tyle ci zapłaca,
Co za chudego konia bronowłokę.

I duch ojca, dodajmy, nie omylił się wcale, szepcząc poecie iż „jego zgon pewniutki.“

Kondratowicz niedokończywszy nawet tych stygnącą ręką kreślonych Dwóch obrazów, w dniu 15 września 1862 roku w Wilnie, zakończył życie. I w tém tylko w swych prorocत्वach z ostatniej godziny omylił się, iż nie „kilku ludzi z ciekawości“ jak wyrażał, przeprowadziło go na miejsce ostatniego spoczynku, ale z istotnego spółczucia pół miasta.

Takie były główne utwory, główne zarzysy zawodu i taka śmierć tego w samym rozkwicie życia zmarłego poety. Obraz ten

(1) Najpierwszém miejscem wrażeń dziecinnych Syrokomli były (jak wspomina o tém w Pamiętniku) *Jaskowice* folwark na *Polesiu*, który ojciec jego trzymał wtedy dzierżawą.

który tu daliśmy, nie jest zapewne wcale wszystkie szczegóły jego zasług pióra wyczerpującym; nie powiedzieliśmy tu np. nic o jego od czasu do czasu pisywanych, z różnych okoliczności artykułach prozy, (na czele których wypada położyć *życiorys* spółautora prowincyi, jego mistrza zrazu a potem przyjaciela: *Ignacego Chodźki*) a które wszystkie były zawsze znakomitęm piórem pisane;—nie wylczyliśmy wszystkich odcieni zalet jego oryginalnych poezyj, ani też wspomnieliśmy nawet o jego przekładach z poezyi obcych które jednak w obecnem wydaniu cały oddzielny 10-ty tom składają i cechą których jest w ogóle: i piękność i wierność: sądzymy jednak, iż dotknęliśmy w tym obrazie trzech epok jego zawodu rysów głównych,—a z dotknięcia tego jakież co do ogólnej charakterystyki poezyi Kondratowicza i co do ogólnego znaczenia poznanego poety wypada nam wniosek?

Ludwik Kondratowicz był urodzonym poetą i był nawet zrodzonym raczej na oryginalnego, o właściwych sobie tylko cechach poetę, niż, jak to zrazu wnieść było można, na charakterystycznego tylko tłumacza prozą i wierszem utworów obcych;—nie był on, powtórzmy już raz czynioną uwagę, śpiewakiem polotów górnych, szczególnie głębokich myśli, obrazów wielkich,—słowo jego nie było wyrazem wysoko poetycznych figur, zawiłych porównań, składni i t. p. Poezja Ludwika Kondratowicza jak to widzieliśmy, była to raczej przedewszystkiemi i głównie poezja *uczuc*, słowo jego było to *słowo uczuc*; ale śród tego kierunku, śród tego śpiewu, rozwijał on sferę tych uczuc do możliwej nieraz ich głębi, nutę słowa do możliwych odcieni; był on słowem w całej sile znaczenia, i w całym wdzięku znaczenia—*poetą serca*.

Kondratowicz nie był śpiewakiem i wyrazem owego kierunku który spółczesnych mu poetów krajowych najoryginalniej odznaczył; nie śpiewał on jak oni (lubo śpiewał także o ludziach, i śpiewał o dziejach) ani o czasach przyszłości, ani o losach ludzkości, ani o mającym kiedyś dla ziemi przyjść wieku nowym;—był on z tej strony rzec można, śpiewakiem zachowawcą, t. j. był tylko śpiewakiem przechowawcą, cząstki owęj miłości, i tej drogi miłości, której tamci w owych odległych wiekach, i w podniesieniu do skali ogólnej śpiewali tryumf.

Kondratowicz w porównaniu z zakresem owych na szeroką i wzniosłą, lubo nieco zawiłą nutę wołających śpiewaków, może się nazwać prosto śpiewakiem ludu. Był on owszem rzec można jakby dla śpiewu tylko zrodzonym wioskowym ptaszkiem, owym jak się nazwał słowikiem, tylko nie w klatce zamkniętym, ale z bagien, pól, lasów, cmentarzów i sadów wiejskich, dla umilenia godzin mieszkańców wioski, dla ukształcenia ich serc, dla pokrzepienia ich ducha, śród cieni i blasków nocnych śpiewającym.

A jeślibyśmy koniecznie ten śpiew jego równać chcieli i do światłości dziennych, do blasku słońca, (jak to i wyrażaliśmy wyżej) tedy możnaby rzec: iż poezja Ludwika Kondratowicza nie była to wprawdzie owa wysoka i skwarna z godzin południa, lecz

lubo o promieniach łagodnych, ciepłe łagodnym, zawsze jednak i jaskrawa jeszcze i wielka głowa zachodzącego słońca poezyi nad Niemnem.

AMALIA.

USTĘP Z WOJNY DOMOWEJ

W RZECZYPOSPOLITEJ ARGIENTYŃSKIEJ

p. D. José Marmol.

Przekład z oryginału hiszpańskiego.

(Dalszy ciąg)

(CZĘŚĆ PIĄTA)

I.

W r z e s i e ń.

Pierwszy dzień września 1840 roku rozpostarł się na niebie Buenos-Aires ciemny, posepny, chmurny i mglisty, jak gdyby ten miesiąc fatalny na wstępie chciał się takim przedstawić w oczach żyjących, jakim w potomności stanie pod rozbiór dziejopisarza: smutnym, ponurym, zamglonym błędami, brzemienym krwawą burzą, która się wnet rozszałeje i potopem spadnie na argentyńską ziemię.

Wszystko źle wróżyło.

Wojsko wybawcze stawiło blisko miesiąc na działaniach małej wagi, posuwając się z wolna, odezwaniami i łaskawością starając się o pozyskanie sobie zwolenników, których nie znalazło się na prowincyi w takiej liczbie jakiej Lavalle szukał dla pobicia Rozasa.

Tymczasem dowódcy Rozasa zaczęli działać w tyle i z prawego boku wojska, a od przodu dyktator obwarowywał się w swoich okopach, i słaby w początkach najścia, wzmacniał się moralnie i materyalnie przez opieszałość swego przeciwnika.

Jak wzrok zasięgał, cały widnokrąg rzeczypospolitej zaburzony: lecz piorun który miał spaść na głowę wolności lub tyranii nie w tak szerokim zbierał się obrębie, tylko w obłoku zawieszonym nad przestrzenią pomiędzy *Szuchan* a Buenos-Aires.

Inne prowincye formują swoje szwadrony, dalsze nakłaniają się do przystąpienia do wielkiej ligi, i odmawiają posiłków mnichowi Aldao, który donosi Rozasowi że nie dowierza nikomu, nawet „własnemu cieniowi.“

Lecz na cóż to się przyda? kiedy wielkie zadanie do rozwiązania jest tylko w prowincyi Buenos-Aires. To wyzyw do śmiertelnego pojedynku dwóch przeciwnych sobie pierwiastków rewolucyjnych, a Lavalle i Rozas są ich przedstawicielami. Stanęli już przed sobą oko w oko, głosy swoje wzajem słyszą, dotykają się bronią, a ten który padnie pociągnie za sobą w upadek całą swoją sprawę z wszelkimi jej rozgałęzieniami, jakiegokolwiek one były mniejszej lub większej rozciągłości.

Lecz prawdy tej, którą wypadki miały później stwierdzić, nie szczęściem nie chciał uznać rozum polityczny i wojenny, nie natchnął naszego krzyżowca myślą, że dla wyzwolenia Argentyny nie istnieje inne pole jak tylko ciasne szranki stolicy. Spartakus zabił swojego konia nim poszedł do boju, Korteż spalił swoje okręty; Lavalle powinien był się pozbyć i okrętów i konia.

A tak się nie stało. Zetknąwszy się już prawie z Rozasem, jeszcze się oglądało na prowincye, myślało się o Francyi, nie zastanawiając się nad tém, że z cofnięciem się Lavalla, Rozas staje wyżej od interwencji francuzkiej i od prowincjonalnej ligi, nierozumiejąc że z wzięciem stolicy dla gmachu tyranii nie pozostaje już punktu oparcia w rzeczypospolitej, ani wahania się dla międzynarodowej interwencji.

Tymczasem, zostawiając to nader smutne zadanie dziejopisowi, pióro romansisty wzdraga się skreślić obraz położenia Buenos-Aires w pierwszych dniach miesiąca, do którego w opowiadaniu naszym dobiegliśmy.

W miarę upływu godzin przesilało się wrażenie strachu sprawione pomiędzy Rozistami nagłym zjawieniem się wojsk wybaczych w prowincyi. I nadmiarem bydlęcego znikczemnienia przyszli do najhaniebniejszych czynów, jakie splamić mogą dzieje jakiegokolwiek stronnictwa lub narzędzi jakiego przewodcy: kobieta stała się celem zażartych prześladowań tej szajki zbrojców, mianem federalistów ochrzczonych.

Historya nie potrafi zaprzeczyć, ani nawet będzie mogła wątpić, iż przez ciąg trwania tych okropnych terroryzmu czasów, kobieta w Buenos-Aires dowiodła tyle moralnej odwagi, tyle mocy i godności charakteru, a nawet rzecz można taką wyniosłość nieugiętą i nieulekłą śmiałość, do jakiej płeć męzka nie okazała się zdolną; tém silniej drażniło to zagorzałe damy federacyi i nikczemnych jej służalców.

Piękna główka amerykańskich kadyksanek przesuwiała się wśród tłumów z czołem do góry dumnie wzniesioném, i tak im się zdawała dobrze na ramionach usadowiona, iż nie ważyłaby ją krzywdzić pochylem przed znakomitościami swego czasu, a skromna patryotki sukienka, jakby się sama z siebie wfałdy zwi-

jała i kurczyła ocierając się o sztywne i lśniące jedwabie zamożnej federalistki.

Warkoczecze ich na tron dla kwiatów zdaje się stworzone, nie chciały się pogodzić z wstrętliwem federacyi przystrojeniem, i zaledwie mały skrawek czerwonej wstążeczki wyglądał z pod splotów, albo z pomiędzy kwiatów u kapelusza.

Wszystko to uważanem było za zbrodnię. I ta sama zasada moralna, która przewodniczyła takowemu osądzeniu, wynaleźć musiała karę godną siebie, godną sędziów i oprawców.

Bandy wszelkich warstw i różnego powołania stawały przy drzwiach kościołów, mając z sobą wielkie wiadra rozpuszczonej smoły i kokardy z ponsowej szmaty. I każdą z młodych kobiet wychodzących ze świątyni bez wielkiej plamy federalnej na głowie, porywano brutalnie, wciągano w pośrodek niecnej zgrai, i nad czymś, skromnym czołem przylepiano plaster nasmolony, a potem wypychano ją z pomiędzy siebie wśród wrzasków i pośmiewiska.

Jedna z podobnych scen miała raz miejsce w południe u drzwi kollegiaty.

Młoda dziewczyna wychodzi z matką i zostaje natychmiast porwaną przez czatujących; wie o co rzecz idzie: zdejmują szalik zarzucony na warkoczcu i poddaje głowę oprawcom. Matka przytrzymywana przez innych, nie mogąc biedz na ratunek córki, woła rozpaczliwie: — Czyż niema już ani jednego mężczyzny, w Buenos-Aires dla obrony kobiet? — Nie, matko, — odrzekło dziewczę z śmiertelną bladością na twarzy, ale z uśmiechem najgłębszej pogardy — niema, mężczyźni wszyscy są w obozie *Luchan*, tam gdzie i mój brat: tutaj tylko pozostały się kobiety i tygrysy.

Zgromadzenie *Mashorki*, przekupki, a zwłaszcza murzynki i mulatki, które sobie dały kartę bezwzględnej niezawisłości dla lepszego służenia świętej sprawie, wszystko to zaczęło się przechadzać po mieście wielkimi bandami we wszystkich kierunkach. Cukiernie były uprzywilejowanym punktem zebrań. Tam się piło, nie płacąc, bo toasta jakie słyszał cukiernik były zaszczytem wystarczającym na zapłatę za jego wino. W popołudniowych godzinach wpadano do wszystkich kawiarni, i biada temu kto się tam poważył wstąpić z włosami rozdzielonemi lub bez rozdziału na brodzie! W jednej minucie odbył się na nim obrzęd golenia na nowy sposób jakiego nie znał Figaro. Nóż *Mashorki* mający później służyć za piłę na gardłach ludzkich, tymczasem zaprawiał się do dzieła jako brzytwę golibrody, lub nożyczki perukarza.

Odtąd więc dla rodzin zapadła klauzura: obawiano się nawet wyjść w sąsiedztwo. Zaledwie ostatni brzask dzienny zagaśł na zachodzie, już miasto było pustynią bezludną, przez dzikiego tylko zwierza zamieszkaną. Wszyscy zamknięci w domach, z uwagą wyteżoną na najmniejszy hałas, z bijącym sercem, zamieniając trwożne spojrzenia. Lavallo — Rozas — *Mashorka*, te wyobrażenia przełykały po umysłach jak szybkie błyskawice obawy lub nadziei. Biędna matka która miała syna poza domem! Nieszczęśliwa na-

rzeczona oczekująca swojego kochanka!.. W bramę ktoś uderzył, wszyscy zbiegają się w głąb mieszkania. . . Serce chciałoby zgadnąć . . . Wyobraźnia w błąd je wprowadza . . . Rzeczywistość wywołuje westchnienie i uśmiech. Chwila uspokojenia, przejścia do nowej chwili niepokoju, trwogi, udręczeń, i ta trwać będzie noc całą i dzień następny, i wiele dni jeszcze i tygodni . . . Jakim cudem zdołały to przetrwać rodziny Buenos-Aires? Jak żyć można w tém wolném konaniu, ażeby te ciągle krwi mrożenia się, te kurcze duszy i pulsów nie strawiły życia, nie pociągnęły do obłąkania lub do samobójstwa? Sen nawet nie był im dozwolonym. Stróże nocni co pół godziny rozbudzali ludność wrzaskiem śmierci.

Nie: ani Rzym za czasów pretoryańskich imperatorów, ani przedtém pod wyuzdaną tyranią Syllów i Maryuszów, ani w nowożytnych dziejach Anglia w chwilach religijnego dyspotyzmu, Francya w epoce zbrodniczych królowań, Hiszpania przez wieki panowania stosów: żaden kraj jedném słowem nie przedstawia obrazu społeczeństwa całego w tak okropnych zostającego warunkach, jak Buenos-Aires w miesiącach które przychodzi nam opisywać. Wszędzie celem prześladowania było jakieś stronnictwo, jakaś idea; lecz nigdzie społeczeństwo nie znalazło się gnębióńcem przez małą cząstkę tegoż samego społeczeństwa.

Tablice proskrypcyjne przyklepione na drzwiach rzymskiego senatu, oznajmiały przynajmniej którzy są ci, co zostają pod klątwą nienawiści lub zemsty: w Buenos-Aires nikt nie wymieniony, klątwą nad wszystkimi.

Płomień angielskich stosów nie mniej od hiszpańskich dokonały dzieła wytępienia; lecz każdy przynajmniej wiedział o zgotowanym dla siebie losie według religijnych przekonań jakie wyznawał: w Buenos-Aires nie było środka do przewidzenia swojego losu, a raczej, do osiągnięcia osobistego bezpieczeństwa innéj nie było drogi, jak tylko zostać mordercą ażeby nie stanąć w szeregu ofiar. I wyraz morderca nie jest tu bynajmniej w hyperboliczném znaczeniu użyty.

Gdziekolwiek indziej zapewnia się już sobie bezpieczeństwo przez moralne przychylenie się do władzy choćby najbardziej samowolnej i brutalnej: w Buenos-Aires i to nic nie pomagało. Dawny federalista z zasady, jeżeli pozostaje ciągle uczciwym i umiarkowanym; człowiek spokojny, oddany pracy, nie myślący o wyrobieniu w sobie jakiegokolwiek przekonania politycznego; cudzoziemiec nawet nie będący ani federalistą ani unitaryuszem; kobiéta, młodzieniec, wyrostek, wszyscy a wszyscy jedném słowem podciągnięci byli pod jeden wyrok powszechny a nieodzowny: albo zostać zabójcami lub ofiarami!

II.

Santos-Lugares.

Pierwszy brzask jutrzeńki świtał na wschodzie, i wzrok silił się na rozpoznanie czém są właściwie bezkształtne przedmioty jakby ugrupowane tu i owdzie po obozie *Santos-Lugares*. Były to: tabory wozów, kopce ziemi na brzegu świeżo rozkopanych rowów, działa bateryjne, stopy kul, kupy skórzanych worów, tabuny koni, żołnierze, kobiety, broń, budy na kołach, wszystko razem pomieszane i w największym nieładzie.

A bęben rannój pobudki u piechoty, trąbka konnicy, wycie w oddziale Indyan, wrzaski murzynek, ruch koni, krzyk *gaucha* przy ich pętaniu: wszystko to razem tworzyło wrzawę nieokreśloną, tak, że słuch równie się znalazł jak wzrok dziwną niepewnością zdjęty.

Główna kwatera znajdowała się na prawym krańcu obozu, w wielkiej szopie, gdzie jednakże wódz naczelny nie przepędzał nocy, chociaż miał tam swoje łożo. W późną noc zazwyczaj bohater ludowy układał się gdziekolwiek w obozie obok swych wiernych obrońców; lecz w pół godziny już go tam niebyło: wymykał się w ponszu i czapce swego ordynansa, i krył się w jakimś niewiadomym kącie, gdzie nikt go nie znajdzie ani pozna.

W tój oto chwili zsiadał z konia przy głównej kwaterze, gdzie przed drzwiami generałowie, oficerowie różnych stopni i wieśniacy, wszyscy razem pomieszani popijali z tykwy wywar paragwajskiego ziela.

Człowiek ten żelaznej natury, przebywszy noc równie wygodnie jak jego koń, a raczej w mniejszej od bydłęcia wygodzie, ukazywał się świeżym, czerstwym i krzepkim, jakgdyby wstał z puchowej pościeli, i z uzdrawiającej wyszedł łaźni. Tylko wyraz oblicza ponury był i złowrogi, jak namiętności cò duszą jego miotały. W ponszu i w oficerskiej czapce, bez szpady, przeszedł wśród swego dworu, czy głównego sztabu, trudno naznaczyć miano tój gawieździ, nie racząc rzucić na nią okiem.

W pośrodku szopy stał wielki stół sosnowy zarzucony pismami i drukami. Trzech sekretarzy białych, z podbitymi oczyma, siedziało w najgłębszém milczeniu nic nie robiąc, a generał Corvalan zabawiał się przeczytywaniem po raz setny nadpisów na kopertach wielkiego pakietu depesz które trzymał w ręku.

Wszyscy powstali za wejściem pana. Rozas rzucił na ławę ponsz i czapkę z siebie, i zaczął się przechadzać wzdłuż komnaty. Pisarze i adjutant nie udarzeni ani kiwnięciem głowy, stali wyprostowani obok krzeseł które przedtém zajmowali.

Natychmiast zjawił się żołnierz z tykwą w ręku i stanął przy drzwiach. Rozas w ciągłej przechadzce zbliżywszy się ku niemu,

wziął od niego tykwę, pociągnął parę łyków, i oddał ją napowrót żołnierzowi, który się nie ruszył z miejsca, jakby wrósł w ziemię. Co kilka minut powtarzała się ta niema scena, aż się tykwa wypróżniła: wówczas automat wychodził i powracał wnet z napełnioną.

Sekretarze i adjutant ciągle stali, Rozas ciągle się przechadzał, żołnierz stał, wychodził i przychodził. Tak przeszły długie trzy kwadranse, co najmniej.

Nagle zatrzymał się Rozas przy stole i z rozjaśnioną twarzą odezwał się do pisarzy, jakby ich dopiero spostrzegł:

— A? siadajcież.

Sekretarze usiedli.

Potém obracając się do Corvalana spytał jakby zdziwiony:

— To pan tutaj? dawno przyszedłeś?

— Około godziny.

— Cóż tam w mieście? weselą się?

— Tak jest, panie.

— A jakże się ma Victorica?

— Widziałem go wczorajszego wieczora: zdrów do usług

Waszój Ekscellencyi.

— Jak go zobaczysz, kłaniaj się mu odemnie. Wczoraj go cały dzień nie było, myślałem że Hiszpan zdechł. A szanownego Don Felipe widziałeś?

— Widziałem, Wasza Ekscellencyo.

Rozas rozśmiał się na cały głos.

— To musi być w strachu pan vice-gubernator! Cóż więcój? nic nowego w mieście?

— Nic zupełnie. Przed dwoma godzinami statek przywiózł depeze.

— Dawaj.

Rozas wziął od niego papiery, poróżdierał koperty i rzucił jednemu z sekretarzy.

— Czytaj, — rzekł, i znów rozpoczął przechadzkę.

Sekretarz wziął jeden z listów, lecz zaledwie przeczytał datę i nazwę miejsca z kąd pochodził, Rozas mu przerwał:

— Co mi tam! niech sobie mnich zdycha kiedy chce; wszak to od mnicha Aldao?

— Tak jest, panie.

— Zrobisz wyciąg. Czytaj drugi. Od kogo ten tu?

— Od komendanta Gonzalez, sprawozdanie z pochodu herszta Lavalla przez ostatnie dni sierpnia, i przez 1-y i 2-gi września.

Raport donosił szczegółowo wszelkie najmniejsze ruchy i obroty wojska, każdej godziny, niemal każdej minuty. Rozas pilnie słuchał czytania, przerywał je tylko raptownie od czasu do czasu jakąś uwagą, często wypowiedzianą wyrazem grubiańskim, który nie wiadomo było na pewno do kogo się stosował: do tego co pisał, czy do czytającego.

— Pojutrze mogą być już w Merlo . . . a może i jutro, — rzekł po wysłuchaniu do końca raportu, i przyspieszonym krokiem zaczął się przechadzać po izbie.

Po długim milczeniu nagle przystanął mówiąc:

— Musi tam być list bez podpisu: poszukaj go i czytaj.

Sekretarz wynalazł żądany list i czytał:

„Z Montewideo, 1-go września. Od onegdajszego listu mego nic nie zaszło nowego. Tylko wojenny okręt angielski płynący z Janeiro przywiózł wczoraj wieść o przybyciu nowego admirała francuzkiego; dowodzi on wyprawą mającą przyjść w pomoc zdrajcom unitaryuszom, którzyby już byli sprzedali ojczyznę cudzoziemcowi, gdyby potężne ramię W. Ekscellencyi nie broniło jej samo przeciw tak licznyim wrogom. Tutaj unitaryusze w ciągłej jak zawsze anarchii. Jedni klną Lavalla że nie postępuje tak szybko jakby oni chcieli: drudzy. . . .

— Corvalan, zobacz-no co tam za hałasy. Nie, zostań. Idź ty — rzekł Rozas do żołnierza z tykwą: w istocie słyhać było jakieś krzyki w obozie.

— A ty czytaj dalej.

— „Jedni klną Lavalla. . . .“

— To już czytałeś, bydlę jakieś.

Czytający zbladł jak воск i zaczął znów:

— „Drudzy krzyczą że nie powinien iść na przód aż dopóki nie“

— Cóż tam takiego? — rzekł Rozas do wchodzącego żołnierza, a tymczasem sekretarz zaznaczał paznogciem wyraz na którym przerwał czytanie.

— To nic. Jakiś tam sprzedaje ciastka, a towarzysze powiadają że to szpieg Lavalla.

— A więc tak być musi. Zkądże przyszedł?

— Nie wiem, ale zapewne ztamąd.

— To dobrze, powiedz towarzyszom niech robią co chcą.

Żołnierz wyszedł a Rozas dał znak pisarzowi aby dalej czytał.

— „będzie miał za sobą mieszkańców. Tym sposobem herszt Lavalle pewno sam nie wie co ma robić, kiedy mu każdy inaczej radzi. Co się tyczy Rivery. . . .“

Czytający zatrzymał się nagle; krzyki straszne, jęki rozdzierające duszę rozległy się tuż w pobliżu, pod bokiem Rozasa: zarzynano przekupnia ciastek. Był to blisko siedemdziesięcio-letni staruszek, trudniący się całe życie tym niewinnym handlem, i w dniu tym przywędrował ze swoim słodkim towarem do Santos-Lugares, fatalnym przeznaczeniem wiedziony. . . Widowisko krwi i konania ofiary wywołało radosne wrzaski żołdactwa i dzikiej tłuszczy.

— Czemu nie czytasz? — rzekł Rozas z największą flegmą.

— „Co się tyczy Rivery, ten nie da im najmniejszej pomocy, bo pragnie żeby tamci wyginęli co do jednego; nie żeby stary szpak miał być mniej unitaryuszem jak oni, ale dla tego że się wszyscy

z sobą kłóćą. Codziennie przybywają tu zbiegi. Wiadomo że większa część ich wynosi się pobrażem San-Isidro, na *ballenery* francuzkie, które tam pod nich podpływają, i zdaniem mojem punkt ten powinien być najbardziej strzeżonym. Jutro znów będę pisać do Waszój Ekscellencyi jak zwykle kiedy się nadarza. . . .

— Słuchaj-no, — przerwał Rozas zwracając się do Corvalana, — wszakże wracasz do miasta? nie?

— Jak Wasza Ekscellencya rozkaże.

— Otóż poszukasz komendanta Cuitinio i powiesz mu, że z Montewideo mi piszą jakoby on za pieniądze pozwalał zmykać unitaryuszom wsiadającym na łodzie z pobraża San-Isidro; że ja temu nie wierzę, ale on niechaj nie pozwala tym dzikim jeździć po sobie, i że ja którego wieczora sam się przejadę po tém pobrażu.

— Bardzo dobrze, panie gubernatorze.

— I opowiedz swoim i wszystkim co tylko tu słyszałeś i widziałeś. . . rozumiesz mię?

— Rozumiem panie gubernatorze.

— A, zaczekaj-no: zawołać mi komendanta pułku Marynarki, widziałem go tam przed drzwiami, — rzekł Rozas do żołnierza z tykwą, z której od czasu do czasu pijał dyktator.

Po chwili stanął przed nim człowiek rudowłosy, z kocią i odrażającą fizyognomią, na której dobitnie malowały się wszystkie instynkta złego i zepsucia. Rozas spojrział na niego, nie racząc odpowiedzieć na jego niski ukłon.

— Wszak masz tam w koszarach więźniów wczoraj przyprawdzonych? wielu ich jest?

— Czterech, panie generale.

— Co za jedni?

— Jeden Hiszpan z synem, jeden z Korduby, jeden z Buenos-Aires.

— Dobrze: rozstrzelać.

Komendant ukłonił się nisko i wyszedł, a Rozas znów spacerował.

Po pięciu minutach przystanął:

— Możesz już iść, Corvalan.

Adjutant ruszył ku drzwiom.

— A, wstąp do Maryi Józefy, i powiedz jój niech robi co chce z unitaryuszami bez ceremonii.

— Jak rozkaże Wasza Ekscellencya.

— Słuchaj: zobacz się z komendantem Marinio i powiedz mu. . .

Tu słowa jego przerwał huk dwukrotnych wystrzałów. Czterech niewinnych ludzi padło pod kulami dyktatora, tak samo jak przed kwadransem biędny przekupień pod barbarzyńskim nożem federacyi.

— Powiesz więc temu Marinio, — kończył Rozas z niewzruszonym spokojem, — wszystko co tu się dzieje; i także mu powiesz że on musi być unitaryuszem, bo jego artykuły bardzo miękkie.

Rozas to mówił w chwilach, kiedy *Gazeta Handlowa* krwią bluzgała, podszuczując kundle federacyi do wytępienia wszystkich unitaryuszów.

Tak obarczony adjutant poleceniami, z których każde niosło śmierć lub niebezpieczeństwo, wsiadł na swego wierzchowca, unosząc nadto tę jedyną pewność, że imię jego niebardzo świetnie przejdzie do potomności i wprawdzie nie jako współuczestnika tyłu zbrodni, gdyż w istocie nie był nim generał Corvalan, ale jako wzór uległości i posłuszeństwa bez granic woli tyrana, któremu służył przez tak długie lata.

Lecz za ledwie koń jego postąpił kilka kroków, kiedy go dopędził żołnierz z tykwą, wzywając adjutanta do pana.

Starowina zsiadł z konia z wielkim mozolem, i potykając się o swoją szpadę, z tańczącymi na obie strony szlifami, powrócił do szopy.

— To już odjeżdżasz? Zaczekaj: usiądź.

Corvalan usiadł.

— Gdzie są papiery które wczoraj przywieziono? — zapytał Rozas jednego z sekretarzy.

— Oto są, — odrzekł zapytany wskazując ogromną pakę złożoną na krześle.

— Dobrze, rozwiń, i wyjm jedną klasyfikację, najpierwszą.

Sekretarz wyszukał żądany dokument i podał.

— Czytaj.

I rozpoczął znów swoją przechadzkę, a tymczasem żołnierz stał przy drzwiach ze szklanką wody, którą sobie kazał przynieść dyktator.

W liczbie ciekawych dokumentów dotąd nie drukowanych, jakie posiadamy z czasów dyktatury, znajdują się owe sławne *klasyfikacje*, o których tyle mówiono, a które zawierają blisko dziesięciu tysięcy nazwisk: zaczęte w 1835, stanęły jak się zdaje na roku 1844. Była to lista wszystkich dowódców, wojskowych wszelkich stopni, urzędników cywilnych wszystkich wydziałów, adwokatów, lekarzy, duchownych, literatów, i mnóstwa ludzi prywatnych, a przy każdym nazwisku znajdowało się w krótkości, czasem w kilku wyrazach, niekiedy w jednym po większej części własną ręką Rozasa wpisanym, określenie politycznych każdego przekonania, jego zasługi dającej mniej lub więcej rękojmi do zaufania, lub powodu do nieufności i podejrzeń.

Gdy sekretarz skończył czytać dwie pierwsze listy zawierające do czterechset nazwisk, Rozas wziął mu z rąk papiery odczytane.

— Zostaw resztę, później będę słuchał. Masz Corvalan, zanieść to Maryi Józefie, i powiedz niech sobie ztąd wybiera; a jutro przyszlę jej więcej. I teraz już nic, możesz sobie iść.

Adjutant wyszedł, a dyktator wziął szklankę z wodą, którą trzymał nieruchomy u drzwi żołnierz.

Szklanne drzwi szopy wychodziły na wschód, a szyby przysłonięte były frankami z pousowego perkalu. Słońce właśnie wscho-

dziło wśród pysznych osłon z purpury. Promienie jego łamiąc się na szybach, wpadały do izby w barwę firanek ubrane, i z nią się odbiły w szklance z wodą krwawego płomienia kolorem.

To złudzenie optyczne rzuciło postrach w wyobraźnię obecnych: zrozumiałwszy straszną myśl Rozasa w przesłaniu wzmiarkowanych *klasyfikacji* swojej powinowatej z rodu i ducha, pod wpływem przerażenia wyobrazili sobie, że woda w krew się przemieniła, i nagle pobledli jak śmierć.

Niestety! optyka i wyobraźnia ich połączyły się razem, by w pryzmacie złudzenia przedstawić okropną chwil tych rzeczywistość! Prawda, w tej chwili on krew pił, krwią się pocił, krwią oddychał: w myśli układał i rozporządzał pierwsze kroki do rzezi, które wnet krwią zaleją nieszczęsne Buenos-Aires!

III.

Bohaterski w niebezpieczeństwie jak zawsze.

Jeżeli poprzednie obrazy, dały choć słabe wyobrażenie o srogięj dzikości Rozasa, mogły także naprowadzić myśl na zastanowienie się, jakie środki przedsiębrał tenże dla obrony swojej sprawy w obec najścia i groźnej postawy swego przeciwnika. Trudno przypuścić nawet, iżby od pierwszych dni września nie myślał na seryo o uorganizowaniu obrony, o planie kampanii, a jednakże tak było najniwaulpliwiej. Rozas nigdy nie był wojskowym. I w tym razie tak nagłym nic innego nie wymyślił nad gromadzenie ludzi i armat, wozów i koni w ścięsnionych okopach *Santos-Lugares*; a liczył tylko na traf szczęśliwy, na przerażenie w nieprzyjaciółach, na strach w swoich służalcach: taką widocznie była taktyka tego uprzywilejowanego dziecka szczęścia.

Pod sztandarami jego znajdowali się niektórzy wyżsi oficerowie z czasów wojny o niepodległość, a więc starzy weterani, wychowani wśród wielkich planów wojennych, wśród surowej karnośći, służyli pod rozkazami najpierwszych wodzów tej olbrzymiej wojny. I kroki przedsięwzięte przez Rozasa jako naczelnego wodza sił zbrojnych, w chwilach kiedy wszyscy stawiali na kartę swój los jeżeli nie życie, były codzienną zmorą duszącą tych dawnych wojaków. Widzieli oni tylko największą niedorzeczność i nieumiejętność, lub odrętwienie we wszelkich rozporządzeniach dyktatora. dowodzących zupełnego braku najprostszycch wiadomości sztuki wojenniej. Niezrozumiałem to było dla nich, ażeby podobne środki jak: patrole w celu schwytania jakiego unitaryusza z bronią, objazdy po koszarach dla przypatrzenia się zgrai bez karnośći i bez żołnierskiego ducha, spędzanie stada ludzi i bydła w ciasne obozowisko, mogły zapewnić wygraną, albo przynajmniej odpór porządny,

wrazie prawdziwego ataku na redutę, lub napadu na miasto. I w obec tego rodzaju planów strategicznych przeklinali losy, co ich oddały pod dowództwo tego *bydłęcia*, jak go zwali Mancilla, Soler i inni, którzy przypasali oręż od pierwszych dni rewolucyi amerykańskiej.

Lecz któż temu uwierzy? właśnie ten przewrót porządku rzeczy, sama ta pospolitość i ciemnota Rozasa posłużyły mu na to, iż fanatyczny gmin jego stronnictwa, a nawet wielu którzy nie byli gminem, powiadali i wierzyli, iż wszystko co widzą a co im się dziwnem zdaje, wypływa z *genialności* Rozasa, niedocieczonej dla przenikliwości ogółu. — On wie co robi, — mówili.

A zaprawdę *geniusz* ten nic a nic nie wiedział co robił, ani coby robić powinien we względzie należytej obrony wojennej. Lecz w głębi duszy jego odbywała się praca ciągła i zawzięta: rozmyślał i kombinował jak nasycić swoją barbarzyńską zemstę w razie tryumfu, który już za możliwy zaczynał uważać, nie przez żadne obrachowanie rozumu, ale przez instynkt i przenikliwość czysto organiczne, czysto zwierzęce. Obliczał nazwiska z których wybierał ofiary, układał w myśli sposób wtrącenia w żebractwo połowy ludności; pomysł ten nowy a najstraszniejszy z przestępstw jego, za dni niewiele miał wyjść na jaw w formie prawa. . .

Ponieważ wypadki biegają tak spiesznie, więc i czytelnik musi z równymże jak one pośpiechem towarzyszyć nam w różne strony, między różne warstwy ludzi. Przybywszy prędzej od Corvalana z Santos-Lugares do miasta, przebiegamy ulice: tutaj w całej długości puste, smutne, ponure; tam popychaniem i łokciami musimy sobie torować drogę przez tłumy murzynek starych i młodych, z których jedne niechlujne i obdarte, drugie w świecących atłasach, a wszystkie gadają, krzyczą, ściskają się z czarnymi żołdakami, inne się wrzaskliwie żegnają na odchodnem do *Santos-Lugares*; owdzie schronić się nam trzeba pod bramę, żeby nas nie roztratowały konie galopujące pod świstem batoga *Mashorki*, która gromadą pędzi w myśl wielkich planów obrony swojego *geniusza!* Tu znów przemykajmy prędko, by nie podrażnić spojrzenia, które przez zazdrostkę okna niespokojną żrenicą chciałoby nawet kamieni pytać kto przechodzi, jaki los zawieszony nad głową każdego, nad łóżem starca, nad niemowlęcia kolebką, by się dowiedzieć czy serce ma bić przerażeniem, czy nadzieją jeszcze; czy słońce po raz ostatni dla nich dziś zajdzie, lub ostatni raz przyświeca tój trwodze gnębiącej ducha i ciało, — albowiem przebiegamy miasto, gdzie grunt drży pod stopami, powietrze krwιά wonieje, a na niebie nad niem zdaje się że Boga niema, a na ziemi w niem powiedziałbyś że ludzi niema: wszystkiego zbrakło, pozostały tylko ból i trwoga, straszne wyobraźni widziadła, i passowanie się rozpaczliwe nadziei upadającej pod rzeczywistością, która ją pokonywa, druzgocze i śmiertelnym zagraża jój ciosem. . . .

Biegając tu i tam, nagle napotykamy męża dzielnego i poważnego, który z laską w rękę przestępuje bramę Izby deputowa-

nych, krokiem pewnym i dziwnie stanowczym; i co jeszcze dziwniejsze, spojrzenie jego błędne i twarz jakby szafranem obłana robiły takie wrażenie, jak gdyby ten człowiek miał głowę przyprawną w spreczności, z pewną siebie odwagą objawiającą się w całej postaci.

Naprzeciwko gmachu Izby znajdowała się mała kawiarnia, służąca za rodzaj *Palais-Royal*, dla całego dworu *genialnego* pana, od ósmej do jedenastej z rana, od dziewiątej z wieczora do pierwszej w nocy.

Kiedy około dziesiątej z rana zbliżał się właśnie ów przechodzień do gmachu Izby, z kawiarni wysypał się z tuzin znakomitości federalnych, z piekielnym ostróg brzękiem.

Nasz przechodzień nie spojrzął na nich oczami, widział ich i poznawał słuchem. I nie odwracając głowy, nie przyspieszając kroku, wszedł poważnie do Izby deputowanych i wstępował na wschody prowadzące do archiwum.

Nie miał on bynajmniej interesu ani zamiaru iść do tego archiwum, ani do tego domu. Tylko brzęk ostróg federalnych dał ten kierunek jego nogom, zanim głowa miała czas zdobyć się na jakikolwiek pomysł. I gdy się znalazł oko w oko z urzędnikiem owego biura, nie mając mu nic do powiedzenia, a nie sądząc jeszcze aby było na czasie zatrzymać się, minął go i szedł dalej.

— Panie, co pan sobie życzysz? — zapytał tamten.

— Ja?

— Oczywiście że nie kto inny, skoro pan wchodzi tutaj.

— Zważ, młody człowieku, jest to skutek przyczyn tajnych, głęboko ukrytych, że skoro czas, ten przyjaciel starości a nauczyciel młodych. . . , czas, gdybyś pan wiedział co to jest czas!

— Ja to tylko chcę wiedzieć czego pan tu szukasz, — rzekł urzędnik zaczynając przypuszczać, że ma sprawę z waryatem i nie bardzo sobie życząc zostawać sam na sam w tak niebezpiecznym towarzystwie.

— Widzi pan, szczerze mówiąc, ja nic nie potrzebuję. . . . Ależ z jakiej rodziny pochodzisz znakomity panie?

— Czas biura zamykać, bądź pan łaskaw wyjść, — odrzekł młody człowiek cofając się o kilka kroków tyłem ku drzwiom.

— Masz pan w fizygnomii wyraz talentu, pilności, pracy, jakim piszesz pan charakterem?

— Panie! proszę wyjść!

— Ze wszystkich moich uczniów, bo trzeba panu wiedzieć że ja byłem nauczycielem początków całego Buenos-Aires. O! i jakich ludzi na świat wydałem! Z nich są dziś deputowani, pierwszorzędni negocjanci, czynni, skrzętni, niezmordowani: znasz pan dom handlowy tam. . .

I podniósł trzęcinę indyjską jakby dla wskazania strony o której mówił; lecz młody urzędnik sądząc, że ten się na niego zamierzają, poskoczył ku drzwiom i krzyknął na odzwiernego, który szczęściem nie znajdował się na swoim miejscu.

— Co robisz młodzieńcze nieroztropny, nierozważny, płochy jak wszystka młodzież?

— Jeżeli pan nie pójdziesz, zwołam wszystkich z całego domu.

— Idę, idę, młodziku niedoświadczony i obałamucony.

Lecz zamiast zwrócić się ku drzwiom, wysunął się na jeden z balkonów wychodzących na wprost kawiarni, i duch w niego wstąpił, gdy ujrzał że przed nią nie było nikogo. Powrócił zatem i wyciągnął rękę na pożegnanie do urzędnika, który w przekonaniu że to zbieg z domu waryatów, nie miał odwagi swojej dłoni jego uściskom powierzyć.

— Bądź zdrow, młokosie nieokrzesany, nowicyuszu w szkole świata. Obym się mógł kiedyś wywdzięczyć tobie i najszanowniejszej familii twojej za wyświadczoną mi usługę tak znakomitą i nigdy nie zapomnianą.

I całą swoją pożyczaną powagą zstępował ze wschodów, wyszedł z domu.

Lecz zaledwie doszedł do rogu ulicy, kiedy się spotkał twarz w twarz z nową federalną gromadą, podążającą ku kawiarni.

Nie zszedł ale zeskoczył z chodnika i z kapeluszem w rękę głębokie składał ukłony. Tamci bardziej łaknący śniadania niż grzeczności i nawykli do tego rodzaju pochlebstw, szli sobie swoją drogą, a ten stał jeszcze za nimi i z tyłu im się kłaniał.

Z zawrotem głowy, z bijącymi gwałtownie pulsami w skroniach, i strugami potu zlany, stanął wreszcie przed ową bramą, przy której nasz czytelnik po raz pierwszy z jego osobą zabrał znajomość.

Nieszczęśliwy ex-nauczyciel zastał swego ex-ucznia najspokojniej czytającego *Gazetę Handlową* w wygodnem bujającym się krześle.

— Danielu! Danielu! giniemy!

— Wiem o tém.

— Wiesz? a nie ratujesz nas!

— Właśnie o tém myślę.

— Nie, Danielu, już nie będzie czasu.

— Tem lepiej: w złych razach najlepiej prędko kończyć.

— Tak, ale czy skończymy dobrze?

— Czy dobrze czy źle, zawsze to lepiej aniżeli żyć wiecznie pomiędzy dobrem i złem.

— A to złe będzie . . . ?

— Że nam głowę utną, na przykład.

— Niech ją sobie ucinają tobie i wszystkim konspiratorom, ale nie mnie, którym jest człek spokojny, niewinny, łagodny, nie-niezdolny wyrządzić złe z zamiarem, z rozmysłem. Cóż uczyniłem abym się znalazł jak się znajduję, podobien słabemu czółenku kołatanemu wpośród bałwanów i burz oceanu?

— A! to jeszcze mało pan zrobiłeś?

— Nic nie zrobiłem, panie Danielu, i czas już żeby nasza spółka rozwiązała się, zerwała, rozszarpała po wszystkie wieki. Ja oto jestem najgorliwszy obrońca najprześwietniejszego ze wszystkich Restauratorów tego świata, kocham aż do ostatniego z członków jego najdosłojniejszej familii, tak samo jak kocham i bronię drugiego pana gubernatora . . .

— Don Candido, pan zamierzałeś emigrować, a to jest zbrodnia obrazy federacyi, za którą płaci się głową. A ponieważ pan wziąłeś się na to, aby ją sobie dać ukrećć komukolwiek, czekam tylko żebyś mi powiedział, czy wolisz rękę Rozasa czy Lavalla? W pierwszym razie mogę panu usłużyć natychmiast, zobaczę się tylko z pułkownikiem Salomon. A w drugim zaczekam ze trzy lub cztery dni na wejście generała Lavalle, i przy pierwszej sposobności nadmienię mu o sekretarzu pana Felipe.

— A więc ja już na prawdę tonę?

— Nie panie, kto ma wisieć nie utonie.

— Ależ Danielu, dziecko moje, nie widziszże mojej twarzy? czytasz na niej . . .

— Strach.

— Nie strach, lecz niedowierzanie, obawę, skutek piekielnych wrażeń, jakie na moją głowę znów spadły przed chwilą. Wyobraź sobie, od domu pana gubernatora do twojego dążąc, spotkałem aż dwa razy ludzi co wyglądają . . . ach, wyglądają na dyabłów po ludzku przebranych.

— Albo na ludzi ubranych po dyabelsku.

— Ale bo co to za twarze, Danielu, co za twarze! a jakie noże przy nich! Czy ci się zdaje że który z nich byłby zdolnym mię zabić?

— Nie zdaje mi się, wszak pan im nic nie zawiniłeś.

— Nic nic! ale pomyśl sobie, nuż mię wezmą za innego? omyłka i . . .

— Nie bój się pan; dosyć na dziś o tém. Skoro pan do mnie szedłeś od pana Felipe, musiałeś mieć coś do przyniesienia mi. Cóżto takiego drogi panie?

— Nie wiem, nic ci już nie powiem, nie chcę już ani tajemnic ani polityki.

— A, więc to tajemnicę polityczną miałeś mi pan udzielić?

— Nie mówiłem tego.

— O zakład, że w kieszeni usurduta przyniosłeś mi pan jakiś ważny papier.

— Nic nie przyniosłem.

— I o zakład, iż jeżeli któremu z braci federalnych będzie się podobało przetrząść pana jak ztąd wyjdiesz dla zobaczenia, czy nie masz broni, a znajdzie ten papier, będzie po panu w mgnieniu oka.

— Danielu!

— Cóż? czy nie wolisz pan ten dokument niebezpieczny mnie oddać?

— No, ale pod tym warunkiem, że już nie będziesz po mnie wymagał, abym nadal uchybiał mojej powinności.

— Tem gorzej dla pana, bo Lavallo może za dni cztery będzie w Buenos-Aires.

— Alboż tybyś nie zaświadczył, jak ogromne usługi sprawie wolności oddałem?

— Nie, jeżeli pan się w połowie drogi zatrzymasz.

— Słuchaj, jesteś pewnym, że Lavallo do miasta wejdzie?

— Po toż on pod miasto przyszedł.

— Wiesz co? tak, między nami dwoma, i ja tak myślę, i dlatego spieszyłem do ciebie. Tu są dwa dokumenta znalezione w łodzi, którą wczorajszego wieczora zabrano. Co tchu przepisałem je dla ciebie. Masz, czytaj, ciesz się!

Lekki rumieniec prześliznął się po twarzy Daniela, na której ostatnie dni pozostawiły po sobie ślady silnych duszy wstrząśnień. Szybko papiery rozwinął i chciwie utkwiał w nie oko. Lecz przez ciąg czytania na wyrazistem jego obliczu przesuwały się widocznie chmury smutku i wątpienie.

— Cóż ty na to? — spytał D. Candido, skoro Daniel przestał czytać.

Młodzieniec nie odpowiedział.

— Przyjdą nasi, Danielu, przyjdą.

— Nie, panie, pójdą sobie, — odrzekł tenże mnąc papier w rękę; powstał i przechadzał się wielkimi krokami z oznaką zniecierpliwienia i gniewu na twarzy.

— Czyś zwaryował, Danielu?

— To inni powaryowali, nie ja.

— Ależ Lopez pobity. Ależ sam Lavallo pisze, donosi co się dzieje we wszystkich prowincjach, aż het tam daleko. To pożar na wszystkie strony, Rozasa wszyscy odstępują. Sprawa wolności, sprawa nasza idzie naprzód szybkim krokiem.

— Na nic się nie zdało.

— Nie widzisz, jaki tych bohaterów ożywia zapał gorący, ognisty, płomienisty, gromy, pioruny zięjący?

— I to się nie zdało na nic.

— Sam nie wiesz co mówisz, Danielu.

— To oni nie wiedzą co robią, zajmując się prowincjami, a tém samém wykazując że nie mają wiary w siebie, i nie widzą iż tryumf mieliby tuż pod ręką. Fatalność, dziwne przeznaczenie prześladowe to stronictwo, a z niem cały kraj! — zawołał młodzieniec chodząc ciągle gwałtownym krokiem po sali, podczas gdy Don Candido przypatrywał mu się w osłupieniu.

— A więc, my federaliści dobrze powiadamy . . .

— Że unitaryusze na licha się zdali, masz słusność, Don Candido.

W téj chwili dały się słyszeć dwa silne stuknięcia młotkiem w bramę od ulicy.

IV.

Pilades w gniewie.

Don Candido wzdrygnął się.

Daniel zmienił fizyognomię, jak gdyby zdjął z siebie jedną twarz a nałożył drugą: poprzednią widocznie pomieszaną i zmienioną, terazniejszą spokojną i prawie uśmiechniętą.

Służący oznajmił damę. Daniel kazał prosić, i po chwili weszła kobieta z chrzęstem jakby w papierowej sukni, z pół-łokciową federalną kokardą, z czarnemi świecącemi lokami przy policzkach śniadych i wydętych.

— Oh! — wykrzyknął Don Candido.

— A, to wy oba? Pilades i Orest?

— Ci sami.

— Oto Pilades, — rzekła wyciągając rękę ku professorowi.

— Pani jesteś kobietą, zły wróżby, — odrzekł usuwając się od niej.

— „Więc ani miłość, ni przyjaźń prawdziwa,
W twojem łonie ze spiżu nigdy nie przebywa?“

— Dałby to Bóg, żebym cały był ze spiżu! — westchnął Don Candido.

— A szczególnie szyja, nie prawdaż, drogi professorze? — zauważył Daniel.

— Jakto? Czyż na ofiarę wskazana głowa Piladesa?

— Nie! ani pani takich bluźnierstw nie powtarzaj więcej!

— Wielka rzecz głowa!

— Nie wielka rzecz głowa pani, bo ta . . . ale moja . . .

— A twoja cóż waży w obec hekatomb na jakie świat patrzył? Azaliż głowy Antoniusza i Cyncerona na kapitole nie zostały ścięte, jak mi to czytał nieśmiertelny Juan Cruz? Alboż was na skrzydłach swoich nie uniesie potomność?

— Bodajby panią dyabeł na rogach uniósł.

— Alboż dwadzieścia i trzy pchnięć sztyletu nie ugodziło w Cezara?

— Danielu! jeżeli ta kobieta nie jest posłanniczką szatana, to jej niewiele do tego brakuje! To czarownica, albo córka czarownicy: zle za nią chodzi. Ile razy zbliżyliśmy się do niej albo do jej domu, zawsze nas nieszczęście spotkało. Danielu! jako twój dawny professor, jako twój przyjaciel stary, mający dla ciebie szacunek, miłość i przywiązanie, rozkazuję ci, oddal tę kobietę, do której sukien wyraźnie zły duch przyczepiony!

— „Milcz niepokromiony w zuchwalstwie języku!
Piękną płeć znieważać śmiałeś nikkzemniku?“

— Piękna? ona piękna? — i Don Candido wskazywał na nią palcem.

— „Cóż to? w jakie sidła zdradzieckie wpadły moje kroki?“

— O, to tylko dlatego, że ten pan jest nieco excentryczny, rzekł Daniel do znieważonej piękności, nie mogąc się powstrzymać od uśmiechu.

— A! musiał odbyć nauki na literaturze angielskiej! — zawołała obrzucając wzdrgniętym spojrzeniem oblicze profesora, który trzymał się w znacznej odległości od swojej antagoniczki. — Gdyby był jak ja kształcił się na literaturze greckiej i łacińskiej, byłoby wcale co innego. Przebaczam mu.

— Pani umiesz po grecku i po łacinie? pani?

— Nie, lecz znam ducha tych umarłych języków. Tak, człeczce prozai czny.

— Danielu, wypchnij ją za drzwi od jednego waryata stu poszaleje!

— Jakto? Senior Don Daniel, mąż tej wysokości literackiej, w zażyłości z istotami pospolitemi, których zgon tak jak żywot niski i nieznan? Lecz nie; nam żyć w niezmienną liryczną harmonii. Wszystkie troje przebyliśmy straszne dramatyczne ustępy. Żyjmy łącznie i umierajmy złączyeni! Oto ręka moja, — i postąpiła ku Piladesowi.

— Nie chcę, precz odemniel — rzekł cofając się.

— „Pójdź, i na ojczyźnie ołtarzach w tój dobie,
Rzym zbawić pospołu przysięgnijmy sobie.“

Don Candido odskoczył jeszcze dalej. Daniel słuchając tych dwóch nie pospolitych oryginałów czuł że go śmiech napada, a nie chcąc niemi profanować bolesnego stanu swojej duszy, przerwał deklamację mówiąc:

— Masz mi pani coś do powiedzenia, przejdźmy do mojej pracowni.

— Tak idźmy: są to za światowe sprawy bogów, wyraźnie niezbadane.

— Krzyż ci dyable! — zawołał Don Candido robiąc za nią znak krzyża, gdy wraz z Danielem wychodziła z pokoju.

— Douglas przybył dziś o świcie, — rzekła gdy drzwi się zamknęły, — oto list.

Daniel odczytał i pogrążył się w dumaniu przez kilka minut. Donia Marcellina, która jak wiadomo była jednym z jego tajemnych kuryerów, użyła tego czasu na przejrzenie tytułów ksiąg znajdujących się na pułkach, i uśmiechała się i kiwała głową jakby witała dawnych znajomych.

— Znajdziesz pani dziś Duglasa przed trzecią z południa?

— Bez zawodu. Nieustraszony żeglarz w téj dobie słodyczy
snu kosztuje.

— Dobrze, więc mu powiesz pani, że potrzebuję się z nim
widzieć tutaj, dziś przed wieczorem. Nie trać pani czasu.

— Lecę na skrzydłach przeznaczenia.

— Nie leć pani, ale idź po prostu: w tych czasach nie trzeba
zwracać na siebie uwagi zbytecznym pośpiechem.

— Idę za polotem myśli twoich.

— Ale, ale! jakże się ma Gaeta?

— Losy wybawiły go od śmierci.

— Czy już wstał?

— Na łożu boleści dotąd odpoczywa.

— Tém lepiej dla mego przyjaciela Don Candido. Żegnam
panią.

— Bogowie niechaj nad tobą czuwają!

Don Candido przechadzał się po sali, kiedy weszła z powro-
tem deklamatorka. Raptownie obrócił się do niej tyłem, i zaczął
się przypatrywać portretowi ojca Daniela.

Donia Marcellina przystąpiła do niego i kładąc mu rękę na
ramieniu, rzekła:

— A znasz ty cierpienie?

— Nie pani, nie chcę się z niém poznać.

— Gaete żyje;—mówiła dalej zgrubiając ton głosu.

Trąba sądu ostatecznego mniej przeraziłaby, niż te dwa wy-
razy organ słuchu o który się obity.

— I przesyła ci ukłony,—kończyła zawsze z dłonią na ra-
mieniu swego Piladesa.

— Pani! spiknęłaś się z szatanem na zagubę mojej duszy!
Daj mi pani spokój, na miłość Boską!

— Szuka cię, zazdrosny jak tygrys, bo mu porwałś serce
Gertrudity.

— Ja? pani jesteś waryatka, szalona, idź sobie!

— I umrzesz pod sztyłem Brutusa.

— Jeżeli pani nie pójdiesz, będę wołał żeby kto przyszedł
i wypchnął.

— I po żelazie krew spłynie z twego zatwardziałego serca.

— Święta Barbaro! Danielu!

— Milcz!

— Pani jesteś szpiegiem tego przekłętogo mnicha. Już te-
raz rozumiem. Danielu!

— Milcz! nie wołaj Daniela!

— Nie chcę milczeć, będę krzyczał, zwiążę panią powozem
od studni, Danielu!

Na te gwałtowne okrzyki ukazał się we drzwiach Daniel, i poj-
mując mniej więcej co zaszło, zapytał z najpoważniejszą miną:

— Jakaż tu ofiara pada pod nożem kapłana?

— Ona szpieg, Danielu, ty nie wiesz, to szpiegl—wołał professor wskazując palcem na kapłankę.

— Widma jego zbrodni w szal go wprawiają!—zawołała z uśmiechem—i pozdrawiając ręką Daniela, wyszła z pokoju.

Orestes łagodną perswazyą starał się uspokoić rozjątrzenie Piladesa, a po krótkiej z nim rozmowie, znów przez swój gabinet przeszedł do sypialnego pokoju, gdzie się znajdowali Doktor Alcorta i Edward Belgrano.

List przywieziony przez Duglasa pochodził z Paryża i donosił o mianowaniu na dowództwo wyprawy do Rio de la Plata admirała Mackau, który już w lipcu miał ruszyć pod żagle.

— Nic mię to nie pociesza—mówił Daniel po przeczytaniu listu wraz z przyjaciółmi. Wyprawa przybędzie za późno, a tymczasem staje się pobudką, że z Montewideo piszą a piszą do generała, aby nie narażał swojego wojska i czekał na pomoc z Europy, która albo nie przyjdzie, albo Rozas pozyska sobie Francuzów nim siły ich do Janeiro dopłyną.

— Ależ to byłoby haniebnem ze strony Francyi!

— Mój Edwardzie, polityka nie zwykła mierzyć swoich postępów moralną miarą prywatnych.

— Ach, gdybym ja był Lavallem!—zawołał znów Edward.

— Gdybyś był Lavallem jużbyś oszalał do téj pory. Wszyscy jakby mu na przekór robili. Odmowa komendanta Penau wysadzenia na ląd wojsk w żądanym przez niego punkcie sprawiła, że generał traci czas i konie, które na niego tam czekały. Zawiść Rivery płącze mu wszystkie kroki od roku. Przywidzenia doktorów Unii wbijają mu w głowę cały świat uśmiechających się nadziei olśniewających obietnic względem pomocy od prowincyi, i generał przybywa, dotyka się palcem rzeczywistości i pomocy owęj nie znajduje. Codziennie setkami listy najsprzeczniesze przychodzą z Montewideo do niego, do jego dowódców, do oficerów, żeby szedł, żeby nie szedł, niech się spodziewa, niech się nie spodziewa. Dzie sięciu ludzi nie myśli jednakowo. I generał w niepewności, waha się, lęka iść wbrew zdaniom ludzi poważnych nazwiskiem, i postępuje opieszale, rozdrabnia siły przeciw nic nie znaczącym oddziałkom, i oto dziś 3 września, a on zaledwie o milę od Luchan. A tymczasem Rozas pokrzepia się moralnie, lud jego powoli ochłonie z pierwszego wrażenia, i Lavalle po to zbliży się do miasta, żeby je ujrzyć i zawrócić się; albo może po to, by wiele krwi się rozlało, którą wcześniej o dni dziesięć możnaby było oszczędzić,—mówił Daniel tonem pełnym gorczy i boleści, który widocznie przejął smutkiem obu jego przyjaciół.

— Wszystko to prawda—odezwał się posepnie Alcorta—i na biedne miasto spadnie cały gniew Rozasa, czego początki już widzimy.

— Tak, miasto, po części winne współnictwa z tyranią, która je gnębi, zapłaci swoją krwią, wolnością, czcią swoją, za wahanie się sił zbrojnych, za egoizm obywateli niedbałych o los kraju i o swój

własny. Wiele, bardzo wiele krwi popłynie, jeżeli Lavalie się cofnie, i przez długie lata nie będzie co myśleć o upadku Rozasa!..

— Ale mówimy tylko w przypuszczeniach—przerwał Edward — dotąd wojsko idzie naprzód, zobaczymy jutro, pojutrze. Ty sam masz jeszcze nadzieję, skoro układasz plany, o których właśnie uwiadomitem naszego przyjaciela.

— Wątpię, czy wam się uda pierwszy—rzekł Alcorta.

— To niestuszenie. Prawda że nas jest nie wielu, ależ czterdziestu ludzi gotowych na wszystko, wystarczy. Wybrałem dobry punkt w ulicy długiej i prostej; taras który stanowić będzie punkt zborny, posłuży nam doskonale do oczyszczenia drogi, jeżeli generał stosownie do mojej rady i prośby, wkroczy od strony Barak.

— A broń?

— Mam czterdzieści sześć karabinów i trzy tysiące nabojów, które kazałem kupić w Montewideo: wszystko bezpiecznie schowane w Buenos Aires. Co do sygnału, o tém mi dadzą znać od wojska, jeżeli tylko postanowią atak.

— Daj Boże! Drugi plan pochwalam zupełnie: w każdym razie potrzeba usunąć wszelkie domowe niepokoje. Ale z drugiej strony dostanie się na statek trudne i niebezpieczne.

— To najmniejsza, Doktorze. Mam swoich agentów. Poślę dziś list z uwiadomieniem do komendanta jednego z okrętów blokady, prosząc go o zbrojną *ballenerę*, bo jedyne niebezpieczeństwo może się trafić w spotkaniu łodzi z zarządu portowego, które często snują się wzdłuż brzegów. Proszę go by mi sam wyznaczył dzień i sygnał, jakim się mam porozumieć z *ballenerą*.

— Czy pani Dupesquier niesprzeciwia się już temu zamiarowi?

— Wczoraj wieczorem rzecz stanowczo ułożoną została. Powietrze Buenos-Aires ją zabija, ozdrowieje skoro wolniej odetchnie; lecz nakłonić się głównie dała przez wzgląd na córkę.

— Jednakże—mówił Alcorta—zaczna kobieta zgadza się na to, byś ty pozostał, chociaż kocha cię jak syna.

— I będę nim, byłbym już dzisiaj gdyby tego chciała. Ale jest przesądna, jak każda uczuciowa kobieta, i lękałaby się związku zawartego w tak okropnie smutnych chwilach.

— Zapewne, lepiej że tak będzie. Kto wie jaki nas los czeka! niech się przynajmniej kobiety ocala... Ale czas już na mnie, muszę śpieszyć. Wszak jedziecie dziś do San-Isidro? Bądźcie ostrożni, na Boga!

— To już ostatnie nasze przejażdżki; jak tylko panią Dupesquier wyprawimy, *puszka* zostanie znów pustką.

Dwaj młodzieńcy uścisnęli z serdecznym wylaniem swego zanego professora filozofii.

V.

Kontrabanda ludźmi.

Zaledwie wyszedł doktor Alcorta, kiedy z gabinetu Daniela, przylegającego jak wiadomo do sypialni, dały się słyszeć dwa klaśnięcia w dłonie. Daniel zdziwiony nieco tém wezwaniem pochodzącym z pokoju do którego nikt nie wchodził bez jego rozkazu, poszedł tam natychmiast.

— Ach, to pan, mój kochany mistrzu?—rzekł znajdując go w gabinecie.

— To ja, Danielu, ja. Przepraszam cię, ale widząc że tak długo nie przychodzisz, zaczynałem przypuszczać, żeś się może wymknął jakimi drzwiami ubocznymi, skrytymi, dla mnie nieznanymi, a ponieważ od niejakiego czasu unikam samotności... Bo trzeba ci wiedzieć szacuny Danielu, że samotność wpływa na wyobraźnię, która to władza jak utrzymują filozofowie, służy na dobre i służy na złe, i z téj przyczyny ja daję pierwszeństwo nad nią władzy pamięci, bo ta według zdania Kwintyliana...

— Edwardzie!

— Jakto! Belgrano tutaj!—zawołał mówca ujrzawszy wchodzącego.

— Tak panie, i wołam go żeby przyszedł mi pomódz wysłuchać pańską dySSERTACYĄ.

— A więc dom ten jest samołówką zguby dla mnie! Co to znaczy Danielu? żądam wytłumaczenia szczerego, stanowczego, jasnego. Chcę wiedzieć rzecz która wyświeci, określi i ustali moje położenie, chcę wiedzieć co to za dom?

— Ależ mój kochany mistrzu, dom jak zwyczajnie.

— To nie odpowiedź. Dom to niezwyczajny. Bo w nim spiskują unitaryusze i spiskują federaliści.

— Co się panu śni?

— A tak: nie ma kwadransa jak przyjmowałeś tu kobietę szpiegującą na rzecz tego mnicha szatańskiego, który poprzysiągł moją zagładę i potępienie, a teraz z twoich ustronnych pokoi zjawia się przedemną ten młodzieniec tajemniczy, który odbiegłszy domowego ogniska snuje się od domu do domu, z wszelkimi pozorami sprysiężenca zaczajonego i skrytego. Otóż mówiąc ci raz, dwa i trzykrotnie, iż na mojem urzędowaniu tak wysokiem i drażliwem, nie mogę zachowywać stosunków z domem, do którego nie da się zastosować jasne gramatyczne określenie. I odkąd nie wiem co to za dom, powstrzymam się od wszelkiej z nim czynności i obcowania.

— Wspaniała wymowa! ale mości sekretarzu, pan oskarżasz o knucie spisków mego przyjaciela, a między kolegami to wcale niegrzecznie.

— Kolega? Byłem jego mistrzem w czasie, gdy on był dziećciem słabém, niewinném. Ale później...

— Później ukrywałeś go pan w swoim domu.

— To był czyn mimowolny i mimowiedny. Lecz kolegą jego w niczém nie byłem.

— Ten pan jest sekretarzem z ramienia generała Lavalle.

— Sekretarz z ramienia... generała Lavalle!—zawołał Don Candido patrząc na Edwarda oczami, które zdawały się wychodzić ze swéj oprawy.

— Ponieważ zaś pan jesteś sekretarzem ministra Arama, ztąd wynika koleżeństwo z sekretarzem generała Lavalle.

— Sekretarz generała Lavalle! i zemną rozmawia?!...

— I tak wielce obowiązany za doznaną od niego gościnność, iż pierwsza moja wizyta za dwa lub trzy dni będzie do domu mego zacnego kolegi.

— Do mego domu? Nie, dla pana nie ma mnie w domu.

— A, to co innego. Myślałem że odwiedzając mego dawnego profesora w towarzystwie kilku z jego uczniów, którzy tu wejda z naszym wojskiem, będziemy mogli ochronić go od słusznej zemsty, jaka może spotkać wszystkich co służy Rozasowi i jego ministrom. Lecz skoro pan nie chcesz, każdy ma prawo dać się powiesić, jeżeli taka jego wola.

— Ależ panie sekretarzu! — odparł D. Candido w niewypowiedzianem zakłopotaniu, — ja przecież tego nie mówię na taki wypadek, gdyby tutaj byli waleczni i nieustraszeni obrońcy Jego Excellencyi generała Lavalle, tylko... Danielu... mów za mnie moje dziecko... bo u mnie w głowie jak w piekle!

— Niema co mówić, kochany profesorze, a pański kolega rozumie dobrze, wszyscy się rozumiemy, a raczej zrozumiemy się.

— Tylko nie ja, mój drogi Danielu; ja zstąpię do mogiły nie rozumiejąc, nie pojmując, nie wiedząc zgoła co robiłem, czém byłem w téj epoce pełnej klęsk, zgrozy i ohydy.

— Pan jesteś naszym, Don Candido, — rzekł Edward.

— Jestem wszystkich, tak, wszystkich. Oto nawet wczoraj wieczorem łzy mi z oczu spłynęły, kiedy mi Don Felipe dyktował ten przerażający wstęp do ustawy, która świat cały w otchłań nędzy wtrąci.

— Ach, tak, ten wstęp, — rzekł Daniel mocno zciekawiony, lecz nie chcąc by się D. Candido tego domyślił.

— A jakże! ty pewno już wiesz o co idzie?

— Oczywiście! wczoraj wieczorem! i jeszcze nie skończył ustawy D. Felipe?

— Nie, mój drogi. Ma być jeszcze wiele uwag, jak on powiada, ale podyktował mi tylko pierwszą i tę przepisałem na czysto, podarłszy dziesięć czy jedenaście brulionów, które mi podyktował pan minister.

— Święta Barbaro! Założyłbym się, że pan napamięć ją umiesz po tylokrotném pisaniu jednego.

— Mniej więcéj. Zawsze treść ta jest, że mają być zabrane wszystkie majątki unitaryuszom natychmiast po zwyciężeniu generała Lavallo, u którego przezacnym sekretarzem jest mój znakomity uczeń. I z rozkazu Jego Excellencyi pana Restauratora, Jego Excellencya pan vice-gubernator zabrał się do wypracowania projektu do prawa, aby było gotowe na wypadek, który nie będzie miał miejsca według głębokich przekonań mego zaszczytnego i szanownego kolegi.

Daniel i Edward spojrzeli po sobie, wzrokiem rozmówili się, zgroza odmalowała się wyraziście na ich twarzach. Wśród téj płątaniny słów i myśli, uchwycili oni pomysł nad którym pracowała głowa tyрана, a za pomocą którego miał w razie tryumfu ostateczną wyrzucić zemstę nad całą nieprzyjazną sobie ludnością.

— Otóż więc, — mówił dalej D. Candido, — lzy mi ciekły strugą patrząc na tyle rodzin przywiedzionych do nędzy, gdyby przypadkiem, trafem, nieszczęściem, świetny oręż wolności nie zdołał pokonać téj sprawy, w której to najlepiej wiesz Danielu i sam powiedzieć tylko możesz, iż ja nie biorę żadnego czynnego udziału, wypływającego z mojej woli, z mego. . .

Kołatanie do bramy urwało słowo na ustach mówcy. Daniel zostawiając sam na sam obu sekretarzy, przeszedł przez salę i otworzył drzwi od dziedzińca.

— A! to pan Duglas, czekałem na pana. Proszę wejść. Cóż tam słyhać w Montewideo? radość?

— O tak, wszyscy wybierają się tutaj, a ztąd się wszyscy zacierają na tamtą stronę, — odrzekł Anglik ruszając ramionami.

— To się zarabia niemało grosza?

— Ba! więcéj warta moja głowa, panie Danielu.

— Nie przeczę. Ależ łatwiej uchwycić za poję samego dyabła, niż złapać pana.

Anglik roześmiał się.

— Wiesz pan co? bierze mię chętką żeby mnie wytropili, dla zobaczenia czy się przelekne. Bo dla mnie to wszystko zabawka. W Hiszpanii przemycałem tytuń, a tu przemycam ludzi; zawsze kontrabanda.

I śmiał się jak dzieciak .

— Pan płacisz najlepiej, — mówił dalej, — jesteśmy więc na rozkazy, moja *ballenera*, czterech ludzi umiejących dać ognia i robić wiosłem, i ja, sam za czterech staję.

— Dziękuję. Znasz pan dobrze pobrzeże przy *Oliwkach*?

— Jako? — odrzekł kontrabandzista otwierając szeroką dłoń, wskazując ją Danielowi.

— Czy może tam z łatwością łódź przybić?

— Jeżeli woda wysoko wzbierze.

— Dobrze. Na dziś niema nikogo do zabrania. Tylko dzisiejszej nocy zawieszysz mi pan ten list do eskadry blokującej, a jutro przed dziesiątą oddasz mi odpowiedź. Zrana także przyniosą do pana kufry i paki z kobiécemi sukniemi, i kosztownościami:

te pan sam odstawisz do okrętu, który ja panu wskażę po odebraniu odpowiedzi na mój list. Zapłata, jaką pan sam oznaczysz.

— To najlepiej, — mówił Anglik zacierając ręce, — otóż to co się zowie po ludzku!

I odebrawszy list, odszedł kontrabandzista tytoniu w Hiszpanii, a ludzi w Buenos-Aires. Nie on jeden, lecz wielu trudniło się tym przemysłem przez tych kilka lat srogich prześladowań w tym mieście. Zapewne że robili to w widokach zysków, jakie im przynosiło ich narażenie się, lecz niemniej pewnem także, iż winno im życie wieluset znacznych obywateli miasta, którzy gdyby nie opieką téj nowego rodzaju kontrabandy, byłiby się stali pastwą kuli lub sztyletu Rozasa. Nie można również pominąć faktu zaiste bardzo wiele mówiącego. Oto kiedy doniesienia i zdrady bywały tak hojnie wynagradzane, i kiedy dzień jeden nie upłynął, ażeby władze Rozasa nie otrzymały takowych z ust synów téj ziemi, z pomiędzy cudzoziemców, Włochów, Anglików, Amerykanów północy, mających w ręku tajemnicę i osoby wychodźców, wiedzących nadto o wysokim stopniu, jaki niektórzy z nich zajmowali w społeczeństwie, coby im zapewniało nader wielką nagrodę ze strony dyktatora, ani jeden wszakże nie sprzedał powierzonych mu tajemnicy, nie zdradził zaufania.

VI.

P a t r o l e.

We dwa dni po owój dobie, w której Pilades przebył tak straszne umysłu i ciała wstrząśnienia na ulicach i w domu swego przyjaciela Oresta, to jest w dniu 5-tym wrześnie, całe Buenos-Aires było w zamęciu i rozstroju myśli, obaw i nadziei; po stronie przeciwników dyktatury objawiały się one ciszą i skupieniem się, między federalistami ruchem nadzwyczajnym wzbudzonym przez gwałtowne zaniepokojenie: od godziny jedenastej rozeszła się pogłoska że wojsko Lavalla znajduje się o milę od kaplicy *Merto*, a zatem dnia następnego może się ukazać w *Santos-Lugares* lub w samym mieście.

Nie można powiedzieć ażeby zbliżenie się tych *nieprzyjaciół Boga i ludzi* ściągnęło liczniejsze zastępy ku obronie koszar, forticy i wszelkich punktów obsadzonych załogą; lecz między *przyjaciółmi religii i ludzkości* każdy z osobna kręcił się za czterech, przebiegając galopem miasto z końca w koniec, zwiastując sobie groźną wieść nawzajem, okraszając rozmowy najświetniejszymi z przekleństw federalnych. Kronika współczesna nie potrafiłaby sprawdzić do jakiego stopnia waleczność udział miała w téj hałaśliwej i ruchliwej podstawie a jaką częścią przykładała się do niecierpkości, bowiem wszystkie ostateczności stykają się z sobą w natu-

rze, i napozór okazują się też same skutki z przeciwnych sobie przyczyn. O tém tylko z pewnością twierdzić może, iż ruchu i krzyku było wiele, a po znużeniu koni i płuc, punktem zbornym dla wszystkich był dom żyjącego bohatera, i nieboszki bohaterki; a że w nim nie zastawali pierwszego który się znajdował w *Santos-Lugares*, ani drugiej której miejsce pobytu Bogu tylko wiadome, trzecia w nim istota za wszystkich pokutować musiała. Biédnej córki Rozasa przeznaczeniem było patrzeć na całą ohydę systemu rozpasania i mordów, ocierać się o najbezpieczniejsze szkarady, zgorzszczenia i cynizmu, w tym przewrocie naturalnego porządku społeczeństwa, gdzie z dna męty na powierzchnię wyprowadzone spływały śmietanką zbrodni i upośledzenia rodzaju ludzkiego.

Cała stajnia w domu Rozasa zapchana była końmi, a ponieważ silny dął wiatr od południo-wschodu, wszystkie wstęgi u ogonów i pióra na głowach federalnych wierzchowców, wiewając pod jasnym blaskiem wrześniego słońca, zdawały wyglądały niby czerwone kręgi płomieni z bram piekła buchające.

Wielki podwórzec, dziedzińce, kancelarye, dom cały z wyjątkiem mieszkalnych dyktatora pokoi, przedstawiały istne mrowisko. Cały świat federalny wchodził i wychodził nie wiedząc po co. Może tam najpierw wiesz przyjdzie o zwyczajtwie lub pobiciu Lavalla?

Jedna wszakże warstwa tych stworzeń wchodziła do domu Rozasa dla widzenia Manueli z celem *ex-profeso*, rzeczywiście: były to murzynki.

Wśród zjawisk społecznych najgodniejszych zbadania w epoce terroryzmu, przedstawia się dość wybitnie plemię afrykańskie, przechowujące zaledwie tylko swoją krew rassową, lecz znacznie zmodyfikowane przez język, klimat i obyczaje amerykańskie. Rassa Afryki kolorem skóry, pleba Buenos-Aires z wielkich innych względów.

Od pierwszych dni naszej rewolucyi, przepyszne prawo zapewnijające wolność dla rodzących się, przyszło na ratunek tej nieszczęśliwej części rodu ludzkiego, którą i do vice-królestwa La Platy chciwość i okrucieństwo europejska zawlokły. Na ziemi Kolumba Buenos-Aires najpierwsze dłoń wolności osłoniło głowę Afrykanina, nie chcąc widzieć upośledzenia człowieka na czole wodzą chrztu obmytém. A jednak taż sama wolność co odrodziła i ręką swoją skruszyła kajdany niewolnika, nie miała w dniach terroryzmu zaciętszego i przemysłniejszego wroga nad to afrykańskie plemię.

Nic dziwnego że stanęli oni po stronie Rozasa, nawet za rzecz prostą uważaćby można iż dla niego byli do ofiar i wszelkich poświęceń gotowi; gdyż nikt tak jak on nie schlebiał ich skłonnościom, nie obudzał uczucia próżności dotąd nie znanego dla tej warstwy ludności, która za swego położenia a nawet ze swój natury zajmowała ostatni szczebel w społeczném stopniowaniu. Nie po-przestawał on na obietnicach, na uwzględnieniu ich roszczeń:

wszyscy jego dostojnicy, rodzina jego, córka, bratali się z niemi federalnie, tańcowali z murzynami. Przy badaniu zatém tój ciekawej epoki nie zdziwiłyby nikogo zapał i fanatyzm pleby argentyńskiej ku rządowi, który ją tak protegował i wysoko ugodniał.

Lecz co zwróci uwagę i zastanowi umysł, i coby później powinno zająć pracowników odrodzenia tój biédnej krainy, to są instynkta przewrotne, które się tak niesłychanie szybko i samodzielnie w tój części społeczeństwa rozwinęły.

W murzynach a szczególniej téż w kobietach czarnych, Rozas miał swoich najgłówniejszych donosicieli.

Uczucie wdzięczności okazało się płónném w ich sercach. Tam gdzie ich dzieci chlebem darzono, gdzie sami otrzymywali zapłatę i hojnej doznawali szczodroty, wśród rodzin naszych grzeszących nadmiarem w rozdawnictwie, w pobłażliwości, w pospolitowaniu się że tak powiem ze służbą domową, tam oni wnosili potwarz, nieszczęście, śmierć.

List bez znaczenia, ubiór, wstążka z błękitną prążką, to już była broń; a jedno spojrzenie które się nie podobało, jedna wypadkiem trafiająca się nagana ze strony pana domu lub kogo z jego rodziny, dostateczne, by z broni tój zrobionym był użytek. Zaraz policya, Donia Marya Józefa, lub kto z koryfeuszów *Mashorki* otrzymywał doniesienie zawierające w sobie ruinę lub żałobę całej rodziny, bo w Buenos-Aires poszlakowany o należenie do obozu unitaryuszów, tém samem był już wyjęty z pod prawa, rzucony na pastwę wszelkiej zniewadze, wszelkiej zbrodni.

Nienawiść ku uczciwym i zamożnym społeczeństwa klassom była w czarnych nieudana i głęboka; skłonność do wyrządzenia złego zarazem otwarta i chytra, przemyślna, a sprzyjanie Rozasowi szczere i niezachwiane.

Od czasu wyjścia dyktatora z miasta a z nim batalionów murzyńskich znajdujących się w załodze, murzynki zaczęły także na swój rachunek wyruszać do obozu porzucając służbę w domach. Lecz przed wyjściem gromadami przedstawiały się u Manueli lub u Doni Ezcurra z oznajmieniem że one także idą walczyć za Restauratora praw.

I w dniu który opisujemy, nie mała ich liczba tłoczyła się w dziedzińcach i krążgankach domu Rozasa, a pożegnania ich cechowała zagłuszająca wrzawa.

Był to dzień jubileuszu w tym domu tak słynnym w dziejach tyranii.

Donia Marya Józefa ulokowała się w nim od jedenastej z rana, i wieczorem jeszcze wyczekiwała z drugimi czy nie przybędzie posłaniec z obozu niosący wiadomość że Lavalle posuwa się naprzód, albo że federalne hufce zastąpiły mu drogę i na miazgę rozbiły swoim niezwygionym orężem i gromami *geniusza*.

Nagle dał się słyszeć w dali strzał armatni: wszyscy się wstrząśli.

Manuela zatrwożyła się widocznie. Jój niechodziło o polityczną sprawę: obawa o życie ojca wzbierała w jój sercu uczuciem bolesném.

Przez długą chwilę wszyscy słuch natężyli, lecz nadaremnie.

Wtém tłumy poruszyły się jak fala, prąd płynął aż z dziedzińca, i wszyscy obrócili oczy ku drzwiom, przez które z po za gęstych kłębów tytoniowego dymu, można było dojrzyć oblicze naczelnika policyi, i dosłyszeć głos, odpowiadający na pytania.

— To nic, zupełnie nic: zwykły wystrzał Francuzów na ósmą.

Manuela westchnieniem ulżyła uciskowi serca, i żywo spytała pana Victorica, który przystępował dla powitania jój:

— Czy nikt nie przybył?

— Nikt, seniorita.

— Ach Boże! od jedénastój nie mam ani słówka wiadomości!

— Wysłałem z raportem dziennym do pana gubernatora; posłaniec powinien wrócić przed dziewiątą: najdalej za godzinę może się coś dowiemy.

— Dałby to Bóg, sądzisz-że pan iż są już blisko Santos-Lugares?

— Nie zdaje mi się, według mego obliczenia muszą być jeszcze o jakie kilka mil.

— Ale jeżeli przez wieczór iść będą? — pytała jeszcze chciwie czekając na odpowiedź.

— Oh nie! ani wieczorem, ani jutro zapewne; Lavalle niewiele ma ludzi, musi ich należycie przysposobić.

— Jakaż może być liczba jego sił? powiedz mi pan prawdę, proszę — mówiła prawie do ucha naczelnika policyi.

— Prawdę? o to dziś nie tak łatwo; lecz według danych, o ile sądzę najpewniejszych, Lavalle musi mieć z sobą trzy tysiące ludzi.

— Trzy tysiące! a mnie upewniano że zaledwie tysiąc! — zawołała.

— Alboż nie mówiłem pani że trudno o prawdę?

— O, to okropne!

— W wielu rzeczach oszukują panią.

— Wiem o tém. We wszystkiém oszukują mię wszyscy.

— Wszyscy?

— Z wyjątkiem pana, panie Victorica.

— Pocóż to już teraz oszukiwać? — odparł naczelnik policyi zżymając ramionami, jakby tym ruchem chciał powiedziéć: wszystko rezykujemy, godzina wybiła i niemamy kogo oszukiwać, chyba siebie samych.

— A ojciec mój ile ma wojska? Tylko prawdę również chcę wiedziéć.

— To bardzo łatwo. W Santos-Lugares ma 7 do 8 tysięcy.

— A tutaj? w mieście?

— Tutaj? wszystkich i nikogo.

— Cóż to ma znaczyć?

— To znaczy, iż stosownie do wiadomości jakie nam przyjdą jutro lub po jutrze, będziemy mieli co niemiara żołnierzy, albo się pokaże iż niemamy nikogo.

— Ach! tak, tak, już wiem! — odrzekła z żywością Manuela zrozumiawszy słowa, które jęj się zrazu paradoksem być wydały. Ona wiedziała najlepiej ile wiary przywiązywać można do gadań tych istot nikczemnych, które ją otaczały; że tylko mężni byli ze sztyletem nad bezwładną ofiarą.

— Ale pan mi udzielisz wiadomości natychmiast, skoro przyjdzie tego wieczora? — dodała — nieprawdaż?

— Nie wiem, seniorita, bo w tój chwili jadę do portu, i poleciłem żeby tam za mną posłaniec za powrotem podążył.

— Do portu! Alboż pan nie jesteś potrzebniejszym w mieście?

— Mnie się zdaje, seniorita, że ja nigdzie potrzebnym nie jestem — odrzekł Victorica z pewnym poruszeniem w twarzy, który zapewne miał być uśmiechem i byłby do niego podobnym, gdyby jego muszkuły twarde i surowe mogły się podawać wyrazowi innemu jak zarys silnych i głębokich namiętności.

— Cóż to ma znaczyć, Senior Don Bernardo? — zapytała Manuela z pewną surową powagą, gdyż na charakter młodej osoby zaczynała po trochu oddziaływać monarsza władza jęj ojca, i raziło ją to, że ktoś ze sług jego považał się objawiać jakieś nieukontentowanie.

— Oto najlepiej otwarcie powiem, — odrzekł, — że dawniej otrzymywałem rozkazy bezpośrednio od pana gubernatora, a teraz odbieram rozporządzenie czyjś pod firmą Jego Ekscellencyi.

— Toż przypuszczasz pan, że ktoś považyłby się posługiwać imieniem mego ojca?

— Nie przypuszczam, seniorita, ale wiem, że przez pół godziny nikt nie może zajść do *Santos-Lugares* i powrócić ztamtąd. A oto naprzykład dziś przychodzi w imieniu Jego Ekscellencyi rozkaz abym strzegł porzeże *Santos-Isidro*, a w niecałe półgodziny później drugi także w imieniu Restauratora, żebym patrolował w okolicy portu: jasna więc rzecz, że przynajmniej jeden z dwóch nie wyszedł od pana gubernatora.

— To prawda. A to szczególne! powiem ojcu o tęp jak tylko się z nim zobaczę.

— Jestem zawsze gotów na usługi generała Rozas, lecz nie czuję się usposobionym do równęj służbistości na rzecz osób działających w swoich prywatnych widokach, nie dla sprawy. A pani ta więcj mi daje do roboty niż sam pan gubernator.

— Ta pani? Co za pani?

— Wszak mówię o *Doni Ezcurra*. Chodzi jęj wyłącznie o strzeżenie brzegów żeby unitaryusze nie uchodzili, a jabym wolał pozbyć się ich ztąd wszystkich.

— I ja także, — odrzekła żywo Manuela.

— Dziś jeszcze przysłała mi rozkaz żebym szpiegował pewien dom, w którym już wiem że nawet mury są unitaryzmem przesiąknięte; ale cóż zyskamy na przyglądaniu się mu, kiedy mi nawet nie mówiła czego mam upatrywać. To znów rozkaz zawsze w imieniu Jego Ekscellencyi, żeby śledzić za pewnym młodzikiem wietrznikiem, co lata tu i tam jak skoczek na linie, a który w istocie ma same federalne stosunki, i tutaj nawet częstym bywa gościem.

— Tutaj? i przeciw niemu rozkaz? to rzecz dziwna! któż to, panie Victorica?

— Zowie się Bello.

— Bello! o, to być nie może! — zawołała Manuela szczerze przyjazna dla Daniela.

— A jednak mi to osobiście powiedziała Donia Marya Józefa.

— Powtarzam że to nie może być, ojciec nie mógł dać podobnego rozkazu; Bello jest zacny młodzieniec jak mała, a jego ojciec oddawna szczerzy stronnik sprawy mojego ojca.

— Ja nic nie mam przeciw niemu, ale widocznie ma on nieprzyjaciół bardzo możnych.

— Panie Victorica, jeżeli nie otrzymasz pan rozkazu wyraźnego od mego ojca w tym względzie, proszę wstrzymać się od wszelkich kroków przeciw panu Bello.

— Skoro taka wola pani. . . .

— Taka moja wola; chyba by Corvalan rozkaz wręczył. Ja już coś nie coś wiem o tej sprawie. Nie mogę pozwolić ażeby imię mego ojca komuś za płaszczyk służyło: to być nie powinno.

— Bardzo dobrze, — odrzekł Victorica z ukłonem. rad wielce że się pomścił na Doni Ezcurra.

Jednocześnie Marya Józefa podaniem ręki żegnała mężczyznę średnich lat, silnej postawy, śniadziej twarzy z gęstym czarnym wąsem, i ubranego w czerwoną sukmanę, w ponsową kamizelkę i krawat tegoż koloru, z ogromnym godłem i również niepomiernym sztyletem u pasa.

— Przed siódmą zrana będę u pani ze sprawozdaniem, — powiadał on.

— Dobrze: ale bez pardonu, nie oszczędzać żadnego; pamiętaj że wszystkie te zbiegi idą do Lavalla.

— Bądź pani spokojna, — odpowiedział z uśmiechem, który wyraźnie mówił: nie mnie to potrzebne takie zalecenie!

— Victorica ma patrolować brzegi od twierdzy do portu, — dodała stara.

— Wiem, a ja idę zluzować komendanta Cuitinio, który pilnuje od Bateryi do San Isidro.

— To, to. Myszka nam raz wymknęła się z pułapki, ale mi się widzi że prędzej czy później znów ją na dobre złapiemy. Idźże już. Wiesz że ja w tych sprawach zastępuję Manuela. Dobranoc.

Jegomość ów był to nie kto inny jak pan Santa-Coloma, jeden z głównych koryfeuszów Mashorki, którego ręce w roku 1840, skąpały się we krwi bezbronnych współrodaków.

(Dalszy ciąg nastąpi).

SERBIA.

Zarysy historyczno-etnograficzne.

Przez

P

Z pobratymczym ludem Serbów nie spotykaliśmy się nigdy na drogach naszego życia dziejowego. Kiedy dla Polski nastala doba rozkwitu, Serbia po krótkim dniu wielkości, straciwszy swój byt polityczny, już dogorywała. Długa i ciężka pod tureckim jarzmem niewola, przytłumiła zupełnie wszelkie objawy życia narodowego. Dla obu tych przyczyn w dawném naszym piśmiennictwie żadne niemal nie pozostały ślady związków, ale i w nowszych czasach Serbia zawsze jeszcze nieznaną dla nas ziemią być nie przestaje, mimo że odrodzona i wyzwolona, nowym polotem wzbija się jój umysłowość a życie i stosunki polityczne od lat wielu zwracają ku niej uwagę całej Europy. Zresztą wina w części nie na nas spada, bo i gdzieindziej, prawie do ostatnich lat panowała zupełna rzeczy serbskich nieznajomość. Sama Serbia nawet nie zbyt daleko posunęła się w pracy około zbadania swojej przeszłości i wyjaśnienia stanu obecnego. Pragnąc bliżej zapoznać polskiego czytelnika z tym pobratymczym ludem, te oto zarysy historyczno-etnograficzne niesiemy mu w darze, stanowiąco niejako całość, złożoną według sił naszych i pomocy naukowych, jakie ku temu serbska i cudzoziemskie nastęrczają literatury. Zaczynamy od wystawienia dziejowego obrazu życia Serbów.

Pierwszém pomnikowém dziełem, które w całości obejmuje serbską przeszłość, było dzieło Rajicza (1726—1801), praca na nieuprawionej niwie, wypełniona błędami, których uniknąć nie jest w stanie ten, co pierwszy do surowego materiału przykłada rękę. Większy postęp na polu krytycznego przedstawienia serbskiej historii spostrzegać się daje u Engla, który obfitsze źródła miał pod ręką. Na podstawie tych dwóch dzieł pisali nowsi Serbowie swoje dzieje dla użytku szkolnego: Dawidowicz, Widakowicz, Medakowicz i inni. Medakowicza książka (Powiestnica srbskog naroda od najstarij vremena do god. 1850, N. Sad. 1851—1852), była do lat ostatnich,

najpowszechniej używaną w szkołach średnich, zaleca ją potoczność wykładu, lubo dla braku krytyki, wartości naukowej niema prawie żadnej. Nierównież użyteczniejszy podręcznik przygotował w chorwackim języku professor Sime Ljubicz p. n. *Ogledalo književne poviesti jugoslavjanske* (1864 r.), napisawszy na podstawie źródłowych badań krytyczną historią południowych Słowian: Słowenców, Chorwatów, Bosniaków i Serbów, żalować zaś wypada, że polityczne dzieje tych szczepów tylko do XV wieku doprowadził. W naszych rysach, których nie chcieliśmy obarczać szczegółami należąciami do wykładu szkolnego, opieraliśmy się więcęj na obszernych a gruntownych pracach *Szafarzyka* (*Geschichte der südslawischen Literatur* wyd. Iireczka, Praga 1865), *Hilferdinga* (*Istorija Serbow i Bulgar*. 1868 Petersburg), *Majkova* (*Istorija serbskago jazyka*, Moskwa 1857) i *Jagicza* (*Historija književnosti naroda hrvatskoga i srbskogo*. Zagreb 1867), który wiąże ściśle dzieje literatury z polityczną historią, a wyklada rzecz swoją pięknie i uczenie. Do nowszych czasów szukaliśmy pomocy u Rankego (*Die serbische Revolution*. 2 wyd. Berlin 1844), który mistrzowskiem piórem skreślił walkę Serbów, wybijających się na początku naszego wieku na wolność z pod jarzma tureckiego. Pomniejsze prace odnoszące się do szczegółów we właściwem miejscu przytoczone będą.

I.

U kolébki serbskiego narodu.

Rzuemy okiem na pierwotne dzieje Słowiańszczyzny! Żadna kronika nie sięga tak daleko, aby nam donieść mogła, kiedy i gdzie po raz pierwszy ukazuje się w Europie słowiańskie plemię. Gruba zasłona, której żadne badania nie są w stanie uchylić, zdaje się, na zawsze pokrywać niemowlęcą dobę w życiu Słowian. To jednak za rzecz pewną przyjąć można, że początek ukazania się ich w Europie sięga odległej starożytności, że w epoce narodzenia Chrystusa, Słowian już za dawno osiadłych uważać należy. Nie zapuszczamy się w te głębiny czasu, które nam przekazały tę lub ową nazwę słowiańską z gór karpackich lub równin naddunajskich, świadcząca, iż Słowianie zajęli przestrzeń wschodniej Europy znacznie wcześnziej, nim do nich dotarł miecz rzymski. Potrąmy raczjć o czasy nieco pewniejsze które się już z naszą erą zaczynają. Dość wiarogodne dochodzą nas wiadomości, iż Słowianie zajmowali przestrzeń między Bałtykiem a Czarnem morzem; nie ulega wątpieniu, iż stale mieli siedliska około gór karpackich, na równinach Dunaju, na stepach Dniostru. Na schyłku drugiego wieku napłynęła z północy koczownicza fala germańskiego ludu: były to brodzące drużyny Gotów i lubo nie załaly swą powodzią całej siedziby Słowian, bo liczbą nie górowały, panowanie im jednak swoje narzuciły. Dwa blisko wieki zostawali Słow-

wianie pod tém jarzmem. Postać rzeczy gwałtownie się zmieniła, kiedy w końcu IV stulecia hordy Hunów do Europy wtargnęły. Był to fakt doniosłego znaczenia. Ztąd powstały te głębokie polityczne przewroty, które wzburzyły cały ówczesny świat środkowej i zachodniej Europy. Rzym wielowładny zdradzał. Kilkowiekowa praca na polu cywilizacji miała paść ofiarą srożącej się burzy. Biczem Bożym Atylę nazywają, a hordy jego podobnemi być mienią do wichrów, co wniwecz obracają zasiew rolnika. Tém wszakże Hunowie nie byli dla Słowian, którzy nie mieli jak Rzymianie marmurowych świątyń ani pałaców od złota błyszczących, ani grodów słynących bogactwy; krom plonu skromnego z roli lub pasterskiego dobytku, nic innego najezdniczy zabrać im nie mogli. Natomiast zbawcami dla Słowian od jarzma gockich drużyn się pokazali. Jarzmo huńskie było nierównieź lżejsze od germańskiego. Stosunek poddańczy zamienił się na rodzaj związkowego, wojownicy słowiańscy wstępowali do szeregów huńskich i razem z najezdnikami rozpuszczali zagony. Ukazanie się Hunów w Europie było więc początkiem swobody dla Słowian. Na rozległych równinach środkowego Dunaju, w dzisiejszych Węgrzech rozrzuciła głównie swoje namioty koczownicza horda, i ztąd od czasu do czasu zrywała się jak burza w stepie i w okół roznosiła spustoszenie, a Alpy nawet nie były w stanie powstrzymać gwałtownych zapędów. Na drugą stronę dolnego Dunaju do krajów podległych Carogrodowi było bliżej i nierównieź łatwiej się dostać. Ztąd najczęściej do Byzancjum dochodziły wieści o ustawicznych spustoszeniach przez Hunów nad-dunajskiej strony. Z Carogrodu wyprawiano nieraz poselstwa do Atyli, aby odwrócić od prowincyi cesarstwa ciężką klęskę. W 448 r., na krótki czas przed ową straszną wyprawą, na zachód do Galii przybyło do Atyli poselstwo, o którym dość ciekawe szczegóły przekazał potomności jeden z uczestników tego poselstwa Pryskus. Dał on nam w swym opisie tego, co widział w państwie huńskiem podczas podróży, zajmujący obraz téj koczującej monarchii, jój groźnego władcy, jój stolicy rozległej, tych ludów, które w skład państwa Atyli wchodziły. Wspomina o Hunach, co się rodzili i umierali na swych stepowych koniach, o Gotach, co nie pociągnawszy wespół z rodakami na zachód pod władzę Hunów się dostali, o Scytach, pod nazwą których niewątpliwie ukrywają się na równinach Dunaju siedzący Słowianie. Po drodze podejmowano greckich posłów napojem, który się medos t. j. miodem nazywał (1). Jordanis, gocki dziejopisarz nieco późniejszy, o śmierci Atyli i jego pogrzebie gdy mówi, wspomina o dziwnych obrzędach, jakie zachowano przy jego zwłokach. Ten smutny akt obchodzono stypą pogrzebową, która się strawą zwała (stravam, quam appellant ipsi). Wyraz ten nie jest nam obcy, znaczenie jego zdaje się być zupełnie jasne. Któżby więc wątpić chciał,

(1) Priscus de legatione ad Attilam a. 448. Corpus ser. histor. Byzanc. Bonnae 1829 p 183. „congerebantur ex vicis commeatus pro frumento milium, pro vino medus, sic enim locorum incolae vocant.“

że Pryskus nie umiejący właściwem imieniem nazwać Słowian, zwyczajem Greków ochrzcił ich mianem Scytów.

Nie zbyt długo trwało panowanie Hunów. Rozległe państwo ręką Atyli wzniesione, rozpadło się niebawem wśród krwawych rozterek jego następców. Jak piasek w pustyni rozwiały się tłumy ludów, spojonych na chwilę słabym politycznym węzłem. Resztki rozbitej hordy oparły się aż o czarnomorskie brzegi, w Węgrzech może tylko nieznaczne szczątki Hunów pozostały. W końcu V wieku nowi przybysze zaczęli zajmować dawne miejsca Hunów. Różne germańskie plemiona Gepidów, Ostrogotów, Longobardów, dążące do północy przechodziły przez Dunaj powoli się przenosząc do Italii. Z początkiem VI wieku już Rzym przestał być dawnym Rzymem. Najprzód Teodoryk W. założył panowanie Ostrogotów, nieco później trwalsze podstawy swęj władzy rzucili Longobardowie i stworzyli nową postać rzeczy, dłuższy czas trwającą.

Ważne tymczasem przemiany dokonywały się i w życiu Słowian. Nastąpiła epoka podbojów, terytoryalnych zdobyczy, doba szerszego rozlewania się na zewnątrz. Od Odry na północo-zachód po brzegach Elby aż do jej ujścia posuwało się lechickie plemię, karpaccy Słowianie w odwrotnym kierunku ku południowi, coraz dalej swe granice rozszerzali. Już z gocką drużyną pociągnęły z nad Dunaju tłumy Słowian i częścią razem podażyły ku Italii, częścią stałe sobie obrały siedliska w Panonii między Dunajem a Sawą, lub w górzystych stronach wschodnich odnóg alpejskich. Z początkiem VI wieku z nad dolnego Dunaju i od gór karpaccich zaczęło się ruchliwsze przesiedlanie Słowian, wywołane prawdopodobnie przez nacieranie od wschodu nowych przybyszów, Bułgarów z nad Wołgi a nieco później Awarów ze środkowej Azji wypartych. Zrazu tylko drobniejsze oddziały przechodziły przez Dunaj i osiadały w równinach lub na pochyłości gór karpaccich, powoli coraz większe przepływały fale w różnych kierunkach między Czarném i Adryatyckiem morzem.

Niebawem zasiadł na tronie cesarzów wschodnich Justynian, który się zwał poprzednio Uprawda, a pochodził z rodu Słowian tych, co się w bałkańskich górach osiedlili. Rodzinnem jego miejscem była wieś Wiedzana około dzisiejszego Kustendi, w południowych odnogach Balkanu. Słynnego tego prawodawcy głośny wódz, co poskramał Gotów i Wandalów, był Belizaryusz, którego imię ani greckiem ani germańskiem nie odznaczając się brzmieniem, słowiańskim kształtem jego rodowód wygłasza. Weliczar było prawdopodobnie jego pierwotne miano, a niewątpliwie sam także ze słowiańskiego pochodził szczepu. Liczne tych Słowian oddziały spotykamy w szeregach, które się ścierały z Gotami w Italii, wielu zaś dzielnych wodzów imiona przekazały nam kroniki a ci byli Słowianami i służbę w carogrodzkich wojskach pełnili: Swarun, Dobrogost, Wszegord, Chwalibuda i inni. Kiedy zginął w utarczce Chwalibuda, który jako wojewada Tracyi z polecenia Justyniana bronił północnej między na Dunaju, Słowianie coraz swobodniej wkraczać mogli w granice cesarstwa. Już teraz kroniki wzmiankują o tysiącnych tłumach słowiańskich,

które w różnych kierunkach do Hlizi wpadają lub pod Carogród ciągną. Prawda, powiada Prokopiusz że nie grabią, ale zimują w naszych prowincjach, jak gdyby we własnej ziemi. Ośmieleni bezkar-nem brodzeniem w 559 r. stanęli nawet pod murami stolicy.

Z początkiem VI wieku, jak się już wyżej rzekło, od wschodu napływały nowe hordy: Awarowie z dniewrowskich stepów przedarli się aż do środkowego Dunaju i stały pobyt w Węgrzech obrali. Słowianom wkrótce dało się we znaki to sąsiedztwo, zwłaszcza tym co w dzisiejszej Moldawii i Wołoszyczynie siedzieli. Chan awarski Bojan przysłał poselstwo do wodza ich Dawrata (według Menandra Lawryt) i żąda uległości i dani. Gdzie jest ten człowiek, odpowie im Dawrot, co żyje na ziemi, promieniami słońca ogrzewany, któryby naszą siłę mógł ujarzmić. Przywykliśmy panować nad innymi nie zaś być posłusznymi i tak nadal postępować chcemy, dopóki na świecie będzie wojna i miecz. Słowa te należą do historyka lizanckiego, i z pod jego wyszły pióra a nie z ust słowiańskiego wodza, ale tém nie mniej nie są bez pewnego znaczenia, pokazuje bowiem czém byli Słowianie w pojęciu Greków na on czas, na jak wysokiem stawiano ich stanowisku. Posłowie awarscy gdy się dłużej napiérali, przypłakali głową za swą zuchwałosc. W Awarach zawrzała chęć zemsty i wkrótce nadarzyła się im sposobność wyrzucić ją w całej sile. W 577 r. powtórzyli Słowianie swój najazd na prowincye Carogrodu, stotysięcznym tłumem, jak powiadają kroniki, rozlali się po szerokich przestrzeniach, dotarli do morza Egejskiego i zagony swe aż do właściwej Grecyi zapuszczali. Cesarz strwożony przyzywał na pomoc Bojana. Awarów hordy z nad Sawy i Dunaju, mszcząc się mniemanej zniewagi spłądrowali strasznie dzielnice Słowian, a mianowicie kraje na południowym brzegu Dunaju wzdłuż pasma gór Bałkańskich. Wkrótce jednak wzajemna nienawiść umilkła i nieraz odtąd Awarowie ze Słowianami wspólne przedsiębrali wyprawy i roznosili zniszczenie w krajach cesarstwa wschodniego. W tym właśnie okresie na schyłku VI wieku dokonywało się powolne Słowian przesiedlanie z prawego brzegu dolnego Dunaju. Trudno oznaczyć jak daleko sięgały w granicach Carogrodzkiego państwa przez Słowian zajęte siedliska, nie łatwą również jest rzeczą określić liczebny stosunek tych nowych przybyszów, tyle jednak jako pewne przyjąć można, że żywioł słowiański na dalekiej rozpostarł się przestrzeni na południe Dunaju we wschodnich częściach Bałkańskiego półwyspu, mianowicie w obrębie późniejszej Bułgarii, że nowe osady sięgały brzegów Egejskiego morza, że niejedna gmina aż do Morei się zabłąkała. W zachodnich częściach półwyspu przytykających do Adryatyku trzymała się natomiast długo w pierwotnej sile miejscowa ludność, dawniejsza illyryjska i późniejsza rzymska, bo jeśli nawet nieraz rozlewała się powódź napadów awarskich oraz słowiańskich i na kraje Illyrii i Dalmacyi, to jednak Słowianie tam trwałych nie szukali siedlisk, chyba że jak się nieraz do zdarzać mogło, po ustąpieniu takiej powodzi tu i owdzie jakieś nieliczne pozostawały osady. Więc na początku VII wieku, w którym się ważne we wschodniem cesarstwie dokonały prze-

miany, o czém i niebawem bliżej wspomnieć wypadnie, słowiańskie plemię zajęło głównie bliżej morza Czarnego leżące wschodnie strony, które już w owym czasie pod mianem Sławinii były znane.

Z początkiem VII wieku zaczęła się nowa wędrówka Słowian w innym kierunku, mianowicie od północy ku brzegom Adryatyckiego morza. Już teraz po nieco przydługim lubo niezbędnym wstępie rzecz dotyczy Chorwatów i Serbów, którzy Dalmacyą, Illiryą, aż po Morawę na wschód zajęli. W tych stronach oddzielonych tylko rzeką Sawą od Awarów siedziby, grasowały strasznie plądrujące tych koczowniców hordy. Miecz najezdniców tępił niemal do szczętu miejscową ludność, same tylko grody nad morzem nie poddały im się, gdyż miały z morza sposób do życia. Nie zbyt dogodnym sąsiedztwo wydało się Cesarzowi Herakliuszowi (610 — 641), który dla zabezpieczenia się od ustawicznych napadów Awarów, powołał Słowian z pod gór Karpackich, by nową dla siebie ziemie zajęli. „A ci Chorwaci, powiada Konstantyn Porfirogeneta (1), jedyny pisarz który nam cenne lubo szczupłe przechował wiadomości o tym wypadku mieszkali wtedy tam, gdzie obecnie są Bialo-Chorwaci (2). Jedno pokolenie odłączyło się od nich t. j. pięciu braci i dwie siostry, i przyszli z ludem swoim do Dalmacyi i znaleźli Awarów dzierżących tę ziemię. Przez czas tedy pewien, prowadząc przeciwko nim wojnę, zwyciężyli Chorwaci, i Awarów, częścią wymordowali, częścią zniewolili do podległości. Od tego więc czasu opanowany został ten kraj przez Chorwatów i są w Chorwacyi nawet dotąd szczątki Awarów i znać po nich że to Awarowie. Reszta zaś Chorwatów została w swój dziedzinie Bialo-Chorwacyi” . . .

Nie rozległa to była kraina, w północno-zachodnim leżąca kącicie półwyspu, którą teraz po spustoszeniach Awarów zaludniać zaczęli Chorwaci (3). Jój granice trójkąt stanowiły, z północnej strony oddzielała w prostęj niemal linii płynąca Sawa, drugi bok wody Adryatyku obmywały, a rzeka Werbas, kres stanowiła ku wschodowi. Niebawem przesiedlili się także i z pod gór Karpackich w te strony Serbowie. Mieszkali oni początkowo, powiada Konstantyn Porfirog, w okolicy nazwanęj u nich Boiki, która, jak się nie bez zasady domyślać można, dzisiejszję Galicyi wschodnią część stanowiła.

„Gdy dwóch braci, są słowa tegóż kronikarza, odziedziczyło panowanie nad Serbią (tj. pierwotną podkarpacką) po ojcu, jeden z nich z połową narodu schronił się do cesarza rzymskiego Herakliu-

(1) Konst. Porfirog. zm. około 959 r., zob. Bielowski Monum. pol. hist. str. 23 i nast.

(2) Konstantyna wiadomości są w tym względzie sprzeczne. Siedzibą pierwotną Chorwatów i Serbów nie były Łużyce, ani wschodnia część Czech, ale wschodnia część obecnej Galicyi czyli Ruś Galicyjska; por. Szafarzyka Gesch. d. serb. liter. str. 10.

(3) Nazywamy ich i nadal tegoż imienia używać będziemy Chorwaci, zamiast Kroaci, gdyż rodzime ich miano i obecnie brzmi Hrvati, Hrvatska (Kroacya). I znaczy ziemia górzysta, a jój mieszkańcy gorale od wyrazu hrbat.

sza, którego przyjąwszy rzeczony cesarz Herakliusz, dał mu okolicę do zamieszkania Serbią na półwyspie tesalonickim, która od tego czasu tę nazwę przyjęła. . . Po pewnym atoli czasie zdawało się rzeczą potrzebną, ażeby ci Serbowie odeszli do swojej ziemi i odprawił ich cesarz. Kiedy jednak przeszli rzekę Dunaj, żal im się zrobiło i udali się w prośbę do cesarza Herakliusza przez wodza wtedy w Belogrodzie rządzącego, ażeby im dał inną ziemię do osiedlenia się. A ponieważ terażniejsza Serbia i Pagania (i inne) zostawały pod panowaniem cesarza rzymskiego (t.j. wschodniego), a kraje te były wynudnione przez Awarów, przeto osadził cesarz owych Serbów w rzeczonych krajach.”

Stoimy u kolébki serbskiego narodu. Gdy początki wielu innych ludów giną zupełnie w pomroce dziejów, serbskim przyświeca jaśniejsze światło: o pierwszym na widownię dziejową wystąpieniu Serbów, pewniejsze dochodzą nas wiadomości. Nawet wymienić można nazwiska okolic, które przyjęły słowiańskich wychodźców z za gór Karpackich. Serbowie osiedli na wschód swych pobratymców Chorwatów w dzisiejszój Serbii, w Bośni, w Raseyi, od południa zaś zajęli ziemie Hercegowiny i Czarnogórza. Na wybrzeżu Adryatyckiem dziedzina ich ciągnęła się od rzeki Cetyny w Dalmacyi aż do Skutarskiego jeziora.

Alc im jaśniejsze są dla nas pierwsze chwile ukazania się Serbów w granicach cesarstwa wschodniego, tém ciemniejszym się staje w ich dziejach następne wieki. Nad okresem kilkuset lat panuje glucho milczenie. Zaledwie w X wieku rozprasza na chwilę ten pomrok, kronika Konstantyna Porfir; i znów na dwieście niemal lat ginie Serbia w tej ciemności.

To też gdy daremnémby było chcieć oderwano z tego okresu wiadomości łączyć nicią historycznej opowieści, na ogólnych uwagach co do tej pierwszej doby w dziejowym życiu Serbii poprzestać wypada.

Chorwatów i Serbów przesiedlenie się miało inny charakter od stopniowego, powolnego przechodzenia z za Dunaju Słowian do prowincyi bizanckich podbalkańskich. Chorwaci wraz z Serbami przeszli z pod gór karpackich odrazu, tłumnie jako część plemienia czy narodu, i zajęli nowe kraje jako pewna etnograficzna całość. Ztąd też i stosunki państwowe wyraziły się w kształtach pełniejszych, wybitniejszych. Oba plemiona urządziły się jako polityczne, niemal niezależne ciała. Z Carogrodem wiązały je słabe węzły zawisłości. Cesarstwo wschodnie miało tylko nad nimi prawo zwierzchnictwa, a lubo Konstantyn Porfir: powiada, iż byli *podwładnemi* cesarza carogrodzkiego, wyrazu tego jednak w zbyt szerokiem znaczeniu brać nie należy. Zależność polegała jedynie na placeniu dani i wysyłaniu posiłków wojskowych. Zdaje się, że pierwotne urządzenia polityczne jakie się w podkarpackiej ustaliły dziedzinnie, i w nowych siedliskach nie podległy ważniejszym zmianom. Zamiłowanie swobody było ogólném znamieniem wszystkich Słowian. Nad Elbą, Odrą, nad Wisłą, Dnieprem, również jak nad Adryatykiem i w balkańskich gó-

rach, Słowianin wysoko cenił wolną, niezależną gminę. Tak też u Chorwatów i Serbów organizm państwowy spoczywał głównie na gminie, rządzący się przez jej członków. Gminy stanowiły większą całość w kształcie żupy (1), albo powiatu.

Każda żupa wybierała sobie własnego naczelnika czyli żupana, nad wszystkimi żupanami najwyższą miał władzę wielki Żupan, czyli naczelny książę, bądź wybierany na tę godność z grona żupanów, bądź otrzymujący ją drogą spadku od swego książęcego rodu. Wielki Żupan przebywał stale w grodzie swoim w Deśnicy, około dzisiejszej Podgorycy w Czarnogórze. Jak wielka tych żup liczba była w pierwotnej Serbii, nie da się oznaczyć. Od wielu innych szczepów słowiańskich nieodrodzili się bynajmniej Chorwaci i Serbowie, zwłaszcza pod względem organizacji politycznej. I między nimi spotykamy ten dziwny brak zdolności do tworzenia obszerniejszych związków państwowych, tę słabą dążność do jednoczenia się w kształcie silniejszego państwa. Niema tu wprawdzie rozstrzelenia, ale brak także wszelkiego skupienia. To, co znamionuje kilkowiekową historję Słowian nad Elbą, trzymanie się w ciasnym obrębie niemieckiej politycznej całości, te ustawiczne zatargi z sąsiadami pobratymczemi o granicze między, a obok tego brak zdobywczych dążeń, wiernie się odbija w dziejach Chorwatów i Serbów, w ciągu kilku pierwszych wieków, a z małemi wyjątkami niemal w całym ich życiu dziejowem.

Prócz tych niedokładnych rysów o politycznym urządzeniu w pierwotnej dobie, żadnych innych wiadomości o stanie społecznym nie dostarcza nam kronika Konstantyna. O różnych stronach życia społecznego, o stopniu cywilizacji, na jakim stali Chorwaci i Serbowie, kiedy przyszli do nowej ojczyzny, nie miałibyśmy pojęcia, gdyby nie język, co zachował w sobie wierny obraz pierwotnego uspołecznienia. Kiedy się południowi Słowianie odłączyli od swych podkarpackich pobratymców, wynieśli z sobą wraz z oddzielnymi wyrazami swego języka ślady tego stopnia cywilizacji, na jakim w pierwotnej swej dziedzinie pozostawali z innymi pokrewnymi szczepami. Wspólność nazwy w języku chorwacko-serbskim, polskim i rossyjskim, świadczyć może o wysokości cywilizacji, kiedy się powinowate ludy z sobą rozstawały i kiedy każdy z nich w dalszym swym rozwoju pod odmiennymi warunkami zaczął kształcić swoją mowę i pojęcia. Przy porównaniu oddzielnych słów języków, któremi mówiono w podkarpackich stronach, pokazuje się tedy, że w VII wieku znali Słowianie najważniejsze rodzaje ziarna rolnego, jak tego dowodzi wspólność nazwy pszenicy, jęczmienia, owsa, żyta i prosa.

Itak po pol.	pszenica,	serb. chorw.	pšenica,	czeski.	pšenice,	ross.	pszenica
„	jęczmień	„	„	ječmen	„	ječmen	„ jaczmeń
„	owies	„	„	wows	„	oves	„ owes.
„	żyto (reż rzany)	„	„	rož	„	rež	„ rož.
„	proso	„	„	přoso	„	proso	„ proso.

(1) Żupą według zdania jednego z tutejszych filologów, p. S. M. oznacza pierwotne zgromadzenie Wicc, z kąd następnie nazwa ta przeszła na powiat lub ziemię, przyjmującą udział w takim zebraniu.

Ziarna były tarte albo na żarnach (po chorw serbs. žrvnju) albo w młynie (na *młinu*), zład powstawała mąka (muka) i z niej rozczyniano za pomocą kwasu ciasto (*kvasom miesilo se tiesto*), a z tego pieczono chleb i kołaczki (hljeb i kolači). Prócz tego znane były Chorwatom i Serbom, kiedy się przynosili na południe nad brzegi Adryatyku kaśa, bob, grah, sočiva, repa. O stanie rolnictwa świadczą wspólne i naszej mowie wyrażenia chorwackie: *orati u brazde, sijati, žeti ili kositi, vezati u snopove, mlati ti cjepovima* (młócić cepami) *na gumnu* i słomę układać *u stogowe*. Z narzędzi rolniczych wspólność nazwy dochowała się w najważniejszym tj. w pługu (plug). Obok tego znane były Serbom *lemeš, kosa, srp, motyka, lopata*. Zaprzęgać konia mówi się po chorwacku tak samo zaprzęzati konja. Na wołu nakłada się jaram tj. jarzmo. Pola zasiewano albo jarzyną tj. *jari* albo ozimina tj. *ozim*, albo też niwa leżała ugorem (*na ugaru*).

Umiano także zaspakając potrzeby życia powszedniego, nie byli bowiem obce starym Chorwatom i Serbom najpierwsze ku temu służące rzemiosła. Umieli ciosać (tesati), robić dłotem (dubsti dlietom), wyplatali z wici kosze, robili sita i rzeszota (koševce sita i rošeta), strugali łyżki (žlice v lžice). Byli między niemi tacy, co z żelaza kuli podkowy (podkove) byli i kotlarze (kotlárâ). Kobięty zajmowały się tkaniem płótna (platno), znały wrzeciono, przėslicę, krosna i czulnek (vreteno, preslica, krosna, čunak). Z płótna szyły koszule i gacie (košulje i gaće). Prócz tego wyrabiano w domu sukno (sukno), zład okrycie męzkie lub kobięce nazywało się suknią (suknja). Od zimna zabezpieczały kożuchy (kožuh). Obuwie na nogi nazywano crevlje (trzewiki).

Takimi rysami wziętemi z języka wypełniając obraz pierwotnej podkarpackiej Słowiańszczyzny, jako rzecz pewną przyjąć możemy, że starzy Serbowie i Chorwaci nie tylko nie przybyli boso i nago do ucywilizowanych Greków, ale owszem wynieśli ze swęj podkarpackiej ojczyzny znajomość rolnictwa i niezbędnych rzemiosł. Osiedli zatem nie jako dzika koczownicza horda, ale raczej jako lud rolniczy, przywykły do stałych siedlisk, już oswobodzony z pieluch niemowlęcego stanu. Umieli budować domy i dwory (dom i dvor), sadzili lipę (lipa) około swych chat, miewali w ogrodach swoich drzewa owocowe (voća). W chacie był próg (prag), ściana (stiena), okno, wrota (okno, vrata), drzwi (dvari, teraz mało u Chorwatów używane). W izbie stał stół, a co najciekawsze piec (peć) z nowym prastarym zapiekiem (zapećak).

Ziemie przez Serbów i Chorwatów zajęte na półwyspie illiryskim nie sprzyjały rozwojowi rolnictwa. Krańce te górzyste więcej do hodowli bydła się nadawały, w żyzniejszych tylko dolinach szukano w rolnictwie środków utrzymania. Miejscami przeto przeważało zajęcie pasterskie, w innych znowu jak w podkarpackiej ojczyźnie, uprawiano ziemię. Na nową dziedzinę przyniesiono też z sobą pojęcia religijne, rodzinne bóstwa słowiańskie, a lubo zetknięcie się z chrześcijańską ludnością we wschodnim cesarstwie mogło sprzyjać rozwojowi religii chrześcijańskiej, pierwsze jednak ziarna opowiadanego

słowa Bożego, padały na nieurodzajną glebę. Słowiańskie bóstwa nie tak prędko ustąpiły ze świątyń, gajów i z serc włościańskich. Cesarz ochrzcił ich, powiada kronikarz, sprowadziwszy kapłanów z Rzymu i nauczył ich obrządków świętych, dokładnie im naukę wiary wickuistęj wyłożywszy. Ale te ziarna z pierwszego posiewu nie wydały bogatego plonu. Pod tym względem stanowi epokę bardzo ważną, wprowadzenie w IX wieku chrześcijaństwa przez apostołów słowiańskich. Jestto zdarzenie doniosłego znaczenia w dziejach Serbii wewnątrznych i w stosunkach jej z ościennemi ludami. Jużto nie małe także zmiany które bez wpływu za Serbią nie pozostały, wywołało ukazanie się nad ujściem Dunaju Bulgarów, koczowniczej hordy przybyłej z nad północnych brzegów morza Czarnego. W 668 roku część tego wojowniczego plemienia przeszła przez Dunaj pod wodzą Asparucha i niebawem na gruncie słowiańskim w bałkańskich górach stale obrała sobie siedliska, podbiwszy pod swoje panowanie lud miejscowy, spokojny, pół pasterski, pół rolniczy. Ale jak Hunowie i Awarowie tak i Bulgarowie nie narzucali Słowianom zbyt przykrego jarzma. W miejsce poddaństwa zaprowadzali stosunek równych z równymi, przymierza ludu najeźdźczego z podbitym narodem. Licznie napływowa ludność bulgarska nie przemagała nad słowiańską, pod względem zaś uspołecznienia górowali Słowianie nad przybyszami. Powoli powstawało mieszane państwo Bulgarya, która słowiańskiej ludności swą nazwę narzuciła, jak Longobardowie północnym Włochom, ale jak tam tak i tu z podobnego pomieszania się jednakowe wyrodziły się następstwa. Pomału ginął język najeźdźców, którzy sobie słowiański przyswajali, i ten stawał się panującym, dziki obyczaj łagodniał pod wpływem wyższej słowiańskiej cywilizacji.

Nie pod każdym jednak względem jednakowo oddziaływał żywioł słowiański na bulgarski, w tej wzajemnej wymianie i Bulgarowie czynny przyjęli udział. Lubo wśródciągłych stosunków ze spokojną ludnością słowiańską osłabły ich wojownicze namiętności, i nieokiełznana swawola stepowa pohamowaną została, ale ten zapal wojowniczy nowych przybyszów nie ostygł zupełnie. Oni udzielili Słowianom czego im brakło, rozbudzili w nich organizacyjny talenta, podniecili przedsiębiorczość na polu politycznej działalności. Bulgarya wkrótce stanąwszy jak silnie uorganizowane państwo, rzuciła się na drogę zaborów. Carogród nie mało miał kłopotu powstrzymać coraz więcej wzmagającą się zdobywcze zapędy.

I Serbom spokojne życie we własnych granicach nieraz zamącili wojowniczym duchem ożywieni sąsiedzi. Na inném wszakże polu ważniejszą co do skutków uczyniła zdobycz Bulgarya. Język jej niebawem zapanował w kościele, w obrządku i księgach religijnych wśród nowo ochrzczonych południowych Słowian. Dwaj bracia z Tessaloniki, Ś-ci Cyryli i Metodyusz, lubo greckiego pochodzenia, oswojeni wszakże z mową słowiańską, przetłóżyli niektóre najważniejsze księgi Pisma Ś-go i poczęli opowiadać słowo Boże między Słowianami w rodzinnym ich języku. Idziemy za zdaniem tych uczonych, co twierdzą iż dwaj apostołowie użyli do swego przekładu języka,

którym mówili Słowianie z okolic Tessaloniki, a który był zarazem językiem sąsiednich Słowian w Bulgaryi i samych nawet Bulgarów. Ztąd swój początek bierze staro-cerkiewny język. Bulgarski książę Borys ochrzcił się (przed 863 r.) i za jego przykładem poszedł kraj cały. W rodzinnej mowie wykładane zasady Ewangelii, łatwiejszy do serc i umysłów znajdowały przystęp. Na Morawach dwaj apostołowie przez ks. Rościława powołani, z podobnym skutkiem słowa nowej religii głosili. W Serbii apostołowie nigdy nie byli, sami w niej nie krzewili chrześcijaństwa, ale ten sam obrządek, ten sam język kościelny wkrótce między Serbami się rozpowszechnił, przeniesiony bądź z sąsiedniej Bulgaryi, bądź szerzony przez wygnanych z Moraw uczniów Metodyusza, którzy między Chorwatami przebywali. Między Słowianami na półwyspie bałkańskim w końcu IX wieku, wziął górę obrządek kościelny, rodzimy, słowiański. Atoli to ogólne panowanie nie było zbyt długie. Ze wspólnego religijnego kola wyłączyła się Chorwacya. W różnych kolejach, jakie przechodziła ta kraina podczas zależności od monarchii Karola W. i w czasie niezawisłego jej bytu, silnie na nią działał wpływ Zachodu. Arcybiskupstwo w Splecie (Spalatro) podtrzymywało związki z kościołem rzymskim. Obrządek słowiański lubo na schyłku IX wieku rozkrzewił się między Chorwatami, uległ jednak w walce z papieżem. Sohor w Splecie 925 r. uchwalił, aby żaden biskup nie wyświęcał duchownych, którzyby nabożeństwo w słowiańskim języku odprawiać chcieli. Chorwacya przystała do Rzymu, zwróciła się ku zachodowi, poddała się jego wpływom, i odtąd drobne fale jej życia dziejowego płynęły razem z prądem cywilizacji zachodniej. Od czasu kiedy się Chorwacya przyłączyła do świata zachodniego, ustały wszelkie bliższe związki z Serbią. Dwa pobratymcze ludy, które dotychczas prawie jedną stanowiły całość, związane tradycją, językiem, wspólnością urzędzeń, rozchodzą się jak dwaj bracia poróżnieni w dwie przeciwne strony. Obrządek słowiański w XI wieku oderwał się od Rzymu i ze wschodnim począł stanowić jeden kościół. To jeszcze silniej wzmocniło rozdział, rozdział który na długie wieki portargał węzły spójności dwóch współplemiennych ludów, rzucił między nie zarzewie wzajemnej niechęci, nieraz nienawiści, i wzrósł do takich rozmiarów, że niemal nieprzebytą między niemi stworzył przepaść. I rzecz dziwna, to zobojętnienie do obecnej przetrwało doby, Chorwacya i Serbia stanowią i dziś jeszcze dwa obce sobie światy: w jednej rzymska wiara, w drugiej grecka, w jednej alfabet łaciński, w drugiej cyrylica, jedna łągnie ku Zachodowi, druga ku Wschodowi, się zwraca. Bo też to przeciwieństwo zaostrzało się w miarę tego, jak Serbia coraz silniej do swego obrządku się przywiązywała, a tę wiarę wśród ciężkich przygód kochała ona stale, wytrwale jako drogą po przodkach spuściznę. Chociaż Cyryl i Metodyusz sami nie głosili w Serbii słowa ewangelii, naród tak głęboko wierzył w to, iż od słowiańskich braci apostołów miał sobie wszczepione zasady chrześcijaństwa, że wysnuł podanie o osobistej bytności Cyryla w Serbii i o jego między niemi rozległej działalności. I dziś dwaj apostołowie

Cyryl i Metodyusz, uważani są za patronów kraju, a pamiątkowy ich dzień przez kościół obchodzony, jest w Serbii prawdziwem świętem narodowem.

Oderwana Chorwacya, wstępując na inne drogi, odrębną od Serbii rozpoczyna dobę swego dziejowego życia. Zostaje przed nami tylko Serbia, której koleje historyczne oddzielnie już przedstawić możemy. Ale i naród serbski w pierwszym okresie swojego życia politycznego nie w jednakowym stopniu przyjmuje udział w ruchu dziejowym. Wschodnie ziemie Serbii giną w zupełnej głuszy. Objawy głośniejszego życia tylko w tych żupach spostrzegać się dają, które przylegają do morza Adryatyckiego. Na tem wybrzeżu już w X wieku słynęli Serbowie Neredczanie, którzy spoufaliwszy się z wodnym żywiołem, rozmiłowali się w życiu morskiem, przedsiębiorali wyprawy, łupili kupców weneckich i nieustannie z Wenecją wszczynali zatargi. Neredczanie zjednali sobie niebawem na Adryatyku sławę najniebezpieczniejszych korsarzy. Zachłumianie w Zachełmiu (t. j. w Żagórze) w dzisiejszej półn.-zach. części Hercegowiny, przedsiębiorali w X wieku wyprawę do południowych Włoch. Wydatniejsze nieco miejsce w dziejach Serbii pierwszego okresu zajęła ziemia Trawuńska, gdzie dzisiejsze miasto Trebinie (w południowej części Hercegowiny) a jeszcze dalej na południe Podgórze inaczej Dokleą albo Duklą nazywana, — część Hercegowiny i dzisiejszego Czarnogórze. Ale w ogóle dzieje te są bardzo ubogie w wypadki, a same wypadki nie budzą ogólniejszego zajęcia. Historia przekazała nam imiona kilku książąt, którzy wśród krwawych rozterek ubiegają się o władzę Wielkiego Żupana. Bracia powstają przeciwko braciom, z bronią w rękę walczą wszyscy o ambitne cele. Sąsiednia Bułgarya korzysta z tych zamieszek, podbija Serbię, to znów ją traci i ponownie zdobywa, aż nareszcie i sama Bułgaria pada na początku XI wieku (1018 r.) pod ciosami Bazylego Bułgarobójcy, i cesarz wschodni panuje odtąd nad Słowianami na całym niemal półwyspie. W Serbii rządzi miasto Wielkiego Żupana protospataryusz i stratey z ramienia Greków wyznaczony. Serbia miała pomału zostać prowincją carogrodzkiego państwa. Cesarski namiestnik Teofil Erotyk rozkazywał w niej jak satrapa. Ucisk rozbudził drzemiące siły. Wielki Żupan z Dukli Dobrosław, zagrzał lud do walki za niepodległość. Namiestnik cesarski uciekł, liczne wojsko nadesłane przez Konstantyna Monomacha poniosło straszną klęskę w wąwozach owych gór, które i w późniejszym czasie nieraz były najsilniejszą twierdzą wolności Serbów. Jestto pamiętny wypadek w dziejach serbskich. Serbia powstaje na nowo wśród walki o narodową niezawisłość. Odosobione ziemie jej łączą się w imię zwalczania wroga i najeźdźnika pod mężniejącą władzą Dobrosława. Syn jego Michał wyniósł się już do takiego znaczenia, że papież Grzegorz VII przysłał mu oznaki godności królewskiej. Właściwie nowy okres w dziejach Serbii zaczyna się dopiero od chwili kiedy Stefan z rodu Nemanjów wstąpił na tron wielkiego Żupana w 1159 roku.

II.

Serbia wzrastająca w potęgę.

Czém Piastowie dla Polski, tém był ród Nemaniów dla Serbii. Oni zjednoczyli rozproszoną ziemię serbską, przygotowali ją do szerokiego życia politycznego, urządzili wewnątrz i sprowadzili dlań dobę najpiękniejszego rozkwitu. Wspomnienia najświetniejszych czasów wielkości i sławy Serbii wiążą się z dziejami Nemaniów. Złączony pod władzą Wielkiego Zupana a następnie królów, naród serbski rozumiał swoje postannictwo dziejowe, rozwinął w sobie silniej poczucie narodowości i zdołał wyraźniejszy nadać kierunek swojej myśli narodowej. W ciągu dwóch wieków stał w Serbii u steru rządów ród Nemaniów, tak długo też przyświecało jej słońce wielkości.

Stefan Nemanja pochodził z Dyoklejskiej ziemi, z dzisiejszego Czarnogórze z nad rzeki Rudnicy. Było to wówczas serce Serbii. Ale i później z dziejami czarnogórskimi łączą się drogie i pamiętne dla serbskiego narodu chwile. U tej kolebki jego wielkości nie zamilkła nigdy wśród najcięższej doli na ustach górali pieśń o swobodzie, o przyszłej sławie Serbii; tu się przechowywały w sercach Czarnogórczau tradycje narodowe i gorące dla kraju uczucia. Ziemia ta była ojcowizną Nemanii, odziedzzył ją po dziadach i był jako i jego przodkowie pierwiastkowo zupanem. Ale w tym ciasnym co oni nie pozostał obręb, widział Serbią jeszcze dalej po za granicami swojej dzielnicy. Ztąd się wyniósł wyżej po nad wszystkich swoich poprzedników. Gdy inni zupanowie słabą tylko nad przyległemi serbskimi naczelnikami rozciągali władzę, Nemanja postanowił temu rozproszeniu, temu odosobnieniu koniec położyć. Nemanja, to między serbskimi zupanami pierwszy mąż stanu. Nie luźny związek niezależnie, oddzielnie i dla siebie tylko żyjących żup był jego ideałem, ale te ziemie zbliżyć do siebie, za cel sobie postawił, zjednoczyć je i stworzyć z nich państwo. Jeżeli nie dopiął zamiaru, wiele już zrobił, gdy drogę uTOROWAŁ i swym następcom dalszej pracy wytknął kierunek. Godność wielkiego zupana przywiązał do domu swego, dziedziczyli ją po nim jego prawni następcy. Był w Serbii tém, czém Mieczysław I w Polsce, wiązał oderwane części, spoił je w jedną całość i przekazał swemu synowi. To ustalenie się na tronie wielkozupańskim jednego rodu, stało się silnym zawiązkiem zjednoczenia Serbii i rękojmią większej trwałości; wznawiające się dotąd nieustannie krwawe zatargi o wielkozupańską władzę, sprowadzające powszechny zamęt, ucichły prawie zupełnie, tylko od czasu do czasu macili ten spokój powasniemi między sobą bracia lub potomkowie dwóch linii starszej lub młodszej, gdy znieść chcieli nie ustaloną jeszcze zasadę, iż po ojcu syn, wnuk, a nie bracia dziedziczyć winni. Nemanii dążeniem było

wydzwignąć Serbią z jej stanu pierwotnego ustroju politycznego i postawić ją na stopniu państwa. Granice jej musiały objąć obszerniejszą przestrzeń, ztąd też Nemania nie pomijał sposobności, żeby dalej rozciągnąć swe panowanie. Oderwał Bośnię od Węgier (1169 r.) wcielił ją do swego państwa, lubo się przy jego następcach nie utrzymało to połączenie. Z Carogrodem stosunki częstym ulegały zmianom; Nemania winien był swoje wyniesienie na godność wielkiego zupana poparciu cesarza Manuela, jego pomocy także zawdzięcza rozszerzenie granic Serbii na południe, bo przy jego poparciu zwalczył swych przeciwników, zwłaszcza Dubrowniczian (Raguza). Już nawet Prisztynę obrał sobie jako gród stołeczny, prawie na samym krańcu południowych odnóg gór serbskich. Ale ze śmiercią carogrodzkiego władcy, gdy Serbia zmężniała, zatarły się ślady zależności. Nemania w poczuciu swej samodzielności śmiało nawet wystąpił do walki z cesarzami o przyległe ziemie i niebawem daleko po za prawe brzegi Morawy, aż do miasta Nisza, granice swojego państwa rozszerzył. Takie wzmocnienie się Serbii sprzyjało wznowieniu stosunków z Carogrodem, ale na inną niż poprzednio podstawie. Pozorna potęga cesarzów wschodnich, blask dworu, świetność otoczenia, polor życia, wywierały silne wrażenie na proste umysły Serbów, pochlebiało to dumie narodowej, kiedy się Wielki zupan mógł łączyć z cesarskim dworem węzłami pokrewieństwa. I Nemania zawarłszy pokój z Izajakiem Angelos Komnenem w 1192 r. prosił i otrzymał dla syna swego rękę Eudoksii, córki Aleksego Komnena, brata cesarskiego. Tak więc Nemanii państwo łamało powoli szranki swego życia zaściankowego i wchodzić począł na szersze tory. Już nawet dyplomatyczne zawiązywano stosunki z Zachodem,— wysłano do Fryderyka I Rudobrodgo posłów z ofiarowaniem swobodnego przejścia z krzyżakami przez serbskie ziemie, Nemania wyszedł na spotkanie potężnego imperatora germańskiego i przyjmował go wspaniale w Niszu. Pod koniec życia swego Nemania wyrzekł się świata i ostatnie chwile spędził na rozmyślaniach w klasztorze Chilendarskim na świętej górze (1195—1200 roku). Po nim objął władzę syn jego Stefan, który pierwszy z władców serbskich czoło swe uwieńczył koroną królewską, ztąd się też tytułował jako Stefan po bożje miłosti vjenczani prvi kral (Prvovjenczani). Namaścił go na królestwo brat jego rodzony, Sawa, który zakonnemu poświęcił się życiu, pierwiastkowo był igumenem monasteru w Chilandarze, a następnie pierwszym arcybiskupem Serbii (1221). Sawa kończył na innym polu pracę przez ojca rozpoczętą. Nemania organizował polityczną całość i utrwalał niezależność Serbii. Sawa pracował nad religijną niezawisłością i nad kościelnym zarządkiem. Ustanowił dwanaście biskupstw dla różnych serbskich dzielnic.

Na utworzoną drogę postawiona Serbia, podążała śpiesznie ku wyższym swoim przeznaczeniom. Naród poznał w ogólnym zjednoczeniu swoje siły, coraz więc ściślejsze między oddzielnymi zupami zawiązywały się węzły, z po za gór rodzinnych odślaniał się świat szerszy, wzmagala się chęć do czynu, do głośniejszego życia. Bohaterskie uczucia zaczęły ożywiać serca Serbów, nad serbską ziemią za-

jaśniał jak w życiu każdego narodu dzień wysokich marzeń i rozbu-
dził się jak w młodzieńczej duszy, gorący zapal do szerszej działalności.
Doczekała się i Serbia swoich Bolesławów. Urosz I Wielki gromi
Tatarów w 1241 r., kiedy ci z Węgier, z za Dunaju wtargnęli do Ser-
bii i już część téj ziemi opanowali. Syn jego Milutin znany pod na-
zwą Urosza II-go zdobywa część Macedonii, na nowo Bośnię odrywa
od Węgier, rzuca się, na Carogród, zapuszcza swoje zagony aż do Sa-
loniku aż do Góry Ś-tój (Atos): Serbia marzy o podbiciu cesarstwa,
pod Carogród podsuwa się Urosz III, czyli Stefan Deczański, a du-
mny władca bizancki gorliwie się ubiega o względy serbskiego króla.
Gdziekolwiek na półwyspie powstają zatargi, miesząc się serbscy kró-
lowie, na dworze w Byzancyum nieustannie waśnie, jedno stronnictwo
wytrąca władzę drugiemu, serbscy królowie i tu żywy przyjmują
udział; Bułgaria została włączona w te zatargi: Stefan Deczański
staje po stronie Andronika starszego i bije wraz z nim na głowę bul-
garskiego króla Michała (w r. 1330). Była sposobność zemścić się
na znieawidzonej przez siebie Bułgarii; więc Stefan Deczański sio-
strę swą Nadę, żonę Michała, wygnaną przezeń na bułgarskim osadził
tronie. Zdobył w końcu Macedonią, tam syna swego posłał jako kró-
lewskiego namiestnika.

Wzrost terytoryalny Serbii stworzył z nięj państwo dość obszer-
ne i silne, tém silniejsze, ile że tak nazwane łacińskie cesarstwo, nie
posiadało znacznego wpływu na półwyspie, nowi zaś władcy Paleolo-
gowie wycieczkami, domowemi wojnami i od Azji przez osmańskich
Turków zagrożeni, podobnież nie byli w mocy zapobiegać hegemonii
Serbów na półwyspie. Długo wątpliwem było, jakie zajmie stanowis-
ko Serbia na krańcu niemal dwóch światów się mieszcząca. Zachód
i Wschód zwracały swoją uwagę na wznoszące i rozrastające się
państwo. Przez nie mały przeciąg czasu chwiała się Serbia, na któ-
rą przechylić się stronę, czy z zachodnimi puścić się prądem, czy po-
łączyć się ze Wschodem. Długo myśl narodu nie umiała wyraźniej-
szego wytknąć sobie kierunku. Osobiste stosunki królów serbskich
ciągnęły ich to na Wschód, to na Zachód, brali sobie za żony księżni-
czki z Carogrodu—Stefan (Prvovjenezani) Urosz I, to z nowu z Wę-
gier, z Wenecyi. Ta chwiejność polityki uwydatnia się najwyraźniej
w stosunkach kościelno-religijnych. Rzym sam czynił zabiegi około
nawrócenia i przyłączenia Serbii w ciągu kilku wieków, ale i kró-
wie serbscy na nowo zawiązywali zerwane stosunki. Stefan Nemanja
widocznie zwracał się ku Rzymowi, kiedy syn jego Stefan oświadcza,
iż sam podobnież jak ojciec zamierza do rzymskiego przejść kościoła
i bronić zawsze jego nauki. Tenże Stefan, jak świadczy list Inno-
centego III prosił papieża, aby doń wysłał legatów, którzyby ziemię je-
go do posłuszeństwa kościołowi przywiedli. Z polecenia papieża zo-
stał na króla namaszczoney, a niebawem Sawa brat królewski, pó-
źniejszy arcybiskup, powtórnie według obrządku wschodniego doko-
nał na osobie jego pomazania. W sto lat później Milutin podobną
prośbę w 1308 roku zanosił do Klemensa V, ale ostatecznie te związ-
ki z Rzymem z osobistych widoków powstające, do żadnego nie do-

prowadziły skutku. Naród coraz więcej oswajał się ze swoim obrządkiem, a książęta duchowni serbscy wśród tego chwiania się, dążyli do utworzenia narodowego niezależnego kościoła. Złączeni z Grekami jednością wiary, Ignął naród z tego powodu więcej do Wschodu; w umysłach i sercach Serbów coraz głębiej rozwijało się poczucie przeciwieństwa między Zachodem i Wschodem, i ta odrębność powoli wydatniejsze przybierała kształty. Ztąd też Milutin powziął śmiały zamiar utworzenia unii z Carogrodem, myśl ta zrazu nawet bardzo życzliwie na dworze cesarskim przyjętą została, ale możniejsi panowie w Serbii mimo wspólność z Grekami wiary, wręcz takiemu zjednoczeniu byli przeciwni. Zamiar się rozchwiał. Myśl unii z Grekami podjął na nowo syn Milutina Stefan Deczański, który za życia ojca urzeczywistnieniu jej nie sprzyjał, ale i on celu nie dopiął. Stanowisko Serbii w obec Rzymu i Zachodu, oraz w rzędzie państw na półwyspie przybrało charakter wyraźniejszy w czasie, kiedy władzę dzierżył w swym ręku silny Stefan pod imieniem Duszana znany.

Zatrzymajmy się dłużej nad Duszanem. Duszana nie można mieścić razem z innymi królami Serbii w ogólnym obrazie, jemu się oddzielne należy miejsce. Za jego czasów na szczycie potęgi i wielkości stanęła Serbia: jest to doba jej pełnego rozkwitu i najgłośniejszej sławy. Miały Czechy swoich Bolesławów, Otokarów, Polska Bolesławów i Kazimierzów, miała też i Serbia swego Duszana. W osobie jego łączy się i dzielność bohaterska Chrobrego i rozum prawodawcy Kazimierza W. Żył nawet z Kazimierzem w jednym czasie, sióstrzeniec polskiego króla Ludwik, węgierski staczał z Duszanem częste i krwawe boje.

Duszana rządy trwały lat blisko dwadzieścia (1336-1355). Pierwszemu jego i ostatniemu marzeniu, wśród którego nawet skończył, było zdobycie Carogrodu, zburzenie Cesarstwa. Trzyznaście razy prowadził swoje bitne hufce przeciwko greckim wojskom. W prędkim bardzo czasie zagarnął zachodnie cesarstwa prowincje, stanął pod murami stolicy i zmusił cesarza Andronika do zawarcia pokoju. Panowanie serbskie sięgało wtedy od morza do morza, od Czarnego do Adryatyku. Jego rozkazom ulegała cała Bułgarya, Macedonia, Albania, Tesalia. Znaczna część Grecji jego zwierzchnictwo nad sobą uznawała. Potężny król wybrał sobie nowy gród stołeczny w Prylipie, na połowie drogi między Czarnogórzem a Egejskim morzem. Ośmiu namiestników, co zdobytymi rządzili krajami, tu mu swoje hołdy składało. Kiedy stanął na tej wysokości, godność króla serbskiego nie zdawała mu się odpowiadać jego rzeczywistej potędze, przybrał więc 1346 roku tytuł cesarza albo wiernego w Chrystusie cara i samowładcy Serbów, Bułgarów i Greków, a carską koroną ozdobił go nie arcybiskup, ale patriarcha serbski, którego on sam na tę godność wyniósł. Z Wenecją łączyły go blizkie przyjazne stosunki, policzony został w poczet obywateli władczyni Adryatyku; Dubrownik przyjmował go wspaniale. Bośnię przyłączył do swego państwa i dał jej swego namiestnika. Ludwik węgierski spoglądał z obawą na wznoszącą się potęgę Duszana, ale jej uszczuplić nie był w stanie, skoro na-

wet warowne na Dunaju miasto Belgrad stracił, które odtąd na północy broniło granicy serbskiej.

Najdłużej trwały krwawe zapasy z Carogrodem. W pierwszych latach Duszana utrzymywał przyjazne stosunki z antycesarzem Janem Kantakuzenem, który w 1341 lubo ozdobił się purpurą, ale się na tronie nie mógł utrzymać; udał się przeto osobiście do serbskiego króla, przymierze z nim zawarł i władzę swą w Carogrodzie przy pomocy Duszana utrwalił. Wkrótce jednak między koronowanymi sprzymierzeńcami zaszły nieporozumienia, a z nich się wywiązała wojna. Kantakuzen obawiając się przewagi Serbskiego władcy, przywołał na pomoc już nad granicami Europy siedzących osmańskich Turków. Tronu greckiego podporą stali się teraz wyznawcy Islamu. Pamiętna to dla Serbii była chwila, kiedy poraz pierwszy z nad brzegów Azji Mniejszej przeprowiły się na brzeg Europy tureckie oddziały. Duszana przewidywał, jaka się nad Serbią zbiera groźna chmura. W ciągu kilku lat z wielkim wysiłkiem stawiał mężne czoło połączonym greckim i tureckim wojskom. Kiedy się szala przewagi na stronę Duszana chyliła, cesarz Wschodni coraz nowe z Azji ściągał posiłki. Już nawet zbliżała się chwila, kiedy się obaj koronowani nieprzyjaciele pogodzić mieli, ale wmieszanie się Paleologów, którzy korzystniejsze Duszanowi ofiarowali warunki, spowodowało zerwanie układów. Silna koalicja między Duszaniem, paleologami i bułgarskim księciem Aleksandrem, taką Kantakuzena o swą przyszłość napelniła obawą, iż dla skuteczniejszej ze strony Turków pomocy, powołanemu przez siebie Sulimanowi wraz z miastem Gallipoli rękę swęj córki Teodory ofiarował. Carogród tym razem tryumfował (1351). Duszana doznał upokorzenia; patriarcha Konstantynopolu odsądził go od tytułu Cara. Ludwik węgierski korzystający z chwilowego zakłopotania Duszana przeszedł Sawę, wtargnął do Bośni i ziemię tę od Serbii oderwać zamierzał. Ale wniwecz zabiegi nieprzyjaciela obrócone zostały. Duszana znowu zjednoczył swe siły, ściągnął liczne wojsko około 80,000 i do nowęj wrócił się walki z Carogrodem. Już mu ostatni cios zadać postanowił. Szedł na Konstantynopol, żeby osiąść na cesarzów tronie. Niespodziewana śmierć wyrwała go z objęć wysokich marzeń i śmiałym jego zamiarom kres położyła.

Takich dni wielkości jak za czasów cara Duszana już nigdy Serbia nie miała w swém życiu. Podanie głosi, że Duszana raz podczas uroczystości na cześć Ś. Michała archanioła zapytał swych wojewodów, dokądby ich miał prowadzić, czy na Niemców, czy na Greków? „Dokądkolwiek nas poprowadzisz, odrzekli, wszędzie pójdziemy z tobą.“ Może o podbiciu zachodu nie marzył zapewne Duszana, ale słowa przez podanie w usta jego włożone miarą być mogą poczucia własnej potęgi. Nietylko ludowe podania, lecz wiarogodna historia zaświadcza, że Duszana wysokie o swęj wielkości mieć musiał pojęcia, skoro do króla francuzkiego Jana wyprawił posłów z prośbą o rękę księżniczki francuzkiej dla syna swego Urosza, albo kiedy w różnyh aktach urzędowych drugim Konstantym W. byę się mienił.

Jeżeli pierwszy z domu Nemaniów wyswobodził Serbię z pod politycznej zawisłości od Carogrodu, Duszana na innem polu pozrywał węzły zależności w jakiej od Grecyi pozostawała Serbia. Arcybiskup Serbii, zarządzający serbskim kościołem, dotychczas na tę godność wynoszony przez patriarchę Carogrodzkiego, zwierzchnią jego władzę uznawał. Przy Duszanie i tej zależności koniec położono, kiedy duchowieństwo serbskie na soborze w Pherae wybrało Joanicjusza II na patriarchę w Serbii 1346, i kiedy w kilka lat później tenże patriarcha jako niezależny naczelnik i głowa narodowego kościoła serbskiego ogłoszony został.

Duszana, który jako śmiały, waleczny i niezmordowany wódz wyniósł Serbię na stopień wielkiej potęgi, który jako szczęśliwy polityk jej polityczną i kościelną niezależność utrwalić potrafił, nie mniej czynnym w jej przekształceniu wewnątrzniem się okazał. W jego osobie łączył się duch rycerski z głębokim rozumem męża stanu. Kiedy do swego carskiego tytułu w aktach urzędowych dołączał imię żony i swego koronowanego syna, wyraźnie dawał znać, że najwyższa władza do rodu Nemaniów należy, że przed nią wszelkie prawa lub uroszczenia zupanów ustąpić muszą. Nazwano go Silnym, bo samowładna ręka jego, rozciągająca się na wszystkie prowincye, silnie dzierżyła wszystkie prawa naczelną władzę służące. Na dworze cara zaprowadzono obyczaj i ceremoniał grecki, wszystkie szczeble bizanckich urzędów otaczały Duszana, blask i przepych wschodniego cesarstwa zajaśniały w stolicy serbskiego cara. Stosunki wewnętrzne państwa uległy ważnemu nader przekształceniu, trwały porządek w nich zaprowadzony miał utorować drogę do dalszego rozwoju Serbii. Ograniczono dla łatwiejszego wzrostu państwowej władzy przywileje wielowładnego stanu właścicieli ziemskich, ale uszczuplano je także, żeby przynieść ulgę niższym klasom. Zrównano prawa wszystkich stanów pod względem uległości jednemu naczelnemu władcy. Duszana określił stale różne obywatelskie obowiązki i prawa. Dotychczas ogólny porządek opierał się na zwyczaju narodowym, Duszana więc nie naruszał tego prawa, które wyrosło z łona życia narodowego i od właściwości serbskiego charakteru zależało, ale starał się tylko utrwalić je za pomocą pisanych paragrafów w tych częściach mianowicie, które tego nieodbitcie wymagały. Nowy zaś porządek, dbałość o zabezpieczenie wolności i własności osobistych, słuszniejszy wymiar sprawiedliwości, staranniejszy zarząd potrzebę nowych przepisów i postanowień wywołały. Wśród takich okoliczności powstał pisany zbiór postanowień i przepisów prawnych pod nazwą Zakonnika znany, zbiór, w którym się najwyraźniej odbiły szlachetne Duszana zabiegi, około utrwalenia prawidłowego rozwoju serbskiej społeczności.

W dziejach Zachodniej Słowiańszczyzny jest pamiętnym wiek XIV-ty. W trzech różnych krajach jednakowe powstają usiłowania na polu prawodawczej działalności. W 1347 r. powstaje w Wiślicy statut Kazimierza W. W Czechach Karol IV w 1355 r. przedstawia sejmowi zbiór nowych przepisów, Majestas Carolina, dotyczący zmian

w prawie publiczném i prywatném (jak wiadomo przez sejm odrzucony). Na soborze w Serbii w obecności patriarchy Joanicyusza w 1349 roku uchwalony został przez Cara Duszana, Zakonnik. Postanowienia i przepisy, Zakonnikiem objęte, nie do całego państwa, lecz tylko do właściwej Serbii się stosowały, ztąd też najwierniejszém być mogą zwierciadłem uspołeczenia Serbii, jój stanu polityczno-prawnego w dobie jój pełnego rozkwitu. Zbiór ten prawny tém większj nabiera wagi i znaczenia, ile że nie powstał z głowy jednego lub kilku prawodawców, ale był wyrazem życia narodowego, owocem kilkowiekowej pracy, nad jaką się trudziła myśl serbskiego narodu. Nie zawadzi przeto przy tój sposobności zacerpnąć bliższych z tak czystego źródła wiadomości o wewnętrzném urządzeniu Serbii, i przedstawić kilka rysów z dziedziny prawa publicznego i prywatnego (1).

Kościół wschodni oparł się w Serbii na szerokiej i trwałej podstawie, na sercach przywiązanego doń ludu i oddanych mu królów. Przez czas pewien chwiejną była kościelna polityka władców serbskich, jak wyżej nadmieniono, ale za czasów Duszana i zwrot ku greckiemu kościołowi już za stanowczy uważać należy. Odbija się w Zakonniku gorliwość prawodawcy o szerzenie wyznania narodowego, które nie w całej panowało Serbii, gdyż nad brzegami Adryatyku w handlowych miastach, jak również i w handlowych grodach środkowej Serbii bywali katolicy rzymskiego wyznania. Niech patriarchat, powiada w 7 art. Zakonnik, pośle protopopów do wszystkich miast handlowych, aby ci nawracali chrześcian z herezyi łacińskiej, którzy przeszli na wiarę łacińską, a ktoby się temu opierał, głosi w inném miejscu (art. 6) niech będzie karany, jako jest napisane w Zakonniku Ojców Świętych (da se kaže kako pisze u zakoniku swety ich otec).

Jak w Polsce za czasów Piastowskich nieraz na tronie klasztorna pobożność panowała, i darów dla duchowieństwa nie szczędziła, tak podobny duch bogobojności i szczodrości także się w Serbii objawiał. Krale Serbii nieraz szukali pociechy w strapieniach wśród murów klasztornych lub wstępowali po troskach publicznego życia do zakonnj celi, stawiali cerkwie i monastery i obsypywali je dobrodziejstwami i hojnemi darami. Świętą górę Atos, co słynęła na całym Wschodzie, darzyli licznemi dochodami lub dobrami. Zakonne duchowieństwo w Serbii posiadało znaczne majątki ziemskie.

W ustroju polityczno-prawnym nie mało wspólnych cech z polskim spotkać można. Nemanian był tylko Wielkim Zupanem, co miał władzę nad innemi zupanami. Syn jego już się kralem mianował. Za czasów Duszana zupaństwo straciło dawne znaczenie. Wojewodowie lub i namiestnicy stali na czele oddzielnj ziemi, byli ogólnj

(1) Zakonnik został po raz piérwszy wydany przez Rajioza w T. IV jego historyi. Tekst umieścił także Kucharski w swoim zbiorze praw słowiańskich: Antiquissima monumenta. Warsz. 1838 str. 92... Polski przekład u Maciejowskiego Hist. praw sl. VI 352. Korzystamy w naszych zarysach z najnowszego wydania Sigelia: Zakonnik Stefana Duszana Petersb. 1872.

siły zbrojnej dowódcami i wyższemi z ramienia króla wyznaczonemi urzędnikami. Kasztelańską godność Piastowskich czasów Polski, piastowali w Serbii kefalje, t. j. naczelnicy grodów warownych i należących do nich okręgów czyli zup, wymierzali oni sprawiedliwość, trudnili się zarządem powierzonej im ziemi. Zwykle takie miejsca zajmowali mężowie znakomitych i zamożnych rodzin, wyżsi panowie, z których panujący w narodzie stan się składał. Byli to możni właściciele ziemscy, baronowie polscy z Piastowskich czasów, bojarzy ruscy, albo w ogóle wyższa szlachta. W Serbii włastjelami się nazywali. Niższy rodzaj szlachty rycerzy (nasi milites) miano włastjeliczyców nosił. Wielu z wyższej szlachty zdobyło się tytułem knieza czyli księcia, z czém się jednak żaden urząd publiczny nie łączył. Taki tytuł przechodził dziedzicznie z ojca na synów, już nawet małoletnie dzieci knjezami się zwali. Do takich rodów należeli: Jabłonowicze, Chranicze i inni.

Serbska szlachta aż do czasu Duszana stanowiła korporacją, ściśle między sobą spojona. Broniła ona wprawdzie praw swego stanu, ale i o dobro kraju dbała. Nieraz pozabawiała książąt serbskich tronu, kiedy się ci mniej dbałem lub zdatnemi okazali. Ale co najważniejsza, gdy serbska szlachta była przedniejszą częścią narodu, przechowywała też najwierniej obyczaj narodowy, w niej się najsilniej rozwinęło poczucie narodowości, ztąd też opór stawiała, kiedy Milutin, Stefan Deczański ku Grecy skłaniać się i o unii z Grecją myśleć poczęli. Wtedy szlachta, przywiązana do kraju, kochając swój obyczaj narodowy, wiązała się w konfederacją i z bronią w ręku występowała do walki przeciwko greckim zachceniom. Ale już od Duszana stan ten poprzednią swą spójność traci, występują oddzielne osobistości z roszczeniami do wyższych praw i wpływów, rodzą się niesnaski, zatargi, zdrady, które powoli ruinę Serbii sprowadzają.

Stanu miejskiego albo średniego właściwie w Serbii nie było. Pochodziło to z braku warunków, przy którychby się mógł rozwinąć stan kupiecko-rzemieślniczy, główną składową część ludności miejskiej stanowiący. W górzystej Serbii przeważało życie pasterskie, w dolinach zajmowano się rolnictwem, były to dwa źródła bogactwa narodowego. Rzemiosła stały na bardzo niskim stopniu, zadość czyniąc niezbyt wygórowanym potrzebom życia. Rzemieślnicy zwykle po wsiach mieszkali. Na zachodnim brzegu Serbii, przytykającym do morza, osiadali w miastach, kupcy zagraniczni i ztąd do Carogrodu przez Serbią się udając, wewnątrz kraju swe towary rozwozili. Wenecya korzystała z licznych przywilejów handlowych i z handlu serbskiego ciągnęła pożytki. Dubrownik także do ożywienia tych stosunków się przyczyniał. Do miast nie ciągnęli Niemcy, którzy się tak tłumnie do zachodnich Słowian garnęli. Ale i tu bez żywołu niemieckiego się nie obeszło. Zakonnik wspomina o mieszczanach Sasach (§ 123), którzy wycinają lasy, karczują ziemie i zakładają nowe osady, więc widocznie do rzędu kolonistów należeli. Byli także i Sasi górnicy, którzy się wydobywaniem minerałów trudnili.

Miasto zwykle gradem, to jest grodem nazywane, nie było przeto siedliskiem rzemiosł i handlu, nie stanowiło też odrębnej całości, ale pod względem zarządu krajowego wchodziło w skład całego okręgu lub zupy. Gród był właściwie warownym miejscem, w którym przebywał kefalia, czyli naczelnik zupy i inni urzędnicy królewscy.

Cała ludność prócz duchowieństwa i właścielów czyli szlachty nazywała się Sebrami. Sebrem był ten, co do wyższego stanu nie należał. Niższą klasę stanowiła ludność rolnicza i pasterska. Ludność rolnicza nazywała się: neropchami. Neropch był osobiście wolny, posiadał prawo własności osobistej, ale był do gleby przykuty bądź na ziemi kościelnej, bądź na carskiej, bądź na włastielskiej. Pewną liczbę dni w tygodniu był zobowiązany odrabiać na korzyść swego pana i pewien opłacać podatek. Pan miał prawo razem z ziemią odstępować, darować, przedawać takich pańszczyznianych chłopów. Ci zaś co się hodowlą bydła trudnili, nazywali się Wołochami albo Albańczykami i pod względem stanu równali się neropchom. Był także w Serbii rodzaj niewolników pozbawionych wszelkiej swobody i własności. Do nich należeli otroki, których nie tylko ziemia, ale i osoby stanowiły własność pana i tém się od wolnych rolników neropchów różnili.

Ponieważ Zakonnik nie był ogólnym zbiorem obowiązujących praw cywilnych, nie mieści więc tych wskazówek, z którychby można utworzyć sobie pojęcie o wszystkich stronach życia polityczno-prawnego. Normy prawne wyrobione przez naród w ciągu kilku wieków istnienia, uświęcone przez zwyczaj, żyjące w pamięci i w praktyce, nie wymagały piśmiennego ich określenia. W skład Zakonnika weszły tylko te postanowienia, które w istniejącym zwyczaju prawnym zaprowadzały zmianę. Prawodawca nie zamierzał burzyć, tylko utrwalić, ulepszyć, to co już było wyrobionem.

Nierównie pełniej odbijało się w Zakonniku prawo karne, które wymagało nowych postanowień. Liczba przepisów, surowość kar, odpowiadały celom prawodawcy, który chciał dać społeczeństwu trwałe podwaliny bytu społecznego i prawidłowego prawnego rozwoju. Duszana, ce był ożywiony takim gorącym dla dobra Serbii uczuciem, przepisami karnymi pragnął zapobiedz wszelkiemu wykrzywieniu się moralności. Ztąd też stosunkowo więcej niż o prawie cywilnem, z Zakonnika dowiedzieć się można o przepisach prawa karnego. Ztąd też często jest mowa o zabójstwie, gwałcie, obelgach, pijaństwie, kradzieży, na co prawodawca szczególniejszą zwrócił uwagę. W liczbie tych przestępstw nie spsstrzegamy jeszcze tych wyszukanych, które dopiero zwykle z chwilą rozwolnienia węzłów moralności, z chwilą starzenia społeczności się ukazują. Serbska społeczność w Zakonniku Duszana przedstawia nam się jako młoda, świeża nie wyrobiona z gwałtownymi namiętnościami młodzieńca, przebija się w niej prostota lub grubość obyczajów, ale też daleką jest od wyrafinowanych przestępstw polerownego stanu w zgrzybiałem społeczeństwie. Z postanowień o zabójstwie widać, że spełniano je nieraz z wiedzą, śmiało, jak gdyby w braku poczucia prawa lub obawy karzącej sprawie-

dliwości. Kradzież nie była zdaje się rzadkością w dawniej Serbii, bo często o niej Duszan wspomina. Niektóre paragrafy budzą w nas domysł, iż szlachta niekiedy w rozbojach przyjmowała udział. Ale za to też kara za kradzież i zabójstwo odznaczała się surowością: złodzieja karano wylupieniem oczu, rozbójników szubienicą (§ 146 i 151). Nawet na mniejsze przewinienia była ostra kara wyznaczona. Kto wyrwie włosy z brody włastjelina (tj. szlachcica) lub dobrego człowieka, temu obie ręce odciąć należy, stanowi np. 97 paragraf.

Kara za przestępstwo wymierzała się bez różnicy stanu. Przestępstwo przez kogokolwiek spełnione zawsze jednakowe miało znaczenie. Jeżeli winowajca został schwytany, dotykała go osobista kara, w przeciwnym razie za przestępstwo odpowiadała cała ziemia lub zupa, albo tak zwana okolica czyli nasze Opole. Dwa były rodzaje kar: pieniężne i cielesne. Pierwszym podlegały zwykle okolice i szlachta, cielesnemi dotykano niższy stan Serbów. Surowość cechuje w ogóle serbskie prawodawstwo karne, które karze śmiercią na stosie, na szubienicy, wylupia oczy, odcina ręce, ale nie jest mu zupełnie obcą łagodność, bo były pewne schronienia, które osłaniały przestępcę w razie jeśli zbiegł na dwór carski, albo na dwór pałatyarchy.

Sądownictwo oraz całe postępowanie sądowe odznaczało się wielką prostotą. W tej dziedzinie narodowego życia przechowało się nie mało prastarych zwyczajów. Czas w nich zaprowadził nie wiele nowego. Były sądy gminne na których przewodniczył kniaz gminny, w grodach wydawał wyroki Kefalja, i na dworze carskim były sądy. Zdaje się, że nie było między temi sądami hierarchicznego stopniowania i że nie było nadto odwołania. Sędziowie słuchali ustnych obron i wyrokowali, idąc za głosem sumienia i prawnego w żywej tradycji narodu żyjącego zwyczajem. W Zakonniku przebija się szczególniejsza troskliwość w określeniu terminów sądowych powołania stron przed sądy. Szlachtę powoływano przez pisane pozwy, a pozew mógł być tylko przed południem doręczony; inne stany pozywał woźny przez ukazanie sądowej pieczęci. Między różnemi dowodami sądowemi używano także i sądu bożego, pojedynku, próby ognia i wody.

W całym ustroju polityczno-społecznym Serbii, były, rzecz można, niewątpliwie zawiązki pełniejszego jój w przyszłości życia i bujniejszego rozwoju, ale te kiełkujące zarodki niebawem wśród niesprzyjających okoliczności uschły i zmarniały. Gmach polityczny wznieiony dzielną ręką Duszana zachwiał się w swych podwalinach już za życia jego następcy syna Urosza V, podczas którego niedołącznych rządów, gwiazda wielkości Serbii błędnie poczyniała. Wewnętrzne rozterki targwały państwo i tak już skolatane wojną z Ludwikiem węgierskim, który Bośnią od Serbii oderwał. Namiestnicy zdobytych przy Duszanie prowincyj poczuli większą w sobie samodzielność, wypowiedzieli swą uległość zwierzchniej władzy, w swych dzielnicach prowadzili rządy niezależnych królików. Węzły spajające oddzielne części Serbii w jedną całość, osłabły zupełnie, kiedy jeden z wojewodów Wukaszyn, przez Urosza na króla wyniesiony, jego zaufaniem

i laskami obdarzony, nie znając granic swęj ambicyi, o najwyższą władzę ubiegać się zaczął. Sprowadziło to wojnę domową. Wukaszyn ściagał uciekającego przed nim Urosza i dopędziwszy około Nerodymlii, własną zabił ręką w r. 1367. Był to ostatni potomek z rodu Nemaniów. Razem z Nemaniami, którym Serbia swoje wyniesienie winna, zgasła jęj świetność, jęj wielkość.

Wukaszyn odebrał w spadku władzę i państwo nadwątlone, które się oprzęd nie mogło nowęj burzy, co od wschodu naddięgała. Turcy raz przez Kantakuzena do Europy wprowadzeni, juź znali doń drogę. Z początku Wukaszyn pomyślne przeciwd nim staczał boje, ale w krwawęj bitwie pod Marycą w r. 1371 stracił życie i tron serbski. Syn jęgo Marko kraljewicz (królewicz), tyle sławiony bohater w ludowęj pieśni serbskięj, poddał kark swój pod jarzmo tureckie i odtąd siedząc w Prylipiu rządził jako lennik turecki nieznaną częścią macedońskiego kraju. Podbój osmański tak szybkie czynił postępy, że z dawnego serbskiego państwa, zachowali niezawisłość tylko Twardko, ban bośniacki i Lazar, książę górnęj Serbii. Sułtan Murad korzystał z rozwojenia, gdy Twardko przyswoiwszy sobie tytuł króla bośniackiego i serbskiego (w r. 1376) męcił spokój domowy, a Lazar siłił się na poskromienie dumnego bana, z podbitęj juź przez siebie Bułgarii wyprowadzał swoje oddziały na zdobycie Serbii: Lazar stawiał męzne czoło i wstrzymywał zapędy Islamu. Na Kosowem polu w 1389 r. rozstrzygnęły się losy Serbii i zarazem chrześcian na półwyspie illiryskim. Krwawa bitwa na Kosowych równinach stała się grobem wielkości Serbii. Z dawnęj świetności cień tylko pozostał, ale i ten rozproszył się zupełnie, kiedy słabi następcy Lazara szli dobrowolnie pod jarzmo Osmanów.

Syn polegego na Kosowem polu Lazara oddał siostrę swą za żonę sułtanowi Bajazetowi, jak gdyby w znak tego że się godzi z ciężką dolą, jaka na naród jęgo spadła. Oddał się modlitwie, pobożnym rozmyślaniom i w dobrych uczynkach chrześcianńskich szukał ulgi dla skolatanego ducha. W jęgo ślady nie wstąpił czynny, waleczny następca Stefan Dziordże (Gjorgj-tj. Jerzy) z domu Brankowiczów, złożył sułtanowi holdy jako lennik, ale u węgierskiego króla Zygmunta szukał pomocy dla swęj ziemi i swego ludu. Oddał mu Belgrad mimo łzy Serbów nad niedolą własnego miasta rozpaczających. Sułtan czuł się tym krokiem w swych prawach obrażonym, więc nowe fale najeźdników zalały serbską ziemię. Juź ku brzegom środkowego Dunaju zbliżał się niewierny Turczyn. Drżał papież przewidując wielkie dla kościoła niebezpieczeństwo, i mogły się powtórzyć czasy, kiedy Islam z za Pirenejów sięgnął do środkowęj Francyi. A na zachodzie Europy nie było drugiego Karola Martela. Niemiecki cesarz obrońca chrześcianstwa był głuchym na próby papieżskich legatów, ale głuchym nie pozostał młody rycerz król potęgnęj Polski i Węgier, który z zapalem szlachetnęj duszy poszedł za głosem głowy kościoła na wyprawę krzyżową, bronić Europy od niewiernego Turczyna. Jan Huniadi wojewoda Siedmiogrodzki pod rozkazami Władysława Warneńczyka odniósł w 1443 r. świetne nad Osmanami zwycięztwo pod Nissą. Zaszczyt zwycięztwa nienawistna Warneńczykowi historia

(Eneasz Silvio) przelała na Huniadjego, tak Długosz nas objaśnia. Młody król rycerz znosił ciężkie trudy jak żaden z krzyżowych wojowników, a laury inni zbierali. Szegetyński pokój na chwilę tylko wstrzymał bieg krzyżowej wyprawy. Papież nowęj się domagał dla zupełnego wypędzenia Turków z Europy. I znowu ruszył Władysław w nieostygłym ku wielkiej sprawie zapale, i życie dla niej poświęcił pod Warną (1444) król polski i najpiękniejszy kwiat polskiego rycerstwa.

A książę Serbii? Despota serbski Jerzy w tej krwawej walce o wolność Serbii nie przyjmował żadnego udziału, pozostał obojętnym świadkiem, owszem czynnym się okazał chwytając uciekającego z pod Warny Huniadjego!

Serbia już się drugiego Warnieńczyka nie doczekała. Kiedy jarzmo tureckie coraz silniej gniotło, uciekali się serbscy władcy nieraz jeszcze pod węgierską tarczę lub pod osłonę zachodniego kościoła, ale ani Habsburgów, ani papieży władza nie była w stanie rozniecić zapala wojowników na zachodzie do wyswobodzenia Serbii z pod panowania niewiernych. Na schyłku XV wieku przebrzmiało nawet imię i godność serbskich despotów, ta chuda spuścizna potężnych niegdyś królów i cara Duszana. Miejsce despotów zajęli tureccy baszowie.

(Dokończenie nastąpi)

KRONIKA ZAGRANICZNA,

LITERACKA, NAUKOWA i ARTYSTYCZNA.

Walter Whitman tak zwany nowy Kolumb poezyi amerykańskiej. Zrealizowane godło Wiktora Hugo: *Brzydota pięknem*. *Leaves of grass* (*Listki trawy*), *Pieśni demokratyczne*, *Drums taps* (*Grzmot bębnów*) *pieśni bojowe* z roku 1862. — *List z obozu*. — *Fantastyczna autobiografia poety*. Porównanie Whitmana z Wiktorem Hugo. — *Dzieło pani Olimpij Adonard: North America*. *Sekty religijne*. *Dziennikarstwo*. — *Gentelmany, złodzieje, wychowanie publiczne*. — *Statystyka szkół w Nowym-Jorku* — *Stanowisko amerykańskich kobiet*. *Osobistość autorki: jęj dzieła i konferencye*. — *Obrazek dramatyczny Franciszka Coppée: Czyń coś powinien*.

W ostatniej kronice mówiliśmy o głównym przedstawicielu poezyi europejskiej, którego sztandar od pół wieku powiewa zwyciężczo nad Francją. Paradoksalne godło: *brzydota pięknem*, wyrzyta niegdyś na tym sztandarze, stało się w poezyi hasłem nowego porządku. Wiktor Hugo nie stworzył przecież tego godła, a sformułował je tylko. Romantyzm mimo łudzącej nazwy, jest dzie-

kiem nie romańskiego, ale germańskiego geniuszu. Zakwitł on wprzód w Szyllerze i Goetem, wybujął w Bajronie, zaczęł wielki nasz Adam zaszczerpił go nad Niemnem, a Wiktor Hugo w arcyklassycznej ojczyźnie Kornela i Rassyna.

Ciekawą byłoby rzeczą zbadać porównawczo rozwój romantycznego ducha we wszystkich literaturach, i poznać w jaki sposób płonki uszczknęte z tegoż samego pnia, rozmogły się i dojrzały pod wpływem rozmaitych miejscowości. Nie do nas należy podejść pod wpływem rozmaitych miejscowości. Nie do nas należy podejść mować dziś to pytanie, dodamy tylko, że wielki poeta francuzki, który przyjął godło: *brzydota pięknem*, nie doprowadził założenia swego do ostatecznej konsekwencji, z czego nie myślimy czynić mu zarzutu. Skrzydła tego orła, mimowoli rwały się w górę za promienistym ideałem, a wówczas nawet, gdy poeta zanurzał je z wiedzą w ziemskim bagnie, rosa niebieska obmywała je z błota i słońce pociągało ku sobie niewycięzoną siłą.

Tylokoli na rodzinnym gruncie germańskim, szczerp romantyzmu wybując mógł do ostatecznych rozmiarów, graniczących niejako z potwornością; tylko na gruncie germańskim, godło *brzydota pięknem*, mogło być urzeczywistnione w całym znaczeniu słowa i tak się też stało. Tym Koryfeuszem realizmu, owym zabójcą ideałów w poezji, owym nihilistą w dziedzinie literatury, jest dziś poeta północno-amerykański Walt. Whitman. Jankees nowego świata zowią go karczownikami nowych obszarów, twórcą nowej szkoły; co do nas przekonani jesteśmy, że Whitman jest ostatnim wyrazem romantyzmu, przedstawicielem jego strony ujemnej, słowem że jest Don Quichotem, poezji romantycznej. Na innym polu sztuki, w malarstwie, Francya wydała podobnego przedstawiciela realizmu w Courbecie, który obaleniem kolumny Vendome, pozyskał nazwę tegoczesnego Herostrata. W poezji Walter Whitman stoi sam jeden. Gdyby nawet pociągnął za sobą naśladowców, szkoła jego nie potrwa, gdyż poezya nie podsycana ideałem, niema w sobie warunków bytu; nihilizm jest zupełną jej negacyą.

Rzućmy okiem na przegląd amerykańskie, a wyczytamy w nich, że Whitman jest prawdziwym poetą swego czasu, śmiałym trzebiecielem odwiecznych ciernisk i chwastów, co zarosły niwę poezji: twórcą nowych dróg, odpowiednich nowym potrzebom społeczeństw demokratycznych; słowem dowiemy się, że jest nowym Kolumbem amerykańskiego ideału. Cóż jest tym ideałem? oto ubóstwiona jednostka, samolubstwo podniesione do apoteozy.

Walter Whitman urodził się we wsi West-Hills, w stanie nowego-Jorku w roku 1819. Jego ojciec pochodził ze szczepu angielskiego, matka z rodziny holenderskiej. Oboje należeli do sekty kwakrów Eliasza Hicks, którzy wyznają czysty deizm. Mnóstwo mieli dzieci, z tych każde pracowało na siebie. Walter umieszczony w szkole na jednym z przedmieść Nowego Jorku, w trzy nastym już roku życia zajmował się drukarstwem: później był nauczycielem w szkółce wiejskiej, i wówczas to zaczął pisać. Burzliwy charakter nie pozwalał mu przecież dosiedzieć na miejscu, raz po

raz puszczał się na daleką wędrówkę, to znów pracował przy ojcu jako cieśla i mularz. Pierwsze jego próby literackie, drukowane w *Democratic Review* roku 1841, przeszły niespostrzeżone, w r. 1855 dopiero zbiór wierszy pod tytułem: *Listki trawy*, (*Leaves of grass*), dał mu rozgłos w amerykańskiej literaturze.

Uderza on z niesłychaną pogardą, na wytworny sentymentalizm szkoły Tennysona, wpływ życia miękkiego i zniewieściałego, niedołężny — jak mówi — płód feudalizmu. Oznajmia, że chce stworzyć właściwą poezją amerykańską, odpowiednią szerokim obszarom i wielkim przeznaczeniom nowego świata. Dzieło jego poruszyło silnie umysły i wywołało niesłychaną burzę. Emerson wskazał *Leaves of grass*, jako najznakomitszy wyraz mądrości i twórczej siły amerykańskiej. Inni zagorzali zwolennicy Whitmana przyrównywali jego wiersze, nie ujęte w żadne prawidła szkolne, do wersetów Biblijnych, do miarowej prozy Platona; porównanie to niewłaściwe. Autor oświadcza sam, że zrywa z wszelką tradycją. Dzień dzisiejszy godzien jedynie jego pieśni. „I po cóż — pyta — cofać się wstecz? po co zanurzać wzrok w noc czarną zamarłych pokoleń? Człowiek w przyrodzie, oto jego bohater. Stany Zjednoczone same przez się, azaliż nie są najpyszniejszym ze wszystkich poematów? Whitman radby zakopać przeszłość w grobie; zadaniem jego opiewać przyszłość, chwałę i wolność Ameryki.

W jednym z poematów p. t.: *Pożegnanie Paumanock*, opowiada jak opuścił gniazdo rodzinne, kędy wychowała go dobra matka, jak rozpoczął wędrówkę po różnych krajach, jak miłośnik tłumnie deptanych bruków, zamieszkał to w Mannhatta, wielkim grodzie nadmorskim, to na sawanach południowych, jak znów z tornistrem na plecach, z karabinem na ramieniu, próbował żołnierskiego chleba, jak został górnikiem w Kalifornii, jak w lasach Dakotek karmił się mięsem dzikich zwierząt i pił czystą wodę kryniczną. . . jak wreszcie uprzykrzywszy sobie tłumy, wesół i swobodny, powitał bystrą Missurę i potężną Niagarę, jak widział bawoły pasące się po niezmiierzonych okiem przestrzeniach, jak nakoniec zbadał tajemnice ziemi i skał, kwiatów i błyszczących gwiazd; i deszczu i śnieżnych zamieci; jak się wyuczył pieśni mieszkańca gór, sokoła!

„Pędzę w świat nowy! — woła poeta — Oto mi życie! oto plon zrodzony z tyłu drgań konwulsyjnych! Wszystko tak ciekawe, tak rzeczywiste! pod memi stopy ziemia boża, nad głową moją słońce! Patrzcie! oto wiruje ziemia, a z nią razem wirują starożytnie lądy skupione razem, i lądy dzisiejsze, i przyszłe z północy, z południa, międzymorzem złączone z sobą. Patrzcie na te szerokie przestrzenie, bez drogi, bez toru, przeistaczają się jakby w marzeniu sennem. Wielkie masy spływają na nie, przynoszą im nowych ludzi, nowe sztuki, nowe instytucye. Patrzcie, oto przez odmęty czasu spostrzegam niezliczone koło słuchaczy mówiących. Krokiem pewnym, mierzonym idę naprzód, wciąż naprzód!

nie wstrzymuję się nigdy! . . . Widzę chmury amerykańskich mężów . . . sto milionów z górą! Pokolenie jedno odgrywa rolę swoją, i zstępuje ze sceny i drugie nadchodzi, i znów mija. „Ci obliczem ku mnie zwróceni, tamci z boku, inni po za mną. Amerykanie naprzód! ludzkość podąża naprzód! wiek idzie! Słuchajcie massy, oto programat pieśni moich!“

I Whitman rozwija swój programat. Nie przeczy on chwale dawnym filozofom, poetom, artystom i uczonym, uznaje w przeszłości całą potęgę upadłych dziś narodów, pochyla głowę w obec zwalisk, lecz nie zajmuje się niemi. Godzina jego wybiła, on dziś występuje na widownię.

„Przechadzałem się — mówi po Alabamie, widziałem słowiczkę na gniazdku w posród chrustów, jak wysiadywała jajka. Spostrzegłem i słowika: zatrzymałem się, widziałem jak rozdymał gardziółko i śpiewał radosny, a podczas gdym słuchał, przyszło mi na myśl, że ci dla których śpiewa nieobecni tu, że nie śpiewa ani dla samej towarzyszki, ani dla siebie, ani dla echa, ale dla kogoś nieznanego, niewidzialnego, oczekiwanego: dla tych, którzy się jeszcze nie zrodzili.

„Demokracyo! dziś w obec ciebie wzdyka się jedno gardło i śpiewa pieśń wesołą! Małzonko moja! to gardło śpiewa dla piskląt, które zrodzą się w naszym gnieździe, dla dzisiejszych jak niemniej dla przyszłych. W tryumfie radosnym zagrzmią im na powitanie dzielną pobudkę, której ziemia jeszcze nie słyszała! Zaśpiewam równie i dla was, co przekraczacie prawo, bo patrzcie na was oczyma brata, bo jesteście dla mnie tém samem czem i drudzy. Opiewać będę wszelkie bogactwa: bogactwa ciała i rozumu. Pełnym potokiem rozleję egoizm i wysławiać go będę jako podwalinę wszelkich rzeczy. Jam bard osobisteści! Ja dowiodę że ptak i ptaszka zupełnie równi sobie, że czas obecny niedoskonały dziś, i jutro nie będzie doskonalszym; dowiodę, że cokolwiekbądź zdarzy się temu lub owemu, z każdego wypadku można wyprowadzić najważniejsze następstwa; dowiodę że nic piękniejszego spotkać nas nie może nad śmierć samą. Będę tworzył wielkie i małe poemata, pieśni, przysłowia, drobne zwrotki. Nie będę pisał w nakazanej chwili, ale każdego dnia, a w każdym utworze moim, w każdej cząsteczce jego mówić będę o duszy; bo gdy ogarniam wszelkie przedmioty istniejące na świecie, widzę że najdrobniejszy z nich ma bezpośredni związek z duszą.”

W filozofii Walter Whitman wyznaje czysty naturalizm, posunięty do panteizmu. Nie odróżnia on ducha od materji.

„O! ciało moje! — woła poeta — twoje cząstki trzymać się będą i upadną razem z duszą moją! Głowo, szyjo, włosy, uszy, nosie, brodo i t. p. wy jesteście nie tylko cząstkami i poematami ciała, lecz zarazem i duszy. Ja mówię, że wy jesteście duszą!”

Poeta wspomina często kroć o religii, lecz o religii własnego utworu. Celem jego czci jest własna osobistość, własne ciało. Ozuje się na wskrós boskim. Apologista materji widzi duszę w najgrub-

szych przedmiotach, jakie podpadają mu pod oko. Nóż rzeźniczy, kadz piwowara, narzędzie robotnika, telegraf, omnibus, lokomotywa, szyny drogi żelaznej, słowem wszystko co ułatwia życie materyjalne, odbiera jego hołd religijny.

Moralność Whitmana równie dziwaczna jak jego religia. Nie przyjmuje on złego, a raczej waży zło i dobro na równej szali, skoro jedno i drugie istnieje. Bierze człowieka jakim jest, bo jak mówi, on nie może być lepszym. Jeżeli popędy grubijańskie odgrywają tak wielką rolę, snąc że są niezbędnym warunkiem bytu, należy je więc przyjąć; wszystko na co patrzymy, co wiemy, co istnieje, co jest koniecznym, może i powinno stać się przedmiotem pieśni. Wychodząc z tej zasady, autor dopuszcza się często kroć najbezpieczniejszego cynizmu. Pomijamy ustępy erotyczne, których powtórzyć niepodobna. Równy cynizm odbija we wszystkich sądach.

„Dobre czy zle, — mówi poeta — i cóż mnie to obchodzi? lubię wszystko, nie potępiam niczego. Dla mnie obwiniony nie jest gorszym, niż ten, na kim żaden nie ciąży zarzut; dla mnie sędzia równym jest zbrodniarzem jak potępiony przezeń winowajca, jak człowiek używający najlepszej sławy. *Omnes! omnes!* Jam o tyle zły, o ile dobry, tak samo i mój naród; mówię zatem, że *zle* nie istnieje!

— „Szczuję — mówi dalej — Assyryą, Chiny, Teutonią i Hebrejów, przyjmuję wszystkie teorie, wszystkie mythy, wszystkich bogów i półbogów; wierzę, iż wszelkie stare tradycje i genezy prawdziwe bez wyjątku; twierdząc że *Dziś i Ameryka* nie mogą być lepsze jak są w rzeczywistości.

Whitman mieni się kosmopolitą, ale nie dosyć jeszcze na tém. W hymnie p. tytułem: *Pokłon światu!* wylicza wszystkie miasta starożytne i nowożytne, uznaje się Paryżaninem, Wiedeńczykiem i t. p., gdyż zamyka sam w sobie cały wszechświat.

„We mnie — mówi — istnieją wszystkie strefy i wszystkie morza, i katarakty, i wulkany, i archipelagi Polinezyi i wielkie wyspy Indyi zachodnich“

Wiersz Whitmana nieregularny, wyzwolony z wszelkich więzów, nie ujęty w żaden rytm ani miarę. Autor lekceważy zarówno grammatyczne prawidła. Język angielski, nazwany przezeń językiem postępu, wiary, sprawiedliwości, równości, poszanowania samego siebie, zdrowego rozsądku, odwagi, rewolucyi; język ten pod jego piórem dziwnie jest nieokrzesany i barbarzyński.

Aby dać pojęcie wiersza Whitmana, przytaczamy *hymn do Irlandyi*. Miara w nim zachowana wiernie.

„Jedno słowo o stara matko!

„Powstań z ziemi w lód skrzepły, na którą padłaś z czołem pochylonem do kolan!

„Nie zasłaniaj twarzy starganym włosem, wiedz bowiem, że ten za którym płaczesz, on nie leży w tym grobie!

„To ułuda!... dziecko, syn twój ukochany, on nie umarł zaprawdę!

„Pan nie umarł, on zmartwychwstał młody i krzepki w innym kraju!

„Gdy ty płakałaś nad roztrąconą harfą twoją, nad harfą królewską, dziś umilkła około tego grobu,

„Ten którego opłakiwałaś, uniesion był daleko!

„Wiatr pomyślny pchał go na morze,

„I dziś z krwią odmłodzoną w żyłach,

„Kwitnie na łonie nowój ojczyzny!“

Najstraszniejsze ze wszystkich są *pieśni demokratyczne* Whitmana. W jednej z nich poeta woła na Francją; widzi potoki krwi ściekające po ulicach Paryża, widzi zgłiszcza buchające dymem, słyszy poryk dział i łoskot walących się murów. Patrzy na to bez dreszczu, bez grozy.

„To krwawy chrzest — mówi poeta — miałebym pragnąć aby ludzie byli z drewna lub z glazu?“

Nie powtarzamy tej pieśni, serce wzdryga się na nią. Poeta istny złowrogi ptak, na lat dziesięć przed krwawymi wypadkami skreślił je w najohydniejszym obrazie.

„Słowo moje — dodaje w końcu — z miłością posyłam Paryżowi; nie wątpię że znajdzie tam oddźwięk. O! słyszę już marsz tryumfalny, echo jego pobrzmiewa po falach!“

Walter Whitman zarówno ekscentryczny w sposobie życia, jak i w poetycznych utworach. Kiedy zbiór poezyi *Leaves of Grass* rozgłosił nagłe jego imię, mnóstwo osób zapragnęło go poznać. Między innymi odwiedził go w podróży Conwey i ciekawe o nim podał szczegóły. Whitman mieszka na małej piaszczystej i dzikiej wysepce, blisko Nowego Jorku.

W chwili gdy przybył gość, poeta leżał plecami na piasku z twarzą ku słońcu obróconą. Było to latem, w samo południe; słońce przypiekało skwarem lipcowym. Twarz i szyja poety, mocno ogorzała, nie różniła się kolorem od ziemi; popielata odzież zlewała się z barwą siwiejących już włosów. Conwey przystąpił do niego, wymienił nazwisko, zapytał czy słońce nie pali go zbyt mocno?

— Wcale mi nie gorąco, — odrzekł. Wyciągnięty na słowo wyznał, iż ma zwyczaj tworzyć w takiej postawie.

Whitman zaprowadził gościa do domu: zajmował on małą izbę z jedną oknem, z kąd wzrok ogarniał pustą przestrzeń. Była to istna cela zakonnika. Łóżko, dwa stoliki, parę stołków, oto wszystko co się w niej mieściło. Na jednym stoliku stało małe zwierciadło; drugi stół prosty sosnowy, służył do pisania; świadczyły o tem rozrzucone papiery, i pomieszczony nad nim napis: *Pilnuj robotę!* Na ścianach wisiały dwie stare ryciny przedstawiające Bachusa i Sylena. Nie było w izdebce ani jednej książki; Whitman przyznał jednak że czyta niekiedy Biblią, Homera i Szekspira. Z Biblii naśladuje on styl apokaliptyczny, z Homera

rozwlekłość w opisach, z Szekspira zaniedbanie formy, słowem to co stanowi ujemną stronę tych dwóch olbrzymów poezji. Odczytuje zwykle owych mistrzów, jadąc na wierzchu omnibusa, lub też leżąc na piaszczystym brzegu wyspy. Mało kto mąci mu spoczynek; Whitman nie lubi towarzystwa, utrzymuje tylko stosunki z prostymi robotnikami; nie cierpi przemysłu, gardzi dostatkami, nie przykryży sobie ubóstwa, odkąd przekonał się że można wyżyć chlebem i wodą. Największą rozkosz sprawia mu dobra muzyka; lubi też uczęszczać na opery; ponury zwykle i milczący, nigdy się nie uśmiecha; nie doświadcza jednak dręczącego smutku, nie zniechęca się niczem, równie obojętny na pochwały jak i na surowe uagany.

Postać jego krzepka, zdrowie kwitnące. Czoło ma piękne, rysy regularne, zarost bujny, głowę nie wielką, wspartą na szyi atletycznej. Oczy pełne wyrazu, pociągają niby magnetyczną siłą.

Podczas wielkiej wojny domowej 1861—1862 roku, jako wróg niewolnictwa, trzymał gorąco z północą; poświęcił się służbie około rannych, tak na polu bitwy jak po szpitalach. W skutek trudów zachorował niebezpiecznie, ale przyszedłszy do zdrowia pracował znów z niezmordowanym zapałem. Tę niestęchaną gorliwość zapłacono mu posadą w ministryum spraw wewnętrznych: skoro jednak minister dowiedział się że ma przy sobie *straszego poełę, listków trawy*, usunął go z miejsca czempredzję.

Prezydent Linkoln wysoko cenił Whitmana; i on nawzajem widział w Linkolnie najznakomitszego męża swego wieku. Po śmierci poświęcił mu hymn żałobny.

Podczas wojny wydał zbiór pieśni bojowych p. t. *Drum taps, Grzmot bębnow*. Pieśni to pełne zapału, nacechowane wysoko patryotycznym uczuciem.

„O roku walk i krwawych zapasów! — woła poeta — nie mam dla ciebie wdzięcznych słów i uczuciowych kwileń! Straszny roku! pojawiaasz się oczom moim jako silny mąż z głową do góry, ze strzelbą na ramieniu, nożem u pasa, cerą ogorzałą! Głos twój rozlega się na dalekie przestrzenie, i potraça o mury wielkich grodów.

„Roku klęsk, grozy i rozpaczy! w takt za tobą powtórzę straszną pieśń, co wybiegła z paszczy dział twoich!“

I opiewa poeta zapał nowozaciennej młodzi, i dzielność starych wiarusów, którzy ściągali z daleka, pokryci kurzawą, na wskrós przesiekli potem. Opiewa białe namioty pokrywające rzędem długi obóz, i salwy artyleryi, i pochody wojsk po manowcach. Oto próbka pieśni bojowej:

„Uderzcie bębny, trąby zadzwoncie pobudkę bojową!

„Kołaczcie we drzwi, bijcie w okna, bez folgi, bez litości, jakby horda dziecizy barbarzyńskiej.

„Z pod sklepień kościoła, rozganiajcie wiernych co żywo!

„Przerwijcie prace szkolnej dziatwy, oderwijcie młodziana od boku narzeczonej.

„Rolnika od pługa i od cepów!

„Uderzcie bębny! trąby zadzwoncie pobudkę bojową!

„Silniej, głośniej, niż krzyk handlarzy miejskich!

„Niż turkot kół po bruku.

„Łoża przygotowane, li dla sennych?

„Senni nie spoczna dziś w tych łóżach!

„Kupcy i spekulanci chcieliby dziś szalbierzyć?

„Gadatliwi mająż dziś rozprawiać? śpiewacy śpiewać? rzecznicy stać u krated?

„Grzmijcie bębny, trąby zadzwoncie pobudkę bojową!

„Nie folgować wam ani chwili!

„Nie baczyć na prózne roshowory,

„Zagłuszyć wam łzy i błagania, zagłuszyć jęki starców, i szluchy drobnych dzieci, zagłuszyć skargi matek!

„Rozbudzić wam trupy na marach, wstrzymać umarłych w pogrzebowym pochodzie!

„Grzmijcie bębny, trąby zadzwoncie pobudkę bojową!”

Niekiedy poeta śpiewa na ton rzewniejszy: zobaczmy jego *noc na pobojowisku*.

„Dziwnaż to była ta noc na krwawem polu!

„Padłeś u boku mego, synu, towarzyszu mój wierny!

„Objąłem cię oczyma, i drogie oczy twoje odpowiedziały mi spojrzaniem, którego nigdy nie zapomnę!

„Nasze ręce dotknęły cię synu, kiedyś leżał na ziemi!

„Szalony bój porwał mnie i uniósł daleko, walczyłem za-
wzięcie do nocy.

„Powróciłem. Tyżeś to skrzepli jak lód, wierny mój towarzyszau?

„Przy blasku gwiazd odkryłem lica twoje.

„Wiatr nocny wiał rzeźwy i czysty.

„Długo czuwałem; pole bojowe rozciągnęło wkoło nas ciemną przestrzeń! Dziwne, słodkie czuwanie, w noc wonną i milczącą. Łza ni jedna nie spadła z oka; westchnienie z piersi nie wybiegło!

„Patrzyłem na ciebie, siedząc tuż obok z brodą opartą na pięści!

„Tak przebyłem z tobą, drogi towarzyszu godziny mistyczne, godziny nieśmiertelne. Ani łzy, ani słów! Noc przeczuwana w milczeniu, miłości i śmierci! spędzona we dwóch mój synu! mój żołnierzu!

„Gwiazdy toczą się ku wschodowi;

„To noc ostatnia dla ciebie mój chłopcze! nie mogłem cię ocalić!

„Nagłą była twoja śmierć, lecz kochałem cię wiernie za ży-
cia, wiem że cię spotkam jeszcze.

„Kiedy smętna noc ustąpiła przed rankiem,

„Otuliłem towarzysza w koc szary,
 „Podwinałem ten całun pod głowę jego i pod nogi, i złoży-
 łem syna mego, skąpanego w promieniu słońca, w grób świeżo
 wykopany.

„I tak skończyła się noc czuwania. Powstałem z ziemi chłodnej,
 „Pogrzebałem żołnierza w miejscu na którym upadł!”

W ogólności ów zbiór bojowych pieśni: *Grzmot bębnow*, nie
 równie wyższy od poprzedniego zbioru. Śmierć z którą poeta spo-
 tyka się co krok, odrywa gwałtem wzrok jego od ziemi, i przenosi
 go w pozagrobową wieczność. I w tych utworach panuje gruby
 realizm, ale realizm uszlachetniony wyższą myślą. W innej pie-
 śni maluje Whitman wewnątrz ambulansu, urządzonego w starym
 kościółku w lesie. Kagańce przebiegają z rąk do rąk, rozdziera-
 jąc czarny cień żywym blaskiem. Smolna pochodnia zatknięta
 u drzwi, wyrzuca z siebie jaskrawy płomień, i przez kłęby dymu
 oświeca grupy rannych, powalone tu i owdzie, po ziemi i po ławach.

Poeta maluje wiernie, zbyt wiernie wszystko co mu wpada
 pod oko, co mu uderza zmysły. Czuć tu woń krwi pomieszanej
 z wonią eteru, widać kroplisty pot na czole konających, i połysk
 nożów, zapuszczanych biegłą ręką w drgające ciała. Z pod koców
 uchylonych nieprzeblaganą dłonią, poeta ukazuje żółkłe oblicza
 trupów i straszniejsze oblicza żywych w konwulsyjnej walce ze
 śmiercią. Ukazuje dziecięce rysy młodego ochotnika, który kona
 z uśmiechem na ustach; i przypomina Chrystusa konającego za
 braci, i myślą religijną opromienia ten straszny obraz.

W innej znów pieśni, stawa na mogile żołnierza, samotnej,
 zapomnianej wśród ciemnego lasu Wirginii. Poeta spotkał raz
 przypadkiem tę mogiłę, i widzi ją zawsze u stóp swoich, wśród
 zgiełku miast, wśród burzliwych życia zamętów!

W hymnie do poległych czytamy te piękne słowa:

„Księżyc daje wam swoje blaski,

„Bębny i trąby dają wam swoją gędzbę;

„Ja daję co mam: daję wam serce o towarzysze wierni!

„Moje serce daje wam miłość swoją.”

Oto znów słowo do pozostałych:

„Żadna kula nie zdoła zabić tego, co stanowi rzeczywiście ist-
 ność waszą o przyjaciele!

„Duszy nie dosięgną kula, nie zabić jęj bagnietem!

Ale koroną zbioru całego jest niezaprzeczenie krótki obra-
 zek p. t.: *List z obozu*. Przytaczamy go w całości; pozwoliliśmy
 sobie tylko przerobić go na miarę zwyczajną, co mu w części
 odbiera właściwy charakter.

LIST Z OBOZU.

— Porzućże ojcze twój pług i woły,
 Posłuchaj lepiej wieści wesołej;

Wyjdźże z komory matko jedyna,
 Oto z obozu liścik od syna!
 Już wiatr jesienny chłodno powiewa,
 I w rozłożyste szeleści drzewa;
 Spalony skwarem liść ich się mieni,
 W czerwono-żółte barwy jesieni.
 Woń świeżych jabłek bucha od sadu,
 Bucha od winnic woń winogradu;
 Słodka woń gryki od pola płynie,
 Pszczoły z niej biorą miód na dolinie.
 Jasny się błękit roztacza w górze,
 Z pyłów go letnich spłókały burze;
 Na ziemi cisza i spokój miły,
 Wielkie jawory dach ocieniły;
 W domu dobytku rok w rok przybywa,
 W polu bogate nie chybią żniwa.
 Wracajże ojczyźnie—rzuć woły z pługiem,
 Radość nam świta po zmierzchu długim;
 Wyjdźże z komory matko jedyna,
 Oto z obozu liścik od syna.

Zasłyszysz matka córki wołanie
 Bieży do sieni ile tchu stanie;
 Na starą głowę czepca nie kładzie,
 Włos siwy z czoła spada w bezładzie;
 Czemuż jak listek cała drży z trwogi?
 Czemuż to w ziemię wrosły jej nogi?
 Zdziera pieczętkę: a! coż to znaczy!
 Drogi nasz Piotruś pisze inaczej!
 List widać ręka kreśliła obca,
 Sam tylko podpis biednego chłopca!
 Bólem rażona dusza matczynna,
 — Czemuż ktoś inny pisze za syna?
 Ciemno w jej myśli, zamęt w jej głowie,
 Próżno chce schwycić słowo po słowie;
 Liścik do oczu przyłoży z blizka,
 Jak grom, co węzłem z chmury połyska,
 Czasem jej wyraz błysnie w pomroku!
 „Bitwa... on ranny!... strzał utkwiał w boku!
 „Szpital—zadrżała—wzrok jej łąza ślepi,
 „Chory lecz wkrótce będzie mu lepiej!”
 Widzę wieś Ohio nad brzegiem wody,
 Żyzne tam pola, białe zagrody,
 Lecz ich uroki w oczach mi błędną,
 Ach! widzę tylko tę postać jedną;
 Stoi przyparta jak słup do ściany,
 Lica jej trupie, włos roztargany.
 Kołem się córki snują u proga,
 — Nie płacz tak nie płacz! matko ty droga. —

I słowo głośne przerwie im łkanie,
 „Ludzie zaradzą może tój ranie;
 Nadzieja duszy niech się twój czepi,
 Wszak mówi łańcisk: Będzie mu lepiej!”
 Biednaż ty matko, radość nie tobie!
 Będzie mu lepiej, ale tam w grobie;
 Tam ukołysan z cicha łyzy twemi,
 Nic nie zapragnie więcej od ziemi!
 Kiedy im z oczu strugą łyzy cieką:
 Umarł jednak — umarł daleko;
 Lepiejby matko zbiedz ci ze świata,
 Niż długie przeżyć w boleści lata!
 Wciąż wzrok po izbie zatacza łzawy,
 Zwiędłe jój usta nie dotkną strawy;
 Tęsknota szarpie duszę sierocą,
 Sen jój na oczy nie padnie nocą;
 A kiedy zegar północ uderzy,
 Z serca łyż potok wytryska świeży;
 Radaby uciec przez śmierci wrota:
 Ach! kiedyż wątku dni swych domota?
 Kiedyż łyż oschną w oku matczyuem?
 Kiedyż z umarłym złączy się synem!

Ostatnim utworem poety jest fantastyczna autobiografia pod tytułem *Walt Whitman*. W oczach Amerykanów jest to najoryginalniejszy i najpotężniejszy utwór jego pióra, prawdziwe arcydzieło. Sam prolog poematu daje próbkę chaotycznych pojęć poety. Zobaczmy początek:

„Było niegdyś dziecko, to dziecko wychodziło z domu co dnia i pierwszym przedmiotem jaki wpadał mu w oczy, zespalało umysł i wcielało go niby w własną istność. I dziecko stawało się tymże przedmiotem i było nim godzinę, albo dzień, albo lata.“

W odmęcie potwornych paradoksów, błyska tu niekiedy jasny promień. Patrzmy jak poeta porównywa noc ze śmiercią.

„Jam znajdował dzień piękniejszy nad wszystko, dopóki nie wpatrzyłem się w piękność tego, co nie jest dniem!

„Jam mniemał, że nasza kula ziemiska wystarczy mi, dopóki wkoło niej nie podniosły się w milczeniu myryady innych kul!

„Widzę teraz, iż żywot nie ukaże mi wszystkiego co jest, iż blask dzienny nie wyświekli mi całej prawdy — śmierć sama rozwiąże zagadkę!“

Walter Whitman jest niezaprzeczenie poetą. Lotne skrzydła porywają go do słońca ideału, i rozrywają łańcuch woli, który silnie przykuwa go do ziemi; ztąd ciągła sprzeczność, ztąd szamotanie się w krańcowych ostatecznościach. Toż samo spostrzegamy w Wiktorze Hugo, z tą różnicą, że orzeł francuzki szybuje bliżej

słońca, że wykarmiony tradycją wieków, potężniejszym obdarzon geniuszem, szerzej rozpościera skrzydła do lotu.

Zbiór poezyi: *Grzmot bębnow*, dziwnie spowinowacony z *Rokiem strasznym*. Jedne pobudki w jednaki sposób natchnęły dwóch poetów, na dwóch półkulach świata. Na dowód powinowactwa tego, przytaczamy wiersz Wiktora Hugo, godzien *Ambulansu* Whitmana.

U M A R L I.

Zawalili oiałami w polu przestrzeń dużą,
 Krew ich ścieka po ziemi czerwoną kałużą,
 Sęp zatopił im w brzuchu dziób i szpony krwawe,
 Zwał trupów dzikich, zimnych, wkrąg zasiał murawę.
 Straszni! czarni! w kłęb zwici, jawią się jak one
 Tytany, piorunowym strzałem powalone.
 Ich czerepy bezwładne istne złomy skały
 W tajemnicze je kształty oblepił śnieg biały;
 Ręka w kulak ściśnięta jeszcze w górę sterczy,
 Gotowa zda się schwycić za oreż morderczy.
 Z ócz światło już nie błyska, z ust nie zbieży słowo,
 Noc rzuca na uspiionych swą płachtę grobową.
 Już robak w nich się łęże, gad pełza pod niemi,
 Już ciała ich na poły zanurzone w ziemi,
 Jak statek co brnie w odmęt gdy wichry maszt strąca,
 Błede kości pokryte zgnilizną cuchnącą,
 Jak te, o których słowa Ezechiela brzmiały,
 Jedne kulą ognistą zszarpane w kawały.
 Tamte zsięzione mieczem na miazgę obrzydły,
 A nad niemi wiatr chłodne rozpościera skrzydło,
 Nadzy, we krwi starzani, zwaleni na kupy!

W żadnym zapewne utworze Wiktor Hugo nie odpowiedział dobitniej na hasło, które wygłosił sam przed laty, na pamiętne hasło: *brzydota pięknem!*

Fale Atlantyku poniosły oddawna to hasło na drugą świata półkulę. Tam poeta Jankes powtórzył je grzmiącym głosem, i nastroił puzon swój na ton hugowskięj trąby, i uczeń przeszedł mistrza, nie w orlich polotach za ideałem, ale w zuchwałem tarzaniu się po topieliskach materyalizmu. *Brzydota pięknem!* oto hasło obu poetów z tą różnicą, że u Wiktora Hugo mimo niektórych bezaceństw, *piękno* przeważa nad *brzydota*, u Whitmana zaś mimo niektórych półysków, *brzydota*, przeważa nad *pięknem*.

Każdy wyższy poeta jest synem swego czasu, a zarazem jest synem ziemi która go wydała. W piersi jego zestrzela się duch braci: pieśń jego jest pieśnią narodów. Burzliwe żywioły wstrząsające społeczeństwem nowego świata, znalazły godny siebie

wyraz w Whitmanie. Jakkolwiek podjął on hasło Wiktora Hugo, przerobił je przecież na modłę własną, a raczej na modłę narodu swego. Whitman nie jest Kolumbem jak go nazwali zionkowie, bo nie on wynalazł romantyzm, ale jest poetą czysto amerykańskim, bo przykroił ów romantyzm na miarę społeczeństwa zmaterializowanych Jankesów, w których duchu pieśń jego, tak potężny znalazła oddźwięk.

Rzućmy teraz okiem na społeczeństwo z którego łona wyszedł godny jego przedstawiciel w Whitmanie. Z pomiędzy wielu nowych dzieł o Ameryce północnej zwróciła szczególniejszą uwagę naszą świeżo wydana praca pani Olimpij Adonard p. t: *North Ameryka*.

Autorka ta znana już w świecie literackim, tak z kilku cenionych powieści, jak z opisów podróży po Wschodzie w latach 1867 i 68, przebiegła stany Zjednoczone Ameryki, długi czas przebywała w Nowym-Jorku, zawiązała tam liczne stosunki z uczonymi, badała społeczeństwo we wszystkich objawach jego ducha, i skreśliła wierny a trześciwy obraz północnej Ameryki w jednym tomie. Główną wartość dzieła pani Adonard stanowi to właśnie, że pisane z całą bezstronnością, bez uprzedzenia, bez przesady. Można się w wielu rzeczach nie zgadzać bezwarunkowo na jej poglądy, ale nie można zaprzeczyć jej szczeroci. Zresztą cyfry statystyczne, któremi autorka wspiera swoje rozumowania, wymowne same przez się, nadają niezaprzeczoną wagę jej pracy.

Poznaliśmy pierwszego poetę północno amerykańskiego, przypatrzmy się społeczeństwu co wydało tak zwanego Kolumba poezji.

Obszerny ustęp w dziele swoim poświęca pani Adonard określeniu sekt religijnych. Liczba ich wynosi sto dwadzieścia dwie. Autorka rozbiera najcharakterystyczniejsze z tych sekt, świadczące najlepiej o stanie umysłów tego społeczeństwa.

Do najdziwaczniejszych należy sekta *Frei lovers* (zwolenników wolnej miłości). Ma ona główne ognisko w Nowym-Yorku, a gałęzie na całej przestrzeni Stanów Zjednoczonych. Miłość jest iskierką Bożą, według zasadniczych praw sekty. Człowiek zatracca w sobie ową iskrę, jeśli zawiązuje związki małżeńskie bez miłości. Przypuściwszy nawet, że dwie osoby połączyły się wiedzione gorącym uczuciem, musi przyjsć czas że jedna z nich kochać przestanie, a wtedy małżeństwo staje się zniewagą praw Bożych.

Taką to zasadę głoszą publiczne *Frej Loversy*, tak piórem, jak żywym słowem po konferencyach. Ich religia nakazuje tak mężczyźnie jak kobiecie, iść za popędem serca i instynktu, i zawierać związki czasowe. Skoro uczucie gaśnie w sercu, strona która przestała kochać obowiązana jest wyznać to drugiej stronie; ta zaś powinna nie tylko zgodzić się na swój los, ale co więcej po-

pierać towarzysza lub towarzyszkę w zawarciu związków z przedmiotem nowej miłości.

Sekciarze ci przekonani są, że wkrótce opanują świat i odrodzą upadłe człowieczeństwo. Nim to nastąpi,— muszą jak utrzymują — obalić wszelkie istniejące prawa i zabobony, muszą przywrócić cześć jedynego Boga, który na ziemi objawia się w miłości.

Zrazu opinia powstawała przeciwko nowatorom, rodziny surowszych zasad nie dawały im przystępu do swych progów. Nie zrażało to bynajmniej sekciarzy, pozakładali pisma, rzucili w świat setki broszur, odbywali meetingi i konferencye, aż w końcu opinia uległa przed zuchwalstwem.

— Co nam wchodzić w ich sprawy? — rzekli do siebie Amerykanie—skoro taka ich religia, niechajże pilnują jej przepisów. Toć każdy wołny w naszym kraju!

Zapytajmy Amerykanki czy jest zamężną? — dodaje autorka — odpowie najspokojniej: — wcale nie, ja jestem z sekty *Fréj-Lovers*, my uważamy małżeństwo za niemoralne. Panna z tej sekty żyje też jak *chee*, zmienia *loverów* co rok albo i częściej. Świat mimo to otacza ją szacunkiem i nikt nie powie że źle się prowadzi. Należy do sekty *Fréj-lovers*, i nic więcej!

Inna szczególniejsza sekta ojca Noger głębiej jeszcze zapuściła korzenie w łono amerykańskiego społeczeństwa. Noger głosi się prorokiem, poprzedzicielem przyszłej odrodzonej generacji. Według niego płomień oczyszczający pochłonie wszystkich złych ludzi, zostaną tylko wierni. Ci powrócą na łono Boże, oswobodzeni z wiadomości złego. I urodzi się nowy Adam, i zabije staro Adama zrodzonego z ciała i grzechu. Nowy będzie typem doskonałości moralnej, zasłona kryjąca żywot przyszły spadnie przed jego okiem, i spojrzy znów w oblicze Boga... i stanie się niebo na ziemi.

Ojciec Noger spotkał się w zasadach z dwoma współczesnymi nowatorami, Eblem w Niemczech, i Princem w Anglii. Wszyscy trzej nie wiedząc podobno o sobie, (czemu nam trudno wierzyć), poczęli wygłaszać jednakie mniej więcej teorye na dwóch świata półkulach. Wszyscy trzej przez adherentów swoich, czczeni jako prorocy.

Noger, Ebel i Prince, usiłują wprowadzić społeczeństwo na nowe drogi. Głoszą konieczność obalenia starego porządku religijnego, społecznego i moralnego. Wszystkie istniejące prawa i instytucye — mówią oni, potrzebne były dla starych ludzi, lecz nie mogą wystarczyć ludziom *odnowionym*. Prawa, kodeksa, polityka, własność, małżeństwo, wszystko to przeżyło swój czas w ich mniemaniu.

Do najciekawszych należy ich teorya o małżeństwie.

„Małżeństwo jak je świat dziś uważa, jest tylko związkiem dożywotnim, przemijającym. Śmierć rozwiązuje węzeł. Otóż więc — woła prorok Ebel, człowiek może pojąć żonę na ziemski żywot, by

podzielić z nią swą dołę i niedołę, ale dla dusz prawdziwie kochających związek podobny nie wystarczy. Prawdziwe małżeństwo musi być zawarte na całą wieczność, musi połączyć dusze, nie same tylko ciała.“

Niemcy i Anglicy długo i poważnie rozbięrali tę zasadę, wymowni predykanci, głośili ją z kazalnicy. Ojciec Noger znalazł wielkie powodzenie w Ameryce, i zjednał sobie znaczną liczbę zagorzałych zwolenników. Zapytano wtedy jak poradzić z zawartymi już małżeństwami? i zgodzono się na obudwóch półkulach, że najlepiej zostawić je tak jak są, a obok doczesnych węzłów, zawiązywać małżeństwo duszy z duszą, obowiązujące na całą wieczność. Mąż zatem może mieć jedną żonę, z którą grób go rozłączy, a obok tej poślubić drugą na żywot przyszły. Tej ostatniej dano w Ameryce nazwę żony duchowej *Spiritual-Wife*.

Podczas gdy w Niemczech i Anglii nazwano tę sektę od imienia propagatorów: *Ebelizmem* i *Princelkizmem*, w Ameryce gdzie najsilniej wybujała, ojciec Noger, nakręciwszy tradycję biblijną na rzecz własnych idei, zrzekł się zaszczytu ochrzczenia sekty własnym imieniem, a oddał ją pod patronat Ś. Pawła, i główny swój kościół w Nowym Jorku, przezwiał *Paulines church*. W Massachusetts owa sekta liczy tysiące zwolenników.

Pani Adonard utrzymywała w Nowym Jorku liczne stosunki z wyznawcami Paulińskiego kościoła.

— Nic zabawniejszego -- powiada -- jak ta płatanina wynikająca z podwójnych związków małżeńskich. Razu jednego, mąż w obec mnie przybliżył się do żony:

— Przebac kochanie że cię opuszczę — rzekł do niej, — ale moja duchowa żona wzywa mnie do Washingtonu. Nasze dusze pragną porozumieć się z sobą.

— Już kiedy chcesz — odparła żona — i ja także odbędę małą przejażdżkę z moim duchowym mężem. Mamy z sobą tysiące rzeczy do mówienia.

„Gdy jesteśmy w salonie, ciągnie autorka, zdarza się nieraz że gospodarz prezentuje nam żonę, po chwili przybywa ładna panienska, ścisła jej rękę z uczuciem, i oboje siadają na uboczu, rozmawiają cicho i czule. Jeśli kto patrzy zdumionem okiem na to *sam na sam*, prawdziwa żona a raczej dożywotnia, gdy tamta jest prawdziwszą, rozjaśni rzecz w najprostszym sposobie: ta panienska, rzecz, to duchowa żona męża mego.

Owa sekta znalazła w Ameryce szczególną wziętość między kobietami. Wiele panien, córek zamożnych rodzin, poczęło głosić publicznie zasady ojca Noger.

Panna Lucyna Umphreville z Delphi, tłumaczyła pierwsza Nowo-Jorczykom, że małżeństwo na ziemi nie stanowi małżeństwa w niebie, że nasz pobyt ziemski jest zaledwie minutą w obec wieczności, że głównie baczyć potrzeba na szczęście zaświatowe. Kto zaś nie wybierze tu za życia małżonka lub małżonki, skazan będzie na wieki samotność.

Trzy nowe adeptki: Luiggi Doten, Kora Hatech, i Mary Linkoln, połączyły się z pierwszą. Wszystkie trzy młode, ładne, pełne zapału i wiary w głoszone przez siebie słowa, niesłychane miały powodzenie, i mnóstwo zyskały zwolenników. Pozakładały dzienniki, pisały broszury i dzieła. W skutek ich usiłowań, uorganizowany został kościół *Paulins-Church*. Mężczyźni poczęli gorliwie szukać dusz odpowiednich własnym duszom. Panienki szukały niebieskich oblubieńców. Zaręczano się na ziemi nim wybije w niebie godzina godów wiekuistych.

Ustanowiono święto zwane *Prayers meeting love*, (pierwsza uczta miłości), podczas takich uctw wykładano doktrynę miłości niebiańskiej. Było to w r. 1835. Dziś sekta ojca Noger bardzo upowszechniona w Nowym Jorku i wielu innych stronach.

Autorka ukazuje nam mnóstwo innych sekt: Kwaków, Mormonów, Furyerystów i t. p., jednych dziwniejszych nad drugie, świadczących tylko o obłądnie rozumu ludzkiego. Wielka ich część oparta zupełnie na zasadach komunistycznych w ich krańcowych wynikach.

„Jest dziś w Ameryce społeczeństwo ze 100,000 ludzi, rozsiane po małych wioskach na pochyłości góry Libanon; to społeczeństwo praktykuje komunizm w całym znaczeniu słowa. Dzieli się na dwa szczepy: na *Shakersów* czyli *Trenblenrów*, i na *perfekcyonistów*. Mimo różnicy w dogmatach religijnych nie różnią się w niczem na polu społecznych teoryj.

Shakersy mieszkają po maleńkich wioskach, wśród zielonych ogrodów. Domki ich pokryte zwojami pnących roślin, podobne do ptasich gniazdek. Przez otwarte okna widać w nich tylko kwiaty i falujące draperye z białego muślinu. Kobiety ubrane prosto lecz gustownie, nadewszystko z wytworną czystością zajmują się smażeniem konfitur i wyrabianiem drogich pachnideł. Destylują kwiaty, wyciągają z nich wonny wyskok, co przynosi im znaczny dochód. Mężczyźni mają sławę najbłęglejszych rolników i najumiejętniejszych ogrodników na świecie. Owoce ich wyborne, warzywa pielęgnowane ich ręką, dochodzą bajecznej wielkości.

Religijne ich pojęcia nadzwyczaj dziwaczne. Wierzą w nowe przyście Chrystusa między ludzi. Zmartwychwstanie jest udziałem każdego. Człowiek zmartwychwstały odnajduje na ziemi pierwotny Eden.

Perfekcyoniści wierzą także w powtórne zstąpienie Chrystusa. Według nich człowiek ma w sobie dwa pierwiastki: *dobrego* i *złego*. Odkąd przewyciężył *złe*, staje się człowiekiem odrodzonym i używa na ziemi niebiańskiej szczęśliwości.

Na wzór niektórych tubylców amerykańskich, mają oni wspólne spichlerze. Wszyscy składają w nie razem plony własnej pracy, wszyscy z nich czerpią w miarę potrzeb. Mają także bank zasilany wspólnym groszem. Tym kapitałem obracają ludzie zaufania, wybrani z gminy wspólną wolą.

Zebrał już podobno znaczne skarby, ale rodzina wcale u nich nie istnieje. Małżeństwo zniesione, dzieci wychowują się kosztem gminy.

Fanatyzm nowatorstwa podtrzymuje dotąd belki sztucznego gmachu. Sądzymy jednak, że wąż zawiści nurtuje już w tym zachwalonym Edenie.

Odrodzenie z gruntu ludzkości jest głównym hasłem tych wszystkich sekciarzy, głoszących w Ameryce nowe moralne i społeczne prawa.

Jeden z nich Robert Awen, przybył tam ze Szkocyi i począł w Washingtonie przepowiadać nowy świata porządek.

„Wkrotce, wołał w natchnieniu pseudo-prorok, nie będzie już ani zbrodni, ani wojen, bo nie będzie ani wojska, ani policyi. Obie te stare dzwignie społecznego ładu, zastępuje Awen prawem *Harmonii*. Niewiasty — mówi on — powołane aby stworzyć harmonię powszechną. Obowiązkiem każdej podobać się, czarować oczy, i uszczęśliwiać jak największą liczbę jednostek.

Głos Awena nie był głosem na puszczy. Kiedy postanowił założyć z braćmi miasto *New Harmony* w Indyannie, poszło za nim wiele rodzin z Bostonu i Nowego Jorku. Wszyscy przesiąknięci zasadami socjalistycznymi idąc w ślady proroka, wraz z nim wypowiedzieli wojnę Biblii zowiąc ją *Księgą złowrogą*. Rzucili się gwałtownie na stare prawa społeczne, szczególnie na małżeństwo. Ogłosili że wszelkie dobra ziemskie mają być wspólnymi, że osobista własność nie istnieje zarówno jak tytuły.

Dalec Awen podjął słowo po ojcu, a chcąc tym silniej oddziaływać na umysły, przybrał za towarzyszkę kobietę sławną w Ameryce, Franciszkę Wright.

Młoda para jeła wzdłuż i wszerz przebiegać Amerykę.

Franciszka Wright silniej pociągała umysły niżeli jej towarzysz, gwałtowniej niż on piorunowała na Biblię, zawzięci jej powstawała na małżeństwo.

Dalec Awen wyrobił sobie znakomite stanowisko między obywatelami Stanów Zjednoczonych. Jako głowa towarzystwa demokratycznego, przemawiał za równością wszelkich istot ludzkich bez względu na płeć i na plemię. Wspólnie z Franciszką Wright napisał w tym przedmiocie obszernie dzieło. Oni to oboje podjęli pierwsi ważne zagadnienie emancypacyi murzynów i kobiet. W celu szerzenia swych zasad założyli dziennik *Frei Enquirer*. Szkoła ich istnieje dotąd w Nowym Jorku i Bostonie. Głównym dziś ich zadaniem, walczyć przeciwko małżeńskiemu związkowi, rozciągać opiekę nad nieszczęśliwymi w małżeństwie kobietami, i pomagać im wszelką siłą w odzyskaniu wolności.

Socjaliści wysoko cenią dzieła Dalca Awena. Franciszka Wright pisała najwięcej o małżeństwie. W pracach obojga, jak utrzymuje pani Adonard, są połyski zdrowej myśli, niedostrzeżone prawie w odmęcie błędnych mrzonek i szalonych teoryj.

Ziarna ich, posiewu, dodaje autorka, zrodziły bujny owoc, bo w nowym świecie ktokolwiek sieje i jakiegokolwiek sieje ziarno, zawsze doczeka żniwa!"

Obok *Harmonii* Awena, istnieje w Ameryce inna sekta silniej rozgałęziona, zwana wielką harmonią, *Great Harmony*. Ta złożona z zagorzałych fanatyków, rzuca się zajadle na wszelkie istniejące sekty, obala wszystkie instytucje religijne. Zwolennicy jej zrywają stanowczo z ludźmi i z ideami starego świata. Ich nowa religija jak utrzymują, zrodzona z twórczego wysilenia Bożej iskiereki w duchu ludzkim, rozwiązanyu zupełnie z ziemskich wpływów.

Założycielem tej sekty był szewc Andrew Jackson Davis. Napisał on obszerne dzieło, pełne mistycznych mrzonek, w którym usiłuje obalić historję rodu ludzkiego. Rzuca ostre pociski na Biblią. Jako nieodrodny Jankes oświadcza stanowczo, że przeszłość nie znaczy nic, obecność wiele, przyszłość zaś obejmuje w sobie wszystko. Podnosi teorię Swedenborga o duchach, którym dano znosić się z ludźmi i oświecać ich w razach wątpliwych.

Ale u Davisa prozelityzm stał na drugim planie, chęć zysku zaś na pierwszym. Począł więc przebiegać północną Amerykę, wywoływać duchy aniołów i zmarłych bohaterów, a kierując wszystko do praktycznego celu, zasięgał rady u duchów na choroby ciała, jak niemniej na udręczenie serca. Koniec końcem mówi pani Adonard, duchy przyniosły mu 4,000,000 dolarów.

Spirytyzm Dawisa nie jest czem innem jak wzuowieniem teorii Swedenborga. Dzieło jego to prosty plagiat dzieła mistyka szwedzkiego p. t. *Arcana coelestia*. Liczą w Ameryce przeszło 4,000,000 jednostek oddających się praktykom spirytyzmu. Każdej niedzieli w Nowym Jorku zbierają się po salach, kręcą stoły i wywołują miliony duchów. Rzecz dziwna, wszystkie duchy zgadzają się na to, że małżeństwo jest prawem niemoralnym, że krępuje wolność istoty ludzkiej.

Zwolennicy spirytyzmu dzielą się na dwie gałęzie całkiem odrębne od siebie. Teorii Dawisa trzymają się szczególniej praktyczni Jankesy, którzy zarówno jak ich mistrz, widzą w duchach a raczej w łatwości istoty ludzkiej, obfite źródło zarobku. Czysty zaś Swedenborgizm sfanatyzował mnóstwo ludzi wyższej inteligencji, uczonych, poetów i kobiet.

Pani Adonard opowiada ciekawą tradycyę o Swedenborgu, tradycyę którą zasłyszała z ust Szwedki, przechowaną w podaniu u ludów skandynawskich; powtórzmy ją tu jako niezapisaną w życiorysach sławnego mistyka.

Swedenborg jak wiadomo urodzony w Stokholmie, był synem protestanckiego biskupa. Od młodości oddawał się z upodobaniem naukom przyrodzonym, pracował szczególniej nad metalurgiją, napisał w tym przedmiocie kilka ważnych dzieł. W skutek tego mianowany został dyrektorem kopalni przez Karola XII. Akademia Stokholmska przyjęła go za członka.

Nagle uczony akademik oznajmia światu, że ma cudowne objawienia, że rozmawia z duchami, że w skutek odebranego posłannictwa czuje się obowiązany pracować nad odrodzeniem chrześcijaństwa. Porzuca wtedy ściśle nauki i z pełną wiarą, z gorącym zapalem, rzuca się w mistycyzm, widząc w nim zbawienie ludzkości. Dotąd nie wyszliśmy za obręb historii, zobaczymy teraz co mówi podanie.

Swedenborg kochał młodą jasnowłosą Irę. Miał lat czterdzieści, Ira miała ledwie szesnaście. Żądał jej ręki; odmówiono mu, dla zbyt wielkiej różnicy wieku.

Spotykali się potajemnie w altanie ogrodowej. Kiedy rodzice posnęli wieczorem, jasnowłosa dziewczynka obwinęta w biały szal, podobniejsza do ducha niż do żywej istoty, przybiegała na miejsce schadzki, gdzie ją czekał zakochany Swedenborg. Księżyc oświecał ich srebrnym blaskiem. Dnia jednego Ira wyrwała nożykiem na stole: „przysięgam, będę jego żoną, lub nieżyją nie będę.“ Swedenborg nakreślił poniżej: „ona jest, ona będzie jedyną miłością moją, tak na ziemi jak w niebie.“ Słowa ich potwierdziły tę przysięgę.

— A gdybym ja umarła — rzecze Ira — kto wie, może nie dotrzymałbyś wiary!

— Gdybyś umarła przedemną ukochana — zawołał Swedenborg — przysięgam na duszę, żadna kobieta nie otrzymałaby serca mego, co więcej, nie posłyszalaby z ust moich słowa miłości! Żyłbym w oczekiwaniu śmierci, pragnąc tylko połączyć się z tobą!

We dwa miesiące potem Ira umarła na piersiową chorobę. Przed zgonem prosiła rodziców, aby pozwolili jej widzieć po raz ostatni ukochanego. Wola konającej była uszanowaną. Przyrowadzono Swedenborga. Nastąpiło tklive pożegnanie. Ira dała mu na pamiątkę medalionik z szyi, on błagał jak o najwyższą łaskę o stolik, na którym była wyryta, wzajemna ich przysięga.

Ledwie upłynęło parę dni, a Ira spoczywała w cichym grobie. Jedyną pociechą Swedenborga był ów małeńki stoliczek, i litery wyryte na nim drogą ręką. Dwadzieścia razy na dzień, całował on to pismo, oblewał je rzeźnemi łzami. Przez cały rok niepokieszony był po stracie. Aż nakoniec razu jednego, przyjaciel namówił go na teatr. Była wtedy w Stokholmie młoda i piękna aktorka Koryna. Swedenborg zachwycił się jej wdziękiem. Przyjaciel ułatwił znajomość. Koryna znała smutną historję.

— Gdybym umiała zatrzeć w tém sercu pamięć Iry — rzekła do siebie — byłby to niepospolity tryumf! I wprowadziła w grę cały arsenał czarów niewieścich. Swedenborg uległ mu pomimo-woli. Wspomnienie umarłej zacierało się zwolna w jego sercu: Koryna opanowała je zręczną sztuką.

Dnia jednego Swedenborg zaprosił ją na herbatę. W domu wszystko święteczną przybrało postać. Uszczęśliwiony czekał w sali rześisto oświetlonej, przystrojonej kwiatami. Nagle spoz-trzegł ubogi stolik; jakby rażony błyskawicą uczuł bolesny wyrzut

w sercu. W tejże chwili ozwał się dzwonek. Nim weszła czaro-dziejka, Swedenborg miał zaledwie czas usunąć stolik w najciemniejszy kąt pokoju. Ujrzała go jednak Koryna, stanęła przed nim zdejmując z głowy kapelusik.

— Zkądże -- zagadnęła — w tym pięknym salonie taki prosty stół ogrodowy?

Swedenborg zadrzał; nie uszło jej oka. Instykt niewieści poszepnął, że to niewątpliwie droga pamiątka po umarłej. Stała uporczywie przed stolikiem, nie spuszczając go z oczu.

— Czemuż tam stoisz jak zakłęta — rzecze Swedenborg — zbliż się tu, powiedz że mnie kochasz, ty wiesz jak jesteś mi drogą!

— Kochasz mnie—zagadnie kobieta — a więc przysięgnij na to!

— Przysięgam!

— O! nie dosyć mi jeszcze, i ja cię także kocham, ale chcę być pewną, że twoje serce należy do mnie bez podziału.

— I cóż mam uczynić.... mów...

— Oto połóż rękę na tym stole, powiedz: biore go na świadka że cię kocham!

Swedenborg zbladł, ale Koryna była piękna. Urok żywej pokonał umarłą. Posłuszny jej woli połóżył rękę na stoliku.

Słowo przysięgi miało wybiedz przez jego usta, kiedy nagle stolik zadrzał, zachwiał się; Swedenborg posłyszał ciche łkanie.

— Precz mi ztąd! — zawoła wpół obłąkany.

I ogarnął Korynę strasznym wzrokiem.

— Precz ztąd — powtórzył — ja ciebie nienawidzę! Miałbym ciebie kochać? Czy słyszysz? słodka Ira płacze z boleści na moje wiarołomstwo!

Koryna uciekła w przekonaniu że Swedenborg oszalał.

On wrócił do stolika, oblał go łzami, błagał o przebaczenie Iry. Od tego dnia datuje się wiara jego w duchy. Ira przynosiła mu wieści z za świata, biorąc za pośrednika ów stolik, na którym nakreśliła niegdyś przysięgę.

Żadna odtąd kobieta nie posłyszała z ust jego słowa miłości.

W trzydzieści pięć lat potem, widząc się na łożuśmiertelnym, kazał porząbać stolik i odłamy jego pochować z sobą w grobie. Zostawił mnóstwo dzieł o duchach; najslawniejsze z nich *Arcana coelestia, de cielo et inferno, ex auditis et visis*, wydane w roku 1758. W księgach swoich opowiada rozmowy z aniołami i duchami ciemności.

W roku 1771 wydał dwa dzieła teologiczne, w których ukazuje dwa odrębne światy: materyalny i spirytualny.

Przed śmiercią założył kościół, nazwał go niebieską Jeruzalem.

Dziś jeszcze Swedenburgiści liczni są w Szwecyi i w Anglii, nawet w Indyach. W Ameryce jednak ta sekta najwięcej znalazła zwolenników.

Taki to początek, przypisuje legenda, owój hallucynaocy stolikowej, która zamąciła tyle głów w Ameryce, a przed laty dwudziestu tak silnie poruszyła Europę. Dziś kiedy na półkuli naszej oddawna już zapomniano o stolikach, Ameryka podziś dzień kręci je z szaloną zaciętością, a uorganizowane szalbierstwo wyzyskuje tam umysły chciwe wrażeń, szukające w spirytyzmie zaspokojenia, którego zachwiana wiara dać im już nie potrafi.

Od sekt religijnych pani Adonard przechodzi kolejno inne objawy życia społecznego w Ameryce. Wszystko tu w równie olbrzymie rozrasta się rozmiary, weźmy na przykład prasę. Ameryka wydaje 2,000000 dzienników! Bajeczna ta cyfra łatwo się da usprawiedliwić, gdy pomyślimy, że w Ameryce każdy czyta, każdy zajmuje się życiem publicznem. Rolnik idąc za pługiem — mówi autorka — jedną ręką pogania woły, w drugiej trzyma nieodstępny swój dziennik. Czyta go pasterz gdy zapędza na pole trzodę bydła lub owiec, czyta go siedmioletnie dziecko idąc do szkoły. Żebrak za pierwszego pensa jaki mu spadnie, nabywa dziennik, za drugiego dopiero kupuje kawał chleba.

Pominiemy tysiące innych, a powtórzmy tylko za autorką statystykę *Herolda*, pierwszego dziennika w Nowym Jorku: to da nam miarę, czém jest prasa w Stanach Zjednoczonych Ameryki.

Herold rok rocznie, mówi p. A., chowa czystego dochodu 2,000,000 dolarów, to jest 10,000,000 franków, odtrąciwszy ogromne koszta wydawnictwa.

Pracuje w nim stale 125 redaktorów i korespondentów, tak w Ameryce jak w Europie. Wielu z nich pobiera rocznie 100,000 franków nikt mniej nad 25,000.

W tym nowym świecie, dodaje autorka, ktokolwiek umie władać piórem, łatwo przychodzi do ogromnych dostatków. Nie mamy tu przed oczyma owego smutnego obrazu ludzi uczonych i pracowitych, a mimo to ubijających się z nędzą. W kraju w którym się mówi: pan ten a ten wart tyle a tyle dolarów, pisarz zajmuje świetne stanowisko. Hojnie wynagrodzony pilnuje pióra, i w każdej chwili umie utrzymać swoją godność. Można śmiało powiedzieć, że w Ameryce dziennikarze i literaci stoją na świeczniku, używają powszechnego poszanowania i większy wywierają wpływ niż senatorowie i członkowie kongresu.

Mówiąc o *Heroldzie* autorka wspomina charakterystyczne korespondencye (personals), wypełniające zwykle pierwszą kolumnę dziennika. Oto kilka z nich, które wypisała w dniu 12 marca 1868 roku.

„*My darling one* (kochanko moja!) drzę cały! jakże my nie-roztropni, zazdrośnik o mało nas nie podszedł. Mniejsza o to. Jeżeli tak mnie kochasz, jak ja kocham ciebie, nie zmieni to wcale uczuć naszych. Bądź w Green, tam gdzie wiesz jutro.

W. L. X.

„Wczoraj byłem w omnibusie Broadway N. 422 o drugiej z południa, wsiadła na rogu 24tej ulicy młoda, miła panienka, zajęła miejsce przy mnie. Spójrzałem na nią, zarumieniła się. Czy chce zawiązać ze mną związeki w celu poważnym i uczciwym? Czekam na słówko w redakcyi Herolda.

J. A. D.

Wczoraj na Broom street 125, dwie lady przymierzały trzewiczki w sklepie. Trzech gentelmanów patrzyło na nie przez okno i podziwiała ich urok. Czy piękne lady zyczą sobie poznać trzech gentelmanów? Prosimy o odpowiedź.

Office Herold W. M. B.

Dla nieświadomych rzeczy zakrawa to na jakąś miłosną awanturę; tak jednak wcale nie jest: owe anonse nie są czem inném jak hasłem towarzystwa złodziejów, których liczba zastraszająca w Stanach Zjednoczonych: każdy wyraz ma tu ukryte znaczenie.

Korrespondencye Herolda są prywatnym telegrafem tej bandy.

Policya poznała wybornie klucz owych doniesień; nie wzbrowiła ich jednak, lecz unie z nich korzystać.

Mimo stu dwudziestu sekt religijnych, wszyscy Amerykanie bez wyjątku zgadzają się przecież na jedno w czci dla słabego cielca. *Money before all* (pieniądz przedewszystkiem): oto główne ich hasło. Aby zdobyć ten cel gorących pragnień, nie cofną się przed niczem. Ztąd to owa niesłychana liczba złodziejów, uorganizowana w mniejsze i większe spółki, które acz nie otrzymały obywatelstwa w kraju, do zbytku są przecież tolerowane. Dowody tej tolerancyi znajdujemy w dziele pani Adonard; przytaczamy z nich jeden:

„Domy handlowe — mówi autorka — wynalazły przecież złodziejom bardzo oryginalny środek. W razie popełnionej kradzieży, zamieszczają w dziennikach odezwe w tym rodzaju:

„Tego a tego dnia skradziono nam 100,000 uaprzykład dolarów. Oznajmiamy gentelmanom, którzy przywłaszczyli sobie tę sumę, że nie mamy zamiaru oskarżać ich przed policyą, a nawet ofiarujemy im 25,000, jeżeli powrócą nam resztę. Czekać będziemy do tego a tego dnia. Po upłynieniu terminu, zaniesiemy skargę, i z całą ścisłością dochodzić będziemy zbrodni. Ostrzegamy przytém że jesteście na tropie.”

Otóż zdarza się często, że gentelmany złodzieje poprzestają na czwartej części kwoty, byleby uniknąć prawnego śledztwa; przynoszą więc najspokojniej sumę; obie strony spotykają się grzecznie i rozchodzą nawzajem z siebie zadowolone.

„Podczas pobytu mego w New-Yorku — dodaje pani Adonard — zdarzyła się w domu jednego bankiera wielka kradzież, wynosząca do miliona franków. Bankier ogłasza w Heroldzie, że ofiaruje 100,000 złodziejom, wraz z zaręczeniem że ich nie wyda w ręce sprawiedliwości. Złodzieje odnoszą milion. Uszczęśliwiony bankier wyprawia wspaniałą ucztę gentelmanom od szubienicy. By-

ło ich pięciu. Uczta odbyła się wesoło: wzięło w nią udział dwunastu komisantów. Nikt z obecnych nie pozwolił sobie najmniejszej przyzwyczajonej ani złośliwego pocisku: przyjacielska niemal serdeczność panowała między gośćmi a domowymi.

Przy deserze dowódca bandy zwrócił się do gospodarza:

— Drogi gentelmanie — rzekł — jesteś mi nadzwyczaj sympatyczny, pragnę też dać ci dowód szczerzej przyjaźni i opowiedzieć jakim sposobem dobrałem się do twojej kasy: będziesz miał naukę na przyszłość.

I opowiedział szczegółowo jakich użył po temu środków; dał przytém wyborne rady jak zabezpieczyć kasę od powtórnej próby tego rodzaju: obecni słuchali z uśmiechem, winszując mu nadzwyczajnej zręczności.

Rozczulony bankier zawołał w uniesieniu:

— Mój drogi gentelmanie! pragnę wywdziękzyć się za twoją uprzejmość: racz przyjąć odemnie 10,000 franków nad kwotę umówioną!

— Przyjmuję — odrzekł złodziej — ale złożę te pieniądze w kasie towarzystwa naszego, a w zamian wszyscy godni towarzysze moi (tous les honorables voleurs, jak się wyraża pani Adonard) przyrzekną szanować od téj chwili pańską własność.

I goście rozeszli się po licznych toastach, mowach i serdecznych uściskach ręki.

„Wkrótce zobaczymy — dodaje autorka — że złodzieje Nowego Świata, zamienią kradzież w prostą spekulacyą, utworzą kompanie, które na mocy otrzymanego kwantum, zobowiążą się nie kraść.

Pani Adonard wykazuje złe nurtujące w łonie amerykańskiego społeczeństwa, ale jeżeli z jednej strony surowo potępia demoralizacyą w jednostkach, z drugiej wysoko podnosi ustawy społeczne Stanów Zjednoczonych. Szczególną uwagę zwraca na wychowanie publiczne, a raczej na *instrukcyą*.

„W nowym świecie — mówi — nauka jest dla wszystkich bezpłatna. Ameryka odtrąca zarówno złoto bogacza, jak szeląg ubogiego, nie chce bowiem rozdziału społeczeństwa na dwie klasy: na bogatych i na ubogich. Szanując godność człowieka w biednym, nie naraża go na upokarzające przyznawanie się do swéj nędzy.

Zobaczymy, czém jest bezpłatne wychowanie w Nowym świecie.

Samo miasto Nowy York posiada 270 szkół, do tych uczeszcza 23,000 uczniów. Najprzód idą szkoły elementarne, podzielone na sześć klas: uczą tam czytania, pisania, arytmetyki, geografii i pierwszych zasad historyi.

Przechodząc wyżej, dzieci zdają egzamin.

W wyższych szkołach wykładają gramatykę, geografiją, historyą na obszerniejszą skalę, arytmetykę, algebrę, higienę praktyczną i sposób utrzymywania ksiąg kupieckich.

Młodzież potrzebująca wyższego ukształcenia chodzi na kursa dodatkowe, gdzie słucha wykładu geometryi, fizyki, chemii, nauk przyrodzonych, fizyologii i historii współczesnej.

Nauka łaciny i greczyzny pozostawiona tylko młodzieży poświęcającej się naukom i literaturze; reszta uczniów zwolniona z niej, ale za to każdy trzynastoletni Yankee powtórzy na pamięć panowanie Ludwika XVIII, Karola X i Ludwika Filipa.

Oprócz tego jest tu wielkie Kollegium i Instytut. Oba te zakłady stoją na równi z wyższymi szkołami we Francyi: układają tam prawo, administracyą i ekonomią polityczną.

We wszystkich szkołach młodzież ćwiczy się zawczasu w sztuce wymowy. Raz w tydzień uczniowie zbierają się w wielkiej sali, kolejno wchodzą na trybunę i na zadany temat improwizują krótką mowę.

Gimnastyka praktykowana niemniej we wszystkich szkołach.

W każdej jest kurs języka francuzkiego, niemieckiego i włoskiego. Tak szkoły elementarne i wyższe, jak niemniej dodatkowe kursa otwarte zarówno dla dziewcząt jak dla chłopców. Wszyscy uczą się razem.

Wielki *Cooper Instytut* dostępny tak samo dziewczętom jak męskiej młodzieży. Są tam kursa muzyki, śpiewu, kompozyeyi, rysunku, malarstwa, literatury francuzkiej i angielskiej: wszystkie bezpłatne bez wyjątku.

Każdy zatem mężczyzna, każda kobieta w Ameryce, może odebrać najwyższe wykształcenie, może wyuczyć się doskonale jakiejś sztuki, nie narażając rodziców na wydatek jednego centima. Oprócz nauki bowiem, dzieci otrzymują darmo pióra, papier, książki, narzędzia chemiczne, słowem wszystko co im potrzeba.

Biuro wychowania miasta New-Yorku ma pod zarządkiem dziewięćdziesiąt szkół elementarnych, dziewięćdziesiąt siedm wyższych, dwadzieścia sześć kursów dodatkowych, dwadzieścia sześć wieczornych, czterdzieści zakładów dla opuszczonych sierot, kollegium, dwie szkoły normalne. Budżet tego miasta w dziale wychowania dochodzi do 15,000,000 franków.

Nauka w Ameryce nie jest obowiązującą, mimo to wszystkie dzieci chodzą do szkoły. Na tysiąc ludności ledwie jeden nie umie czytać. Nie potrzeba żadnej nauki aby mieć prawo wotowania.

Zamiast przymusu, zarząd edukacyjny stara się uczynić naukę o ile można ponętną dla dziatwy. Szkoły dobrze oświecone, pełne powietrza, kwiatów i ptaków, wyglądają wesoło; wszystko tu tchnie swobodą i pokojem; profesorowie łagodni i uprzejmi dla dziatek, uczą je chętnie tego, czego ich niegdyś nauczono; czynią to z przyjemnością i słodyczą: więcej idzie im o miłość uczniów niż o ślepe ich posłuszeństwo.

Nowy-York przeznacza rocznie 6,000,000 franków na wynagrodzenie nauczycieli; najmniejsza pensya professorska wynosi 2400 franków, średnia dochodzi ośm do piętnastu.

Każda szkoła więcej liczy profesorów kobiet niż mężczyzn. W mniemaniu Amerykanów kobieta umie lepiej zajmować się dziećmi, więcej się do nich przywiązuje, każda prawie ma serce matki. Zawód professorski jest też wielką pomocą dla dziewcząt niemających. Statystyka wykazuje w Stanach Zjednoczonych do tysiąca professorek. W Instytucie w Chicago, młoda panna wykłada język grecki, kilka panien w Bostonie ma katedrę filozofii, języka łacińskiego i greckiego.

„Ci ludzie dwudziestego wieku — dodaje autorka — zrozumieli że każda dusza człowieka stworzona jednakowo, czy powleczona w męzką, czy w niewieścią formę. Pojęli oni, że wiedza, nauka, erudycya, intelligencya, zarówno są przywilejem kobiety jak mężczyzny.

Osobny ustęp poświęca pani Adonard o stanowisku kobiety w Ameryce. Zdaje nam się że autorka patrząc na niedostatki w wychowaniu kobiet francuzkich, zanadto podnosi korzyści spływające na społeczeństwo z bezwarunkowej emancypacji kobiet na drugiej półkuli świata. Pytanie to za nadto ważne, abyśmy chcieli rozstrzygać je pobieżnie w kilku słowach. Sądząc jednak o drzewie z owoców, przychodzimy mimowoli do wniosku, że gdyby kobieta w Ameryce była więcej kobietą, gdyby mniej przebywała za domem, porwana obowiązkami przyjętego zawodu, a ściślej pilnowała wielkich powinności jakie życie samo na nią wkłada, nie widzielibyśmy może tego niesłychanego rozprzężenia, tego gorączkowego szału, który miota dziś społeczeństwem amerykańskim.

Nie myślimy bynajmniej występować przeciwko nauce, doświadczenie wymownie okazało nam na samychże amerykankach, że umysł ich równie zdolnym jest do przyjęcia wiedzy jak i umysł mężczyzny. Nie idzie nam też o ilość ani o stopień nauki, możeż jej być kiedy zawiele? możeż być nauka za wysoką? idzie nam raczej o nadanie jej właściwego kierunku, a przede wszystkim o to, aby kobieta *fachowa*, nie zabiła kobiety-matki! W każdym zawodzie poza domem mężczyzna zastąpi kobietę, w rodzinie kto ja zastąpić zdoła? Biada sierotom bez matek! biada społeczeństwom bez rodziny. Szkoła da wiedzę, da naukę, da zawód, da środki do nabycia dostatków; lecz szkoła sama nie da wychowania: to nabywa się tylko w domu.

Jankes w oczach naszych to typ złe wychowanego młodzieńca, pełnego nieznośnych narowów, to wzrosłego w sieroctwie i zaniedbanu: Ameryka cała nie jestże tym Jankesem?

Po tém zastrzeżeniu powtarzamy w krótkości co autorka mówi o kobiecie amerykańskiej.

„Kobiety w Ameryce mają otwarty przystęp do wszystkich nauk, koniecznym ztąd następstwem, rzucają się we wszystkie zawody. Mężczyźni zupełnie z tego zadowoleni. Mąż pojmuje żonę ma tą pocieszającą pewnością, że gdyby umarł zawczasu, łatwo przyszłoby żonie wystarczyć na potrzeby domu i rodziny, gdyż

ma przed sobą otwarte różne drogi; w razie zaś gdyby zostawił interesu poplątane, potrafiłaby je rozwiązać i dalej poprowadzić.

Amerykanie przyznają, że dzięki prawej emancypacji jaką dali kobietom, zdolności tych ostatnich rozwinęły się w szczególny sposób, a w intelligencji o wiele przechodzą mężczyzn: dumni są z tego i zadowoleni.“

Przerwiemy tu jedną uwagę. Praktyczni Amerykanie przyznając i pochwalając tę wyższość, poświęcają miłość własną dla materialnego zysku. Tam gdzie *times is money*, gdzie *money every all*, mężczyzna rad że kobieta zastąpi go na katedrze, jako profesor lub w biurze jako urzędnik, a zostawi mu czas do prowadzenia pieniężnych spekulacyj i handlowych przedsięwzięć. Smutny to jednak stan społeczeństwa, gdzie mężczyzna da się ubiedz niewieście: biedne tam nadewszystko kobiety!

„W Ameryce—ciągnie autorka—bywają kobiety doktorami, wekslarzami, nawet kapitanami okrętów. Stotysięcy z nich zajmują profesorską katedrę, wszelkie urzęda w administracji dostępne dla nich; mimo to wiele jest jeszcze gospodyń, wiele kobiet światowych, ubogie tylko szukają kariery, lub te które mają rodziców starych i chorowitych, a nareszcie wdowy i żony niedołączonych mężów.

Matka uważa tu za pierwszy obowiązek, ostrzedz córkę o niebezpieczeństwach z jakimi walczyć musi, ukazuje życie jakim jest; mówi że pomiędzy ludźmi są źli i nieuczciwi: słowem tłumaczy jej bez ogródki na czem polega honor kobiety i jej cnota. Młoda dziewczyna ostrzeżona wczesnie, czuwa pilnie nad sobą, gdyż wie, że bez honoru i bez cnoty, nie może mieć prawa do związku z człowiekiem porządnym i uczciwym.

Zapytujemy autorkę czyż honor i cnota mają służyć tylko za wędki na ułowanie mężów? Czyż cała ich wartość, leży w praktycznej korzyści jaką przynoszą? Wyżej pojmował cnotę Jan Kochanowski kiedy wyrzekł:

Cnota tak jest bogata, nie może wiaść szkody,
Ani się też oglądać na ludzkie nagrody;
Sama ona nagrodą i płacą jest w sobie
I krom nabytych przypraw — świetna w swój ozdobie.

Wczesnie bardzo matka amerykanka musi ostrzegać córkę o grożących jej niebezpieczeństwach, gdyż te niebezpieczeństwa wczesnie się dla niej zaczynają. Zobaczmy jak pani Adonard przedstawia stan rzeczy, widząc w nim dobrą tylko stronę.

„Młoda amerykanka chodzi do wspólnej szkoły; tam śmieje się i rozmawia z towarzyszkami. Gdy przyjdzie do wieku że serce jej bić zaczyna, sama szuka człowieka dla którego może mieć dościsły szacunek i sympaty aby mogła bez obawy powierzyć mu własną przyszłość i szczęście. Rodzice zostawiają jej zupełną wolność wyboru i nie starają się narzucać jej milionowego starca.

Wiedzą że nie do nich należy rozporządzać przyszłością, szczęściem lub nieszczęściem całego życia własnej działwy. Małżeństwa z interesu nieznanne w Ameryce. Ci ludzie tak chciwi na złoto, żenią się według serca, zaślubiają kobietę nie majątek: córki w ogólności nie otrzymują posagu.

„Para uboga łączy się nie pytając co będzie jutro; mąż szuka zajęcia z jednej strony, żona z drugiej, i dostatek przychodzi z wolna.

Często się zdarza iż panienka i chłopiec, uczęszczając razem do szkoły normalnej, zaręczą się w piętnastym lub szesnastym roku, składają razem egzamina, i skoro otrzymają dyplom profesorski poślubiają się niezwłocznie.

To samo dzieje się w szkole medycyny. Często młoda studentka polubi jednego z towarzyszków; pomалу przyjaźń zamieni się w tkliwsze uczucie: wówczas połączą wzajem losy. Mąż ma swoją klientellę, żona także swoją, złożoną zwykle z kobiet i dzieci.

Mnóstwo jest doktorów kobiet w Ameryce. Jedna z tych pań w Nowym Jorku, pozyskała wielką wziętość i ma katedrę w fakultecie i stała miejsce w szpitalu kobiet. Dochód jej roczny wynosi przeszło 100,000 franków.

Są także w Nowym Jorku kobiety wekslarze, bardzo biegle w finansowych obrotach, o czém świadczy liczna ich klientella. Jedna z tych, matka sześciorga dzieci, dała dowód niepospolitej zdolności. Mąż jej agent bankowy wplątał się w nieszczęśliwe spekulacje; bankructwo przywiodło go do pomieszczenia zmysłów. Gdy go zamknięto w szpitalu, żona wzięła się pilnie do pracy. Znalazła kredyt u bankierów: w krótkim czasie wydzwignęła z toni majątek i ocaliła honor męża.“

„Znałam też—ciągnie autorka—miłą kobietę, która dziś jest kapitanem okrętu. Zobaczymy jak przyszło do tego.

Panna W. odbywała kursa w Instytucie, odbywał je także p. M. Ona miała lat ośmnaście, on dwadzieścia. Pokochali się i zaręczyli. Wówczas panienka aby nie rozłączać się z narzeczonym uczęszczała z nim na kursa sztuki żeglarskiej. Nauka ta miała dla niej niesłychany urok. Gdy M. otrzymał dyplom na kapitana, pobrali się niezwłocznie i popłynęli razem na dalekie morza. Przez ciąg pięcioletniej żeglugi, nie rozłączali się bynajmniej. Dwoje dzieci przyszło na świat na okręcie, wychowywało się na okręcie. Mąż tłumaczył żonie obroty i tajemnice żeglugi i często młoda kobieta zastępowała go u rudla. Dnia jednego jadłam z nimi obiad na statku; M. z uniesieniem mówił o żonie.

„Zaręczam pani—rzekł do mnie—iż żona moja, równie biegła w żegludze jak ja sam; powierzyłbym jej statek z całą ufnością: nieraz zasięgamy jej rady w chwilach niebezpieczeństwa.

„Otóż ośm miesięcy temu podczas burzy, maszt strzaskany wichrem przytłoczył nogę biednego kapitana. Przywołał on całą załogę okrętową, i oświadczył że oddaje dowództwo żonie swojej. Marynarze przyklasnęli jednomyślnie: *all right!* zawołali

chórem, niech żyje nowy nasz kapitan! Młoda kobieta wywiązała się wybornie i przyprowadziła statek do Nowego Jorku. Amputowano mężowi nogę. Wypadek ten był zgrabą dla niezamożnej rodziny. Odważna kobieta nie upadła pod ciosem: poszła do armatorów, wytłumaczyła rzecz jasno, prosiła o zaufanie, upewniając że potrafi zastąpić męża. Gdy się zgodzili, zajęła się pilnie wyładowaniem statku, i przygotowaniem go do nowej drogi. Cały miesiąc zszedł na tём. Mąż tymczasem wrócił na statek bez nogi; żona pielegnowała go najtroskliwiej, czuwała nad dziećmi a obok tego umiejętnie kierowała żegluga.

„Znam jeszcze,—mówi autorka—inną żonę kapitana okrętu, bardzo uczoną w astronomii i biegłą w sztuce żeglarskiej. Napisała wiele artykułów w tych przedmiotach. Na jój konferencye zbierają się tłumnie marynarze i uczeni.“

Pani Adonard ukazawszy zewnętrzne stanowisko amerykańki, podejmuje potem ważne pytanie moralne. Podnosi szczególniej korzyści wychowania praktycznego, w czém widzi niechybną rękojmnię przeciw wybrykom wyobraźni i uniesieniom serca. Powtarzamy tu jój uwagi:

„Amerykanin daje praktyczną naukę kobiecie, karmi silnie jój umysł, słowem rozwija w niej intelligencyą, aby położyć równowagę między władzami serca i rozumu. Pozwala jój zakosztować każdej nauki, pracować na każdym polu; otwiera godziwy cel jój dążnościom, jój dumie; chce aby rozum panował w niej nad sercem.

„Młoda amerykanka nie jest bynajmniej romansową ani sentymentalną; chodzi wyłącznie po ziemi, wié że celem życia jest małżeństwo. Szuka męża rozsądnie, bada jego charakter, jego obyczaje. Nie spodziewa się znaleźć w nim pół-boga, ani istoty doskonałej, ani błędnego rycerza, ani téż zakochanego niewolnika, uległego we wszystkiém jój woli. Bynajmniej! literatura angielska zanadto jest zdrowa i praktyczna aby pozwalała dziewczętom wymarzać nieistniejące ideały. Amerykanka pragnie znaleźć w mężu przyjaciela, tkliwego towarzysza, istotę z wadami i niedostatkami ludzkiemi. Nie doznaje zawodu, bo nie podsycy wyobraźni czytaniem romansów, przedstawiających szaloną miłość jaka na świecie nie istnieje. Spokojne przywiązanie męża zupełnie jój wystarcza.

Jeżeli dozna zawodu w uczuciach, szuka w pracy umysłowej, niechybnego lekarstwa na cierpienie.

Jeżeli mąż nie dosyć zarabia na utrzymanie domu, żona zbiera się odważnie do pracy, bez próżnych skarg, bez wyrzutu.

„Niewierność w małżeństwie nie częstym bywa w Ameryce wypadkiem. Rozwód lubo uprawniony nie często się przytrafia. Amerykanie dotąd nie przyszli do pojęcia, aby ktośkolwiek mógł zburzyć pokój w stadle małżeńskim, a mimo to zachować imię uczciwego człowieka. Żadna panna takiemu nie odda ręki; drzwi domowych progów zamykają się przed nim. Prawo karze go su-

rowo, niemniej jak opinia powszechna. Don Juany uważani tam jak złodzieje. To też w Ameryce mało napotkać Don Juanów. Bezeństwo jest także stanem wyjątkowym. Jankeszeni się w ośmiastym, najpóźniej w dwudziestym roku.“

Don Juany uważani jak złodzieje, twierdzi autorka; przypomnijmy sobie ucztę w domu bankiera wyprawioną dla gentlemanów złodziei, a ta okoliczność złagodzi bardzo wyrok przeciwko burzyicielom domowego pokoju.

„Młoda kobieta — mówi pani A. — czy to mężatka, czy panna, może podróżować sama jedna bez najmniejszej obawy. Skoro mężatka powie: „Jestem zamężną,“ tęp jednem słowem oddali od siebie natręta. Pauna podróżuje z młodzianem i nikt nie widzi w tęp nic złego.

Często młody człowiek starając się o rękę panny, bywa w jej domu nie przedstawiony nawet rodzicom. Młoda Amerykanka ma za sobą prawo i głos opinii, który pozwala jej pomścić się za zniewagę. Jeśli wiarołomea narazi jej cześć i opuści ją nikiemnie, panna bierze rewolwer, ściga na ulicy niewiernego i zabija bez najmniejszej za to odpowiedzialności.

Kończymy na tęp. Autorka malując obyczaje kobiet amerykańskich, stawia obok nich obyczaje panujące w Europie. Sąd jej częstokroć stronny. W obrazie Amerykanek wykazuje tylko jasną, dodatnią stronę, ujemną pozostawia w cieniu. Tymczasem w obrazie społeczeństw europejskich, trzyma się wprost przeciwniej metody.

Widzimy dobrze niedostatki w wychowaniu naszych kobiet, pragnęlibyśmy dla nich więcej światła, pilniejszej zwłaszcza bacznosci na kształcenie ich woli; potrzebujemy wielu zmian, wielu ulepszeń w systemacie edukacyjnym; nie sądzimy jednak aby radykalny przełom w wychowaniu naszych kobiet, aby przekształcenie ich na modłę Amerykanek, mogło przynieść pożytek naszemu społeczeństwu. Co kraj to obyczaj! Amerykanie rzuceni w nowy świat, zmuszeni byli zerwać z tradycją krajów macierzystych. My Europejczycy podobnie zrywać z przeszłością nie możemy; koniecznem dla nas dzwigać tę przeszłość, usuwać pomału a wytrwale to wszystko co zatrzymuje dalszy postęp, ale bądź co bądź, budować tylko powinniśmy na własnym gruncie!

Dzieło o Ameryce pani Adonard powtarzamy, mimo przesady w ocenieniu stanowiska kobiet, wysokie ma zalety. Pisane z niepospolitą werwą, w krótkich ramach daje nam wierny obraz tego olbrzymiego kotła, w którym kipi, szumi i pryska tyle zlanych razem metalów. Jaki spiz wyrobi się z tego zlewu? czas to pokaże, trudno dziś rzeczy przesądzać. Napływ coraz to nowych kruszców podsyca tę dziwną mieszaninę, ognia zaś nie brakuje pod kotłem. Z tego to spizu Jankesy ułaly straszne działo, którego huk wstrząsnął do gruntu Amerykę i oswobodził murzynów. Czy z owego spizu, zabrzmi rychło dzwoni Szyllerowski? niewiadomo. To przecież pewna że Walter Whitman nie uderzy jeszcze w ten dzwoni,

aczkolwiek Amerykanie zwą go Kolumbem poezyi. Z nihilizmu nie zrodzi się nic, chyba zgłiszcza i popiół!

Poznawszy dzieło, poznajmy teraz osobistość autorki, a to nam wytłumaczy niektóre sądy nazbyt śmiałe. Mamy właśnie pod ręką ustęp autobiograficzny, drukowany w kronice illustrowanej, wraz z portretem pani Adonard: przytaczamy go w treści:

— „Jestem Francuzką — mówi autorka — lubo z pochodzenia hiszpańskiego przez ojca, z rodziny angielskiej przez matkę.

Mój pradziad don Jovalos, opuścił Hiszpanią i osiadł w okolicach Vaucluzy. Żył po pańsku w zamku własnym zajęty rolnictwem i łowami. Syn poszedł jego śladem. Ojciec mój wychowany w szkole wojskowej za cesarstwa, z upadkiem Napoleona opuścił służbę, zwiedził obie Ameryki, północną i południową; przebiegł następnie Wschód i Włochy. Za powrotem pojął w małżeństwo matkę moją pannę Adonard.

Prapradziad po matce Irlandczyk O'Doward, gorący katolik, ztąd prześladowany w Anglii, zamieszkał także koło Vaucluzy.

Urodziłam się w Marsylii, młodość zaś całą przeżyłam na wsi w rodzicielskim zamku. Ojciec zajmował się sam wychowaniem mojem, równie jak mojej siostry.

Szczególne to było wychowanie; cała Prowancya przyganiała ojcui i szczydziła z niego bez litości.

— Pan Janval dziwnie prowadzi córki swoje — mówili jedni.

— Tem lepiej — odpowiadali drudzy ruszając ramionami — daje im przynajmniej praktyczną edukację.

Co do mnie wdziewczką jestem ukochanemu ojcui za to co wszyscy nazywali dziwactwem. Od szóstego roku życia towarzyszyłam mu na kucyku w objeździe po *fermach*; w siódmym roku dostałam małą fuzyjkę; ojciec brał mnie z sobą na łowy.

Życie na wolnym powietrzu, wśród bezustannych ćwiczeń, dało mi na przyszłość niewyczerpany zapas zdrowia.

Wieczorem siadałyśmy wkoło komina z ojcem, a on uczył nas historii opowiadając dramatyczne przygody z czasów wielkiej rewolucyi i cesarstwa. Tłumaczył nam potem konstytucję amerykańską. Szczery demokrat, powtarzał często, iż jedyna arystokracja możliwa w przyszłości, opierać się będzie na inteligencji, wiedzy, i prawym charakterze jednostek. Z nauki zacnego ojca zaczerpnęłam te przekonania demokratyczne, któremi się dziś chlubię. Co dzień czytywałam mu na głos dzienniki, on zaś z niesłychaną słodyczą wyjaśniał mi bieg spraw publicznych.

Ztąd powzięłam przekonanie, że kobieta może się zajmować sprawami kraju swego.

Ojciec dostarczał mi książek, traktujących popularnie astronomią i inne wyższe umiejętności. Przeciwnie zaś wszelkie romanse i odcinki w gazetach, były mi surowo wzbronione.

Kiedy wyrosłam z dziecka na panienkę, ojciec nie prowadził mnie nigdy na bal ani na teatr; mniejsze nawet wieczory i koncerty uważał za całkiem niepotrzebne.

Mimo znacznej liczby sług, musialiśmy obie z siostrą, przyłożyć rękę do wszelkiej roboty. Służąca uczyła nas szyć, modniarka krajać suknie i inne przedmioty do ubrania. Raz w tydzień chodziliśmy do kuchni na naukę sztuki kucharskiej.

Gorszyło to sąsiadów a szczególniejszą sąsiadki.

— Godziż się — mówiono — wychowywać zamożne panny, jakby proste wiejskie dziewczęta?

— Któż mi zaręczy — odpowiedział na to ojciec — czy która z córek moich nie pójdzie za niedołągę, i nie spotka się z biedą? Czyż nie lepiej nauczyć ją wszystkiego potrochu, aby w razie potrzeby zaradzić sobie mogła?

Nie podobało się szczególniejszą sąsiadkom że jeździłam na kucyku, a co gorsza, do lat dziesięciu ubierana za chłopca w szerokie majtki i spencerek czarny aksamitny.

Nie zapomnę nigdy w życiu rozmowy ojca z jedną podeszłą panią.

— Wstydz się pan — mówiła surowa matrona — to dziecko popełnia grzech śmiertelny!

— Jakto? — pytał ojciec z uśmiechem.

— Alboż to pan nie wiesz, że grzechem jest śmiertelnym przebierać się kobiecie po mężku?

Ojciec nie zważał na to, jeździłam z nim jak dawniej.

Bardzo jeszcze byłam młoda, kiedy ojciec wydał mnie za krewnego ze strony macierzystej: ztąd noszę nazwisko mojej matki.

Przez całą młodość moją nie odgrywałam nigdy roli panny światowej. Była ze mnie prosta dziewczyna, trochę dzika, wychowana w górach i lasach. Umiałam smażyć konfitury, gotować obiad, krajać suknie, pielęgnować ogród, obliczać się z dzierżawcami; lecz o świecie nie miałam najmniejszego wyobrażenia, i świat nic też o mnie nie wiedział.

Pan Adonard został notaryuszem w Marsylii. Zamieszkaliśmy w starym grodzie Focejskim. Żyłam tam przez lat pięć, nie jako światowa kobieta, lecz jako matka rodziny utrzymująca konieczne stosunki ze światem.

Po pięciu latach małżeństwa, ważne okoliczności zmusiły mnie do żądania prawnej separacji. Proces mój odbywał się publicznie, wyrok wiadomy był wszystkim. Trybunał uwzględnił żądania moje, powierzył mi opiekę nad dwoma synami, zmusił męża do wrócenia mi posagu i wypłacania rocznej pensji. Wszystko to dowodzi, że świat nie mógł mi nic zarzucić.

Mimo wyroku wiedziałam że pensji pobierać nie będę, wiedziałam że dochodem z posagu nie wystarczę na wychowanie synów. To też posprzedawałam konie, powozy, klejnoty, koronki i przeniosłam się do Paryża. Tam zajęłam skromne mieszkanie,

a pielęgnując dzieci i zajmując się domem rozpoczęłam wydawnictwo *Motyła*.

Pisarze wielkiego talentu i serca, przyszedli mi chętnie w pomoc; ofiarowali artykuły pióra swego. Na stronicach pisma mogłam położyć znakomite imiona Juliusza Janina, Teofila Gautier, Arsena Houssaie, Emanuela des Essards, że pomnę już innych.

Miałam nie mało pracy. Obok zajęć domowych trudniłam się sama redakcją. To też od chwili przybycia do Paryża zerwałam zupełnie ze światem, nie bywałam nigdy na balach; nikt mnie nie widział ani w lasku Bulońskim, ani w żadnym innym miejscu, gdzie niezajęte nieczym panie lubią ukazywać się w całym blasku strojów i wytworności. Nie miałam na to ani czasu, ani ochoty.

Ciężka choroba młodszego syna przykuła mnie do wezglowia jego przez długie trzy miesiące. Straciłam dziecko; gwałtowny cios wyczerpał moje siły. Cierpiałam na piersi, lekarze wysłali mnie do Egiptu.

Pół trzecia roku przebyłam na Wschodzie. Ukrzepiona dobroczynnym wpływem klimatu, zabrałam się znowu do pracy. Owocem jej były trzy tomy które przywiozłam do Paryża.

Za powrotem żyłam według dawnego trybu: unikałam świata, poprzestając na towarzystwie bliższych przyjaciół.

Po *Motylu*, wydawałam *Przegląd Kosmopolityczny*, napisałam jedną komedię i jedenastej tomów. Zawód pisarski rozpoczęłam w r. 1861.

Prasa czasami przedstawiała prace moje jako lekkie i niemoralne. Zarzut to niesłuszny. Zbyt wielki wstręt budzi we mnie skazona i zatruta literatura, abym miała wpadać w podobne błędy.

Dzieło moje: *Tajemnice Serajów i Haremów Tureckich*, tłumaczone było na język angielski i niemiecki. Dziennikarze tych dwóch narodów którzy się niemi zajmowali, uczynili mi wielki zaszczyt mówiąc, że umiałam podjąć drażliwy przedmiot z takim taktem i delikatnością, iż młoda panienka czytać może bezpiecznie książkę.

Obszerny tom: *Wschód i jego ludy*, może być nudnym dla kogo, ale nikt nie nazwie go lekkim i pobieżnym.

Krytyka twierdzi, że trudno wydać o mnie sąd sprawiedliwy. Otóż gdyby mnie nawet pomówiono o ekscentryczność, jestem wprost przeciwnego zdania. Oto sąd jaki wyrobiłam sama o sobie, myślę że zupełnie bezstronny.

Jestem pisarzem z instynktu, lubię literaturę, piszę z przyjemnością, staram się pisać jak mogę najlepiej, czytam wiele, mam tę zasługę że uważam literaturę z poważnej strony, i czuję dla niej wielkie poszanowanie. Pragnę zająć w niej jakieś stanowisko, ale wiem ile muszę pracować aby zostać niezłym pisarzem.

W tej chwili to jedno łączy mnie z panią de Sevigné, że jak ona, wyrobiłam sobie fantastyczną ortografię. Rzecz dziwna,

mam w głowie formuły gramatyczne, ale ręka zawsze o nich zapomina.

Oto krótka moja biografia. Nie pisałabym o sobie, ale kobieta musi cierpieć w duszy, postawiona między pochwałami nad miarę, które niekiedy stają się zniewagą a tysiącem złośliwych pocisków, co z nienacka chwytają za gardło wśród najmzobolniejszej pracy. Własne *Ja* — tak nienawistne Paskalowi zajmuje zbyt wiele miejsca w tym obrazie, ale któż lepiej zna skromną osobistość pisarza o którym zmuszoną jestem mówić?*

Wyborny to obrazek, prosty, pełen życia, a przedewszystkiem szczerzy. Ekscentryczne wychowanie autorki, jej nieszczęścia, jej położenie w świecie, tłumaczą nam jej sąd tak przychylny o stanowisku kobiety amerykańskiej.

Dodajemy spis prac literackich pani Adonard :

Powieści jeduotomowe: *Jak kochają mężczyźni? Historya żebraka. Mężczyzna czterdziestoletni. Wojna przeciw mężczyznom.* Broszura w odpowiedź prezydentowi Dupin: *Zbytek szalony u kobiet i u mężczyzn.* Komedya: *Gdzie miłość tam i zazdrość.* Podróże: *Wschód i jego ludy. Tajemnice Serajów i Haremów Turckich. Tajemnice Egiptu odsłonięte. Far-West. Krańcowa Ameryka: Kanada, Indyanie, góry Skaliste, Mormoni, North America:* ostatnie dzieło autorki rozbierane przez nas powyżej.

Po powrocie do Stanów Zjednoczonych, pani Olimpia Adonard dała się poznać w Paryżu jako zdolna konferencistka. Obrona praw kobiety, oto temat jej rozpraw. Jedna z tych konferencyi w r. 1870 szczególny miała rozgłos. Był to jak mówiono pojedynek raczej oratorski, niż proste wystąpienie z katedry. Powodem do konferencyi stał się złośliwy artykuł pana Barbey d'Aurevilly przeciwko uczonym kobietom (*bas bleu*). Autor chłostał je wszystkie bez litości, nie przebaczał nawet sławnój Georges Sand.

Pani Adonard śmiało wystąpiła w obronie kobiet autorek, a że umie wybornie władać słowem, odpowiedziała na pociski z niesłychaném życiem i porywającą wymową. Potrafiła z wielkim taktem wykazać prawa kobiety do myślenia i wypowiedzenia myśli własnej. Zakończyła dowcipną sentencyą, że mniej niebezpiecznie dla kobiety napisać romans, choćby nawet był źle napisany, niżli życiem swoim dać temat do najartystyczniejszego utworu. Dodaje do tego słuszną uwagę: „Rozum nie zabija serca, lecz miarkuje uczucia i panuje nad niemi.“

Młody poeta Franciszek Coppé autor kilku obrazków dramatycznych, jak *Przechodzień, Dwie boleści, Bezrobocie kowali*, przedstawił kilka miesięcy temu w Odeonie jednoaktowy obrazek osnuty na niedawnych wypadkach p. t. *Fais que doit* (Czyń coś powinien). Zamiast sprawozdania, dajemy w przekładzie mały ten utwór zostawiając sąd czytelnikom.

CZYŃ COŚ POWINIEN.

Obrazek dramatyczny w jednym akcie.

Osoby:

MARTA.

DANIEL.

HENRYK.

Nauczyciel wiejski.

Chłopiec dziesięcioletni.

(Rzecz dzieje się w Hawrze przed hotelem w bliskości portu).

SCENA I.

MARTA — HENRYK.

MARTA.

(W grubej żalobie siedzi pod wystawą naprzeciw morza. W porcie ruch wielki, majtkowie ładują okręta).

HENRYK.

A więc dziś odpływamy?

MARTA.

Tak, dziś, drogie dziecioię.

HENRYK

(wesoło).

Zwiedzać kraje nieznane! ach! jestże na świecie

Większa radość . . .

MARTA.

Trudno znieść już więcej,

Niżlim zniosła przez kilka ostatnich miesięcy!

Gdziekolwiek się obrócim, nie zbraknie nam chleba,

Pływamy więc pod nieznane Ameryki nieba;

Tam pracą nowe sobie utworujesz drogi,

Tu, kiedy spojrzę w przyszłość, cała drzę od trwogi . . .

Spieszmy więc . . .

HENRYK.

A czy będziesz tam matko spokojna?

MARTA.

Mam nadzieję mój synu!

(Chłopiec odbiega nad morze, matka patrzy za nim).

Ta przekłeta wojna!

Oh! wydarła mi męża, ojca wzięła tobie!

I gdybyż choć na drogim zapłakać nam grobie?

Gdzież ten grób? kto wie o nim? biednyż ty sierotko

Co uśmiechasz się do mnie tak wdzięcznie, tak słodko,

Twój-by los miał być taki? nie dopuścisz Boże!

Kraju mój! gdzie mi pierwsze błysło życia zorze,

Twa mowa jak czarownie potrąca mi ucho,

W niejto, słowo miłości wyrzekłam z otuchą,

W niej maleńki mój synek dał mi matki imię!

O! jakież to boleści sprawiły olbrzymie,

Że dziś mnie twe powietrze dławi tak grobowo,

Przez ciebie on sierotą, przez ciebie jam wdową!

HENRYK

(powracając)

Jakże huczają te fale: nie ściągnąć ich wzrokiem,

Wesołość to po morzu żeglować szerokiem;

(*wskazując na morze*)

MARTA. Cóż to za chmura, matko? widzisz jaka sina?
 HENRYK. Statek dąży do portu, dym bucha z komina.
 Dziwnieź-to morze piękne! widziałem w przystani
 Jak się snują majtkowie wkoło spracowani,
 Ładują nasz parowiec i gwarzą ochoczo:
 Flagi z wiatrem na masztach jak wstęgi furkoczą,
 Murzynek, mniejszy jeszcze odemnie chłopczyzna
 W górę istna wiewiórka po linach się wspina.
 Co tam ruchu! co gwaru! zawałon brzeg długi:
 Tu beczki z owocami, tam w klatkach papugi;
 Powietrze przesyccone olejem i smołą,
 Gdzie rzucić okiem, na płótnie wypisane wkoło:
Walparezo, la Plata, Hawanna i Chili.

Popłynąć już na morze radbym w jednej chwili,
 Niech burza zszarpie żagle, niech maszty pokruszy,
 Tem lepiej! na przygody mam dość hartu w duszy!
 Niech rozbije się statek, ja przez wściekłe fale
 Na kruchym złomie masztu sam siebie ocalaę.
 Czytałem Robinsona . . . zapomnieć go trudno.
 Gdy morze nas wyrzuci na wyspę odludną,
 Pobuduję ci chatkę z gałązek i trzciny,
 W pracy długie nam lata zbiegną jak godziny,
 I będziesz tam szczęśliwsza, niż tu w tłumie ludzi,
 Radość może znów uśmiech na twych ustach zbudzi!
 MARTA. Dziecko! (*na stronie*) Jak się w tym wieku dziwnie
 myśli plotą,

On zapomniał już ojca! biedny ty sieroto!
 (*głośno*) Nim statek naładują, pobiegaj tam jeszcze.
 HENRYK. Spiesz się matko.

MARTA.

Chodź synku . . . niechaj cię popieszczę!

(*Całuje Henryka, potem chłopiec odbiega.*)

SOENA II.

MARTA

(*sama*).

Ciężkie mi to wygnanie, lecz zachowam syna.
 Czuwać nad nim to święta powinność matczyzna,
 W nim świeci mego szczęścia promyczek ostatni!
 Na toż go mam wychować, by z paszczy armatniej
 Zmiotła go pierwsza kula! Francyo! masz-że prawo
 Żądać takiej ofiary? Ojciec spłacił krwawo
 Dług za siebie i syna! I czegoż się trwożę!
 On pod darną grobową potępi mnie może!
 Co powie, że bezmyślnie oddalam się z wioski,
 Gdzieśmy życia poranek przeżyli bez troski;
 Że chcę gonić po świecie ułudę zdradziecką,

Że od progów domowych odrywam to dziecko.
 Dziś krwawą męża postać widziałam ja we śnie:
 Ten obraz w myśli mojej tak utkwiał boleśnie!
 Ocalił go. . . to życia mego cel jedyny!
 Czytam w głębi mej duszy. . . nie widzę w niej winy!
 Wszak miłość macierzyńska wszystko w niej zwycięża.
(sposstrzega zbliżającego się Daniela)
 Co widzę? stary Daniel! . . . tak . . . przyjaciel męża!

SOENA III.

MARTA — DANIEL.

DANIEL.
MARTA.
DANIEL.
MARTA.
DANIEL.
Odpływasz?

Dziś wieczorem. .

I on?

Nieinaczéj.

Posłuchaj mnie cierpliwie: w tój szkółce wieśniaczéj
 Gdzie uczyć abecadła ubogie chłopięta,
 W sercach tam dobra wola i prostota święta,
 Co się w myśli urodzi z ust wybieży łatwo.
 Otóż gdy się rozeszła wieść pomiędzy dziatwą,
 Że, kiedy nasz widnokrag czarna chmura słoni,
 Ty odjeżdżasz z Henrykiem . . . wynaleźli oni
 Słowo co rzecz określa w ich sposobie szczerem,
 Jak zwą twójgo syna? zwą go dezertorem!
 Przyjacielu!

Nie przeczę, chłopiec jeszcze mały,

Rozrządzać jego losem prawa moc ci dały;
 Lecz powinność przed prawem tu znaczy coś więcéj:
 Czyżes ty oświeciła ten umysł dziecięcy?
 Czy z twych ust macierzyńskich posłyszal on Marto,
 Że nam ziemię Alzacką z pod serca wydarto,
 Że wzięto Metz i Strasburg! że my cierpim srodze
 Ból, jaki cierpi wiarus w postradanéj nodze;
 Czy on wie, że dziś straszna przypadła nam dola?
 Że ojciec krwią ubroczył Freszwilleru pola?
 Wie, lecz to w nim ku matce, uczuć nie zagłuszy,
 Zna całą moc miłości w mej zbolaléj duszy.
 Gdybym go stracić miała! . . włos wstaje mi z głowy!
 Marto!

MARTA.
DANIEL.
MARTA.
Czy ty pamiętasz ten wieczór wrześniowy?
 Mąż poszedł, na myśl o nim drżałam niespokojna.
 Tylko co się zaczęła ta nieszczęsna wojna:
 Ktoś we drzwi zakolatał . . . goniec smutnéj wieści
 Wręczył mi krzyż i pismo! . . szalona z boleści
 Pobiegłam do Henryka . . . spał . . . wsparta o łożo
 Zawołałam wrozpaczy: ach! ocal go Boże
 Dla matki!

- DANIEL. I dla Francyi, dodałem ja z cicha.
 MARTA. Za małoż to goryczy z jednego kielicha?
 Ona wzięła mi męża . . . to dość! . . .
- DANIEL. O! nie tobie
 Nikczemnie zbiegać z pola!
- MARTA. Wiem dobrze co robię.
 DANIEL. Zostań!
- MARTA. Dzisiaj od lądu odbija nasz statek.
 DANIEL. Niepodobna!
- MARTA. Ja nie mam serca rzymskich matek!
 DANIEL. Ty jutro pożalujesz chwilowego szafa.
 MARTA. Wszak mam prawo do syna? Jadę dziś. . .
 DANIEL. Pomału . . .
- On także synem Francyi!
- MARTA. Ona pełną czaszą
 Pije krew własnych dzieci.
- DANIEL. Powinnością naszą
 Służyc jój!
- MARTA. W jój dziś imię brat morduje brata!
 DANIEL. Marto! mąż twój cię słyszy!
 MARTA. On sam z poza świata
 Uciekaj! — tajemnemi woła na mnie słowy!
 DANIEL. Ty bluźnisz!

SCENA IV.

Ciz i Henryk.

- HENRYK. (*żywo*) Matko! matko! już statek gotowy!
 Para bucha. . . czas w drogę — mówili majtkowie.
 (*sposzrzegając Daniela*).
 Pan Daniel tu!
- DANIEL. Henryku!
- MARTA. Nie wierz mu . . . on powie
 Że trzeba uam pozostać. . . on w sprzeczności ze mną
 Nazwie ci tę żeglugę włóczęgą daremną;
 On poszepnie ci imię twój rodzinnej ziemi,
 Myśl twą będzie kołysał złudy kłamliwemi:
 Nie słuchaj go Henryku! on tobie wywróży
 Słoneczne dnie pogody po klęskach i burzy.
 Wskaże ci mężne hufce, jak kroczą do granic,
 Łzy matek, życie synów, on wszystko ma za nic;
 Niechaj młodzież krew z serca do kropli wytoczy,
 By na chwilę przedłużyć jego sen uroczy!
 On ukaże ci naród splamiony niesławą,
 Rozbudzi proch umarłych pod grobowca trawą!
 Strzeż się, niech cię nie zwiedzie głos tego człowieka!

DANIEL.

Jesteś w błędzie . . wiem Marto . . wiem . . ciebie tam
 Błoga cisza i spokój i pomyślność może . . [czeka
 Płyn! niebo tak błękitne, tak łagodne morze!
 Po co zwłóczyć? . . płyn Marto! Niech para skrzydlata
 Na przestrzenie nowego poniesie was świata,
 Kędy gleba słonecznym promieniem spulchniona,
 Ledwie tknięta lemieszem, z żyznego wam łona
 Wyrzuci skarb w zapłatę pracowitej dłoni
 I złotemi wam włosy na tryumf zadzwoni.

O tak! złoto dziś wszystkim. . czyż wahać się warto?
 Tam szczęście, nowy Eden . . płyn tam biedna Marto!

Dla człowieka co liczy, co kocha sam siebie,
 Poco ścigać cześć złudy po marzeń gdzieś niebie?
 Siać, zbierać, z jakiej roli kto się troszczy o to?
 Ta, nie ta, każda dobra, skoro daje złoto!
 Mniejsza czy kości ojców próchnieją w tej ziemi,
 To przesady odwieczne! czas nam skończyć z niemi.
 Szczęśliwy kto nie patrzy w dniu klęski i sromu
 Na walące się w stopy belki swego domu,
 Na krew z tysiąca piersi rzekami pociekłą;
 Uchodź Marto! wszak widzisz: Francya istne piekło!
 (po chwili z głęboką boleścią).

Wiek żelazny szerokie roztworzył nam wrota,
 Naród przyszedł do tego przełomu żywota,
 Z którego Bóg go tylko może dźwignąć cudem,
 Czy stanie się w przyszłości jeszcze wielkim ludem?
 Nie wiem. . . to na com patrzył własnymi oczyma
 Słabą daje otuchę. Czemuż Bóg mnie trzyma!
 Lżejby mi na spoczynek zstąpić w trumnę cichą.
 Ludu zgrzęzły w ślepotcie, opętany pychą,
 Gorzką prawdę z pod serca rzucę ci przed oczy!
 Kiedy na szkolnych ławach dziatwa mnie otoczy,
 I gdy mnie zapytają pacholęta drżące:
 Z kąd na kraj nasz runęło tych gromów tysiące?
 Tych plag ciężkich powody, wskażę z prawdą ścisłą,
 Powiem, ile łez wrzących z mych powiek wytrysło;
 Niech osądzi ta dziatwa w swojej duszy prostej
 Ile był zasłużonym ten bicz Bożej chłosty!
 Powiem, z jak straszną siłą dał wicher szalony
 Nad krajem stratowanym cudzemi zagony,
 Jak licznych klęsk nawałem rozwścieczeni srodze
 Miotali sobie w oczy żołnierze i wodze
 Obelżywe zarzuty podłości i zdrady,
 A gdy wielkiego miasta trzęsą się posady,
 Pod gradem bomb, ta gawiedz co ma nad nim strażę
 Czeka, rychło bagnety w krwi bratniej pomaże!
 Powiem dzieciom, jak w obec już niechybnej zguby
 Szamocą się stronnictwa, jak szaleją kluby;

Jak w tój ostatniej kłęski i sromu godzinie,
 Gdy strumieniem łzy płyną i rzeką krew płynie,
 Gdy Paryż składa oręż pokonany głodem,
 A zwycięzca jak wryty stoi tuż pod grodem
 I wzrok wlepia w olbrzyma . . . i zdjęły go dreszcze,
 Nie śmie stąpić . . i pyta ażali żyw jeszcze?
 W takiej chwili . . ach! lica rumieńcem mi płoną!
 Krwawa tłuszczą pochwyca chorągiew czerwoną,
 Bez ojczyzny! bez Boga! obala ład stary,
 Pełnemi sieje garściami mordy i pożary,
 A Niemiec nasze zgłiszcza przy łun blasku liczy
 I na cześć ich wychyla puhar biesiadniczy!

HENRYK. A więc wszystko przypadło! O! serce mi pęka!
 Mów mistrzu!

DANIEL. Nie przypadło! jeszcze Boża ręka
 Wydzwignie nas z odmgotu! Ja chłopcze kochany,
 Rozpalone żelazo przyłożę do rany
 Mych dziątek, aby zniszczyć do gruntu tę pychę,
 Co jady zatrutemi kazi serca ciche,
 Gdy słuchać będą łzawi z pochyloną głową,
 Z głębi serca pociechy wyrzucę im słowo.

HENRYK (żywo). Cóż im powiesz?

DANIEL. Ach! powiem że w tój zawierusze
 Świciły czystym ogniem bohaterskie dusze,
 Że w tój młodzi co biegła od pługa na hasło
 Ni barki nie omdlały, ni serce nie zgasło;
 Powiem, jaki do czynu skory duch w narodzie,
 Jak Paryż bohatersko trwał w chłodzie i głodzie,
 Jak nad marny dobrobyt cześć w wyższej miał cenie:
 Powiem, jak umierali dzielni w Chatodenie;
 Jak z namiotów sterczących po kraju szeregami,
 Szamotanych zamiecią, przywalonych śniegiem,
 Żołnierz poglądał w górę ku chmurnym niebiosom,
 Za gwiazdą co sprzyjała niegdyś naszym losom,
 I pewien że z chmur błysnie jadł z wiarą chleb czarny,
 I podsycał wciąż ziemię zdrojem krwi ofiarnej.
 Te ostatnie narodu opowiem im dzieje,
 I zbudzę w sercach dziatwy miłość i nadzieję,
 Uczucie powinności wszczępię w nie od młodu
 I powstaną z tój dziatwy mściciele narodu!
 (z zapalem). Mściciele!

HENRYK

MARTA

(gwałtownie do Daniela). Stój niebaczny! odwożaj to słowo!
 Nie przystałoż mu czuwać nad matką, nad wdową?
 Przy okrzykach tryumfu gawiedzi zwyciężkić,
 Wszak ty sam gdyś obliczał nasze smutne kłęski,
 Zwątpiłeś o narodzie! chcesz by mi wydarto
 Ostatnią tę nadzieję?

DANIEL.

Posłuchaj mnie Marto.

Człowiek prosty, ja nié mam téj siły proroczej,
 Co rozdziera mrok czasów, ale mi na oczy
 Zimny całun niewiary nie upadł grobowo;
 My po tych krwawych klęskach urośniesz w moc nową;
 Przyćmiona gwiazda nasza znów ludom zaświeci.
 To dziecko!..

MARTA.

DANIEL

(do Henryka). Przyszłość Francyi w was spoczywa dzieci!

Nim godzina uderzy, nam tylko przystało
 Karmić w was święty zapał i wolę wytrwałą.
 A gdy nowa pobudka na hasło zadzwoni,
 Czarny włos nasz jak mleko zbieleje na skroni,
 I ręką wam zgrzybiałą nakreślę znak krzyża.
 Już naród lekkomyślny do zguby się zbliża,
 Po co w oczy nam rzucać tumanem uroczym?
 Brakło serc!

DANIEL.

My szkół mistrze serce przeistoczym!

Dajcież synów! te płonki jakie nagiąć łatwo.

MARTA.

Daremna otucha,

Próżny sen . . . i nic więcej!

HENRYK.

Matko, skłonmy ucha!

DANIEL.

Jeśli Francuz odrodzon w téj próbie ogniwów,
 Chce śmiałą wstąpić nogą w szlak żywota nowy,
 Jeśli zwodnych mamideł otoczon tysiącem
 Wzgardzi zatrutą księgą i słowem durzącem,
 I przed prawa powagą sam karku nakłoni;
 Jeżeli się w szalonej powstrzyma pogoni
 Za krwawym i ohydny bezrządu potworem;
 Jeśli stare swe grzechy przeklnie w obec świata,
 Z czoła mu jeszcze tryśnie promień nowéj zorzy,
 I nowe drogi w przyszłość Francuzom otworzy!
 I zmyjem ten policzek co nam wrósł do twarzy,
 I stary miecz Brenusa znów szalę przeważy,
 Prawnuk dzielnych krzyżowców i oracz od pługą,
 I kupiec spanoszony, wyrobnik i służą,
 Ogarnięci tym żarem, co gdy buchnie z duszy,
 Stopi odwieczne lody, i skały pokruszy,
 Na gruzach starych waśni złączy brata z bratem,
 I uświęci serc węzeł ofiary chryzmatem!

HENRYK.

My uciekać nie możemy!

MARTA.

Szalone ty dziecko!

Coś uczynił Danielu?

DANIEL.

To powinność święta!

MARTA do HENRYKA. Chcesz tego?

HENRYK.

Matko! dzięki!

MARTA.

Pierś moja ściśnięta

Lecz z za chmury mi błyska lepszej doli zorze.

Panie! ocal mi syna!

DANIEL

(podnosząc ręce). Ocal Francję Boże!

KONIEC.

MERCZOWSKIE OKOPISKO

i jezioro Świtez

zwiedzane w 1871 i 1872 roku.

Przez

*Jana Zawiszę.**(Z sześcioma tablicami).*

Badania i poszukiwania w rozmaitych gałęziach nauk, od pewnego czasu głównie są skierowane, ażeby wykryć pierwotne życie ludzkości, i wskazać po jakich szczeblach wznosił się człowiek do stanu tej oświaty i cywilizacji, jaka dziś jest jego zdobyczą. W tym celu archeologia wielkie oddaje przysługi.

Archeologiczne poszukiwania rozwinięte są we wszystkich prawie krajach, a rezultaty z nich koncentrują się w kongresach międzynarodowych. I na naszej ziemi odbywają się oddawna takie poszukiwania. Znane są owoce prac począwszy od Zoryana Chodakowskiego (Adama Czarnockiego), St. Staszica, do współczesnych Konstantego i Eustachego hr. Tyszkiewiczów, Przędzieckiego, Łepkowskiego, Kraszewskiego, Libelta i innych. Biblioteka Warszawska i inne dzienniki podawały wiadomości i sprawozdania z prac archeologicznych w naszym kraju. Pragnąc choć w części przyjść w pomoc badaczom naukowym, zajmuję się poszukiwaniami tego rodzaju, i w tym celu od roku 1868 do 1872 zwiedzałem okolice Litwy i Polski, a co się dało zebrać, przynoszę do wspólnej skarbicy.

Między zabytkami przedhistorycznymi części Litwy w Grodzieńskiej i Mińskiej gubernii, za najdawniejsze uważam okopiska przez lud nasz *horodyszczami* zwane. Pan H. Le Hon w dziele *L'homme fossile*, opisuje takowe w Belgii pod nazwiskiem *camps retranchés*, i do epoki kamiennej *neolitycznej* zalicza.

Okopiska *Czurzyłowskie* w 1871 r. opisane, i *Mereczowskie*, wzmacniają mię w przekonaniu, iż przed wprowadzeniem jakiegobądź kruszcu, sypane, a więc do epoki kamiennej i to do najpierwotniejszej archeolitycznej naszego kraju należą.

Dwa są sposoby zapatrywania się na epoki archeologiczne przedhistoryczne: 1-szy ogólny (*absolu*) zastosowany do świata całego, sięgający po za historią ogólną, i do tego najwięcej postrzeżenia geologiczne są potrzebne, opierające się głównie na wynajdywanych w pokładach przedpotopowych szczątkach człowieka, lub broni przez niego wyrabianej; 2-gi zaś szczegółowy (*relatif*) miejscowy, zastosowany do każdego kraju w szczególności, opisuje zabytki znalezione w okolicach wcześniej lub później przez ród ludzki zamieszkałych, i tworzy epoki podług stopnia cywilizacji tych mieszkańców.

Kraj Litewski, płaski, uważano za najpóźniej w Europie zaludniony; ludzie pierwsi zapewne przybyli z Azji, postępowali po nad morzem Czarnem, rzekami i górami, gdzie w jaskiniach się kryli lub na wodzie mieszkania budowali.

Czy podczas przedpotopowego osuszenia lądu razem z Mamutem, jaskiniowym niedźwiedziem i innymi zaginionymi zwierzętami, żył też i człowiek na naszej ziemi? tego dotychczas niedowiedziano ani też zaprzeczono. W górach Karpackich i w jaskiniach podgórnych np. Ojcowskich, w wielkiej liczbie znalezione kości niedźwiedzia jaskiniowego (*Spelaeus*), i innych zwierząt przedpotopowych, jako też i niezaprzeczone dowody bytności tam człowieka, troglodyta, pozwalają nam wnioskować, iż ta część kraju daleko wcześniej przez ludzi zamieszkała i po za górami migracja ludzka z Azji, Europę północną zalała.

Pierwsi więc mieszkańcy naszych płaszczyn nie mając jaskiń, tworzyć musieli sztuczne schronienia w jamach, lub okopywali wzgórze, służące im zarazem jako miejsce zebrania

i dla zabezpieczenia się od napaści nieprzyjaciela i zwierząt, gdzie były jeziora, budowali zapewne mieszkania na palach, gdzie zaś jezior i rzek nie było, wybierali wzgórza najmniej dostępne, i tam się okopywali, znosząc kamienie, kopiąc jamy dla urządzenia lepianek podobnych do naszych terażniejszych *kureników*, przemennie w 1871 roku opisanych (1).

Do téj liczby najdawniejszych śladów człowieka w kraju litewskim zaliczam okopisko. *Mereczowskie*, położone w Słonimskim powiecie gubernii Grodzieńskiej, pamiętne téż miejscem urodzeniem i domem T. Kościuszki.

Wzgórza najwyższe w okolicy w połączeniu z mniejszemi, tworzą poniekąd grzbiet kraju: z jednéj strony od zachodu na wschód-północ rzeczka *Hrywda*, płynąc kręto, wpada do *Szczary* i *Niemnem* do morza Bałtyckiego; z przeciwnéj strony strumyki wpadają do *Jesiołdy*, a przez *Pinę*, *Prypec* i *Dniepr* do morza Czarnego.

Uważając na odległość téj części kraju od jaskiń, pasm gór wyższych i rzek wielkich, wnioskować możemy, iż ci ludzie późniejsi byli od Troglodytów; a że chrześcijaństwo nawet najpóźniej na Litwie wprowadzone było, tę więc epokę chociaż kamienną archeologiczną, jednakże z pierwszą ogólną prahistoryczną porównywać nie możemy. Dotychczas w tych okopiskach nie zdarzyło mi się napotkać najmniejszego śladu metalu, uważam więc naszych mieszkańców przedhistorycznych Mereczowskich za należących do najpięrszój epoki kamiennéj archeolitycznéj, ale tylko naszego kraju płaskiego litewskiego.

Szukajmy więc śladów ich umiejętności w robieniu tych schronień, naczyń do użytku służących, i broni kamiennéj lub kościanéj. Sposób np. odbijania i łupania krzemienia dowo-

(1) Waw. Surowiecki Rocznik lit. tow. 17. r. 1824 „Śledzenie początków Słowiańskich narodów“ cytując Jornandes'a tak się wyraża na str. 215. Zachodni Słowianie nie znają żelaza przy końcu VI wieku: str. 328 Jornandes. Miejsca zakryte lasem, otoczone bagnami, niedostępne, przycém obwarowane zasiwkami i okopem, były u dawnych narodów pospolicie obierane, tak do zabezpieczenia w potrzebie majątków, jako téż i obrony.

Str. 332. W przypadkach najśoia nieprzyjaciela, Słowianie mieli zwyyczaj zagrzebywać wszelką żywność w ziemi, a żony, dzieci i starców odsyłali do grodów czyli zamków, do lasów i miejsc bezpiecznych.

dzi, iż nie znali jeszcze kierunku odłamu tegoż kamienia, (le clivage la cassure), a każdą jak najniezgrabniej odbitą część krzemienia starali się zużytkować. Nucleusy, czyli środki krzemieni, od których odłamki odbijano, często się znajdują, ale nie paralelne odbitki, a z góry w bok lewy lub prawy: ztąd ostrza bardzo grube z jednéj strony i niekształtne. W Skandynawii, w Ojcowie i innych krajach trójkątne niezgrabne ostrza bardzo są rzadkie, a jako do osadzenia w dzidę lub strzałę trudniejsze, prawie nieużywane.

Przystępuję do opisanja szczegółowego okopiska :

Plan przez jeometrę miejscowego zrysowany, łaskawie mi udzielony przez dziedzica dóbr Kosów i zamku Mereczowskiego Wandalina Pusłowskiego. Jak wysoko te góry nad morzem położone, tego nie mogłem się dowiedzieć; okopany jest z trzech stron, od północy, wschodu i południa. Od rowu czyli fossy do szczytu wału trzy metry i pół po linii a—b 31,640 po linii c—d, 51,264 kopiąc na pół metra głębokości przy lit. E. natrafiłszy na ognisko bardzo wielkie, spodem były kamienie starannie ułożone, przepalone, czerepy od naczyń z gliny dobrze wyrobionéj, zapewne od ręki lepionych; były też i kawałki naczyń bardzo niekształtnych, podobne do kawałków gliny przepalonej i odkrytej na okopisku Czuryłowskiem, opisanem w roku zeszłym w Bibliotece Warszawskiej w zeszytcie na miesiąc październik.

Od tego ogniska w kierunku południowym po nad wałem w głębokości od $\frac{1}{2}$ do 1 metra, znaleźliśmy bruk ze średnich kamieni ułożony na dwa łokcie szeroki, ten się ciągnie wzdłuż wału, przerwany w kilku miejscach ogniskami, wznoszącymi się po nad brukiem, i przy tych ogniskach najczęściej odkrywamy narzędzia krzemienne, kości, zęby trzonowe wołu lub żubra, kieł górny dzika i zęby przednie świni lub też dzika. Dalej idąc przy lit. e. bruk się kończy, i znów go znajdujemy w punkcie f. do g., gdzie nad nim jedno z największych ognisk: tam znalazłem prześliczne ostrze od grotu kościane, skamieniałe, i wiele innych narzędzi krzemiennych zużytych.

Na okopie nie znaleźliśmy kości ludzkich.

Z przeciwnéj strony pałacu o 26 metrów na wzgórzcu piaszczystém, zarosłém kilkuset-letniemi sosnami, jest cmentarz pogański, kilkanaście ogromnych kamieni sztorcem po-

stawionych w pewnej odległości jeden od drugiego. Jeden z tych głazów granitowych podnieść kazałem i pod nim znalazłem mniejsze kamienie starannie ułożone, pod nimi szkielet ludzki od zachodu na wschód w drewnianej skrzyni lub na desce położony, (szczątki tylko spróchniałe drzewa zostały), u nóg szkieletu leżały węgle, czerep od naczynia glinianego i nóż żelazny z trzonkiem drewnianym, téż spróchniałym.

Ten więc człowiek podczas epoki naszej żelaznej, przed samem zapewne wprowadzeniem chrześcijaństwa, był pochowany; to odkrycie wzmiankuje, chociaż niema żadnego związku z naszym okopiskiem. Kości były zdrowe zupełnie, czaszka zmierzona miała długości 19 cent., szerokości 15 cent. a więc składu głowy *dolicocephalicznego*: wklęsłość nie wielka nad oczami, czoła okrągłego, szczeka dolna niewystająca, zęby przednie nie starte, w dobrym stanie, jeden przedni odbity; był to człowiek w sile wieku, wnosząc po zębach i czaszce.

Mamy więc ślady z dwóch epok ludzi w naszym kraju, na témże samem miejscu zamieszkujących. Piérwsi na okopisku długo przebywali i oprócz narzędzi kamiennych i kościennych, innych nie znali, a kości tych ludzi dotychczas nigdzieśmy nie znaleźli. Tymczasem późniejsi mając narzędzia żelazne, starannie grzebali swoich umarłych, kładąc ich między deski drewniane, pozostawiając pokarm i narzędzie u nóg umarłego, co dowodzi poniekąd o wierze w życie przyszłe zmartwychwstania, a po części i w nieśmiertelność duszy.

Musimy się zastanowić jednakże, iż między temi dwoma epokami była pośrednia, tak nazwana bronzowa, podczas której umarłych palono i w urnach prochy ich składano: ta epoka musiała trwać dość długo, i o téj w okolicach Merezowczyny nic nie wiemy; czy tenże sam naród przebywał podczas epoki kamiennéj i żelaznéj? Głowa ludzka z téj ostatniej epoki dowodzi dostatecznie, iż ten naród należał do rasy Indoeuropejskiej; kształtu głowy podługowatej, kości policzkowe miał niewydatne, jedném słowem, w niczem się nie różnił od dotychczas kraj nasz zamieszkującego (1).

(1) Podczas téj epoki przebywał na tém miejscu naród słowiański, Drewlanie zapewne, chociaż nazwisko jednéj wsi o dwie mile położonéj, Jantwiezie, przypomina zaginiony naród Jadźwingów, należących do Celtyckiego

Oprócz tego pięć kurhanów w lesie *Kosowskim* pojedynczo stojących rozkopaliśmy, nic w nich nie znalazłszy; były to zapewne kopce ubikacyjne, wskazujące pewien kierunek wędrującym narodom.

Broń kamienna i narzędzia na Litwie z znalezione należą do dwóch epok: najpierwszej archeolitycznej, i (śmiał się tak wyrazić) do młotkowej, szlifowanego kamienia. Ta ostatnia przetrwała do historycznych czasów, albowiem wzmiankowaną jest w walkach Litwinów z Krzyżakami. Ilość tych młotków, klinów jest nadzwyczajna, w każdym prawie domu się znajdują. Wykuwano je z serpentyny, dyorytu, granitu etc. i z krzemienia szarego i czarnego na Litwie; białe zaś krzemienne, misternego i delikatnego wyrobu, sądzę iż sprowadzano z daleka, albowiem biały krzemień w większych bryłach u nas się nie znajduje.

We Włoszech przeciwnie, epoka kamienia szlifowanego neolityczna, trwała bardzo krótko, i zastąpioną została przez metal: dowodem tego bardzo mała liczba siékiei, młotków, i klinów. Zwiedziłem prawie wszystkie zbiory publiczne i prywatne w Bononii, Florencyi, Turynie, Rzymie, Neapolu, Messynie, Syrakuzie, Palermo i kilkanaście tylko naliczyłem. W naszym kraju zdaje mi się, używano kamienia razem z metalem; niektóre otwory w młotach tak są zgrabnie wiercone, iż z trudnością przypuścić można, aby je za pomocą innego kamienia twardszego uskuteczniiano.

Hr. Konstanty i Eustachy Tyszkiewiczowie najszczegółowiej opisując archeologiczne zabytki naszego kraju, o żadnym narzędziu z pierwszej epoki kamiennéj nie wzmiankują; dziwném to się wydaje, albowiem w naszym kraju ślady prastare wszystkich szczebli cywilizacyi, istnieć powinny, tylko w kształtach bardzo pierwotnych, nie zawsze zrozumiałych. Podług pana J. Lubock, odłam krzemienny przez rękę ludzką uskuteczniiony jest pierwszą wskazówką do poszukiwań dla archeologa, i dalej mówi: podobny odłam porównać można

zapewne szczepu, pobratymczego Prusakom, Litwinom, Łotyszom, Żmudzi-
nom. Po obu stronach Niemna w Grodzieńskiej gubernii spotykamy naz-
wiska Jatwisk; mogli Jadźwingi śoigani, przez Białostockie, Białowieżę,
i wokolice wsi Jatwiezi zawędrować.

do stopy ludzkiej wypiętnowanej na piasku, i jakby pierwszy raz spostrzeżonej na odludnej wyspie przez Robinsona Crusoe.

W krajach gdzie ślady człowieka przedpotopowego odkryto, narzędzia niekształtne krzemienne nas nie zadziwiają; przeciwnie na naszych płaszczynach, gdzie dopiero poznajemy człowieka po potopie, ten brak umiejętności w wyrobach narzędzi i naczyń do codziennego użytku służących, zastanowienia jest godnym. Starajmy się jednakże tę kwestyę choć po części wytłumaczyć.

Nasi przodkowie przedhistoryczni, jakby zbłąkani wśród puszczy i bagien, zapomnieni, a zabezpieczeni od wschodu i południa Pińskimi i Mozyrskimi błotami, jakby morzem; nie mając żadnej komunikacji i stosunków, z wędrującego, stali się do miejsca przywiązującym się narodem, pasterskim nie przyjmującym żadnych nowości a nawet ulepszeń, i kruszcem prawie nie znał do czasów zupełnie historycznych.

Od północy-wschodu napływ ludów Finsko-uralskich był za słaby, i tylko nad morzem Bałtyckim i nad wielkimi rzekami Dźwinią, Dnieprem, ślad głów okrągłych i płaskich twarzy po sobie zostawił. Craniologia, geologia, mineralogia, chemia, etnografia, stają się niezbędnymi naukami dla archeologa.

J e z i o r o Ś w i t e ż .

W okolicy Nowogrodzkiej, głównym i ważnym przedmiotem jest jezioro Świteż. Lud otoczył je podaniami i legendami, Mickiewicz ożywił je poezją swjej młodości, tworząc z podań ballady.

Dla sprawdzenia podań obrazów poety, a szczególniejsz spodziewając się nad jeziorem odkryć ślady nawodnych mieszkań, udałem się w te sławne bory Płużan, gdzie poeta radzi każdemu z wędrowców, aby się tam zatrzymał i przypatrzył jezioru.

Rzeczywiście widowisko urocze, wiernie przez Mickiewicza przedstawione:

Switeż tam jasne rozprzestrzenia łona,
W wielkiego kształcie obwodu;
Gęstą po bokach puszcza, oczerniona,
A gładka jak szyba lodu.

Ten to kryształowy obszerny obwód, według ludowych podań, pokrywa zatopiony na dnie zamek i miasto.

Tam bowiem przed wiekami, kiedy na bezbronne niewiasty napadł liczny nieprzyjaciel, nieszczęśliwe istoty modlitwą i łzami, chroniąc się przed sromem, wybłagały od niebios śmierć, i w chwili napadu znikły w topieli z zamkiem i miastem. Mieszkańcy wskazują z brzegu bruki starożytnego miasta, i rzeczywiście bruk taki z średniej wielkości kamieni jakby kunsztownie ułożony, rozciąga się z wysokiego brzegu w głąb wody, lecz nie jest to bruk. Jest to wał w trzech miejscach ułożony z kamieni, które woda podmywając, zsypywała foremnie do jeziora.

To jezioro ma obszaru włók 8, morgów 9.—Niegdyś posiadłość Niezabitowskich, dziś tylko po niém pływają i towarzystwem swém miłém uprzyjemniają.

Na dnie przy brzegu znalazłem kilka odłamków krzemiennych, ręką ludzką odbitych i obrobionych, w wodzie zbielałych zupełnie; na wale zaś w małej głębokości czerepy od naczyń bardzo pierwotnych, i téż odłamki krzemienne, ale koloru czarnego przezroczystego.

Miejsca, gdzie ci ludzie z epoki kamiennéj przebywali nie znalazłem, i dla tego nie nazwę téj miejscowości stacyą krzemienną, albowiem nadużywają niektórzy tego wyrażenia, jakoby fabryki narzędzi krzemiennych. Nie dość jest znaleźć kilka lub kilkanaście odłamków krzemiennych nad brzegiem rzeki, jeziora, lub na piasku, aby to miejsce nazwać stacyą krzemienną.

W Danii „Kystfund” znaczy wprawdzie odkrycie, znalezienie nad brzegiem, jednakże to nie dowodzi, że tam tylko obrabiano broń krzemienną.

Podczas epoki kamiennéj przebywali tam ludzie trudniący się rybołóstwem, używali kamieni jako ciężarów do zatapiania sieci, do otwierania ostryg, lub do rozbijania kości.

Kilkadziesiąt podobnych odłamków posiadam w moim zbiorze, mniejszych i większych, pochodzących z Kystfundu Køer Søer na wyspie Seeland, odkrytego.

Stacye krzemienne tylko podczas epoki kamiennéj istnieć mogły, ponieważ tylko podczas téj epoki broń kamienną robili i odbitki nieużyte pozostawiali na miejscu. Ludzie dzicy osobnych warsztatów nie mieli: gdzie przebywali, naj-

częściej tam broń robili. Rzeki przytém, epoki potopowej i nanosowej, prądem nadzwyczajnym nie tylko z bardzo daleka odłamki krzemienne, ale nawet wielkie kamienie, na bryłach lodu unosiły.

Przy stacy krzemiennój znajdować się powinny, po pierwsze: albo ogniska, węgle, kości zwierzęce łupane, albo czerepy od naczyń do użytku służących, a nie popielnice z kośćcami palonemi lub łzawnice, oznaki pewne epoki bronzowej i żelaznej, podczas której umarłych palono. Potwóre: Nucleusy, czyli jądra krzemienne w liczbie dość znacznej znalezione, świadczą z jakiego materyału broń robiono. Po trzecie, trzeba wiedzieć i opisać, czy w okolicy krzemienie dość licznie się znajdują i jakiego gatunku, aby materyału do tego wyrobu dostarczyć.

Na te wszystkie szczegóły powinniśmy zważać i dopiero nazwać stacyą krzemienną miejscowość, gdzie bez tych warunków, przypadkowo i podczas rozmaitych epok, odłamki krzemienne wodą lub inaczej przyniesione być mogły.

Opisanie tablic i rycin.

Tab. I.

Gruntrys okopiska Mereczowskiego z oznaczeniem ognisk — bruku.

Przecięcie od *a* do *b* 31,680 metrów.

„ od *c* do *d* 51,264 metrów.

Tab. II.

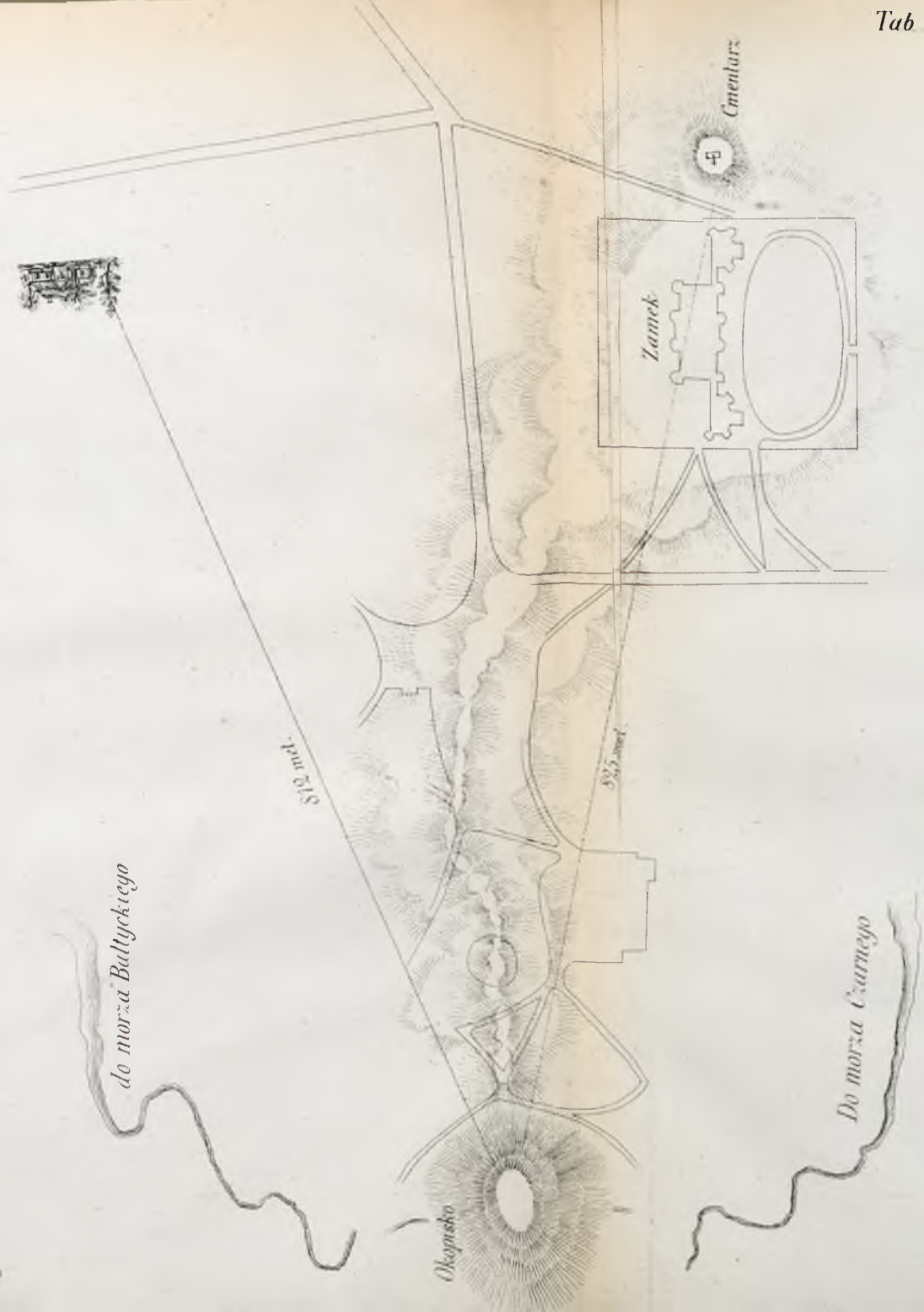
Odległość okopiska od cmentarza pogańskiego 825 met.

„ 812 met. od domu Kościuszki na płaszczyźnie.

„ 601 met. od pałacu Mereczowskiego na górze.

Pasma wzgórzów. Z jednej strony rzeki płyną do Bałtyckiego, z drugiej do Czarnego morza.





do morza Bałtyckiego

Szt. m. f.

53,5 m. f.

Zamek

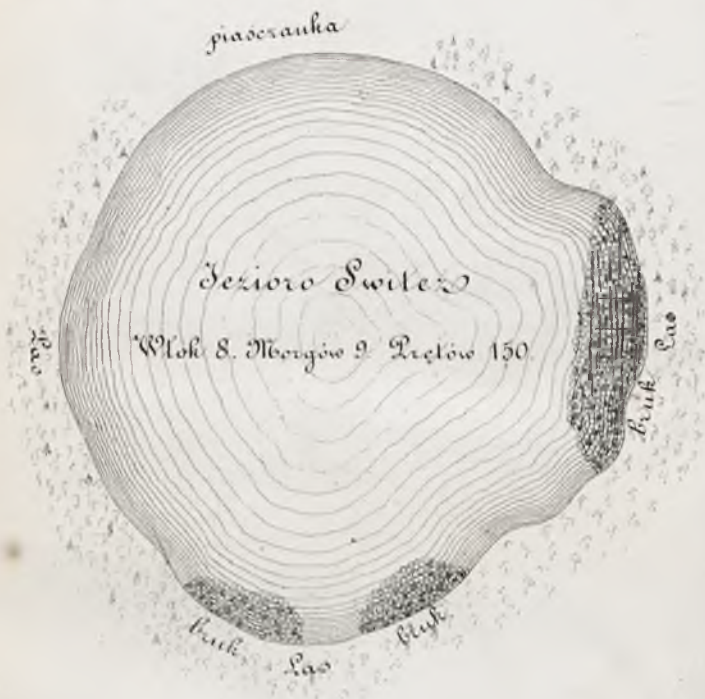
Cmentarz

Okopisko

Do morza Czarnego









Tab. III.

- No. 1 i 2. Nucleusy od których z góry w bok odłamki odbijano niekształtne.
- No. 3. Nucleus podobny do znalezionego w Ojcowie; umiejętniej odbijano odłamki.
- No. 4, 5, 6. Ostrza od grot czyli lanc niekształtne i na tablicy IV i V N-ra 4, 5, 6.
- No. 7^a 7^b. Ostrza od grotu z późniejszej epoki, płasko zaokrąglone, z dwóch płaskich stron grzbiet w kant obrobione, z krzemienia ciemno białego.
- No. 8. Ostrze płaskie stożkowate z kilku stron obijane.

Tab. IV.

- No. 9. Narzędzia łyżkowate podobne do znalezionych w Kystfund, duńskim Køer Søer; drugie więcej zaokrąglone, w ogniu popękane i Nr. 9 na tablicy V.
- No. 10. Ostrza od strzał małe, dość zgrabne.
- No. 11. Z płaskiego odłamku krzemienia ciemnego haczyk bardzo zgrabny, wewnętrzne ostrze zużyte.
- No. 12. Podobny do No. 11 krzemień zbielały, haczyk odtrącony.
- No. 13. Ostrza niezgrabne od strony drzewca, ostro obrobione dla oprawienia.
- a i b.* No. 14. Ostrze od grotu kościane skamieniałe, bardzo kształtne: w skamieniałości przeważa głównie krzemionka.
- No. 15. Narzędzie od końca zaokrąglone, obrobienie uderzaniem bardzo znaczne, od strony drzewca z dwóch stron zaostrzone.

Tab. V.

- No. 16. Ostrza od grotu, od strony drzewca z płaskiej strony wklęsłość, dla lepszego wprawienia i oporu w drzewcu.
- No. 17. Ostrze płaskie z kilku stron objajane.

Tab. VI.

- No. 1. Jezioro Switeż otoczone wałem, lit. a – b, c—d, e—f, oznaczają miejsce, gdzie ten wał z kamieni ułożony i gdzie w wodzie rodzaju bruku z opadłych kamieni.
- No. 2. Odłamki krzemienne ręką ludzką odbite; te co w wodzie znalezione zbielały, w wale zaś wykopane koloru czarno przezroczyściego.

PIŚMIENNICTWO

KRAJOWE I ZAGRANICZNE.

Časopis Musea Kralovstvi českeho. W Praze 1872. XLVI ročník svazek první.

Najlepszą ze wszystkich poważniejszych publikacyj czeskich jest *Časopis českého Muzeum*, wychodzący bez przerwy od 1827 roku, najprzód przez lat jedenaście pod redakcją pierwszego historyografa czeskiego Franciszka Palackiego, następnie kolejno pod redakcją P. Szafarzyka (1838—1843), I. Wocela, W. Nebeskeho, i wreszcie I. Emlera. Publikacja ta jak powiadamy, najważniejsze zajmuje miejsce w nowszym piśmiennictwie czeskim, głównie w zakresie dziejów i literatury słowiańskich a wspierana przez najlepszych pisarzy czeskich i nader starannie wydawana, zasługuje na bliższe poznanie. O pierwszym tegorocznym zeszyście chcemy tu słów kilka powiedzieć.

Pierwszy artykuł tegorocznego czasopismu jest: *O proroc-
twach podczas wojny trzydziestoletniej, a głównie o Krystynie Po-
niatowskiej, przyczynek do życiorysu I. A. Komeńskiego. podał Fr.
I. Zubek*. W artykule tym znajdujemy szczegółowy życiorys Krysty-
ny Poniatowskiej. Polka, która na początku XVII wieku (ur. 1620
† 1644), należąc do wyznania braci czeskich, słynęła ze swych
prorocत्व. Te jej przepowiednie zebrane przez Jana Amosa
Komeńskiego, który przez czas jakiś był jej opiekunem i zwolenni-
kiem, kilka razy przezeń wydawane były (1).

W epoce wojny trzydziestoletniej, historia zapisała imiona
kilku mistyków, wieszczbiarzy i wrózek, szcycących się przepo-
wiadaniem bliższej lub dalszej przyszłości. Między niemi słynęli:
Krzysztof Kotter (1616—1624), Paweł Nagel, który w 1620 roku
wydał z Halli prorocтва na trzy lata następne; Jan z Liptic,
szlachcic szlązki, który przepowiedział na rok 1623 zupełny upadek
Rzymu i papieża, Piotr Humoriades (ok. 1623), Jan Kregel (1625—
1628), Mikołaj Drabik (1643) i wielu innych. Ale największą
wziętość miały prorocтва Krystyny Poniatowskiej, które wraz
z jej życiorysem podaje p. Zubek w wspomnionym artykule.
Że zaś dziwna ta postać polskiej wieszczki zupełnie jest u nas
nieznana (2), w streszczeniu zatem podamy tu kilka o niej wiado-
mości, zaczerpniętych z pracy p. Zubka.

Julian Poniatowski syn Jana z Dusznik szlachcic polski,
mąż wielce pobożny i uczony, biegły przytém filozof, astrolog
i teolog, przyjąwszy wyznanie braci czeskich, został pastorem
ich zboru w Leszczynie w Kujawskim. Tu dworzaniin jakiegoś
pana katolickiego (nazwiska jego nie znamy), przysłanym był
aby zabić Poniatowskiego; pozyskany jednak przezeń, wyjawił mu
niebezpieczeństwo na jakie był narażony, zaniechawszy swojego
zamiaru. Poniatowski tedy opuścił Leszczyn a uciekwszy do Prus,
przez czas jakiś bawił na dworze Fabiana Czemy, starosty Sztumeń-
skiego, następnie do Czech wyjechawszy (1617), został rektorem
braci czeskich i kaznodzieją ich w Bolesławiu. Gdy zaś i tam
prześladować go poczęto, przyjął miejsce bibliotekarza u barona
Karola z Żeretina, u którego też umarł 16 lutego 1628 r., zоста-
wiwszy dużo dzieł treści teologicznej (3).

(1) Ostatecznie wydane zostały przez Komeńskiego pod tytułem:
Lux in tenebris. (Amstalod. 1657). Oprócz prorocत्व Krystyny Poniatow-
skiej znajdują się tu jeszcze przepowiednie Krzysztofa Kottera i Mikołaja
Drabika czy Drabickiego.

(2) Krótką wiadomość o Julianie Poniatowskim i córce jego Kry-
stynie, podał F. M. Sobieszczański w Encyklopedyi Powszechnej, Tom XXI
stronica 311.

(3) Pisma Juliana Poniatowskiego, które się przechowały są nas-
tępne: 1) *Doctrina de vera et reali praesentia Christi (Hannoviae in 8-vo*

Córka jego Krystyna (urodzona 1620 roku w Leszczynie), w dzieciństwie jeszcze w wieku (1627 r.), wziętą była na dwór pani Engelburg z Zollkingu. Wychowana pobożnie, czytywała pisma święte, które silnie wywarły na nią wrażenie, a przejęta fanatycznym mistycyzmem swoich współwyznawców, wierzyć poczęła w nadprzyrodzone zjawiska, i z równą wiarą poczęła miewać jakieś widzenia i przyszłość przepowiadać. Niektóre jęj prorocтва cytuje pan Z. w jęj życiorysie.

W 1628 roku, wraz z Komeniuszem i kilku innymi współwyznawcami swoimi, Krystyna Poniatowska przybyła do Leszna w Wielko-Polsce, gdzie Rafał Leszczyński (1) gościnnie ich przyjął, dając schronienie wyznawcom wiary, o którejj dziad jego tak wyraził się był w 1580 roku. „Miedzy taką wielkością różnych nauk, nie upatrzyłem szerszej, porządniejszej, stalszej, pobożniejszej w przykładzie i w nauce uczciwszej a kościołowi chrześcijańskiemu równęj jako miedzy bracią Confessiey Waldenskiej, która miedzy Czechy przed okrucieństwem a tyraństwem arcy-surowem i ślepym światem tajeła się, jakożem to śmieie za wspomozieniem bożem, nietylko *privatim* ale i *publice* na sejmie opowiadał i na piśmie podawał i w tém się opowiadał, i one być za prawdziwą wolą bożą ku zbawieniu najpotrzebniejszą przyjął, i kaznodzieje z początku tey Confessiey za wierne pasterze swe wziął, i owych słuchać i kościoła tego bożego, świętego, krześciańskiego, powszechnego, członkiem powinnym się być znam, i w wierze pospolitej krześcijańskięj a w tęj nauce żywota mego za pomocą bożą dokonywam. . . .“

Tu więc w Lesznie pod opieką tak gorliwych zwolenników ich wiary, długo przebywa Krystyna Poniatowska, a z nią razem inni jęj współwyznawcy, a miedzy niemi i Jan Komeński, główny jęj opiekun, który w dniu 6 października 1632 roku, na walnem zebraniu starszych braci z Polski i ze Szlązka, wybrany został na miejsce zmarłego Jana Cyrilla, rektorem szkoły i seniorem braci czeskich i morawskich. Do tęj epoki odnoszą się jeszcze niektóre prorocтва Krystyny, zaś od roku 1632, nic już przepowiadać nie chciała, mówiąc iż wysmiewają się z nięj i z jęj przepowiedni, nie przestała jednak stale wierzyć iż wszystko się sprawdzi co pierwęj prorokowała. Współwyznawcy jęj także, a głównie Jan Komeński, przejęty także owoczesnym mistycyzmem,

1620). 2) *Dissertatio theologica de quaestione recens in Misnia a doct. Mathia Hoë contra Wenceslaum baronem á Budowa agitata. An angeli et coelites perfecta deum, in sua essentia qualis est, cognoscant* (Hannoviae 1620). To pismo dedykowane jest Rafałowi Leszczyńskiemu. F. M. Sobieszczański cytuje trzecie jeszcze dzieło Poniatowskiego: *Positiones philosophicae de triplici prudentia ethica, economica et politica* (Jarosław 1624 4-o)

(1) Wojewoda bełzki, który przed śmiercią powrócił na łono kościoła katolickiego.

ślepo jęj wierzyli, i przez czas długi owe prorocstwa Poniatowskięj były powodem zawziętęj polemiki. W 1632 roku wyszła za Daniela Wettera, Morawczyka, zawiadowcę drukarni braci czeskich w Lesznie, i żyła z nim lat 12 zostawiwszy dwóch synów i trzy córki. Umarła w 1644 roku. Jak mówiliśmy, prorocstwa jęj zebrał i wydał J. A. Komeński. Odnosiły się one do wypadków politycznych, lub tęż dotyczyły osób prywatnych. Zwolennicy jęj upatrywali spełnienia się tych prorocstw we wszystkich współczesnych wypadkach i zdarzeniach, tłumacząc je sobie na korzyść proroczych natchnień wieszczbiarki.

Drugi artykuł czeskiego Czasopisma zawiera *Korrespondencyę Fr. Wł. Czepakowskiego* ze szwagrem jego Wacł. Stankiem, z lat 1845—1849, jako dalszy ciąg korespondencyi tegoż poety, drukowanych w zeszytorocznych zeszytach tegoż Czasopisma. Fr. Czepakowski jest jednym z najulubieńszych poetów czeskich, a ogromne zasługi jakie położył dla piśmiennictwa ojczystego, umięją być ocenione, wszelkie zatęm odnajdujące się ślady jego działalności literackięj lub prywatnego nawet życia, skrzętnie i pracowicie są zbierane. W zbiorze tym listów znajdujemy także listy Antoniny Czepakowskieęj do swego brata Stanka. Oprócz wiadomości potocznych i interesów rodzinnych, zawierają one bardzo zajmujące wiadomości o ówczesnym stanie literatury, o wydawnictwach, krytykach i t. p., a wszędzie przebija miłość kraju i gorliwość o zachowanie języka i narodowości. Czepakowski to najbardziej może sympatyczna postać ze świetnego grona literatów czeskich owęj epoki odrodzenia piśmiennictwa ich, i godzien bliższego u nas poznania i ocenienia. Jako poeta, filolog i krytyk ogromne położył on zasługi na polu poezyi i porównawczęj filologii słowiańskięj, jako zaś tłumacz poetów polskich, przyswoił swojemu narodowi duży najcelniejszych naszych utworów poetycznych.

Życie Wiliama Szekspira przez J. Malego, które dalej spotykamy, niczém się nie odznacza. Autor tego artykułu, który tak znakomicie przełożył na czeskie kilka utworów nieśmiertelnego dramaturga, w wydatniejszych rysach mógł skroślić stanowisko Szekspira, charakter pism jego, i krytyczną onych choć w krótkości dać ocenę. Tymczasem oprócz suchych faktów, kilku dat, oraz spisu dzieł Szekspira, to, co w najtreściwszym podręczniku dziejów literatury znaleźć możemy, nic tu więcj niema. Więcj za to ciekawęm i pouczającęm jest studyum: *Jan Kocin z Kocimetu jako historyk kościelny przez B. W. Spiessa*. Jest to dokładny i szczególowy rozbiór dwóch historyi kościelnych, tłumaczonych na czeskie przez Jana Kocina w ostatnich latach XVI stólecia.

Równięż wysokieęj wartosci naukowej jest rozprawa *Dra. Józefa Durdika O temperamentach*, poczém wielce zajmujący następuje przegląd literatur słowiańskięj, głównie zaś, chorwackięj. Ze zaś w ogóle piśmiennictwa południowych Słowian są u nas

nieznane, podajemy tu więc kilka o nich wiadomości zebranych w owym przeglądzie.

Akademia południowo słowiańska w Zagrzebiu, w ciągu 1871 roku, z wielkiem powodzeniem dalej prowadziła swe prace naukowe. We wszystkich prawie gałęziach nauk, wchodzących w jej zakres, znaczny zrobiono postęp; tém zaś więcej zasługuje on na pochwałę, iż nieurządzone stosunki społeczne i polityczne bynajmniej nie sprzyjają takiemu rozwojowi. W ciągu zeszłego roku, podano Akademii 35 większych i mniejszych prac, przez 22 pisarzy. Jako dalszy ciąg zbioru starych poetów chorwackich, wydano pierwszą część poezyi *Mawra Vetranića Czaweczica* (1482—1576), pod kierunkiem *Dra Vatroslava Jagića* i *Dra J. A. Kaznazića*. Część zaś druga, w której zuajdować się będą życiorysy znakomitych poetów, wkrótce wydaną będzie. Również wyszła z druku: *Historja dramatu dubrownickiego* przez profesora *Armina Pawića*. Oprócz tego następujące dzieła są w druku: *Dra W. Bogiszića* krytyczny przegląd wszelkich źródeł pisanego prawa u południowych Słowian od najdawniejszych do najnowszych czasów; trzeci zeszyt *Ljubicowa*, obejmujący zbiór pism rozmaitych z archiwów weneckich, a dotyczących południowych Słowian, i wreszcie zebrane przez *Dra Fr. Raczki*'ego materiały do historii powstania Piotra Zrinskiego i Franciszka Frankopana przeciwko cesarzowi Leopoldowi I.

Czasopism zaś wydawany przez Akademię w Zagrzebiu (*Rad jugoslavenska akademije znanosti i umjetnosti. Kniiga XIV—XVII u Zagrebiu 1871*) zawiera w swych trzech ostatnich zeszytach:

W dziale historycznym, prezes Akademii, kanonik *Dr. Fr. Raczki* objaśnił bardzo ciekawy a dotąd niewyjaśniony fakt historyczny, a mianowicie przez którego z książąt chorwackich przyjęty został tytuł królewski. *Dr. Raczki* dowodzi na podstawie swych badań, iż *Tomisław* panujący na początku X wieku, pierwszy królem się tytułował, tymczasem dotąd mniemano iż pierwszym królem był dopiero *Drżystaw* żyjący na końcu wieku X (XVII). Nadto tenże sam autor obszerną podał rozprawę o materiałach do żywotów św. Cyrylla i Metoda (XV). Professor *Ljubić* wykazał stosunki między Dubrowczanami i Wenecją podczas protektoratu węgiersko-chorwackiego w Dubrowniku (1358 — 1526) (XVI). Professor *Dr. P. Matković* podał rozprawę o stosunkach handlowych Dubrowczan z nadbrzeżnemi miastami średnich Włoch, zwłaszcza z bogatą i potężną Ankoną, oraz spis starych rękopiśmiennych opisów podróży znajdujących się w różnych księgozbiorach weneckich, przyczem głównie miał na uwadze sprawozdanie o podróżach po krajach południowych Słowian (XV). Zajmujące wreszcie ustępy z jeograficznych opisów Chorwacyi i Sławonii w IX wieku podał kandydat professury *M. Brašnić* (XVI).

W dziale filologii słowiańskiej ważne są prace *Fr. Kurelcowa* i *Dra. J. Daniczića*. Ten ostatni podał wyciąg z gramatyki spisanej z 1666 roku przez Chorwata Jerzego Krizanica (1), który ją pisał podczas dwudziestoletniego wygnania swego na Sybir. Krizanić chciał utworzyć jeden wszechsłowiański język, ta jednak tak długa praca jego daremną się pokazała. Do celu swego dojść chciał mieszając formy wszystkich języków i narzeczy, dołączając do nich dodatki własnego wymysłu; najwięcej tu jednak przemaga ruski i chorwacki. W tymże samym zakresie są tu jeszcze prace *Dra. Iwana Ernczića* i *Dra. V. Jagića*. Zwrócono tu uwagę na kilka pism polskich traktujących o filologii, a mianowicie *Kryniskiego*, o nosowych spółgłoskach w językach słowiańskich, polemika *A. Małeckiego* i *Fr. X. Malinowskiego*, o własnościach joty w polszczyźnie i t. d. Dalsze artykuły „*Radu*“ są treści prawnéj, archeologicznój i przyrodniczój. W ogóle jest to publikacja wielce zajmująca i ciekawa.

Inny znów Czasopism wydawany przez tęż Akademię (*Starine, Na swiet izdaje jugoslavenska akademiju znanosti i umiēnosti Knjiga III-a Zagrebu 1871*), zawiera także kilka ważnych rozpraw filologiczno-historycznych.

Ostatni wreszcie dział „Czasopisma Czeskiego Muzeum“ obejmuje przeglądy najnowszych dzieł czeskich, oraz sprawozdania z Muzeum.

Zawadyńczo, 2 lipca. 1872 r.

K. P.

Opis historyczny rzymsko-katolickiego kościoła Świętj Katarzyny w S-t Petersburgu, od roku 1763 do 1872. Ułożył i wydał Stanisław Józef Siennicki, honorowy korrespondent Cesarzkiej Publicznej Biblioteki w Petersburgu. Drugie wydanie z 5-ma rycinami, Warszawa. W drukarni Okręgu Naukowego Warszawskiego. Nakładem autora, 1872 (w 4-ce str. 54.)

Z powodu stuletniej rocznicy w dniu 16 lipca 1863 roku założenia w stolicy Rossyi, kościoła *Świętj Katarzyny*, autor postanowił wydać opis historyczny téj świątyni, największej ze czterech kościołów katolickich, znajdujących się w Petersburgu. Zamieszkały w tym grodzie, z zebranych na miejscu materiałów ułożył monografią, którą ogłosił drukiem przy końcu 1863 roku w Lipsku tamtejszy wydawca i księgarz Wolfgang Gerhard.

(1). Grammatyka ta już w 1859 roku drukowaną była w Moskwie.

Wydanie to wyczerpane wkrótce zostało z obiegu handlu księgarskiego, co spowodowało autora, gdy zebrał jeszcze niemało nowych szczegółów, do ogłoszenia drugiej edycji. Zdobią je następne ryciny, artystycznie wykonane w zakładzie W. Walkiewiczza: 1) Widok zewnętrzny kościoła *Świętej Katarzyny*, wraz z poblizszymi budowlami, 2) Wnętrze tegoż kościoła, 3) Kamień pamiątkowy konsekracyi jego. 4) Grobowiec króla Stanisława Augusta. 5) Kaplica Zwiastowania Najświętszej Maryi Panny. Z tej monografii dowiadujemy się, że w roku 1763 położono pierwszy węgielny kamień, a ukończony w roku 1784 pod kierunkiem bndowniczego Minciachi.

Z pamiątek historycznych wspomnieć musimy o grobie Stanisława Augusta: nie dochodząc drzwi wiodących do zakrystyi, przy kratkach żelaznych otaczających ołtarz, w podłodze wmurowany jest kamień, pod którym złożone zostały zwłoki jego.

„W roku 1860 (pisze autor) kiedy kopijowałem napis znajdujący się na kamieniu, już wtedy z trudnością przychodziło mi wyczytać słowa na nim wyryte, gdyż jak z jednej strony część liter przez czas i chodzenie po nim została zatarta, tak z drugiej brak światła dziennego w tém miejscu, utrudniał bardzo zdjęcie rysunku.“ Napis w łacińskim języku objaśnia że: „*Serenissimus Magnus Dominus Stanislaus Augustus, Rex Poloniae, Princeps Poniatowski*; zmarły 12 lutego 1798 roku, tu spoczywa. W tymże samym grobie złożono szczątki króla Stanisława Leszczyńskiego. O nich czytamy:

„Kiedy znane całemu światu zaburzenia biorące początek we Francyi w roku 1789, wyrzuciły pośmiertne szczątki Stanisława Leszczyńskiego z kościoła w *Nancy*; wtedy wracający z wypraw włoskich jego ziomkowie, sprawili mu wspaniałe nabożeństwo żałobne, i zebrawszy rozrzucone kości, powtórnie pod wielkim ołtarzem pochowali. I. H. Dąbrowski i Sokolnicki, część nogi i szczęki, w oddzielnych małych trzech trumienkach mających wiele podobieństwa do zwyczajnych pudełek podłużnych, przywieźli do kraju. Pierwszy z nich wszystkie zbiory z rękopismami, księgami, starożytnościami i trofeami zagranicą, zebranymi ofiarował b. Towarzystwu Przyjaciół Nauk; tego biblioteka przeniesioną potem była do publicznego księgozbioru petersburskiego, W zabytkach tego muzeum raczėj, niż biblioteki, znalazły się i szczątki kości, o których archeologiczném pochodzeniu nikt zawyrokować nie mógł dlatego, że nie były żadnym opatrzone dowodem. Wszczęły się polemiki naukowe w *Gazecie Codziennėj*, 1857 roku pomiędzy starożytnikami Hr. Tyszkiewiczem i Aleksandrem Przedzickim. Stańęło na tém, że te szczątki przechowane są kośćmi krótko panującego króla Leszczyńskiego.

„Ponieważ trumienki wspomniane, były już w Petersburgu od lat przeszło dwudziestu, przeto po należytém zdeterminowaniu złożono je w grobie króla Stanisława Augusta. Tak dwóch niegdyś władców, jednych-że imion i podobnych losów, znaleźli się po wielu latach obok siebie.“

Następuje opis ołtarzy i obrazów, i znów spotykamy się z pamiętką historyczną. Zaraz przy wejściu do kościoła z prawej strony, w ścianie na dole pod wielkim oknem, między dwoma filarami, wmurowana jest biała, marmurowa tablica oblamowana czarnym marmurem, otoczona żelaznemi kratami. Na płycie marmurowej wyryte słowa:

*„Moreau né a Morlaix le 11 Août 1763,
Mort a Lauen le 2 septembre 1813.”*

Jestto grobowiec słynnego generała Jana Wiktora Moreau, który na polu bitwy poległ, opuściwszy ojczyste sztandary.

Daliej podaje nam autor wiadomość: że w roku 1863 w parafii Świętej Katarzyny znajdowało się katolików 24,172, w parafii Ś-go Stanisława 5,100; a w dekanacie petersburgskim 50,000, oraz duchowieństwie przy pomienionym kościele, wreszcie poświęca obszerny ustęp wspomnieniu Ś-go Jacka Polaka zakonu Św. Dominika, który zakon zarządzał pomienioną świątynią: rzecz streszczona z *Żywotów świętych* Piotra Skargi, a niemająca związku z przedmiotem, i zamyka pracę swoją: „Wspomnieniem uroczystości i ceremonii, które się odbywały w kościele S-tój Katarzyny.”

Wydanie téj monografii nader ozdobne i staranne pod względem typograficznym.

Wł.

Mitologia słowiańska w zarysie, przez Edmunda Saturnina Gergowicza, nauczyciela przy szkole wyższo-ludowej w Busku (w Galicyi), Lwów. Z drukarni krajowej M. F. Poremby, (w 12-ce str. 59).

„Mitologia słowiańska, (pisze autor we wstępie) przedmiot tyle ciekawy i niejedno wyświecający, tak ważna część dziejów ojczystych, nie znalazła dotąd wdzięcznego dla się pisarza, który-by ją w rzetelném a jasném oddał światłu. Niéma wprawdzie książki o dziejach naszych opiewającej, gdzieby mowy o niej nie było: tu i owdzie w peryodycznych pismach czasowych podnoszą się dość liczne głosy uczonych, ale są to tylko obrazy w pierwszych rzucone konturach, treściwe poglądy, rozprawy małych rozmiarów.

„Dlatego oddawna nosiłem się z myślą przyczynienia się ile możności do ułożenia dziełka, któreby publiczności czytającej, a mianowicie uczącej się młodzi polskiej tak ważny jak mitologia, przedmiot w prawdziwym i szerszym nieco dało obrazie, a zachęcony słowy kolegów, przyjaciół i ludzi „dobrej woli,” podjąłem się pracy, którą po zwalczeniu nie jednych trudności za pomocą Boga, szczęśliwie do skutku przywiodłem.“

Piękny zaiste zamiar, i jak widzimy w ciągu całego dziełka, szlachetny nie opuszcza naszego autora zapak; zobaczymy czy spełnił go odpowiednio swemu przyrzeczeniu, że „przedmiot ten w prawdziwym i nieco szerszym obrazie“ podaje.

Do skromnej swęj pracy (jak wyraża) z dzieł badaczy już naszego okresu z wyjątkiem Naruszewicza, czerpał, a głównie téż z dzieła *Ignacego Hanusza Czecha* (wydanego w roku 1842) po niemiecku p. n. „*Die Wissenschaft des Slavischen Mythus*,” a mające na celu wyjaśnienie mitologii Słowian, starych Prusaków i Litwy: lubo krytyka poważna ma wiele mu do zarzucenia.

Dla chcącego zbadać ten przedmiot gruntownie, nie braknie materiału, i to z owych wieków, kiedy na ziemi naszej jak i na całej Słowiańszczyźnie nigdzie znamie krzyża nie było znane, a bałwochwalstwo w całym swoim rozwoju kwitnęło. Zaczawszy od *Prokopa* z VI wieku, a skończywszy na *Helmoldzie* z XII i żywotopisarzu *Świętego Ottona* z XIII, przez ciąg tych stuleci, mamy podania o Słowianach rzucające niemałe światło na tak odległe czasy. Umiejętnie zebrał je Karol Szajnocha i przedstawił zarysy o ogólnym charakterze, o życiu społeczném, o pożyciu domowém, o sposobie walczenia z nieprzyjacielem, i o religii Słowian, w IV Tomie Szkieców (1).

Z tych źródeł, może umięjętny badacz dać nam obraz we wszystkich tych zmianach najbliższy prawdy, wsparty świadectwami naocznych świadków. Co zaś długie wieki przetrwało, i chociaż bladym cieniem przypomina związek z dołą przedchrześcijańską, lud nam wypowie, to swoją tradycją w formie klechdy, czasem pieśni, to zwyczajem i obrzędem troskliwie pielęgnowanym, lub uporczywie przechowywanym. Wiele zabytków z pojęć bałwochwalczych, przystraja dotąd fantazyę ludową, wiele zachował w swoich przysłowiacz, przypowiaczkach i wyrażeniach mowy; słowem dawna mitologia, rozbita nowemi wyobrażeniami chrześcijańskimi, albo się pod jej szaty ukryła, albo téż bez żadnej osłony wyłania, chociaż ze zmienioném obliczem. Dlatego głęboki nasz myśliciel Hugo Kołłątaj, nie daremnie na początku naszego stulecia zwracał uwagę na niezbędną potrzebę badania życia ludowego, we wszystkich jego objawach, tak w chacie, jak na polu, przy urodzinach, weselach i pogrzebach, przy obchodach miejskich, zabawach, zarówno na pieśni, podania i powiastki jakie krążą w żywém słowie tradycyi.

Przez pół wieku z górą, prace i usiłowania pojedynczych jednostek, już nagromadziły zamożny skarbiec wiadomości; w tym właśnie kierunku i dziś rozważny badacz, to co się dotąd przechowało, porównywając z pierwotnemi źródłami, jakie mamy z doby pogaństwa, potrafi pewną całość mitologii słowiańskiej przedstawić.

(1) Szkice historyczne. Lwów 1869, Tom IV.

Aut. określa znaczenie *mitu*, który niesie na sobie znamiona ducha ludzkiego, co się z głębokiego snu obudził. Następnie mówiąc wogóle o Słowianach wylicza ich plemiona i krótko ich dzieje; opisuje ich charakter i bada istotę słowiańskich mitów, dalej podaje źródła do ich poznania, ale w spisie tym, nie rozumiemy pomieszczenia Herbarza Wacława Potockiego wierszem, gdy pominął starszego Bartosza Paprockiego, i Historji literatury polskiej Bentkowskiego, gdy pominął *Prawdę Ruską* I. B. Rakowieckiego, w której ten rozważny badacz dał nam w tym przedmiocie bardzo bogaty materiał, z którego następni pełną dłońią czerpali, nie wymieniając nawet źródła. Nie pojmujemy także pomieszczenia *Kroniki polskiej Prokosza*, wydanie 1825 roku, żadnej wartości nie mającej. Z dawnych zaś kronikarzy jeden tylko po Długoszu Strykowski, co wart głębszych studyów, bo pierwszy ze wszystkich, zbliżony do ludu, co widział sam w czém uczestniczył, wiernie opisuje i podaje.

Zwróciwszy uwagę że pierwotny początek *mitów* słowiańbierze swoją osnowę w Indji, przechodzi w rozdziale III do świąt uroczystych.

Zaczyna od *koledy* czyli świąt Bożego Narodzenia, i mówi że wtedy obnoszono *malowanego* wilka. Nie wiemy z kąd autor poczerpnął tę wiadomość, bo rzecz znana zwyczajem dotąd przechowywanym i przysłowiami ludowemi stwierdzona, że obnoszono skórę z zabitego wilka, albo też pochwycone młode wilczęta.

Co autor pisze o *Turzycach i Letnicach*, co o *Smiguscie*, pomijamy; nie są one należyte określone, ale zatrzymamy się przy opisie *Sobótki*. Obchód ten już dokładnie znany, jakkolwiek coraz więcej niknie, ale p. Gergowicz nagromadził tu tyle błędów, że niepodobna pominąć ich milczeniem. Opisywał *Sobótkę* w Krakowie *Ambroży Grabowski*, nie *Michał*; pierwszy dobrze znany jako archeolog, drugi jako estetyk i powieściopisarz. *Michał* Wiszniewski w literaturze swój w tomie pierwszym, nie przytacza *wierszyka*, ale czystą pieśń ludową, śpiewaną przy tym obrzędzie. Z kąd wziął *Łukasz Gołębiowski* bajeczkę o dziewczynie *Sobótce* i że na jej cześć i pamięć, dotąd palą ogniska, nie wiemy: ale już jej dzisiaj nie godziło się powtarzać, z dodatkiem jeszcze: „O tém wspomina Jan z Czarnolasu.“ Zapewniamy autora, że Jan Kochanowski o tém bynajmniej nie wiedział, ale za to zostawił jeden z najpiękniejszych poematów lirycznych *Sobótką*, którą sam obchodził w swoim Czarnolesiu, i drobiazgowo opisał, przechowawszy w nim zajmujące szczegóły tego obrzędu jak się dochował w końcu XVI stulecia.

Dalej autor przystępuje do *mitologii Słowiańsko-Pruskiej*: nie będziemy powtarzali bóstw, jakie wymienia: zwracamy tylko uwagę, że *Perun* był znany zarówno nad Wisłą, jak na całej Rusi, od Prutu i Dniestru, po Dniepr, i w starych ruskich dokumentach, określających granice posiadłości, znajdujemy *Perunowe dęby*.

które z zaciosami na korze, zastępowały miejsce kopców granicznych.

Jak wyobraźnia przedchrześcijańskich przodków naszych łączyła losy ludzkie nie tylko z niebemałymi nawet z jego zjawiskami, przedmiot ten wielce poetyczny, pokazuje jedną z najbujniejszych fantazyj ludowych.

Autor tylko bezładnie miesza z sobą litewskie mity, z polskimi, lubo każde odrębnymi cechami się odznacza. Cześć dla wody, czyli rzek i strumieni, odbija się równie silnie jak cześć dla słońca i ognia. *Dodola* Serbska, niema żadnego związku z naszym *Smigusem* albo *Dyngusem*. Obrzęd serbski ma na celu w czasie posuchy, sprowadzić deszcze ożywe: *smigus*, którego początek niewyjaśniony, przywiązany jest wyłącznie do drugiego dnia świąt Wielkanocy.

O *Rusalkach* i tym podobnych istotach, znajdujemy ledwie napomknienie; a przecież co do pierwszych znalazłby autor wyjaśnienie dokładne i szczegółowe zajmujące, w ważnym dziele A. Nowosielskiego (Marcinkowskiego) „*Lud Ukraiński* (Wilno 1857 dwa tomy) i wskazówkę zarazem naukową, jak w badaniach tego rodzaju postępować należy.

Szereg tych istot nadziemskich jest liczny i dotąd żywo wyobraźnię ludu zajmuje. Seweryn Goszczyński w dwóch swoich poematach: „*Zamek Kaniowski*“ i „*Sobótka*“ zapoznał nas z tym światem zaludnionym tajemniczymi istotami, z dwóch dalekich kończyn, bo z nad Dniepru, i z gór tatrzańskich. Są to rzeczy już znane, ale dla naszego autora widocznie obce, gdy tu nie znajdujemy najmniejszej wzmianki o Goszczyńskim.

Jakie miejsce rozległe w wyobraźni ludu, zajęły drzewa i krzewy, zwierzęta i ptaki, miał autor pomoc nie małą w dziele: „*Zarysy domowe*“ w Tomie drugim (Warszawa 1842 r.) Tam zebrane są z podań pieśni i przysłów wszystkie szczegóły odnoszące się do tych darów natury któremi człowiek rozporządza. Ptaki i zwierzęta, zarówno drzewa, krzewy, kwiaty i zioła które hoduje ziemia nasza, co się zrosły z życiem ludu, czy to rolnika, czy pasterza, czy myśliwca lub bartnika i nieraz oznaczają szczególne godła w jego pojęciach i wyobrażeniu, znalazły obszerne wspomnienia, i z tej pracy wiele *mitów* przedchrześcijańskich wyjaśnienia swego poczerpnąć mogą.

Obszerne pole jest dla badacza w wykazaniu całej bujności fantazyi ludowej, gdy wszystkie dary natury ożywiają, i cały swój świat jaki go otacza napęlnia jej wytworami duchami. Pomimo upływu dziesięciu wieków, pozostały ślady wyraźne pojęć przedchrześcijańskich, o których tak poetycznie myśl swą wypowiedział Zoryan Chodakowski w swęj znakomitej rozprawie „*O Słowian-szczyźnie przedchrześcijańskiej*.“

Co mówi autor o oświacie Słowian, znać że nie zna, ani rozprawy Michała Olszewskiego p. n. „*Oświata Słowian pogańskich*“ (Kraków 1838 r.), ani znakomitej pracy J. I. Kraszewskiego: „*Sztu-*

ka u Słowian“ (Wilno 1860r.) i tego co napisał Alexander Tyszyński (Biblioteka Warszawska) w tym przedmiocie. Co zaś do handlu ich i przemysłu, dokładniejsze wiadomości mamy w I. B. Rakowieckiego dziele „*Prawda ruska.*“ (Warszawa dwa tomy, 1821 roku).

Co do muzyki i śpiewu nie możemy się zgodzić z tém co autor wypowiada w swój rozprawie. Pieśni ludowe Serbów, mają najwyższą wartość poetyczną *słowa*, gdy wcale się nie zalecają melodyą; przeciwnie melodya najpiękniejsza, najbogatsza a tyle rozmaita, kwitnie w całej pełni u ludu polskiego. Ona natchnęła Fryderyka Szopena, który chciwie ją chwycił i wysnuwał z niej genialne swoje utwory.

Studia nad tego ludu muzyką, dobry jej znawca i etnograf *Oskar Kolberg*, podał nam przy swoich zbiorach pieśni, które wydaje p. n. „*Materiały do etnografii słowiańskiej.*“ Pisząc w tym przedmiocie, z tego źródła czerpać należy.

Widzimy z tego, że autor najważniejszych prac objaśniających mitologię słowiańską nie znał, i że swoje wiadomości brał już z drugiej i trzeciej ręki, nieraz przetworzone i błędami napełnione. O tém nas przekonywają cytaty, które porównane ze wskazanemi dziełami, brzmią inaczej gdy się je weźmie do ręki.

Dzieło Hanusza służyło mu za główne źródło, a powtarzamy że przewodnikiem bynajmniej być nie może. Pomimo tak ujemnej strony, z powodu nieznamości bliższych właściwych źródeł, odczytaliśmy pracę p. Gergowicza z niemałą przyjemnością, tak ją bowiem umiał ożywić gorącym słowem płynącym z żywo bijącego serca. Styl płynny, znać staranne pióro i troskliwość o czystość języka. Nie dziwimy się wykazanym usterkom, bo jako nauczyciel wyższo-ludowej szkoły w Busku, nie mógł mieć dzieł wszystkich pod ręką. Dobra to wróżba, gdzie są tacy nauczyciele wiejscy. My szczerze młodego autora (bo chociaż go nie znamy, zapał młodzieńczy przebija niemal na każdej karcie) zachęcamy do dalszej pracy, gdyż umie dobrze pisać, z troskliwością o język ojczysty, co już niemałe zalety stanowi. W zakończeniu są ustępy nawet poetyczne, które warto odczytać.

K. Wł. W.

Rozamunda dramat w 5-ciu aktach Józefa Weilena, przekład S. z Ż. D. *Rozamunda.* Wilno, dr. Teof. Glücksberga, r. 1844.

Z nawału powieści i utworów dramatycznych, drukujących się stale w kilkudziesięciu czasopiśmie warszawskich, wybrać tém trudniej, że strawa ta codzienna zaspakajając chwilową cieka-

wość, przemija bez śladu i niemal bez wieści. W Bibliotece Warszawskiej różnemi czasy dawaliśmy sprawozdanie szczegółowe z literatury dramatycznej i powieściowej zagranicznej, uwydatniając to, co istotnie na uwydatnienie zasługiwało. Pewien obowiązek zapoznawania publiczności z obcemi dziełami tém się staje ważniejszy, im scena krajowa mniej o ten wzgląd dbać przywykła. O autorze niniejszego dramatu, mówiliśmy w naszém piśmie dając sprawozdanie z pięknego jego dramatu p. t. Drahomira. Wtedy już zaznaczyliśmy poważny nastrój i poetyczną pełnię, jaka pisarza tego z pośród licznej rzeszy dzisiejszych jego kolegów wyróżnia. Istotnie, po Gutzkowie nieśmiemy przytaczać Grillparzera jako stojącego odrębnie, i zbyt wysoko Freitaga, który ostatnimi laty przycichł zupełnie, o Hartmanie świeżo zmarłym, o którym publiczność nasza nic prawie nie wie: Józef Weilen wybija się na wierzch płodnością, wszechstronnością przedmiotów, i owém tchnieniem poetycznym, którego najmzoczniejsza i zarazem najkunsztowniejsza forma nigdy nie zastąpi. Wszechstronność wszakże i wybór przedmiotów swobodny, niekrępowany odległością wieków, powoduje czasem zbyt patetyczny nastrój, który wysokości utworu szkodzi, niewywierając tego wrażenia jakie moment sam dramatyczny następuje. Zadanie téż takie, przedstawienia żywo przed oczyma zaginionego już świata w pomroce dalekiej przeszłości, nieznanego dzisiejszym jak tylko zaledwie z jakiegoś suchego wspominku historycznego lub z wątpliwéj baśni ludowéj, niemałe, trudne, i zaledwo genjuszom dostępne. Nie przestaniemy nigdy podziwiać Szekspira, który tak mało znając świat rzymski, tak charakterystycznie umiał go ożywić i uobecnić. Umiał on z jednego przytoczonego słowa wysnuwać ciąg dziejów, z jednéj wzmianki tworzyć całość skończoną, żywą i pełną, suchy fakt przemienić na obraz jaśniejący świetnym blaskiem prawdy, potężnym kolorytem wlewającym głębokie przekonanie, że jest najwierniejszém odbiciem czasów najdalszych. Po przeczytaniu Plutarcha, stworzył tragedję „Antoniusz i Kleopetra“ w której co krok natrafia się na szczegóły malujące ówczesne różnolite społeczeństwo rzymskie, poczynających się Cezarów, ich plany ambitne, ich walki na Wschodzie, tak dzielnie, jak gdyby je spisywał spółcześnie żyjący malarz obyczajów i to malarz pierwszorzędnny.

Odskok przeto od Szekspira do dzisiejszego poety dramatycznego, jest dosyć wielki na nieszczęście i chcąc go mierzyć tą miarą, moglibyśmy być niedosyć surowi. Atoli, jeżeli rzecz obrócisz z téj strony, iż poeta w tło historyczne odległe przenosi idee jakkolwiek *nowoczesne* ale wzniosłe formą, jakkolwiek nie zdolną zastąpić żywego obrazu wieku i to obrazu dramatycznego, ale piękną, wykwiintną w barwnej tkaninie otaczającą myśli głębsze, dosyć obficie tu i owdzie rozsiane: to utwór ten dramatyczny któryby raczej dialogowaniem lirycznym nazwać można, zasługuje z wielu względów na rozpatrzenie jego poważniejsze.

Zanim jednak zajmiemy się nim szczegółowiej, niech nam wolno będzie rozerwać cokolwiek czytelnika książką wyszłą w Wilnie w r. 1844, noszącą szumny nadpis: „Cztery dramata”, między którymi świeci na początku tragedia „Rozamunda“ i to Rozamunda też sama królowna Gepidów, małżonka tegoż samego króla Longobardów Alboina, których i J. Weilen za bohaterów swych obrał. Książkę tę uważamy za *curiosum* ze względu zuchwomości literackiej. Wprawdzie w owych czasach ruch literacki mniej był ogólny, mniej rozbudzony, i obok kilku wybitnych talentów stojących wówczas na początku swej drogi, zresztą ciszej było aniżeli dziś, choć nie powiemy iżby z mniejszą korzyścią dla literatury; wprawdzie książka wtedy zastępując tak dziś rozwielnione czasopisma, liczyła się do zjawisk i była czytana chęciwie, ależ wszędzie i we wszystkim są granice. Autor nacznie nie podający swego nazwiska, zapisał gruby tom, czemś, czemu trudno dać nazwisko. Sam ośmielił się nazwać to „dramatem historycznym.“

W piérwszej zaraz scenie I aktu, w sali w której siedzi Alboin król Longobardów, król Rothalind, Clepho i rycerze, pali *bard* panegiryk na cześć Alboina, zajmujący mniej ani więcej jak 10 zadrukowanych stronnic. Dowiadujemy się z niego, jak niezwygżony Alboin zabił Cunimunda króla Gepidów: „a czaszka jego obdarta służy teraz codziennie, za *puhar wesela* wielkiemu królowi.“ Poczém król spełniając potężnie ze swoim dworem liczne toasty, każe ów puhar wesela napełnić winem i postać Rozamundzie, iżby i ona wypita za pomyślność jego oręża. Cuniberth chce go powstrzymać przekładając zniewagę i boleść, jaką królowa uczuć może tak srogim przypomnieniem śmierci ojca, ale Alboin „pięścią w stół uderzył“ i rozkazał. Królowa wypita. W scenie drugiej: „klęczy na ziemi wyciągnięta, *rękami* wsparta na swém łozu; włos jój rozpuszczony po ramionach pływa, głowa na *rękach* oparta i nie modli się lecz duma gęboko.“

Podajemy umyślnie dosłowne informacye autora, ku rozrywce czytelnika w tój smutnej awanturze. Nie zmienimy nawet rodzaju co do którego autor zaprowadził reformę, zmieniając stanowco męzki na żeński, żeński na nijaki. Otóż królowa w monologu długim na siedm stronnic, tak mniej więcej rozprawia: . . . „Znieważyc mnie w obec wszystkich jak podłą niewolnicę. . . (ciągle dosłowne cytacye). *Poczekaj!* będziesz i ty niebawem z twemi cieszył się przodkami, lecz się będziesz cieszył w grobie; gdyby te ręce stworzone były do dźwignięcia miecza, do wylania krwi, te *piękne ręce!* nie są do tego stworzone. (Śmieje się *gorzko*, przechadza się *namiętnie po izbie*), gdyby jednak *Helmichis*, on mnie tak kocha namiętnie! . . . dobry, słodki, namiętny młodzienc, ale czyż *można* (autor uporczywie obstaje przy: *można*) mu zaufać?“ . . .

I rozpamiętywając czém dla niej jest Alboin, mówi w dalszym ciągu: . . . „on dziki, nieokrzesany *Lombard* . . . jedyną *moją* osłodą była miłość i rozkosz w objęciach *Helmichisa*, lecz nawet

w oddaniu się tym słodkim, tym *niewinnym* uczuciom . . . ile nocy bezsennych! . . . lecz tyś mnie sam teraz z letargu ocucił, to dobrze! leżała *gadżina* spokojnie na murawie uśpiona . . . tyś na nią stąpił niebaczny!" . . . etc. etc.

Dalżej opowiadać nie warto, Alboin opisany jako pijaczysko niedołęzne, którego królowa bez pardonu zabić każe dwom swoim kochankom, i na tém koniec.

Książka podzielona na scen dwanaście, jedna piękniejsza od drugiej, i ma stronnic 274.

Nie pastwilibyśmy się nad jednym z najnędrniejszych utworów, jaki się zdarzy czytać w polskim języku choć ich i dzisiaj nie brak, gdyby nie mimowolna chęć porównania oryginalnej pracy, z bardzo pięknym przekładem rzeczy téjże samej historycznej.

Bo fakt służący za podstawę obydwom dramatom jest istotnie wzięty z dziejów powszechnych, a opisują go tak w kronikach:

. . . „Za cesarzowej Zofii nowy exarch Longinus przypatrywał się bezczynny zdobyciom dzikiego ludu (Longobardów), tak że w krótkim czasie piękny kraj od przejść Alpejskich aż do Rawnenny i Rzym, dostał się w moc ich; Pawia tylko wytrzymała długie oblężenie.

Stopa tych barbarzyńców zdeptała dary natury i pomniki ludzkiej pracy. Okolice opustoszały, miasta się wyludniły, lecz wkrótce ogładzili swoje obyczaje . . . Alboin z czynów i charakteru nieokrzesany barbarzyńiec, ołśnił jednakże spółczesnych bohaterstwem i szczęściem wojenném, ale nienawidzono go dla okrucieństwa dzikich namiętności.

Piękna Rozamunda jego żona a córka króla Gepidów Kuni-munda, którą wbrew wszelkiemu uczuciu zmusił do wypicia toastu z czaszki jój ojca, kazała go przez swych kochanków zamordować (w r. 573). Starszeństwo narodu obrało królem *Klefsa*. Po 18 miesiącach zabił go własny jego sługa." . . .

Takie są dane historyczne, których się wszakże Weilen w swym dramacie wcale nie trzymał. Teorya utrzymujących że poeta ściśle historii trzymać się winien, ma przeciw sobie przykłady Szyllera w *Maryi Stuart*, w *Don Carlosie*, a nawet i w *Walensteinie*, tylko w ogólném tle pilnującego prawdy historycznej i nadto poparcie czytelnika, który w dziele sztuki dba o stronę estetyczną, sąd swój historyczny pragnąc czerpać w rzeczywistych źródłach (1).

Nietroszcząc się przeto o ściśle dane, zapewne autorowi dobrze znajome, zmienił już samą podstawę charakterów, od których koniecznie zawisł tragiczny przebieg dramatu. Alboin bowiem jest u niego nie dzikim barbarzyńcą, pijącym z czaszki zabi-

(1) M. Grabowski utrzymywał: „że piszącemu romans nie należy łączyć sobie rąk krytyką faktów . . . idzie bowiem głównie o wierność w obyczajach wziętej za ramy epoki." . . .

tego przez się wroga, nie zdobywcą naśladowującym Attyłę zmiatającym na czele strasznych gromad, wszystko co mu się w drodze nawinie, ale prawdziwym bohaterem tępiącym wroga z konieczności swego przeznaczenia, podbijającym obce kraje dla sławy i dobra swój ojczyzny, nie pozbawionym szlachetnych uczuć, jakimi się bohaterą według nowoczesnych pojęć, obdarza.

Nieinaczej postąpił autor z Rozamundą, ową niewiastą, która nie przebierając w kochankach, w nieubłaganej zemście każe zabić swego małżonka i pana, przeistacza na szlachetną córę podbitego narodu, płaczącą nad grobem ojczyzny, nad straszliwą śmiercią ojca i brata, ale zarazem rażoną w serce nieznanym jej dotąd piorunem gwałtownego uczucia. Ono wytrąca jej z ręki miecz słusznej zemsty, każe zapomnieć o niezatartej krzywdzie, każe przywołać zdobywcę gdy się chce oddalić dobrowolnie, i oddać mu rękę, oddać mu serce, a wkrótce potem i poświęca się dla niego tęp poświęceniem, do jakiego tylko, zdawałoby się, prawdziwa chrześcianka jest zdolną.

Przeistoczenie takie zasadnicze charakterów, przeistoczyć musiało i fakta same, a w logicznym następstwie odebrać dziełu tragiczność niezaprzeczoną, realną, nie tak łatwo dającą się zastąpić wymysłem fantazyi. W tym właśnie leży błąd pracy Weilena, w tym pewien brak ciągu, naprężenia i akcji dramatycznej, bez której w żaden sposób dzieło dyalogowane najpiękniejszej choćby formy i najpospolitszych myśli pełne, dziełem dramatycznym zwać się nie może. Jedna próba praktyczna na scenie, wnetby o tym przekonała widza, tak jak zapewne przekonała autora. Również historyczność spełnienia toastu z czaszki zabitego ojca Rozamundy, przemienił autor w podanie ludowe Gepidów wymowne, jakoby ten tylko istnym i prawym był ich królem, który puhar przechowywany od wicków jako relikwie, dotknie do ust swoich. Słowem poeta, fakta straszliwej realności, historycznej, nagięj prawdy, malującej charakterystycznie epokę wędrowek zdobywczych narodów, wyidealizował, albo raczej ubrał w szatę idei postępowych, nowych, czyli że się tak śmiem wyrazić: *zmodernizował*. Uchodziło takie przeobrażenie Kornelowi i Rasynowi w formie klasycznej, strojącym cesarów rzymskich w świetne przymioty Ludwika XIV; ale jak nikt w Kornelowskich tragediach nie myśli szukać świata rzymskiego, tak również niechaj nikt w najmniejszym dramacie nie szuka odzwierciedlenia epoki ówczesnej.

Lecz za to prześliczne liryczne ustępy, wykwintne opowiadanie, przechodzące co prawda, czasem w retorstwo, jedność wewnętrzna wiążąca harmonijnie początek z końcem, a nadewszystko wiersz miarowy, bardzo piękny; jedyny, dobrze malujący uczucia i wypadki, zaleca ten utwór z pomiędzy bardzo wielu. A o piękności formy w oryginale, mógł nas przekonać przekład niezwyklej pani S. z Ż. Duchickiej. Trudno o większą swobodę, o głębsze wnikięcie w ducha języka, który ma się przyswoić innej narodowości. Nie znać w przekładzie owego „wyszukania,”

owego gonienia za dosadnością wyrażen; prostota owa pieszcząca melodyjnie ucho, umiejąca odnaleźć klejnoty w kopalni bogatego naszego języka, zachowana wiernie i stale w całym tym utworze. Przekładów tego rodzaju, szczerze życzyć należy naszej literaturze, ubogiej w tłumaczenia, nie mówię już arcydzieł, ale dzieł istotnej wartości. A choćby tylko mieć na oczach scenę warszawską, w której jak rok długi, zaledwie jeden lub dwa przekłady wyborowe lepszych autorów widzieć się daje, to już zasługą zwać się może troskliwość w tym kierunku.

Czytelnicy Bibl. Warsz. znają ten dramat w całości, atoli ośmielę się przypomnieć im wybitniejsze piękności; naprzykład w akcie pierwszym, scena trzecia, słowa Alboina zaczynające się od słów: „Bieluchna, błyszcząca“ . . . albo potężna przestroga Klepha gdy mówi:

Szanuj ludu wiarę,
Depcze pierś ludu, król co nią pomiata;

Daléj na stronnicy 33, słowa Rozamundy: „Jak po dniu bo-leści“ . . . na stronnicy 44 gdy mówi Kleph; cała scena siódma aktu trzeciego między Alboinem i Klephem; scena czwarta aktu piątego słowa Alboina.

L.

O kamieniach Mikończyńskich. Sprawozdanie ś. p. Alexandra hr. Przezdzieckiego, odczytane dnia 13 stycznia 1870 r. na posiedzeniu Komissyi runograficznej delegowanej przez oddział archeologii i sztuk pięknych Towarzystwa Naukowego Krakowskiego. Kraków. W drukarni Uniwersytetu Jagiellońskiego 1872 r. (z dwiema rycinami).

Zabytki pisma runicznego są oddawna celem badań naszych starożytników, dla ich odczytania. Andrzej Kucharski poświęcał nie mało w tym przedmiocie pracy, ale żadne jego odczytanie runów, nie znalazło poparcia przez następnych badaczy, i upadło w obec poważnej krytyki. W zbiorach Towarzystwa Naukowego Krakowskiego oprócz słynnego posągu Światowida (1), wydobytego z mułu rzeki Zbrucza, znajdują się dwa kamienie runiczne, które od miejscowości gdzie odkryte zostały, noszą nazwę *Mikończyńskich*: pierwszy z wizerunkiem bożka *prowego*, wynaleziony

(1) Karol Szajnocha (Szkice historyczne, Tom IV. Lwów 1869 r.) utrzymuje i zasadnie dowodzi, że bożyszcze to zwać się powinno *Światowit* nie *Światowid*, jak go pospolicie mianują.

został w Mikorzynie w ogrodzie dworskim, w jesieni 1855 roku przez Piotra Droszewskiego, drugi przez tegoż, w kilka miesięcy później, bo w sierpniu 1856, z wyobrazeniem konia. Na obudwóch są napisy runiczne. Wieś Mikorzyn leży o milę w kierunku północnym miasta *Kępna*, nad traktem do miasta Grabowa w powiecie Ostrzeszowskim w Wielkiem Kieźtwie Poznańskim. Ma stary modrzewiowy kościół pod opieką S. Idziego, z ślicznym rzeźbionym posągim tegoż świętego. O 400 kroków znaleziono pierwszy kamień, na pochyłości małego pagórka, blisko dwie stopy głęboko w ziemi pod nim była urna i prochy spalonego ciała, oraz grudki kruszców srebra i miedzi; drugi przywieziono na fundamenta, a wzięty został z miedzy ogrodów włościańskich. Rozgłos był wielki z tego odkrycia, ale nikt nie brał się do odczytania tych napisów runami. Zmarły A. Przezdziecki na początku 1869 roku czytał rozprawę swoją, o zabytkach zwanych *bożkami prylwickimi*, które od zeszłego stulecia zajmują uwagę badaczy starożytności. Wtedy podniósł swój głos Dr. Karol Estreicher opowiadając że tak bożki prylwickie jak i kamienie *Mikorzyskie* uważa za podrobione. Z tego powodu oddział delegował do zastanowienia się nad temi sprawami komisyję złożoną z pp. A. Przezdzieckiego, K. Estreichera, Dr. Żebrowskiego i J. Łepkowskiego, przewodnictwo w niej poruczając pierwszemu.

W rok później A. Przezdziecki podjąwszy w tej sprawie pracę, przygotował *Sprawozdanie* o pomienionych kamieniach, które odczytał w dniu 13 stycznia 1870 na posiedzeniu komisji runograficznej. Sprawozdanie to mamy w całości teraz drukiem ogłoszone, wraz z zrobionemi na piśmie zarzutami przeciw ich autentyczności, i opiniami biegłych znawców co do gatunku tych kamieni, ich jednostajności i wykucia na nich tak wizerunków bożka *prowego* jak i konia. Z tych zdanie Dr. T. Żebrowskiego, przemawia przeciw zdaniu K. Estreichera.

Pomimo tak usilnych badań z całą sumiennością podjętych, jak widzimy w tém dziełku, komisya runograficzna stanowczego zdania swego dotąd nie wyrzekła. Tymczasem śmierć A. Przezdzieckiego dnia 26 grudnia 1871 roku, przerwała dalszy wątek obrad jej, a co główna, jeśli nie umożliwiła, to odwlekła śledzenie i badanie, do których podróż do Mikorzyna jest konieczna. Dopiero 20 kwietnia r. b. oddział Archeologii i Sztuk pięknych, na obytem posiedzeniu uchwalił poszukiwania w tym kierunku dalej prowadzić, oddając przewodnictwo w komisji runograficznej profesorowi Łepkowskiemu.

Obecnie Towarzystwo Naukowe Krakowskie przeobraza się na Akademię Umiejętności, czy rozpoczęte badania tak staranne, w wyjaśnieniu autentyczności tak ważnych zabytków, jakimi są kamienie Mikorzyskie, dalej prowadzić będzie, nie daleka przyszłość okaże. Oby zgon naszego badacza, nie był ostatnim kresem tych usiłowań, które gdyby dowiodły ich prawdziwości, nie

małoby światła rzuciły na okres przedchrześcijański i mitologię słowiańsko-polską.

Wł.

Lud. Jego zwyczaje, sposób życia, mowa, podania, przysłowia, obrzędy, gusta, zabawy, pieśni, muzyka i tance, przedstawił **Oskar Kolberg** Członek Towarzystw Naukowych w Paryżu, w Petersburgu, Krakowie i Muzycznego we Lwowie. Serya V. Z rycinami i drzeworytami wedle rysunku W. Gersona, Tadeusza Konopki, i fotografii Rzewuskiego. **Krakowskie.** Część pierwsza, wydana z pomocą funduszu księcia Jerzego Romana Lubomirskiego, pod zarządkiem Towarzystwa Naukowego Krakowskiego. Kraków. W drukarni Uniwersytetu Jagiellońskiego 1871 r. (w 8-ce str. VIII, 384).

Wesela włościan z okolic Sobkowa i Chmielnika, przez **Wł.** (dysława) **Siar** (kowskiego). Kielce, drukiem Edwarda Kolańskiego (w 8-ce str. 15).

W roku 1869, w piśmie naszym (*Biblioteka Warszawska* Tom I. str. 134) złożyliśmy obszerne sprawozdanie o etnograficznych pracach Oskara Kolberga, oraz jakie stanowisko wyniosłe zajmuje w gronie wszystkich zbieraczy pieśni i podań ludowych. W każdym kraju tacy ludzie jak nasz badacz, znaleźliby silne poparcie: u nas cztery serye poprzednie, musiał wydać własnym nakładem, i na piątą o której mamy mówić, za ledwie mały zasiłek otrzymał: co w części tylko pokrywa koszt wydawnictwa. Praca zaś tak mozolna, trudy w zbieraniu, nie małe przedsiębrane podróże i poniesione inne kosztowne wydatki, to są ofiary obywatelskie, które Kolberg składa na korzyść ogółu społeczeństwa naszego.

Pierwszą seryę *Pieśni ludu polskiego* wydał w Warszawie, w drukarni J. Jaworskiego w r. 1857. Korzystał z tego jedyne u nas Zakład typograficzny, który ma czcionki nut do drukowania razem z tekstem. Na tym wydaniu położył napis *Seryi pierwszej*, i objął w niej pieśni ludowe z melodyjami z różnych okolic kraju; postępując jednakże dalej w pracy i zebrawszy obfite materiały w tym przedmiocie, które wzbogacał corocznie wyściczkami, postanowił je więcej usystematyzować i dawszy ogólny tytuł: „*Materiały do etnografii słowiańskiej*” wydał opis Sandomierskiego, a przez nieoględność dał znowu nadpis: *Seryi pierwszej* zamiast *drugiej* (w r. 1865).

We dwa lata drukując *Kujawy* w dwóch częściach oznaczył numerami *Seryi III i IV* (r. 1857). Tak pomieszawszy porządek w swém wydawnictwie na kartach tytułowych, wprowadza w błędne mniemanie każdego, któryby chciał mieć dzieło to w zupełności, jakoby brakowało seryi drugiej. Tak nie jest, i wydanie obecne poświęcone opisowi *krakowskiej* ziemi część pierwsza, rzeczywiście stanowi *piątą seryę* prac O. Kolberga.

W układzie jój trzyma się planu jaki przyjął od chwili gdy już jako „*Materyały do etnografii słowiańskiej*” wydał *Sandomierskie*. Opisuje ziemię, lud, jego różne cechy i charakterystykę, ubiór, mieszkania, gry, zabawy, obrzędy, obchody jakie zachował i zwyczaje. Nie pomija najdrobniejszego szczegółu, któryby mógł uwydatnić tak Krakowiaków życie domowe i zajęcia rolnicze, jak zarazem stronę ich duchową.

„Przystępując do opisu okolic Krakowa pod względem etnograficznym (mówi autor we wstępie), winienem wyznać, że wiele gotowego już ku temu celowi materyału, znalazłem w pracach skrętnych i uczonych na tój drodze poprzedników, okolice te bowiem jak i sam Kraków bynajmniej skąpo w opisy i zarysy tego rodzaju zaopatrzonemi nie były. Niektóre z tych materyałów dokładnie i szczegółowo rzecz podające, bez względu na obrobienie ich stylowe (podrzednej zresztą tutaj będące wagi, w obec treści które obejmują), w całości mogły być użyte do celów jakiem sobie założył, i takowe w powtórzeniu dosłowném do właściwych wcieliłem rozdziałów. Inne zaś materyały, a częstokroć drobne tylko skazówki podawane cząstkowo, dorywczo, lub mimochodem, już to jako szczegóły objaśniające i dopełniające przedmiot innego rodzaju o który potrącały, już jako przypisek czy dodatek do różnych prac specjalnych, należało mi od tych ostatnich odłączyć i po stosownym rozpoznaniu i przykrojeniu, do właściwych dorzucić dzieła niniejszego rubryk. Zasilony w ten sposób obficie spostrzeżeniami dawniejszych na tém polu pracowników, mogłem właśnie uzupełnić, udokładnić, i zapas pozyskanych wiadomości w pewną organiczną związać całość. Dając tak, nie roszczę sobie bynajmniej zasług podawać dzieła mego za zupełnie oryginalne, ani wykończone we wszystkich swoich ustępach. Sądzę jednak że i takie jakie jest, stanie się ono pożytecznym dla ludzi, oddających się pewnym oddzielnym nauki gałęziom, gdyż obok wielu nieznanych dotychczas szczegółów etnograficznych dla jednych, ukáže innym nie małą liczbę uwag dotyczących lingwistyki, metryczności i muzyki ludowej, przedmiotów, o ile mi wiadomo dotąd w tak szerokich rozmiarach nie przedstawianych, ani tak szczegółowo roztrząsanych.”

Musimy tu kilka uwag dorzucić. Prawda że oddawna, bo już od lat pięćdziesięciu, czyli od wydania pierwszego opisu Krakowa przez Ambrożego Grabowskiego, zajmowano się opisem ludu krakowskiego; ale były to tylko dorywcze zarysy i ogólniki,

nie mogące poważnemu etnografowi służyć za materiał, z które-goby osnował swoje badania. Co mamy z przed roku 1830, bar-dzo to ubogi zasób, i jedynie może służyć za dowód, że Krakowiacy wydatnieli więcej wpośród włościan innych okolic kraju i wówczas górowali nawet nad Mazurami. Od 1833 roku, kiedy *Wacław z Oleska* wydał zbiór ludowych pieśni, odtąd mamy coraz więcej tego rodzaju z Krakowskiego przechowanych utworów, najważniej-szy jednakże zbiór dał nam *J. Konopka*, bo wyłączny: „*Pieśni ludu krakowskiego.*” W następnych latach przybywało coraz więcej zasobów, co do obrzędów i obchodów: wszystko to nasz zbieracz słusznie włączył do swęj pracy, ale w ogromnych jęj rozmiarach zniknęły, a przeważną stronę stanowią własne jego poszukiwania co do mieszkań, zabudowań gospodarczych, sprzętów domowych, ubioru, pokarmów, przemysłu i zbiory pieśni z melodjami. Piérwszy tu raz muzyk z powołania, charakteryuje *gędzbę* ludową, po-dając jęj nieprzebraną skarbnicę któraby bez śladu zaginęła.

We wstępie z któregośmy ustępowyżęj przytoczyli; wybor-ną daje nam charakterystykę Krakowiaków i najdrobniejsze od-cienia, jakie ich różnią od najbliższych sąsiadów. Z tego widzimy jak troskliwie sam się wpatrywał i badał, niepolegając na zda-niach obcych.

Rozpoczyna opis Krakowskiego od starego grodu. W wyda-nych poprzednio *Seryack*, nie potrzebował dotykać miast (*Sando-mierskie, Kujawy*) bo one z ludem ściśle się nie łączą; tu przeciwnie Kraków, łączy nie rozerwany związek z okolicznym ludem i przeważny wpływ wywiera ciągle. Krótki okres istnienia Rze-czypospolitej Krakowskiej, oddziałał wielce na oświatę i podnie-sienie moralne ludu z okolic tego grodu. Miasto tak pełne tra-dycyj odwiecznych, wabiące mieszkańców wsi całego okręgu, kościołami i obrzędami religijnymi, targami i jarmarkami, jakoteż ob-chodami dorocznymi, które się wplotły zarówno w ludność sa-mego Krakowa, jak i wiosek tak pobliskich jak i dalszych, nie mo-gło być pominięte w dziele Kolberga, słusznie tóż uważając go za główny punkt wyjścia, jemu poświęca piérwsze rozdziały w swęj etnografii, zbiera podania i przysłowia miejscowe, a lud dzieli na dwie części, badając zarówno osiadły z lewego jak i z prawego brzegu Wisły. Szczegółowo opisuje ich mieszkania i zabudowania gospodarcze, uprawę ziemi, sprzęty i naczynia, przemysł i handel. Widzimy w tém dziele jak w zwierciadle wierny obraz tego ludu w pracy, jak życiu rodzinném; w kościele jak na uciechu: jego za-bawy, obrzędy, obchody, podania, zwyczaje i pieśni. Słowem jak poprzednie *Serye* tego wydawnictwa, tak i ta dokładnie i sumiennie odpowiada swemu założeniu. Zamykają ten tom *przypisy*, w których niezapomniany słynny czarodziej *Twardowski*, tak przy-rosty do Krakowa i jego okolic. Obok tego mamy w nich wyciąg wielce zajmujący wsi *Modlnicy* z roku 1582, który posłużyć może za ważny materiał do historii stosunków rolniczych upłynionej przeszłości. Część druga ma objąć opis wesel i zbiór pieśni z me-

lodyami, jakie dotąd przetrwały. Uzupełni on całość téj seryi poświęconej wyłącznie ziemi krakowskiej.

Kończąc nasze sprawozdanie o nowój pracy O. Kolberga, powtórzmy cośmy wyrzekli mówiąc o poprzednich Seryach: że nikt lepiej i dokładniej od niego nie potrafi w tym kierunku prowadzić badań, które są nie małej wartości a są naglące. Naglące, bo dzisiaj przy zmianach stosunków rolniczych, które są zapowiedzią lepszej przyszłości, lud nasz szybko ulega przemianie. Zbiierać więc co rychléj wszystko pomiędzy nim należy, co tylko może charakterystykę jego stanowić. Jak zaś każdy z nowych zbieraczy rzeczy ludowych, w tym kierunku ma rozwijać na przyszłość swe badania, jedyny wzór podaje nam w swém wydawnictwie Oskar Kolberg.

Wesela włościan z okolic Sobkowa i Chmielnika, przez ks. Władysława Siarkowskiego. Opis ten stanowić mogący mały rozdział w etnografii Kolberga, obejmuje z części Krakowskiego dwa dawniej miasteczka, a dziś osady leżące w gubernii Kieleckiej, w powiecie Andrzejewskim. Autor starannie zebrał tu szczegóły do zwiadów i *zaręczyn* jako téż i *wesel*. Jak przysłowie ludu dobrze określa rozmaiłość piosnek, że „*co wieś to insza pieśń*“ tak i w tych obrzędach znajdują się różnice mniejsze lub większe, od innych sąsiednich okolic.

Zawsze to chociaż drobny, ale użyteczny przyczynek dla badacza naszego ludu.

K. Wł. W.

Z podróży na okolo świata fregaty austryackiej Nowary w ostatnich latach 1860 roku odbytej. Studia geograficzno-ekonomiczne Karola von Scherzer'a.

- I. *Reise der österreichischen Fregatte Novara um die Erde, von Dr. Karl von Scherzer. Wien 1867.*
- II. *Statistisch commerzielle Ergebnisse einer Reise um die Erde, etc., von Dr. Karl von Scherzer. Leipzig und Wien 1867.*

Najgłówniejszy interes jaki wzbudza opis podróży fregaty *Nowary*, znajduje się nie w obrazach artystycznie skreślonych, zwiedzonych części świata, lecz w studyach ekonomicznego położenia różnych krajów, jeden po drugim przejeżdżanych. Tam to najpiękniejsza, najważniejsza, najbardziej pouczająca i oryginalna strona téj pracy (1).

(1) Wszystkie danejakie Scherzer tu w swój pracy w wyfrach przedstawia, są tém ciekawsze, że mu każdego kraju właściwy urząd takowe komunikował, a zatem są to niemal pewniki.

Opis tych podróży tém bardziej pociąga i szczególną wzbudza ciekawość, to że Dr. von Scherzer jest jednym z najznakomitszych uczonych mężów, gdyż jest zarazem biegłym ekonomistą, naturalistą i artystą. Jego piórem skreślone obrazy bogactwa i okazałości podzwrotnikowej przyrody, zupełnie nie ustępują skreślonym w Kosmosie.

Z tych to podróży wybrałem co może wzbudzić najbardziej interes czytelników naszego kraju, a mianowicie opisanie Australii i te w streszczeniu podaję.

Australii prawdziwem bogactwem nie złoto jój *placers'ów*, ale niezmierna mnogość owiec. Mnożenie się zwierząt domowych, jest tu tak spieszne, że wkrótce ono wyrwie na rynkach europejskich a nawet i wcałój ekonomii gospodarskiej przewrót ogromny. Mając to na uwadze należałoby teraz przedwześnie wszelkich sił dołożyć, by w czasie danym ten *raz* naszemu wiejskiemu gospodarstwu, o ile możności mniej groźnym uczynić.

W całój *Nowej Galii* w 1796 roku nie więcej było koni jak 57, bydła 227 i owiec 1531 sztuki. W 1861 roku już rachowano 6,110,663 owiec, 2,408,586 bydła i 251,477 koni na 36,000 mieszkańców. W 1865 roku liczba owiec podniosła się do 11 milionów, a dziś Australia cała liczy do 30 milionów owiec, to jest 3 miliony więcej niżeli Francya miała do ostatniej wojny, z 38 milionami ludności.

Lecz ta prawdziwie cudowna progressya daje się łatwo wytłumaczyć. Po stałój i bardzo nizkiej cenie, wynajmują się od rządu wygony (*Run*), kilku mil kwadratowych. Owce tam napędzone żyją swobodnie, jakby jeszcze w stanie dzikim. Ponieważ zaś wegetacya jest zawsze czynną, nie potrzeba zatém przysposabiać siana na zimę, która tu bynajmniej nie istnieje; równie i budynki dla owiec nie są tu we zwyczaj, gdyż są zbyteczne, a jeden owczarz pasie conajmniej 2000 sztuk owiec.

Grunt Australii jest średniej urodzajności, suchy, falowaty, wierzchołki którego oceniają piękne grupy drzew, w dolinach zaś biegną czystej wody strumienie, a ztąd tyle pyszna miejscowość, nadzwyczaj przypada dla chowu owiec. Jedyną kłeską która niekiedy dziesiątkuje te tak liczne stada, to wielkie susze lata australskiego. Wszystkie naonczas strumyki są wysuszone, wszystkie źródła giną zupełnie, a roślinność spalona przez słońce, całkiem bez śladu znika. W tych wypadkach właściciele stad, zmuszeni są robić ofiarę z pewnej liczby owiec, chroniąc się zupełnej straty, i żeby sprzedaż łożu wyrobić sobie jakiś dochód.

Wełna australska jest cienką, długą i przedzie się doskonale. Anglia sama wywozi rocznie do 50 milionów *kilos*, a fabryki Francji, Belgii a nawet i Niemców zużywają ogromne massy (1).

(1) Przywóz do Europy wełny tranz-oceanicznej z każdym rokiem niezmiernie się powiększa: od 10 lat podwoił się w Anglii. W 1865 r. podniósł się do 100 milionów *kilos*. We Francji jak i w Niemczech, prze-

Jest to pewnikiem, że wywóz ztąd wełny rok rocznie będzie się powiększać i to z nadzwyczajną szybkością, a do lat 10, Australia mieć będzie co najmniej do 60 milionów owiec, tyle co do czasu wojny miała Francya razem z Anglią.

Z takim kosztem wyprodukowane europejskie wełny, nie będą mogły więc na pewno dalej konkurować z wełną Australii, a którą tam prawie zadarmo otrzymują (1). Z tego więc wypadku należy nam uczynić ten wniosek, że rolnictwo europejskie winno conajprędzej zastąpić, jak to już dawniej zrobiła Anglia, owce hodowane dla wełny, przez owce utrzymywane dla mięsa i łożu.

Jedynym z krajów naszego łądu, który mógł jeszcze najkorzystniej i najdłużej rywalizować z Austryą, były *Węgry*, jednakże już dziś sprzedaż ztąd wełny jest trudną i prawie niezyskową, z powodu konkurencyi wełny Australii. Niema więc czasu do stracenia, bo żeby przekształcić jakąkolwiek rasę zwierząt domowych w całym kraju, potrzeba lat długich.

Wielkie ekonomiczne rewolucye, które sprowadza rozwój nowych centrów produkcji, byłyby dobroczynne dla gospodarstw i gospodarzy, gdyby tylko można było je przewidzieć. I nie miałyby innych w skutkach rezultatów, jak zadosyć uczynienie potrzebom ludzkości; lecz, kiedy kto uparcie zamyka oczy nad przyszłością, one tego zawsze silniej rażą, którego znienacka i niespodzianie dotknąć potrafią.

Wzrost wszystkich tu kolonij ma w sobie coś szalonego. *Queenslund* na północ *Sidneya*, ze swą stolicą nie znajduje się jeszcze nawet na mappach, gdyż zaledwo istnieje od kilku lat, a już liczy 88,000 mieszkańców, właściciele 5 milionów owiec, 900,000 sztuk bydła i 46,000 koni. Ruch zaś handlowy wzniosł się był w 1865 roku do 92 milionów franków; któż sobie przedstawić potrafi stopień bogactwa jakie te cyfry reprezentują? . W średnim stosunku biorąc, wypada na rodzinę 2 konie, 45 sztuk bydła i 300 owiec, a kapitału 4600 franków wywozu i przywozu. Różnica między położeniem rodziny australskiej a europejską, jest jeszcze można mówić niepojętą, gdyż zaledwo proporcya do 50 dałaby jakie takie pojęcie. Nadto rozmaitość klima-

ohodzi 20 milionów *kilos*. T. von Scherzer stawia w Europie liczbę owiec do 224 milionów, wykazując produkcję wełny całego świata do 800 milionów *kilos*. Potrzebowanie zaś tkanin wełnianych co dnia niezmiernie zwiększa się, gdyż nawet one rozpowszechniają się już na najodдалszym Wschodzie. Przemysł ten ma przed sobą ogromną przyszłość.

(1) Wełna australska jedynie tylko w jednym musi dotąd ustępować europejskiej, to jest pod względem czystości, gdyż ich owce pasą się dziko latami po stepach, nabierają w swe runa nasionka pewnej rośliny, podobne do bardzo małych budziaczków i te dotąd niczem jeszcze nie mogą być z niej oczyszczone, przeto massa z niej odchodzi na braki.

tu dozwala uprawiać tam jednocześnie kawę i trzcinę cukrową, z takim zyskiem jak pszenicę i inne zboża i bawełnę.

Lecz najpiękniejszym, najbardziej malowniczym i najwięcej obiecującym z tych przyszłych krajów jest *Nowa Zelandya*. Klimat prawie tu włoski, tylko więcej jednostajny, mniej gorące lata, mniej chłodniejsze zimy. Wegetacya jest wszędzie zachwycająca. Paprocie wielkości drzew naszych rosną aż do pobrzeży lodowych, które zstępują od wieczno-śniegowych gór, leżących na południowym brzegu wyspy. Obserwacye wojskowych lekarzy, udowadniają że ten kraj jest najzdrowszym z całego świata. Na 1000 ludzi angielskiej armii, umiera przez rok 8 w *Nowej Zelandyi*, 14 w Anglii, 15 na przyłдку Dobrój Nadziej, 18 na *Welsie* a 20 w *Kanadzie*. Suchoty tu zupełnie nie są znane.

Żywność jest tańszą jak w Europie, a dzienna płaca rzemieślnika trzy razy większą: mularz, cieśla zarabiał tu w 1865 r. dziennie po 12 fran. 50 cent., a zwyczajny robotnik 10 franków. Nieznając ani upałów zwrotnikowych, które denerwują, ani mrozów północnych, które znowu mnożą potrzeby, znać nie mogą dolegliwości i cierpień naszych pracowników. Rządzą się w cichości, spokoju i swoim samorządem przyswajając sobie ze starożytniej cywilizacyi wszystko co godzi się z ich dobrem, by powołanie człowieka zrobić najszczęśliwszym.

Podróż fregaty *Nowary* wydana przez Scherzera wyszła już w Niemczech we 12 wydaniach, i przełożona została na wszystkie języki. Ozdobiona jest nie tylko fotografiami różnych szczególności rozmaitych zwiedzanych krajów, lecz jeszcze planami, wykazami statystycznymi i handlowemi umiejętnie ugrupowanemi, pozwalającemi kontrolować jej spostrzeżenia i ich ocenę.

Szkoda że nasza literatura, tego dzieła sobie dotąd nie przyswoiła.

Aleksander Jasiński.

Przegląd najdawniejszych pomników języka polskiego, sporządził Konstanty Matkowski. Warszawa. Drukiem Józefa Ungra 1872 (w wielkiej czwórce, wydanie ozdobne i staranne, str. 191)

O tój ważnej publikacyi zanim sprawozdanie obszerniejsze nastąpi, podajemy tu tylko wiadomość bibliograficzną. Dzieło to obejmuje: 1) *Psalterz królowej Maryi* z rękopisów XIII i XIV wieku. 2) *Żywot świętego Błażeja*, z rękopisu XV wieku. 3) *Symbol wiary świętego Atanazego*. 4) *Pomniki Frejzyngeskie*, X wieku. 5) *Spowiedź powszechna*, z rękopisów XIV i XV wieku. 6) *Kazania*, z rękopisu XV wieku. 7) *Modlitewnik Nawojki*, z rękopisu XV wieku. 8) *Pomniki sądowego i prawnego języka*, do

1402 roku. 9) *Bogarodzica*, z rękopisu 1408 roku. 10) *Wigilie za umarłe ludźe*. 11) *Żywot wszechmocnego Syna Bożego*, drukowany 1522 roku. 12) *Poszukiwanie narzecza znikłego*. Narzecze znikłe, narzecze lechickie (Rozprawa tą zamyka całe dzieło, od stronnicy 153 do 191).

WIADOMOŚCI LITERACKIE.

WARSZAWA.

— Wyszedł z pod prassy: *Rocznik Towarzystwa osad rolnych i przytułków rzemieślniczych, 1872.* Warszawa w drukarni Józefa Sikorskiego 1872 r. (w 8-cie str. 83). Obejmuje *zagajenie*, przez I. Wieczorkowskiego wice-prezesa, oraz sprawozdania wyznaczonego komitetu i delegacyi co do organizacyi i rozwoju tegoż Towarzystwa. W końcu pomieszczoną jest lista członków Towarzystwa, wynosząca w ogóle liczbę 650 osób. Pomiedzy *członkami honorowymi* stałą składkę wnoszącymi, znajdujemy 26 polek, na 620 członków.

— *Józef Deskur*, jak się dowiadujemy z listu profes. *Mamaniego*, ma wkrótce objąć katedrę filozofii przy uniwersytecie florenckim. P. Deskur już dawno poświęca się badaniom filozoficznym, w których zasmakował podczas dość długiego pobytu w Niemczech, gdzie się w naukach ekonomicznych kształcił. Drobniejsze prace p. Deskura drukował przed kilką laty Ekonomista. W ostatnich czasach kilka artykułów pisał w języku włoskim. O najświeższej pracy włoskiej z dziedziny filozofii naszego rodaka, damy obszerniejsze sprawozdanie.

— Znana i zasłużona firma księgarni Józefa Zawadzkiego w Wilnie, ogłasza wydawnictwo nowych dzieł następujących które są pod prassą. 1) *Nauka pobożności dla dzieci*, przez biskupa *Segur*. Przełożył z francuzkiego i dodał na początku wykład pacierza i głównych zasad wiary X. Ad. Pł. 2) *Przewodnik dla spowiedników*. Dzieło ułożone przez X. J. Gauma z pisma najcelniejszych, najdosładczeńszych i najświątobliwszych spowiedników w kościele. Przełożył z francuzkiego X. Urban Rokicki. Wydanie nowe 2 tomy. 3) *Sumienie jakie być powinno*, przez J. P. Marchal Misyonarza Apostolskiego, autora dziełka: *Kobięta jaką być powinna*. Przekład z francuzkiego X. K. Ej. Taż księgarnia ogłasza obniżenie ceny naj-

znakomitszych swoich wydań, jak *Listów z Krakowa* 3 tomy Józefa Kremera, i tegoż *Podróż do Włoch* w 5 tomach, a zarazem dzieł kompletnych Ignacego Chodźki obejmujących w 11-stu tomach sześć *Seryi obrazków Litewskich* i cztery *Serye podań Litewskich*, które nabyć można w Warszawie w księgarni Michała Glücksberga za rs. 5.

— W Krakowie wyszedł tom 2-i pisma zbiorowego p. n. „*Na dziś*,” w którym oprócz dalszych ciągów z tomu 1-go znajdujemy: *Daniel*: powieść współczesną przez Tretiaka: „*Plato i jego Rzeczpospolita*,” przez Bolesława Limanowskiego. „*Maryja Stuart i Elżbieta*” przez Ksawerego Liskiego. „*O Kodyfikacji praw w dawniej Polsce, i jej znaczeniu europejskiem*,” przez W. A. Maciejowskiego: „*Dr. Jan Kanty Szlachetowski*,” przez Karola Estrejchera; „*Rzecz o obchodach weselnych ludu w Polsce i na Rusi*,” przez Oskara Kolberga: (jest to rozbiór dzieła Pruskiego, czyli Zygmunta Glogiera) „*Spór botaników o pytanie: dlaczego korzeń rośnie na dół, a łodyga do góry?*” przez E. G. „*Drogi handlu zbożowego*,” przez J. N. Sadowskiego: „*Przegląd artystyczny*,” przez Antoniego Zaleskiego. „*Przegląd literacki*.” „*Bibliografia Polska*.” „*Korrespondencya, Kronika i rozmaitości*.”

— We Lwowie wydał Andrzej hrabia Zamoyski obszerne dzieło p. n. „*O systemie więzień poprawczych Irlandzkich*.”

— Nakładem Karola Wilda w témże mieście, wyszła komedya w jednym akcie Władysława Hr. Koziembrodzkiego p. n. *W jesieni*, 1872 (w 12-ce str. 44).

— Gabinet archeologiczny Uniwersytetu Jagiellońskiego, wzbogacony został darem z legatu śp. Władysława Kucwicza zbiór monet polskich i niemieckich, znakomitéj wartości; do tegoż należy 246 dokumentów, aktów i korespondencyj, w znacznej części po rusku pisanych, tyjących się przeszłości Litwy. Pieczęcie stwierdzające dokumenta zwiększają już i tak zasobny dział sfragistyczny. Oprócz tego otrzymał Gabinet ozdobne okładki ksiąg z XVI wieku, i ciekawy zabytek sztuki introligatorskiej z owego wieku.

— Dnia 11 lipca r. b. we Lwowie, w teatrze miejscowym obchodzono uroczystość na cześć ś. p. Moniuszki. Przedstawiono ulubioną operę *Halke*, która wielki dała rozgłos zmarłemu muzykowi, po ukończeniu której ukazał się dobrze wykonany posąg zgasłego kompozytora, na wysokim podstawie, oświetlonej kagańcami cementarni. U stóp posągu stały grupy główniejszych postaci z oper Moniuszki. Po obu stronach sceny, stanęli w żałobnym stroju artyści i artystki dramatu i opery pod przewodnictwem swych dyrektorów, i człony Towarzystwa Muzycznego ze swym dyrektorem na czele. Dyrektor teatru Ładnowski, wygłosił wtedy wiersz Platona Kosteckiego poświęcony pamięci Stanisława Moniuszki. Dyrektor Towarzystwa Muzycznego Mikuli, zawiesił olbrzymi wieniec laurowy na posągu. Wspaniałe *Requiem* utworu Moniuszki, zakończyły tę piękną uroczystość, z której dochód przeznaczono dla pozostałej rodziny po Moniuszce. Ogromny Teatr Skarbka był przepelniony, bo publiczność wiedząc o celu tak szlachetnym zbiegła się tłumnie.

— Starodawny zwyczaj, że wraz z pojawieniem się wiosny, na całej Słowiańszczyźnie obchodzi uroczyste lud wiejski to przebudzenie się natury, dotąd się przechował. Nad Wisłą, nad Narwią, Wartą, Bugiem i Pilicą, w drugi dzień Wielkanocy zwykle, grono dziewcząt układa wiązaną ziół i kwiatów polnych, która zowie się *gaikiem*, i z nim obchodzą tak dwory, jak domostwa wiejskie, śpiewając odpowiednie pieśni, przywiązane do tego obchodu. Treścią ich jest jedna myśl: powitanie wiosny, z nadzieją plonu bujnego z posiewu zboża, z prośbą o dary. Otrzymują za to ze spiżarni gospodyń część święconego, od gospodarzy pieniądze, z czego tworzą sobie ucztę i zabawę wieczorem. Na Szlązku Pruskim, gdzie mimo zniemczonych miast, wsie oparły się naciskowi germanizmu, powyższy zwyczaj przetrwał do dziś dnia w całej swojej pierwotnej prostocie. Przed *Palmową* niedzielą, w tak zwaną tu *Marzanią* niedzielę, grono małych dziewcząt stroi drzewko zielone, małą sosenkę lub świerk, skorupkami z jaj farbowanymi na modro, przyczepia kawałki wstążek, i jakie błyszczadła. Takie drzewko zowie się *maik* czyli *gaik*, i z nim obchodzą śpiewając pieśń, której pierwsza strofka jest wszędzie jednakowa:

„Do tego tu domu wstępujemy,
Szczęścia, zdrowia, winszujemy.
Nasz *gaik* zielony,
Pięknie ustrojony.

W tym obchodzie zwraca głównie uwagę badacza, nazwa niedzieli *Marzanią*, w której z tym *gaikiem* chodzą; wyraz ten już pomiędzy naszym ludem zaginał, a tu się przechował. Przypomina on boginię śmierci *Marzanę* (umarzającą), na której cześć jak pisze Jagiellońskich czasów kronikarz Marcin Bielski, obchodzono w dawnej Polsce zaraz po stajeniu śniegów i ukazaniu się pierwszej trawki, obrzęd *topienia śmierci*, ażeby osadę miejską, czy wiejską, od chorób i zarazy uchronić. Bielski przywodzi z pieśni, jaką wtedy śpiewano, dwa tylko pierwsze wiersze:

„Śmierć się wije po płotu,
Szukająca kłopotu.“

Obrzęd ten starostowiański, mylnie wielu brało jako pamiątkę obalenia posągów i bałwanów pogańskich, za Mieczysława I-go, przy wprowadzeniu chrześcijaństwa, przez apostołów czeskich.

— W piśmie: „*Ruskaja Starina*,” w poszycie siódmym, zasługują na uwagę, jako materiał historyczny: „Pamiętniki D. W. Dawydowa, o *wojnie polskiej* w roku 1830—1831.

— W Krakowie ogłoszonym zostały nowy konkurs dramatyczny, pod następującymi warunkami:

Udzielonemi zostaną utworom scenicznym trzy nagrody, a mianowicie: 500 złr., 250 złr., i 150 złr.

Nagroda 500 złr. udzieloną zostanie tylko bezwzględnie dobrej sztuce scenicznej, a oczywiście względnie najlepszej z nadesłanych.

Nagrody 250 złr. i 150 złr. będą udzielone nawet względnie tylko dobrym sztukom.

O nagrody 500 złr. i 250 złr. ubiegać się mogą tylko sztuki (tragedye, dramata, komedye) mające najmniej trzy akta, o nagrodę 150 złr. mogą się ubiegać i jedno i dwuaktowe sztuki.

Sztuki przeznaczone na konkurs nie mogą być pićrwiej ani drukowane ani przedstawiane.

Sztuki przeznaczone na konkurs winny być nadesłane najdalej do 31 grudnia 1872 roku, po czém nie będą przyjęte do tego-rocznego konkursu.

Skutek konkursu winien być ogłoszony najdalej 15 lutego 1873.

Wyrok konkursowy wydaje teatralna kommissya doradcza, która się składa z pp. Asnyka, Anczyca, Bałuckiego, Bełcikowskiego, Estrejchera, Kłobukowskiego, Koziebrodzkiego, Koźniana, Lisickiego, Łubieńskiego, Manna, Rembowskiiego, Rychtera, Szujskiego, Steibelta, Szukiewicza, Tarnowskiego, Wittego i Zamojskiego.

— W Lipsku u F. A. Brockhaus'a, wyszła powieść Michała Czajkowskiego: „*Bulgarya*“ Jestto najświeższy utwór tak oddawna znanego pisarza, albowiem nosi datę z 20 kwietnia 1871 r. (w 12-cie str. 304. Lipsk 1872).

— *Gazeta Polska* drukuje listy z Czech: w trzecim z porządku, (nr. 84) mamy ciekawy obraz rozwoju czeskiej społeczności na łożdzie ekonomicznej, a zarazem pogląd na stronę duchową. „Średnią idąc drogą, (donosi korespondent) nie zapędzają się tu Czechy w swym realizmie do odrzucania kwiatów poezyi. Opis Czech przez Rygera, dokładny i naukowy, zaczyna się od kilku śmieie brzmiących wierszy. Wiążą zawsze przeszłość z przyszłością; dlatego też postęp ich jest zdrowy.

W dziennikach pragskich jakkolwiek rozmaitych odcieni, nie spotyka się teoryi Darwinowskich. Do Buckla korzącego się przed potęgą natury, równie jak do Darwina sławiącego silniejsze zęby, czują wstręt instynktowy ludzi przygniecionych, a w sprawiedliwość trwale wierzących. Zostawiają Anglikom wysysającym krew milionów Indyan i dzisiejszym Bismarkowskim Niemcom, stawiającym siłę przed prawem, odpowiedzialność za zuchwałę teoryę.

Nie mniemają też Czechy by zezwierzęcenie, luźne, samopaśne życie które nihilizm zaleca, ducha z więzów uwalniało! W świętych węzłach rodzinnych widzą nie tylko zadowolenie uczuć dzielących stanowczo człowieka od niższych tworów, lecz zarazem siłę do wielkich dzieł ducha. Walcząc z trudnościami życia, młodzież czeska zawiera jednak wcześniej związki małżeńskie, ufna że w dobraném pożyciu zdwaja siły swoje i godnie przyszłość nakrośla.

Przyznać trzeba że Czeszki są pomocą a nie zawadą pracowitym i zabiegliwym swym mężom. Troskliwie o dom, zdrowie i wygodę, umilają życie swém trafném postępowaniem. Żądają szacunku i ufności, są dobrą radą, w gustach swych wielce pomiarkowane. Wyblakłych, wątłych istotmiędzy niemi prawie się nie widzi, tём mniej znuudzonych twarzy. Z wejrzenia znać już życie pracy, dające zdrowie i wewnętrzne zadowolenie, przy którym lada przyjemność towarzyska cenioną będzie.

Przedłużone kawalerskie hulaszce życie nie wzięli sił mężczyzn pod pretekstem że się byt żonie zapewnić pracą wpiérw musi. W pełni zdrowia i młodości żenią się Czesi dobierając sobie osoby równie śmiało w przyszłość patrzące. W nadziejach przyszłości jaką każda uczciwa a wytrwała praca zapewnić może, we wspólném, żywém uczuciu, czerpią oboje cierpliwość i siłę woli, potrzebne do osiągnięcia zamierzonego rozsądnego celu. Najmują oszczędnie małe mieszkanie i przyjmują interesantów i rzadkiego gościa bez zakłopotania w świetlicy, jak ją po dawnemu nazwać można, stanowiącej razem salonik i pokój sypialny. Professorowie, dyrektorowie nawet szkół lub biur urzędniczych, ludzie mający od trzech do pięciu tysięcy reńskich dochodu rocznego, nie pozwalają sobie jeszcze osobnego salonu, i takowy w najświetniejszym stanie interesów, kiedy akcyje narodowych przedsięwzięć licznie się kupuje, jest jeszcze jeżeli już nie sypialnią, to przynajmniej biurem prywatnym, pokojem do pracy naukowej lub rysunku jednocześnie przeznaczonym.

Śmiałe w przyszłości oglądanie i wchodzenie młodo w związku małżeńskie, stanowi podobieństwo Czechów z Amerykanami, a jest cechą zdrowych prawdziwiespołeczeństw. Nieogłędnością to nazwie nie jeden nasz sobek resztki życia dopiéro przeznaczający i dostojną zużytą firmę, przyszłej swój małżonce. Bogiem a prawdą, właśnie jest rozsądek we wczesném przyjęciu na się stałych obowiązków chroniących od zgubnych szalów, a dających w swém uczciwém spełnieniu prawie zadowolenie, siłę, i wytrwałość jedynie zdobywające kraj marzeń ludzkich.

Cała średnia klasa w Czechach nie ma więc salonów, bawi się jednak wesoło i szczerze gdy ma czas i chęć po temu, we wspólnie najętych salach większych i świetniejszych niż wiele pańskimi gdzieindziej zwanych. Niektóre spółki mają już własne stale sale do zabaw. Tam, jednego mniej więcej zajęcia, wychowania i usposobienia rodziny, zbierają się na chórowe śpiewy, koncerta lub teatralne amatorskie przedstawienia, po których taniec zwykle następuje. Bufet tanio zgodzony, dostarcza żądającym posiłku i ochłody, których koszt nie wiele przenosi to coby się w domu wieczorem spożyło. Większe taneczne spółkowe zabawy odbywają się zwykle przy odgłosie doskonałych muzyk pułkowych lub miejskich.

Powtarzam, że zebrania odbywają się zwykle między rodzinami jednych usposobień, należącemi do tych samych przedsięwzięć przemysłowych, rolniczych lub pracy umysłowej oddanych. Mają więc te zebrania charakter familijny, rzec można: ciaśniejszej znajomości, na wzajemném uznaniu opartej. W tём jest ich wyższość nad tak

zwanemi resursami, zbyt różnorodne indywidua pragnącemi zabawić i pogodzić; gdzie ostatecznie świetniejsza, płocha część zebrania, wyłączy zwykle poważniej zapatrujące się na życie rodziny, lub co gorsza w szal swój i koło, płonnych, rujnujących wydatków, oszczędniejszych wciągnie.

Powiązane w spółkach życie rodzin, umocniło w Czechach liczny bardzo żywioł miejski, i wciągnęło w przyjaźnie z tymże stosunki okolicznych rolników, których spółność przedsięwzięć, jak cukrownie akcyjne i t. p., z miastami okręgowemi wiąże, jako też i zakłady kredytowe.

Na pomiarkowaniu, działalności i pracy umiejętnej, opiera więc kredyt w Czechach cały swą pewność idąc w tém za prawdziwą ekonomii politycznej zasadą, nie przestarzałą od czasu Adama Smitha: że praca źródłem wszelkiej jest wartości a oszczędność najpewniejszym tejeż stróżem.“

Tygodnik Ilustrowany z miesiąca lipca i sierpnia r. b. od nr. 239 do 242, obejmuje artykuły z drzeworytami: Józef Narzymiski. — Ciechoćinek. — Rocznica zburzenia Jeruzolimy. — Adam hr. Potocki. — Portrety książąt Sapiehów w Kodniu. — Mstów. — Walter Skott. — M. J. Brodowicz. Prócz powyższych mieszczą się artykuły: Wystawa Warszawskiego Towarzystwa Zachęty Sztuk pięknych. — Przegląd piśmienniczy. — Pozytywni komedya J. Narzymskiego. — Z dziedziny społecznej. — Przegląd teatralny. — Sąd pana Cześnika. — Z podróży po Kaukazie. — Przy pługu. Pogadanki o rzeczach literackich i artystycznych. — Kronika zagraniczna J. I. Kraszewskiego. — Przegląd polityczny. — W dodatku: Wet za Wet, powieść w 2-ch tomach z angielskiego.

W miesiącu sierpniu r. b. *Kłosy* od nr: 370 do 373 obejmują artykuły z drzeworytami. Przed kościołem Dominikanów w Krakowie. — Rozbójnicy hiszpańscy dzielący się łupem. — Jałmużna. — Zawieprzycie. — J. Schnorr von Carolsfeld. — Toalety Japoniek. — Z życia dworu wiejskiego. — Powódź w Czechach. — Salomea. — Kabalarka. — Czumaki. — Głosowanie murzynów w Wirginii. Prócz powyższych mieszczą się artykuły: Dersław z Rytwian, powieść T. T. Jeża. Missyonarze w odległych krajach. Stanowisko kobiety w rodzinie i społeczeństwie, J. Hodięgo. — Idealizm i Realizm, J. Zacharyasiewicza. — Przegląd Muzyczny. — Wiadomości z pola literatury i sztuki. — Drugie cesarstwo we Francyi, T. Jeża. — Z obcego świata. — Ginewra poemat Tennyssona. — Pokłosie. — Listy J. I. Kraszewskiego. — Opowiadania autentyczne z praktyki kryminalnej. — Początek i charakter arystokracji angielskiej. — Podróż po Afryce. — Przegląd prasy peryodycznej. — Przegląd polityczny.

Redakcja Biblioteki Warszawskiej.

Redaktor odpowiedzialny K. Wł. Wójcicki.

Wydawca Józef Berger.

SPIS RZECZY

ZAWARTYCH W TOMIE TRZECIM

Z R. 1872.

Historya.

	Stron.
Podanie o Kraku i Wandzie. Przez Kazimierza Römera	1
Serbia, zarysy historyczno-etnograficzne. Przez Adolfa Pawińskiego	381
I. U kolébki serbskiego narodu	382
II. Serbia wzrastająca w potęgę	393

Archeologia.

Mereczowskie okopisko i jezioro Świtez, zwiedzane w 1871 i 1872 r. Przez Jana Zawiszę. (Z sześcioma tablicami).	444
----------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------	-----

Starożytności.

Notatki kupca krakowskiego w podróży do Flandry z r. 1401—1402. Przez Adolfa Pawińskiego	58
Opowiadanie o Warszawie, jej przeszłości i pamiątkach miasta. Przez F. M. Sobieszczańskiego	239
Miejscowości w Królestwie Polskiem, nazwane od stanu, zajęć i pochodzenia zauieszkujących je osadników. Przez Feliksa Zielińskiego	254

Literatura polska.

Ludwik Kondratowicz i jego poczye. Przez A. Tyszyńskiego.	161, 321
-------------------------------------------------------------------	----------

Literatura powszechna.

Historya literatury angielskiej, z II. Taina, streszcil Edward Lubowski. 74

Powieść.

Amalia, ustęp z wojny domowej w Rzeczypospolitej Argientyńskiej, przez D. José Marmol; przekład z oryginału hiszpańskiego . 22, 193, 352

KRONIKA ZAGRANICZNA, LITERACKA, NAUKOWA I ARTYSTYCZNA.

Rozprawa p. Herbuliez o poetach cesarstwa niemieckiego. — Landsturm i ochotnicy poezyi niemieckiej podczas wojny. — Gejbel prorok z Lubeki. — Trzydziestoletnie wołanie Herolda. — Psalmi Biblijne. — Emil Rittershauz. — Oskar Redwitz. — Poemat symboliczny „Amaranta”. — „Pieśń nowego cesarstwa” w pięciuset sonetach. — Uroczystość inauguracji uniwersytetu Strasburgskiego. — Baron Aufses z Nurembergi. — Antoni Trueba powieściopisarz i poeta hiszpański. — Wiersz do przyjaciela. — Wystawa obrazów w Paryżu. — Udział kobiet. — Obrazy religijne. — „La vierge aux ruines”, p. Michels. — „Śmierć Ludwika Ś-go”, Piotra Glaize. — „Ś-ty Józef p. Jacquand. — Dwa obrazy Muratona: „Wiara w przyszłość, Miłość Boga.” — „Obrazy Alzacyi”: Henryety Browne, Gustawa Dore, Marchala, pani Ortez. — „Gdzie się kończy zwycięstwo?” — „Rodzina Alzacka wędrująca do Francyi”, Schutzenbergera. — „Stary piastun” — „Kundel”. — Strasburg w płomieniach, Ehrmana. — „Sceny wojenne z pod Metz” p. Prottais. — Biwak pod Bourget, p. Neuville. — „Pobojowisko” Peraulta. — „Ranni Francuzi wśród wieśniaków szwajcarskich”. — „Pożegnanie Szwajcarów”, Jundta. — Wdowa. — „Dzień Zaduszny”. — „Wiosna 1872 roku”, p. Perin. — „Nadzieja”, p. Puviss de Chavanne. — „Republika” Mossa. — „Małpy i plaster miodu”. — „Odrzucona Petroleza Courbeta

L'annee Terrible (Rok straszny) poemat Wiktora Hugo. — Prolog. — Plebiscyt. — Sedan. — Wiersz do trupów niemieckich pływających po Sekwanie. — Na manifestacji amerykańskiej. — Do Niemców. — List do Pani** posłany balonem w styczniu 1870 roku. — Do wnucząt w dzień Nowego roku. — Do Polki w dniu jej urodzin. — Kapitulacya. — Wykrzyki! Dość już krwi! — Łuk tryumfalny i kolumna Vendome. — Pożar Paryża. — Krwawy odwet. — Kto winien? — Życie Dickensa, przez Johna Forstera. — Lata dzieciństwa. — Szkic z podróży Andersona. — Wystawa obrazów. — Najazd, p. Suminai. — Gallowie przed Cezarem, Sebastiana Corau. — Jakób Coeur p. Patrois. — Ustęp z wojny Kokoszej, p. Rodakowskiego. — Portrety. — Carolus Duran, Jobobert. — Portrety pę-

- dzła kobiet.—Portret p. Krajewskiego.—Wielki portret Prezydenta Rzeczypospolitej, przez pannę Nelia Jacquemart.—Fortuna kołem się toczy, p. Sirony.—Strącone palladium p. Blanc.—Narcyz u źródła, p. Marszał.—Wdowa po męczenniku.—Gońce złych wieści.—Dzwonnicy nuremburscy.—Róg stołu i uczta cyganki literackiej.—Siew i żniwo.—Taniec konkursowy o koguta —scena alzacka.—Wotum.—Czarownica bretońska.—Pokusa.—Dziewczyna u źródła, najcenniejszy obraz na wystawie p. Juliusza Breton.—Medal honorowy.—Dziewczyna z krowami.—Widok Puław od strony Wisły, p. Szermentowskiego.—Rzeźby.—Pomnik na cześć zwycięstwa Peruwianów nad Hiszpanami.—Przysięga Spartakusa, p. Barras.—Dawid, p. Mercier.—Rycerz w spoczynku.—Joanna Darc.—Joanna i Wercingetorix, wzór monumentu na cześć poległych ofiar.—Mirabeau 262
- Walter Whitman tak zwany nowy Kolumb poezji amerykańskiej.—Zrealizowane godło Wiktora Hugo: Brzydota pięknem.—Leares of grass (Listki trawy), pieśni demokratyczne, Drums taps (Grzmot bębnowy) pieśni bojowe z roku 1862.—List z obozu.—Fantastyczna autobiografia poety.—Porównanie Whitmana z Wiktorem Hugo.—Dzieło pani Olimpii Adonard: North America, Sekty religijne.—Dziennikarstwo.—Gentelmany złodzieje.—Wychowanie publiczne.—Statystyka szkół w Nowym Jorku.—Stanowisko amerykańskich kobiet.—Osobistość autorki: jej dzieła i konferencye.—Obrazek dramatyczny Franciszka Coppée: Czyż coś powinien 404

Korrespondencya.

- Do Redakcyi Biblioteki Warszawskiej, O stacyach krzemienych nad Dniestrem i brzegami Tyrasu. Przez Dra J. Rolle. 295

Piśmiennictwo krajowe i zagraniczne.

- Przyczynek mogący posłużyć do objaśnienia sprawy tyczącej się wydania biblii królowej Zofii. Przez F. M. Sobieszczakańskiego. 129
- Przyczynki do rozwiązania narodowości Mikołaja Kopernika. Przez P. 143
- Kilka słów o wykonaniu kary i pozbawieniu wolności obwinionych 146
- Oderwano nuty, L. Korpaczewskiej. Przez S. 147
- akta Grodzkie i Ziemskie z archiwum bernardyńskiego we Lwowie, tom III. Lwów 1872. przez A. Pawińskiego 148
- Wyprawa kijowska Bolesława Wielkiego, napisał Jan Karłowicz. Poznań 1872. Przez A. P. 297
- Hieronim Savonarola, przez Klemensa Kauteckiego. Poznań i Lwów 1872. Przez A. P. 301

Nierząd i praca. Studium literackie. Przez F. M. Ejsmonta. Kijów. 1872. Przez Wł.	305
Wyjątki z kroniczki mojej okolicy, z notat pana Marcina. Przez Leona Kunickiego. Warszawa 1872 r. Przez Wł.	309
Groby kościoła N. Maryi Panny w Kielcach i Bulla Erekcyjna Dyecezyi i Katedry Kieleckiej. Przez ks. Władysława Siarkowskiego. Warszawa, 1872. Przez Wł.	311
Historia Wratislaviensis et que post mortem regis Ladislai sub electo Georgio de Podiebrad Bohemorum rege illi acciderant prospera et adversa von Mag. Peter Eschenloer Namens des Vereins für Geschichte w. Alterth. Schlesiens herausg. von Dr. H. Markgraf. Breslau 1872. Przez A. P.	313
Hansische Geschichtsblätter 1872. Leipzig. Rok I. Przez A. P.	313
Dodatek autora do artykułu: „Notatki kupca krakowskiego.”. . .	314
Časopis Musea Kralovstvi Českeho. W Praze 1872. XLVI ročník svazek prvni. Przez K. P.	454
Opis historyczny rzymsko-katolickiego kościoła Świętej Katarzyny w St. Petersburgu, od r. 1763 do 1872. Ułożył St. Józef Siennicki. Przez Wł.	459
Mitologia słowiańska w zarysie, przez Edmunda Saturnina Gergowicza. Lwów. Przez K. Wł. W.	461
Rozamunda dramat w 5-ciu aktach Józefa Weilena. Wilno 1844. Przez L.	465
O kamieniach Mikorzyńskich. Kraków 1872. Przez Wł.	470
Lud. Jego zwyczaje, sposób życia, mowa, podania, przysłowia, obrzędy, gusła, zabawy, pieśni, muzyka i tańce, przedstawił Oskar Kolberg. Kraków. 1871 r.—Wesela włościan z okolic Sobkowa i Chmielnika, przez Wł. Siarkowskiego. Kielce. Przez K. Wł. W. . . .	472
Z podróży na około świata austryackiej fregaty Nowary, w ostatnich latach 1860 r. odbytej. Studya geograficzno-ekonomiczne Karola von Scherzora Przez A. Jasińskiego	475
Przegląd najdawniejszych pomników języka polskiego, sporządził Konstanty Małkowski. Warszawa. 1872 r.	478
WIADOMOŚCI LITERACKIE	151, 314, 479
Bibliografia krajowa i zagraniczna na okładkach zeszytu sierpniowego i wrześniowego.	

